



Emily
GIFFIN
Ten jedyny

WYDAWNICTWO
otwarte

EMILY GIFFIN

TEN JEDYNY

(The One & Only)

Tłumaczenie Martyna Tomczak

A stylized logo consisting of the letters 'T', 'M', and 'N' in a bold, blocky font. The 'T' has a small dot above it, resembling an accent or a specific character. The letters are black and set against a white background.

Wydanie polskie: 2014

Wydanie oryginalne: 2014

Tytuł oryginału: *The One & Only*

Copyright © 2014 by **Emily Giffin**. All rights reserved

Copyright © for the translation by **Martyna Tomczak**

Projekt okładki: **Eliza Luty**

Fotografia na okładce: © iStockphoto.com / -101PHOTO

Grafika na okładce: Olka Osadzińska, www.aleosa.com

Opieka redakcyjna: **Katarzyna Chmura**

Korekta: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Anna Woś / d2d.pl

ISBN: 978-83-7515-822-9

www.otwarte.eu

*Dla mojego wujka Douga Elgina,
który wzbudził we mnie miłość do sportu.
I nauczył, że to coś więcej niż tylko gra.
A także dla mojej Mani*

Rozdział 1

Powinam była myśleć o Bogu. Albo o sensie życia. Albo po prostu opłakiwać to, że moja najlepsza przyjaciółka straciła matkę, a moja matka – najlepszą przyjaciółkę. Zamiast tego wpatrywałam się w lśniąca mahoniową trumnę wyłożoną gęstymi fałdami kremowego jedwabiu, zastanawiając się nad szminką pani Carr – ciemny, wpadający w fiolet odcień różu delikatnie gryzł się z koralową czerwienią sukienki, tej samej, którą miała na sobie w dniu ślubu Lucy prawie cztery lata temu.

Jednak bardziej problematyczny od koloru szminki okazał się sposób jej nałożenia. Ktoś, najwyraźniej nieznający się na rzeczy, wyjechał poza linię ust, starając się optycznie je powiększyć. Rezultat był absolutnie nieprzekonujący, a biorąc pod uwagę okoliczności, również zupełnie niepotrzebny. W końcu dziś nikt nie będzie robił zdjęć. Nie pojawią się profesjonalne albumy wypełnione zbiorowymi portretami rodziny i przyjaciół, z panią Carr w centrum, choć w pozycji horyzontalnej. Właściwie cały zwyczaj przystrajania zwłok do otwartej trumny wydał mi się nagle nedorzeczny. Byłam zwolenniczką kremacji. *Ja* każdym razie nie chciałam ryzykować, że ludzie będą mnie oglądać z tragiczną fryzurą. Ponieważ nie miałam męża ani rodzeństwa, zanotowałam w głowie, by za jakiś czas przekazać swoją ostatnią wolę Lucy. Była właściwie jedyną osobą, której mogłam o tym powiedzieć. Poza tym, gdy się do czegoś zabrała, doprowadzała to do końca. Jak komitet decyzyjny, w którym wszyscy przemawiali jednym głosem. Nie znosiła sprzeciwu.

– Mogę ci coś podać? – szepnęłam, minawszy niekończącą się kolejkę

znajomych, krewnych i całkiem obcych ludzi, czekających, by złożyć Lucy kondolencje. Nigdy nie widziałam tak wielkich tłumów na pogrzebie, a gdyby policzyć wszystkich gości obecnych podczas wczorajszego czuwania, wyszłoby na to, że pojawiło się prawie całe miasto.

– Chusteczkę... – poprosiła Lucy.

W przeciwieństwie do ostatnich trzech dni dziś nie płakała, choć jej szkliste, okrągłe zielone oczy mówiły, że jest na skraju kolejnego załamania. Podałam jej wyciągniętą z torebki chusteczkę, co znów przypomniało mi dzień jej ślubu, gdy podążałam za nią ofiarnie krok w krok z miętówkami i pudrem.

– Coś jeszcze? Może wody? – spytałam, myśląc o tym, że dobrze jest dla odmiany czuć się przydatną. Szkoda tylko, że potrzeba było tak tragicznego wydarzenia, by odwrócić zwykłą dynamikę naszych stosunków.

Lucy pokręciła głową, wróciłam więc do drugiego rzędu ławek, gdzie usadziła również moich rodziców. Zadbana o wszystkie szczegóły – od układu miejsc, przez wybór hymnu, po rozmieszczenie białych orchidei wokół ołtarza – tym dziwniejsze wydało mi się, że nie zauważyła nieszczęsnego odcienia szminki nałożonej na usta matki jeszcze wczoraj, gdy wciąż można było temu zaradzić. *Przynajmniej miałam nadzieję*, że go nie zauważyła, ponieważ skutkiem ubocznym jej skuteczności było to, że potrafiła całymi tygodniami, a czasem wręcz latami, zadreć się jakimś nieistotnym szczegółem, który poszedł nie po jej myśli. Nie miałam na przykład wątpliwości, że jeszcze długo będzie żywiła urazę do Angel, fryzjerki pani Carr, która śmiała w tym tygodniu wyjechać na wakacje, i to w dodatku w rejs po Karaibach. Powinna była wrócić, oburzała się Lucy, jeśli nie po to, by ułożyć zmarłej włosy, to choćby po to, by oddać szacunek swojej najlepszej klientce. W głębi ducha uważałam, że Angel należy się odrobina zrozumienia; z pewnością planowała urlop od wielu miesięcy, a taki nagły powrót byłby dość trudny do zorganizowania. Ale wyrozumiałość nie była w stylu Lucy, zwłaszcza jeśli w grę wchodziła obraza jej rodziny, czy to prawdziwa, czy urojona. Jako najstarsza i najbliższa przyjaciółka, cieszyłam się jej bezwzględną lojalnością i dobrze znałam jej życiowe zasady. Nie było wśród nich miejsca na subtelności ani

kolejne szanse, nawet w sytuacjach, w których ja potrafiłabym wybaczyć lub zapomnieć. Takie rozwiązania nie istniały dla Lucy, która w przypadku gdy ktoś ją uraził, na zawsze wykreślała winowajcę ze swojego życia.

I znów to samo. Życie. Śmierć. Zadrżałam na myśl o nieodwracalności spraw ostatecznych, przeklinając raka, który w dziesięć miesięcy odebrał życie pani Carr, objawivszy się dopiero wtedy, gdy było już za późno. Okazało się, że modlitwa to nie to samo co jazda na rowerze, zamknęłam więc oczy i skłoniłam głowę, kładąc w duchu ciche, niezdarne słowa i z całych sił starając się nie kwestionować istnienia Boga w chwili, gdy proszę Go o przysługę: Błagam, spraw, by Lucy potrafiła być szczęśliwa bez matki. Wydawało mi się to niemożliwe, a fakt, że Lucy sama miała córkę, zaledwie czteroletnią Caroline, która była za mała, by brać udział w pogrzebie, i w przyszłości nie będzie pamiętać swojej Babu, zdawał się tylko wzmacniać poczucie straty. Nowe pokolenie będzie nam wiecznie przypominać o tym, czego pani Carr już nie doświadczy. O kolejnych urodzinach, przełomowych chwilach, o tych wszystkich istotnych pierwszych razach, w których nie będzie nam towarzyszyć.

Zwróciłam spojrzenie i modlitwy w stronę Lawtona, brata Lucy, beztroskiego kawalera, a zarazem maminsynka do szpiku kości. Stał obok siostry i ocierał twarz chusteczką, prawdopodobnie tą samą, którą pani Carr wcisnęła mu z myślą o dzisiejszym dniu. Ostatnie miesiące spędziła na nieustannych przygotowaniach, snując plany na najbliższą przyszłość. W pewnym momencie, zamoczona morfiną, wyraziła nawet życzenie, bym wyszła za Lawtona. „Dwie pieczenie na jednym ogniu” – dodała, co nie zabrzmiało zbyt pochlebnie ani obiecująco. Oczywiście wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie – Lawton nie był w moim typie, ja w jego tym bardziej nie – uśmiechnęłam się jednak i obiecałam, że będę nad tym pracować, na co Lucy zażartowała, że w każdym związku powinna być choć jedna dorosła osoba. Teraz, patrząc, jak promienie słońca sączą się przez kolorowe szybki witraża za prezbiterium, zastanawiałam się, czy pani Carr jest gdzieś tam, w górze, i czy nas obserwuje. A jeżeli tak – czy wie, co się dzieje w mojej głowie? Na wszelki wypadek pożegnałam się z nią po raz ostatni, przez ściśnięte, suche gardło. Potem znów zamknęłam oczy i bezgłośnie poruszając ustami, powiedziałam: „Amen”, nieustannie

świadoma tego, że w moich modlitwach jest jeden wielki nieobecny: Trener Carr.

Zobaczyłam go przed sobą, gdy tylko podniosłam wzrok. Szedł od przeciwległego końca trumny w stronę rzędu ławek przede mną, z rękoma splecionymi z tyłu, tak samo jak w chwilach, gdy przechadzał się nerwowo wzdłuż linii boiska. Słyszałam, jak siadając, wydycha powietrze. Byłam tak blisko, że gdybym wyciągnęła prawą rękę i lekko się pochyliła, mogłabym dotknąć jego ramienia. To jednak nie wchodziło w grę, ponieważ samo patrzenie na niego przychodziło mi z trudem, i to już od kilku tygodni, nawet wtedy, gdy wpadłam do Carrów ze sklepową zapiekanką i sześciopakiem piwa Shiner Bock. Wiedziałam, że jest zrozpaczony, i myśl o tym, że mogłabym ujrzeć go w chwili słabości, była nie do zniesienia, podobnie jak widok dramatycznych zdjęć nagradzanych w konkursach fotograficznych, przedstawiających zapłakanych żołnierzy lub strażaków, którzy trzymają na rękach niemowlęta uratowane z katastrofy. Uważałam zawsze, że trudniej jest być tym, kto zostaje, zwłaszcza dla kogoś, komu się wydawało, że jest na najlepszej drodze do długiego i szczęśliwego życia.

Historia Trenera i Connie Carr zaczęła się – co nie jest dla nikogo niespodzianką – w murach Walker University, czyli uczelni noszącej tę samą nazwę co nasze miasto w północnym Teksasie. On był rozgrywającym uniwersyteckiej drużyny, ona – najładniejszą cheerleaderką. Poza jednym sezonem, tuż po narodzinach Lucy i moich, gdy Trener grał w Indianapolis Colts, Carrowie nigdy nie wyjeżdżali z Walker. Trener piął się po szczeblach kariery, od opiekuna rozgrywających, przez koordynatora ataku, po najmłodszego – i, jak pokazał czas, najskuteczniejszego – głównego trenera w historii drużyny Walker Broncos.

Trener Carr był kimś w rodzaju bóstwa zarówno w naszym mieście, jak i w całym stanie Teksas, a zarazem w świecie uniwersyteckiego futbolu – który, tak się składa, był w moim życiu absolutnie najważniejszy. Connie zaś została królową u jego boku. Była przy tym nie tylko elegancką żoną trenera. Ciężko pracowała za kulisami jako kwestorka, administratorka, organizatorka życia publicznego, terapeutka i zastępcza matka. Siadywała przy szpitalnych łózkach kontuzjowanych graczy, organizowała przyjęcia,

ugłaskiwała marudnych wykładowców i łagodziła nastroje wszystkich stron. Ogromny urok osobisty oraz niespotykana życzliwość wywoływały wrażenie, jakby to wszystko przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku, ja jednak wiedziałam, jak wymagająca i samotna bywała jej praca. Trener – nawet kiedy spędzał czas w domu pomiędzy kolejnymi meczami wyjazdowymi a podróżami w poszukiwaniu nowych zawodników – często był nieobecny duchem. Drużyna przesłaniała mu cały świat. Mimo to pani Carr nigdy nie przestała wspierać męża i naprawdę nie miałam pojęcia, jak by sobie bez niej poradził.

Odetchnęłam głęboko. Wokół unosiła się lekka nuta znajomej wody po goleniu Pinaud-Clubman i te kilka niesionych powietrzem molekuł wywołało lawinę wspomnień. Lucy i ja siedzimy na podłodze w gabinecie Trenera i gramy w planszówki, podczas gdy on rozrysowuje wykresy i diagramy. Nasza trójka na przednim siedzeniu jego samochodu, wystawiam rękę przez okno, słuchamy country i kanału sportowego. Razem z Lucy zakradamy się do szatni – nie po to, by podglądać chłopaków (choć był to miły bonus) – ale po to, by usłyszeć jego pełne pasji przemówienie po meczu, ekscytująco okraszone kilkoma przekleństwami. Podobnymi do tego, którym uraczył mnie kiedyś w swoim salonie. Miałam siedemnaście lat i cudem uniknęłam aresztowania za jazdę po pijaku; zamiast na posterunek, policjanci odwieźli mnie do Carrów. „Zajmie się pan tym, Trenerze?” Wciąż pamiętam, jak wtedy na mnie spojrział – było to znacznie gorsze niż perspektywa spędzenia nocy na dołku.

Zerknęłam przelotnie na jego profil i choć się bałam tego, co zobaczę, z ulgą stwierdziłam, że Trener jak zawsze jest silny i opanowany. Zupełnie nie wyglądał na wdowca. Był wysportowanym pięćdziesięcioletniakiem, ale wydawał się o dziesięć lat młodszy, a to dzięki gęstej czuprynie, oliwkowej skórze i krzepkiej sylwetce. To niesprawiedliwe – myślałam, ilekroć widziałam rodziców Lucy razem. Pani Carr była piękna, ale walczyła z oznakami starości równie zawzięcie, jak później ze śmiercią, tymczasem jej mąż, podobnie zresztą jak wielu innych mężczyzn, z roku na rok wyglądał lepiej. A teraz... Teraz to już *naprawdę* nie było fair. Rozważania o niesprawiedliwości życia i śmierci wydały mi się w sam raz na pogrzeb i z ulgą doszłam do wniosku, że choć się nie modłę, mój umysł

błądzi przynajmniej we właściwych rejonach.

Jednak chwilę później, gdy zaczęłam myśleć o futbolu, wahadło przechyliło się w drugą stronę. Lucy twierdziła, że futbol to w ogóle jedyne, co mnie w życiu zaprzęta, i chyba rzeczywiście tak było, przynajmniej do czasu, gdy pani Carr zachorowała. Zresztą nawet później zdarzało mi się uciekać do ukochanego sportu i wiedziałam, że Trener robi to samo. To denerwowało Lucy, która nie potrafiła nas zrozumieć. Pytała mnie przez łyżę, jak mogę się emocjonować zdobywaniem nowych rekrutów czy wygrywaniem meczów. Czy nie widzę, jak niewielkie to ma znaczenie? Próbowałam jej tłumaczyć, że praca jest dla mnie odskocznią, jedynym elementem życia, nad którym wciąż panuję. Futbol był naszym probierzem. Był opoką. Czymś, czego można się było chwycić, podczas gdy jasna łuna dogasała nad Walker w Teksasie, naszą małą prywatną arkadią.

Kilka sekund później Lucy i Lawton zasiedli po obu stronach ojca i widok tej trójki, która kiedyś była czwórka, przechylił czarę goryczy. Rozbrzmiały organy, a ja poczułam ścisk w gardle. Kościół napełniły głośne żałobne nuty. Między akordami dochodził mnie cichy szloch mojej matki i widziałam, jak Lucy i Lawton ocierają oczy. Potoczyłam wzrokiem dookoła, by się powstrzymać od płaczu, rozpaczliwie szukając czegoś, na czym mogłabym się skupić w czasie kilku ostatnich spokojnych chwil przed rozpoczęciem nabożeństwa.

Rozglądając się, dostrzegłam swojego chłopaka Millera, który przed laty grał w uczelnianej drużynie. Stał w jednym z dalszych rzędów, z grupką dawnych kolegów zawodników. Wszyscy wyglądali na zagubionych w swoich źle dopasowanych garniturach i świeżo wypastowanych butach. Zazwyczaj spotykali się w tym gronie, by świętować jakiś sukces, podczas zagrzewających do boju przedmeczowych spotkań, parad lub kolacji ze sponsorami. Miller pomachał do mnie z niemrawym uśmiechem i powachlował się programem. Odwróciłam wzrok, udając, że go nie zauważyłam. Po pierwsze, wiedziałam, że Lucy go nie znosi. Po drugie, wciąż jeszcze dręczyły mnie wyrzuty sumienia, spowodowane tym, że gdy Lucy zadzwoniła do mnie ze smutną nowiną, leżałam z Millerem w łóżku i miałam wyłączony dźwięk w telefonie. Ale przede wszystkim nie był to najlepszy moment, by machać do swojego chłopaka, zwłaszcza jeśli nie

było się pewnym, czy się go naprawdę kocha.

*

– Nie życzę sobie w domu żadnej hołoty – oznajmiła Lucy zaraz po pogrzebie, maszerując wzdłuż trawiastej grobli w stronę należącego do Neila świeżo umytego chevroleta tahoe.

Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim jej smutek zamieni się w gniew – właściwie byłam zaskoczona, że wytrzymała tak długo. Trener zażartował kiedyś, że Lucy żyje tylko na dwóch biegach – albo jest radosna, albo wściekła.

– Zdefiniuj termin „hołota” – poprosiłam, ponieważ naprawdę nie byłam pewna, co ma na myśli. Wiedziałaam jedynie, że podobne pojęcia miały dla niej szersze znaczenie niż dla mnie.

– Fani drużyny. Kibice. Wszyscy gracze, obecni i dawni. Z wyjątkiem Ryana. Mama kochała Ryana – orzekła stanowczo Lucy, zaciskając pasek długiego czarnego trencza.

Pani Carr rzeczywiście kochała Ryana, który był przy okazji jedynym w historii Walker zdobywcą Trofeum Heismana. Ale miała równie serdeczny stosunek do każdego grzejącego ławkę nieszczęśnika i każdego przeciętniaka, który kiedykolwiek przewinął się przez nasz program stypendialny. Rzuciwszy mi niespokojne spojrzenie, Neil kojącym tonem wymówił imię żony.

– Nie mów do mnie Luce – burknęła pod nosem. Najwyraźniej jego próba załagodzenia sytuacji przyniosła odwrotny skutek. – Ja nie żartuję. Mam dość. Tylko rodzina i przyjaciele.

– Jak zamierzasz to wyegzekwować? – zapytał Neil, spoglądając na tłum bliższych i dalszych znajomych, zmierzających w stronę kolistego podjazdu otaczającego kwaterę Carrów. Poprawił swoje nieco za duże, staroświeckie okulary, w których nie wyglądałby dobrze żaden facet niemający jego słodkiej, chłopięcej urody, i dodał: – Wygląda na to, że wybiera się do nas pół miasta.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparła Lucy i spojrzała na brata. – Nie

miało ich być nawet na cmentarzu. Która część wyrażenia „tylko dla najbliższych” jest dla nich niezrozumiała? Nie wejdą do domu. Nie wejdą. Lawton, powiedz im.

– Komu co mam powiedzieć? – spytał Lawton, wyraźnie zdezorientowany i jak zawsze bezużyteczny.

– Powiedz Shei i Neilowi, że teraz jest czas dla rodziny i bliskich przyjaciół. – Jej odpowiedź skierowana była bardziej do naszych uszu niż do uszu Lawtona. Uniosła dłoń ku włosom, upewniając się, że ani jedno pasmo nie wydostało się z ciasnego, niskiego koczka. Oczywiście jej fryzura była wciąż bez zarzutu.

– Ale Lucy, oni wszyscy uważają się za najbliższych – zaprotestowałam, przypominając sobie, jak pani Carr mówiła o ludziach niemal obcych, że „należą do rodziny Walker”.

– Uważam, że to bezczelność – odparła Lucy. Jej obcasy zatoneły w ziemi i potknęła się. Neil objął ją i podtrzymał, a ja pomyślałam, o ile gorzej wyglądałaby jej sytuacja, gdyby tak jak ja była sama. – Mam dość tych wszystkich ludzi, którym się zdaje, że są na zakichanym pikniku przed meczem. I jeśli zobaczę jeszcze jeden zielony krawat... Jak można włożyć zieleni na pogrzeb...? – Jej głos się załamał, bo oto Miller, w krawacie w zielono-złote paski, ruszył truchtem w naszą stronę z miną, którą można by wręcz nazwać jowialną.

Odszukałam jego wzrok i pokręciłam głową, ale był to dla niego zbyt subtelny gest.

– Ej, Sheo! Poczekaj! – zawołał, a ja zauważyłam, że nie tylko jest ubrany w uczelniane barwy, ale w jego klapie błyszczą złota przypinka z symbolem Broncos i podpisem „Rocznik 2001”.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jakim cudem udało mu się ją zachować przez tyle lat, zwłaszcza że od czasu, gdy zostaliśmy parą (o ile w ogóle można nas tak nazwać), już dwa razy zdołał zgubić portfel.

Filigranowa Lucy obróciła się na pięcie, przybierając bojową pozę przed mierzącym ponad metr osiemdziesiąt wuefistą.

– Wybacz, Miller – powiedziała. Trzęsła jej się broda. – Przyszedłeś tu, żeby nam zaśpiewać jakąś motywującą piosenkę? Czy po to, żeby przypomnieć sobie czasy dawnej świetności, kiedy twoja egzystencja robiła

jeszcze komuś różnicę?

– Spokojnie, dziewczyno. Zrobiłem ci coś? – obruszył się Miller, u którego poziom inteligencji emocjonalnej dorównywał wyczuciu stylu. – Wogóle nie wiem, po co się czepiasz mojej egzystencji.

– *Egzystencji*, Miller. I nie ma takiego słowa jak „wogóle”. A twojej egzystencji czepiam się, bo jest jałowa. – Długie, delikatne palce Lucy kręciły w powietrzu misterne łamańce.

– Jak sobie chcesz – powiedział Miller. Policzki miał jeszcze czerwiejsze niż zazwyczaj, a jego baczki skręciły się od potu, choć był chłodny lutowy dzień.

Dwa razy go prosiłam, żeby przed pogrzebem poszedł do fryzjera, ale mnie nie posłuchał.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że mi przykro. Bardzo przykro. Moje kondolencje. Naprawdę lubiłem twoją mamę. Była wspaniałą babką.

Wiedziałam, że jego słowa płyną z głębi serca, ale Lucy nie dała się przekonać. W napięciu patrzyłam, jak krzyżuje ramiona i mówi:

– Miller, błagam cię. Dobrze wiem, że żal ci było tylko wtedy, kiedy przegraliście z Nebraską, bo się naćpałeś i spartoliłeś akcję na linii czterech jardów.

– Niczego się nie naćpałem – zaprotestował Miller. – Po prostu... Upuściłem piłkę. Jezu...

Przygryzłam wargę, zdumiona tym, że Lucy pamięta nie tylko ów mecz, ale nawet odległość. Reszta jej się jednak pomyliła. Na dragach złapano T.C. Jonesa, a nie Millera, który zawsze ponad kokę przedkładał rozluźniające efekty marihuany. Nawet teraz, wnioskując z jego bardziej niż zwykle szklatego spojrzenia, uznałam, że jest po joincie. Możliwe, że spalił go w samochodzie, w drodze na pogrzeb.

– Luce – wtrącił się Neil, przesuwając dłoń z jej łokcia na przedramię i delikatnie kierując ją w stronę samochodu. Jako psychiatra dziecięcy, miał kojący wpływ na najbardziej nawet nerwowych małych, a także rzadką umiejętność uspokajania swojej żony. – Kochanie, odpuść. Chodźmy.

Lucy nie odpowiedziała. Z wdziękiem wsiadła do samochodu i skrzyżowała smukłe nogi, czekając, aż Neil zamknie drzwi. Lawton zwałił się na tylne siedzenie, a tymczasem jego siostra wbiła wzrok w bransoletkę

z pereł, która kiedyś należała do jej matki.

– Jedziesz? – zapytał Neil. – Czy zabierasz się z rodzicami?

Zerknęłam na rodziców, idących wolno w stronę samochodu mamy. Choć byli od dawna rozwiedzeni, udało im się przeżyć mękę ostatnich dni we względnej zgodzie, a ojciec, ku mojemu zaskoczeniu i uldze, zostawił swoją żonę na Manhattanie.

Lucy odpowiedziała za mnie przez półotwarte okno:

– Ani jedno, ani drugie. Niech Shea jedzie z tatusiem. Nie powinien prowadzić sam, chociaż twierdzi, że nic mu nie będzie. – Spojrzała na mnie i spytała: – W porządku?

Zawahałam się.

– Proszę, zrób to dla mnie. I dopilnuj, żeby zapiął pas. Jedna śmierć w rodzinie w zupełności wystarczy – rzekła, a ja tymczasem poszukałam wzrokiem Trenera Carra w tłumie ciemnych garniturów.

– Ale może wolałby być sam? – zapytałam. – Na pewno nie w głowie mu gadki szmatki...

– Ciebie to nie dotyczy – przerwała mi Lucy. – Bo on po prostu lubi z tobą rozmawiać.

Rozdział 2

Mrużąc oczy w zimowym słońcu, czekałam na Trenera. Wymieniał uprzejmości z ostatnimi ociągającymi się żałobnikami. Lucy miała rację. Ci ludzie byli mocno nietaktowni. Wiedzieli przecież, że Trener każdą porażkę lub stratę woli przeżywać w samotności – a jeśli tego nie wiedzieli, w ogóle nie powinno ich tu być.

W końcu się uwolnił i podszedł do mnie. Wpadłam w panikę, zastanawiając się, jak mu powiedzieć, że kazano mi odstawić go do domu.

– Cześć, Trenerze – rzuciłam, kiedy stanął przede mną.

Wymieniliśmy przelotne spojrzenia, po czym wbiłam wzrok w ziemię.

– Cześć, mała – odparł znużonym głosem. – Podwieźć cię?

– Hm... Lucy prosiła, żebym z panem pojechała... I dopilnowała, żeby zapiął pan pasy – wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że zerka na mnie z ukosa.

– W porządku... Mam czas na prymkę?

– Myślałam, że pan rzucił.

Niektóre pary jego lewisów wciąż miały na prawej tylnej kieszeni wiele mówiący odcisk charakterystycznego blaszanego pudełka marki Copenhagen, ale minęło wiele lat, odkąd ostatnio widziałam go żującego tytoń. Zerwanie z nałogiem było jego gwiazdkowym prezentem dla żony. Obok zwycięstwa w Cotton Bowl – dostała jedno i drugie, plus diamentową bransoletkę, o którą nie prosiła.

– Rzuciłem. Żartowałem – uspokoił mnie.

– Och... – odparłam, zmuszając się do uśmiechu. Najwyraźniej smutne

okoliczności przytępiły mój radar, zwykle tak czuły na jego poczucie humoru.

Skinął zapraszająco w stronę samochodu, ale ku mojej uldze nie otworzył przede mną drzwi. Miał zwyczaj otwierać drzwi przed każdą kobietą, także przed swoją żoną z ponad trzydziestopięcioletnim stażem. „*Za każdym razem*” – powiedziała kiedyś Lucy, gdy głośno zwróciłam uwagę na tę małżeńską galanterię. Pamiętam, jak się wtedy uroczo uśmiechnęła, jakby przysporzyło jej to więcej dumy, niż osiągnięcia ojca na boisku. Zgodna rodzina była jedynym, czego jej kiedykolwiek zazdrościłam, ponieważ moich rodziców łączyła jedynie wzajemna nienawiść. Teraz jednak miałam dziwne poczucie, że z nas dwóch to ja jestem szczęściarą. W końcu rozwód jest lepszy niż śmierć.

Trener Carr okrążył swojego forda explorera i wsiedliśmy oboje, w tym samym momencie zamykając drzwi. Zapalił silnik i z wprawą zawrócił na trzy. Obliczyłam, że od domu Carrów dzieli nas około sześciu kilometrów. Czyli góra dziesięć minut – albo wieczność, jeśli nie ma się pojęcia, co powiedzieć. Nie chciałam go pytać o samopoczucie, ponieważ uważałam to za nietaktowne, a stwierdzenie, że jest mi przykro, byłoby eufemizmem wszech czasów. Milczałam więc, kątem oka obserwując, jak sięga po srebrny termos z logo Walker University, ten sam, do którego pani Carr co najmniej sto razy nalała mu świeżo zaparzonej kawy. Ciekawe, kto zaparzył mu kawę dziś rano i czy Trener w ogóle potrafi obsługiwać swój elegancki ekspres. Wszelkie nowinki techniczne zawsze wprawiały go w oszołomienie i irytację, przez co był chyba najbardziej nieporadnym mężczyzną w całym Teksasie. Wciąż używał telefonu z klapką i obywatel się bez komputera, powtarzając, że to jedyny sposób, by unikać wszelkiej maści „życzliwych doradców”, którzy z pewnością prędko zdobyliby jego e-mail. Łyknął teraz kawy, skrzywił się i wstawił termos do uchwytu obok deski rozdzielczej.

Gdy cisza zrobiła się nieznośna, odchrząknęłam i zaczęłam powtarzać to, co słyszałam od innych gości pomiędzy nabożeństwem a pogrzebem. Że kazanie było bardzo ładne. Że Lucy wspaniale poradziła sobie z mową.

– Rzeczywiście. Świetnie dała sobie radę. Jestem z niej dumny. – Głos mu się załamał i Trener na kilka sekund umilkł.

Z przerażeniem wstrzymałam oddech i odwróciłam głowę, pewna, że zbliża się moment, kiedy w końcu puszcza mu nerwy.

Ale gdy znów się odezwał, zrozumiałam, że poniosła mnie wyobraźnia. Był całkowicie opanowany.

– Lawton mówił, że pomogłaś Lucy ją napisać?

– Odrobinę – odparłam, co nie do końca było prawdą. Oczywiście, treść pochodziła od niej, ale to ja przelałam jej myśli na papier i ułożyłam je w akapity, ponieważ Lucy stwierdziła, że jej własne słowa nie oddadzą matce należnego honoru.

„Błagam, zrób coś z tym” – prosiła tak długo, aż wyjęłam marker i czerwony długopis. Lucy może i była bystrzejsza ode mnie, ale to ja zawsze lepiej pisałam.

Trener rzucił mi niedowierzające spojrzenie.

– Tak czy inaczej myślę, że Connie byłaby zadowolona.

Zwróciłam uwagę na to, że powiedział „byłaby” zamiast „była” – co oznaczało, że nawet jego pewność co do istnienia Boga została zachwiana. Poczulałam ukłucie rozpacz, a po chwili jeszcze bardziej dojmującą pustkę. W tamtym momencie desperacko pragnęłam dla Trenera prawdziwej, niezłomnej wiary, choć sama nie wiedziałam, czemu aż tak mi na tym zależy.

Trener wyjechał z cmentarza i skręcił w Baines Avenue, czyli główną ulicę przecinającą Walker ze wschodu na zachód. Zebrałam się na odwagę.

– Trenerze?

– Tak, mała? – spytał.

– Mógłby pan... zapiąć pasy?

Po raz pierwszy w życiu wydałam mu polecenie – nie licząc upominania się o sól przy stole – dodałam więc „proszę”, by je nieco złagodzić.

Uśmiechnął się, jak zawsze miło i swobodnie, ukazując drobne zmarszczki wokół oczu, po czym spełnił moją prośbę.

– Już. Teraz dobrze?

– Tak – bąknęłam i znów nie miałam nic do powiedzenia.

– No to w porządku. – Po raz kolejny zmienił mu się głos, jednak tym razem była to zmiana na dobre; mówił donośnie, normalnie, niemal

wesoło.

Nagle zrozumiałam, co się dzieje. Trener udawał pogodnego, żeby mnie uspokoić, co wywołało we mnie jeszcze większe wyrzuty sumienia.

– Może pogadamy o zapisach? – zapytał.

Miał oczywiście na myśli pierwszą środę lutego, która wypadła w zeszłym tygodniu, uroczysty dzień, kiedy licealiści z ostatnich klas podpisywali listy intencyjne, decydując się na grę dla konkretnej uczelni. Było to jedno z najważniejszych wydarzeń w roku – nie tylko w Teksasie, ale wszędzie tam, gdzie ludzie ekscytowali się uniwersyteckim futbolem. W tym roku Walker odniosło sukces, zdobywając wybitnego zawodnika Reggiego Rhodesa – wybuchowego i nieprzewidywalnego tailbacka z Louisville – przebiwszy tym samym oferty uniwersytetów stanowych Teksasu, Alabamy i Ohio. Choć w obliczu śmierci pani Carr nie sposób było przesadnie emocjonować się tą nowiną, stanowiła ona coś w rodzaju pocieszenia. To, że Trener zaczął mówić o futbole, sprawiło, że odetchnęłam z ulgą.

– Jasne, pogadajmy – odparłam, czując, jak napięcie schodzi mi z barków.

Trener wyciągnął rękę i włączył radio. Ominął swoje ulubione stacje z muzyką country, aż wskaźnik doszedł do częstotliwości AM 1310, czyli kanału sportowego The Ticket, w którym właśnie toczyła się ożywiona dyskusja na temat Rhodesa i tego, jak bardzo rozczarowani są wszyscy w Austin.

„Kibice Broncos już teraz zacierają ręce na myśl o pierwszej sobocie grudnia. Będą mieli wówczas okazję odegrać się za gorzką porażkę zeszłego sezonu, kiedy to ich ulubieńcy dosłownie o włos przegrali z drużyną Longhorns” – rozwodził się Bob Sturm.

– Mam nadzieję – odpowiedział mu Trener.

– Tak jest – dodałam. – Z Rhodesem na boisku i wstawiennictwem pani Carr tam, w górze... Wygramy bez dwóch zdań.

Trener uśmiechnął się i skinął głową, a ja z radością stwierdziłam, że wreszcie udało mi się powiedzieć to, co trzeba.

– Rzeczywiście. Przynajmniej tyle ten waźniak z góry może dla nas zrobić – odparł, a ja wyobraziłam sobie panią Carr, machającą w niebie

zielonymi pomponami.

*

Pierwsza wspólna fotografia, którą zrobiono mnie i Lucy, przedstawia nas leżące obok siebie w kojcu, wpatrzone w sufit z typowym dla niemowląt bezmyślnym wyrazem twarzy połączonym z lekkim zezem. Mamy na niej góra dwa-trzy miesiące – dwie kluski, jedna z blond meszkiem i niebieskimi oczami, które na zdjęciu wyszły czerwone (Lucy), a druga z ciemną czupryną i ciemnooka (ja). Mamy na sobie identyczne śpiochy z logo Walker Broncos, czyli pochyłą literą W otoczoną podkową. Nie udało mi się znaleźć negatywu, a jedyna istniejąca odbitka powyginała się i żółkła, przechowywana przez moją matkę w tanim albumie, kupionym w czasach, gdy nie używano jeszcze bezkwasowego papieru. Któregoś dnia wydobyłam zdjęcie spomiędzy posklejanych stron i zaniósłam do sklepu fotograficznego, gdzie je odnowiono, skopiowano, po czym obie sztuki oprawiono w ramki. Ustawiłam swoją na atrapie kominka, razem z kilkoma innymi pamiątkowymi fotografiami, a Lucy swoją odbitkę dostała na trzydzieste urodziny, które wypadały kilka tygodni przed moimi. Przez mniej więcej rok również u niej zdjęcie stało na honorowym miejscu, w salonie należącego do niej i do Neila domku z trzema sypialniami. Ale ostatnio zauważyłam, że ramka trafiła na komodę w pokoju gościnnym, a co gorsza tkwił w niej teraz profesjonalny portret Caroline, ubranej w różową sukienkę z monogramem i pozującej na tle białego płotka.

Kiedy wytknęłam Lucy tę bezpardonową podmianę, moja przyjaciółka wyraźnie się speszyła, co było rzadkim widokiem.

– Mamy wspólne zdjęcia, które są dużo lepsze. Na przykład to. – Wskazała fotografię, na której stoimy ramię w ramię, uczesane w koczki i wystrojone w suto marszczone żółte spódniczki z naszego pierwszego występu baletowego. – Poza tym – dodała – nie uważasz, że to okropne, że wykorzystywali nas jak jakieś rekwizyty?

Wiem, że mówiąc „oni”, miała na myśli swoich rodziców i moją matkę,

których przyjaźń sięgała studenckich czasów. Nawet mój ojciec kibicował Broncos, ponieważ Williams College, jego *alma mater*, nie miał dobrej drużyny futbolowej. Lucy rozłożyła ramkę i przesunęła nasze zdjęcie z powrotem na wierzch. – Na pewno nie będę karmić Caroline tymi bzdurami. Zobacz, myśmy jeszcze nie mówiły, nawet nie raczkowałyśmy, a oni już stroili nas jak maskotki Walker. Nie czujesz się czasami... jakby ci ktoś zrobił pranie mózgu? Nie masz tego wszystkiego po dziurki w nosie? Rok w rok, wciąż to samo?

– Nie – odparłam, myśląc, że to znakomite podsumowanie.

Lucy miała rację, gdy twierdziła, że nasze matki wykorzystywały nas, by manifestować swoją miłość do Walker, w ten sam sposób, co flagi i transparenty, którymi w dzień meczu przyozdabiały ganki. Mimo to nigdy nie rozumiałam, czemu Lucy odnosi się do tej spuścizny równie niechętnie, jak nasza koleżanka Aubrey do swoich odziedziczonych po rodzinie ojca rudych włosów i piegów, a synowie pastora Wilsona – do wyjazdów na obozy biblijne. Futbol był naszą religią, stanowił osnowę naszego miasta i całego stanu, więc modlitwy za Broncos powinny przychodzić Lucy bez wysiłku, każdy mecz powinien być radosnym wydarzeniem, przeżywanym ze znakomitego miejsca na linii pięćdziesięciu jardów. Owszem, zależało jej na drużynie ojca, zawsze trzymała za nich kciuki i była rozczarowana, kiedy przegrywali. Ale nigdy w pełni nie poświęciła się grze. Nigdy nie wstąpiła w krąg wyznawców.

Trener Carr wyjaśnił mi to kiedyś w ten sposób: urodziłam się 22 lutego 1980 roku, w dniu, w którym amerykańska reprezentacja hokeja pokonała Związek Radziecki w półfinale Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Lake Placid. Rozgrywka ta została okrzyknięta „cudem na lodzie”. Trener stwierdził, że wprawdzie do jego teorii lepiej pasowałby jakiś niezapomniany mecz futbolowy, pozostaje jednak faktem, że tamto zwycięstwo jest powszechnie uznawane za jedno z najwspanialszych wydarzeń w historii amerykańskiego sportu – i że w pewnym sensie zdeterminowało ono moje dalsze losy. Lucy z kolei urodziła się w marcu, tego samego wieczoru, gdy w jednym z odcinków *Dallas* – opery mydlanej wszech czasów – został zastrzelony J.R. Innymi słowy, Lucy przyszła na świat w jeden z tych rzadkich wieczorów, kiedy nikt w Teksasie nie myślał

o sporcie. Odpowiedziałam Trenerowi, że byłaby to lepsza analogia, gdyby Lucy została aktorką, a nie właścicielką jedyne go luksusowego butik u w Walker. Tak czy inaczej, puenta była całkiem zabawna.

Może i Lucy miała rację, kiedy mówiła o tym, że nasze matki próbowały robić nam pranie mózgów. Ja jednak, w przeciwieństwie do niej, od początku grałam we właściwej drużynie. W dzieciństwie prawie w każde Halloween przebierałam się za cheerleaderkę (z wyjątkiem kilku razy, gdy wyposażona w kask i naramienniki udawałam zawodniczkę). Przed każdym meczem malowałam sobie na twarzy małe podkowy i śpiewałam zagrzewające do boju piosenki po każdym przyłożeniu. Zbierałam autografy i wieszalałam na ścianach plakaty z drużyną, rysując wokół najprzystojniejszych graczy małe serduszka, tak samo jak Lucy wokół Keanu Reevesa i Leonarda DiCaprio.

Z wiekiem moja obsesja się pogłębiała. Połykałam doroczne broszury, studiując szczegółowo informacje na temat każdego z graczy, ucząc się na pamięć ich numerów i pozycji, nazw rodzinnych miasteczek i kierunków studiów, wzrostów i wag. Zapamiętywałam całkowicie nieistotne szczegóły, niekończące się kolumny statystyk i wyników, a potem recytowałam je z pamięci każdemu, kto zechciał mnie słuchać, włączając w to największych entuzjastów drużyny, którzy nigdy nie mieli dosyć moich popisów podczas spotkań towarzyskich w domu Carrów.

– Zapytajcie ją o mecz w Dzień Dziękczy nienia w siedemdziesiątym ósmym – mówił Trener Carr, uśmiechnięty od ucha do ucha, a ja raczyłam gości opowieścią o wiekopomnym starciu, które wydarzyło się przed moimi narodzinami.

Gdy zdałam do gimnazjum, byłam już poważną kibicką futbolu: prenumerowałam „The Sporting News”, bywałam na wyjazdowych meczach, które nie wymagały podróży samolotem, a codziennie po lekcjach przesiadywałam na trybunach. Chodziłam na wszystkie treningi, z czasem stając się kimś w rodzaju nieoficjalnej maskotki drużyny, i robiłam wszystko, by się na coś przydać, żeby tylko nikomu nie przyszło do głowy odesłać mnie do domu. Czasem pomagałam rozdawać zawodnikom napoje izotoniczne albo zbierałam piłki, które wyleciały za metalową siatkę oddzielającą boisko od rozpościerających się za nim pól pszenicy. Kiedy

indziej obsługiwałam nieporęczną kamerę, składałam ręczniki albo mierzyłam czas za pomocą stopera, który Trener Carr podarował mi na dwunaste urodziny. Przeważnie jednak po prostu siedziałam na trybunach, patrzyłam i słuchałam. Chłonełam. Karmiłam swój nałóg. Najzwyczajniej w świecie byłam zakochana w futbolu, w każdym jego aspekcie. W zapachu świeżo skoszonej trawy, widoku ciasnego kręgu naradzających się graczy na tle spalonego upałem błękitnego nieba, w okrzykach rozgrywającego, zarządzającego manewry, które znałam na pamięć, a jeden z nich – markowane podanie do fullbacka – nazwano nawet moim imieniem i rokiem urodzenia: „Shea 80”. Przede wszystkim jednak kochałam patrzeć, jak Trener Carr przechadza się wzdłuż bocznej linii z plikiem notatek oraz gwizdkiem. Często rzucał przy tym pod nosem swoje słynne grepsy i barwne kolokwializmy, czym rozśmieszał wszystkich wokół nawet wtedy, gdy wcale nie próbował być zabawny. Prosił wspomagających, by nie zbierali się do akcji jak sójki za morze. Skrzydłowym kazał sobie wyobrażać, że piłka to Happy Meal, a wtedy może ją złapać. Linię obrony informował, że wyglądają jak cielęta podczas burzy gradowej. A rozgrywającemu przypominał słowa swojego idola Darrella Royała, który mawiał, że kiedy gracz rzuci piłkę, mogą się wydarzyć tylko trzy rzeczy, i dwie z nich nie będą dobre.

W liceum urosłam, wyładniałam i nabrałam kobiecych kształtów, moje zainteresowania zaś przestały krążyć wyłącznie wokół drużyny. Przez te cztery lata prym w moim życiu wiodła Lucy. Była cheerleaderką, ja zaś grałam w piłkę nożną i biegałam, ale trzymałyśmy z tym samym towarzystwem, chodziłyśmy na te same lekcje i obie zwariowałyśmy na punkcie chłopaków. Jako najpopularniejsza dziewczyna w całym roczniku Lucy mogła przebierać w chłopcach jak w ulęgałkach, miała jednak tendencję do odrzucania tych, którzy byli zbyt zapatrzeni w jej sławnego ojca. Zostawiała ich mnie. Przez dwa lata spotykałyśmy się z parą przyjaciół; obaj grali w baseball i mieli na imię Scott. Nasza czwórka stała się nierozłączna (aż do wspólnego zerwania). A jednak nawet w tym typowym dla młodości okresie burzy i naporu pozostałam wierna futbolowi i pracowałam w dziale sportowym szkolnej gazetki. Pisałam o naszej kiepsko trenowanej i wiecznie przegrywającej drużynie, ale

przekonałam też nauczycielkę dziennikarstwa, by pozwoliła mi się zająć teamem uniwersyteckim – pisałam zarówno krótkie relacje z meczów, jak i dłuższe artykuły. Byłam jedyną szkolną reporterką z akredytacją prasową i bezpośrednim dostępem do Trenera Carra, dzięki czemu mogłam ubarwiać swoje teksty smacznymi kąskami dostępnymi tylko dla wtajemniczonych, dotyczącymi planowanych składów drużyny lub przyszłorocznych rekrutów. Lucy często towarzyszyła mi na treningach i choć szczegóły ją nudziły, twierdziła, że to dla niej jedyna okazja, by spędzić trochę czasu z ojcem.

Gdy przyszedł czas składania papierów do college'u, nie miałam wątpliwości, którą uczelnię wybiorę, choć moja średnia pod koniec liceum ostro zjechała w dół. Rodzice udawali zatroskanych, przypominając mi, że jeśli idzie o akademickie standardy, Walker University to prawie Ivy League, ja jednak wiedziałam, że wystarczy trzydziestosekundowy telefon od najbliższego przyjaciela rodziny i jestem przyjęta. Na szczęście nie musiałam się do tego uciekać, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, i mój pełen pasji esej dotyczący futbolu w Walker przyćmił nieciekawe świadectwo. Do listu informującego mnie o przyjęciu na studia była nawet dołączona karteczka, na której ktoś napisał ręcznie „Naprzód, Broncos!”.

Lucy natomiast nie rozważała dostania się na Walker nawet w ramach opcji awaryjnej. Jej decyzja, by pójść na Uniwersytet Teksasu, który był naszym największym rywalem, do głębi mną wstrząsnęła i pamiętam, że pytałam, jak może być aż tak nieczuła.

– Ty, córka Trenera Carra!

– Robię to właśnie dlatego, że jestem córką Trenera Carra – tłumaczyła. – W związku z tym czuję, jakbym w ogóle nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Ty masz.

– Cóż, najwyraźniej ty również – odparłam. – Postanowiłaś iść na UT.

– Jezu, daj już spokój – jęknęła Lucy, po czym po raz pięćdziesiąty wyjaśniła, że wybrała uczelnię po to, by móc wreszcie odpocząć od naszego miasta. W Austin nie wszystko kręci się wokół futbolu. Uznała to za „ożywczę”.

Powiedziałam jej, że okej, daję spokój, ale nie potrafiłam się z tym pogodzić. Ani zrozumieć, jak mogła się zachować tak nielojalnie – miała

zamiar nie tylko porzucić mnie na cztery lata, ale i związać się z naszym zaprzysięgłym wrogiem. Trener Carr wspierał decyzję Lucy, powtarzając, że powinna żyć po swojemu, ostrzegł ją jednak przy tym, że nie życzy sobie kiedykolwiek usłyszeć z ust swojej córki słów: „Na rogi ich”, ani oglądać, jak wykonuje znieprawiony gest. Dodał przy tym, że pomarańczowy i biały są w jego domu zabronione. Lucy odparła wtedy, że nie ma problemu, ale pewnego dnia, gdy obie przyjechałyśmy na weekend do domu, zapomniała się przebrać i stanęła w progu w koszulce z logo UT. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie to, że tydzień wcześniej z nimi przegraliśmy. Skrzywiłam się na jej widok, ale to pani Carr kazała jej się przebrać, zanim wróci ojciec. Trener miał grubą skórę – bez niej nie byłby dobry w swojej pracy – ale czasem drobiazgi sprawiały, że tracił panowanie nad sobą. Działo się tak na przykład, gdy słyszał głupią uwagę słuchacza w czasie swojej audycji radiowej („Cóż, Jimie z North County, może powinienes przyjechać do nas w przyszłym tygodniu i sam opracować strategię?”) albo bezmyślne pytanie dziennikarza („Czy jestem rozczarowany? Przegraliśmy, bo przeciwnik przez przypadek złapał piłkę, potem oskarżono nas o podcinanie, którego nie było, a na koniec naszego rozgrywającego zniesiono z boiska na noszach. Rozczarowany? Gdzie tam! Nie posiadam się z radości”). A także gdy przyszło mu zakwestionować czyjaś lojalność („Wchodzisz w to albo wychodzisz. Nie potrzeba nam chorągiewek na wietrze”).

Właściwie, jeżeli w ten straszny dzień Lucy czegokolwiek żałuje – pomyślałam, kiedy Trener skrzywił wreszcie w Myrtle Street, zastawioną z obu stron samochodami – to prawdopodobnie właśnie decyzji, by studiować na Uniwersytecie Teksasu.

*

Gdy dotarliśmy na miejsce i weszliśmy do dwupiętrowego ceglanego domu w stylu kolonialnym, Trener ruszył prosto do swojego gabinetu, ja zaś wkroczyłam do kuchni, gdzie zastałam Lucy grzebiącą widelcem w porcji sałatki ziemniaczanej. Wiedziałam, że niczego nie zje – nie jadła od

wielu dni, wciąż tracąc na wadze – ale sam fakt, że trzyma w ręku widelec, uznałam za pewien postęp.

– Jak się czujesz? – zapytałam, gdy skończyła rozmawiać z kilkoma paniami z kółka ogrodniczego jej matki, układającymi potrawy na półmiskach. W domu były ogromne ilości jedzenia, zapamiętałam więc, by przy okazji zawieźć kilka rondelków do schroniska dla bezdomnych, w którym pani Carr była wolontariuszką.

– Trochę lepiej – odpowiedziała Lucy. – Przepraszam cię za wcześniej. Że krzyczałam na Millera. Wiem, że jest nieszkodliwy.

Potrząsnęłam głową na znak, że przeprosiny są niepotrzebne. Musiałabym mieć bardzo poważny powód, żeby się pogniewać na Lucy. Zawsze bez mrugnięcia okiem przyjmowałam jej krytykę dotyczącą mojego życia i chłopaków, po pierwsze dlatego, że zależało jej na moim dobru, po drugie zaś – bo rzadko się myliła. Miała u mnie dożywotnie przyzwolenie na krytykę.

– Dzięki, że pojechałaś z tatą – powiedziała, odsuwając talerz i opierając się o blat. Była blada, ale spokojna; podejrzewałam, że łyknęła kilka białych tabletek, przepisanych przez lekarza „na przetrwanie najbliższych dni”.

– Nie ma sprawy – odparłam, nagle żałując, że sama nic nie wzięłam.

– Jak myślisz, w jakim on jest stanie? – spytała. – Jak się zachowywał w samochodzie?

Wzruszyłam ramionami i odpowiedziałam, że sama nie wiem.

– Właściwie nie rozmawialiśmy o niczym szczególnym... Poza... no wiesz... futbolem.

Oczy Lucy napęłniły się łzami, a podbródek zadrżał.

– Luce... Przepraszam cię, kochana – powiedziałam, zastanawiając się, czy powiedziałam coś złego, czy po prostu moja przyjaciółka po raz kolejny zdała sobie sprawę z obojętnością faktu, że jej matka nie żyje. Objęłam ją i zaprowadziłam do pralni, gdzie panowały cisza i spokój. – Nie powinnam była gadać o futbole – powiedziałam. Wydawało mi się, że wiem, czemu płacze. Ja również uważałam, że jest coś strasznie niewłaściwego w życiu dalej, jak gdyby nigdy nic, i przejmowaniu się zwykłymi codziennymi sprawami. Pani Carr nie była moją matką ani żoną, ale nawet ja miałam irracjonalne poczucie, że cały świat (albo przynajmniej

cały Teksas) powinien się zatrzymać, by ją opłakać i oddać jej cześć.

Lucy pokręciła głową.

– Nie. Nie o to chodzi. Wszystko jest okej. Futbol jest okej – zapewniła, po czym wypowiedziała słowa, które chwyciły mnie za serce: – Cieszę się, że zostało mu coś do kochania.

*

Tamtego wieczoru, po tym, jak goście rozeszli się do domów, usiedliśmy przy stole w kuchni i zaczęliśmy rozmawiać o Connie. Ze śmiechem wspominaliśmy, że nie potrafiła prowadzić po autostradzie międzystanowej i nie radziła sobie z czytaniem map, a także to, jak bardzo się szczyliła swoim orzechowym plackiem, powszechnie uważanym za najlepszy w Walker. Wygrywała nawet konkursy wypieków w Dallas, choć podczas głosowania zawsze opowiadała się za kimś innym, bo w jej mniemaniu oddanie głosu na siebie byłoby niestosowne. Mówiliśmy o tym, jak bardzo kochała historie – nagrywała odcinki ulubionych oper mydlanych i opowiadała o postaciach, jakby to byli członkowie rodziny, których wszyscy powinniśmy znać. Przypominaliśmy sobie, jak myliła słowa piosenek – naszym ulubieńcem był Bob Dylan: „Odpowie ci dziad drzemiący przy drzwiach...”. Śmialiśmy się i płakaliśmy, aż opadliśmy z sił.

Potem ni z tego, ni z owego wszyscy skoncentrowali się na mnie. A raczej na Millerze, którego z nami nie było, w związku z czym nie mógł się bronić. Moja mama, Lucy i Neil kontra Miller – to nie była uczciwa gra. Każde z nich z innego punktu widzenia tłumaczyło mi, że mój chłopak nie jest dla mnie wystarczająco dobry. Nawet Lawton dorzucił swoje trzy grosze – choć nie byłam pewna, czy w ogóle ma prawo się wypowiadać, jako że jego najdłuższy związek trwał zaledwie trzy miesiące. Tylko Trener Carr zachował swoje zdanie dla siebie – przeszedł do salonu i zapadł się w fotel. Był wystarczająco blisko, żeby słyszeć naszą rozmowę, ale wydawał się skupiony na oglądaniu uczelnianej koszykówki, przeskakiwał z jednego kanału na drugi przy wyłączonym dźwięku. Odbywająca się

przy stole analiza mojego życia miłosnego doprowadzała mnie do szału, robiłam jednak dobrą minę do złej gry, ponieważ uznałam, że temat stanowi dla wszystkich miłą odmianę po ciężkim i smutnym dniu.

– Naprawdę uważam, że powinna go sobie darować – powiedziała Lucy, przelewając swoje chardonnay z plastikowego kubeczka ekipy cateringowej do wyciągniętego z kredensu kryształowego kieliszka i siadając przy szerokim stole, który pani Carr własnoręcznie oszlifowała i zabejcowwała.

Poza półmiskiem cukrowych herbatników ze słynnej miejscowej piekarni Star Provisions całe jedzenie zostało schowane, a kuchnia uprzątnięta.

– Miller nie jest taki zły – zaprotestowałam i w tym momencie w mojej torebce zadzwonił telefon.

– O wilku mowa? – spytała moja mama.

– Ach, więc awansował już na wilka? – odparłam, opanowując pokusę, by sięgnąć po komórkę. Byłam przekonana, że to rzeczywiście Miller, bo kiedy żegnał się ze mną po pogrzebie, obiecał bezgłośnie, że zadzwoni.

– Owszem, *jest* zły – odpowiedziała Lucy na moją poprzednią uwagę. – A także bezmyślny. Pozbawiony ambicji. Wiecznie przyćpany. I nie potrafi się poprawnie wysłować.

– Bezmyślny? – powtórzyłam, bo to właśnie uznałam za najpoważniejszy zarzut. Ja miałam Millera raczej za uroczo naiwnego.

– Faktem jest, że w zeszłym roku zapomniał o twoich urodzinach – włączył się Neil. Chodziło mu o wydaną przez niego i Lucy kolację, na której Miller pojawił się z pustymi rękami.

– Och, to mu po prostu umknęło. Nic się nie stało. Poza tym trzydzieste drugie urodziny to średnia okazja do świętowania.

Lucy prychnęła lekceważąco.

– Zresztą dostałam prezent... trochę później – dodałam, mając na myśli flakonik perfum Coco Mademoiselle, który wręczył mi następnego dnia.

Lawton uniósł brwi.

– Ha. W to nie wątpię.

– Mówię o perfumach, ty głupku – rzuciłam, oblewając się rumieńcem.

– Uczy wuefu, a jara jointy – upierała się Lucy.

Choć wiedziałam, że brzmi to niedorzecznie, jak zwykle zaczęłam jej tłumaczyć, że marihuana jest mniej szkodliwa niż alkohol, poza tym pomaga Millerowi na chroniczne bóle kręgosłupa.

– Naprawdę chcesz mi wmówić, że pali dla zdrowia? – zachnęła się Lucy.

Moja mama pokręciła głową i wypowiedziała moje imię zatroskanym tonem.

Lucy nie odpuszczała.

– Czy jego brak znajomości gramatyki też ma związek z chorymi plecami?

– Aha. Nawet *ja* wiem, że nie potrafi sklecić trzech zdań – poparł ją Lawton.

– No dobra. Tego... nie potrafię obronić. Owszem, ma problemy z zaimkami – przyznałam. – Ale pracuje nad tym.

– Widzisz? Gadasz jak jego matka. Kieszonkowe też mu wypłacasz? – spytała Lucy. – Za zmywanie i wynoszenie śmieci?

Przewróciłam oczami, ale w głębi ducha musiałam przyznać, że przeważnie to ja płacę rachunki i że Miller zazwyczaj jest spłukany.

– Trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość, że jest przystojny – stwierdziła moja mama. – Te oczy. To ciało.

– Mamo, daj spokój, ohyda – szepnęłam. – Nie zgrywaj ryczącej pięćdziesiątki.

– Miller to zwykły durny osiłek – podsumowała Lucy i zwróciła się do ojca. – Prawda, tato? Pamiętasz, jaką miał średnią?

Trener nawet nie mrugnął. Choć wlepił wzrok w telewizor, najwyraźniej nie uronił ani słowa z naszej rozmowy.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Ale gdybyś miał rzucić szybką piłkę?

– Cóż, nie była powalająca – orzekł Trener Carr, przeskakując po kanałach. – Ale zdaje mi się, że trochę za bardzo mu dokuczacie. Miller to sympatyczny chłopak. I – dodał, kiwając na córkę palcem – nie ma nic złego w byciu wuefistą.

– Właśnie. Dzieciaki go uwielbiają... Jest świetnym trenerem. – Wypowiedziałam to słowo takim nabożnym tonem, jakim większość ludzi

mówi o neurochirurgach.

– Może dla gimnazjalistów – odbiła piłeczkę Lucy, sącząc wino.

– Gimnazjaliści też potrzebują treningu... Nie każdy może być jak twój tata – zaprotestowałam.

– Zgadza się. Nikt ot tak nie zaczyna grać w lidze uniwersyteckiej – poparł mnie Trener. – Ważne, żeby od początku trafić w dobre ręce.

– Sheo, skarbie – odezwała się moja mama. – Lucy ma rację. Miller nie jest materiałem na męża.

– A kto mówi o ślubie? – oburzyłam się, po czym przypomniałam wszystkim zebranym, że wcale mi się nie śpieszy, w przeciwieństwie do większości moich koleżanek, które powychodziły za mąż przed trzydziestką, a nierzadko tuż po studiach. Owszem, nie wykluczałam małżeństwa w przyszłości, na temat dzieci miałam już jednak inne zdanie. Mimo to musiałam przyznać, że myśl o ślubie z Millerem przeszła mi ostatnio kilka razy przez głowę. Może i nie porażał błyskotliwością, ale Trener miał rację, Miller *był* sympatycznym facetem – a ja zaczynałam wątpić, czy w coraz szerszym gronie miejscowych kawalerów uda mi się znaleźć kogoś lepszego.

– Marnujesz z nim czas – powiedziała Lucy, gdy mój telefon znów zaczął bzyczeć. Tym razem nie mogłam się powstrzymać i spojrzałam na wyświetlacz.

Tak jak sądziłam, przyszedł esemes od Millera: *Zostawiłem marynarkę, jesteś tam jeszcze? Wpadnę.*

Zanim zdołałam odpisać, że mu ją przywiozę, rozległo się pukanie do drzwi i już nie miałam wyboru.

– To Miller – powiedziałam. – Zapomniał marynarki.

– Jasne, że zapomniał. Przynajmniej się pośmiejemy – rzuciła Lucy, pogodniejąc. Wstała i ruszyła do przedpokoju.

– Ani mi się waż – zawołałam za nią, choć wiedziałam, że kiedy Lucy wbije sobie coś do głowy, nie sposób jej powstrzymać.

Po chwili wróciła z Millerem, który mrużył oczy, najwyraźniej trzeba mu było kropli.

– Spójrzcie, kto nas odwiedził! – zawołała. Przeprosiła go naprędce za swój wcześniejszy wybuch i dodała: – Siadaj. Siadaj. Zapraszamy.

Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie i pokręciłam głową. Wyjątkowo złapał aluzję.

– Dzięki, Lucy, ale nie mogę długo siedzieć.

– Czemu? Co masz do roboty?

Miller wyglądał nieszczególnie, więc odpowiedziałam za niego:

– Przyjechali do niego kumple. Robert Siler i Scott Galovan.

– No i... przyszedłem tylko po marynarke.

– Twoją czy twojej dziewczyny? – upewniła się Lucy.

Miller uśmiechnął się i odparł:

– Najlepiej obie. Jeśli Shea jest gotowa.

– Jasne – rzuciłam, wstając z nadzieją, że uda mi się umknąć. Lepsze to niż wysłuchiwanie kolejnych przytyków albo powrót z matką, która z pewnością znów przez całą drogę tłukłaby mi do głowy, że powinnam korzystać z wciąż młodego wieku, bo inaczej dobieję do czterdziestki jako stara panna. Podobnie jak Lucy, moja matka uważała, że robi to wyłącznie dla mojego dobra, choć w rzeczywistości myślała przede wszystkim o sobie. O tym, czego *ona* dla mnie pragnie. A pragnęła głównie tego, bym została rozpieszczoną gospodynią domową, matką dzieciom i żoną lekarza lub prawnika albo, jak zwykła dodawać, „choćby weterynarza albo dentysty”.

– Nie. Zostań. Nalegam – powiedziała Lucy, sadzając Millera na krześle naprzeciwko siebie. – Właściwie to właśnie o tobie mówiliśmy. I o waszym związku.

– Lucy – warknęłam tak groźnie, jak tylko potrafiłam.

Tym razem Miller połknął przynętę.

– Okej – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

– A więc, Miller, czy ty i Shea pasujecie do siebie?

– Uważaj, stary – rzucił ostrzegawczo Lawton. – Grząski teren.

Miller sięgnął po moją dłoń, a ja niechętnie mu ją podałam.

– Aha – odparł. – Bynajmniej ja tak myślę.

– Przynajmniej – mruknęłam pod nosem.

– Naprawdę? – drążyła Lucy. – A skąd ten wniosek?

– No, po pierwsze, to oboje pasjonujemy się futbolem – powiedział Miller. – Co nie, Trenerze?

Trener Carr uniósł w powietrze zaciśniętą pięść, nie odrywając wzroku od ekranu.

Lucy założyła ramiona.

– Ale to znaczy, że Shea byłaby szczęśliwa z dowolnym mieszkańcem Teksasu. Z wyjątkiem Neila, któremu jeszcze do końca nie odbiło.

Zawsze uważałam, że jest to jedna z rzeczy, które Lucy lubi w swoim mężu najbardziej. Nie był typem, który spędzał całe dni na oglądaniu meczów w telewizji. Mimo to najwyraźniej uznał, że uwaga żony odebrała mu nieco męskości, zwłaszcza w obecności teścia-legendy, powiedział więc:

– Hej, zaraz. Ja przecież lubię futbol. A nawet uwielbiam.

– Nie chodzi tylko o futbol – powiedział Miller. – Shea jest dla mnie dobra. Lepiej mi, kiedy jest obok.

– A co ty robisz dla niej? – zapytała Lucy, niewzruszona.

Widziałam, że moja matka siedzi jak na szpilkach.

– No, rozśmieszam ją.

Parsknęłam nerwowym chichotem, a Miller wskazał na mnie i dodał:

– Widzisz?

– Już późno – oznajmiłam, wstając, i zwróciłam się do Millera: – Gdzie ta marynarka? Pójdę po nią.

Kiwnął głową w stronę sypialni państwa domu.

– Tam, na łóżku.

Zawahałam się, ale było za późno, by się wycofać, ruszyłam więc przed siebie. Minęłam Trenera i weszłam do sypialni. Marynarka leżała porzucona na łóżku od strony okna, czyli tam, gdzie sypiał Trener. Wiedziałam o tym tylko dlatego, że pani Carr spędziła ostatnie tygodnie, leżąc po drugiej stronie, bliżej łazienki. Ogarnęła mnie fala mdlącej rozpacz. Szybko podeszłam do łóżka i chwyciłam marynarkę. Potem wróciłam do kuchni i oznajmiłam Millerowi, że naprawdę musimy już jechać.

Rozdział 3

„Luty przejął mnie zimnym dreszczem”. Ten wers *American Pie* Dona McLeana dźwięczał mi w głowie przez cały miesiąc, jak zapętłona w nieskończoność ponura ścieżka dźwiękowa mojego życia. To była ulubiona piosenka Trenera Carra. Osobiście nigdy za nią nie przepadałam, po pierwsze dlatego, że siedziała w głowie długo po tym, jak się ją usłyszało, a po drugie ze względu na przygnębiający tekst, te wszystkie bzdury o owdowiałych pannach młodych, szatańskim rechocie i żałobnych dźwiękach dobiegających z ciemności. Teraz dodatkowo przypominała mi o naszym wspólnym żalu po śmierci pani Carr, dodając kolejną cegielkę do całej masy targających mną emocji.

Miałam poczucie winy. Było ono spowodowane tym, że nie w pełni podzielałam uczucia Lucy, mojej mamy i Trenera. Nie myślałam nieustannie o pani Carr. Powtarzałam sobie, że to przecież normalne. W końcu nie była moją matką, najlepszą przyjaciółką ani żoną – choć bardzo ją kochałam, jej śmierć nie była więc *moją* stratą.

Zdarzały się chwile, kiedy ogarniała mnie wręcz irytacja i tęsknota za tym, żeby wreszcie wszystko wróciło do normy. Mimowolnie modliłam się, by do Teksasu jak najprędzej zawitała wiosna, ponieważ wierzyłam, że zmiana pogody nam pomoże, że gdy zaczną się marcowe zgrupowania, jak co roku nadejdzie nowa nadzieja. Innymi słowy, uważałam, że futbol jest tym, czego nam najbardziej potrzeba. Biorąc pod uwagę udany miniony sezon, a także to, że zachowaliśmy większość pierwszego składu oraz zyskaliśmy Reggiego Rhodesa i świetną grupę rekrutów, nie było

wątpliwości, iż czeka nas dobry rok. Naprawdę dobry, może nawet wspaniały. Nieobecność pani Carr, która mogłaby go z nami dzielić, zaprawiała to przekonanie słodko-gorzka nutą, bez wątpienia jednak gorycz z domieszką słodyczy była lepsza niż czysta gorycz.

Futbol nie okazał się jednak remedium na wszystkie smutki. Po śmierci pani Carr zaczęłam się zastanawiać nad swoim życiem w sposób, którego wcześniej unikałam. Trudno mi było walczyć z poczuciem niezadowolenia ze *status quo*, z tego, co mam i co dotychczas mi wystarczało: nudnego związku z Millerem, kiepskiego samochodu i ciasnego mieszkania. Nie chciałam, by tego rodzaju niedostatki stanowiły o wartości mojego życia, trzeba jednak przyznać, że to, co nie musi przeszkadzać dwudziestoparolatce, niekoniecznie odpowiada na półmetku czwartej dekady życia. Przynajmniej miałam przyzwoitą garderobę, złożoną z ciuchów wybranych przez Lucy i kupionych w jej sklepie z pokaźną zniżką, większość jednak wisiała w szafie, bo nie miałam okazji ich zakładać. Były zdecydowanie za eleganckie, by je nosić do pracy – o której zresztą też sporo ostatnio myślałam. Byłam asystentką dyrektora w sportowym dziale PR, co oznaczało pracę za kulisami wydziału, przesiadywanie na stadionowych trybunach podczas niezliczonych meczów i zawodów, sporządzanie statystyk i przekazywanie ich mediom. Była to moja pierwsza i jedyna prawdziwa praca, od czasów studenckiego stażu wykonywana w tym samym biurze, i stanowiła mój jedyny powód do dumy oraz wyznacznik tego, kim byłam. Ale teraz nagle nawet zajęcia, które kochałam, zaczęło mi się wydawać płytkie i nieistotne, zwłaszcza te jego strony, które nie miały związku z futbolem. Stwierdzenie, że podążam za swoją pasją, zaczęło mi się jawić jako pewne nadużycie – a to właśnie tego argumentu zawsze używałam, by usprawiedliwić marną pensję. Owszem, futbol był moją pasją, a Walker moim domem, w głębi ducha wiedziałam jednak, że trzymam się tej drogi, bo jest łatwa i bezpieczna – a nie dlatego, że uważam ją za właściwą.

Wiedziałam również, że powinnam pisać o sporcie – to właśnie był mój plan, gdy skończyłam studia ze specjalizacją dziennikarską. A jednak z jakiegoś powodu nie spełniłam tamtego marzenia. Choć nie miałam całkowitej pewności, doszłam do wniosku, że po prostu bałam się wyrwać

z wygodnego kokonu Walker University. Zostawić Trenera Carra. To właśnie była ostateczna – i prawdopodobnie najważniejsza – sprawa, z którą przyszło mi się zmierzyć w ciągu tych kilku tygodni po śmierci pani Carr.

Trudno było mi stwierdzić, kiedy to się zaczęło, bo od najmłodszych lat uwielbiałam Trenera Carra. Wyniosłam go na piedestał, na którym młode dziewczyny często stawiają swoich ojców – być może poszłabym w ich ślady, gdyby nie to, że moje najwcześniejsze wspomnienia wiązały się ze scenami kłótni rodziców. To głos matki słyszałam zawsze w środku nocy, ale formułowane przez nią pełne wściekłości oskarżenia zbudowały w mojej głowie pierwszy obraz ojca jako „kłamliwego sukinsyna i dziwkarza”. Byłam za mała, by rozumieć, czym jest romans i zdrada małżeńska, ale z czasem zasłyszane urywki zdań złożyły się w dość plugawą całość. Moi rodzice poznali się, gdy mama tuż po studiach pracowała w firmie brokerskiej w Dallas, dokąd mój ojciec przyjechał w interesach. Choć raczej do siebie nie pasowali, mama zadurzyła się po uszy w przebojowym bankierze z Wall Street, o lśniących, przylizanych włosach, noszącym typowe dla tej profesji prążkowane garnitury, on zaś równie mocno oszalał na punkcie energicznej, rezolutnej dziewczyny, którą nazywał swoją „żółtą różą Teksasu”. Połączył ich związek na odległość, namiętny i burzliwy, zwieńczony niespodzianką, czyli mną (mama utrzymuje, że to była wpadka, ale ja zawsze miałam co do tego pewne wątpliwości). Był jednak jeden szkopuł: mój ojciec miał już wówczas żonę, która w dodatku również spodziewała się dziecka. *Ups*. Z tego starcia dwóch ciężarnych moja matka wyszła zwycięsko; udało jej się nawet skłonić ojca do opuszczenia Nowego Jorku i przeprowadzki do Teksasu po tym, jak trzy miesiące spędzone na próbie na Manhattanie okazały się dla niej „zbyt przytłaczające”. (Szczęśliwie pamiętała o tym, by do szpitala na Upper East Side, w którym przyszłam na świat, zabrać ze sobą pudełko ziemi z Dallas, w związku z czym mogła potem twierdzić, że technicznie rzecz biorąc urodziłam się na teksaskim gruncie).

Przez kilka lat po powrocie do Dallas moi rodzice żyli szczęśliwie, a przynajmniej tak utrzymuje moja mama. Aż spełniło się przysłowie głoszące: „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie” i mój ojciec zdradził mamę ze

swoją pierwszą żoną, wybierając życie z nią i moją przyrodnią siostrą Bronwyn. Rozwody zawsze bołą, jednak wyjątkowo dotkliwa okazała się przegrana z inną dziewczynką, dokładnie w moim wieku, która nigdy nie kryła, że okres składający się na moje wczesne dzieciństwo, czas, gdy kształtowała się moja osobowość, nie są dla niej niczym więcej niż irytującą przerwą w jej własnej uświęconej biografii. Gdy byłyśmy dziećmi, Bronwyn przy każdej nadarzającej się okazji opowiadała o tym, jak *jej* ojciec się opamiętał i błagał *jej* matkę, by przyjęła go z powrotem po tej katastrofalnej pomyłce, jaką był związek z *moją* matką. Potem następowała część bajki, którą Bronwyn kochała najbardziej: opowieść o tym, jak weszła do kamienicy przy Madison Avenue i podążając szlakiem z rozsypanych płatków róż, pokonała trzy kondygnacje, by znaleźć się w wykwintnej różowej sypialni, w której ujrzała godne księżniczki łóżko z baldachimem i która, jak oznajmił ojciec, miała odtąd należeć do niej.

– Będę tu mieszkać z tobą czy z mamą? – zapytała rzekomo, a oni tymczasem stanęli za nią uśmiechnięci, trzymając się za ręce.

– Z nami obojgiem – odpowiedzieli. – Pobieramy się. Po raz drugi.

Jak głosi legenda, wszyscy troje zaczerpnęli wówczas pełne garście różanych płatków i rozrzucili je po pokoju, a zaraz potem zaczęli planować ślub w Toskanii, w którym miałam uczestniczyć, czy mi się to podobało, czy nie. Była to jakaś pokręcona, postawiona na głowie wersja historii o Kopciuszku – a Bronwyn chyba nigdy nie zrozumiała, że w pierwszym romansie mojego ojca nie było mojej winy. Że cierpiałam tak samo jak ona, tyle że w moim przypadku zabrakło szczęśliwego zakończenia.

Ale najgorsze nie było to, że straciłam tatę, ale to, że zwycięstwo Astrid i Bronwyn całkowicie rozbiło moją mamę. Wciąż pamiętam, jak wróciwszy ze szkoły, zastawałam ją w łóżku, w ciemnej sypialni przesiąkniętej dymem z papierosów. W telewizji wydzierał się Jerry Springer, zupełnie jakby jedynym pocieszeniem było dla niej przysłuchiwanie się zwierzeniom ludzi, którzy żyli w jeszcze większej beznadziei niż ona. Wiele lat później zrozumiałam, że przeżywała wtedy coś w rodzaju załamania nerwowego, takiego, które wymagało interwencji Connie Carr, a potem sześciu tygodni w ośrodku pomocy w Austin, skrytym za fasadą luksusowego spa.

Wtedy jednak wiedziałam tylko tyle, ile zdradziła mi pani Carr: że

mama jest chora i musi wyjechać na jakiś czas, by poczuć się lepiej, a ja będę mieszkała z Lucy w jednym pokoju i będziemy jak prawdziwe siostry. Tęskniłam za matką, ale cieszyłam się z pobytu w szczęśliwym domu, w którym zawsze było się z kim bawić, a dorośli zachowywali się jak dorośli. Byłam zachwycona panującym tam porządkiem – kolacja zawsze pojawiała się na stole punktualnie o siódmej, przed snem na głos odmawiało się modlitwy, każdego ranka ścieliło się łóżka. Pani Carr zawsze była w dobrym humorze i podczas domowych zajęć śpiewała słodkim, wysokim sopranem. Najbardziej jednak kochałam futbol, który przenikał do codzienności, czyniąc ją wyjątkową, ważną i poruszającą. Już wcześniej gorąco kibicowałam Walker, ale to właśnie w tamtym okresie poznałam tajniki gry, towarzyszyłam Trenerowi na spotkaniach z drużyną, oglądałam z nim mecze, studiowałam jego diagramy, a nawet uczyłam się czytać z co łatwiejszych układów kótek i krzyżyków, poznając takie terminy futbolowe jak Hail Mary, triple option czy blitz.

Trochę później, gdy moja matka wróciła już do siebie, moje dziecięce uwielbienie dla Trenera Carra przerodziło się w szacunek innego rodzaju. Wciąż postrzegałam go przede wszystkim jako ojca Lucy i bliskiego przyjaciela rodziny, właściwie jedynego mężczyznę w swoim życiu, nie licząc zmieniających się partnerów mojej mamy. Chwilami jednak, zwłaszcza podczas sezonu, moja sympatia dla niego graniczyła niemal z czcią.

Kiedy poszłam na studia, wstrząsnęło mną odkrycie, że Trener Carr ma swoje groupies – niektóre z nich były w *moim wieku*. Dziewczyny rozpyływały się w zachwytach nad jego męską urodą, drżały, gdy mijał nas na terenie kampusu i niemal omdlewały z wrażenia, kiedy się zatrzymywał, by zapytać, co u mnie i czy kontaktowałam się ostatnio z Lucy. Choć on wydawał się nie zauważać otaczającego go uwielbienia, głupkowate zachowanie koleżanek niezmiennie mnie irytowało. Przypisywałam to swojej zwykłej pogardzie dla głupich gąsek ze studenckich bractw, ale w głębi ducha wiedziałam, że jestem po prostu zazdrosna o swojego długoletniego idola.

Gdy po studiach podjęłam pracę w mojej *alma mater*, uznałam za pewnik, że Trener Carr jest słońcem, wokół którego obraca się cały świat

włącznie ze mną. Tak po prostu wyglądała sytuacja w Walker w Teksasie.

Później, mniej więcej przed trzema laty, magazyn „Sports Illustrated” opublikował obszerny artykuł o Trenerze zatytułowany *Mała szkołka, wielki talent. O tym, jak Walker zabiło klina grubym rybem uniwersyteckiego futbolu*. Autor tekstu, Alex Wolf, opisywał w nim nasz cichy, nieco staroświecki kampus i niedużą, jednorodną grupę studentów. Spośród uczelni, które miały pierwszoligowe drużyny, mniej ludzi studiowało tylko w Tulsie, Rice i Lake Forest, jednak żaden z tych ośrodków nie mógł się poszczycić wielkimi sukcesami futbolowymi. Z artykułu Wolfa wycierał podziw dla naszej umiejętności wyławiania zdolnych graczy z uboższych części kraju, choć standardy akademickie były wysokie, większość studentów skończyła prywatne licea, a sam uniwersytet był umiejscowiony w sennej miejscinie w połowie drogi między Waco a Dallas, w której znajdowało się więcej kościołów niż barów. Podrzucił przy tym kilka powszechnie przytaczanych teorii o ogromnych darowiznach, najnowocześniejszym wyposażeniu i idyllicznym kampusie z czerwonej cegły, ale koniec końców nasze sukcesy przypisał charyzmie i czarodziejskim umiejętnościom Trenera Carra.

Ponieważ wiele razy obserwowałam Trenera w akcji, wiedziałam, że potrafi wykorzystać naszą achillesową piętę i na oczach rodziców potencjalnych graczy – a zwłaszcza matek, bo przeważnie to one podejmowały ostateczną decyzję – obrócić wadę w atut. Był to główny element jego strategii. I kiedy już oczarował wszystkich zebranych w salonie – a nierzadko wszystkich w okolicy – wyjaśniał, zazwyczaj w chwili, gdy młody człowiek znalazł się poza zasięgiem jego głosu, że przyszłego zawodnika czeka mnóstwo dobrej zabawy, nie na tyle jednak dobrej, by wpędziła go w kłopoty. Następnie podkreślał oszałamiająco wysokie statystyki dotyczące liczby zawodników, którzy skończyli studia i uzyskali dyplom, a także to, że żaden z nich nigdy nie pojawił się w telewizji z powodów innych niż sportowe. Rzeczywiście, odkąd Trener zaczął sprawować swoją funkcję, w drużynie nie wybuchnął ani jeden skandal – poza garstką odstępstw od kodeksu honorowego, kilkoma nieudanymi młodzieńczymi wybrykami oraz nielicznymi przypadkami przyłapania kogoś na prowadzeniu auta po pijanemu. Program

stypendialny Walker University cieszył się nieposzlakowaną opinią i zmieniał dobrych chłopaków w jeszcze lepszych mężczyzn, dodatkowo prowadząc ich od zwycięstwa do zwycięstwa. Wolf zakończył swój artykuł zgrabnym podsumowaniem: „Jeśli młody chłopak zdecyduje się na grę w Walker, najprawdopodobniej uda mu się uzyskać dyplom, zdobyć przynajmniej jeden puchar oraz przychylne spojrzenia profesjonalnych łowców talentów, a to wszystko pod okiem Clive’a Carr, uwielbianego trenera i właściwego człowieka na właściwym miejscu. Carr to Knute Rockne naszego pokolenia: męski jak Clint Eastwood, błyskotliwy niczym Perry Mason, a przy tym obdarzony urodą George’a Clooneya”.

Pamiętam, że po przeczytaniu tego akapitu spójrzałam na dołączone do artykułu zdjęcia. Pierwsze z nich, zrobione z nienacka, przedstawiało Trenera w stoickiej pozie na poboczu boiska, z słuchawką w uchu i w czapce na głowie. Drugie było stylizowanym portretem na szerokim trawniku, wśród magnolii. Litości, pomyślałam.

Wszystko, co napisał Wolf, było prawdą, a mimo to poczułam ukłucie gniewu na myśl o tym, że muszę się dzielić swoim idolem, *swoim* trenerem, z masami. Pamiętam, jak przewróciłam oczami, po czym wcisnęłam magazyn do szuflady pełnej kuponów, spinaczy i zaproszeń ślubnych, na które zapomniałam odpowiedzieć.

Tuż przed tym, jak z trzaskiem zamknęłam szufladę, dostrzegłam numer telefonu Millera zapisany na serwetce, którą wręczył mi tydzień wcześniej, po jakiejś mocno zakrapianej imprezie. Wtedy go olałam, przyznawszy rację Lucy, która orzekła, że to frajer. Ale tego ranka po śniadaniu chwyciłam telefon i zadzwoniłam do niego. Odebrał po pierwszym sygnale i umówiliśmy się na randkę, po której nastąpiły kolejne.

Tyle że teraz, otrzeźwiona śmiercią pani Carr, uświadomiłam sobie, że utknęłam w martwym punkcie. Musiałam coś z tym zrobić. Znaleźć sposób, by trochę zamieszać w swoim życiu. Wreszcie ruszyć do przodu.

O tym wszystkim myślałam pewnego popołudnia, wybrawszy się na długi spacer wokół kampusu. Choć bywałam tam prawie codziennie, także w weekendy, zazwyczaj pokonywałam tylko trasę pomiędzy biurem, mieszczącym się w budynku, w którym kiedyś były szatnie, a siedzibą

związku studentów, gdzie jadałam lunch. Właściwie nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak po prostu spacerowałam; mogło to być kilkanaście lat temu, gdy byłam jeszcze studentką. Przeszłam dookoła całego ceglanego, wysadzanego drzewami kampusu, od Wait Chapel i zbitki akademików trzeciego i czwartego roku wokół głównego zieleńca do domów pierwszoroczników przy Magnolia Quad i dalej, obok wydziałów humanistycznych i wzdłuż brzegu rzeki Brazos, do centrów nauki i biznesu, obok biblioteki Zacharego Walkera, nazwanej na cześć założyciela miasta, i wzdłuż kolumnady Greek Row. Szłam i szłam, rozmyślając o państwie Carr, o Millerze, o mojej pracy i życiu w ogóle.

Kiedy wróciłam do gabinetu, zastałam na biurku kartkę z wiadomością: „Trener Carr chce się z tobą zobaczyć”. Wpatrywałam się w nią przez kilka nerwowych sekund, zastanawiając się, o co może chodzić. Prawdopodobnie chciał porozmawiać o napisanym na prośbę Lucy krótkim artykule o pani Carr dla lokalnej gazety. Kilka dni temu odpowiedziałam na jej e-maila, a potem przesłałam Trenerowi już dopracowany szkic tekstu z prośbą o opinię, zaznaczając, że chętnie wprowadzę zaproponowane przez niego poprawki. Uznawszy, że właśnie o to musi chodzić, wstałam i przemierzyłam cały budynek, a potem wyszłam tylnymi drzwiami, minęłam parking i skierowałam kroki do nowego kompleksu futbolowego. Znalazłszy się w marmurowym lobby, pokonałam trzy kondygnacje krętych schodów, podziwiając przy okazji świątynię Broncos, pełną trofeów, transparentów i zdjęć w oszklonych gablotach, po czym wprowadziłam kod i otworzyłam drzwi wiodące do skrzydła trenerów.

W ogromnym gabinecie na rogu budynku zastałam na posterunku panią Heflin, długoletnią sekretarkę Trenera.

– Wchodź, kochana – zaprosiła mnie, pogodna jak zawsze.

Zerknęłam niepewnie na drzwi; były zamknięte, co zazwyczaj oznaczało, że Trener nie życzy sobie, by mu przeszkadzać.

– Spokojnie, czeka na ciebie – zapewniła mnie pani Heflin.

Skinęłam głową i zapukałam cichutko, sztywniejac na dźwięk znajomego głosu, który zapraszał mnie do środka. Otworzyłam drzwi i usłyszałam płynący z radia głos Trace’a Adkinsa, śpiewający *This Ain't No*

Love Song. Uniosłam wzrok i zobaczyłam Trenera, który uśmiechał się do mnie zza biurka.

– Wchodź, mała! – zawołał, podnosząc wzrok znad listy, na której były wypisane nazwiska graczy z pierwszego i drugiego składu. – Siadaj.

Usiadłam na brązowej skórzanej sofie naprzeciwko biurka i rozejrzałam się, omiatając spojrzeniem fotografie w ramkach, plakaty, wycinki z gazet i inspirujące hasła, które zdobiły gabinet. Doszłam do wniosku, że ten widok nigdy mi się nie znudzi.

– Dzień dobry – powiedział Trener i ściszył radio, w którym Trace’a Adkinsa zastąpił Brad Paisley z piosenką *She’s Everything*. Uwielbiałam muzyczny gust Trenera i bardzo mi się podobało, że pozostał wierny radiu, zamiast słuchać country na iPodzie podarowanym mu przez Lucy, która tłumaczyła mi swój pomysł na prezent tym, że jej ojciec lubi, gdy każdy kolejny kawałek jest dla niego niespodzianką.

– Dzień dobry – odparłam, unikając jego wzroku, a tymczasem Brad śpiewał „Ona jest dla mnie wszystkim”.

– No więc. Przeczytałam twój artykuł – zaczął Trener, wyciągając z szuflady zadrukowaną kartkę.

Tekst nie był pokreślony, ale twarz Trenera wyrażała tak niewiele, że natychmiast zaczęłam kwestionować to, co napisałam i sposób, w jaki podeszłam do tematu. Czy język nie był przypadkiem zbyt udziwniony? Trener lubił prostotę. „Żadnych niepotrzebnych ozdobników” – mawiał.

– Mogę wszystko poprawić, to tylko szkic – skłamałam. – Więc jeśli cokolwiek się panu nie podoba...

Przerwał mi:

– Niczego nie zmieniaj. Jest idealny.

Spuściłam głowę i podziękowałam, czując, że palą mnie policzki.

– To wielkie szczęście, że cię mamy. Dla uczelni i dla mnie.

Przełknęłam ślinę. Choć jego słowa brzmiały obiecująco, mina Trenera zwiastowała kłopoty. Tym samym wzrokiem spoglądał zawsze na zawodników, których miał zamiar przesunąć do drugiego składu.

– Dzięki, Trenerze – wymamrotałam.

– Kiedy John Justus przejdzie na emeryturę, zostaniesz jedną z najmłodszych osób na swoim stanowisku w całym kraju – oznajmił. – To

pozycja godna pozazdroszczenia.

– Trenerze – zaczęłam. – Czemu mi się wydaje, że za chwilę mnie pan wyrzuci?

Roześmiał się i powiedział, żebym nie gadała głupot.

– Nie mógłbym cię zwolnić. Nie jestem twoim przełożonym.

Powstrzymałam się przed uwagą, że może zrobić wszystko, co mu przyjdzie do głowy. Wprawdzie technicznie rzecz biorąc, podlegałam komu innemu, ale wszyscy wiedzieli, że władza Trenera jest absolutna.

– Jest jakieś „ale”? – zapytałam.

Trener się uśmiechnął.

– Ale... Czy jesteś pewna... że to twoja pasja?

– Mam świetne zajęcie – odparłam, choć dobrze wiedziałam, o co mu chodzi. Zupełnie jakby czytał w moich myślach.

– Nie wątpię. Znakomite. Doskonałe dla tych, którzy czują powołanie. Justus uwielbia żonglować tymi wszystkimi piłeczkami... Kocha sport. *Wszystkie* sporty. Ale czy sądzisz, że ty urodziłaś się, by to robić?

– Jak to? Uwielbiam futbol – rzuciłam, po czym natychmiast uświadomiłam sobie swój błąd. Futbol był maleńką częścią tego, czym się zajmowałam, a na uczelni uprawiano piętnaście innych dyscyplin.

– No tak – powiedział Trener. – Wiem, że uwielbiasz też pisać. Ale twoja praca nie jest ściśle związana ani z futbolem, ani z pisaniem. Bardziej ze składaniem statystyk. Oglądaniem męskich biegów przełajowych i kobiecej siatkówki. Tworzeniem rutynowych komunikatów dla prasy i masowym produkowaniem broszur. To wszystko PR, a nie prawdziwe pisanie.

– Czasem udaje mi się wyżyć literacko. Cudownie pisało mi się ten tekst – odparłam cicho, wpatrzona we własne dłonie.

– Wiem, mała. Wiem. Właśnie o to mi chodzi.

Pokiwałam głową, ale wciąż nie miałam siły na niego spojrzeć.

– Powinnaś pisać – powiedział.

– Przecież piszę.

– Mówię o pisaniu na pełen etat. W liceum i college’u pisałaś więcej niż teraz.

Wtedy wreszcie na niego spojrzałam, zdumiona, że wie o mojej

twórczości sprzed lat. Nigdy wcześniej o niej nie wspominał.

– Tak. Głupie artykułiki dla szkolnej gazety – odparłam, wbijając wzrok w wiszącą tuż nad jego głową półkę pełną fotografii, które zebrały się przez lata. Jedna z nich pochodziła z czasów, gdy byłam na ostatnim roku, i przedstawiała Ryana Jamesa. Stał za boczną linią boiska, jedną rękę trzymał w górze, a drugą obejmował uwielbianego trenera.

Trener obrzucił mnie długim spojrzeniem, po czym powiedział:

– To były teksty godne zawodowca. Nigdy wcześniej ani potem nie czytałem tak dobrych artykułów w szkolnej gazecie.

Przeszedł mnie dreszcz i spojrzałam mu w oczy.

– Dziękuję – powiedziałam, z trudem wytrzymując jego spojrzenie.

– Sądzę również, że nie powinnaś się ograniczać do Walker. Poza tą miejscina istnieje wielki świat.

Dziwnie było usłyszeć coś takiego od człowieka, którego całe życie obracało się wokół tego miejsca, więc nie powstrzymałam się przed wygłoszeniem odważnego jak na mnie sądu:

– A pan? Mógł pan trenować Buffalo Bills.

Wypowiedziawszy te słowa, natychmiast zrozumiałam, że to niedorzeczne porównanie. Był głównym trenerem drużyny. On i Walker to jedno.

Ale się nie obraził. Wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Nie mógłbym mieszkać w Buffalo. Za zimno. Poza tym uwielbiam futbol uniwersytecki.

– A ja uwielbiam Walker – odparłam.

Zmierzył mnie wzrokiem. Doprowadziwszy mnie tym do skrajności wytrzymałości, wyjął z górnej szuflady biurka złożony kawałek papieru i podał mi go nad blatem. Na kartce widniał numer telefonu z Dallas i nazwisko. Frank Smiley.

– Znasz go, prawda? – zapytał Trener.

Skinęłam głową. Rozmawiałam ze Smileyem tylko kilka razy, ale dobrze wiedziałam, kim jest – był szefem działu sportowego w „Dallas Post”, czyli największej gazecie w Teksasie, w której dział ten był na tyle mocny, że wiadomościom sportowym poświęcano tyle samo miejsca co doniesieniom z kraju i ze świata. Smiley był zatwardziałym konserwatystą,

który otwarcie tęsknił za dawnymi dobrymi czasami. Takimi, w których młodzi sportowcy, zamiast popisywać się sławą, chodzili na wykłady i po czterech latach kończyli studia, promotorzy nie kupowali sportowych samochodów, istotne decyzje nie zapadały w siedzibach stacji telewizyjnych, ważne były nie tylko pieniądze, rywalizacja naprawdę coś znaczyła, a gracze i trenerzy pozostawali wierni swoim drużynom. O jego stylu krążyły legendy – zadając właściwe pytania odpowiednim tonem, potrafił z każdego trenera wyciągnąć to, co chciał. Przy tym jakimś cudem dał się lubić i zawsze miało się przy nim ochotę zabłysnąć. Niemożliwością było zachowanie obojętności w obliczu tak malowniczej postaci. Bez wątplenia był zawodowcem.

– Smiley szuka reportera – powiedział Trener.

– Jakaś konkretna specjalizacja? – Założyłam rękę.

Smiley z pewnością nie potrzebował dziewczyny bez doświadczenia.

– Nie wiem – odparł Trener. – Nie pytałem o szczegóły. Ale wspomniał, że ostatnio dwóch jego ludzi odeszło do ESPN, a trzeci do jakiegoś internetowego portalu...

– Wyobrażam sobie jego tyradę.

Trener uśmiechnął się, po czym, perfekcyjnie naśladowując Smileya, zawołał:

– Czy już nikt w tej robocie nie brudzi sobie rąk?! – Było to oczywiście odwołanie do czasów, kiedy każdy dziennikarz miał palce usmarowane tuszem.

– Ja chętnie – zawołałam, wyciągając przed siebie dłonie.

Trener puścił do mnie oko, po czym wskazał na stos gazet leżący na biurku.

– W każdym razie Smiley pytał, czy przypadkiem kogoś nie znam. – Spojrzał na mnie znacząco.

– No i? – spytałam, zachowując kamienną twarz. – Zna pan?

– Owszem, znam.

– I kto to taki? – Nie dawałam za wygraną, walcząc przy tym z narastającą paniką.

– Ty.

Nie zawahałam się.

– Ja już mam pracę.

– No tak – przyznał Trener. – Ale ta byłaby lepsza. I jeżeli dostaniesz propozycję, powinnaś ją przyjąć. Nawet jeśli to by oznaczało, że będziesz zmuszona napisać parę miłych rzeczy o innych drużynach.

Uśmiechnęłam się.

– Nie ma mowy. Na to się nie zgodzę.

– Sheo – powiedział Trener z poważnym wyrazem twarzy. – Zadzwoń do Smileya. To dla ciebie wspaniała szansa.

Czułam, że myśli o Connie, o tym, że życie jest krótkie i trzeba chwycić każdy dzień, o tych wszystkich sprawach, które ostatnio uparcie kłębiły mi się w głowie. Przytaknęłam, bo wiedziałam, że ma rację i że nie mogłabym nie zadzwonić, kiedy Trener o to prosił. Albo odmówić wykonania jakiegokolwiek innego polecenia.

– Okej – zgodziłam się. – Odezwę się do niego.

– Cieszę się – odparł Trener, odchylając się na krześle z zadowoloną miną. – Aha, jeszcze jedno...

– Tak? – spytałam. W tle Kenny Chesney nucił: „Przyjdź, przyjdź, przyjdź”.

– Jak naprawdę układa ci się z Millerem?

Wzruszyłam ramionami. Nie musiałam mówić nic więcej.

– Tak myślałam. Między nami mówiąc, uważam, że Lucy ma rację... Jesteś stanowczo za dobra dla tego chłopaka.

Spojrzałam na niego osłupiała. Wytrzymał moje spojrzenie i puścił do mnie oko.

– Nie spodziewałaś się tego, co?

– Nie, Trenerze – odparłam wreszcie. – Zdecydowanie nie.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową, wzruszona jego troską, choć wciąż dziwnie zmieszana. Po tych wszystkich latach moje uwielbienie dla niego jako bohatera dzieciństwa brało górę w najmniej oczekiwanych momentach, sprawiając, że oblewałam się rumieńcem.

– Niech będzie. – Uśmiechnął się do mnie delikatnie, a potem znów przeniósł wzrok na swoją listę, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Wstałam i pożegnałam się cicho. Minęłam panią Heflin i wróciłam do

biura, zastanawiając się, w co się ubrać na pierwszą w życiu prawdziwą rozmowę o pracę. A także, co ważniejsze, myśląc o czekającej mnie rozmowie z Millerem.

Rozdział 4

Minęło kilka dni, podczas których narastało we mnie niezadowolenie z życia i coraz mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że potrzebuję zmiany. Równocześnie odwlekałam wszelkie działania, czując, że utknęłam w martwym punkcie. Nie zadzwoniłam do Smileya w sprawie pracy w „The Post” i dalej spędzałam czas z Millerem. Staralam się przy tym unikać Trenera, w obawie, że wytknie mi brak postępów.

Sama nie wiedziałam, czego się boję – porażki, odrzucenia czy samotności – ale coś trzymało mnie w miejscu. Tkwiłam w zawieszaniu.

W piątek wieczór wybraliśmy się z Millerem do kina na film akcji. Jak zwykle zasiedliśmy na widowni z prażoną kukurydzą, żelkami i wielkim kubkiem coli. Później odwiózł mnie do domu. Prowadził jedną ręką, rozwalony na siedzeniu, kiwając się w rytm wyjącej z radia muzyki jakiejś ciężkiej garażowej kapeli. Nienawidziłam muzycznego gustu Millera i po cichu wpisałam to na listę dzielących nas różnic, którą tworzyłam sobie w głowie od czasu rozmowy z Trenerem Carrem. Ściszyłam muzykę i spytałam Millera, czy nie żałuje, że wybraliśmy studia na Walker University. Sama nie wiem, skąd mi się wzięło to pytanie – chyba po prostu chciałam go podpuścić. Gdyby wykazał się brakiem lojalności wobec naszej uczelni, mogłabym dodać kolejny punkt do swojej listy. Gdyby jego odpowiedź okazała się zbyt zdawkowa lub nudna, mogłabym mu wytknąć brak elokwencji.

– Pewnie, że nie – odpowiedział Miller, kiwając głową w rytm basów. – Czemu miałbym żałować?

– Nie wiem. Czasem myślę, że to strasznie mała szkoła – rzuciłam jak adwokat naprowadzający świadka.

– Może – odparł Miller niezobowiązująco.

– Było coś, czego w niej nie lubiłeś?

– Obowiązkowy język obcy. *Mierda*.

– *Mierda?* – powtórzyłam. – Ja chodziłam na japoński.

– Gównno – przetłumaczył, podciągając rękaw kraciastej flanelowej koszuli.

Takie koszule, razem z T-shirtami i dżinsami, stanowiły podstawę jego garderoby. Patrząc na niego, nie sposób się było zorientować, że kiedyś grał w futbol, a teraz jest trenerem. Potargane włosy w połączeniu z grunge'owymi ciuchami sprawiały, że przypominał bardziej muzyka niż sportowca.

– A... A co myślisz o grze w drużynie Trenera Carra?

– Czekaj. Piszesz jakiś artykuł o dawnych graczach?

Mania wielkości, pomyślałam i pokręciłam głową.

– Nie, Miller. Po prostu... Tylko się zastanawiam.

– Aha. No dobra, nie podobało mi się, jak straciłem miejsce w pierwszym składzie i zastąpił mnie Ryan James... Ale i tak myślę, że lepiej być rezerwowym u Trenera Carra, niż biegać po boisku u jakiegoś głaba.

Parsknęłam śmiechem. Moja strategia obróciła się przeciwko mnie. Miller naprawdę potrafił mnie rozbawić, nawet kiedy specjalnie się nie wysiłał. Po prostu czułam się przy nim swobodnie. Od ponad trzech lat ani razu się nie pokłóciliśmy, choć wiedziałam, że miał na to wpływ także mój charakter. Zazwyczaj unikałam konfliktów niemal za wszelką cenę.

– No i mam *to* – dodał Miller, wskazując na swój masywny pierścień, pamiątkę z Cotton Bowl. Puścił do mnie oko. – Cudownie działa na kobiety.

Przewróciłam oczami. Choć biżuteria u mężczyzn nigdy specjalnie mi się nie podobała, to uwielbiałam patrzeć na jego wielkie dłonie. Wciąż potrafił rzucić piłkę z przykłęku na pięćdziesiąt jardów.

– A ty? – zapytał Miller. – Cieszysz się, że poszłaś na Walker?

– Owszem. To była najlepsza decyzja w moim życiu – odparłam,

dodając w duchu, że prawdopodobnie była to jedyna ważna decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam. Potem już wszystko działało samo.

– Lepsza niż nasza pierwsza randka? – zapytał Miller, szczerząc zęby.

Odwzajemniłam uśmiech, ale kiedy parkowaliśmy przed domem, czułam ścisk w żołądku. Zatrzymaliśmy się obok mojej starej jak świat hondy accord. Miała wgniecenie po stronie kierowcy, w miejscu, którym otarłam się o betonowy słup na podziemnym parkingu. Miller zaczął otwierać drzwi, ale kiedy zauważył, że się nie ruszam, spojrzął na mnie i powiedział:

– Czekaj. Może chciałaś coś zjeść?

Odwrociłam się na siedzeniu.

– Miller. Musimy pogadać.

– Co jest? – zapytał, wciąż uśmiechnięty.

Wzięłam głęboki wdech, szukając w sobie odwagi lub choć odrobiny śmiałości.

– Myślę, że nie powinniśmy się dłużej spotykać.

Mina mu zrzedła.

– Mówisz serio?

Skinęłam głową. Choć serce ścisnęło mi się boleśnie, wiedziałam, że użyłam odpowiednich słów i nagle utwierdziłam się w przekonaniu, że postępuję właściwie.

– Dlaczego? – To pytanie rzadko okazuje się sensowne w sytuacji, gdy ktoś z tobą zrywa.

– Po prostu... Wydaje mi się, że to nie ma sensu.

– To przez Lucy?

– Nie. Przyrzekam – odparłam, wiedząc, jak okropnie by się poczuł, gdyby wiedział, kto mnie skłonił do takiej decyzji. – Po prostu... To nie ma sensu. Myślę, że oboje utknęliśmy w miejscu... I trwamy w tym związku, bo nam się zdaje, że nie mamy szansy na nic lepszego.

– Ale dla mnie to *ty* jesteś najlepsza – zaprotestował Miller rozbrajająco żarliwym tonem.

Wiedziałam, że mówi szczerze, i zadałam sobie pytanie, czy przypadkiem nie powinnam na tym poprzestać. Być może wystarczy, że choć jedno z nas czuje to, co powinno. Odpowiedź przyszła sama. Nie

dałam się zbić z tropu.

– To bardzo miłe.

– Poznałaś kogoś? – zapytał Miller.

Zaprzeczyłam tak żywiłowo, jak tylko potrafiłam, z nadzieją, że to złagodzi cios. Swoją drogą, w ten sposób informowałam go, że wolę samotność od bycia z nim.

– Dobra – powiedział w końcu. – Możemy zerwać... Jeśli naprawdę tego chcesz... Ale czy możemy nadal to robić? No wiesz, zostać przyjaciółmi od seksu?

– Nie – odparłam, myśląc, że to pytanie, zadane całkiem serio, potwierdziło tylko słuszność mojego wyboru. – Nie możemy nadal *tego* robić.

– Jeden ostatni raz – poprosił Miller, kładąc rękę na moim udzie.

Poczułam, że słabnę, tak jak wtedy, gdy kelner pytał mnie, czy zostawiłam sobie miejsce na deser. Ale nie, musiałam oderwać ten plaster.

– Chciałabym – powiedziałam, odpychając jego dłoń.

– Co stoi na przeszkodzie? Chodźmy. – Miller rozpogodził się jak dziecko, które właśnie wymogło na matce, by pozwoliła mu pół godziny dłużej oglądać telewizję.

– Nie mogę... Miller... Przepraszam – powiedziałam. Potem lekko, ale stanowczo, pocałowałam go w nieogolony policzek i dodałam: – Do zobaczenia?

– Ta. Na razie – rzucił Miller i natychmiast wyobraziłam go sobie w jakimś barze, w otoczeniu stadka dwudziestoparoletnich blondynek ze sztucznymi cyckami.

Poczułam ukłucie zazdrości, jednak nie było ono na tyle silne, by odwrócić bieg wydarzeń. Wysiadłam z auta i zamknęłam drzwi, zastanawiając się, czy uczucie, które mnie ogarnęło, to ulga spowodowana faktem, że wszystko poszło jak z płatka, czy raczej złość wywołana tym, że Miller tak szybko dał za wygraną. Uznałam, że nie powinnam brać tego do siebie. Miller po prostu już taki był. Wyluzowany i pogodny, spokojnie przyjmował wszystko, co przynosił los. Patrzyłam, jak uśmiecha się, pogłasnia radio, po czym wyjeżdża z parkingu, niewątpliwie planując już kolejne podboje.

Chwilę później weszłam do mieszkania, przełożyłam czyste, nieuprasowane jeszcze ciuchy na drugą stronę sofy i usiadłam. Sięgnęłam po pilota i włączyłam płaskoekranowy telewizor, ten sam, który kupiłam, rezygnując z naprawy samochodu. Na ESPN kończył się program *Friday Night Fight*. Tyson Fury skopał właśnie tyłek jakiegoś nieznanemu bokserowi z Brazylii. Po kilku minutach zaczęłam skakać po kanałach. Jedyne, na co miałam ochotę, to zadzwonić do Trenera Carra i powiedzieć mu, że skorzystałam z jego rady. Brakowało mi jednak śmiałości. Znałam numer jego komórki, ale zazwyczaj zostawiałam wiadomości u pani Heflin. Zresztą o czym tu opowiadać? Zerwanie z Millerem nie miało większego znaczenia dla nikogo poza mną. Najwyraźniej nie było to szczególnie ważne nawet dla samego Millera.

Zadzwoniłam więc do Lucy, choć wiedziałam, że niechybnie spowoduję tym antymillerową tyradę, a nie byłam w nastroju, by słuchać jej zrządzenia. Czułam jednak potrzebę, by porozmawiać z przyjaciółką – „przyjaciółką od serca”, jak mawiała Lucy, odkąd w podstawówce przeczytała *Anię z Zielonego Wzgórza*. Pamiętam, jak wykaligrafowała parafrazę jednego z cytatów i podarowała mi ją na gwiazdkę: „Przyjaciółka od serca to ktoś, przed kim można otworzyć duszę”.

Była wprawdzie jedna rzecz, z której nigdy bym się jej nie zwierzyła, ale poza tym cytat się zgadzał, od zawsze. Nie miało znaczenia, że na pierwszy rzut oka wiele nas dzieliło. Ja dostrzegałam w ludziach dobre strony, ona zaś skupiała się na wadach. Ja byłam introwertyczką, podczas gdy ona potrafiła uwodzić swoich słuchaczy w sposób, który obserwowałam jeszcze tylko u jej matki. Ona miewała humory i lubiła dramatyzować, a ja byłam z natury spokojna. Ja nienawidziłam falbanek, ona je uwielbiała. Ja kochałam futbol, ona – ledwie go tolerowała. Lista zdawała się nie mieć końca, ale po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że żadna z tych różnic nie ma znaczenia. Ważne było tylko to, że w pewni akceptowałyśmy się nawzajem. Że stałyśmy za sobą murem. Że miałyśmy wspólną historię sięgającą czasów studenckiej przyjaźni naszych

matek. Lucy zawsze była dla mnie bardziej siostrą niż koleżanką, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. I właśnie teraz jej potrzebowałam.

– Przed chwilą zerwałam z Millerem – oznajmiłam, gdy odebrała telefon.

– I bardzo dobrze – odrzekła takim tonem, jakbym jej zakomunikowała, jaka będzie jutro pogoda. – Trzeba było to zrobić dawno temu.

– Daj spokój, Lucy – poprosiłam. – Naprawdę jest mi smutno. Będę za nim tęsknić... Poza tym w Walker łatwo sobie kogoś nie znaleźć.

– Masz rację. Przepraszam. Ale serio, Sheo, uważam, że podjęłaś bardzo dobrą decyzję.

– A jednak to boli – powiedziałam.

Rzeczywiście, bolało chyba nawet bardziej, niż gdyby to Miller ze mną zerwał, bo wtedy przynajmniej mogłabym się skupić na gniewie i bezradności. Wiedziałam, że jest jeden prosty sposób, by pozbyć się tego bólu: wystarczyło zadzwonić do Millera i oznajmić mu, że zmieniam zdanie.

– Wiem. Przepraszam – powiedziała Lucy, a ja zaczęłam sobie przypominać, ile razy przez te wszystkie lata pocieszała mnie po zerwaniu z chłopakiem.

– Chcesz przyjechać? – zapytała. – Otworzyć butelkę wina?

Zastanowiwszy się chwilę, uznałam, że jednak najbardziej potrzebuję snu.

– Dzięki, ale chyba się położę.

– Okej. Ja też już jadę do domu.

– Gdzie jesteś?

– U taty. Boże, jak to dziwnie brzmi.

– Może wciąż powinniśmy mówić, że to dom twoich rodziców? W końcu to twoja mama uczyniła go prawdziwym domem. I... – z trudem szukałam właściwych słów, by pocieszyć przyjaciółkę. – Zawsze będzie do niej należał.

– Dzięki, Sheo – powiedziała Lucy. – Masz rację.

– Pewnie, że mam – odparłam. – Poza tym wszyscy wiedzą, że twojej mamy nie da się zastąpić.

Rozdział 5

Mniej więcej tydzień później spotkałam się z Lucy w domu jej rodziców. Miała do nas dołączyć moja matka, by pomóc nam uprzątnąć szafę Connie. Na samą myśl o tym zadaniu przechodziły mnie dreszcze.

– Jakies wieści od Millera? – spytała Lucy, gdy czekałyśmy na moją matkę, spóźnioną jak zwykle.

– Nie. – Patrzyłam, jak przygotowuje świeżą porcję ulubionej mrożonej herbaty Trenera, dosypując do naparu dużo cukru, by później wstawić go do lodówki. – Tak jest chyba łatwiej.

Lucy skinęła głową. Po chwili rozległ się turkot drzwi do garażu.

– Tata wrócił – oznajmiła.

Machinalnie wyprostowałam plecy i napuszyłam włosy. Lucy rzuciła mi dziwne spojrzenie spod zmrużonych powiek.

– Czyżbyś właśnie poprawiła fryzurę? – spytała, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Nie. Skąd! – zaprotestowałam. Z niewiadomych przyczyn się zawstydziałam.

– Okej. Bo zachowujesz się, jakbyś siedziała w barze, do którego właśnie wszedł jakiś ekstra facet.

– Czyli jak?

Bez błędnie powtórzyła mój gest.

– To nie było to – orzekłam z przekonaniem. Może i poprawiłam włosy, ale nie w *taki* sposób.

– Dobrze. Bo to by było naprawdę... dziwne.

– Sama jesteś dziwna. – W towarzystwie Lucy często zdarzało mi się wracać do dziecinnych nawyków. Ona zresztą nie była lepsza.

Chwilę później drzwi się otworzyły i stanął w nich Trener Carr w dresie i czapce z daszkiem. Odwróciłam wzrok, a tymczasem Lucy pocałowała go na powitanie i przypomniała mu o celu naszej wizyty.

– Dzięki, dziewczyny – powiedział Trener cichym, zachrypniętym głosem. – Chyba już czas...

Staliśmy tak przez chwilę, zasmuceni i speszeni, aż rozbrzmiał dzwonek u drzwi.

– To pewnie twoja mama – powiedziała Lucy i wyszła do przedpokoju, zostawiając mnie samą z Trenerem.

To on odezwał się pierwszy:

– Dzwoniłaś do Smileya?

– Tak – odparłam, szczęśliwa, że tego ranka wreszcie się zdecydowałam. – Poza tym zerwałam z Millerem.

Trener gwizdnął, unosząc brwi.

– No proszę.

– Jest pan pod wrażeniem?

– I to jakim – odparł. – Jak się czujesz?

Zawahałam się.

– Pełna nadziei... Chociaż na razie chcę się skupić na tym, żeby pomóc Lucy.

– Dzięki. Lucy jest twarda, ale nie aż tak, jak by się mogło wydawać. Naprawdę cię teraz potrzebuje.

Skinęłam głową, zdjęta nagłym wzruszeniem – kłębiły się we mnie różne emocje, od smutku po zadowolenie, że mogę się na coś przydać najbliższej przyjaciółce. I jej ojcu.

Trener chrząknął i nalał sobie herbaty.

– Wiesz... Nie chcę, by zniknęły stąd wszelkie ślady Connie... Ale nie chcę również, by mój dom stał się muzeum. Zresztą, koniec końców, to tylko rzeczy. Przedmioty. I to w dobrym stanie, mogą jeszcze kogoś ucieszyć. Connie by tego chciała. Sama mi o tym mówiła.

– Oczywiście. – Spuściłam wzrok, zastanawiając się, co zatrzymało Lucy w przedpokoju. Czyżby moja matka, wścibska jak zawsze, urządziła

jej przesłuchanie? Po chwili wahania zebrałam się na odwagę i spytałam: – A jak pan się czuje?

Wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem, które pewnie mało kto mu zadawał. Wypuścił powietrze i odparł:

– W porządku. Rano bywa ciężko. To właśnie rano najczęściej rozmawialiśmy... Jakoś trudno mi uwierzyć w to, co się dzieje. Jakbym... – pokręcił głową, szukając właściwych słów. – Jakbym patrzył na to wszystko z góry.

Spuściłam wzrok, a on mówił dalej, wyjątkowo jak na siebie rozgadany:

– Jestem gotów do rozpoczęcia sezonu. Futbol naprawdę pomaga. Pomaga nie myśleć o tym wszystkim. Można się zająć życiem albo umieraniem.

– Rozumiem... Tak mi przykro, Trenerze – powiedziałam, ogarnięta nagłym żalem. – Chyba panu tego jeszcze nie mówiłam... Tak mi przykro.

– Wiem, mała – odparł i przykrył dłonią moją dłoń. – Dziękuję, że zapytałaś.

Położył rękę z powrotem na blacie dokładnie w momencie, kiedy Lucy wprowadziła do kuchni moją mamę.

– Cześć, Clive! – zawołała mama.

Była jedyną znaną mi osobą, która zwracała się do Trenera po imieniu. Nawet Connie z nieznanymi mi przyczyn mówiła do niego Poppins. Gdy spytałam kiedyś Lucy, skąd się wzięło to przezwisko, ku mojemu zdziwieniu stwierdziła, że nie pamięta. Tak czy inaczej, to, że moja mama miała czelność używać imienia Clive, niezmiennie mnie irytowało.

– Cześć, Marie – odpowiedział Trener, całując ją w policzek.

– Jak się miewasz? – W niczym nie przypominało to pytania, które przed chwilą sama mu zadałam. Moje było nieśmiałe i pełne wahania, jej obcesowe na granicy pobleźania. Pasowało do pojemników z zupą, którymi zappełniła jego lodówkę, opisanych notkami w rodzaju: „Pomidorowa z bazylią na rozgrzanie serca” albo „Krem pieczarkowy na leniwe wieczory przed telewizorem”.

– Wszystko w porządku. Radzę sobie – odparł dziarsko Trener. Jego ton i gesty podpowiadały mi, że matka działa mu na nerwy, co zresztą obserwowałam od lat. Jednak wiedziałam również, że docenia jej lojalność

i to, że w przeciwieństwie do większości znajomych kochała jego i jego rodzinę bez względu na liczbę wygranych meczów.

– Będę w gabinecie – powiedział Trener, zwracając się do nas wszystkich. – Dajcie znać, gdybyście mnie potrzebowały.

– Okej, tato – odpowiedziała Lucy.

– Jak myślisz, jak on się *naprawdę* czuje? – wyszeptała moja mama, gdy Trener opuścił kuchnię.

Lucy wzruszyła ramionami, zmarszczyła brwi i również szeptem odpowiedziała:

– Trudno stwierdzić. Nie chce o tym rozmawiać.

*

W ciągu dwóch długich, męczących godzin zdołałyśmy poradzić sobie z niewielką częścią szafy pani Carr. Rozłożyłyśmy ubrania, apaszki, paski i torebki na trzy sterty: jedna była przeznaczona dla sklepu charytatywnego Goodwills, druga miała zostać wyniesiona na strych, a trzecia – trafić do garderoby Lucy. Moja matka siedziała po turecku na podłodze, czekając, aż Lucy wróci do nas z nowym naręczem ciuchów do posegregowania. Był to trudny proces, ponieważ każda rzecz przywoływała wspomnienia, czasem snute z trzech różnych perspektyw. Przyszło mi na myśl, że to właśnie ubrania najlepiej opowiadają historię życia kobiety. Odtwarzałyśmy więc scena po scenie całą biografię, w której szczęśliwe dni mieszały się ze smutnymi, a wielkie okazje z chwilami spokoju. Kiedy skończyłyśmy, środkowa sterta była zdecydowanie największa, ponieważ Lucy uznała większość rzeczy za zbyt drogie, nie tylko by oddać je obcym, ale i żeby samej je nosić. Tymczasem mama i ja bardzo ostrożnie próbowałyśmy ją skłonić, by zatrzymała więcej ubrań dla siebie.

– Lucy, powinnaś ją wziąć – powiedziała mama, sięgając po jedną z ulubionych apaszek Connie, od Hermesa, w głębokich, nasyconych kolorach.

– Nie mogłabym jej nosić – odparła Lucy, rozcierając w palcach materiał. Górna warga jej drżała. – Pasowała... tylko do niej.

– Ale skarbie, do ciebie też świetnie pasuje – zaproponowała moja mama i miała rację. Im byłyśmy starsze, tym wyraźniej widziałam, że Lucy zaczyna się ubierać tak samo jak Connie. Zawsze była szykowna, ale z biegiem czasu stopniowo rezygnowała z tego, co modne, na rzecz wyrafinowanej klasyki. Nawet jej sklep powoli zwracał się ku coraz starszej klienteli o coraz zasobniejszych portfelach.

Lucy owinęła szyję jedwabną apaszką i szepnęła, że się zgadza, po czym sięgnęła po różową popelinową bluzkę.

– O tak, ta rzecz miło mi się kojarzy – oznajmiła moja mama.

Lucy zmarszczyła brwi i stwierdziła, że widzi bluzkę po raz pierwszy.

– Byłam z twoją mamą, kiedy ją kupowała. U Neimana. I miała ją na sobie podczas ostatniego spotkania kółka ogrodniczego u Sissy Brubeck. To był miły dzień.

– Weźmie ją pani? – spytała Lucy. – Chciałabym, żeby jak najmniej rzeczy trafiło do obcych. Co będzie, jeśli je kupi jakaś wredna stara baba?

Mama zamrugła oczami, próbując powstrzymać łzy.

– Dobrze, skarbie. Wezmę ją... Nie obiecuję, że będę ją nosić, bo nie wiem, czy się odważę, ale z przyjemnością od czasu do czasu na nią popatrzę.

Mama wyciągnęła z torebki wyszywaną monogramem chusteczkę. Przejęła ten zwyczaj od Connie.

Lucy wskazała na stertę przeznaczoną dla Goodwill.

– Może jeszcze coś weźmiecie? – poprosiła cichym, płaczkliwym głosem. Zwykle tak przebojowa, dziś wydawała się zagubiona i krucha. – Wolałabym, żeby trafiły do pani. I do ciebie, Sheo.

Zawahałam się. Z jednej strony nie czułam się w tej sytuacji swobodnie, z drugiej zaś rozpaczliwie pragnęłam zrobić Lucy przyjemność, odwdziżyć się za te wszystkie momenty, kiedy to ona mnie pocieszała.

Mimo to nie udało mi się wykrztusić słowa i w końcu moja matka odpowiedziała za nas obie. Pogłaskała Lucy po głowie.

– Posłuchaj, skarbie. Może po prostu wszystko, co chciałaś oddać do Goodwill, wezmę na razie do domu?

Lucy pociągnęła nosem, mocno mrugając, a moja matka mówiła dalej:

– Będziesz miała czas, żeby zdecydować, co zrobić z tymi rzeczami...

Jeśli zmienisz zdanie, to po prostu przyjdiesz i je zabierzesz. Zresztą możesz przyjechać nawet wtedy, kiedy będziesz chciała tylko na którąś popatrzeć... U mnie nic im się nie stanie.

– Dziękuję, Marie – powiedziała Lucy i uściskała moją mamę. Zawsze były w dobrej komitywie, lepszej niż ja i Connie, ponieważ łączyło je większe podobieństwo charakterów. A przez ostatnie kilka miesięcy jeszcze bardziej się do siebie zbliżyły; było wyraźnie widać, że moja matka jest dla Lucy źródłem pocieszenia. Jako opiekunka, ale i jako przyjaciółka. Cieszyłam się ze względu na Lucy, ale także dlatego, że zdejmowało to ze mnie część obowiązków.

– Ostatnia rzecz i na dzisiaj koniec – oznajmiła Lucy, wyciągając z czarnej reklamówki domu towarowego Saks drukowaną w białe płatki śniegu kartonowe pudełko z butami oraz paragon. Sprawdziła datę. – Grudzień zeszłego roku. Tuż przed tym, jak się dowiedziała...

Wstrzymałam oddech, kiedy Lucy unosiła pokrywkę. W środku tkwiła para przepięknych czarnych zamszowych pantofli. Lucy wyjęła bibułkę wciśniętą w jeden ze szpiczastych nosków i odwróciła but, przesuwając palcami po nietkniętej podeszwie. Nie mogłam już dłużej powstrzymać narastającej w gardle guli i wybuchnęłam krótkim, cichym szlochem. Było coś niebywale tragicznego w tej parze ślicznych, nienoszonych butów. Wyobraziłam sobie, jak pani Carr je przymierzała, przechadzając się po pluszowej wykładzinie działu obuwniczego i zastanawiając się na głos, czy i do czego mogłaby je nosić. Moja mama najwyraźniej myślała o tym samym, ponieważ powiedziała:

– Może udałoby się je zwrócić?

Twarz Lucy posmutniała.

– O nie, nie mogłabym.

Moja matka natychmiast uświadomiła sobie swój błąd.

– Tak, skarbie, wiem. Masz rację. Oczywiście, że nie.

– Sheo, ty je weź – poprosiła Lucy. – Są w twoim rozmiarze.

Potrząsnęłam głową, bezskutecznie szukając wymówki.

– Czemu nie? Nie podobają ci się?

Było to pytanie, na które nie istniała właściwa odpowiedź. Nie chciałam przecież obrazić gustu jej matki.

– Podobają, ale... Nie pasują do mnie.

– Jak to: nie pasują? To piękne klasyczne szpilki. Jak mogą do ciebie nie pasować? I czemu nie chcesz wziąć niczego, co należało do mojej mamy? – W tym momencie w progu sypialni stanął Trener Carr.

Podskoczyłam, a z ust wyrwało mi się niekontrolowane „kurwa”. Wszyscy jak na komendę na mnie spojrzeli. Przeprosiłam.

– Wybaczcie. Przestraszył mnie pan.

– Słyszysz? Wystraszyłeś Sheę. Włazisz do własnej sypialni jak do siebie! – zażartowała moja matka, usiłując rozładować atmosferę. Przynajmniej raz nie przeszkadzała mi jej wymuszona beztroska.

Trener Carr uśmiechnął się na znak, że docenia jej wysiłek.

– Jak wam idzie, moje panie? – zapytał.

– W porządku – odparła Lucy, wycierając nos, choć jej wygląd mówił coś zupełnie innego. – Chcesz odzyskać swój pokój? Skończyliśmy... Na razie.

– Nie śpieszcie się – uspokoił ją trener, zerkając na jedwabną apaszkę na jej szyi.

Lucy zdjęła ją, rzuciła w powietrze i patrzyła, jak opada na podłogę.

– Pamiętasz ją, tato? – spytała z żalną miną.

– Oczywiście. Mama często ją nosiła. – W jego głosie pobrzmiwały smutek i głęboka zaduma.

– Tato? Na pewno jesteś na to gotowy? A może jeszcze za wcześnie?

Trener skinął głową.

– Mama odeszła od nas za wcześnie... Ale odeszła. Musimy żyć dalej. – Przeniósł wzrok z apaszki na otwarte pudełko z butami.

– Tatusiu, nie uważasz, że Shea powinna je wziąć? – Lucy sięgnęła po pantofle, zahaczając obcasy małymi palcami dłoni. – Są w jej rozmiarze. Nie sądzisz, że mama by tego chciała?

Trener zastanowił się, po czym powoli skinął głową.

– Tak, Lucy. Tak myślę.

– Widzisz? Proszę – powiedziała Lucy, kładąc buty na moich kolanach. Sprawa była zamknięta.

– Dziękuję – bąknęłam i ostrożnie schowałam je z powrotem do pudełka. Nadal nie potrafiłam sobie wyobrazić, że kiedyś je założę, ale

postanowiłam je przechować, wciśnięte starannie w kąt szafy.

Rozdział 6

Porządki w garderobie miałyśmy za sobą, ale oto nadszedł kolejny trudny moment: zbliżały się urodziny Lucy. Jej rozpacz brała górę w najbardziej nieoczekiwanych momentach, czy to w sklepie, czy w kościele, czy na spacerze po parku z Caroline. Wiedziałam jednak, że przy tej wyjątkowej okazji będzie jej szczególnie trudno, tym bardziej że pani Carr uwielbiała świętować urodziny córki. Na okrągłe rocznice urządzała wystawne przyjęcia, pozostałe zaś czciła ekstrawaganckimi prezentami, wykwintnymi kolacjami w Dallas, własnoręcznie pieczonymi tortami (ukończyła niezliczone kursy nie tylko pieczenia ciast, ale i ich dekorowania), eleganckimi bukietami, które wysyłała do butików Lucy, i balonikami kołyszącymi się od rana nad skrzynką na listy. Jej pracowitość i entuzjazm sprawiały, że Trener wycofywał się z przygotowań, wiedząc, że żona perfekcyjnie wszystko urządzi. Nawet Neil pozwalał teściowej przejąć kontrolę; jego obowiązki ograniczały się do zakupu biżuterii dla żony oraz przyniesienia jej śniadania do łóżka (również ta tradycja została zapoczątkowana przez panią Carr wiele lat temu).

Ale oczywiście od tego roku wszystko musiało się zmienić, co przed trzydziestymi trzecimi urodzinami Lucy wywołało panikę wśród jej najbliższych. Wszyscy wiedzieliśmy, że nigdy nie dorównamy jej mamie, musieliśmy się jednak postarać, by wszystko poszło jak najlepiej.

Sama Lucy upierała się, że nie chce w tym roku obchodzić urodzin. Na moje namowy odpowiadała, że przecież sama swego czasu złożyłam podobną deklarację. Powstrzymałam się przed przypomnieniem jej kilku

zasadniczych różnic, między innymi tej, że ja nigdy nie przepadałam za hucznymi obchodami tego święta. Poza tym – jeśli wliczyć dziewczęta z butiku, koleżanki z korporacji studenckiej, żony znajomych Neila oraz mamy koleżanek Caroline – miała jakieś pięć razy więcej znajomych niż ja. W końcu jednak powiedziałam tylko:

– W moje urodziny poszliśmy przynajmniej na lunch. I dostałam od ciebie piękne prezenty, chociaż prosiłam, żebyś mi niczego nie kupowała.

– Prezenty były z butiku. Nawet niezapakowane. Nie liczy się.

– Oczywiście, że się liczy. Uwielbiam tamtą sukienkę, a kolczyki są boskie – odparłam. Kupowanie ubrań dla przyjaciółki bywa ryzykowne, ale Lucy za każdym razem trafiała w punkt. – Mogę cię przynajmniej zabrać na lunch?

Lucy potrząsnęła głową i powiedziała, że pragnie zapomnieć, że w ogóle ma urodziny. Co tu świętować, skoro nie ma przy niej kobiety, która ją wydała na świat? W tamtej chwili dałam się przekonać, ale jeszcze tego samego popołudnia opadły mnie wątpliwości i zadzwoniłam do Neila. Okazało się, że martwi nas to samo: choć Lucy wierzy w to, co mówi, co będzie, jeśli z nadejściem dnia urodzin poczuje inaczej, a my nie zaplanujemy niczego specjalnego?

– Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do Trenera? – zastanawiał się Neil.

– Chyba lepiej nie. Myślę, że powinniśmy go po prostu zawiadomić, jakie mamy plany albo że nie mamy żadnych... Nie chcę mu zawracać głowy...

– Z powodu wiosennego meczu? – zapytał Neil z lekką nutą niesmaku w głosie. – Przecież to będzie jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem sezonu. Poza tym chodzi o urodziny jego jedynej córki.

Oczywiście czytał w moich myślach. To właśnie wiosenny mecz był powodem, dla którego nie chciałam przeszkadzać Trenerowi. Wiedziałam jednak, że dla Neila to nie ma żadnego znaczenia, w każdym razie nie w kontekście pierwszych urodzin Lucy, na których zabraknie jej matki. Zaczęłam się tłumaczyć, choć bez przekonania.

– Nie. Nie chodzi mi o mecz jako taki – skłamałam. – Ale on ma teraz tyle na głowie... I tak już jest mu ciężko. Faceci nie łapią takich niuansów.

Naturalnie oprócz ciebie... Tak czy inaczej, uważam, że drobny gest wystarczy. Jakaś niezobowiązująca kolacja?

– Zgadzam się – odparł Neil. – Tylko najbliższa rodzina plus ty i twoja matka. Zrobuję steki, możemy kupić jakiś tort w Highland Bakery, Lucy je uwielbia... Postawmy na prostotę.

– Wspaniale – powiedziałam, oddychając z ulgą, że nie będziemy musieli zapraszać wszystkich koleżanek Lucy. Obiecałam Neilowi, że ja i mama zajmiemy się tortem i wszystkimi dodatkami do steków.

– I papierowymi kapelusikami – dodał Neil, nie do końca w żartach.

– I papierowymi kapelusikami – powtórzyłam z uśmiechem.

– Świetnie. Bo wszyscy wiemy, jak Lucy je uwielbia.

*

Dwudziestego pierwszego marca wieczorem, trzydzieści trzy lata po tym, jak w *Dallas* zastrzelono J.R. Ewinga, wyruszyłam do domu Lucy i Neila z dwupiętrowym tortem urodzinowym i elegancko zapakowanym albumem poświęconym modzie z wybiegów oraz najlepszymi szpiczastymi papierowymi kapelusikami, jakie znalazłam. Dojechałam na miejsce spóźniona o pół godziny. Na podjeździe stały już samochody mamy i Lawtona. Nie było natomiast auta Trenera.

Gdy weszłam do środka, balansując tortem stojącym na paczce z prezentem, na spotkanie wybiegła mi Caroline w czerwonych legginsach i jaskraworóżowej błyszczącej bluzeczce. Był to strój tak daleki od nieskazitelnych zestawów, w które Lucy miała zwyczaj ubierać swoje dziecko, że wiedziałam od razu: w tym domu to nie był dobry dzień.

– Cześć, miśku – rzuciłam do Caroline, która natychmiast podniosła zgiełek, że chce zobaczyć tort, na co pozwoliłam, a potem zażądała, bym pozwoliła go jej spróbować, czego odmówiłam.

W końcu, tak jak się obawiałam, dziewczynka oznajmiła wysokim, piskliwym głosem, któremu towarzyszyła zaskakująco dobra jak na czterolatkę dykcja:

– Mama płacze, bo dziadzio Trener zapomniał o jej urodzinach i tęskni

za Babu. Bo Babu by nie zapomniała, nigdy.

Ścisnęło mi się serce.

– Jak to *zapomniał*? To znaczy, że nie przyjdzie? – W tym momencie na schodach pojawiła się Lucy w wyblakłych spodniach do jogi i lycrowym sportowym topie, uczesana w zwisający smutno koński ogon. Nie miała makijażu ani biżuterii poza zegarkiem, i nie był to nawet elegancki zegarek, który dostała od Neila na gwiazdkę, lecz zwykły *elektroniczny*. To znaczyło, że jest gorzej, niż myślałam.

– Jedzie – powiedziała, próbując odebrać mi tort. Odwróciłam się, bo nie chciałam, żeby go oglądała, zanim przyjdzie czas na zdmuchnięcie świeczek.

– A więc jednak pamiętał! – zawołałam radośnie.

– Neil musiał *zadzwoić* i mu *przypomnieć*.

Odjęło mi mowę. Spojrzawszy przed siebie, dostrzegłam Lawtona, Neila i moją matkę zebranych wokół kuchennego stołu. Myny mieli nietęgie.

– W porządku – powiedziała Lucy. – Rozumiem go. Ma tyle na głowie, wiosenny mecz i całe to... gównno.

Wielokrotnie powtarzała, że futbol to „tylko gra”, ale jeszcze nigdy otwarcie nie określiła go tak dosadnie – a gniewny błysk w jej oku dodatkowo mnie zaalarmował.

– Jesteś pewna, że zapomniał? – spytałam, żałując, że nie zadzwoniłam do niego z samego rana. Przyszło mi to nawet do głowy, ale koniec końców zrezygnowałam z obawy, że go tym urażę.

– Nie zadzwonił do mnie. Ani razu, przez cały dzień – odparła. – Dziesięć razy sprawdzałam pocztę głosową, myślałam, że może przeoczyłam wiadomość. Ale nie. Dostałam trzy przemile wiadomości od ciebie i ze trzydzieści od innych przyjaciół i przypadkowych znajomych. Włącznie z... – Zaczęła odginać palce, wymieniając kolejno swoją dawną nauczycielkę baletu, ulubionego barmana z Third Rail i kobiety z kółka biblijnego Connie.

– Pewnie mama poprosiła je przed śmiercią, żeby do mnie zadzwoniły – dodała zdławionym głosem. – Opowiadały mi o niej tyle cudownych rzeczy. O tym, jaka była dumna ze mnie i z Caroline...

– *Wow* – rzuciłam. Myśl o zapobiegliwości Connie nawet w obliczu śmierci sprawiła, że dreszcz przebiegł mi po plecach.

Tymczasem lzy Lucy cofnęły się pod wpływem świeżej fali gniewu. Potrząsnęła głową i zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Panie z kółka biblijnego. A mój własny ojciec nic.

Otworzyłam usta, by spróbować znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale Lucy mnie powstrzymała:

– Dobra, zapomnij o tym. Nic się nie stało. Mówiłam, że nie chcę zamieszania... Więc... Mam, czego chciałam.

Uśmiechnęła się z trudem, sztywno i sztucznie, a potem odwróciła się i weszła do kuchni. Ruszyłam za nią. Odłożyłam pakunki na blat i przywitałam się z pozostałymi gośćmi.

– Nie jest dobrze – szepnęła moja mama, a tymczasem mój wzrok padł na bukiet różowych i białych peonii, który przysłałam Lucy dziś rano i który wydawał się nieco rozweselać ciężką atmosferę pomieszczenia.

Zamówiłam go w ulubionej kwiaciarni pani Carr. Zastanawialiśmy się z właścicielką, czy będzie to poruszający gest, czy raczej makabryczny, w końcu jednak wybrałyśmy dla Lucy taki sam bukiet jak ten, który dostała od matki rok wcześniej – dwie odmiany peonii z rzadka przetykane zielenią, w nowoczesnym prostokątnym wazonie. Detal ten nie uszedł uwadze obdarowanej.

– Przynajmniej mam ciebie – powiedziała. – Jakie to miłe, że przysłałaś... takie same kwiaty... – załamał jej się głos. W tej samej chwili w progu stanął jej ojciec.

– Dzień dobry wszystkim! – zawołał, wpadając do kuchni najwyraźniej prosto z treningu. Miał na sobie szary dres, przykurzoną czapkę z daszkiem i gwizdek na szyi, a w dłoniach dźmierzył wygniecioną torebkę ozdobioną żałośnie skreconą wstążką. Wszyscy patrzyliśmy, jak stawia prezent na stole obok peonii, a potem odkłada kluczyki i mocno obejmuje Lucy jednym ramieniem. Pocałował ją w czubek głowy i powiedział:

– Wszystkiego najlepszego, Lu. Trzydzieści trzy lata. – Gwizdnął dla wzmocnienia efektu, ale ja wiedziałam, że maskuje w ten sposób zakłopotanie.

– Dzięki, tato – odparła Lucy. Patrzyliśmy na nich zmieszani.

Kątem oka dostrzegłam, jak Trener nerwowo poprawia daszek czapki.

– Przepraszam cię, Lu... Miałem zwariowany dzień. *Zwariowany*.

– Zapomniałeś o urodzinach mamy! – krzyknęła Caroline, która wcisnęła się pomiędzy matkę a dziadka, popatrując słodko to na jedno, to na drugie.

– Nie, kochanie, nie zapomniałem – zaprzeczył Trener Carr i pokazał jej torebkę z prezentem. – Wybierałem się do was. Oczywiście, że się wybierałem.

– Mama mówiła, że zapomniałeś – powtórzyła uparcie Caroline, a tymczasem Lucy odwróciła się plecami i zaczęła rozkładać na stole sztucce, talerze i papierowe serwetki.

– Caroline – rzucił Neil surowym tonem, choć wszyscy wiedzieliśmy, że w ten sposób tylko umocni dziewczynkę w jej przekonaniu. – Nie sprzeciwiaj się dziadkowi.

– A ty możesz – burknęła mała.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech. Nie wiedziałam, czy bardziej jest mi żal smutnej Lucy, czy zawstydzonego Trenera.

Wypuściłam powietrze. Tymczasem Trener chrząknął i przystąpił do defensywy:

– Malutka, nie zapomniałem o urodzinach twojej mamy. Po prostu... wcześniej byłem zajęty. – Zerknął na nas i szepnął: – Lawton, pomóż.

– Dziadek wcześniej był zajęty – powtórzył Lawton jak echo.

Trener rzucił mu poirytowane spojrzenie, jakby pytał: „Tylko na tyle cię stać?”.

Lawton wzruszył ramionami. Caroline nie ustępowała.

– Zajęty trenerowaniem?

– Tak, dziadek był zajęty trenerowaniem – powiedział Neil, chwytając córkę w ramiona i podrzucając ją w powietrze.

Dziewczynka zachichotała i na kilka sekund zapomniała o całej dyskusji, a tymczasem Trener dokończył myśl, nie zwracając się przy tym do nikogo konkretnego:

– W porządku. Nie mówmy już dziś o futbolu.

– A jutro możemy? – spytała Caroline, zerkając na niego łobuzersko. Zupełnie jakby Lucy wręczyła swojemu dziecku scenariusz, po czym

nauczyła je najskuteczniejszej techniki wbijania noża w plecy.

– Tak jest, malutka – powiedział Trener z wymuszoną swobodą.

Byłam ciekawa, czy ktokolwiek oprócz mnie dostrzega, co się dzieje. Tymczasem on spojrzał na nas i rzucił:

– Witaj, Marie. Cześć Sheo. Jak się miewacie?

Wymamrotałyśmy, że wszystko dobrze, i płynnie przeszłyśmy do niezobowiązującej rozmowy. W pewnym momencie Trener zapytał o Smileya.

– Jeszcze się nie odezwał – poinformowałam go. Właściwie trochę się z tego cieszyłam.

– Zadzwon do niego jeszcze raz. Musisz go przycisnąć.

Skinęłam głową i zapytałam:

– Jak poszedł trening?

– Dobrze. – Trener zerknął na Lucy i poczęstował mnie wymuszonym uśmiechem. – Ale mieliśmy nie mówić o futbolu, pamiętasz?

– W porządku, tato – uspokoiła go Lucy, wyciągając z lodówki sosy do steków i wręczając Caroline marchewkę pokrojoną w słupki. – O czym innym mielibyśmy rozmawiać?

Po chwili pożałowała chyba swojego kąśliwego tonu, bo wzruszyła ramionami i dodała:

– Przecież w przyszłym tygodniu macie wiosenny mecz. Wszystko rozumiem. Naprawdę. Jeśli chcesz, możesz opowiedzieć Shei i nam wszystkim, jak było na treningu.

– Było w porządku – odparł. – Po prostu musiałem dziś załatwić pewną sprawę... Zawsze są jakieś problemy...

– Co się stało, tato? – zapytał Lawton, przerzucając Caroline przez oparcie sofy. Mała spadła na poduszki, odbiła się dwa razy, po czym nieco chwiejnie okrążyła mebel, ze śmiechem domagając się powtórki.

– To długa historia. – Trener westchnął. – Wyszła pewna sprawa z Reggie... Prawdopodobnie nic ważnego.

– Z kim? – zapytała Lucy.

Chyba się zachłysnęłam, bo spojrzała na mnie i powiedziała:

– No co? Myślisz, że nauczę się na pamięć imion setki zawodników?

– Z Reggie Rhodesem, kochanie – wtrącił się Neil. – Przecież o nim

słyszałaś.

– Najlepszy rekrut od czasów Ryana Jamesa – powiedział Lawton.

– Ach, *on*. No tak. Nie rozpoznałam imienia – zreflektowała się Lucy. – Rzeczywiście, słyszałam o nim.

– *Oczywiście*, że słyszałaś, kochanie – włączyła się moja matka, mieszając sałatkę.

– No więc co z tym Reggie? Zrobił sobie krzywdę na treningu?

Lawton parsknął śmiechem i potrząsnął głową, otwierając butelkę bud lighta, którą następnie wcisnął do kieszeni.

– Luce, jego tu jeszcze nie ma.

– Jak to nie ma? – warknęła na brata.

– Lawton chciał powiedzieć... Że Reggie jest jeszcze w liceum – wyjaśnił Neil. – Przyjedzie dopiero po wakacjach.

– Cóż, gdziekolwiek by był, mogła mu się stać jakaś krzywda. – To moja mama ruszyła Lucy na pomoc. – Mógł mieć wypadek samochodowy. Albo... pośliznąć się i przewrócić...

– Na skórcie od banana? – Lawton znów parsknął śmiechem, zachwycony własnym dowcipem.

– Co się stało, tato? – powtórzyła pytanie Lucy, rzucając bratu gniewne spojrzenie.

– Nic wielkiego... Drobne zamieszanie... Wszystko będzie dobrze. – Trener pokręcił głową, po czym znów przybrał sztucznie pogodny ton i zapytał: – Głodni? Neil, synu, rozpalmy wreszcie ten grill!

Wszyscy uznaliśmy, że to świetny pomysł – każdy wie, że w Teksasie futbol oraz grill stanowią lekarstwo niemal na wszelkie bolączki.

Rozdział 7

Trzy dni później nasza drużyna rozegrała doroczny wiosenny mecz, który według zasad NCAA liczył się jako piętnasty i ostatni trening przed sezonem. Na widowni pojawiło się ponad trzydzieści tysięcy kibiców, a całe wydarzenie transmitował kanał ESPN2. Technicznie rzecz biorąc, byłam w pracy, biegałam więc pomiędzy lożą prasową a linią boczną, jak zwykle pilnując, by wszystko przebiegało gładko. Ale ponieważ od dzisiejszego wyniku nic nie zależało, cała impreza miała charakter towarzyski i stanowiła dla nas okazję do popisania się talentami drużyny. Doszłam do wniosku, że nasze szanse rysują się całkiem nieźle, jesteśmy też żywsi i ruchliwsi niż zazwyczaj o tej porze roku – a następnie usłyszałam za plecami dokładnie tę samą opinię, wypowiedzianą gładkim dialektem z Teksasu, tylko z lekko przeciągniętymi samogłoskami. Nie musiałam się obracać, by rozpoznać ten głos – należał do Ryana Jamesa, złotego dziecka Walker. Ryan mówił w bardzo charakterystyczny sposób, który rozpoznałabym, nawet gdybym nie słyszała go dzień wcześniej w stacji Sports Center, dyskutującego o szansach Kowbojów w nadchodzącym sezonie.

– Teraz czas na podwyższenie – odezwał się znowu. – Dalej, chłopaki.

– Cześć, Ryan – powiedziałam, a on zbliżył się do mnie, cały czas obserwując mecz.

– Cześć, Rigsby. – Ryan zawsze mówił do wszystkich po nazwisku. Nawet do dziewczyn. Założył ręce na piersi i oboje patrzyliśmy na kolejne zagranie.

Trwała druga próba i do zdobycia pierwszej brakowało trzech jardów, tymczasem nasz rozgrywający Mark Everclear został zatrzymany na linii wznowienia gry.

– Niech to szlag – warknęłam. Cieszyłam się z dobrej formy naszych wspomagających, ale wahanie Marka mocno mnie rozczarowało.

– Mógł podać do Phila Medlina – orzekł Ryan, czytając w moich myślach. Ujął mnie tak świetną znajomością graczy oraz tym, że znalazł czas, by przyjechać do Walker na wiosenny mecz.

– Ty zrobiłbyś to z zamkniętymi oczami – powiedziałam.

Ryan przybrał skromny wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Może tak, a może nie”. Wykorzystałam sytuację i zerknęłam na niego ukradkiem. Zawsze elegancki i zadbany, dziś wyglądał szczególnie dobrze w granatowej marynarce, białej koszulce polo, ciemnych przetartych dżinsach i mokasynach z brązowego zamszu. Jako potomek bogatego klanu naftowego z Midland zawsze miał świetny gust wynikający z wieloletnich rodzinnych tradycji i ubierał się stylowo, zanim jeszcze przeszedł na zawodowstwo i zaczął zgarniać własne miliony. Obaj George’owie Bushowie byli gośćmi na jego wystawnym ślubie z Blakeslee Meadows, piękną bywalczynią salonów z Houston, która przeniosła się na Walker z SMU, zdaniem wielu, tylko po to, żeby poślubić Ryana. Jej plan się powiódł i para zaręczyła się na kilka dni przed tym, jak Kowboje zwerbowali go w swoje szeregi. Lucy, która była na ich ślubie razem z rodzicami, stwierdziła później, że nigdy czegoś podobnego nie widziała – na rodzinnym ranczu Meadowsów aż się roiło od tajnych agentów, celebrytów oraz zwykłych ludzi, którzy byli tak piękni, że wyglądali jak celebryci. Nie poczułam się urażona brakiem zaproszenia, raczej odrobinę zdziwiona – wprawdzie ja i Ryan nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, znaliśmy się jednak na tyle dobrze, by sądzić, że znajdę się w gronie dziewięciuset osób, którzy dostąpią zaszczytu uczestniczenia w tej wyjątkowej ceremonii. Lucy uważała, że powinnam potraktować to jak komplement – fakt, że zostałam pominięta, świadczył jej zdaniem o tym, że Blakeslee od początku widziała we mnie rywalkę. Kazałam jej przestać się wygłupiać. Miałam może kilka zalet docenianych przez pewien typ mężczyzn, jednak daleko mi było do Blakeslee, a Ryan – swego czasu

największa sława w kampusie, a teraz gwiazda NFL – znajdował się całkowicie poza moją ligą. Gruba ryba w wielkim stawie. Doszła mnie nawet tabloidowa plotka, że podczas zeszłorocznego Pro Bowl flirtował na Hawajach z Gisele Bündchen, co doprowadziło do ostrej wymiany zdań z Tomem Bradym. Zastanowiwszy się nad tym, uznałam, że Ryan był prawdopodobnie jedyną osobą zdolną wyprowadzić Toma Brady'ego z równowagi zarówno na boisku, jak i poza nim. Był to kolejny punkt na długiej liście jego osiągnięć.

Odsunęłam się, przepuszczając kamerzystę, który podszedł, by sfilmować Ryana z bliska. Mój towarzysz, wyraźnie przyzwyczajony do bycia w centrum zainteresowania, udawał, że tego nie zauważa, i nadal rozmawiał ze mną tak, jakbyśmy byli sami.

– Szkoda, że nie mieliśmy okazji pogadać na pogrzebie – szepnął. – Niestety... wpadłem tam tylko na chwilę.

Skinęłam głową, starając się opanować smutek, który ogarnął mnie na wspomnienie pani Carr, a potem powiedziałam:

– Przy okazji, świetny mecz ze Steelers parę miesięcy temu. Niełatwo wygrać na Heinz Field.

Ryan uśmiechnął się szeroko.

– Oglądałaś?

– Jasne. Pod koniec przeprowadziłeś niezłe scramble.

Spojrzał na mnie z ukosa i zapytał:

– Co u ciebie, Sheo?

– W porządku. Wszystko dobrze – odparłam, myśląc, że od czasów studenckich nic się właściwie w moim życiu nie zmieniło. Przynajmniej nie na taką skalę jak w jego. – No wiesz. Stara bida...

– Dalej pracujesz z J. J.'em?

Z uśmiechem pokazałam mu dyndającą mi na szyi akredytację.

– Aha.

– A co u Millera? Jest tu gdzieś?

– Pewnie tak. Ale go nie widziałam... Zerwaliśmy – wyjaśniłam, zaskoczona, że Ryan w ogóle wiedział o naszym związku.

– Och... – rzucił Ryan. – Przykro mi... – ucichł.

– E tam, daj spokój. Po prostu... się skończyło.

Ryan skinął głową.

– To się zdarza.

Po chwili krępującej ciszy powiedziałam:

– Przykro mi w związku z twoim rozwodem.

– Ach, tak. Dzięki. Przynajmniej nie mieliśmy dzieci... Więc...

Rozumiesz... Nikt nie ucierpiał.

Uśmiechnął się do mnie, co mnie trochę ośmieliło. Przypomniałam sobie, że czytałam w którymś z brukowców historię o tym, jak Blakeslee zdobyła prawa do opieki nad ich trzyletnią suką Saszą. Walczyli o nią, ale Ryan w końcu dał za wygraną, głównie ze względu na liczne wyjazdy. Tydzień po tym, jak Sasza przeniosła się do Blakeslee, najadła się trujących grzybów i zdechła.

Chciałam powiedzieć coś mądrego, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– No dobra, wracam do łóży. Miło cię było zobaczyć.

– Ciebie też – odparł Ryan.

Odwróciłam się i już miałam ruszyć przed siebie, kiedy dotknął mojego ramienia.

– Nie wzięłaś przypadkiem wizytówki?

– Nie. – Choć miałam na sobie niezbyt fortunny i wyjątkowo niekobiecy strój, czyli koszulkę polo z logo Walker i beżowe spodnie, to jednak nie założyłam saszetki na biodra ani nie wsunęłam portfela do tylnej kieszeni. Zresztą to nie miało większego znaczenia. Wiedziałam, że Ryan stara się po prostu być miły dla dawnej koleżanki ze studiów.

– W takim razie proszę – powiedział, sięgając po elegancki portfel od Gucciego. Wyciągnął z niego wizytówkę z logo Kowbojów, na której pod jego nazwiskiem widniało wypisane drukowanymi literami słowo ROZGRYWAJĄCY.

– Tu masz mój numer komórki – powiedział. – Zadzwoń, gdybyś miała ochotę się spotkać. Na jakiś lunch albo coś.

Z twarzą zastygłą w szerokim, pełnym zakłopotania uśmiechu wzięłam wizytówkę. Wciąż nie wierzyłam, że mówi serio.

– Albo jeśli będziesz chciała bilety – dodał. – Zaczynamy grać we wrześniu.

– We wrześniu, tak? Czyli wtedy, kiedy zaczyna się sezon NFL? – odparłam, uśmiechając się znacząco.

– Rzeczywiście – powiedział Ryan, szczerząc zęby. – Zapomniałem, z kim rozmawiam.

*

– Dał ci swój numer? – zawołała Lucy.

Po meczu wpadłam do niej na kieliszek wina. Picie wina z Lucy było jednym z moich ulubionych zajęć. Choć dochodziła dziewiąta, Caroline jeszcze nie spała. Oglądała w telewizji *Gdzie jest Nemo?*, piastując w dłoniach kubek jakiegoś bardzo czerwonego napoju, który wprost się prosił o rozlanie. Lucy nie narzucała córce twardych reguł – wbrew temu, jak sama została wychowana, i na przekór temu, czego można by się spodziewać, znając jej charakter. Było w tym coś zaskakującego i zarazem pokrzepiającego.

– To nie to, co myślisz – powiedziałam. – Nie podniecaj się.

– Nie to, co myślę? Dał ci swój numer!

– Dał mi wizytówkę – sprostowałam.

– A czy nie ma na niej numeru?

Skinęłam głową ubawiona.

– W takim razie to żadna różnica! Pokaż – zażądała, rozkazująco kiwając dłonią.

Wciąż roześmiana wymamrotałam, że ekscytuje się nie wiadomo czym, ale posłusznie wyciągnęłam wizytówkę z bocznej kieszonki w torebce.

Lucy długo na nią patrzyła, a potem zawołała do męża:

– Kochanie! Pozwól tu na chwilę!

Neil porzucił naczynia, które właśnie ładował do zmywarki, i podszedł do nas. Lucy wręczyła mu wizytówkę i powtórzyła to, co jej opowiedziałam.

– No i jak? – zapytała. – Nie sądzisz, że Ryan jest nią zainteresowany? Widzisz jakieś inne wytłumaczenie?

Neil przyjrzał się wizytówce, która najwyraźniej zrobiła na nim

wrażenie.

– Wygląda na to, że owszem, jest zainteresowany – orzekł.

– Wygląda na to, że przyznajesz rację żonie, bo wiesz, że to lubi – odparłam.

Lucy nie zwróciła na mnie uwagi.

– Musisz do niego zadzwonić.

– Daj spokój, Luce. Ryan może się umawiać, z kim zechce. Z modelkami. Z aktorkami. Do wyboru, do koloru.

– Był z Blakeslee – powiedziała Lucy. – A teraz szuka kogoś innego.

– Innego, czyli grubszego? – spytałam. Wprawdzie w głębi ducha wcale tak o sobie nie myślałam, musiałam jednak przyznać, że w porównaniu z Blakeslee jestem zdecydowanie grubokoścista.

– Innego, czyli rozsądnego. Normalnego. Takiego jak ty.

Parsknęłam śmiechem.

– Bzdury. Kolegujemy się. Poza tym, gdyby nawet był zainteresowany, nie mogę się umawiać z kumplem Millera z drużyny...

– A to niby czemu? – zaperzyła się Lucy, wrywając Neilowi wizytówkę.

– Bo... takie są zasady.

– To nie są *twoje* zasady – zaproponowała Lucy. – To są zasady facetów. A Ryan ci pokazał, że o nie nie dba, kiedy dał ci *to*. – Jeszcze raz przyjrzała się wizytówce, zanim mi ją oddała. – Lepiej do niego zadzwoń.

Ja jednak nie dawałam za wygraną:

– Myślałam, że nie chcesz, żebym się umawiała z futbolistami. Nie mam zamiaru przechodzić od jednego do drugiego jak jakaś... grupie.

– Są futboliści – odparła na to Lucy, spoglądając na mnie znacząco – i jest Ryan James. Boże... Nawet *ja* będę zazdrosna, jeśli sfinalizujesz tę transakcję.

Kiedy zaniepokojony Neil wetknął głowę do pokoju, dodała:

– Bez urazy, kochanie.

– Och, nie ma sprawy – odparł Neil. – Na twoim miejscu też bym jej zazdrościł.

– Oboje gadacie głupoty – oznajmiłam. Po chwili jednak stwierdziłam: co mi szkodzi, i żeby zrobić przyjemność Lucy dopiłam wino i napisałam

do Ryana: *Miło było Cię zobaczyć. Chętnie zjem z Tobą lunch. Daj znać. Shea.*

– Proszę bardzo. – Wyciągnęłam w górę telefon i pokazałam jej wysłaną wiadomość. – Zadowolona?

– Owszem. Ale będę jeszcze bardziej zadowolona, kiedy już zdobędziemy dostęp do jego prywatnego samolotu i domu w Cabo.

– Ha. Pomarzyć zawsze można.

*

Następnego dnia przyszła odpowiedź od Ryana, wysłana o szóstej rano: *W przyszłą środę idę na przyjęcie charytatywne. Potrzebna mi ekstradziwczyni. Wchodzisz w to?*

Chcąc się zabezpieczyć przed rozczarowaniem, przeczytałam wiadomość chyba z pół tuzina razy, bezskutecznie doszukując się w niej zaszyfrowanego zastrzeżenia, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nie znalazłszy go, doszłam do wniosku, że Ryan po prostu żartował. Z pewnością gdyby naprawdę uważał mnie za „ekstradziwczynię”, nie napisałby tego tak otwarcie; zachowałby to dla siebie. Tak czy inaczej, pozostawało faktem, że wybierał się na przyjęcie i chciał, żebym poszła z nim – a ja miałam zamiar przyjąć zaproszenie i tym razem nie potrzebowałam zachęty Lucy. Odpisałam więc: *Wchodzę w to.*

Zadzwoił kilka sekund później.

– To właśnie w tobie lubię. – Słyszałam, że ma włączony głośnik i wyobraziłam go sobie w ray-banach, z jedną ręką na kierownicy lśniącego czerwonego kabrioletu.

– Niby co? – spytałam, parszcząc śmiechem. – To, że jestem łatwa?

– Szczerze mówiąc, tak. To znaczy... Nie w *ty*m sensie... Po prostu łatwo mi się z tobą rozmawia. Chyba nie świrujesz tak jak inne dziewczyny.

– Zależy, co przez to rozumiesz – odparłam, myśląc o zabazgranej przez Trenera Carra serwetce, którą wyłowiałam z kosza na śmieci po zesłorocznej radzie wydziału. Prawdopodobnie większość ludzi uznałaby to za przejaw „świrowania”, zwłaszcza że w serwetkę owinięty był

nadgryziony pączek. Przynajmniej go nie dojadłam.

– Odpisałaś od razu, a nie po trzech dniach – wyjaśnił tymczasem Ryan. – Nie wypytujesz mnie o wszystkie możliwe szczegóły. Nie sprawdziłaś, czy aby na pewno zdążysz wcześniej pójść do fryzjera i solarium. Nie urządziłaś mi też przesłuchania na okoliczność tego, jak powinnaś się ubrać. Po prostu się zgodziłaś.

Uśmiechnęłam się, myśląc, że może Lucy miała rację. Może Ryan rzeczywiście szukał mało wymagającego przeciwnictwa Blakeslee. Jeśli tak, dobrze trafił (choć postanowiłam umówić się na czesanie i opalanie, skoro najwyraźniej był do tego przyzwyczajony).

– Skoro już o tym wspomniałaś, powiesz mi coś o szczegółach? – Zaledwie kilka dni temu oddałam do lumpeksu swoją jedyną elegancką suknię, której nigdy nie nosiłam. Poza tym Lucy wytłumaczyła mi, że jeżeli widać palce u stóp, to znaczy, że sukienka jest za krótka. – Czy obowiązuje strój wieczorowy?

– Nie. Wystarczy koktajlowy. Zdaje się, że na zaproszeniu było napisane *business casual*. To gala charytatywna na rzecz autyzmu – wyjaśnił. – Ale nie muszę nic robić. Wystarczy, że wpadnę na godzinę lub dwie. Z piękną dziewczyną u boku.

Byłam pewna, że nie uważa mnie za piękność, tak samo jak nie uważa, że jestem ekstradziwczyną, a mimo to poczułam, że na twarz wypływa mi głupkowaty uśmiech. Na szczęście Ryan tego nie widział.

– Piękną, tak? To ci dopiero wyzwanie. – Obróciłam się w fotelu i wyrzesałam przez okno. Mój gabinet był rozmiarów dużej szafy, ale rozciągał się z niego piękny widok na cudownie symetryczne drzewo magnolii, które niedawno pięknie rozkwitło.

– Dla ciebie to żadne wyzwanie. Widziałem, jak wyglądałaś na meczu – odparł, a w tle rozległo się tykanie kierunkowskazu, co potwierdziło moje przypuszczenia, że Ryan rozmawia ze mną z samochodu. – Nigdy w życiu nie widziałem dziewczyny, która z tak niewymuszoną elegancją potrafi nosić zwykłe beżowe portki.

Parsknęłam śmiechem, zdenerwowana i odrobinę podekscytowana. Czy to się działo naprawdę? Czy naprawdę właśnie umówiłam się na randkę z gwiazdą futbolu, którą znali nawet ludzie niebędący kibicami?

Powtarzałam sobie w duchu, że to tylko mój dawny kolega Ryan James, który – tak się złożyło – gra w Dallas Cowboys, i że z naszego spotkania i tak pewnie niewiele wyniknie.

– W takim razie – powiedziałam – jesteśmy umówieni. Jako się rzekło, *business casual*. Włożę beżowe spodnie.

– Włożysz, co tylko zechcesz – powiedział Ryan, wyłączając głośnik, po czym głębokim, aksamitnym szeptem dodał: – Choć muszę przyznać, że zawsze uwielbiałem twoje obojczyki...

Zastygłam w bezruchu, bo nawiedziło mnie odległe wspomnienie. Była wiosna, trzeci rok studiów. Wybrałam się na wielką imprezę w domu korporacji Sigma Chi. Miałam na sobie białą bluzkę, która podkreślała moją opaleniznę (w tamtych czasach regularnie odwiedzałam solarium, które dziś nazwałabym raczej komorą rakotwórczą). Tańczyłam właśnie do *Brown-Eyed Girl*, kiedy podszedł do mnie Ryan i zapytał: „Czy ktoś ci kiedyś mówił, że masz seksowne obojczyki?”.

Nie byłam pewna, gdzie właściwie znajduje się obojczyk, póki nie musnął go palcem. „Są faceci, którzy lubią tyłki... Albo nogi... Albo cycki. A ja najbardziej lubię właśnie *to*”. Przytrzymał palec na tyle długo, by wzbudzić zainteresowanie moich koleżanek, w tym Lucy, która przyjechała z wizytą z UT. Powiedziałam im później, że to nic nie znaczyło. Byłam tego pewna. Zwykła pijacka rozmowa z jednym z najsukuczniejszych zawodników w kampusie. Dosłownie i w przenośni.

– Tak. Chyba już kiedyś o tym wspominałeś – powiedziałam. – Dawno temu.

– Chętnie bym sobie przypomniał.

– W takim razie – odparłam z uśmiechem – zobaczymy, co się da zrobić.

*

Tego samego dnia mama zaprosiła mnie do siebie na wykwinną kolację przy świecach z francuską kuchnią i białymi lnianymi serwetkami, a następnie zepsuła cały efekt, z głośnym piskiem wyskakując z krzesła na

wieść o mojej randce z Ryanem. To była cała mama. W głębi serca pozostała prostą dziewczyną, choć bardzo chciała zerwać ze swymi prowincjonalnymi korzeniami i zapomnieć o tym, że dorastała wśród niższych warstw klasy średniej w teksańskim miasteczku Odessa. W czasach, gdy żyła pani Carr, nazywałam to „efektem Connie” i ze śmiechem opowiadałam Lucy, że moja matka poświęciła całe życie usilnym staraniom, by wygasić w sobie płomyk tandety i upodobnić do swojej eleganckiej przyjaciółki. Właściwie nie wiem, co o tym wszystkim sądziła sama pani Carr, przypuszczałam jednak, że jej opinia mogła mieć coś wspólnego z naukami jej równie perfekcyjnej matki, która zwykła mawiać, że naśladownictwo to najszczerza forma pochlebstwa.

Innymi słowy, moja mama spędzała każdy dzień, szczerze pochlebiając Connie Carr, zwłaszcza jeśli szło o kwestie gustu. Gdy pani Carr wymieniła srebrny samochód na biały, moja matka zrobiła to samo (choć swego czasu powiedziała mi, że nigdy by sobie nie kupiła auta w tym kolorze). Kiedy pewnego lata pani Carr wyszła od fryzjera z energicznym bobem, moja matka natychmiast poszła w jej ślady. I tak dalej, i tak dalej. Pani Carr była dla mojej matki najlepszą przyjaciółką, ale również przewodnikiem i barometrem we wszystkich życiowych sprawach, od najbłahszych do znacznie poważniejszych, i jej utrata – teraz już to rozumiałam – miała na nią dezorientujący, druzgocący wpływ. To, że Connie wyciągnęła krótszą słomkę, było dla niej niepojęte i stanowiło źródło poczucia winy. W związku z tym nieustanne dążenie do perfekcji w stylu Connie Carr stało się dla niej czymś w rodzaju pokuty, która oczywiście obejmowała również mnie. Ryan James mógł się więc okazać ostatecznym wybawieniem. Gdyby udało mi się go zdobyć – co tam zdobyć, wystarczyło kilka niezobowiązujących spotkań – moja matka zyskałaby coś w rodzaju namacalnego dowodu na to, że dobrze mnie wychowała, że spełniła swój rodzicielski obowiązek i wyzwoliła się od swoich robotniczych korzeni.

Przez całe życie chwytła się wszelkich możliwych sposobów, by pozbyć się wrodzonych niedostatków – poczynając od pełnego (choć socjalnego) stypendium na Walker University, przez przyjaźń z Connie, związek z moim ojcem (jankeskie pieniądze były lepsze niż żadne),

uczestnictwo we wszelkich możliwych klubach i stowarzyszeniach, a kończąc na najważniejszym, czyli bliskich relacjach z rodziną Carrów. Nie mogła zrobić już nic więcej, by ustawić mnie na drodze, która w jej mniemaniu wiodła do sukcesu i życia na wysokiej stopie. Ja zaś wciąż na nowo sprawiałam jej zawód. Zaczęło się w dzieciństwie, gdy zapisała mnie na lekcje jazdy konnej jedynie po to, by odkryć, że mam poważną alergię na końską sierść. Potem było już tylko gorzej. Nie miałam talentu do baletu. Nie chciałam być cheerleaderką. Zbyt wiele czasu poświęcałam futbolowi. Nie interesowały mnie ciuchy, makijaż ani żadne inne sprawy, będące podstawą wychowania młodych Teksanek. Nie przyjęto mnie na ekskluzywny Camp Waldemar, czyli letni obóz, na który dostać się było trudniej niż na Harvard, ani do Hockaday School, snobistycznej szkoły z internatem w Dallas, gdzie chodziły wszystkie „dobrze urodzone” dziewczynki (z wyjątkiem Lucy, ponieważ Trener Carr uważał, że dzieci powinny się wychowywać w domu). W liceum udało mi się dostać na dwór królowej balu absolwentów, ale i tak zrezygnowałam z tej uroczystości na rzecz regionalnych zawodów lekkoatletycznych.

Jednak chyba największym rozczarowaniem w życiu mojej matki, przynajmniej od czasu, gdy rozpadło się jej małżeństwo, było to, że nie zaproszono mnie na bal debutantek. Wprawdzie widoki od początku były marne, zważywszy, że takie rzeczy przechodzą z pokolenia na pokolenie, ale z powodu niezwykle pracowitości mojej matki i naszych bliskich związków z rodziną Carrów miałam pewną szansę. Do czasu, gdy w trzeciej klasie liceum zaczęłam się spotykać z Gregorym Hobbsem, co za jednym zamachem zniweczyło wszystkie jej wysiłki. Cóż z tego, że Gregory należał do National Honor Society albo że jego ojciec był profesorem ekonomii na Walker University? Nie miało też znaczenia to, że nasz romans był krótki i w gruncie rzeczy niewinny. Liczyło się tylko jedno: Gregory był Afroamerykaninem, i choć nie wszyscy gotowi byli się do tego przyznać, takie mieszane związki z pewnością nie prowadziły na szczyt teksańskich elit. Moja matka nie tolerowała rasizmu i nigdy nie próbowała odwieść mnie od tej przyjaźni, widziałam jednak, jak na nasz widok umiera w niej marzenie o balu debutantek. Od tamtego czasu lekko obniżyła swoje towarzyskie oczekiwania wobec mnie.

Gdy pani Carr i Lucy rozpoczęły nużące przygotowania do balu, rany mojej matki otworzyły się na nowo i przez chwilę było mi jej nawet trochę żal. Zapewniłam ją jednak, że wyjdzie mi to na dobre. Ani trochę nie interesowały mnie te wszystkie skomplikowane zabiegi, czynione tylko po to, by przejść się po wybiegu w głupkowatych białych rękawiczkach i ślubnej toalecie pod ostrzałem spojrzeń snobistycznej elity. Nie miałam też najmniejszego zamiaru przyklękać w niedorzecznym „łabędzim” ukłonie przed bandą chłopaków, których widywałam bekających i przekrzykujących się w szkolnej stołówce. Cała ta ceremonia wydawała mi się mizoginicznym dowcipem i oznajmiłam mamie, że gdybym w ten sposób wystawiła się na sprzedaż, zaprzepaściłabym prawo do nazywania się silną, niezależną kobietą. Czy nie uważa, że nie po to mnie wychowała?

Ponieważ w jej żyłach płynęła odrobina feministycznej krwi, nie odrzuciła całkowicie tego argumentu, była jednak również realistką, ostrzegła mnie więc, że nigdy nie wyjdę bogato za mąż, jeśli nie nauczę się postępować według reguł gry i przynajmniej nie spróbuję *upodobnić* się do prawdziwej damy z Południa. Miała oczywiście rację. Ja jednak nigdy nie przyjąłam reguł gry i nigdy nie zostałam prawdziwą damą z Południa. Nigdy też nie wiodło mi się z teksańskimi arystokratami, tymi chłopcami, którzy wstają, gdy dziewczyna wchodzi do pomieszczenia, we właściwym momencie uchylają kapelusza, lubują się w drogiej whisky, sprawiają, że wyglądasz zjawiskowo, gdy obracają tobą na parkiecie, i mają okazałe fortuny – im starsze, tym lepsze. Zamiast tego kończyłam zazwyczaj z facetami pokroju Millera, którzy łamali wszystkie zasady i – według słów mojej matki – nosili ciężkie buciorzy zawsze wtedy, kiedy nie powinni (nie trzeba było być panią Carr ani Garthem Brooksem, by wiedzieć, że dla kowbojskich butów nie ma miejsca na salonach).

Ale teraz zdawało się, że jakimś cudem moja matka wyczuła kolejną szansę. Powiedziałam jej, żeby nie robiła sobie nadziei.

– Nikt tu do nikogo nie uderza w konkury. I nikt nie zabiega o niczyje względy. Ani on nie jest moim kawalerem, ani ja jego oblubienicą – oświadczyłam, używając wszystkich staroświeckich zwrotów, które przysły mi do głowy.

Mimowolnie parsknęła śmiechem, po czym spróbowała od innej strony:

– Kogo on w ogóle twoim zdaniem w tobie widzi?

– Bóg jeden wie – odparłam, składając dłonie jak do modlitwy i unosząc wzrok w stronę sufitu.

Udała, że nie słyszy w moim głosie sarkazmu, i pytała dalej:

– Myślisz, że chodzi o to, że tyle wiesz o futbolu? Czyżby miało to wreszcie przynieść jakąś korzyść?

Miłość mojej matki do futbolu, któremu oddałam całe serce, odkąd pamiętam, była ostentacyjna i powierzchowna. Zjawiała się na każdym meczu, uświetniając tradycyjne pikniki przed stadionem swoimi słynnymi zeberkami i diabelskimi jajkami, ale po przekroczeniu bramki interesowało ją wyłącznie życie towarzyskie. Była zbyt zajęta opowiadaniem na prawo i lewo, że chyba by *umarła*, gdyby nasi chłopcy przegrali, by choć rzucić okiem na to, co się dzieje na boisku.

– Tak. Tak właśnie myślę! – odparłam, uznając, że nie ma sensu po raz kolejny posługiwać się argumentem o seksizmie. Tak samo gryzłam się w język, ilekroć ludzie (co dziwne, przodowały w tym kobiety) sugerowali, że Erin Andrews czy Samantha Steele w żadnym wypadku nie wносиły niczego rzeczowego do telewizyjnych sprawozdań z meczów i że ich jedynym atutem była niewątpliwa uroda.

– Na pewno o to właśnie chodzi – powiedziała moja matka, zadowolona ze swojej teorii.

– Tak! Cała ta niepotrzebna wiedza! Wreszcie przyniosła owoce! – oświadczyłam, sięgając po pieczywo.

– Węglowodany – warknęła matka, wytrącając mi z ręki bułkę i przywołując tym falę nieprzyjemnych wspomnień. W dzieciństwie, gdy zjadłam za dużo pieczywa, słodczy lub, uchowaj Boże, frytek, wysyłała mnie do ogrodu i kazała ćwiczyć, aż spaliłam „nadmiar kalorii”. Trudno uwierzyć, że przy takim traktowaniu nie skończyłam z zaburzeniami żywienia.

Spojrzałam na nią gniewnie, myśląc, że gdyby Ryan miał mnie polubić, to wolałabym, by polubił *mnie* prawdziwą. I *vice versa*. Podniosłam więc bułkę ze stołu, hojnie posmarowałam masłem i buntowniczo odgryzłam duży kęs.

Rozdział 8

Kilka dni później, po tym, jak idąc za radą Trenera Carra, zmusiłam się, by jeszcze raz zatelefonować do Franka Smileya, wreszcie oddzwoniła do mnie jego asystentka i dość opryskliwie przekazała mi zaproszenie na lunch w Bob's Chop and Steak House w dzień mojej randki z Ryanem. Ponieważ nie zaproponowała żadnej innej daty ani godziny i wydawała się poirytowana, że w ogóle musi ze mną rozmawiać, czym prędzej się zgodziłam. Rozłączywszy się, natychmiast wybrałam numer Trenera, żeby przekazać mu dobrą nowinę.

– Mam spotkanie ze Smileyem w Bob's Steak House – powiedziałam. – To chyba będzie rozmowa o pracę.

– To cholerny triumf, ot co – odparł Trener. – Spotykasz się z najlepszym redaktorem sportowym w Teksasie. W dodatku w jego ulubionej restauracji. Facet mógłby mieć tam zamontowaną swoją maszynę do pisania... Więc tak, można spokojnie założyć, że to rozmowa o pracę.

– On naprawdę wciąż używa maszyny? – spytałam zaintrygowana. Wiedziałam, że przynosi do sali redakcyjnej żółte notesy i ołówki automatyczne, podczas gdy wszyscy inni dawno przerzucili się na laptopy, ale maszyna do pisania wydawała mi się jeszcze bardziej odłotowym pomysłem.

– Nie zdziwiłbym się... Ludzie nazywają mnie oldskulowcem. W porównaniu ze Smileyem jestem o lata świetlne do przodu.

– W takim razie nie sądzę, by chciał zatrudnić dziewczynę – powiedziałam. Zdążyłam już odrobić lekcje, wiedziałam więc, że w tej

chwili dział sportowy „The Post” tworzą wyłącznie mężczyźni. I że od początku istnienia gazety pracowała tam tylko jedna kobieta.

Trener nie zaprzeczył. Powiedział tylko:

– Ty nie jesteś jakąś tam zwykłą dziewczyną.

Uśmiechnęłam się do słuchawki.

– Pomyślmy... Zamów antrykot. Albo befszytk z polędwicy. Żadnych sałatek, chyba że na przystawkę.

Nie byłam pewna, czy udziela mi osobistych rad dotyczących menu, czy próbuje wprowadzić w zasady świata zarezerwowanego dla mężczyzn. Tak czy inaczej, odparłam:

– Rozumiem.

– I przygotuj się na rozmowę o baseballu – dodał Trener. – W tym temacie Frank jest snobem pierwszej wody. Znasz ten typ.

Parsknęłam śmiechem i przytaknęłam, przypominając sobie naszą rozmowę o akolitach tego sportu. Doszliśmy wtedy do wniosku, że taki człowiek jest dziwną mieszanką snoba i dziwaka, jak skrzyżowanie konesera opery i maniaka komputerowego. Naprawdę ci ludzie zdawali się wierzyć, że stanowią szczytowe osiągnięcie ewolucji i mają wyższe IQ niż przeciętny kibic futbolu. Być może moja matka miała rację co do tego, że mój mózg jest kopalnią nieprzydatnych statystyk, nie mógł się jednak równać z mózgiem zagorzałego fana baseballu.

Powiedziałam Trenerowi, że pisanie o baseballu mnie nie interesuje. Mimo to rozłączywszy się, spędziłam sporo czasu na nerwowym przeglądaniu moich ulubionych stron: ESPN, SI, Fox Sports, Rivals, Scout, Deadspin i Yardbarker. Zapoznałam się z najnowszymi plotkami ze świata baseballu, przy okazji uzupełniając wiedzę na temat koszykówki, tenisa, golfa, piłki nożnej i hokeja. O futbolu, zarówno uniwersyteckim, jak i lidze NFL, byłabym w stanie sensownie rozmawiać nawet po piątej whisky, ale musiałam pamiętać o tym, że jako maniaczka podsumowań dnia na kanale Sports Center nie mogę narobić sobie wstydu. Co ważniejsze, nie chciałam go przynieść Trenerowi Carrowi. Skoro za mnie ręczył, musiałam zrobić dobre wrażenie.

Trzy dni później pojechałam do słynnego domu steków przy Lemon Street, ubrana w granatową ołówkową spódnicę, białą bluzkę i pantofle na niewysokim obcasie. Zrezygnowałam z makijażu poza odrobiną różu i błyszczyka, a włosy zaczesalam w prosty kok. Wszystko po to, by wyglądać jak poważna reporterka, a nie kociak zdobiący linię boczną.

Zjawiwszy się na miejscu dwadzieścia minut za wcześnie, zameldowałam się u szefa sali, po czym usiadłam przy lśniącym barze i sącząc gazowaną wodę, rozejrzałam się wokoło. Większość klienteli stanowili mężczyźni, z wyglądu konserwatyści, zamożni i wpływowi – albo przynajmniej przekonani o własnych wpływach. Ponieważ nieraz jadałam z ojcem obiady w nowojorskich restauracjach, wiedziałam, że w lokalach ze stekami tacy ludzie byli częstymi gośćmi. Dziś wydawali się jeszcze mocniej niż zwykle nabuzowani własną potęgą, co zresztą było charakterystyczne dla mieszkańców Teksasu. Tu zawsze to, co duże, było jeszcze większe. To, co głośne, jeszcze głośniejsze. Bogaci byli jeszcze bogatsi. A mniej nigdy nie znaczyło więcej. Swoją drogą, może byłam po prostu zdenerwowana, opuściwszy bezpieczne schronienie kampusu, gdzie nic nie stało na przeszkodzie, by przyjść do biura w dresie. W ciągu dziesięciu lat pracy (wliczając w to dwa lata studenckiego stażu) Justus ani razu mnie nie ochrzanił. Zazwyczaj w ogóle nie czułam, że jest moim szefem. Zamiast zadań i terminów dawał mi raczej sugestie. Moje życie to była bułka z masłem i choć ostatnio miałam wątpliwości co do kierunku, w którym zmierzam, nie rozumiałam, czemu tak wielu ludzi zdawało się wyznawać filozofię głoszącą, że im coś jest prostsze, tym mniej warte. Czy naprawdę niewypruwanie sobie codziennie żył było czymś złym – zwłaszcza jeśli pracowało się z radością i uczciwie? Czy nie lepiej pracować, by żyć, zamiast żyć, żeby pracować?

Zastanawiałam się właśnie nad odpowiedzią na to pytanie, gdy do restauracji wkroczył Frank Smiley w brązowej sztruksowej marynarce z zamszowymi łatami na łokciach, muszce i jak zwykle w kapeluszu – tym razem bardziej przypominającym trilby niż fedorę. Minę miał jeszcze

posepniejszą niż zazwyczaj, niemal zobaczyłam nad jego głową komiksową chmurkę ze słowami: „Tracę tu swój cholerny czas”. Wzięłam kilka głębokich wdechów, a tymczasem szef sali wskazał na mnie, zanim zdążyłam odwrócić wzrok. Pomachałam Smileyowi, a on uchylił kapelusza, po czym ruszył w moją stronę i słowa w chmurce się zmieniły: „Miejmy już tę głównianą sprawę z głowy”.

– Shea Rigsby – oznajmił, zbliżywszy się do baru.

W tym samym momencie kelnerka stanęła za nim usłużnie z dwiema wielkimi kartami dań. Lewą ręką zdjął kapelusz, prawą wyciągnął w moją stronę. Żadne z nas się nie uśmiechnęło.

– Tak jest – odpowiedziałam i podałam mu dłoń.

Ścisnął ją boleśnie. Odwzajemniłam uścisk tak mocno, jak potrafiłam.

– Miło mi – rzucił, ale jego mina wyrażała coś zupełnie innego.

– Miło mi pana poznać, panie Smiley – odparłam, choć nie było to nasze pierwsze spotkanie. Zdarzało nam się wpadać na siebie na konferencjach prasowych.

Nie zaproponował, bym mówiła mu po imieniu, co jeszcze bardziej mnie speszyło. Wstałam i zachwiałam się, zahaczywszy obcasem o stołek. Odrobina wody rozlała się po blacie. Barman wytarł ją niemal natychmiast, Smiley nie odrywał jednak wzroku od śladu po kałuży.

– Ups – bąknęłam, prostując się. Wygładziłam spódnicę, a kelnerka zaprowadziła nas do eleganckiego mahoniowego stolika w rogu sali, najwyraźniej zarezerwowanego dla Smileya, ponieważ pozostałe, zdecydowanie gorsze, były zajęte.

Smiley wśliznął się na miejsce pod ścianą i od razu przeszedł do rzeczy:

– Trener Carr twierdzi, że umie pani pisać.

– Cóż, skoro tak twierdzi, nie mogę zaprzeczać – odparłam. Taka odpowiedź wydawała mi się najrzeczniejsza: łączyła w sobie skromność, humor i pewność siebie.

– A kocha pani to? Mam na myśli pisanie.

Zawahałam się, po czym zaryzykowałam prawdę:

– Kocham i nienawidzę. Uwielbiam uczucie, które mnie ogarnia, kiedy skończę tekst. Ale z samym pisaniem... bywa różnie.

Smiley skinął głową i nie było w tym dezaprobaty.

– Tak. Zawsze powtarzałem, że postawienie ostatniej kropki bardzo przypomina wyjście z gabinetu dentysty.

– Albo z siłowni – dodałam.

– O tym akurat wiem niewiele – stwierdził Smiley.

W tym momencie młody kelner o nienaganej fryzurze i sylwetce podszedł, by zaproponować nam coś do picia.

Mój rozmówca zerknął na niego poirytowany, że mu się przerywa, i powiedział:

– Chcemy już złożyć zamówienie... Zgadza się?

– Tak – odparłam, po czym nie patrząc w kartę, poprosiłam o antrykot, średnio wysmażony.

– A dla pana, panie Smiley?

– To, co zwykle – warknął.

– Sałatkę?

– Tę, co zwykle – uciął, odprawiając chłopaka machnięciem dłoni.

Po odejściu kelnera, Smiley zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

– Wiem wszystko o pani związkach z Walker.

– Tak, proszę pana, rzeczywiście mam ich... sporo... – dukałam, powtarzając sobie w duchu, by odpowiadać tak prosto, jak się da. W ten sposób trudniej coś schrzanić.

– Mogłaby pani pisać o futbolu uniwersyteckim? I być przy tym obiektywna?

– Mogłabym.

Smiley uniósł zrośnięte brwi. Po dłuższej chwili nie wytrzymałam milczenia i dodałam:

– Tak. Myślę, że potrafiłabym bardzo obiektywnie opisywać, jak Walker kopie innym drużynom tyłki.

Pudło. Smiley nie wyglądał na rozbawionego. Patrzył na mnie, czekając na prawdziwą odpowiedź. Spojrzałam mu prosto w oczy i spróbowałam jeszcze raz, zapewniając, że jestem pewna swoich umiejętności.

Pokiwał głową i natychmiast zadał kolejne pytanie:

– W porządku, pani Rigsby, proszę mi powiedzieć jeszcze jedno: jaka jest pani zdaniem rola dziennikarza sportowego?

Poczułam pustkę w głowie, więc by zyskać na czasie, odpowiedziałam pytaniem na pytanie:

– Chodzi panu o tradycyjne media?

– Tak. Chodzi mi o *gazetę*. Nie jakieś wyszczekane tweety-srity, czy jak tam się na to mówi, ani mazgajowate blogi.

Przez chwilę zwlekałam z odpowiedzią, sącząc wodę, po czym wydukałam niezręcznie:

– Cóż, myślę... ogólnie rzecz biorąc... zadaniem reportera jest informowanie kibiców o ich ulubionych dyscyplinach i drużynach.

Smiley wpatrywał się we mnie szklistym wzrokiem. Najwyraźniej moja odpowiedź znudziła go do bólu, a może nawet zirytowała.

Wpadłam w panikę, wiedziałam bowiem, że muszę wymyślić coś lepszego, i to szybko. Odchrząknęłam, rozglądając się dokoła, a potem powiedziałam:

– Tyle że w dzisiejszych czasach ludzie, czytając gazetę, zazwyczaj już wiedzą, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Z telewizji i z artykułów w internecie. Z radia. Z Twittera. I z mazgajowatych blogów – dodałam, uśmiechając się nieznacznie.

Smiley skinął głową. Najwyraźniej odzyskałam jego uwagę, choć wciąż ze sceptycyzmem podchodził do moich słów.

– W związku z tym chodzi nie tyle o sprawozdanie z wydarzeń – ciągnęłam – ile o analizę i pogłębienie tematu. Odślonięcie podskórnych emocji. Czynniki ludzki.

Mój rozmówca lekko się ożywił.

– Bo w końcu to tylko mecz, prawda? A naszym zadaniem jest pokazać, że chodzi o coś więcej. To metafora życia. Jeśli sport nie ma znaczenia, życie też je traci.

– Tak – rzekł dobitnie. – *Właśnie* o to chodzi.

Mówiłam więc dalej, już z większym przekonaniem.

– Weźmy na przykład krótkie reportaże z życia sportowców, które pojawiają się w mediach w czasie olimpiady. One sprawiają, że nieznanego rosyjskiego saneczkarza staje się nam bliski jak brat... A wie pan dlaczego? Bo *mógłby* być naszym bratem. Bo *jest* naszym bratem.

– Tak. *Tak* – powiedział Smiley. – A kto pani zdaniem robi to jak trzeba?

Którzy dziennikarze?

Zwalczyłam pokusę odpowiedzenia: „Przede wszystkim pan”, ponieważ uznałam, że nie przekonam go do siebie pochlebstwami. Zamiast tego zaczęłam rzucać nazwiskami najlepszych reporterów sportowych, zarówno współczesnych, jak i tych, którzy przeszli już do legendy. George Plimpton, Roger Angell, Red Smith, John Feinstein, Robert Creamer, Frank Deford, Dan Jenkins, Buster Olney, Peter King i Rick Reilly.

– Nie wymieniła pani ani jednej kobiety.

– Okej. Mike Lupica – odparłam, dumna z szybkiej riposty.

Smiley uśmiechnął się pod nosem, a ja powiedziałam:

– Sally Jenkins. Jest świetna. I Robin Herman.

Na tym temat kobiet został zakończony.

– Nie jest pani przypadkiem za młoda, żeby znać Angella? I połowę facetów, których pani wymieniła?

– Od dziecka czytałam stare artykuły. Zbierałam archiwalne numery „Sports Illustrated”. Kiedy miałam dziesięć albo jedenaście lat, Trener Carr podarował mi ich setki po tym, jak jego żona znalazła je podczas sprzątania strychu. To świetna lektura na deszczowe dni. Uwielbiam na nowo przeżywać starcie Ali–Foreman, finałowy mecz rozegrany w osiemdziesiątym szóstym między Mets a Red Sox albo rywalizację Borga z McEnroe’em.

Po raz pierwszy, odkąd usiedliśmy przy stoliku, Smiley spojrzał na mnie z szacunkiem. Był nie tylko zadowolony czy zaintrygowany. Wyraźnie mu zaimponowałam. Dobrze znałam tę reakcję. Tak patrzyli na mnie faceci w barach chwilę po tym, jak usłyszeli moją analizę meczu, i chwilę przed tym, jak w żartach prosili mnie o rękę.

– Które artykuły podobały się pani najbardziej? – zapytał, ale już innym tonem. Jakby rozmawiał przy piwie z kolegą po fachu, a nie przepytывał jakąś przypadkową pannę wyłącznie dlatego, że poprosił go o to słynny Trener Carr.

– Hmm. Pomyślmy. Po pierwsze, tekst Johna Updike’a o Tedzie Williamsie. Fenomenalny.

Smiley cały pojaśniał, a ja mówiłam dalej:

– To, co Roger Angell napisał o Steve’ie Blassie.

Smiley pokiwał głową.

– Proszę mówić dalej.

– *Cichy sezon bohatera* Gaya Talese... Chociaż nietrudno być geniuszem, kiedy się pisze o DiMaggio... Historia Normana Mailera o Muhammadzie Alim: *Ego*. Czy to nie był doskonały tytuł? I tekst Franka Deforda: *Wychowany przez kobiety, by wygrywać z mężczyznami*.

Smiley zmarszczył brwi.

– Czyje to?

– Joego Connorsa... I pomyślmy... Moje ulubione książki o futbolu... *Tamten pierwszy sezon* Johna Eisenberga... *Jak to wśród chłopaków* Jeffa Pearlmana – ciągnęłam, mając na myśli spisana w latach dziewięćdziesiątych historię Dallas Cowboys. – I jeszcze *Giganci są wśród nas* Jacka Cavanaugh. Kiedy to czytam, żałuję, że nie żyłam w latach pięćdziesiątych i nie byłam kibicką Giantsów. I... chyba moja ulubiona rzecz: *Papierowy lew*. Uważam, że George Plimpton to geniusz.

– Ma pani dobry gust – stwierdził Smiley.

– Dziękuję – odpowiedziałam. W tym momencie kelner przyniósł nam jedzenie, a ja poczułam, że wrócił mi apetyt. Jakkolwiek zakończy się sprawa pracy, udowodniłam Frankowi Smileyowi, że znam się na rzeczy.

– Aha. Jeszcze jedno – powiedział Smiley. Głos miał swobodny, ale poznałam po jego oczach, że ma zamiar mnie sprawdzić. Zrobił to, zadając następne pytanie: – Co pani sądzi o kobietach w męskiej szatni?

Serce zabiło mi szybciej i oblałam się zimnym potem. Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią. W końcu doszłam do wniosku, że potrafię wiele w sobie zmienić. Mogę nosić męskie ciuchy i zrezygnować z makijażu. Mogę zamawiać kawał mięcha na śniadanie. I udawać, że w naładowanym emocjami świecie uniwersyteckiego futbolu możliwa jest prawdziwa bezstronność. Jednego jednak nie jestem w stanie zrobić – nie jestem w stanie udzielić Smileyowi odpowiedzi, na którą czeka.

Tak więc bez mrugnięcia okiem odparłam, że się zgadzam. Całkowicie.

Smiley uniósł krzaczastą brew.

– To znaczy?

– Żadnych podwójnych standardów – odparłam, niewzruszona. – Nieważne, czy chodzi o męski futbol, czy kobietą koszykówkę. Szatnie

powinny być otwarte dla wszystkich dziennikarzy albo dla wszystkich zamknięte. A zamykanie ich nie jest rozwiązaniem. Musimy tam być, żeby uchwycić pierwsze reakcje i wciąż żywe emocje. No i po prostu po to, żeby na czas dostarczać relacje. – Zauważyłam, że przerzuciłam się z form bezosobowych na pierwszą osobę liczby mnogiej, i zadałam sobie pytanie, jak to świadczy o moich prawdziwych pragnieniach.

– A co z prywatnością zawodników? – zapytał Smiley.

– Co z nią?

– Nie sądzi pani, że mają do niej prawo?

Z trudem powstrzymawszy się od przewrócenia oczami, powiedziałam, że zawodnicy obu płci mają po meczu lub zawodach zapewniony czas, by wziąć prysznic, przebrać się albo przynajmniej czymś przykryć.

– A jeśli nie chcą się przykrywać?

Wzruszyłam ramionami.

– To ich sprawa.

– I nie czułaby się pani... niezręcznie? Gdyby sportowiec płci męskiej nie zechciał się zakryć?

– Byłam w niejednej szatni, panie Smiley. Bywałam w szatniach wygranych i w szatniach przegranych. Wszystkie są do siebie podobne. Śmierdzące. Pełne brudnych ciuchów, przepoconych ręczników i zakrwawionych bandaży.

– I nagich mężczyzn – odparował Smiley.

– Owszem, czasami tak. Czasem ci nadzy mężczyźni ważą po sto trzydzieści kilo, są paskudnie poharatani, mają włochate plecy i posiniaczone nogi.

Nadal nie rozumiał, o co mi chodzi, albo udawał, że nie rozumie, mówiłam więc dalej:

– W szatni nie ma miejsca na flirt, panie Smiley. To wynika z mojego doświadczenia. Po bitwie nikt nie myśli o seksie. A skoro kobiety mogą być korespondentkami wojennymi, to powinno im się umożliwić wstęp również do szatni po meczu futbolowym – zakończyłam triumfalnie, zupełnie jakbym zdobyła przyłożenie dla wszystkich dziennikarek świata.

Smiley spojrział na mnie i skinął głową, jakby przyjął do wiadomości

moje zwycięstwo. Nie rozmawialiśmy więcej o płci, tylko w milczeniu nałożyliśmy sobie po dużej porcji smażonych ziemniaków i glazurowanej marchewki, po czym zabraliśmy się do steków, przechodząc jednocześnie na bardziej ogólnosportowe tematy.

Jakąś godzinę później, po skończonym lunchu, szliśmy razem w stronę parkingu. Smiley pierwszy zbliżył się do mojego samochodu, a gdy dostrzegł nalepkę Walker, przyjrzał się jej ostrożnie i powiedział:

– Jest pani pewna, że zdoła zachować obiektywizm?

– Wie pan, że to można odkleić? – zapytałam, odchylając zawiniętą krawędź nalepki.

– Czy to oznacza: tak?

– Tak – odparłam.

– A gdybym pani powiedział, że chcę, by pisała pani o Teksasie?

– A chce pan? – przełknęłam ślinę z nadzieją, że tylko mnie podpuszcza. Że potrzebuje kogoś, kto będzie pisał o jakiegokolwiek innej drużynie. Tylko nie o UT.

– Owszem – powiedział Smiley. – Potrzebuję kogoś, kto zajmie się dumnym uniwersytetem stanowym, którego barwy określiła pani kiedyś jako „wymiotny pomarańcz”.

Skrzywiłam się na wspomnienie tekstu, który napisałam jeszcze na studiach. Smiley cytował dalej:

– Odcień przetrawionego piwa i burritos. Mówi to pani coś?

– Cóż – odparłam. – Kolor jest naprawdę paskudny.

– Czy to pani ostateczna odpowiedź?

– Nie – zdecydowałam. – Tamten tekst napisałam w college’u. Dla naszej studenckiej gazety. To było inne zadanie. Potrafię być obiektywna. Wiem, że potrafię.

– To dobrze. Bo jeśli reporter wyda w loży prasowej choćby jeden okrzyk na cześć swojej drużyny, jest skończony. On albo *ona* natychmiast wypada z gry.

Skinęłam głową i powiedziałam, że rozumiem, zaskoczona tym, jak bardzo zależy mi na tej robocie, nawet jeśli musiałabym się pławić w odmętach wymiotnego pomarańcza.

Rozdział 9

Po lunchu udałam się do salonu Lei Journo, w którym Lucy zarezerwowała mi wizytę u swojego ulubionego stylisty – wytatuowanego, muskularnego geja Ricarda.

– Coś gładkiego, coś dużego czy coś pomiędzy? – zapytał Ricardo, gdy rozpuściłam kucyk i zmierzwiłam swoje długie włosy.

Powiedziałam mu, że moim zdaniem powinien pójść w objętość, kończąc w duchu słowami Trenera: „Albo pójść do domu”.

– Coś w stylu starego Hollywood? Victoria’s Secret? Cindy Crawford? Miss America?

– Jak pan uważa – odparłam. – Chciałabym wyglądać... olśniewająco.

– Och, skarbie, przy twoich włosach to oczywiste – odpowiedział Ricardo, po czym oznajmił swojej myszowatej asystentce okularnicy, że jestem gotowa do mycia i że będzie nam potrzebna ciężarówka wałków.

– Tych fioletowych? – zapytała asystentka.

– Skądże, kochana! Niebieskich! Nie słyszałaś? Robimy wielką fryzurę! Z przytupem! Efekt *wow*!

Czterdzieści minut później Ricardo odłożył swoją turbosuszarkę i rzekł:

– Na Boga, dziewczyno. Aleś mnie przeczognała. To się nazywa masa włosów!

Uśmiechnęłam się, słysząc ten komplement i pomyślałam, że w takim razie mam choć jedną wyjątkową cechę. Dwie, jeśli liczyć obojczyki.

– Rozumiem, że masz na dzisiaj wielkie plany? – zapytał Ricardo, nawijając moje włosy na wałki, spryskując pasmo po paśmie mgiełką

w sprayu, a następnie atakując je gorącym powietrzem.

– Tak. Wybieram się na galę charytatywną w hotelu Ritz.

– Uwielbiam hotel Ritz! – zakrzyknął Ricardo. – Wielu ludzi woli Crescent Court, ale moim zdaniem do Ritza się nie umywa. Ritz to prawdziwy klasyk. Wiesz, że mają tam szefa kuchni tylko od guacamole? Cudo, nie uważasz?

– Owszem, cudo – przytaknęłam.

A potem, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób gej potrafi w ciągu godziny stać się twoim najlepszym przyjacielem, nie wytrzymałam i dodałam:

– Zgadnij, z kim tam idę.

Ricardo potraktował sprawę poważnie.

– Och, uwielbiam zgadywanki. Jakiś magnat, polityk, szef kuchni, aktor, model, a może... stylistą gwiazd?

Parsknęłam śmiechem.

– Nic z tych rzeczy. Sportowiec. Futbolista.

– Ko-cha-na... Chyba nie chcesz powiedzieć... Nie gadaj! Masz na myśli to ciacho, które gra w Dallas Cowboys? Jak on się nazywa? James Ryan?

– Ryan James – poprawiłam go ze śmiechem. Zauważyłam, że jego asystentka lekko się ożywiła, i uzmysłowiłam sobie, że właśnie robię coś, za co wśród elit z każdej branży grozi mi ekskomunika. Opowiadam publicznie o swoich podbojach, i to jeszcze zanim do czegośkolwiek doszło. Spróbowałam się więc wycofać, dodając, że Ryan i ja jesteśmy tylko znajomymi. Ale Ricardo już wciskał guzik szybkiego wybierania, by połączyć się ze współpracującą z salonem makijażystką i poprosić, by mimo wolnego dnia przyszła do pracy i umalowała jego nową serdeczną przyjaciółkę.

Najwyraźniej odmówiła, bo zawołał w słuchawkę:

– Adelo! To sytuacja awaryjna! Ona idzie na randkę z Ryanem Jamesem... Mmm, ta-ak. Z *tym* Ryanem Jamesem. Co będzie, jeśli się w sobie zakochają i cała sprawa skończy się ślubem? Nie chcesz ich wtedy obsługiwać? Hmm? Wolisz wypaść z gry, bo nie chciało ci się odkleić od telewizora?

Po chwili odłożył telefon i powiedział:

– Okej. Jesteś mi winna przysługę. Adela już jedzie. Jest genialna i zrobi ci takie *smoky eye*, że efekt *wow* murowany! Abrakadabra! A teraz pogadajmy o ciuchach. Co masz zamiar włożyć? – zapytał, obrzucając moje buty lekceważącym spojrzeniem.

– Coś innego. Bez obawy – odpowiedziałam, po czym wyjaśniłam, że przyszłam tu prosto z rozmowy o pracę i że mam w samochodzie szpilki.

– Ko-cha-na, właśnie miałem to powiedzieć! Te buty nie przejdą. Nie nadają się nawet na *interview*. No, chyba że uderzasz do zakonu! – zawołał i zaśmiał się z własnego dowcipu.

Asystentka Ricarda cicho wypowiedziała jego imię, oszołomiona, choć równocześnie rozbawiona jego bezceremonialnością.

– My z Sheą znamy się jak łyse konie – pouczył ją Ricardo. – Ona wie, że nie potrafię kłamać. Jestem jak Abe Lincoln. Przyznaję się, ściałem to drzewko!

– Pomyliło ci się z Washingtonem¹ – poprawiłam go ze śmiechem.

– Wszystko jedno. Abe też był uczciwy. Tak jak ja. A te buty nadają się tylko na śmietnik! – Znow parsknął śmiechem, a potem zażądał: – Mów, jak poszła rozmowa.

– Chodziło o pracę w „The Post” – odparłam. – W dziale sportowym.

– Reporterka! W gazecie! Urocze. I co? Udało się?

– Chyba tak.

– Brawo! A teraz musisz już tylko w ten sam sposób podejść do szanownego pana Jamesa, a zapewniam cię, że zdobędziesz i jego. Zwłaszcza z *takim* cudem na głowie – dodał, pusząc moje włosy. – Dziś będzie cały twój, ale kochana, czy ty go w ogóle chcesz?

– Tak się składa – odparłam ze śmiechem – że chyba chcę.

¹ Legenda głosi, że George Washington, będąc chłopcem, pod nieobecność ojca ściał rosnące przed domem wiśniowe drzewko. Kiedy ojciec wrócił do domu i wpadł w gniew, mały George przyznał się do psoty, ponieważ brzydził się kłamstwem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Punktualnie o piątej po południu weszłam do baru w lobby hotelu Ritz, z puszystą fryzurą oraz przydymionym okiem, na obcasach, w których miałam ponad metr osiemdziesiąt, i w małej czarnej – wydawała mi się znacznie krótsza niż wtedy, gdy ją mierzyłam w butiku Lucy. Gra okazała się jednak warta świeczki, uznałam bowiem, że wyglądam najlepiej, jak to tylko możliwe, i że sięgnęłam swojego osobistego szczytu, co potwierdzały spojrzenia stłoczonych przy wejściu do baru elegancko ubranych mężczyzn. Przeszło mi nawet przez myśl, że być może nieco przesadziłam, ale wtedy ujrzałam Ryana, który wyglądał zniewalająco w czarnym garniturze i wąskim srebrnym krawacie. Siedział na niskiej skórzanej sofie pod oknem, gawędząc z atrakcyjną parą mniej więcej w naszym wieku. Zauważył mnie niemal natychmiast i jego twarz pojaśniała w uśmiechu. Zerwał się z miejsca i zbliżył do mnie swobodnym, zawadiackim, seksownym krokiem. Nawet gdyby nie grał w futbol, każda dziewczyna, ujrzawszy tę dezynwolturę, z pewnością wskoczyłaby mu do łóżka, nie zadając wielu pytań.

– Wyglądasz absolutnie fenomenalnie – powiedział i kładąc rękę na moich plecach, pochylił się, by pocałować mnie w policzek. – Fantastycznie!

– Dziękuję. Ty też – odparłam, starając się opanować drżenie.

Tymczasem Ryan podprowadził mnie do sofy i przedstawił swoim znajomym, Sandy i Barry'emu. Wyjaśnił, że Barry pracuje w zarządzie fundacji na rzecz osób z autyzmem, a Sandy przewodziła organizacji zeszłorocznej gali. Przywitałam się. Barry wstał i uściśnął mi dłoń, a Sandy skomplementowała moją sukienkę. Odwzajemniłam pochwałę i usiedliśmy wszyscy, po czym Barry zapytał, czego się napiję. Zerknęłam na stół. Panowie pili szkocką, a Sandy białe wino. Jak zwykle się zawahałam, myśląc, że w wieku trzydziestu trzech lat powinnam już mieć swój ulubiony napój. Tak jak Lucy, która za każdym razem stanowczo i z wdziękiem zamawiała wódkę Belvedere z wodą i cytryną. Nie jąkała się przy tym i nie zmieniała wciąż zdania, decydując się to na guinnessa, to na

whisky z colą, to na tequilę.

– Shea pije whisky – oznajmił Ryan z dumą.

– Skąd wiedziałaś? – zapytałam cicho.

Mrugnął do mnie i odparł:

– Takich rzeczy się nie zapomina. To niezwykle wydarzenie spotkać dziewczynę, która pije whisky, nosi broń albo chodzi bez bielizny. Nie mówiąc już o takiej, która naprawdę rozumie futbol.

– Chryste Panie, Ryan. – Sandy się roześmiała. – Co to za lista!

– Aha. Sądzę jednak, że jest różnica pomiędzy kimś, kto zna się na formacjach ofensywnych, a kimś, kto biega z pistoletem bez majtek – zażartowałam.

– A ja się zgadzam z Ryanem – oznajmił Barry. – Zachodzi tu istotna zbieżność.

– Mam na sobie bieliznę – zaznaczyłam.

– Cholerna szkoda – szepnął mi Ryan do ucha.

Uśmiechnęłam się i spytałam Barry'ego, co pije.

– Macallana trzydziestkę – odparł, unosząc szklanę.

Wiedział, że zrobi to na mnie wrażenie, ale nie był przy tym odpychający. O wiele bardziej denerwowali mnie ludzie, którzy niby przypadkiem chwalili się rocznikiem pitego przez siebie wina.

– Trzydziestkę? – powtórzyłam z niedowierzaniem, zastanawiając się, ile go ta przyjemność mogła kosztować.

– Próbowałam. Cudowny łagodny smak – powiedział Ryan, a tymczasem Sandy zaczęła dopytywać, jak to możliwe, że lubię takie mocne alkohole.

– To jakby pić... zmywacz do paznokci.

Roześmiałam się i powiedziałam, że smak whisky nie ma absolutnie nic wspólnego ze zmywaczem do paznokci, ale że dziś poprzestanę chyba na winie. Ryan nie zwrócił na mnie uwagi i poprosił kelnerkę o podwójną szkocką.

– Z lodem? – spytała dziewczyna, mierząc mnie krytycznym spojrzeniem.

– Bez – odparł Ryan ku mojemu zdziwieniu; on i Barry pili swoje drinki z lodem.

Uznałam jednak, że najwyraźniej ma swoje powody i że nie powinnam się czepiać. Uśmiechnęłam się i podziękowałam, powtarzając sobie w duchu, by zachować ostrożność. Czekala mnie godzinna jazda samochodem do domu, a nocowanie na kanapie u Ryana nie wchodziło w grę. Podobnie jak jego łóżko, o czym wytrwale od samego rana przypominała mi Lucy. Wysłała dzisiaj do mnie dwa esemesy. Pierwszy brzmiał: *Tylko się NIE URŻNIJ*, a drugi: *Faceci nie lubią łatwych dziewczyn. Nie bądź wywłoką spod recepcji*. Na widok tego określenia parsknęłam śmiechem, bo przypominałam sobie, że sama je wymyśliłam. Miałam zwyczaj nazywać tak dziewczęta w wydekoltowanych bluzkach i wysokich do kolan kozakach, przesiadujące w hotelach, w których zatrzymywali się zawodnicy, i czekające, aż chłopcy będą schodzili do busa.

– Ryan wspominał, że razem studiowaliście – powiedziała Sandy, a ja zauważyłam, że ona i Ryan mówią z podobnym akcentem.

Wysokie sfery. Tak wysokie, że nie czuła potrzeby się z tym obnosić. Uznałam, że ją lubię.

– Tak – odparłam. – Poznaliśmy się na kursie przed egzaminem na pierwszym roku.

– Ale łączy nas również futbol. Shea przyjaźni się z córką Trenera Carra – dopowiedział Ryan.

– I jesteś z Walker? – zapytała Sandy.

Odpowiedziałam, że tak, mieszkałam tam przez całe życie z wyjątkiem pierwszych dwóch miesięcy po urodzeniu.

– Shea pracuje teraz na Walker University – dodał Ryan. – W wydziale sportu.

Skinęłam głową, po czym zwierzyłam im się, że miałam dziś rozmowę o pracę w „Dallas Post”.

– I wyobraź sobie – dodałam, spoglądając na Ryana – że miałabym pisać o Longhornach.

Ryan klepnął się w udo.

– Zdrajczyni! Przeklęta zdrajczyni! – zawołał i wybuchnął głośnym swobodnym śmiechem. – Czy Trener Carr o tym wie?

Odpowiedziałam, że tak, nie wspominając, że cała rzecz była właśnie jego pomysłem. Zamiast tego spytałam Barry’ego i Sandy, gdzie

studiowali.

– Ja na SMU, Barry na Rice – odparła Sandy, dodając, że kibicują także Walker ze względu na Ryana.

Miałam ochotę stwierdzić, że kibicować wszystkim to jak nie kibicować nikomu. Postanowiłam jednak trzymać się bezpiecznych tematów i zapytałam Sandy i Barry'ego, gdzie dorastali.

– Tu, w Dallas – odpowiedział Barry. – Oboje chodziliśmy do Highland Park High.

Skinęłam głową z uśmiechem, dobrze obeznana z towarzystwem z Highland Park, zamożnej dzielnicy Dallas, gdzie dorastały moje bywałe na salonach koleżanki z college'u i gdzie wracały po studiach, przeważnie z mężami, których znały od małego. W miasteczkach takich jak Walker ślub z kimś z sąsiedztwa zwykle oznaczał zapuszczenie korzeni i rezygnację z marzeń o wielkim świecie, bo co innego można było zrobić? Ale w Dallas małżeństwo z sympatią z liceum wiązało się ze statusem, który wymaga kojarzenia par. A Sandy i Barry wyglądali mi na pierwszorzędny przykład mieszanki bogactwa i dobrych genów.

Kelnerka wróciła z moją szklanką i serwetką. Podziękowałam jej, a potem Barry'emu, sięgnęłam po szklankę, odczekałam chwilę, po czym uniosłam ją do nosa. Rozchyliłam wargi, uważając, by nie zaciągnąć się zbyt gwałtownie, ponieważ wiedziałam, że to zabija zmysł smaku. Wdychałam zapach karmelu i przypraw, a potem zamknęłam oczy i zaczerpnęłam niebiański łyk.

– Nie żartowałeś – mruknęłam bardziej do siebie niż do Barry'ego. – To naprawdę dobre. Cholera. Prawie dwa razy starsze od najlepszego macallana, jakiego w życiu piłam.

– I dwa razy lepsze – dodał Barry. – Warte każdego centa.

Ryan uniósł szklankę i oznajmił:

– Życie jest za krótkie, by pić tanią whisky.

Roześmiałam się.

– Mówisz jak prawdziwy kowboj z Dallas. Nie jestem pewna, czy wielu ludzi stać na przyjęcie takiej filozofii.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Ryan objął mnie i przyciągnął do siebie. Przez jedną krótką chwilę oparłam głowę na jego ramieniu, choć

wiedziałam, że wszyscy na nas patrzą. Czułam się wyjątkowa, wyróżniona, choć wiedziałam, że to wszystko złudzenie. W rzeczywistości nie byłam *tą* dziewczyną, którą stworzyły fryzura, sukienka i czerwona szminka. I może jeszcze wpływ Ryana – bijący od niego blask obejmował każdego, kto znalazł się w pobliżu. Sączyłam szkocką i z każdą sekundą robiło mi się cieplej, napełniała mnie radość i marzyłam o tym, żebyśmy już nigdy nie musieli wstawać z tej kanapy. Ale godzina minęła szybko, wraz z następną kolejką, i punktualnie o szóstej Sandy oświadczyła, że czas zebrać trochę pieniędzy na szczytny cel. Wszyscy wstaliśmy, Ryan wziął mnie za rękę i opuściliśmy bar. Po drodze do wind dwa razy zatrzymano go, prosząc o autograf i zdjęcie na tle olbrzymiego bukietu kalii, który stał na okrągłym stoliku pośrodku lobby. Podczas gdy Sandy i Barry udali się do łazienki, ja przez kilka sekund przyglądałam się całej scenie z pewnej odległości, po czym wyciągnęłam z torebki telefon i ukradkiem zrobiłam sobie zdjęcie z Ryanem w tle. Wysłałam je do Lucy z żartobliwym podpisem: *Wywłoka spod recepcji pełną gębą*. Uśmiechnęłam się na widok odpowiedzi Lucy – *LOL* – ale wiedziałam, że nie był to *wyłącznie* żart, biorąc pod uwagę moje nagłe, podlane whisky przekonanie, że świat się nie skończy, jeśli zanocuję u Ryana.

*

Resztę wieczoru pamiętam jak przez mgłę. Rozmowy z parami podobnymi do Sandy i Barry'ego. Pozowanie fotografom. Udział w cichej aukcji – licytowałam laserową depilację, bransoletkę z malachitem i lot balonem – nie dlatego, że naprawdę pragnęłam je zdobyć, ale dlatego, że zdawały mi się „dobrym interesem”. Taniec na śliskim parkiecie w rytm granego na żywo doowopa. Gubienie szpilek, odnajdywanie ich i ponowne gubienie. Oraz popijanie pinot noir z kieliszka, który najwyraźniej nie miał dna.

Następne, co pamiętam, to Ryan wpisujący kod do alarmu... Jego eleganckie, nowoczesne mieszkanie... To, jak całowaliśmy się w lśniącej marmurowej kuchni... I wędrówkę po schodach do sypialni. A potem

puszka... Aż obudziłam się wczesnym rankiem w jego łóżku, ubrana tylko w bieliznę i wielki T-shirt Dallas Cowboys. Wstałam i zaczęłam gorączkowo szukać ciuchów i komórki, a wokół mnie pokój wirował jak szalony.

– Dzień dobry, skarbie – wymamrotał Ryan z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Która godzina? – spytałam, walcząc z pulsującą migreną.

– Wpół do siódmej.

– Gdzie mój telefon?

– W łazience. Ładuje się.

– Podłączyłam go do ładowarki?

– Owszem.

– Co jeszcze robiłam?

Ryan obrócił się na bok i spojrzał na mnie, uśmiechając się znacząco.

– Nie pamiętasz?

Są to najprawdopodobniej najgorsze słowa, jakie można usłyszeć od faceta po pierwszej rance, zwłaszcza kiedy człowiek budzi się rano w jego sypialni, ubrany w jego ciuchy i z paskudnym kacem.

– Tak jakby – skłamałam, potykając się o jeden z wielgachnych mokasynów Ryana i rozglądając się za wejściem do łazienki.

– Tam – powiedział, pokazując mi drzwi bliżej jego strony łóżka.

– No tak. – Weszłam do łazienki, która okazała się większa od mojej sypialni. Nie pamiętałam, bym kiedykolwiek wcześniej była w tym pomieszczeniu, nie wspominając już o podłączaniu tam telefonu do ładowarki. Gdy spojrzałam na wyświetlacz, dostrzegłam cztery nieodebrane połączenia od Lucy i kilka esemesów, w których pytała, co się dzieje. Wzięłam głęboki oddech i sprawdziłam historię. Miałam złe przeczucia. Sprawdziły się: dwa wychodzące połączenia z numerem Trenera Carra.

– Kurwa – powiedziałam, bo nagle przypomniałam sobie, jak wybierałam jego numer.

Ryan usłyszał mnie i zapytał:

– Wszystko okej?

Wróciłam do sypialni z telefonem w dłoni.

– Czy wczoraj z kimś rozmawiałam?

Ryan parsknął śmiechem.

– Owszem, zadzwoniłaś do Trenera Carra. Byłaś przezabawna.

– W jakim sensie? – spytałam, a serce zaczęło mi walić jak szalone, gdy dostrzegłam, że jedno z połączeń trwało jedenaście minut. Skrzyżowałam palce, żeby się okazało, że naprawdę byłam zabawna, a nie żalosna. Wskoczyłam z powrotem do łóżka i przykryłam się kołdrą. – Co mówiłam?

– Na jaki temat? – zapytał Ryan, siadając i odsłaniając wyrzeźbiony tors, który niemal nie wyglądał na prawdziwy. – Pytasz o twoją tyradę przeciwko Longhorns? Opinię na temat kobiet w męskich szatniach? Czy o to, jak wyznałaś Trenerowi miłość do grobowej deski?

– Co? – zawołałam ochryple. – Naprawdę to powiedziałam?

– Zapewniałaś go, że jest twoim ulubionym człowiekiem na świecie. Coś w tym stylu. I koniecznie chciałaś, żebym z nim porozmawiała.

– Nie kocham go w *ten* sposób – zaznaczyłam.

– Wiadomo. To już staruszek.

– Ma tylko pięćdziesiąt pięć lat.

– Tak czy siak, wiem, co miałaś na myśli.

– Naprawdę tak powiedziałam? Do niego? Że go kocham?

– Naprawdę – odparł Ryan, którego najwyraźniej bawiło moje nieszczęście, a potem zaczął mnie przedrzeźniać, imitując pijacki bełkot: – Pan jessstmoimul... ubionym... szłowikiem... nasaaa... łymświecie.

– O Boże. Jak mogłeś mi pozwolić do niego zadzwonić?! – krzyknęłam i zakryłam twarz kołdrą. Czułam, jak oblewam się rumieńcem. Każda część mojego ciała płonęła z upokorzenia.

– Nie sposób było cię powstrzymać. Całkiem ci odbiło.

– Odbiło? Mówiłam coś jeszcze?

– Wymieniłaś chyba każdego zdobywcę Trofeum Heismana od czasów Jaya Berwangera w trzydziestym piątym i pytałaś Trenera, kto jego zdaniem *naprawdę* na nie zasłużył. Włączyłaś wtedy głośnik.

– A on...?

– Pytasz, czy cię olał? O nie. Podjął rękawicę. Pomyślmy... Zgodziliście się co do tego, że w osiemdziesiątym drugim Herschel Walker powinien był pokonać George'a Rogersa.

– W osiemdziesiątym – poprawiłam go. – W osiemdziesiątym drugim Walker wygrał.

– No tak. Może i tak. Ale ty twierdziłaś, że wtedy nie powinien być zwyciężyć. Że trofeum należało się Ericowi Dickersonowi... I uważałaś, że Chuck Long był lepszy od Bo Jacksona, a z tym z kolei Trener się nie zgodził... Mówiłaś, że Ki-Jana Carter albo McNair powinni byli pokonać Salaama, a potem oboje uznaliście, że Peyton Manning powinien być wygrać w dziewięćdziesiątym siódmym.

– Mówiliśmy o tobie?

– Skąd. Żadne z was w ogóle nie wzięło mnie pod uwagę. Dopiero kiedy się rozłączyłaś... – zawiesił głos, ściągając ze mnie kołdrę i całując mnie w policzek. Czułam w uchu jego ciepły oddech, który mnie podniecał, choć wciąż byłam skupiona na jednym.

– Co jeszcze? – pytałam. – Co jeszcze powiedziałam Trenerowi?

– Mówiłaś o nowej pracy. Dla „The Post”. Trener stwierdził, że byłabyś szalona, gdybyś jej nie przyjęła. Powiedziłaś, że jeszcze jej nie dostałaś. On na to, że dostaniesz. Powiedziłaś, że nie chcesz zostawiać Walker. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Trener odparł, że możesz przecież krążyć między Walker, Dallas i Austin. Bla, bla, bla. Potem kazałem ci się pożegnać.

– I pożegnałam się?

– Skąd. Nawijałaś dalej.

– O czym?

– A jak myślisz?

– O futbolu?

Znowu mnie pocałował, tym razem w usta, i przekreślił mnie na plecy.

– Masz jednotorowy umysł – powiedział, nakrywając mnie swoim ciałem. – Chyba kochasz tę grę bardziej niż ja.

Odwzajemniłam pocałunek, a moje ciało walczyło z rozsądkiem.

– Myślę też – szepnął – że wolisz futbol od seksu.

– To znaczy, że my nie... – zaczęłam, pełna nadziei.

– A gdzie tam – odparł Ryan. – Urwał ci się film. Poza tym jestem dżentelmenem... Ale wciąż mamy mnóstwo czasu...

Pocałował mnie mocniej, otaczając moją pierś swoją szeroką dłonią. Odwzajemniłam pocałunek, ale w głębi ducha wymachiwałam pięścią

z radości, że się z nim nie przespałam. Właściwie była to ironia losu – z whisky zresztą często tak bywa. Nigdy nie wiadomo do końca, czy należy ją winić, czy raczej być jej wdzięcznym. Uznałam, że zdecyduję po tym, jak pogadam z Trenerem.

– Chcesz teraz to zrobić? – zapytał Ryan.

– Kochać się czy rozmawiać o futbolu?

– Jedno i drugie – odparł niskim głosem, oddychając ciężko.

– Ach tak? – rzuciłam. – W takim razie kto wygrał w sześćdziesiątym ósmym?

– Czy to sprawdzian? – zapytał Ryan i poczułam na nodze jego twardniejącą erekcję.

– Aha.

– Steve Spurrier.

– Nie... Jeszcze jedna próba.

– Archie Griffin.

– Pudło – oznajmiłam, wyslizgując się spod niego. – O.J. Simpson we własnej osobie. Nie martw się, następnym razem na pewno pójdzie ci lepiej. – Roześmiałam się i usiadłam.

– Czekaj. Nie dość, że facet zamordował dwie osoby... To jeszcze przez niego nie porucham?

Skrzywiłam się.

– Proszę, nie używaj więcej tego słowa. Ale tak.

Ryan parsknął śmiechem.

– Naprawdę miałem rację, co?

– *À propos* czego?

– Wolisz futbol od seksu?

– Hmm... Powiedziałaabym, że jest remis.

Twarz Ryana pojaśniała.

– To dopiero odpowiedź – stwierdził. – Mam co do ciebie dobre przeczucia, Sheo Rigsby.

Uśmiechnęłam się.

– Ach tak?

– Właśnie tak.

– To dobrze – orzekłam. – Bo ja co do ciebie też mam dobre przeczucia,

Ryanie Jamesie.

Rozdział 10

Po weekendzie, spędzonym na zamartwianiu się i bezustannym wyrzucaniu sobie niepoohamowanego pijaństwa, w poniedziałkowy poranek bez zbędnego ociągania udałam się do Trenera Carra. Z ulgą przyjął nieobecność pani Heflin. Wzięłam głęboki oddech i zapukałam do drzwi gabinetu.

– Proszę! – rozległ się tubalny głos.

Zmartwiła z przerażenia otworzyłam drzwi i wysiłkiem woli spojrzałam mu w oczy. Zauważyłam, że ich kolor idealnie pasuje do błękitnej koszulki polo, którą miał na sobie.

– Cześć – powiedziałam, żałując, że nie mam nic, co mogłabym trzymać w dłoniach, jakiegoś notesu, folderu, czegokolwiek. – Dzień dobry.

– Owszem, dobry – stwierdził Trener z uśmiechem. – Jak się dziś miewasz, Sheo?

– Dobrze – odparłam. – A pan?

– Nie najgorzej. – Skinął dłonią, zapraszając mnie do środka.

– Czy na pewno... Czy na pewno panu nie przeszkadzam? – zapytałam z nadzieją, że mnie odprawi.

On jednak tylko zerknął na zegarek i powiedział:

– Na pewno. Mam jeszcze kilka minut, potem muszę lecieć na spotkanie.

Z wahaniem zrobiłam trzy kroki naprzód, zatrzymując się pośrodku gabinetu.

– Jak tam sytuacja? – spytałam, zerkając na diagram na jego biurku,

pokryty kólkami i krzyżykami.

– Dajemy radę... Usiądziesz wreszcie? – upomniał mnie, odchylając się na krzesło i splatając dłonie z tyłu głowy.

Zrobiłam kolejny krok i usiadłam, po czym skrzyżowałam nogi i zapatrzyłam się na własne uda.

Odczekałam chwilę, z nadzieją, że pierwszy wspomni o naszej rozmowie telefonicznej. W końcu powiedział:

– No dalej, teraz już nie ma co się wstydzić.

– No tak... A więc jeśli chodzi o... Chciałam przeprosić... – zaczęłam, wpatrując się w jego podbródek, który w całej jego twarzy lubiłam chyba najbardziej. Stanowił kwintesencję tego, jak powinien wyglądać podbródek trenera, był silny i kwadratowy, ozdobiony dołkiem, który zawsze przypominał mi stanowczą, autorytatywną kropkę na końcu zdania. Przeszło mi przez myśl, że jeśli jakiś trener nie posiada odpowiedniego kształtu szczęki, powinien poszukać sobie innego zajęcia.

– Przeprosić? Za co? – spytał, a kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Za to, że zadzwoniłam do pana tak późno i...

– Nie spałem. Oglądałem film.

– No to... Przepraszam, że panu przeszkodziłam... w pracy. – W rzeczywistości ani późna godzina, ani to, że przerwałam mu pracę, nie stanowiły sedna sprawy, ale trudno mi było powiedzieć całą prawdę. – Przepraszam, że wydzwaniałam do pana po pijaku.

– Nie szkodzi. Nic strasznego się nie stało. – Trener był już wyraźnie ubawiony. Można by pomyśleć, że to, iż zwolnił mnie z odpowiedzialności, sprawi, że poczuję się lepiej, ja jednak z każdym kolejnym rozgrzeszeniem robiłam się coraz bardziej niespokojna.

Trener przekrzywił głowę.

– Ile właściwie wypijaś? – zapytał.

– Hmm... Nie wiem... Trochę... za dużo.

– Cóż. Powinnaś w przyszłości bardziej uważać – powiedział. – Zawsze trzymać kontrolę.

– Oczywiście.

– Byłaś z Ryanem, prawda?

– Tak. Poszliśmy na galę dobroczynną. Jako *przyjaciele*. – Położyłam nacisk na to ostatnie słowo, choć sama nie wiedziałam dlaczego.

– Cóż, dobrze mieć *przyjaciół* – drażnił się ze mną Trener.

– Rzeczywiście. Dobrze. To znaczy... Na przykład my – bredziłam, czując, jak płoną mi policzki. – Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi. Tak przynajmniej myślę.

– Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi – zapewnił mnie z uśmiechem i potarł dłonią podbródek. – A jak już ustaliliśmy... dobrze jest mieć przyjaciół.

– Właśnie. – Napięcie narastało w moich barkach, aż wreszcie to powiedziałam: – A kiedy mówiłam, że jest pan moim ulubionym człowiekiem na świecie, i tak dalej... Chodziło mi po prostu o to...

– Wiem, o co ci chodziło.

Wypuściłam wstrzymywane powietrze.

– Tak?

– Jasne. Chodziło ci o to... że jestem twoim ulubionym człowiekiem na świecie. – Wybuchnął głośnym śmiechem, a oczy mu zalśniły.

– No tak... To znaczy kocham to, że jest pan... trenerem... wzorem do naśladowania... i tak dalej.

– Rozumiem. Wzory do naśladowania są jak przyjaciele. I jednych, i drugich warto mieć.

Teraz już *na pewno* ze mnie kpił. Wiedziałam, że aby zachować twarz, muszę powiedzieć coś istotnego. Coś, co w jakiś sposób usprawiedliwi moje pijackie deklaracje.

– Myślę, że jest pan świetny – ciągnęłam, czując, że moja twarz robi się szkarłatna. – To znaczy, wszyscy tak myślą. Ale ja *naprawdę* tak uważam. I tylko o to mi chodziło.

– Ja też myślę, że jesteś wspaniała, Sheo – powiedział. – Jesteś wspaniałą dziewczyną o wielkim sercu i z głową na karku. Nie zmarnuj tego, okej?

Skinęłam głową. Serce waliło mi jak oszalone, a myśli kłębiły się w głowie.

– I musisz uzbroić się w cierpliwość co do Smileya – dodał. – Wydaje mi się, że przekaże zlecenie na Teksas komu innemu... Bardziej

doświadczonemu... Ale... Czuję, że wkrótce pojawi się nowa możliwość...
Więc bądź cierpliwa, dobrze?

– Będę – obiecałam, choć ogarnęło mnie rozczarowanie.

– Jeszcze jedno – dodał z nieśmiałym uśmiechem. – Jeśli chodzi o naszego sztywnoramiennego przyjaciela...

– Tak? – Wiedziałam, że mówi o Trofeum Heismana.

– Tamtego wieczoru... Nie wspomniałaś o Johnie Huartem. Za cholere nie powinien był wygrać z Rhome'em ani z Butkusem.

– Chcieli nagrodzić trenera Parseghiana – powiedziałam, przypominając sobie wszystko, co czytałam o sezonie sześćdziesiątego czwartego roku. – Za to, że popchnął do przodu drużynę Notre Dame.

– Tyle że Trofeum nie powinno mieć nic wspólnego z pracą trenerską.

– Nie zgadzam się. Tego się nie da oddzielić.

Trener stanowczo potrząsnął głową.

– Mogę się mylić – powiedział – ale nie tym razem.

Uśmiechnęłam się, słysząc znajome powiedzonko. Wstałam i skierowałam się do wyjścia.

– Co do Salaama też nie masz racji – powiedział nagle Trener. – Należał do tych nielicznych, którzy potrafili nieść piłkę przez dwieście jardów. Musisz mu to przyznać.

– Ale Ki-Jana miał lepsze statystyki przy mniejszej liczbie niesień – zaprotestowałam. – A McNair? Chyba pan przyzna. Z perspektywy czasu był najlepszy.

– Z perspektywy czasu? Nie możesz na to patrzeć z perspektywy czasu. Głosowanie odbywa się pod koniec sezonu. Jeszcze przed rozgrywkami o puchary. Musisz dokonać wyboru na podstawie tego, co wiesz w danej chwili – powiedział Trener Carr. – Zmieniłbym kilka swoich decyzji, gdybym miał więcej czasu na przemyślenie ich.

Patrzyłam na niego. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Trener dokonał kiedyś niewłaściwego wyboru, w każdym razie nie w ważnej sprawie. Powiedziałam mu to i dodałam:

– Nawet media uważają, że jest pan doskonały.

– Nic podobnego – odparł, po czym zaczerpnął oddech, jakby się zbierał do powiedzenia czegoś na serio. W końcu jednak pokręcił tylko

głową. – Daleko mi do ideału, mała, przecież wiesz o tym.

Pokiwałam głową. Może i brakowało mu nieco do perfekcji, ale był cholernie blisko.

*

W ciągu kilku następnych miesięcy zmieniałam się w asertywną kobietę, która stanowczo dąży do zmian w życiu zarówno zawodowym, jak i osobistym, zamiast się prażyć w teksańskim słońcu, co było dotychczas moim ulubionym sposobem na spędzanie lata.

Ponieważ Smiley się nie odzywał, napisałam do niego e-mail, w którym tłumaczyłam, jak bardzo chciałabym dołączyć do jego zespołu. Poza tym bezwstydnie umizgiwałam się do Ryana, który wyjechał na obóz treningowy w Oxnard w Kalifornii. Dzieląca nas odległość dodała mi odwagi i nasze przyjacielskie esemesy szybko nabrały pikantnego charakteru. Któregoś wieczoru Ryan wyznał, że nie może się doczekać, kiedy znów mnie zobaczy, po czym ze szczegółami opisał wszystko, co się wydarzy, gdy już do tego dojdzie. Odpisałam, że cieszy mnie to bardziej niż czekające nas rozpoczęcie sezonu. W odpowiedzi dostałam uśmiechniętą buźkę wraz z komentarzem, że to sporo znaczy z moich ust.

Co do tego miał bez wątpienia rację, bo w ostatnich dniach przed początkiem sierpniowych treningów byłam jak opętana. Oprócz zwykłych zawodowych obowiązków, czyli przygotowywania informacji prasowych i odpowiadania na nadchodzące z całego kraju prośby o wywiady, spędzałam wolny czas, czytając wszystko, co tylko mogłam znaleźć na temat nadchodzącego sezonu. Uczyłam się na pamięć planów gry, połykałam posty z przedsezonowymi prognozami umieszczane przez blogerów i wędrowałam po internetowych forach okupowanych przez podobnych do mnie zapaleńców. Wszyscy wydawali się zgodni: to miał być rok Walker Broncos. A jeśli dodatkowo wziąć pod uwagę emocjonalne pokłosie śmierci pani Carr i to, jak bardzo gracze pragnęli zdobyć dla Trenera mistrzostwo, nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy drużyną skazaną na zwycięstwo.

Niestety, z tego samego powodu znaleźliśmy się na celowniku. Odkryłam to pewnego dnia, gdy ujrzałam nieznaną kobietę wychodzącą z gabinetu naszego prawnika Erniego Galliego. Pozdrowiłam ją, lecz w odpowiedzi otrzymałam jedynie chłodne spojrzenie. Zauważyłam fryzurę w kształcie hełmu, urzędniczą garsonkę i sztywną aktówkę. Krótko mówiąc, każdy element jej wyglądu krzychał: dochodzenie!

Udałam się prosto do swojego szefa, spojrzałam mu w oczy i spytałam:

– Czy w kampusie jest NCAA²?

J. J. odchylił się na krześle.

– Czemu? Słyszałaś coś?

– Nic – odparłam. – Ale widziałam tę kobietę. Ona pracuje dla NCAA, prawda?

J. J. posępnie skinął głową.

– Mamy kłopoty? – spytałam.

J. J. porzucił swoje dyplomatyczne maniery i odparł:

– Mam nadzieję, że nie, ale to babsko wyraźnie się na nas uwzięło.

A potem wszystko mi opowiedział: NCAA otrzymało informacje wskazujące na możliwe naruszenie przepisów, wystarczająco poważne, by przeprowadzić wstępne dochodzenie.

– Dochodzenie w *jakiej sprawie*?

J. J. wzruszył ramionami.

– Wybierz sobie sama. Nieuczciwa rekrutacja, niedozwolone substancje, niedostateczne kwalifikacje, zarzuty akademickie.

– Skąd się to wszystko wzięło? Na pewno od kogoś z Austin?

– Właśnie – stwierdził J. J. – Podobno najbardziej niepokojąca plotka jest taka, że jakiś szemrany facet od nieruchomości z Cincinnati przyjechał do Louisville kilka tygodni przed dniem zapisów i zabrał Rhodesa i jego kolegów na pięciogwiazdkową libację.

– Czy libacja może być pięciogwiazdkowa? – zapytałam.

– Celną uwagę. Może i nie. Poszli na steki, a potem do baru ze striptizem. Ile to będzie gwiazdek? Ze trzy i pół?

² National Collegiate Athletic Association – organizacja zajmująca się organizacją zawodów sportowych amerykańskich wyższych uczelni.

Uśmiechnęłam się.

– I co z tego? Od kiedy steki i striptizerki są na bakier z regulaminem?

– Problem w tym, że ten żartowniś kiedyś przez rok czy dwa studiował w Walker. I nosił się jak jakiś... – J. J. zamilkł, szukając właściwego słowa.

Podpowiedziałam mu cytata z *Jerry'ego Maguire'a*, jednego z moich ulubionych filmów:

– Jak ten, co ma *quan*?

J. J. wybuchnął śmiechem.

– Tak jest. A potem, jak twierdzi NCAA, *pokazał* Reggiemu *pieniądze*.

– Myślisz, że to wszystko prawda?

– Nie wiem. Ale to nie przypadek, że te oskarżenia wyszły akurat teraz – odparł. – Wszyscy czują, że w tym roku będziemy naprawdę dobrzy.

– Właśnie tak. Rozmawiałeś z Trenerem Carrem?

J. J. pokręcił głową.

– Nie. O ile wiem, nikt z nim jeszcze nie rozmawiał. W każdym razie nie o szczegółach.

– I dobrze. Trener ma wystarczająco dużo na głowie, nie powinien się przejmować takimi bzdurami – stwierdziłam. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że Trener mógłby mieć cokolwiek wspólnego z jakimiś ciemnymi sprawami.

Rozdział 11

W pierwszy weekend sierpnia, tuż przed rozpoczęciem treningów, Lucy zaprosiła moją matkę i mnie nad jezioro LBJ, gdzie wybierała się na weekend z Neilem, Caroline, Lawtonem i Trenerem. Carrowie mieli piękny domek wśród drzew na stromym brzegu, z cudownym widokiem na błękitnozieloną wodę. W młodości często jeździliśmy tam razem, by w letnie dni opalać się na prywatnym molo, pływać pontonem albo czytać książki w hamakach na zadaszonym tylnym ganku. Nie byłam tam jednak, odkąd Connie zaczęła chorować, i zaproszenie lekko mnie zdziwiło, ponieważ sądziłam, że Carrowie będą woleli spędzić ten czas we własnym gronie.

Lucy uparła się jednak, że ja i mama jesteśmy pełnoprawnymi członkami rodziny, po czym odwołała się do futbolu, dodając, że nie potrafi mówić w języku swojego ojca. Od czasu pamiętnych urodzin dwa razy prosiła mnie o listę zawodników, zwłaszcza rekrutów, których nazwisk za żadne skarby nie potrafiła zapamiętać. Zaproponowałam, że wypiszę je dla niej na specjalnych kartach do nauki, co wydało jej się niezłym pomysłem. Z podziwem wspominała matkę, która potrafiła wymienić z pamięci imiona i nazwiska graczy wszystkich składów. Miałam ochotę jej uświadomić, że futbol nie powinien kojarzyć jej się z przykrym obowiązkiem i że naprawdę to wszystko nie jest wcale takie trudne, ale przyszło mi do głowy, że Lucy ma prawdopodobnie taki sam stosunek do mojej ignorancji w temacie mody oraz wykwintnej kuchni.

Tak czy inaczej, w sobotni poranek ruszyliśmy z mamą w drogę,

pozwoliwszy Carron spędzić pierwszą noc nad jeziorem tylko w swoim gronie. Gdy dotarliśmy na miejsce, Trener i Lawton wracali właśnie z wędkami znad wody. Ubrani w takie same szorty, koszulki z logo Walker i klapki bardziej niż kiedykolwiek przypominali ojca i syna. Lawton wdał się bowiem w rodzinę Connie, ze swoim delikatnym koścem, wąską twarzą i jasnoblond włosami.

– Cześć, mała! Cześć, Marie! – zawołał Trener. – Świetnie, że jesteście.

Wyglądał na wypoczętego i zadowolonego, jak zwykle, gdy tu przyjeżdżał. Często powtarzał, że poza stadionem to jego ulubione miejsce na ziemi, i pamiętam, jak Connie mawiała, że jej mąż tylko tutaj potrafi choć na chwilę zapomnieć o pracy. Tak jej się przynajmniej wydawało. Ja miałam wprawdzie co do tego pewne wątpliwości, ale dziś wyraźnie było widać, że Trener nie myśli o dochodzeniu NCAA – jego głos był radosny, a ton lekki.

Przywitałyśmy się z nimi i każda z nas mocno uściskała Lawtona, którego nie widziałyśmy od wiosennego meczu. Potem weszliśmy do domu, gdzie Neil kończył właśnie przygotowywać swój słynny placek pomidorowy, sałatę z rzodkiewką i truskawkowe ciasto.

Usiedliśmy do stołu. Trener Carr zmówił szybką modlitwę – później dowiedziałam się od Lucy, że zrobił to po raz pierwszy od długiego czasu.

– Panie Boże – zaczął. – Dziękujemy ci za błogosławieństwa i za to miejsce, które Connie tak bardzo kochała. Czujemy dziś jej obecność i jesteśmy ogromnie wdzięczni za wszystkie cudowne wspomnienia. Panie Boże, strzeż nas wszystkich i opiekuj się nami. Amen. Naprzód, Broncos.

Kiedy otworzyłam oczy, od Trenera biły spokój i siła. Rozejrzał się dookoła i powiedział:

– To prawda. Wiem, że Connie uśmiecha się do nas z góry. Cieszy się, że jesteśmy tu razem. A jeszcze bardziej cieszy się z tego, że...

Wstrzymałam oddech, głęboko przejęta.

– Że dziś wieczorem skopię wam tyłki w Trivial Pursuit. Kto chce być w mojej drużynie?

– Ja – rzuciłam bez zastanowienia.

Nad jeziorem zawsze graliśmy w różne gry: w tryktraka, szachy, écarté, makao albo Pictionary. Ale Trivial Pursuit było od dwudziestu lat naszą

ulubioną rozrywką i Trener Carr miał rację – wygrywał prawie zawsze, niezależnie od tego, kogo miał za partnera. Ja jednak często zajmowałam drugie miejsce, odpowiadając poprawnie na większość pytań z literatury oraz ze sportu.

– Nie ma mowy – zaproponowała Lucy. – Wy dwoje nie możecie być razem.

Spojrzałam na nią, zbita z tropu.

– To niesprawiedliwe – wyjaśniła. – Jesteście za dobrzy.

– W Baylor mówią to samo o Everclearze i Rhodesie – zauważyłam, zerkając na Trenera.

– Racja – odparł i przybiliśmy piątkę.

*

Kilka godzin później Caroline powędrowała do łóżka, a na stół wyjechały piwo, wino oraz plansza do gry. Skład drużyn ustalaliśmy, ciągnąc losy z czapki Trenera Carra. Moje ciche modlitwy zostały wysłuchane: mama i Lucy wyciągnęły trójki, Neil i Lawton dwójki, a ja i Trener jedyńki.

– Oczywiście – powiedział Trener, puszczając do nas oko, po czym teatralnym szeptem dodał: – Zawsze numer jeden.

Lucy wywróciła oczami, gdy oboje z Trenerem chórem zamówiliśmy zielony pionek, najbardziej zbliżony do barw naszej drużyny.

– Rany boskie, jesteście jak jedna osoba! Mój ojciec i najlepsza przyjaciółka *stanowią jedność* – jęknęła, kręcąc głową.

Trener łyknął piwa i powiedział:

– Shea jest ode mnie odrobinę ładniejsza.

Wiedziałam, że żartuje, ale poczułam, że się rumienię, a zawstydziłam się jeszcze bardziej, gdy mój partner zamienił się miejscami z Lawtonem, żeby usiąść obok mnie. Spuściłam wzrok, udając, że zajmują mnie karty, które podzieliłam na trzy stosiki. Jeden wręczyłam Lawtonowi, drugi Lucy, a trzeci zachowałam dla siebie, po czym podałam przyjaciółce kostkę i powiedziałam:

– Wy pierwsze. Będą wam potrzebne fory.

– Ha – zawołała Lucy, rzucając kostką.

Po paśmie niedorzecznie łatwych pytań, który zakończył się różowym trójkątem oznaczającym rozrywkę, moja mama i Lucy poległy na pytaniu: „Ile kolorów ma tęcza?” (odpowiedź: „Więcej niż człowiek jest w stanie dostrzec”).

Następnie Neil i Lawton potknęli się na pytaniu o Austrię podczas pierwszej wojny światowej.

Nadeszła nasza kolej i zaczęliśmy z wysokiego C, szybko zdobywając pierwsze trzy trójkąty. Jednak zamiast triumfować, pozostaliśmy skupieni, tak samo jak Trener podczas meczu, i żadne z nas nawet się nie uśmiechnęło, gdy rzutem na taśmę zgarnęliśmy kolejny punkt, bezbłędnie odpowiadając na pytanie o wiodącego światowego eksportera bananów (Ekwador).

– Strasznie jesteście z siebie zadowoleni – mruknął Lawton.

Nasze milczenie jeszcze bardziej wytrącało ich z równowagi.

– Nie czepiaj się zawodników – odparłam, uśmiechając się pod nosem. – Ani Trenera.

Trener Carr stuknął pięścią w moją pięść.

– Obrzydliwość. – Lucy pokręciła głową. – Powodzenia przy różowym. Żadne z was nie ma bladego pojęcia o rozrywce.

– To się jeszcze okaże. – Trener rzucił kostką. Wypadł różowy trójkąt. – Jeśli nie wiesz, co powiedzieć, mów: Cyndi Lauper – szepnął mi do ucha.

Uśmiechnęłam się, a Lawton odczytał pytanie:

– Kto powiedział: „Nigdy nie jedz więcej, niż możesz udźwignąć”?

Znałam odpowiedź – choć tylko dlatego, że już kiedyś, wiele lat temu, trafiłam to samo pytanie. Spojrzałam na Trenera, unosząc lekko brwi i rzucając mu spojrzenie pod tytułem: „Bingo, skarbie”.

– W życiu nie zgadniecie – rzekł Lawton, podając kartę Lucy, która przekazała ją Neilowi, a ten z kolei wręczył ją mojej mamie.

Każde z nich wykrzywiało się na widok odpowiedzi. Zaczęli dokuczać nam jedno przez drugie, a tymczasem Trener i ja udawaliśmy, że się naradzamy.

– To pewnie jakaś bardzo chuda gwiazda filmowa – powiedziałam. –

Może Audrey Hepburn. Albo księżna Diana. Farrah Fawcett?

– A może to ktoś większy? – zawtórował mi Trener. – Nell Carter albo Roseanne Barr?

– A może... *Może to...* gruba pacynka? Na przykład muppet! – zawołałam, a naszym przeciwnikom zrzedły miny.

– Miss Piggy? – rzuciłam z kamienną twarzą.

– Wy. Cholerne. Dranie – powiedział Lawton, rzucając kartę na stół.

Trener i ja stuknęliśmy się butelkami shiner bocka i przybiliśmy piątkę. Rzuciłam kostką i tym razem wypadła nauka. Kolejne pytanie brzmiało: „Czy jeżozwierze się masturbują?”.

Trener i ja wymieniliśmy spojrzenia i znów poczułam, że oblewam się rumieńcem.

– Pomyślmy... Założę się, że samce tak – powiedział Trener.

Parsknęłam śmiechem, dzielnie wytrzymałam jego spojrzenie i dodałam:

– Ja się założę, że samice również.

– Założę się, że masz rację – poparł mnie Trener i zwrócił się do mojej mamy: – Okej. Mówimy tak.

– Czy to wasza ostateczna odpowiedź? – spytała. Była to taktyka nowicjusza, której nie zaszczyciliśmy reakcją.

Mama pokręciła głową i wręczyła nam zielony trójkącik.

– Niebawale.

– Niebawale, że jeżozwierze się masturbują? Czy to, że z wami wygramy... – Trener spojrział na zegarek i dokończył: – ...w niecałą godzinę?

Znów rzuciłam kostką i tym razem padło na historię.

– Czego nie zobaczył pierwszy pies w Hiszpanii, któremu założono soczewki kontaktowe tuż po tym, jak mu je założono? – przeczytał Lawton.

– Samochodu, który go przejechał – powiedział Trener. – Bam!

– Ach, co za szkoda – rzuciłam tak sarkastycznie, jak tylko umiałam.

– Co takiego, mała? – zapytał Trener.

– Że do wygranej brakuje nam pomarańczowego trójkąta – odparłam. Pomarańczowy oznaczał sport.

– Rzeczywiście – powiedział Trener, kręcąc głową. – To będzie dla nas

bardzo, *bardzo* trudne.

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu i rzuciłam kostką, która wylądowała pomarańczową stroną do góry. Trener spojrzał na Lawtona i polecił:

– Strzelaj.

Lawton przeczytał pytanie po cichu, po czym pokręcił głową i mruknął:

– Niewyobrażalne.

– Czytaj – powtórzył Trener. – A potem możesz zacząć płakać.

– Kto zdobył Trofeum Heismana w 1964 roku?

Trener rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, od którego zmiękły mi kolana, po czym zwrócił się do Lawtona:

– Czekaj. Pytasz, kto wygrał, czy kto powinien był wygrać?

Szturchnął mnie przy tym nogą pod stołem. Po całym moim ciele rozlało się ciepłe mrowienie.

– Kto *wygrał* – uściślił Lawton, który najwyraźniej nie zrozumiał dowcipu.

Trener wsunął pomarańczowy trójkącik na miejsce i wskazał na mnie.

– Sheo. Ja mam pustkę w głowie. Może ty będziesz wiedziała?

– Hmm. Może to był Butkus...? A może Rhome – zastanawiałam się na głos. – Albo Piccolo... On chyba skończył studia w sześćdziesiątym czwartym, prawda?

Lawton uśmiechnął się od ucha do ucha, ale wtedy powiedziałam:

– Chyba jednak... Postawię na Johna Huartego.

– Czy to ostateczna odpowiedź? – Moja matka nie uczyła się na błędach.

– Owszem, Marie. Słyszałaś, co powiedziała Shea.

– Szlag by to. Ma rację – zaklął Neil.

– Oczywiście, że ma rację. – Lucy wstała i dołała sobie wina.

– Nie ma to jak mały pogrom na rozpoczęcie sezonu. – Trener puścił do mnie oko.

– Nie pierwszy i nie ostatni – odparłam i też mrugnęłam.

W dzień naszego wyjazdu obudziłam się wcześniej, tuż po wschodzie słońca, a kiedy zeszłam na dół, zastałam Trenera pijącego kawę na frontowym ganku i patrzącego na jezioro. Wyglądał na tak spokojnego i nieobecnego, że postanowiłam po cichu się wycofać. Ale w chwili, gdy ruszałam w stronę schodów, on się nagle odwrócił i spojrzał na mnie przez otwarte frontowe drzwi.

– Dzień dobry, mała – powiedział.

– Dzień dobry, Trenerze.

– Wczesnie wstałaś.

– Pan też – odparłam, zbliżając się.

– Dla mnie to już dość późna pora – odrzekł. – W kuchni czeka dzbanek świeżej kawy.

– Na razie dziękuję.

Skinął głową i gestem wskazał mi miejsce, wyszłam więc na ganek i usiadłam na starej drewnianej huśtawce, na której przeprowadziłyśmy z Lucy wiele długich dziewczyńskich rozmów, nie raz i nie dwa upominane przez panią Carr, że bujamy się za szybko lub za wysoko. Zaczęłam się powoli kołysać, spoglądając na taflę jeziora, tak spokojną, że przypominała szybę, lustro, w którym odbijały się drzewa i niebo. Pogawędziliśmy chwilę o tym, jakie to piękne miejsce, zwłaszcza o tej porze dnia, po czym rozmowa zeszła na sprawę, która obojgu nam nie dawała spokoju. Wiedziałam, że Trener ma po dziurki w nosie pytań, którymi bombardowano go, gdziekolwiek się ruszył. A jednak zaryzykowałam jedno z nich z nadzieją, że odbierze je inaczej, słysząc je ode mnie.

– Gotów na rozpoczęcie treningów? – zapytałam, przypatrując się jego profilowi.

– Tak – odparł. Uniósł jedno ramię i przeciągnął się. – Zaczynamy przedstawienie, hm?

Skinęłam głową. Moje następne pytanie było łatwe do przewidzenia.

– Jak pan myśli? Reggie będzie taki dobry, jak to wszyscy wróżą?

– Nie. *Taki* dobry nie będzie.

Uśmiechnęłam się do siebie, odnotowując, że Trener zawsze deprecjonuje umiejętności swoich graczy, wynosząc przy tym przeciwników pod niebiosa. Wszyscy trenerzy stosowali ten trik. Ustawienie się w pozycji słabeusza oznaczało mniejszą presję.

– Chłopak ma talent, ale nigdy nie wiadomo, czy zgra się z resztą. Dobre jest to, że starsi zawodnicy naprawdę go lubią. Jak na tak zdolnego dzieciaka, jest zadziwiająco skromny. W ogóle się nie popisuje.

– To rzeczywiście dobrze – przyznałam.

– Zobaczymy... Nigdy nic nie wiadomo... Może się okazać, że przed nami kamienista droga...

– Co ma pan na myśli? – zapytałam z nadzieją, że chodzi mu o najtrudniejszy moment rozgrywek, gdy spotkamy się kolejno z Uniwersytetem Stanowym Florydy, Stanfordem i Texas Longhorns. Czułam jednak, że jego troska ma więcej wspólnego z nabzdyczoną damą, która przechadzała się niedawno po korytarzach wydziału.

Trener, nagle zaaferowany, gwałtownie wyprostował się na krześle, zupełnie jakby dostał zastrzyk adrenaliny.

– Nienawidzę NCAA. To zapatrzona w swoje interesy banda hipokrytów... Są źli do szpiku kości.

– Źli? – Uniosłam brwi. – Nie przesadza pan odrobinę? Zły jest Ku-Klux-Klan. Talibowie są źli...

– Przynajmniej Ku-Klux-Klan ani talibowie nie *udają* dobrych – przerwał mi Trener. Dopił kawę i odstawił kubek na podłogę.

Spojrzałam na niego i wreszcie wykrztusiłam:

– Trenerze... Naprawdę będzie dochodzenie w naszej sprawie?

Po chwili wahania odrzekł:

– Na to wygląda.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo wygrywamy – odparł. – Prosta sprawa. Każda drużyna, która wygrywa, jest natychmiast prześwietlana w taki czy inny sposób. Więc i w naszym przypadku była to tylko kwestia czasu.

– Czyli myśli pan, że nic nie znajdą?

– Jestem pewien, że będą grzebać, aż coś wygrzebią.

– Czy oni... Mówią coś o panu? – zapytałam, gotując się na cios.

Trener potrząsnął głową.

– Nie. W każdym razie jeszcze nie. Na razie czepiają się drobiazgów, których nie sposób kontrolować. Wykładowców piszących eseje za zawodników. Profesorów, którzy dają dzieciakom lepsze oceny, niż na to zasłużyły... NCAA ma zwyczaj rozdmuchiwać takie drobnostki do monstrualnych rozmiarów i używać ich do usprawiedliwienia swoich podejrzanych praktyk.

– Czyli?

– Loty prywatnymi samolotami. Wyrzucanie pieniędzy w błoto. Po prostu wykorzystują tych chłopaków, żeby się wzbogacić. Ciągają zyski z glorii amatorskiego sportu. – Trener zaczął mówić szybciej, a w jego głosie było coraz więcej goryczy. – Cała ta wzniosła idea amatorstwa to jeden wielki żart. Zastłona dymna. Mistyfikacja, obmyślona przez NCAA i przyklepana przez uczelnie po to, żeby wykorzystywać młodych ludzi do własnych celów. Dzieciak nie może namalować sobie na twarzy imienia swojej dziewczyny albo jakiegoś hasła, które jest mu bliskie... Oni za to mogą go zmusić, żeby nosił logo korporacji na koszulce, osłonie kasku, opasce na nadgarstku, na spodniach, na butach... I coraz bardziej się na tym bogacą. Wiesz, że Konferencja Południowo-Wschodnia zarobiła w zeszłym roku ponad miliard dolarów? *Miliard* dolarów! A Big Ten jest tuż za nimi. Dobrze, co?

Wpatrywałam się w niego bez słowa. Oczywiście, słyszałam już wcześniej te wszystkie argumenty, choć nigdy nikt nie ujął ich tak rzeczowo. I nie słyszałam ich od niego.

– Wiesz, ile CBS Sports i Turner zapłacili NCAA za prawa do relacji z tegorocznego March Madness? W przybliżeniu jakieś osiemset milionów dolarów. Trzy czwarte miliarda za nieopłacaną pracę studentów. Te dzieciaki generują miliardy dla NCAA, uniwersytetów, bractw, nawet dla nas, trenerów... Ale nie wolno im przy tym zarobić paru groszy? Tylko nie wyjeżdżaj mi tu z tym gównem o stypendiach.

– Nie miałam takiego zamiaru – wymamrotałam z uśmiechem, ale on chyba mnie nie usłyszał.

– Dziewięćdziesiąt stypendiów to *psie pieniądze* w porównaniu

z zyskami, które przynoszą. Gdzie tu sprawiedliwość? Czy to jest w porządku? To wykorzystywanie ludzi... To... To jak kolonializm wprowadzany pod przykrywką frazesów o „dobru młodych sportowców”.

Skinęłam głowę, chłonąc jego słowa, zachwycona pasją, z jaką je wypowiada.

– Jak myślisz, czemu nigdy niczego nie reklamowałem? – zapytał. Zanim zdołałam odpowiedzieć, już mówił dalej: – Powiem ci dlaczego. Dlatego, że nie potrafię z czystym sumieniem przyjąć miliona dolarów za chodzenie w nike’ach, podczas gdy niektórych z moich chłopców nie stać na przyzwoitą parę butów.

Myślałam, że skończył, ale on perorował dalej:

– Albo pomyśl o tym: NCAA sprzedaje DVD z meczów... I prawa do gier wideo opartych na klasycznych momentach z historii uniwersyteckiego sportu... Ale ludzie, którzy brali w nich udział, nie mogą na tym zarobić, nawet jeśli skończyli studia i przeszli na zawodowstwo. Nie sądzisz, że prawa do wizerunku sportowca powinny należeć do niego samego? Że jeśli producent gier wideo wykorzystuje jego twarz, powinien mu za to zapłacić?

– No tak – powiedziała. – Oczywiście.

Trener pokręcił głowę.

– A figę. Taki sportowiec nie otrzymuje ani grosza. Pamiętasz A.J. Greena, tego dzieciaka, który sprzedał swoją koszulkę z Pucharu Niepodległości, żeby wyjechać ze znajomymi na ferie wiosenne?

Skinęłam głowę.

– Zawiesili go na cztery mecze, a tymczasem Uniwersytet Stanowy w Georgii spokojnie sobie sprzedawał repliki tej samej koszulki i zgarniał czterdzieści dolców za sztukę. Albo spójrz na Uniwersytet Stanowy Ohio. Jak można udupić trenera i cały program za to, że paru chłopaków sprzedało kilka rzeczy, żeby sobie zrobić tatuaże, a uczciwy facet próbował ich chronić? To tylko *dzieciaki!* A dzieciaki z definicji popełniają błędy.

– Zgadza się. To była trochę zbyt surowa kara – powiedziała, mając na myśli zakaz startu w rozgrywkach pucharowych, cięcia w stypendiach i kilkuletni okres nadzoru.

Trener prychnął z pogardą.

– Owszem, czasem uda im się wyeliminować prawdziwego oszusta i dopaść paru typów spod ciemnej gwiazdy, ale w większości przypadków to jest zwykłe polowanie na czarownice. – Wychylił się i wbił we mnie wzrok. – Te ich sankcje spadają na przypadkowe ofiary, które akurat sobie upatrzyli. W dodatku przy złamaniu wszelkich reguł postępowania. Każdy, kogo oskarżają, jest winny, zanim cokolwiek zostanie mu udowodnione, i prawie albo w ogóle nie ma szansy na odwołanie. To despoty, którzy trzymają w ręku władzę absolutną, a wszyscy wiemy, do czego to prowadzi.

Spojrzałam na niego, myśląc, że w Walker to *on* ma władzę absolutną i że nigdy nie wykorzystał jej do niczego złego. Ani dla własnego zysku, ani do jakichkolwiek innych celów poza dobrem zawodników i programu. A jednak, kiedy wstał, żeby dolać sobie kawy, zaczęło mnie uwierać niejasne poczucie, że nie wszystko w życiu jest tak przewidywalne, jak bym sobie tego życzyła.

Rozdział 12

Czterdzieści osiem godzin po naszym powrocie znad jeziora nadszedł wreszcie mój ulubiony dzień w roku – pierwszy dzień treningów i oficjalne rozpoczęcie sezonu futbolowego. Jak wszyscy w Walker, byłam nabuzowana i pełna wielkich nadziei. Jednak z jakiegoś powodu nie czułam się tak, jak się spodziewałam.

Wytłumaczyłam sobie, że po prostu mam tremę przed rozpoczęciem sezonu – tym większą, że oczekiwania były ogromne. A może martwiłam się dochodzeniem? W korytarzach huczało od plotek, a ja nie potrafiłam znieść myśli, że niesprawiedliwość NCAA może pokrzyżować nam plany.

A jednak chodziło o coś więcej. Cały czas dokuczało mi zwątpienie, to samo, które poczułam po śmierci pani Carr. Wciąż miałam wrażenie, że nie jestem na właściwej drodze. Że mimo wszystkich moich wysiłków, by ruszyć pełną parą z nową pracą i nowym związkiem, wciąż tkwiłam w tym samym miejscu. Przesiadywałam na treningach albo gnieździłam się w swoim ciasnym gabinecie, bez końca odbierając telefony od prawdziwych dziennikarzy.

*

Pewnego dnia po treningu odwiedziłam Lucy w jej butiku. Często tam wpadałam, czasem na zakupy, czasem po to, by pomóc w rozpakowywaniu towaru, a czasem żeby się tylko przywitać. Dziś Lucy

wyszła zza lady i uściskała mnie radośnie.

– Cześć! Co słychać? Przyszłaś przygotować się do treningów?

Roześmiałam się.

– Tak, jasne. Nie wiedziałam, że zaczęłaś sprzedawać dresy Walker.

Lucy się uśmiechnęła.

– Mam dla ciebie kilka rzeczy na zapleczu. Coś na późne lato i wczesną jesień.

– To świetnie. Jutro wraca Ryan – powiedziałam i poczułam lekki przypływ podniecenia. – Chętnie kupiłabym sobie coś nowego.

Lucy zerknęła na mnie z ukosa i wróciła za ladę. Po chwili zdjęła z półki pod kasą jakieś kolorowe czasopismo.

– Widziałaś?

Popatrzyłam we wskazane miejsce i ujrzałam nieostre, zrobione z ukrycia zdjęcie Ryana i Blakeslee, siedzących razem w ogródku jakiejś kawiarni. Tekst pod spodem sugerował, że być może się pogodzili, ale z radością zauważyłam, że scena nie miała w sobie krzty romantyzmu. Blakeslee siedziała nadąsana, z założonymi ramionami, a Ryan pochylał się nad telefonem. Na stoliku pomiędzy nimi stała butelka wody Perrier i dwie szklanki.

Czułam na sobie wzrok Lucy, która wypatrywała mojej reakcji, a tymczasem sama nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. Czy jestem zła? Zazdrosna? Smutna?

– Może właśnie wtedy do ciebie pisał – powiedziała Lucy pełnym nadziei tonem, wbijając wzrok w zdjęcie i bezskutecznie próbując dojrzeć, co znajduje się na wyświetlaczu telefonu Ryana.

Mnie również przyszło to do głowy i zapytałam, czy wie, kiedy zrobiono to zdjęcie.

– Tu jest napisane, że w sobotę. Rozmawiałaś z nim w sobotę?

– Byliśmy nad jeziorem – przypomniałam jej. – Tam jest kiepski zasięg.

– Myślisz, że oni naprawdę mogą do siebie wrócić? – zapytała Lucy z troską.

Wzruszyłam ramionami, wciąż wpatrując się w fotografię. Blakeslee była ubrana w dość masywne sandały gladiatorki, takie, które wyglądają ładnie na bardzo niewielu kobietach, a do tego w bardzo krótkie szorty

i modny top w stylu boho. Filigranowa i opalona, miała w gruncie rzeczy wszystko, czego mnie brakowało.

– Możliwe – powiedziałam. – Naprawdę nie wiem.

– Jezu. Masz paskudne szczęście do ludzi, którzy się rozwodzą, a potem schodzą na nowo – rzuciła Lucy, nawiązując oczywiście do historii mojego ojca i jego żony Astrid.

– Nie wrzucałabym ich do jednego worka – zaproponowałam, myśląc że jednak nie sposób porównać spotkania Ryana i Blakeslee nad butelką wody mineralnej do decyzji mojego ojca, by mnie porzucić dla swojej pierwszej i najwyraźniej ulubionej córki.

– Rzeczywiście, masz rację. – Lucy pokręciła głową. – Ale to *naprawdę* irytujące. Nie powiedział ci, że ma zamiar się z nią spotkać?

Pokręciłam głową.

Lucy odłożyła magazyn i podeszła do stolika z przecenionymi rzeczami, na którym zalegały sterty topów marki Splendid w jasnych, letnich kolorach, przywodzących na myśl sorbety. Ruszyłam za nią, żeby pomóc jej w porządkach.

– Cóż, uważam, że zakładanie najgorszego scenariusza nie ma sensu – powiedziała Lucy.

– Wiem – odparłam.

W tym momencie do sklepu weszła młoda kobieta z niemowlęciem i zaczęła manewrować wózkem pomiędzy stolikami z dżinsami marki J. Brand. Lucy przywitała ją serdecznie i zaoferowała pomoc. Kobieta odmówiła, po czym zaczęła się dokładnie przyglądać każdej parze dżinsów, szukając najdrobniejszych różnic między poszczególnymi sztukami z rozmiaru dwadzieścia osiem. Wiedziałam, jak bardzo Lucy nie cierpi takiego zachowania, podobnie zresztą jak każdy, kto kiedykolwiek pracował w sklepie i spędził choć jeden dzień na ponownym składaniu rozrzuconych ciuchów.

– Masz zamiar się z nim zobaczyć? – zapytała Lucy.

– Na razie nie. Ale może jednak coś przymierzę – rzuciłam tak pogodnie, jak tylko umiałam. – Na wszelki wypadek.

Lucy uśmiechnęła się do mnie, równie dumna jak wtedy, gdy Caroline postawiła pierwsze kroki.

– Dzielna dziewczyna – powiedziała.

*

Spotkałam się jednak z Ryanem, gdy tylko wrócił, i to na jego prośbę. Myśleliśmy o wspólnym wyjściu, ale wiedziałam, że będzie zmęczony, zaproponowałam więc, by po prostu do mnie wpadł. Odparł, że to wspaniały pomysł, a ja tymczasem powtarzałam sobie w duchu: „nie wstydz się tego, kim jesteś. Nie odgrywaj ofiary. Bądź pewna siebie. Korzystaj z życia. Nie myśl ani nie mów o Trenerze, ani broń Boże do niego nie dzwoń.

Gdy Ryan zapukał do drzwi, byłam gotowa i powitałam go z uśmiechem na twarzy. Wyglądał jeszcze cudowniej niż ostatnio, ze złotą opalenizną i w błękitnym T-shircie, który pięknie się układał na jego umięśnionych ramionach i barkach.

– Cześć, Ryan – powiedziałam, czując, jak po plecach przebiega mi dreszcz ekscytacji.

– Cześć – odpowiedział, pochylając się, po czym obdarzył mnie długim pocałunkiem, który przerwał tylko po to, by szepnąć mi do ucha: – Tak dobrze cię widzieć.

Poczułam na ramionach gęsią skórę, odsunęłam się i spojrzałam mu w oczy.

– Ciebie też – skwitowałam, uznając, że nie chcę psuć tego wieczoru pytaniem o Blakeslee.

Zaprowadziłam go na sofę, gdzie długo całowaliśmy się przykryci jedynym luksusowym przedmiotem w moim salonie, a mianowicie kaszmirową narzutą, zesłorocznym gwiazdkowym prezentem od ojca i Astrid. Materiał był tak miękki, że w pewnym momencie Ryan wymamrotał:

– Chciałbym znaleźć się z tobą pod tym nago.

Uśmiechnęłam się do niego nieśmiało, po czym nie czekając, aż stracę odwagę, ściągnęłam koszulę i zsunęłam dżinsy.

– Pragnę cię – wyszeptałam pomiędzy zachłannymi, głębokimi

pocałunkami.

– Ja ciebie też, kochanie.

– Lubię, kiedy tak mnie nazywasz. – Zanurzyłam palce w jego włosach, podziwiając ich gęstość i kosztowne cięcie.

– Przecież *jesteś* moim kochaniem – powiedział, a ja nie tylko mu uwierzyłam, ale i nabrałam absolutnego przekonania, że nic się nie dzieje między nim a Blakeslee czy jakąkolwiek inną kobietą.

Patrzyłam, jak siada i zdejmuje koszulę, odsłaniając mięśnie trójgłowe, czworoboczne i inne, których nazw nie potrafiłam wymienić. Pokręciłam głową, oszołomiona pięknem jego ciała, a on się uśmiechnął, ponieważ dobrze wiedział, o czym myślę – że jest zjawiskowym okazem mężczyzny. Szkoda tylko, że mu nie dorównuję – pomyślałam, rozpinając stanik i wtulając się głębiej w kokon kanapy.

– Widzisz, jaka miękka?

Miałam na myśli narzutkę, ale zabrzmiało to chyba, jakbym mówiła o swojej skórze, bo Ryan mruknął:

– Och, miękka, mięciutka.

Podniecało mnie jego podniecenie.

– A ty... mógłbyś występować w reklamach bielizny. Masz takie ciało, że...

– Że co? – wyszeptał.

– Że prawie cię przez to nie lubię.

– Ejże, nie mów tak – zaprotestował z uśmiechem.

– Twoje ciało mnie zawstydzą – powiedziałam, myśląc o tym, że porwałam się z motyką na słońce. Ryan był zdecydowanie poza moją ligą. – Ty mnie zawstydzasz.

Odsunął moją rękę, którą zakrywałam brzuch i zaczął go pieścić w miejscu, gdzie był najmniejszy.

– Przestań – zażądał szeptem. – Masz piękne ciało. O, na przykład ten fragment.

Uwierzyłam mu na tyle, że przestałam wciągać brzuch, a wtedy on podniósł mnie z kanapy razem z kocem i zaniósł do sypialni. Był to swego rodzaju pierwszy raz. Nie pierwszy raz, kiedy facet zaniósł mnie do łóżka – robił to nawet Miller – ale pierwszy raz, gdy nie czułam się przy tym ciężka

jak kłoda. Leżąc w ramionach Ryana i obejmując go za szyję, wydawałam się sobie smukła, lekka i pełna wdzięku. Popatrzył mi w oczy i bez wysiłku opuścił mnie na materac, a jego mięśnie zagrały w ciepłym świetle lampki, wystarczającym, by ukryć moje niedoskonałości, a zarazem podkreślić idealne proporcje jego ciała.

– Może włączę muzykę? – zaproponowałam.

Ryan wolno pokręcił głową, a potem klęknął na podłodze przy łóżku. Próbowałam usiąść, ale popchnął mnie z powrotem na poduszkę swoją szeroką, twardą dłoń, podczas gdy druga dłoń wędrowała po wewnętrznej stronie mojego uda, by się zatrzymać między nogami. Nie opierałam się, uniosłam biodra, żeby łatwiej mógł zdjąć moje czarne stringi. Potem usiadłam, przyciągnęłam go do siebie i powiedziałam:

– Chodź tu. Chcę poczuć cię na sobie.

Położył się więc na mnie i dzieliły nas już tylko jego szare bokserki. Przesunęłam rękoma po jego wyrzeźbionych plecach i ściągnęłam mu majtki tak nisko, jak udało mi się sięgnąć, po czym oplotłam go nogami, zahaczyłam palcem stopy o gumkę i dokończyłam dzieła.

– O rany – szepnęłam zdyszana, dotykając jego twardego jak stal tyłka. – Rany.

Otarł się o mnie prowokująco i upewnił, czy mi wygodnie. Powiedziałam, że tak.

– A czy...

– Czy biorę pigułki? – odgadłam. – Owszem. Potrzebujemy czegoś więcej?

Wiedział dokładnie, o co go pytam, może nawet wiedział, że oczami wyobraźni ujrzałam właśnie długi rząd cheerleaderek.

– Nie, kochanie – zapewnił. – Zawsze bardzo uważam.

Rozluźniłam się więc, wierząc, że nawet jeśli jestem jedną z wielu, to nie jedną z wielu, którym ufa na tyle, by kochać się z nimi bez prezerwatywy. Tymczasem Ryan, całując moją szyję, rozgarnął pościel i ułożył mnie na łóżku pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tym razem z głową na poduszce. Spojrzałam na niego. Był tak blisko, że dostrzegłam tylko oczy i nos, czyli te partie jego twarzy, które widywałam w telewizji przez otwory w biało-błękitnym kasku. Teraz był tak samo naładowany

emocjami, tak samo skupiony, gdy zapytał:

- Gotowa?
- Bardziej gotowa już nie będę. A ty?
- Tak, kochanie.

Wtedy wszedł we mnie, na początku delikatnie i z ogromnym wyczuciem chwili oraz własnych ruchów. Otworzyłam oczy. On zrobił to samo, a potem znów przymknął powieki, napinając wszystkie mięśnie, by wcisnąć się we mnie głębiej, do końca. *Mój Boże*, powtarzałam w duchu, dodając do tego garść niecenzuralnych słów, bo było to bez wątpienia najlepsze fizyczne przeżycie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam. Podobnie wyobrażałam sobie chwile po zażyciu heroiny. Natychmiastowe, rujnujące uzależnienie. Wciąż mamrocząc do siebie, zatraciłam poczucie przestrzeni i pozwoliłam mu przejść kontrolę. Ryan to przyśpieszał, to zwalniał, poruszając się w przerażająco cudownym rytmie. Odwrócił mnie i wśliznął się we mnie od tyłu, wciskając pierś w moje plecy, trzymał mnie mocno, delikatnie pociągał za włosy i całował w ucho, powtarzając moje imię. A potem, gdy nie mogłam wytrzymać już ani sekundy dłużej, odwrócił mnie z powrotem i kazał spojrzeć sobie w oczy. W pokoju zrobiło się gorąco jak w saunie, skopałam więc prześcieradła. Nasze ciała były śliskie od potu. Czułam, że zaczynam drżeć, a potem usłyszałam własny głos, wykrzyknęłam jego imię i doszliśmy jednocześnie.

Później zapadłam w letarg. Nie byłam w stanie się poruszyć ani odezwać, jedyne, na co miałam siłę, to oddychanie, i wtedy przyszła zniewalająca świadomość, że właśnie przeżyłam najlepszy seks w swoim życiu z boskim rozgrywającym cholernych Kowbojów z Dallas.

*

Następnego ranka, gdy się ocknęłam z twardego snu, Ryan stał nad moim łóżkiem. Był ubrany we wczorajsze ciuchy, ale świeżo wykąpany, a ciemne włosy miał wilgotne i starannie ułożone. W pośpiechu odgarnęłam z twarzy niesforne kosmyki i otarłam usta wierzchem dłoni.

- Śliniłam się? – To było okropnie niesprawiedliwe: nie dość, że ten

facet jest ode mnie o kilka klas lepszy, to jeszcze potrafi wyszykować się w pięć minut.

– Ani trochę. Bardzo ładnie spałaś – odparł Ryan.

– Dzięki. – Prawdę mówiąc, nie był pierwszym mężczyzną, od którego to usłyszałam.

– Jesteś śliczna, kiedy śpisz, i śliczna, kiedy się budzisz. I naprawdę piękna, kiedy się ze mną kochasz. – Drugie zdanie dodał szeptem, jakby dzielił się ze mną wiedzą dostępną tylko wtajemniczonym.

Uśmiechnęłam się zawstydzona i usiadłam na łóżku, otulając się kołdrą.

– Wychodzisz? – spytałam. Bardzo nie chciałam wydać mu się żalosna albo wścibska. Dlatego poczułam ulgę, uznawszy, że w moim głosie nie zabrzmiała desperacka nuta. Właściwie wołałabym, żeby już sobie poszedł. Nie lubiłam takich niezręcznych poranków.

– Owszem. Muszę lecieć. Nie chciałem cię budzić. – Usiadł na skraju łóżka. – Ale nie chciałem też wyjść bez pożegnania.

– Nic nie szkodzi. I tak powinnam wstać – powiedziałam. – Muszę iść do pracy. Dziś jest mecz siatkówki. Nasze dziewczyny grają z Penn State.

Pokiwał głową, wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka. Był to zaskakująco czuły gest, jeśli wziąć pod uwagę to, co robiliśmy nocą. Oczywiście, może właśnie dlatego wydał mi się tak czuły.

– Chętnie bym został i przygotował dla ciebie śniadanie, ale mam trening. Potem kilka spotkań i masaż o czwartej.

Skinęłam głową, zastanawiając się, po co podaje mi swój plan dnia. Może jego zdaniem przeszkadza mi to, że tak wczesnie wychodzi? Nie przeszkadzało. A może chciał położyć grunt pod to, żeby więcej do mnie nie dzwonić? Ale ja przecież rozumiałam. Był zajęty. Bardzo zajęty.

– Okej. Dzięki, że wpadłeś – powiedziałam, siląc się na swobodę. Udałam nawet, że ziewam i przeciągnęłam się niezobowiązująco. – Fajnie było.

Najwyraźniej zabrzmiało to *zbyt* nonszalancko, bo Ryan pokręcił głową i powtórzył:

– Fajnie?

– Wiesz, co mam na myśli – powiedziałam z uśmiechem.

– Fajnie to jest grać na Xboksie. Strzelać do rzutków. Chodzić do kina.

– No dobrze. Spróbuję jeszcze raz. Zeszła noc... była niesamowita... Fantastyczna... Cudowna pod każdym względem. – Uśmiechnęłam się porozumiewawczo i złapałam go za rękę. Kołdra opadła mi do pasa.

– Już lepiej. I zgadzam się – powiedział, ściskając moją dłoń. Jego wzrok ześliznął się na moje piersi, a potem uniósł się powoli i utkwiał w moich oczach. Wszystko, co Ryan mówił i robił, było pełne namysłu, niewymuszone i szczere. Na mnie działało.

Uśmiechaliśmy się do siebie jeszcze przez kilka sekund, po czym Ryan spoważniał, posmutniał niemal i powiedział:

– Naprawdę cię lubię, Sheo.

– Ja ciebie też – odparłam.

– Szukałem takiej dziewczyny jak ty. A ty tu byłaś. Przez cały czas.

Wytrzymałam jego spojrzenie, choć mój system obronny krzyczał, że Ryan może mieć każdą, której zapragnie. Dlaczego miałby wybrać właśnie mnie? Swoją drogą, po co miałby kłamać? Zwłaszcza że przecież już się z nim przespałam. Poczułam, że jestem gotowa mu zaufać, i powiedziałam:

– Tak. Byłam tu. Przez cały czas.

A potem pochyliłam się i pocałowałam go na pożegnanie.

Rozdział 13

W wieczór poprzedzający pierwsze wydarzenie sezonu – mecz przeciwko Rice – Lucy zadzwoniła do mnie z domu swojego taty. Ostatnie dni były dla niej bardzo trudne i bardziej niż zwykle tęskniła za mamą. Dziś jednak głos miała pogodny.

– Jutro wielki dzień! – zaszcebiotała w słuchawkę.

– Aha. Jak się miewa twój tata? – zapytałam, choć rozmawiałam z nim kilka godzin wcześniej na boisku i wiedziałam, że jest dobrej myśli.

– Coraz bardziej się denerwuje. Zrobiłam mu właśnie koktajl truskawkowy. Dzięki Bogu zdążyłam poprosić mamę o dokładny przepis. Nigdy bym nie wpadła na to, żeby dodać słodzonego mleka w proszku. I zaprzepaściłabym szanse drużyny.

Parsknęłam śmiechem.

– Nie sądzisz, że on jest najbardziej przesądnym człowiekiem na świecie? – zapytała Lucy.

– Wcale nie jestem przesądny – zawołał Trener z daleka.

– Nie? A koktajle truskawkowe przed każdym meczem? Te paskudne stare skarpetki z dziewięćdziesiątego czwartego? Mello Yello zamiast kawy, kiedy gracie z drużyną, która jest wyżej w rankingach? Guma Big Red, koniecznie kupiona w Parkit Market? Nie w E Z Stop. Nie w Chevronie. Nie w 7-Eleven. Koniecznie w Parkit Market.

Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie, jak podczas zakupów z matką już przy kasie wrzuciłam do koszyka paczuszkę big red. Byłam wtedy najwyżej w trzeciej klasie. Przy okazji najbliższej wizyty u Lucy

wręczyłam ją Trenerowi Carrowi, który podziękował, po czym zapytał, gdzie ją kupiłam. Odparłam, że w supermarkecie, a wtedy on pokiwał głową z uśmiechem, uklęknął i wyszeptał: „Zdradzę ci pewien sekret”.

„Jaki?” – zapytałam, nachylając się ku niemu z błyszczącymi oczami.

„Big red to moja ulubiona guma i będę się cieszył każdym listkiem z tej paczuszki... Ale jeśli chcesz kupić najlepszą gumę, która w dodatku przyniesie ci szczęście, musisz iść do Parkit Market”.

„Dlaczego tam?” – zapytałam, myśląc, że przecież wszystkie opakowania pochodzą z tej samej fabryki, takiej jak ta, w której pracowali moi dziadkowie, gdy mama była mała.

„Dlatego, że big red z Parkit Market pomogła nam pokonać Teksas w 1985, czyli w roku, w którym ty i Lucy poszłyście do przedszkola”.

„Ale od tamtego czasu nie raz z nimi wygraliśmy” – powiedziałam.

„Wiem – odparł Trener, z powagą kiwając głową. – I za każdym razem miałem ze sobą big red z Parkit Market”. Wstał i poklepał się po kieszeni.

Pomyślałam wtedy – dobrze to pamiętam – że przecież zdarzały nam się również przegrane. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że Trener zapomniał zabrać na mecz gumę Big Red? Nie – wiedziałam, że nie o to chodzi i że to wcale tak nie działa. Być może to nie guma sprawiała, że wygrywaliśmy, ale jej brak z pewnością spowodowałby przegraną. Zresztą tak czy inaczej, nie będzie okazji, żeby przetestować tę teorię.

Wróciłam do rzeczywistości, w której Lucy nadal przekomarzała się z ojcem. Usłyszałam jak mówi:

– Sheo. Posłuchaj tego. Tata powiedział właśnie: „To nie przesady. To rytuały”. – Naśladując go, idealnie uchwyciła akcent i melodię, choć ton jej głosu był odrobinę za wysoki.

Parsknęłam śmiechem.

– A świerszcza już złapał?

To była aluzja do zwyczaju sięgającego początków jego kariery, gdy pewnej nocy Trener nie mógł zasnąć przed ważnym meczem. Winił o to hałaśliwego świerszcza za oknem sypialni – zerwał się więc z łóżka i złapał owada do słoika. Następnego dnia drużyna Walker wygrała i tak narodził się kolejny przesąd.

– Och, rzeczywiście! Zapomniałam o *rytualnym* polowaniu na

świerszcza! Dorwałś go już, tato? Siedzi zapuszkowany w jakimś słoju w garażu?

– Jeszcze nie – brzmiała odpowiedź Trenera. – Na to przyjdzie czas *po* koktajlu.

Uśmiechnęłam się, słuchając wywodów Lucy – twierdziła, że czynność, która zabiera ponad pół godziny i wymaga mnóstwa przekleństw oraz wymachiwania latarką, to z pewnością coś więcej niż rytuał.

– Prawda, Sheo? – zapytała.

– Tak. Tu się chyba z tobą zgodzę – przytaknęłam. – Powiedz Trenerowi...

Zawahałam się, a tymczasem Lucy dokończyła za mnie:

– ...Że życzysz mu powodzenia... Zrobi się.

– Nie. Nie to – zaprotestowałam. Wiedziałam, że Trener nie lubi, gdy życzy mu się powodzenia przed meczem, i nie mogłam wyjść z podziwu, że dotychczas uchodziło to uwadze jego córki.

– To co mam mu powiedzieć? – zapytała Lucy, po czym dodała: – Nieważne. Zrób to sama.

Oddała mi słuchawkę i nagle usłyszałam jego głos:

– Cześć, mała.

– Cześć, Trenerze – powiedziałam, zaciskając palce na telefonie.

– Co tam dla mnie masz? – zapytał.

– Niech pan złapie dużego świerszcza – szepnęłam, a serce podskoczyło mi w piersi.

– Postaram się – odparł i już wiedziałam, że się uśmiecha. – Do jutra, Sheo.

– Do jutra, Trenerze.

*

Następnego wieczoru dotarłam na stadion długo przed otwarciem bramek, razem z facetami od sprzętu, ochroniarzami i dozorcami. Ja również miałam swoje rytuały i to był jeden z nich – pierwsze spojrzenie na pustą płytę boiska i nieruchome trybuny przyprawiało mnie o dreszcz

podniecenia. Nie był to największy, najnowszy ani najpiękniejszy z akademickich przybytków (choć planowano generalny remont), lecz ja, podobnie jak Trener, kochałam to miejsce najbardziej na świecie. Sceneria za to była niezwykle malownicza. Ceglana fasada w kształcie podkowy wyrastała pośród rozległych łąk, a z jej otwartego końca rozciągał się przepiękny widok na rzekę Brazos. Kiedy weszło się do środka, zaczynała się inna historia, ale surowość i brzydota tego wnętrza sprawiały, że kochałam je jeszcze bardziej. Uwielbiałam zatęchłe korytarze wiodące do szatni, potężne stalowe dźwigary pokryte niezliczonymi warstwami szarej farby i wyblakłe oznaczenia pamiętające lata pięćdziesiąte. Znałam każdy centymetr kwadratowy tych kątów, które były dla mnie jak uświęcona ziemia.

Może to i bluźnierstwo, ale naprawdę na tym stadionie czułam, że jestem bliżej Boga niż w kościele podczas pasterki. Powtarzałam sobie, że są przecież ludzie, którzy osiągają stan najgłębszej duchowości w lesie lub nad brzegiem morza. Owszem, Bóg stworzył drzewa i wodę, w przeciwieństwie do stalowej szkarady wzniesionej w 1938 roku i przez lata chaotycznie rozbudowywanej. Mimo to czułam tu Jego obecność – zwłaszcza tego wieczoru, gdy nagle zaczęłam się modlić o to, żebyśmy zapamiętali ten sezon na zawsze. Modliłam się o mistrzostwo kraju.

Było to moje marzenie od prawie trzydziestu lat i choć nieraz wygrywaliśmy ważne mecze pucharowe, nie mogło się to równać ze zdobyciem tytułu BCS. Byciem numerem jeden. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek wrzuciła pensa do fontanny albo zdmuchnęła urodzinowe świece i nie pomyślała przy tym tego jednego prostego życzenia. Teraz jednak stawka jeszcze bardziej poszybowała w górę. Gramy o wyższy cel, pomyślałam, mrużąc oczy i spoglądając w blade niebo. Myślałam o Connie i Trenerze. Słońce rozgrzewało świeżo skoszoną trawę, a gdy ocierałam pot z czoła, miłosierny podmuch wiatru nadał wczesnemu wieczorowi słodką, sielską nutę. Cisza przed burzą.

Ruszyłam wzdłuż białej linii bocznej, po czym skręciłam w tunel i skierowałam się w stronę leciwej windy, która zawiozła mnie do łoża prasowej. Musiałam znaleźć J. J.'a. Czas był najwyższy przygotować się na najazd reporterów; innymi słowy koniec marzeń, pora rozpocząć pracę,

najlepsze lekarstwo na przedmeczową treść. Choć nie denerwowałam się *aż tak* jak zwykle. Nikt przecież nie wątpił w to, że pokonamy Rice, o ile ich wręcz nie zmiażdżymy. Być może bezapelacyjne zwycięstwo w tym sezonie było nam po prostu pisane.

Niebawem otwarto bramki, fala studentów i kibiców wlała się do środka i wieczór upłynął zgodnie z przewidywaniami. Nasza drużyna wybiegła na boisko i rozpoczęła się klasyczna rozgrzewka. Barwna orkiestra dęta Walker uderzyła w zuchwałe tony. Cheerleaderki rozwinęły zielony baner z ogromną literą W i zaczęły się modły do futbolowych bogów. Tymczasem tablice punktowe tykały, odliczając ostatnie minuty i sekundy dzielące nas od fajerwerków, hymnu, rzutu monetą, wykopu i *sezonu*. Nowy Rok w sierpniu.

*

Nasz pierwszy atak był szybki i stanowczy, przypominał mi słynną bitwę pod San Jacinto, tyle że był o wiele mniej krwawy. Jedno celne podanie po drugim, a na koniec cudowne przyłożenie. Nastąpiła zamiana i po chaotycznej akcji Rice piłka wróciła do nas. Przy drugiej próbie Reggie Rhodes dotknął piłki po raz pierwszy w swojej akademickiej karierze, przechwytyjąc niemożliwe do odebrania podanie, po czym puścił się pędem wzdłuż bocznej linii. Wszyscy jak zaczarowani patrzyliśmy, jak z dziesięciu jardów robi się dwadzieścia, z dwudziestu czterdzieści, a z czterdziestu – sześćdziesiąt. Był to wykrzyknik całego meczu, moment otrzeźwienia dla każdego, kto wciąż uważał, że Reggie jest przeceniany. Nawet w loży prasowej zawrzało i wytrawni reporterzy śmiali się z zachwytem. Dzieciak ma to coś... Prawdziwy zawodnik... Rozdaje karty.

Po pierwszej kwarcie słońce wreszcie spłynęło za krawędź stadionu, rozświetlając niebo fioletowo-różowymi smugami. Pomijając przyłożenia, to był zawsze mój ulubiony fragment wieczoru, dramatyczne *crescendo*, gdy opadała aksamitna kurtyna i Bo Phelps, nasz wieloletni elektryk, przechylał ostatnie wajchy, nastawiając reflektory na najwyższą moc. Serce się cieszyło na widok tych pięćdziesięciu dwóch tysięcy ludzi

w rozjarzonym zielenią technikolorze. Spojrzałam poza boczną linię boiska, na Trenera, który jako jedyny jeszcze się nie uśmiechał.

Ale gdy spotkałam go przed drzwiami szatni, kiedy już wynik czterdzięci jeden do zera trafił do annałów – wreszcie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Chyba pan złapał dużego świerszcza – powiedziałam.

Trener się uśmiechnął. Baczki i przód koszuli miał mokre od potu.

– Owszem – odparł. – A teraz mogę go wypuścić. Skubaniec miał szczęście.

Parsknęłam śmiechem.

– A gdybyśmy *nie* wygrali?

– Zrobiłbym z niego przynętę – powiedział Trener i puścił do mnie oko.

– Aaa... *Tego* się nie domyślałam.

Wiedziałam, że zabrałam mu już dość czasu i że powinnam wracać do łoża prasowej, żeby rozdać wszystkim statystyki, nie mogłam się jednak oprzeć pokusie, by zamarudzić jeszcze chwilkę.

– Jedna gra za nami – powiedziałam.

– Zgadza się. Zostało dwanaście – odparł.

Wiedziałam, co to znaczy: jedenaście zaplanowanych meczów plus to, na co wszyscy mieliśmy nadzieję: finałowa rozgrywka o mistrzostwo.

– Czeka nas *bardzo* długa droga.

Skinęłam głową. Ale teraz, w tej chwili, byłam pewna naszego przeznaczenia. Pewna, że Bóg czuwa i że ma swoich faworytów.

*

Tydzień później Trener znowu złapał świerszcza i zmiażdżyliśmy Uniwersytet Teksasu i El Paso, otwierając w ten sposób sezon wynikiem dwa do zera i zajmując jedenaste miejsce w rankingu Associated Press. Jednak te pierwsze sukcesy były wliczone w nasz harmonogram, a prawdziwym testem miał być transmitowany na cały kraj mecz na własnym stadionie z Texas A&M. Spośród wszystkich naszych przeciwników moją największą niechęć wzbudzał Uniwersytet Teksasu, ale

to drużyny A&M, zwanej potocznie Aggies, obawiałam się najbardziej. Rok po roku przewidywali nasze ruchy i doprowadzali nas do furii, wygrywając mecz, który w innym wypadku byłby naszym najlepszym, zazwyczaj zupełnie niespodziewanie i w ostatniej chwili.

Dzisiejsze starcie rozpoczęło się według tego samego paskudnego scenariusza. Aggies grali lepiej, niż powinni, utrzymując remis siedem do siedmiu, aż do naszego ostatniego drive'a. Oszalałam. Cały stadion oszalał. Wiedzieliśmy bowiem, że jeśli dziś nie wygramy, ten sezon będzie tylko dobry i nic więcej. Nie będzie wspaniały. Wtedy, w ostatnim zagraniu, podczas gdy Reggie utonął pod naporem bordowych koszulek, Everclear dokonał cudu, podając piłkę innemu debiutantowi, który czekał w polu punktowym. To było coś pięknego, choć wydawało się, że widownia raczej odetchnęła z ulgą, niż oszalała z radości. Wygrywaliśmy trzy do zera. Wciąż mieliśmy wiele do zrobienia.

Tuż przed konferencją prasową, gdy wszyscy czekali na Trenera Carra, wpadłam na Franka Smileya.

– Dobry mecz – powiedział. – Rzadko zdarzają się takie emocje.

– Wolę łatwe zwycięstwa od dobrych meczów – odpowiedziałam. My, PR-owcy, mieliśmy ten luksus. Nie musieliśmy opisywać rozgrywki; mogliśmy ją tylko celebrować.

– O łatwych zwycięstwach kiepsko się pisze – rzekł Smiley z wyższością.

Wzruszyłam ramionami. Miałam ochotę mu powiedzieć, że to nie mój problem. Zamiast tego zapytałam:

– Dostał pan statystyki? – Trzymałam w ręku cały plik świeżych wydruków.

Smiley wziął jeden i podziękował.

– Widział pan, że przebiegliśmy siedem jardów?

– Widziałem. Imponująca defensywa.

– To wszystko zaczyna się z przodu – wyjaśniłam. – Jeśli kontroluje się w ten sposób linię wznowienia gry, z tyłu można wyczyniać cuda.

Była to zwykła pogawędka przed konferencją prasową, ale przy okazji próbowałam czegoś dowieść: znałam tę grę od podszewki. I wciąż chciałam, żeby Smiley mnie zatrudnił.

– No dobrze, pani Rigsby. Gdyby miała pani napisać o tym meczu, o co by pani zapytała Trenera Carra?

Spojrzałam na niego, myśląc, że chyba mu odbiło: jestem w pracy, a on urzęduje mi jakąś niby-rozмовę kwalifikacyjną. A jednak w to weszłam.

– Nie wiem – powiedziałam. – Chyba bym zapytała, jak to jest oddać ostatnie zagranie w ręce debiutanta.

– Hmm, tak. – Smiley kiwał głową. – I jaka pani zdaniem byłaby odpowiedź?

Wypuściłam powietrze z płuc, położyłam statystyki na stole obok dwóch reporterów ESPN i powiedziałam:

– Odpowiedź brzmi... Elgin może i jest debiutantem, ale trenowaliśmy to zagranie setki razy. Był więc na nie gotowy. To wcale nie takie wielkie ryzyko, jak by się mogło wydawać.

Smiley pokiwał głową, choć nie wyglądał na przekonanego. Rozdrażniło mnie to na tyle, że dodałam:

– Zapytałabym również, czemu tak często posyłał ośmiu do krycia i decydował się na trzech liniowych obrony, skoro zwykle skupia się na podaniach.

Smiley poprawił czapkę.

– A odpowiedź brzmiałaby...?

– *Moja* odpowiedź jest taka, że Aggies mają bardzo silnych odbierających. Była to więc prosta kwestia odpowiedniego krycia i poświęcenia tylnego obrońcy. To dlatego tak często widział pan na boisku trzech liniowych obrony. – Patrzyłam na niego. – Ale to *moja* odpowiedź. Jeśli chce pan odpowiedzi Trenera Carra, będzie pan go musiał zapytać podczas konferencji. Ja nie stawiam pytań, tylko rozdaję statystyki. – Pomyślałam o tym, by złagodzić swoje słowa uśmiechem, ale koniec końców zdecydowałam się tego nie robić.

Smiley długo na mnie patrzył, po czym podał mi dużą kopertę, na której wierzchu było wydrukowane moje nazwisko.

– Pani Rigsby, oto oficjalny list z propozycją dołączenia do mojego zespołu. Nie ma pani koniecznego doświadczenia, ale zna się na tej grze i umie pani pisać. Może nie świetnie, ale całkiem dobrze. Zatrudniając panią, sporo ryzykuję. Proszę o odpowiedź w poniedziałek rano.

Zanim zdołałam zareagować, Smiley wrócił zwawo na swoje składane krzesło w pierwszym rzędzie po lewej, obok Kenny'ego Stone'a, długoletniego korespondenta z meczów Walker, który dla niego pracował. Spojrzałam na kopertę, pokręciłam głową i pozwoliłam sobie na lekki radosny uśmiech. Tymczasem do sali wszedł Trener Carr razem z Rhodesem i Everclearem. Cała trójka spokojnym, równym krokiem podeszła do przykrytego suknom stołu pełnego mikrofonów. Sala ucichła, kamery poszły w ruch, a Trener zwrócił się do mediów, mówiąc to, co zwykle mówił po wygranym meczu.

– Chłopcy się popisali. Jestem z nich dumny. Stoczyli z Aggies ciężką walkę. Są świetną drużyną. Udało nam się i bardzo mnie to cieszy.

Potem zaprosił dziennikarzy do zadawania pytań i dłoń Smileya wystrzeliła w górę. Wskazany gestem dłoni stary redaktor odezwał się chrapliwym głosem:

– Trenerze. Czy powie nam pan, czemu tak często widzieliśmy dziś akcję z trzema liniowymi obrony?

Uśmiechnęłam się z zaskoczeniem, słysząc własne słowa. Nieco mniej zdziwiło mnie to, że przewidziałam odpowiedź Trenera. Patrzyłam na Smileya, który jak opętany skrobał coś w swoim notesie, a potem odwrócił się, spojrzał na mnie i ukradkiem uniósł kciuk. Wbrew wszelkim oczekiwaniom znalazłam się w jego klubie.

Rozdział 14

Po meczu spotkałam się z Lucy i Neilem w Third Rail, małej dziurze przy North Potomac, znanej z pysznych skrzydełek i świetnej szafy grającej pełnej starych i nowych nagrań country od Merle'a Haggarda i Johnny'ego Casha po Taylor Swift i Sugarland. Od lat była to nasza ulubiona knajpa, która jakimś cudem uniknęła najazdu pijanych studentek, lokalnych osiłków i ryczących czterdziestek na łowach, czyli trzech grup, które ostatnimi czasy zdominowały każdy w miarę przyzwoity lokal w mieście. Miller i ja zastanawialiśmy się kiedyś nad tym problemem i doszliśmy do wniosku, że Third Rail obroniło się drobnymi niedogodnościami: kiepskim parkingiem, usytuowaniem w pobliżu posterunku policji i uporem właściciela, absolwenta Arkansas o imieniu Chuck, który stanowczo odmawiał zmiany kanału w samotnym barowym telewizorze, ilekroć transmitowano mecz jego drużyny. Nam te wszystkie wady odpowiadały, ponieważ sprawiały, że nawet w dni meczów na stadionie Walker bar nigdy nie był przepełniony i zawsze panował tam przyjemny luz. Tak się również złożyło, że było to ulubione miejsce Trenera Carra, być może dlatego, że kumpłował się z Chuckiem i w tylnej sali zawsze czekał na niego wolny stolik. Ktoś wyciął nawet scyzorykiem inicjały TCC – Trener Clive Carr – na surowym drewnianym blacie.

Tego wieczoru bar tętnił życiem nieco mocniej niż zazwyczaj, a wśród stałych bywalców kręciło się kilkanaścioro dwudziestoparolatków. Sara Evans śpiewała *A Little Bit Stronger*, w telewizji kończył się właśnie mecz na stadionie Arkansas i ku mojemu zadowoleniu, nigdzie nie dostrzegłam

śladu Millera ani jego znajomych. Przez pięć miesięcy, które minęły od naszego zerwania, jeszcze ani razu na niego nie wpadłam, co w tak małym mieście zakrawało na cud. Poprosiłam o blue moon z beczki, a po chwili zobaczyłam Lucy i Neila grających w bilard z tyłu sali. Podchodząc do nich, przystanęłam na chwilę i patrzyłam na Lucy, która w niezgrabnej pozycji z nienaturalnie sterczącymi w górę łokciami przymierzała się do strzału. Wiele razy proponowałam, że dam jej kilka wskazówek, ona jednak uparcie odmawiała przyjęcia do wiadomości podstawowych zasad geometrii. Czasem mi się zdawało, że celowo pielęgnuje złe nawyki, wierząc, że talent do bilardu i strzałek nie przystoi prawdziwej kobiecie. Tym razem nie było inaczej i nie minęła sekunda, a kompletnie schrzaniła wyjątkowo proste uderzenie.

– W co gramy? W „Przeegrany bierze wszystko”? – dogryzłam przyjaciółce, podchodząc do niej od tyłu.

– Lazy³ Shea-zy! – Obróciła się, wykrzykując moje dawne przezwisko, na które zapracowałam swego czasu, przesiadując całymi dniami na kanapie i oglądając futbol. Zarzuciła mi ręce na szyję i pisnęła, że bardzo się cieszy ze spotkania. Lucy miała okropnie słabą głowę i zwykle jedno piwo wystarczyło, by jej humor znacząco się poprawił, tym razem jednak sprawy zaszły nieco dalej. Najwidoczniej siedzieli tu już z Neilem dość długo. Lucy wręczyła mi kij.

– Zastąpisz mnie? – poprosiła. – Nie nadaję się do tego sportu.

Zerknęłam na stół, by ocenić sytuację, po czym parsknęłam śmiechem.

– To gra, a nie sport. Poza tym dzięki, ale nie. – Oddałam jej kij. Neil uściskał mnie na powitanie, po czym wbił ostatnie dwie kolorowe bile i zakończył czarną.

– Długo już tu jesteście? – zapytałam swobodnym tonem, starając się nie osądzać ich zbyt surowo za to, że nie zostali na stadionie do końca.

Lucy skrzywiła się lekko i położyła palec na ustach.

– Dostyc długo – odpowiedziała.

Pokręciłam głową.

– Czy Chuck w ogóle pozwolił wam przełączyć kanał?

³ *Lazy* (ang.) – leniwa.

– Na kilka chwil. Nie mów tacie! Po prostu opiekunka przychodzi tylko raz w tygodniu, a my naprawdę potrzebujemy trochę czasu dla siebie. – Powiedziawszy to, Lucy zdjęła krótki niebieski kardigan, odsłaniając zgrabny jedwabny top. Zauważyłam, że odzyskała kilka straconych kilogramów i znów zaczyna wyglądać zdrowo.

– W takim razie po co mnie tu zapraszaliście? Lokal nazywa się Trzecia Szyna, nie Piąte Koło.

Neil parsknął śmiechem.

– No tak, ale podobno masz chłopaka.

– Nigdy nie mówiłam, że jest moim chłopakiem – zaprotestowałam, spoglądając na Lucy. Oczywiście powiedziałam jej, kiedy po raz pierwszy przespałam się z Ryanem, a potem drugi raz po Silver and Blue Debut, czyli otwartym dla publiczności treningu Kowbojów, będącym zarazem próbą generalną przed pierwszym meczem. Poszłam tam na prośbę Ryana i poznałam nawet kilka żon oraz dziewczyn jego kolegów, co niezwykle ucieszyło Lucy. Neil też wyglądał na rozradowanego, postanowiłam jednak zmienić temat i wróciłam do dzisiejszego meczu, twierdząc, że o mało nie przyplącałam go zawałem.

– Dosłownie. Miałam objawy anginy. Naprawdę nie wiem, jak twój tata to wytrzymuje.

– Prawda? – zgodziła się Lucy. – Ja też nie mam pojęcia.

– Był genialny na konferencji – dodałam, ponieważ nie mogłam się powstrzymać. – Fantastyczny. Taki wyluzowany i zabawny...

– Wkurzał się na dziennikarzy? – spytał Neil. – Uwielbiam, gdy to robi.

– Nie po wygranym meczu.

– O mój Boże! Twój chłopak tu idzie! – zawołała nagle Lucy, zerkając mi przez ramię.

Odwróciłam się i ujrzałam Ryana, który zbliżał się do nas ubrany w dżinsy, idealnie dopasowaną białą koszulkę i czarną czapkę Under Armour. Lekki zarost i nieśmiertelniki na szyi dopełniały wizerunku będącego mieszanką teksańskiej zadziorności i luzu rodem z plaż Malibu. Krótko mówiąc, był nedorzecznie pociągający. Oczy wszystkich, niezależnie od płci i wieku, skierowane były na niego. Jego obecność wywołała natychmiastowe poruszenie, okazywane w znacznie mniej

subtelny sposób niż w Ritzu, gdzie ludzie umieli udawać.

– Wiedziałaś, że przyjdzie? – zapytała Lucy.

Z uśmiechem pokręciłam głową. Mówiłam mu, gdzie się wybieram, ale ani przez chwilę nie przypuszczałam, że też się tu zjawi. Podszedł do nas, po drodze przybijając piątkę dwóm przypadkowym facetom. Zbliżywszy się do stołu, przystanął na moment i teatralnym gestem rozłożył ramiona, jakby czekał, aż go uściskam. Parsknęłam śmiechem i pokręciłam głową, nie chcąc zbyt okazywać radości.

– Wow. Naprawdę nic? Jechałem godzinę, żeby cię zobaczyć i nie dostanę w zamian ani odrobiny czułości? – odezwał się z uwodzicielskim uśmiechem, a potem pocałował mnie, zasłaniając daszkiem czapki nasze złączone usta.

Lucy powiedziała Ryanowi „cześć”, po czym uściskała go i przedstawiła Neilowi. Panowie podali sobie dłonie i wymienili męskie uprzejmości. Tymczasem zjawiła się przy nas zgrabna młoda kelnerka odziana w czarną lycrę i przetarte dżinsy. Szeroko uśmiechnięta i zarumieniona, przypominała mi dziecko, które właśnie doczekało się swojej kolejki, by poznać sklepowego mikołaja, tyle że nie potrafi sobie przypomnieć, co chciało dostać na gwiazdkę.

– Ee, dobry wieczór panu, czy mogę zaproponować coś do picia? – wydukała. – A może skrzydełka albo nachosy, albo... coś?

– Mów mi po imieniu – odparł Ryan z uśmiechem tak czarującym, że odniosłam wrażenie, jakby umniejszał tym samym wagę wszelkich czułych spojrzeń, jakie kiedykolwiek posłał w moją stronę. – Panie mają pierwszeństwo – powiedział, robiąc gest w moim kierunku.

Pokazałam mu piwo.

– Jeszcze mam, dzięki.

Kelnerka zachichotała bez wyraźnego powodu.

– To poproszę jacka danielsa z dietetyczną colą – powiedział Ryan. – Tylko pamiętaj, żeby po drugiej kolejce zakręcić mi kurek.

– No tak. Jutro pewnie masz ważny mecz? – zapytała dziewczyna, przygryzając dolną wargę w nieskrywane zmysłowy sposób, po czym znów parsknęła chichotem.

„W poniedziałek” – zwróciłam się do Lucy, bezgłośnie poruszając

ustami, a tymczasem Ryan odpowiedział kelnerce, że nie, ma jeszcze dwa dni, żeby się przygotować.

– Och. No tak. Poniedziałek z futbolem! – pisnęła kelnerka, wciąż chichocząc nerwowo, po czym obiecała, że nie pozwoli mu przesadzić.

Ryan podziękował i puścił do niej oko, po czym wrócił do rozmowy z Lucy. Ta zasypała go pytaniami, po czym jak urzeczona słuchała każdej, nawet najnudniejszej odpowiedzi. Przypomniały mi się nasze szkolne czasy i to, jak wtedy rozmawiała z chłopcami; nawet na tych, którzy zupełnie jej nie interesowali, patrzyła jak na najbystrzejsze, najinteligentniejsze i najbardziej fascynujące istoty na świecie. Oczywiście wszyscy z miejsca się w niej zakochiwali, co w gruncie rzeczy oznaczało, że byli zakochani w samych sobie, ona natomiast za każdym razem wydawała się zdumiona, że sprawy zaszły tak daleko, i tłumaczyła mi, że przecież z nimi nie flirtowała – po prostu chciała być miła. Dziś jednak czułam, że jej motywacja jest inna i że Lucy próbuje zrekompensować Ryanowi moją apatyczną reakcję. Przeczucie to się potwierdziło, gdy w pewnym momencie zaciągnęła mnie do łazienki, żeby palnąć mi kazanie.

– O co ci chodzi? Myślałam, że się między wami układa – powiedziała twardo, gdy nakładałam na usta świeżą warstwę błyszczyka, po czym zniżyła głos i dodała: – W końcu z nim sypiasz, na miłość boską.

Uciszyłam ją, sprawdzając ukradkiem, czy pod drzwiami boksów nie widać niczyich stóp, po czym zapewniłam:

– Wszystko jest w porządku. Sprawy idą w dobrym kierunku.

– No to co cię ugryzło? Nie mogłaś się chociaż troszkę ucieszyć na jego widok?

– Co niby miałam zrobić? – zapytałam. – Gwiazdę? A może wywinąć kilka fiolaków?

– A żebyś wiedziała. Ryan James to najlepsza partia w całym Teksasie, może nawet w całym kraju. Jest sławny, dowcipny, bogaty, wysportowany, wysoki i tak piękny, że aż boli.

– Wysoki? – powtórzyłam. – Serio? To się dla ciebie liczy? Miller był *wysoki*.

– Daj spokój. Czego mu brakuje? Doktoratu? Królewskiej krwi? Dalej szukasz arystokraty? – spytała, drwiąc z mojej młodzieńczej słabości do

księcia Harry'ego.

– Nie wiem, Luce. To wszystko jest takie... niezręczne. Wszyscy się na nas gapią – odparłam. Znow poczułam się niepewnie.

– Od kiedy dbasz o to, co myślą inni ludzie?

– Nie dbam. – Wzruszyłam ramionami. – Nie aż *tak*.

– No to się zachowuj. Już. Masz się bardziej postarać, rozumiesz?

– Dobrze, dobrze. Poprawię się, obiecuję.

– Świetnie – ucięła Lucy. – To w końcu twoje *życie*.

– Wiem – odparłam i wyszliśmy z łazienki.

Kiedy wróciliśmy na salę, okazało się, że Ryan i Neil porzucili bilard i usiedli w jednym z boksów. Na nasz widok podnieśli się zgodnie, a wtedy Lucy rzuciła mi spojrzenie, które mówiło: „Do tego wszystkiego jest jeszcze rycerski”.

– Mówiłem właśnie Neilowi, że wiesz wszystko na temat zdobywców Trofeum Heismana. Przepytaj ją, Neil. Jest jak Rain Man. Pamięta każdego po kolei.

Zerknęłam na Lucy z obawą. Dotąd jej nie wspomniałam o pijackim telefonie do Trenera.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć – powiedział Neil, wyciągając palec w moją stronę.

Wiedziałam, że chodzi o Marka Garretta, ale udawałam głupią z nadzieją, że zmienią temat. Strategia okazała się chybiona, bo Ryan powiedział:

– Hej. Tamtego wieczoru, kiedy rozmawiałaś z Trenerem, znałaś ich wszystkich. Sześćdziesiąty piąty! Wiedziałaś to!

– Mike Garrett. USC – wymamrotałam.

– Którego wieczoru? – zapytała Lucy, bystra jak zwykle.

– Byliśmy wtedy na tej gali w Dallas – odparł Ryan.

– I tata był tam z wami? – Lucy się zdziwiła.

– Nie. Shea do niego zadzwoniła – powiedział Ryan głośno, a tymczasem kelnerka przyniosła mu drugiego drinka.

– Zadzwoniła? – Lucy spoglądała to na niego, to na mnie.

– Aha – odpowiedział Ryan. – Po to, żeby podyskutować o zdobywcach Trofeum Heismana. Klasyka.

Lucy rzuciła mi nieodgadnione spojrzenie i przez chwilę martwiłam się, co będzie dalej. Ale ona tylko się uśmiechnęła.

– Sheo, jesteś urocza... Neilu, prawda, że jest urocza?

Neil skinął głową, a Lucy mówiła dalej:

– To takie miłe, że zadzwoniłaś do taty, żeby z nim pogadać o Trofeum Heismana. Wiesz, jak mu doskwiera samotność. Jesteś cudowna.

Uśmiechnęłam się, po czym rozpaczliwie pragnąc zmienić temat, obwieściłam swoją wielką nowinę:

– Zgadnijcie, co się stało. Dostałam pracę. W „Dallas Post” – powiedziałam i wyciągnęłam z torebki zaklejoną kopertę.

– O Boże! Gratulacje! – zawołała Lucy. – Wspaniała wiadomość! Dopiero teraz nam o tym mówisz?

Wzruszyłam ramionami i powiedziałam, że czekałam na właściwy moment. Ryan ścisnął moje udo i pogratulował mi, a Neil stuknął się ze mną kufłami.

– O której drużynie będziesz pisać? O Teksasie? – zapytał Ryan i jednym haustem dokończył drinka. – Zdradzisz nas?

Odparłam, że nie wiem, i otworzyłam kopertę. Rozwinęłam list, przeczytałam go raz, potem drugi, pewna, że źle zrozumiałam. Ale nie, sytuacja była jasna. Uśmiechnęłam się tak szeroko, że aż rozbolały mnie policzki. Skoro Lucy chciała, żebym okazywała radość, odtanczę przed nią istny taniec radości.

– Co tam jest napisane? – pytała tymczasem. – Dobrze ci zapłacą?

– Niezbyt – odparłam, uświadomiwszy sobie, że moje i tak już marne dochody zmniejszą się o tysiąc dolarów.

– To co? – dopytywała Lucy, usiłując odebrać mi list.

Odsunęłam go z jej zasięgu, ciesząc się ostatnimi chwilami, gdy jako jedyna znam fantastyczną nowinę.

– Shea, do cholery! Powiedz nam wreszcie! – zażądała Lucy.

– Zgadnijcie, kogo „The Post” zatrudniło właśnie jako... waszą nową... korespondentkę z meczów Walker Broncoos! – Każde kolejne słowo wypowiadałam coraz głośniej, naśladując „głos Broncos”, czyli Maca MacDonalda, a na koniec wydałam z siebie dziki okrzyk, nie dbając już

o to, kto na nas patrzy, i wymachując listem jak gazeciarz w V-J Day⁴.

Potem spojrzałam na Lucy i zapytałam:

– O to ci chodziło? – Oszacowałam odległość między stolikiem a stołem bilardowym, wyciągnęłam ręce nad głowę, wycelowałam w palec u lewej stopy i wykręciłam najlepszą gwiazdę, na jaką było mnie stać.

*

Dopiero dużo później – po tym, jak wróciłam z Ryanem do domu i kochaliśmy się po raz trzeci, a następnego dnia po przebudzeniu czwartym – przyszło mi do głowy, że to może być zasadzka. Pułapka. Chory żart, który Smiley zrobił dziewczynie z Walker. Wprawdzie nie czytałam jeszcze nigdzie o naszych kłopotach z NCAA i byłam pewna, że wszystko rozejdzie się po kościach, istniała jednak możliwość, że do Smileya zdążyły już dojść jakieś pogłoski. Być może chciał mieć reporterkę, która znajdzie się za kulisami, gdy zadyma rozpocznie się na dobre. Powtarzałam sobie, że wpadam w paranoję. Że nawet jeśli cała historia ujrzy światło dzienne, nasze imię zostanie oczyszczone – i że właśnie ja o to zadbam. Powtarzałam sobie, że to *moja* wielka szansa. Że życie wreszcie zaczyna nabierać sensu.

⁴ V-J Day – amerykańskie święto narodowe, rocznica zwycięstwa nad Japonią kończącego II wojnę światową.

Rozdział 15

W poniedziałek rano zadzwoniłam do Smileya i oficjalnie przyjął propozycję pracy, dziękując mi tak entuzjastycznie, że aż burknął:

– Niech pani natychmiast przestanie. To nie prezent, to praca.

Następnie, by wzmocnić wymowę swoich słów, wyjaśnił, że mój poprzednik Kenny Stone, sprzedał się ESPN.

– Kolejny, którego straciliśmy na korzyść stacji przedkładającej rozrywkę nad sport.

– W porządku – powiedziałam. – Nie będę panu więcej dziękować. Ale to naprawdę moja wymarzona praca. Wprawdzie pensja jest trochę niższa, niż to, co teraz zarabiam, ale nie szkodzi. Cieszę się.

Smiley prychnął i powiedział:

– Na Świętego Mikołaja! Mam nadzieję, że lepsza z pani dziennikarka niż negocjatorka.

– Tak, proszę pana. Lepsza. *Bardzo* dziękuję.

– Od kiedy może pani zacząć?

– A od kiedy mam zacząć?

– Im wcześniej, tym lepiej.

– Jeszcze dziś złożę wymówienie.

– Świetnie. I proszę pamiętać...

Umilkł, a ja spytałam:

– O czym?

– Żadnych więcej ochów i achów. Teraz jest pani reporterką.

– Oczywiście – odparłam, ściskając zieloną gumową piłeczkę. Po chwili

podrzuciłam ją i złapałam jedną ręką.

*

Kilka godzin później zastałam Trenera w jego gabinecie. Drzwi były szeroko otwarte.

– Gratulacje – powiedział na mój widok, zjadając bajgla. Zmiótł z blatu ziarenka sezamu i wyrzucił do śmietnika.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i spytałam:

– Smiley panu powiedział?

– Aha. Najwyraźniej jednak sądzi, że potrafisz zachować obiektywizm.

– A pan też tak myśli?

– Zobaczymy – odpowiedział Trener i ugryzł bajgla.

– Nie jestem pewna.

– O! Jak to?

Przełknęłam ślinę, uniosłam brew i zebrawszy się na odwagę, powiedziałam:

– Ponieważ jest pan idealny.

– Słuszna uwaga. – Roześmiał się. – Ale wiesz, że to nieprawda?

Popełniłem w życiu kilka błędów.

– Na przykład?

Odłożył bajgla na serwetkę i odsunął na bok.

– Pytasz jako reporterka czy jako przyjaciółka?

– Hm. Reporterka.

– W takim razie: pomidor.

– No dobrze. A gdybym zapytała jako przyjaciółka? – drążyłam, pochylając się w jego stronę.

– Jak brzmiało pytanie?

– Czy jest pan taki idealny, jak się wydaje.

– A czy raki zimują w Afryce?

Uśmiechnęłam się.

– Jestem tego pewna.

Trener zaniósł się głośnym śmiechem.

– No dobra, mała. Co robisz wieczorem?

– Hm, mam zamiar obejrzeć mecz Kowbojów. – To, że wybieram się na stadion AT&T, na który Ryan załatwił mi bilet, zachowałam jednak dla siebie. – A czemu? Jakie ma pan plany?

– Takie same. Może razem obejrzymy mecz? Możesz przy okazji przeprowadzić ze mną wywiad.

– Wywiad? Na jaki temat? – spytałam, czując dziwny przypyływ emocji, jakiego nie wywoływał u mnie nikt inny.

– Och, sam nie wiem. Na temat naszych dotychczasowych wyników. Kontuzji. Strategii. Najbliższych meczów. Przetasowań wewnątrz konferencji. Cokolwiek zechcesz. Potraktuj to jako prezent z okazji zmiany pracy. Co ty na to? Widzimy się o ósmej w Third Rail? Przy moim stoliku?

– Pewnie – zgodziłam się.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Trener Carr uśmiechnął się z zadowoleniem. – Do zobaczenia wieczorem.

– Do zobaczenia.

*

Dopiero późnym popołudniem wysłałam do Ryana esemesa, tak prostego jak to tylko możliwe: *Wybacz, nie mogę dziś przyjechać. Mam robotę. Do zobaczenia i powodzenia!*

Technicznie rzecz biorąc, napisałam prawdę, a mimo to czułam się winna, więc po chwili wysłałam drugą wiadomość: *Caluję*. Była to oczywiście głupota, byłam bowiem pewna, że Ryan nie przejmie się zbytnio moją nieobecnością, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że miał na głowie mecz. W związku z tym poczułam się mile polectana, gdy odpisał: *To kicha. Zadzwoń, jak skończysz. Tęsknię*.

Powiedziałam sobie, że mu to później wynagrodzę i że nie mogę przepuścić okazji przeprowadzenia wywiadu z Trenerem Carrem. Skoro mam być dobrą reporterką, muszę chwycić każdą szansę, która się pojawia. Prosta sprawa.

Kilka godzin później weszłam do Third Rail. Trener siedział już przy swoim stoliku.

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Podziękowałam za komplement, choć nagle poczułam się za bardzo wystrojona: miałam na sobie jeden z zestawów autorstwa Lucy, on zaś był ubrany tak samo jak w ciągu dnia.

– Długo pan czeka? – zapytałam, siadając naprzeciwko.

– Wystarczająco długo, żeby zamówić – odparł, popijając piwo. – Jesteś głodna?

Skinęłam głową.

– Skrzydełka?

Znów pokiwałam głową, po czym powiedziałam:

– A więc... To dla mnie zaszczyt.

– Zaszczyt? Daj spokój, mała. – Machnął ręką, co sprawiło, że poczułam się trochę głupio.

– Chodzi mi o to, że... Dziękuję za zaproszenie. To dla mnie wiele znaczy, że mogę z panem spędzać czas. – Zamilkłam, a tymczasem do stolika podeszła znana mi już młoda kelnerka. Zdawała się mnie nie pamiętać, najwyraźniej spotkanie z Ryanem zrobiło na niej zbyt wielkie wrażenie. Odrobinę mnie drażniło, że obecność Trenera nie imponowała jej aż tak bardzo. Poprosiłam o blue moon i kelnerka oddaliła się sprężystym krokiem.

– Nie musisz mi dziękować, Sheo – powiedział Trener. – Zresztą bardzo lubię takie spokojne knajpki jak ta. Pani H. zadzwoniła do Chucka i dopilnowała, żeby przytrzymał dla nas miejsce.

– No pewnie. To w końcu pański stół, Trenerze – zauważyłam, wskazując na inicjały wycięte pośrodku blatu.

Kelnerka wróciła z moim piwem i zapytała, czy chcemy zamówić coś do jedzenia. Trener poprosił o skrzydełka na ostro, co mnie nie zdziwiło, bo znałam jego upodobania kulinarne.

– Może być? – upewnił się, spoglądając na mnie.

Przytaknęłam, a tymczasem na ESPN rozpoczęła się transmisja.

– Szkoda, że Faith Hill nie śpiewa w poniedziałki – powiedziałam, dodając, że znana z piosenki przewodniej niedzielnych transmisji gwiazda ma naprawdę wspaniałe nogi.

Trener uniósł brwi i pokiwał głową z uznaniem, tak wyraźnym, że poczułam ukłucie irracjonalnej zazdrości. Ale ta uwaga sprawiła również, że staliśmy się sobie jakby bliżsi. Jechaliśmy na tym samym wózku. Trener i reporterka, którzy nad piwem i skrzydełkami zachwycają się nogami Faith Hill.

Upiłam łyk piwa i spojrzałam na niego. *Naprawdę* spojrzałam, starając się wyłapać tę cechę, która sprawiała, że różnił się od innych. Była w nim jakaś stateczność. Zwykle roztaczał wokół siebie aurę cichej godności. Prawie jakby otaczała go niewidzialna bariera, której nie dało się pokonać, zwyczajnie gratulując mu wygranego meczu. Trener zawsze był serdeczny i pełny wdzięku, nawet w stosunku do obcych, a mimo to utrzymywał dystans. Był zamknięty w sobie, niemal tajemniczy – to zawsze robiło na mnie wielkie wrażenie.

– O czym myślisz? – zapytał nagle.

Potrząsnęłam głową, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że o niczym ważnym, po czym oboje skupiliśmy uwagę na Johnie Grudenie, który informował nas z ekranu, że Kowboje wygrali rzut monetą i będą odbierali piłkę.

– Dobrze – rzekł Trener. – Będzie lepiej dla Ryana, jeśli od razu wpadnie w rytm. To go uspokaja. Nie lubię, kiedy na początku gry stoi za linią boczną.

Oboje obejmowaliśmy dłońmi kufle, a tymczasem Giganci zaczęli od odłożenia.

– Dobrze ustawienie za linią wznowienia – mruknął Trener, gdy Ryan przekazał piłkę biegaczowi. – Jeśli będą w stanie go chronić, rozegrają dobry mecz.

Rozegranie nie okazało się jednak owocne i Dallas wymusiło wykop w czwartej próbie.

– To jak, Trenerze? Kibicuje pan Kowbojom?

Zadałam to pytanie niby od niechcenia. Wiedziałam, że każdy

Teksańczyk odpowiedziałby na nie tak samo, zwłaszcza jeśli trenował kiedyś głównego rozgrywającego. Ale Trener najwyraźniej zrozumiał, w czym rzecz. Chodziło mi o jego pasję, a w moim mniemaniu posiadanie w życiu więcej niż jednej pasji było trudne, może nawet niemożliwe. Innymi słowy pytanie brzmiało: „Wiem, że kibicuje pan Kowbojom, ale czy naprawdę ich pan kocha?”.

Jego niezbyt gorliwe „taa...” potwierdziło moje przecucia.

– Nie jest pan chyba szczególnie przekonany.

Trener parsknął śmiechem.

– Cóż, jestem kibicem, to na pewno, ale kiedy dorastałem... – umilkł na moment, rozejrzał się po sali, a potem omiół spojrzeniem sufit, jakby szukał ukrytych kamer. W końcu, nachyliwszy się w moją stronę, wyjawiał mi swój sekret: – Kiedy dorastałem, byłem fanem Green Bay. I wciąż trochę jestem. Ale nie waż się tego zapisywać – dodał i zaniósł się chrapliwym chichotem.

– Green Bay? Dlaczego? – dopytywałam zaintrygowana.

– Z powodu mojego ojca. I Vince’a Lombardiego... Mój staruszek uwielbiał go tak samo jak... – zawahał się, a ja dokończyłam w duchu: „Tak samo jak całe Walker uwielbia pana”.

Trener rzucił mi nieodgadnione spojrzenie, zupełnie jakby czytał w moich myślach, ale powiedział tylko:

– Kochał go jak swego. Nie wiem, skąd to się wzięło u faceta urodzonego i wychowanego w Fort Worth, ale przekazał tę miłość także mnie. Wiesz, jak to działa...

Skinęłam głową, myśląc, że takie przywiązanie to jeden z rzadkich przypadków, w których przyzwyczajenia przejęte po rodzicach (albo nawet dziadkach) triumfują ponad położeniem geograficznym lub upodobaniami znajomych.

– Wracając do tematu – ciągnął Trener. – Wiesz, co się wydarzyło podczas Pucharu Lodowego?

– Owszem – potwierdziłam i na dowód dodałam: – Mecz Packers–Cowboys, sylwester sześćdziesiątego siódmego. Gra o mistrzostwo NFL znana jako Puchar Lodowy z powodu mroźnej pogody, jaka panowała wtedy w Wisconsin.

– Zgadza się. Na Lambeau tamtego wieczoru było minus trzynaście – przytaknął Trener, drżąc na samą myśl. – Byłem tam z moim starszym. Podarował mi bilety pod choinkę i jechaliśmy tam dwadzieścia godzin. Mama i siostry zostały w domu.

– Ile miał pan lat?

– Dziewięć. Ale pamiętam, jakby to było wczoraj, zwłaszcza tamten finałowy mecz. Szesnaście sekund. Packersom brakuje trzech punktów. Trzecia próba i gol do bramki Dallas.

– I co się stało? Kowboje przegrali, prawda?

– Tak. Bart Starr wykonał bardzo sprytne zagranie i niespodziewanie zatrzymał piłkę. To było jak poezja... Później, kiedy czytałem wszystko, co było do przeczytania o Lombardim, dowiedziałem się, że Lombardi pozostawił decyzję Starrowi. Powiedział mu: „Rób, co chcesz, i spadamy stąd”. Czasami o tym myślę, gdy sytuacja jest napięta, i staram się wykorzystać to, czego się nauczyłem od największego z wielkich. Strategia strategią... Ale nie zawsze da się kontrolować każdy szczegół. Trzeba zaufać chłopakom, pozwolić im wyciągać wnioski z sytuacji i podejmować właściwe decyzje... – Trener mówił, nie odrywając oczu od ekranu, ale ja wiedziałam, że cofnął się w czasie.

Nawet nie udawałam, że oglądam mecz.

– Pewnie obaj byliście wtedy bardzo szczęśliwi?

– Bardzo. Prawie sobie odmroziłem uszy, nie czułem ich potem przez wiele dni, ale, cholera, byliśmy szczęśliwi. Tej samej nocy wróciliśmy do Teksasu, ale wcześniej zawarliśmy pakt i przysięgliśmy nie mówić nikomu, że życzyliśmy Kowbojom przegranej. Ojciec był w tym świetny: zamiast sprzedawać buty, powinien być zostać aktorem. Opowiadał na lewo i prawo, że zmarnowaliśmy czas, jadąc taki kawał, by popatrzeć, jak nasi przegrywają. Powtarzał, że jest wściekły. – Trener pokręcił głową ze śmiechem. – Nigdy się nikomu do tego nie przyznałem. Aż do teraz.

Byłam pewna, że chciał powiedzieć: nikomu oprócz pani Carr, a mimo to czułam się wyróżniona. Zadałam kolejne pytanie:

– Kiedy pan postanowił, że chce zostać trenerem?

– Och, mała, sam nie wiem. Na pewno nie wcześniej niż po zakończeniu kariery zawodnika. Dorastając, chyba nikt nie marzy

o zawodzie trenera. Tyle że ta gra wchodzi w krew i nie można już wyobrazić sobie bez niej życia. W każdym razie tak było w moim przypadku.

– Ja też nie wyobrażam sobie życia bez futbolu – przyznałam.

Uśmiechnęliśmy się oboje, zupełnie nie zauważając, że Giganci zdobyli pierwsze punkty, kopiąc piłkę do bramki z trzydziestu sześciu jardów.

– Może powinniśmy jednak spróbować obejrzeć ten mecz – powiedział Trener, gdy na stół wjechały skrzydełka.

Radośnie skinęłam głową i spędziliśmy resztę pierwszej połowy skupieni na ekranie i jedzeniu, raz po raz pozdrawiając fanów Trenera, którzy odważyli się przekroczyć niewidzialną barierę naszej półprywatnej strefy. Rozmawialiśmy lekko i swobodnie, przez cały czas skupiając się na grze. Wbrew moim obawom Trener nie wypytywał mnie o znajomość z Ryanem, który interesował go tylko jako zawodnik.

Tuż po rozpoczęciu drugiej połowy Trener spojrzał w stronę drzwi i powiedział:

– Proszę, proszę. Kogo ja widzę.

– Kogo? – zapytałam, nie odrywając od niego wzroku.

Sekundę później usłyszałam za plecami głos Millera.

– Czołem, Trenerze. Cześć, Sheo. Jak leci?

Poza lekkim ukłuciem nostalgii widok byłego nie wywołał we mnie szczególnych emocji.

– Miller! – zawołał Trener wesoło. – Przysiądziesz się do nas?

Miller wyszczerzył zęby i bez śladu skrępowania przysunął sobie stółek.

– Z przyjemnością – powiedział.

Nie odrywałam oczu od telewizora, ale najwyraźniej dostrzegł w nich błysk irytacji, bo zapytał:

– Co jest? Chłopcy przegrywają?

– Nie. Mamy przewagę – odparłam z wymuszonym uśmiechem i zapytałam, co u niego słychać.

– Nie najgorzej – odparł, po czym zdał mi rozwlekłą, nudną relację ze swojego życia, aż w końcu zapytał, co u mnie.

Opowiedziałam mu zwięźle o nowej pracy, po czym wyjaśniłam, że

właśnie świętujemy z Trenerem mój sukces.

Miller pogratulował mi i spytał:

– A poza tym?

– Niewiele.

– Słyszałem coś innego – drażnił się ze mną dziecinnie.

Wiedziałam, że chodzi mu o Ryana, z którym widział mnie kiedyś jego kolega, ale wzruszyłam tylko ramionami, z nadzieją, że to utnie dalszą dyskusję.

Oczywiście myliłam się – dojrzałość Millera znajdowała się mniej więcej na poziomie dojrzałości jego nastoletnich uczniów.

– Ty i Ryan – powiedział ze śmiechem, kręcąc głową. – Aleś mi wbiła szpilę. Musiałaś koniecznie wybrać sobie kogoś o tyle lepszego ode mnie? Faceta, który zajął moje miejsce w drużynie? – Położył rękę na sercu w geście, którego z pewnością by nie wykonał, gdyby owemu sercu cokolwiek dolegało.

– Tylko się przyjaźnimy – odparłam, zastanawiając się, dlaczego kłamie. Czyżbym chciała oszczędzić jego uczucia?

Miller parsknął śmiechem.

– Ryan nie przyjaźni się z dziewczynami, zwłaszcza pięknymi. Co nie, Trenerze?

Trener Carr odchrząknął.

– Od każdej reguły są wyjątki – powiedział.

Miller klepnął się po udzie.

– Rany, to samo mówił nam pan na treningach. Od razu wszystko mi się przypomina!

Po chwili milczenia zaczął z innej beczki:

– Trenerze, czy to prawda, co mówią? O dochodzeniu NCAA? – Był to temat, którego unikałam od początku wieczoru, dość nieodpowiedzialnie, biorąc pod uwagę moją nową pracę.

Przecucie mnie nie myliło – Trener wyraźnie się zjeżył.

– Od kogo o tym słyszałeś, synu?

– Od Nan Buxbaum. – Bezczelny uśmiezek na twarzy Millera nie pozostawiał złudzeń co do natury jego znajomości z Nan.

– Od kogo? – zapytał Trener.

– Wykłada na wydziale socjologii – wyjaśnił Miller krótko. Nie wspomniał przy tym o jej urodzie. Tymczasem gdyby Nan nie udało się dostać stałego etatu na uczelni, śmiało mogłaby reklamować luksusową bieliznę. – Spotykamy się, odkąd Shea mnie rzuciła.

– Nie *rzuciłam* cię – zaoponowałam, ponieważ to określenie wydało mi się zbyt bezduszne.

– Akurat! – W tym momencie podeszła do nas kelnerka i odebrała od Millera zamówienie na piwo PBR.

– Co mówiła ta Nan? – dopytywał Trener, a na jego twarzy malował się coraz większy niepokój.

– Mówiła, że była u nich jakaś baba z dochodzeniówki. No, wiecie, chodzi o to, że my wszyscy mamy specjalizację z socjologii – wyjaśnił, mówiąc o sobie tak, jakby wciąż był zawodnikiem. – Oni chyba sugerują, że Walker przepuszcza przez ten wydział wszystkich swoich sportowców. Założę się, że skonfiskowali komputer Eberta.

Profesor Ebert, znany powszechnie jako Luzak Ebert, pracował na uczelni od niepamiętnych czasów. Był wielkim fanem futbolu i sportowcy zawsze bili się o to, by trafić na jego zajęcia. Ale, gwoli sprawiedliwości, takim samym powodzeniem cieszył się wśród innych studentów. Jeżeli to Ebert stanowił problem, mogło się okazać, że oskarżenia NCAA oparte są na dość lichych podstawach.

– Nie ma o czym gadać, Miller – oznajmiłam, cytując Trenera. – Więc nie rozsiewaj plotek.

– Niczego nie rozsiewam – obruszył się. – Ani o NCAA, ani o Ryaniu Jamesie. Mówię to, co widzę. Szczerym trzeba być. Co nie, Trenerze?

– Zgadza się, Miller. – Trener wstał gwałtownie. Najwyraźniej miał dość. – Przepraszam was na moment...

Patrzyłam, jak oddała się w stronę męskiej łazienki, po czym zwróciłam się z powrotem do Millera:

– Słuchaj, Trener okropnie się martwi tą całą sprawą z NCAA. Nie powinieneś wspominać o tym tak... od niechcienia.

– Dobra. Mój błąd – przyznał Miller, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak się go taktownie pozbyć. Niestety żaden dyplomatyczny sposób nie przychodził mi do głowy.

Po kilku minutach, które spędziliśmy na czczej pogawędce, Trener wyszedł z łazienki i oznajmił, że na niego już czas.

– Sheo, w barze wszystko załatwione – powiedział, zaciągając suwak kurtki.

– Dziękuję – odparłam ze ściśniętym sercem.

– Proszę. – Popatrzył mi w oczy. Poczułam, że obecność Millera wkurzyła go tak samo jak mnie.

– Na pewno pan nie zostanie? Mecz się jeszcze nie skończył... A wiem, jak pan kocha Kowbojów...

– Nieee... Jestem pewien, że Ryan postara się o wygraną.

– Twój chłopak – oznajmił Miller, wyciągając palec w moją stronę i chichocząc pod nosem.

– Zamknij się – syknęłam i wszyscy spojrzeliśmy na Ryana, który właśnie dokonał niemożliwego i przedzierając się przez czerwono-niebiesko-biały gąszcz, pokonał trzydzieści jardów dzielące go od pola punktowego. Zdjął kask i wyciągnął w górę palec, a z ruchu jego warg wyczytałam słowa: „Tak jest”.

Miller zarechotał radośnie, najwyraźniej niezdolny do zazdrości o kogokolwiek. Tymczasem Trener powiedział:

– Widzisz? Znam się na tym. Już po meczu.

Parsknęłam śmiechem.

– Mówiłby pan tak samo, gdyby trenował pan Gigantów? – zapytałam. – W końcu zostały jeszcze trzy i pół minuty.

– Nie – odparł. – Ale gdyby zostało mi tyle czasu, założyłbym blok i dał popalić kopaczowi.

Skinęłam głową, chłonąc każde wypowiedziane ze znawstwem słowo. Tymczasem Trener klepnął Millera po plecach.

– No dobrze... Miło cię było zobaczyć, synu. Uważajcie na siebie w drodze do domu.

Obiecaliśmy, że będziemy uważać, a wtedy Trener zwrócił się do mnie, wyraźnie niepewny, czy powinien podać mi rękę, uściskać mnie, czy poklepać po plecach. W końcu dotknął mojej dłoni, zniżył głos i powiedział:

– Fajnie się z tobą gadało o futbolu, mała.

Rozdział 16

Kiedy wyszłam z baru, na zewnątrz padał deszcz i podniosła się lekka mgła, która wydałaby mi się romantyczna, gdybym trzymała teraz kogoś za rękę, ponieważ jednak byłam sama, wprawiła mnie w melancholijny nastrój. Nagle poczułam się bardzo samotna. Napisałam więc do Ryana, gratulując mu wspaniałego meczu, kiedy tylko wsiadłam do samochodu. Zanim wyjechałam z parkingu, nadeszła odpowiedź: *Dzięki. Lepiej przyjedź pogratulować mi osobiście.*

– Nie ma sprawy – powiedziałam na głos.

Kilka minut później jechałam już drogą I-35 w stronę Dallas. W głowie kłębiła mi się bezładna gmatwanina myśli. Nie mogłam zapomnieć o Trenerze. O naszej rozmowie, o wyrazie jego oczu ani o uczuciach, które mnie ogarniały, ilekroć był w pobliżu. Żaden inny mężczyzna nie działał na mnie w ten sposób. Kiedy był blisko mnie, czułam łaskotanie w brzuchu i choć zawsze uważałam to za normalną reakcję wywołaną obcowaniem z żywą legendą, teraz zaczęłam się martwić, że chodzi o coś więcej. Nagle obleciał mnie mdlący strach. W końcu przestałam się okłamywać – a najgorsze było to, że nie potrafiłam powstrzymać biegu wydarzeń.

Nastawiłam głośniej radio, pokręciłam głową i zaciskając palce na kierownicy, zaczęłam obmyślać kolejne wymówki. Powtarzałam sobie, że myślę zamiłowanie do naszej drużyny z miłością do człowieka, który jej przewodzi. Trener jest przystojny – co zauważył nawet dziennikarz piszący o nim do „Sports Illustrated” – a piękny mężczyzna zawsze wywołuje rumieniec u kobiety, nawet takiej, która jest szczęśliwa w swoim związku.

Poza tym Trenera kochają w Walker wszyscy, a więc z pewnością nie jestem w tym osamotniona. Nic dziwnego, że jako dorosła zadurzyłam się w kimś, kogo w dzieciństwie czytałam jak bohatera; oba zjawiska są naturalne i żadne z nich nie ma większego znaczenia.

Ale im bardziej próbowałam przekonać samą siebie, tym wyraźniej docierała do mnie prawda. W końcu, w połowie drogi z Walker do Dallas, doszłam do wniosku, który był jak obezwładniający cios w żołądek: zakochałam się w ojcu Lucy. Prawdziwie, bezsprzecznie, romantycznie i na zabój.

Przyśpieszyłam, usiłując zapomnieć o Trenerze i skupić się na Ryanie. Na tym, jak bardzo mi się podoba. Jaki jest idealny. Jak mnie uszczęśliwia.

Powtarzałam sobie, że muszę się wziąć w garść – i to szybko. Trener był ostatnią osobą na świecie, w której powinnam się zakochać. Dzielili nas za duża różnica wieku. Niedawno stracił miłość życia. Był ojcem mojej najlepszej przyjaciółki. To było prawdziwe szaleństwo.

Padało coraz mocniej, deszcz bębnił w przednią szybę, wycieraczki nie nadążały, a droga była ledwo widoczna. W końcu dałam za wygraną i zjechałam na pobocze. Czekałam, oddychając głęboko, i z całych sił powstrzymywałam się przed myśleniem o nim, wmawiając sobie, że wcale na nim nie tęsknię. Ale ta strategia obróciła się przeciwko mnie, jak to zwykle bywa, i nie pomogło mi to, że z radia popłynęła najsmutniejsza piosenka, jaką kiedykolwiek nagrano: *I Can't Make You Love Me* Bonnie Raitt. „Nadejdzie ranek i postąpię właściwie. Daj mi tylko czas, bym poddała tę walkę”.

*

W końcu deszcz nieco zelżał i wróciłam na drogę. Kiedy stanęłam przed furtką Ryana, byłam już spokojna. Uśmiechnęłam się, gdy zobaczyłam, że stoi w progu w kapciach i czarnym, rozchyłającym się na piersi szlafroku.

– Cześć, piękna – powiedział, kiedy wysiadłam z samochodu.

– Cześć, Ryan. – Podeszłam bliżej.

Zszedł z ganku, wziął mnie za rękę i zabrał z deszczu.

– Co tu robisz? – zapytał cicho i pocałował mnie w policzek.

– Przyjechałam pogratulować ci osobiście.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – powiedział, obejmując mnie silnymi ramionami i całując po raz drugi, tym razem w usta.

Zamknęłam oczy, skupiłam się na dotyku jego warg i języka, a jego mocne dłonie przyciągały mnie bliżej. A potem pozwoliłam, żeby zaprowadził mnie na górę, do sypialni. Kochaliśmy się powoli i namiętnie.

*

Tuż przed wschodem słońca obudziłam się w ramionach Ryana i znów go zapragnęłam. Delikatnie wyplątałam się z jego objęć i patrzyłam na jego piękną uśpioną twarz.

W pewnej chwili poruszył powiekami, otworzył oczy i uśmiechnął się lekko, po czym wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź tu – szepnął, przysuwając mnie do siebie i całując w czubek głowy.

– Wczoraj byłeś wspaniały – powiedziałam.

– Mógłbym być lepszy – odparł, przesuwając dłoń po moich biodrach, już w pełni przytomny.

– Miałam na myśli mecz. – Roześmiałam się, a potem opisałam mu jedno z jego ładniejszych zagrań.

– Zaraz. Czy to przypadkiem nie była pierwsza kwarta? – zapytał, nagle niespokojny.

– Owszem. Jakoś na początku.

– Przecież miałas w tym czasie pracować? – Ułożył się bokiem i podparł na łokciu.

– Pracowałam – powiedziałam, po czym nieskładnie wyjaśniłam, że oglądałam mecz z Trenerem, z którym spotkałam się w sprawach zawodowych. – Dziennikarka nie może odrzucić takiej okazji.

Przysunęłam się i oparłam policzek na jego piersi, a potem objęłam go prawą ręką i nogą, jak miś koala. Był to czuły gest, choć tak naprawdę

uciekałam przed jego spojrzeniem.

– Mówiłaś mu o nas? – zapytał Ryan.

– Nie. Właściwie to nie.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem. Co miałabym mu powiedzieć? Że uprawiamy seks? – rzuciłam sztucznie figlarnym tonem, pragnąc przy okazji nieco go wybadać.

– O rany! Chyba łączy nas jednak coś więcej? – powiedział Ryan, zanurzając palce w moich włosach.

Uśmiechnęłam się do siebie i zapytałam bezczelnie:

– Tak? Naprawdę?

– Naprawdę. Dobrze o tym wiesz – szepnął Ryan.

Po długiej chwili ciszy zapytał:

– Czyli obejrzałaś z nim cały mecz i ani razu nie wspomniałaś, że się spotykamy?

Zakłopotana odparłam:

– Cóż... Jestem pewna, że o nas wie.

– Skąd ta pewność?

– Bo przyszedł Miller. Akurat on. I on mu powiedział.

Ryan zerwał się do pionu, zapalił lampkę i zawołał:

– Widziałaś się z Millerem? – Jego oczy przewiercały mnie na wylot, a baczki zdawały się o wiele ciemniejsze niż zaledwie kilka godzin temu.

Spojrzałam na niego, powoli przyzwyczajając się do światła, i usiłowałam zrozumieć, co się dzieje i czemu Ryan tak się zdenerwował. Czyżby przeszkadzało mu moje spotkanie z Millerem? Czyżby był zazdrosny? Uznałam, że wyciągam daleko idące wnioski, ale ponieważ nie widziałam innego wytłumaczenia, powiedziałam:

– Aha. Zjawił się nie wiadomo skąd. Szczerze mówiąc, było to dość irytujące. Trener i ja rozmawialiśmy poważnie o...

– Jak długo został? Czy Trener wyszedł pierwszy? – W głosie Ryana drżało napięcie, mówił donośnie, a gdy skrzyżował ramiona, pod skórą zagrały mięśnie. Był wyraźnie rozdrażniony.

– Ryan... Daj spokój. Nie możesz być zazdrosny o Millera.

– Oczywiście, że nie jestem *zazdrosny* o Millera – warknął. – To ćpun

i frajer. – Ta opinia w jego ustach zabrzmiała o wiele gorzej niż w ustach Lucy i nagle doznałam dziwnej potrzeby, by bronić swojego byłego.

– Przesadzasz.

– Ty wciąż z nim sypiasz – powiedział Ryan. – Nie mam racji?

– O co ci chodzi? – spytałam. – Oczywiście, że z nim nie sypiam.

– Ale wciąż ci na nim zależy?

– Jak na przyjacielu. Koniec, kropka. Posłuchaj. Nie mam wpływu na to, kto wchodzi do Third Rail... To Trener zaprosił go do stolika. Nic wielkiego się nie stało. Siedzieliśmy sobie we trójkę i oglądaliśmy *ciebie*. Wszyscy się cieszyliśmy, że idzie ci świetnie. *Miller* też.

– Jasne.

Już dawno nikt nie był o mnie zazdrosny i trudno mi było uwierzyć, że prowadzę z Ryanem tę dyskusję. Pochlebiało mi to, choć zarazem czułam niepokój. Krótko mówiąc, cała sytuacja była dość absurda.

– Naprawdę nic się nie stało. Nie myślę już o Millerze. On o mnie też nie. Ma dziewczynę – dodałam, po czym opowiedziałam mu o Nan Buxbaum, dorzucając: – Jestem pewna, że wkrótce się zaręczą.

Ryan patrzył na mnie jeszcze przez kilka chwil.

– Dobra – powiedział w końcu, wyłączając lampę i kładąc głowę z powrotem na poduszce. – Przepraszam.

Powiedziałam mu, że nie ma mnie za co przepraszać.

Po dłuższym milczeniu dodał:

– Obiecasz mi jedno?

– Jasne. Co? – pośpieszyłam, bo bardzo chciałam poprawić mu humor.

– Obiecaj, że nie będziesz się spotykała z innymi facetami. Wiem, że czasem bywam staroświecki... Wierzę w monogamię. I chcę cię mieć tylko dla siebie.

– Obiecuje – powiedziałam, zaskoczona tym, jak szybko wszystko się toczy.

– Ja też obiecuję, że nie będę się widywał z innymi – odparł na to Ryan, po czym przypieczętował nasz pakt długim, namiętym pocałunkiem. Takim, który zawsze prowadzi do czegoś więcej.

Rozdział 17

Tydzień później, po tym, jak pokonaliśmy Uniwersytet Stanowy Oklahomy w meczu wyjazdowym i podskoczyliśmy w rankingach o trzy oczka, J. J. i jego żona Mary Ann wyprawili na moją cześć przyjęcie pożegnalne, choć się zarzekałam, że przecież nigdzie się nie wybieram i będziemy się widywać równie często jak kiedyś. Przeraziła mnie perspektywa znalezienia się w centrum zainteresowania i miałam nadzieję, że kiedy przyjdzie co do czego, przyjęcie okaże się zwykłym spotkaniem towarzyskim. Ale kiedy zaparkowałam pod domem Justusa i dostrzegłam czarne porsche Ryana, wiedziałam, że w tym wieczorze nie będzie nic pospolitego. Mimo woli poczułam ukłucie irytacji spowodowane obecnością Ryana. Specjalnie nie wspominałam mu o imprezie ani nie mówiłam nikomu w pracy, że się z nim spotykam. Uznałam, że to Lucy stoi za obecnością na przyjęciu złotego dziecka Walker, bo też dyskrecja nigdy nie była jej mocną stroną.

Wysiadłam z samochodu i weszłam do domu. W hallu spotkałam Ryana, który wręczał właśnie butelkę wina gospodyni, rozplywającej się w zachwytach, chwalać jego cudowną grę oraz zapewniającej, że wszyscy jesteśmy z niego szalenie dumni. Kiedy weszłam, oboje się odwrócili, a ja z trudem okiełznałam zły humor i stałam się uosobieniem gracji. Uznałam, że za miły gest należy im się wdzięczność, Ryanowi również. Podszedł do mnie, objął mnie w talii i pocałował w usta, nie pozostawiając tym samym wielu złudzeń co do natury naszej znajomości. Tymczasem Mary Ann skomplementowała moją zieloną sukienkę.

– Kupiłam ją u Lucy. Dziękuję. I bardzo dziękuję za dzisiejszy wieczór – powiedziałam tak uprzejmie, jak potrafiłam, po czym wszyscy troje przeszliśmy do rozbrzmiewającego rozmowami i śmiechem salonu.

– Zaskoczona? – szepnął mi Ryan do ucha, swobodnie otaczając mnie ramieniem.

– Tak. Bardzo. Dzięki, że przyszedłeś. – Uśmiechnęłam się do niego i przygotowałam się psychicznie na wielkie wejście.

– Nie ma sprawy, skarbie. W życiu bym nie przepuścił takiej okazji – powiedział Ryan i znów mnie pocałował, tym razem na oczach Scotta Streeta, naszego głównego fizjoterapeuty, i Tima Seymoura, doradcy akademickiego, którego Trener w żartach nazywał ponurym żniwiarzem, ponieważ zwykle przynosił złe wiadomości.

Zarówno Scott, jak i Tim wyglądali na zaskoczonych widokiem Ryana i przyszło mi na myśl, że w obliczu tej nowiny niechybnie zblednie splendor mojej nowej pracy, ponieważ związek z gwiazdorem futbolu zrobi na wszystkich o wiele większe wrażenie.

Starając się zachowywać tak swobodnie, jak to tylko możliwe, ruszyłam wymieniać uprzejmości oraz uściski. Jak zwykle przy okazji podobnych spotkań nie mogłam wyjść z podziwu, jak bardzo eklektyczna jest nasza grupa, zwłaszcza, jeśli wzięło się pod uwagę, że wszyscy pracujemy w niedużym prywatnym college’u w Teksasie. To właśnie była jedna z rzeczy, które kochałam w sporcie. Homo i hetero, czarni i biali, starzy i młodzi, wszyscy mieliśmy jednak coś wspólnego. Pani Carr zwykła powtarzać, że jesteśmy jak jedna wielka rodzina. W oczekiwaniu na naszego nestora Lucy krzątała się to tu, to tam, z Neilem u boku. Miała na sobie piękny koralowy kostium oraz kilka sznurów pereł i wyglądała zjawiskowo. W jej włosach lśniły złociste blond pasemka. Podbiegła i uściskała mnie mocno. Jej dobry nastrój okazał się zaraźliwy i kiedy wyznała, że razem z Ryanem wszystko ukartowali, natychmiast jej wybaczyłam.

– Wiem, że nie lubisz niespodzianek, ale...

– Ale co? – Uśmiechnęłam się, powstrzymując chęć uświadomienia jej, że popełniła błąd.

– Ale... Niespodzianka! – zawołała i przybili sobie z Ryanem piątkę,

zupełnie jakby dokonali właśnie taktycznego najazdu zbrojnego. Tymczasem pojawił się Trener Carr w koszulce polo i beżowych spodniach. Podszedł prosto do nas akurat w chwili, gdy Ryan ruszył w stronę zaaranżowanego baru, by przynieść mi kieliszek szampana.

– Cześć, dziewczyny. Pięknie wyglądacie – powiedział Trener, a ja przypominałam sobie chwile, gdy jako nastolatki wybierałyśmy się na bal lub prywatkę.

– Cześć, tato – odpowiedziała Lucy, całując ojca w policzek.

– Cześć, Trenerze – rzuciłam, czując, jak w jego obecności zalewa mnie fala ciepła, a zarazem usiłując odsunąć od siebie niechciane myśli. – Jak tam trening?

– Poza tym, że nasza linia ataku jest mniej więcej tak użyteczna, jak drzwi z siatki w łodzi podwodnej?

Wybuchnęłam śmiechem, po czym przypominałam sobie inne barwne powiedzonko, za pomocą którego gnębił naszych napastników:

– To chyba trochę łaskawsze niż porównanie ich do popielniczki w motocyklu?

Trener uniósł brew.

– Przynajmniej palenie podczas jazdy motocyklem nie grozi śmiercią.

Roześmiałam się, a tymczasem Ryan wrócił do nas z dwoma kieliszkami szampana. Podał mi jeden, po czym dziarsko uściskał Trenera i zapewnił, że bardzo się cieszy ze spotkania.

Trener odparł na to z uśmiechem:

– Ja też się cieszę, synu. Daliście im w poniedziałek do wiwatu.

– Tak, słyszałem, że oglądał pan mecz razem z Sheą. I z Millerem – powiedział Ryan, spoglądając na niego znacząco.

Na szczęście opowiedziałam Lucy o naszej niedawnej sprzeczce o Millera, więc teraz przyjaciółka rzuciła mi się na pomoc.

– Tak, Shea wspominała, jak się wkurzyła, kiedy zjawił się nie wiadomo skąd i zepsuł im rozmowę.

Spojrzałam na nią, myśląc, że nic takiego nie mówiłam, wiedziałam jednak, co próbuje zrobić i doceniałam jej dobrą wolę. Mimo to wciąż czułam się w obowiązku bronić Millera.

– Miał dobre intencje – zapewniłam, zerkając na Trenera, który pokiwał

głową.

Ryan nie miał jednak zamiaru odpuścić.

– Ten Miller to niezły popapraniec.

– Delikatnie powiedziane – zawtórowała mu Lucy.

Zmieniłam temat i wróciłam do futbolu, a tymczasem Trener ukradkiem spojrzął na zegarek. Potwierdziło to moje przypuszczenia, że pojawił się tylko z grzeczności i przez cały czas liczył minuty do wyjścia. Rzeczywiście, pół godziny później podszedł, stuknął mnie w ramię i oświadczył, że musi nas opuścić, by się przygotować do następnego meczu.

Skinęłam głową i zapewniłam go, że rozumiem.

– Mam coś dla ciebie. Zostało w samochodzie. Wyjdiesz ze mną na chwilę? – zapytał.

– Jasne – odparłam uradowana.

– Chciałem ci to dać ostatnim razem – mówił, gdy szliśmy w stronę hallu. – Ale zjawiał się Miller... I zapomniałem.

Skinęłam głową i oboje zamilkliśmy. Kiedy doszliśmy do samochodu, stanęłam na trawie i patrzyłam, jak otwiera drzwi po stronie pasażera i sięga po leżący na podłodze prostokątny przedmiot zawinięty w brązowy papier.

Wręczył mi go i powiedział:

– Potraktuj to jak gratulacje i życzenia szczęścia w jednym.

Szczęśliwa, że nie nazwał prezentu „pożegnalnym”, przyjęłam paczkę.

– Ojej... Nie wiem, co powiedzieć... Dzięki, Trenerze.

– Nie ma za co, mała – odparł i oczy mu zalsniły. – Jestem z ciebie naprawdę dumny. – Przygryzł dolną wargę z prawej strony i dodał: – A teraz wracaj do środka i baw się dobrze. I nie pozwól, żeby Ryan zgarnął wszystkie splendory.

– Dzięki, Trenerze – powtórzyłam, walcząc z pokusą, żeby go uściskać.

Powstrzymałam się jednak i stałam bez ruchu, patrząc, jak wsiada do auta i odjeżdża. Dziwnie oszołomiona wróciłam do środka z nadzieją, że nikt nie zauważył mojej nieobecności. Ale gdy odkładałam paczkę na stół w hallu, z salonu wyłoniła się Lucy.

– Gdzie byłaś? Co to? – zapytała, przypatrując się prezentowi.

– Byłam na zewnątrz – odpowiedziałam. – A to od twojego taty.

– Co jest w środku?

Wzruszyłam ramionami.

– No to otwórz! – ponagliła mnie.

– Później.

– Nie. Teraz. Strasznie jestem ciekawa, co mu się udało wymyślić bez pomocy mamy.

Powiedziała to swobodnym tonem, ale znałam ją dostatecznie dobrze, by wiedzieć, co się dzieje w jej głowie. Myślała o tym, że jej ojciec tak bardzo się postarał, by sprawić mi przyjemność, a jeszcze kilka miesięcy temu kompletnie zapomniał o jej urodzinach. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, gdy patrzyłam, jak chwyta paczuszkę i niesie ją do salonu.

– Zobacz, Neil! – zawołała, a wszyscy ucichli i spojrzeli na nią. – Shea dostała prezent od taty! Czy to nie miło z jego strony?

Neil skinął głową z uśmiechem, ale coś w jego oczach potwierdziło moje obawy – przelotny błysk współczucia, a może pocieszenia. Nagle ogarnęła mnie pewność, że rozmawiali o mojej przyjaźni z Trenerem i że Lucy zwierzyła się mężowi ze swojej zazdrości albo przynajmniej z frustracji spowodowanej świadomością, że choć jej ojcu idzie jak po grudzie okazywanie jej uczuć, to samo w stosunku do mnie przychodzi mu bez wysiłku.

Wokół kanapy zebrało się pół tuzina gości oraz Ryan, a tymczasem Lucy kazała mi usiąść i rozpakować prezent. Czując, jak pieką mnie policzki, rozgarnęłam ostrożnie papier i ujrzałam oprawiony w ramki wycinek z gazety. Natychmiast rozpoznałam własny artykuł, napisany do szkolnej gazetki prawie dwadzieścia lat temu. Była to rozwlekła oda zatytułowana *Za co kochamy Walker* i opatrzona dwiema fotografiami: portretem Trenera mojego autorstwa oraz pożyczonym od samego J. J.'a zdjęciem ówczesnego rozgrywającego Broncos Adama Gipe'a, cofającego się w stronę strefy obrony i szykującego się do przechwycenia piłki. Obok mojego nazwiska widniał ręczny dopisek Trenera: „My też Cię kochamy, Mała. Wiedziałem, że Ci się uda! Trener C.”.

Gdy do zebranych dotarło, co widzą, rozbrzmiał chór ochów i achów, J. J. zaś skorzystał z chwili i wręczył mi zielone wieczne pióro oraz ozdobną

lampkę z logo Walker – oba przedmioty rozpoznałam jako pochodzące z uczelnianego sklepu z pamiątkami.

– To od nas wszystkich – powiedział, przybierając oficjalny ton. – W podziękowaniu za dwadzieścia lat sumiennej pracy.

– Dwadzieścia lat? To chyba lekka przesada? – zaprotestowałam.

J. J. przypomniał mi, że już jako dzieciak udzielałam się i wypełniałam za darmo jego żmudne polecenia. Zarumieniłam się na wspomnienie swojej przesadnej gorliwości, a tymczasem Roxann Moody otoczyła usta stulonymi dłońmi i zaczęła skandować:

– Mowa! Mowa!

Stałam więc pomiędzy Lucy i Ryanem, zebrałam się w sobie i podziękowałam wszystkim za przybycie, a także za pióro i lampę, po czym, zwracając się do J. J.'a i Mary Ann, zapewniłam ich o swojej wdzięczności i dodałam, że nadal będziemy się wszyscy często widywać. Na koniec uniosłam kieliszek z okrzykiem: „Naprzód, Broncos!”. Rozległy się oklaski, po czym kilka osób zaczęło śpiewać naszą tradycyjną pieśń. Uznałam, że przedstawienie skończone, ale wtedy Ryan uciszył zebranych i oznajmił:

– Chciałbym coś powiedzieć.

Nie miałam pojęcia, co chowa w zanadrzu, pomyślałam jednak o słowach Trenera wypowiedzianych na podjeździe. Najwyraźniej dobrze znał swojego dawnego rozgrywającego. Wszyscy zebrani umilkli, a na ich twarzach malowało się czyste uwielbienie.

– Chciałbym podziękować J. J.'owi i Mary Ann za to, że o mnie pamiętali. – Ryan z wyczuciem akcentował każde słowo. – Jak zwykle, bardzo się cieszę, mogąc wrócić w rodzinne strony, zwłaszcza teraz, kiedy jestem z Sheą. Chciałbym jej podziękować za to, jaka jest. I wam wszystkim za to, że okazujecie jej tyle ciepła. Dzięki wam jestem dumny jak diabli z tego, że należę do rodziny Broncos.

Wszyscy zaczęli się rozpląwać w zachwytach, a mnie oblał zimny pot. Powachlowałam się dłonią, rozpaczliwie próbując nawiązać kontakt wzrokowy z Lucy. Spraw, żeby to się skończyło, błagałam ją bezgłośnie. I kiedy zdawało mi się, że nie mogę się już poczuć bardziej niezręcznie, Ryan sięgnął do kieszeni, po czym wręczył mi małą paczuszkę.

– Otwórz! – zażądała Lucy, a ja wiedziałam, że nie zatrzymam już tej fali, zerwałam więc papier tak szybko, jak potrafiłam, i ujrzałam szare aksamitne pudierko, takie, jakie zazwyczaj kryje kosztowną biżuterię. Wstrzymując oddech, uniosłam wieczko. Zapadła cisza, a naszym oczom ukazała się para lśniących diamentowych kolczyków.

– Gratulacje, Sheo – powiedział Ryan, wywołując tym samym dziki aplauz i kilka pojedynczych gwizdów.

– A niech to szlag – sapnęła Lucy.

– To... To zbyt cenne... – zwróciłam się do Ryana.

Pokręcił głową.

– Wcale nie.

– Załóż je – poleciła Lucy.

Zamarłam. Z całych sił pragnęłam oddać Ryanowi prezent, wiedziałam jednak, że to niemożliwe, przynajmniej nie teraz, wyjęłam więc z uszu złote kółka i zastąpiłam je pierwszymi w swoim życiu diamentami.

Ponieważ nie byłam w stanie mówić, spojrzałam na Ryana i potrząsnęłam głową, a wszyscy obecni uśmiechali się szeroko i wytrzeszczali oczy. Na mnie, na niego i na wielkie połyskujące kamienie. Rozciągnęłam usta w uśmiechu, usiłując zrozumieć, jakim cudem sprawy zaszły tak daleko w tak niebywałym tempie – od seksu do zazdrości i diamentów.

Sięgnęłam do ucha i dotknęłam jednego z kamieni, jakbym miała nadzieję, że nie jest prawdziwy. Jednak biorąc pod uwagę zarobki Ryana, dla niego taki prezent był prawdopodobnie tym samym, czym dla przeciętnego faceta podarowanie dziewczynie kwiatów. Być może rzeczywiście miał wobec mnie poważne zamiary?

Cokolwiek się działo, nie miałam pojęcia, co powiedzieć ani jak się zachować – ani, przede wszystkim, jak usunąć się z centrum uwagi. Spuściłam więc wzrok i spojrzałam na oprawiony artykuł, który spoczywał na blacie kawowego stolika, i na nabazgrane pochyłym pismem słowa Trenera: „My też Cię kochamy, Mała”.

Tamtej nocy próbowałam oddać Ryanowi kolczyki. Spotkałam się z kategorycznym sprzeciwem.

– To prezent – oznajmił poirytowany. – Zawsze zwracasz prezenty? Szczerze mówiąc, to niezbyt grzeczne.

– Są za drogie – powtórzyłam po raz trzeci.

– Nie dla mnie – odparł. – Stać mnie na nie.

– Ale...

Zamknął mi usta pocałunkiem, a potem powiedział:

– Mówię poważnie. Przestań, bo mnie wkurzasz. Kupiłem je dla ciebie. *Chcę*, żebyś je przyjęła. Więc już o tym nie mów.

– Okej. – Pocałowałam go. Ściągnęłam włosy w prowizoryczny węzeł i zaczęłam kręcić głową w prawo i w lewo. – Jak wyglądają?

– Olśniewająco. Tak jak ty.

– To znaczy, że naprawdę jesteśmy razem... w tym sensie? – bąknęłam.

– W jakim sensie?

– Takim, który się objawia diamentowymi kolczykami.

Ryan parsknął śmiechem.

– Owszem, na to wygląda.

– Nie wydaje ci się, że... szybko nam poszło?

– Aha. Dość – potwierdził, co sprawiło, że poczułam się odrobinę lepiej. Przynajmniej nie udawał, że to normalne. – Ale jeśli się nad tym zastanowić... Znamy się od zawsze. Nie poznaliśmy się wczoraj...

– To prawda – przytaknęłam.

– A ja jestem bardzo zdecydowany. Wiem, czego chcę.

Uśmiechnęłam się.

– Czego chcesz?

– Ciebie, kochanie – odparł i mnie pocałował.

Odwzajemniłam pocałunek, czując się największą szczęściarą na świecie.

Rozdział 18

W następny poniedziałek, dwa dni po decydującym zwycięstwie nad Arkansas, oficjalnie rozpoczęłam pracę dziennikarki sportowej. Smiley nie podał mi konkretnej godziny, wyszłam więc z domu o szóstej rano, na tyle wcześnie, by uniknąć korków, i o siódmej znalazłam się w Dallas, w gmachu zwanym Bank of America Plaza. Asystentka Smileya – starsza pani ubrana w stylu lat sześćdziesiątych, z natapirowanymi włosami i w okularach o kocich oprawkach – wyszła mi naprzeciw i z grobową miną zaprowadziła mnie do gabinetu szefa.

– Dzień dobry, pani Rigsby – powiedział Smiley, unosząc wzrok sponad rozwiązanej już krzyżówki w „New York Timesie”. Jego gabinet śmierdzał cygarami, choć nigdzie nie widziałam popielniczek ani choćby śladu dymu. W rogu biurka stała jednak na wpół opróżniona butelka szkockiej.

– Dzień dobry – odparłam.

Smiley chrząknął, jakby miał zamiar coś dodać, jednak po chwili zrezygnował.

– Chodźmy. Oprowadzę panią – powiedział.

Wyruszyliśmy na zwiedzanie newsroomu, składającego się z labiryntu boksów osnutych stłumionym blaskiem jarzeniówek. Smiley wydał kilka poleceń w miejscu, które nazwał kącikiem sportowym. Odzywał się jednak tylko wtedy, kiedy musiał, często nie wypowiadając nawet imion kolegów, do których się zwracał. Gdy mnie im przedstawiał, robił wszystko, by podkreślić mój brak doświadczenia. „A to jest Shea Rigsby. Zastąpi

Kenny'ego Stone'a. Była PR-owcem w Walker, ale twierdzi, że stać ją na obiektywizm – mówił, po czym dodawał pod nosem: – To się jeszcze okaże”.

Wskazał mi biurko, na którym bezustannie dzwoniły dwa telefony. Wyjaśnił, że znajduje się tu centrum dowodzenia i właśnie tutaj rozmawia się z ludźmi, którzy dzwonią z ciekawymi tropami na temat najważniejszych wydarzeń w kraju.

– Nas to nie dotyczy – dodał. – Historie z naszej działki rzadko zaskakują. Choć w dzisiejszych czasach sportowcy miewają dziwne pomysły... Jeśli ktoś zastrzeli swoją dziewczynę albo zadręczy psa, to właśnie tutaj się o tym dowiemy.

Skinęłam głowę. Następnie zajrzeliśmy do surowo urządzonego pomieszczenia socjalnego z kuchenką mikrofalową oraz lodówką, a potem do pokoju ksero, gdzie znajdował się automat z chłodzoną wodą, a także kopiarka, na której ktoś przykleił kartkę z informacją: „Znów awaria pieprzonego podajnika”. Na końcu Smiley pokazał mi mój własny kącik, naprzeciwko drzwi jego gabinetu. Cudownie. Na piętrze panował zaskakujący spokój i całość zrobiła na mnie znacznie mniejsze wrażenie, niż się spodziewałam. Tłumiąc rozczarowanie, przypomniałam sobie, że nie żyjemy w epoce Woodwarda i Bernsteina⁵ – w dzisiejszych czasach większość dziennikarzy pisze z domu.

– To by było tyle – rzucił krótko Smiley. – Jakies pytania?

Pokręciłam głowę.

– W porządku. Zatem czas na pierwsze zadanie. Potrzebny nam tekst na temat zbliżającego się meczu Walker-Baylor. Osiemset słów i ani jednego więcej, mamy mało miejsca. Cholerne reklamy – burknął. – Jeśli chodzi o temat... Może się pani skupić na sytuacji biegaczy. Albo na ostatniej fali kontuzji. Proszę się dowiedzieć, czy nie ma jakichś animozji wśród asystentów trenera. I chcę to mieć na jutro na ósmą rano. Ani minuty później.

Zanim zdołałam choćby skinąć głową, Smiley odwrócił się i ruszył do

⁵ Bob Woodward i Carl Bernstein – dziennikarze gazety „Washington Post”, którzy wpadli na trop afery Watergate.

swojego gabinetu, a facet w boksie obok zerknął na mnie i powiedział:

– I pomyśleć, że ma dziś dobry humor.

Uśmiechnęłam się, a on sięgnął ponad dzielącą nas ściankę i uściśnął moją dłoń.

– Gordon Chambers.

– Shea Rigsby. – Poczułam do niego natychmiastową sympatię, spowodowaną w równym stopniu jego słowami i wrażeniem, jakie zrobiła na mnie jego twarz. Emanowało z niej ciepło: od złocistej jak miód cery, przez pełne usta, po dołki w zaokrąglonych policzkach, widoczne nawet wówczas, gdy przestał się uśmiechać. – Do której drużyny jesteś przydzielony?

– Dallas Cowboys.

Widocznie dostrzegł, że zrobiło to na mnie wrażenie, bo dodał:

– Ale stoję nisko w hierarchii. Zajmuję się mediami społecznościowymi. Dla Smileya to zło konieczne. Piszę też o kontuzjach. Zerwane ścięgno? Zwróć się do mnie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a dołki w jego policzkach zmieniły się w głębokie kratery.

Byłam ciekawa, czy kiedykolwiek rozmawiał z Ryanem. Odstawiłam torbę, po czym pobieżnie rozejrzałam się po boksie. Zaczęłam otwierać szuflady, w których znalazłam kilka gumek recepturek, garść spinaczy oraz porzuconą paczkę krakersów. Potem ustawiłam wysokość obrotowego fotela i przyjrzałam się wiekowemu komputerowi, zastanawiając się, jak go włączyć.

– Dałbym sobie spokój z tym gratem – powiedział Gordon, a ja zauważyłam, że używa dużego srebrnego maca.

– Dobra. – Wyciągnęłam z torby laptopa, podłączyłam go do prądu, po czym przez kilka sekund wpatrywałam się oszołomiona w stronę startową ESPN, zastanawiając się, od czego zacząć, i jak w ogóle zdołam cokolwiek napisać ze świadomością, że Smiley przez cały czas obserwuje mnie przez oszkloną ścianę gabinetu.

– Wow. Wyjdź lepiej z tej strony, zanim stary ją zobaczy – powiedział Gordon, który przechodził akurat obok z pustym kubkiem po kawie. – Nie wiesz, że to stacja rozrywkowa, a nie sportowa? Mają to nawet w nazwie. E

jak *Entertainment*⁶.

– Racja. Dzięki – odparłam, zamykając przeglądarkę.

Otworzyłam pusty dokument i napisałam na górze: „Baylor–Walker”. Nie był to zbyt dobrze wróżący początek, zwłaszcza w połączeniu z całkowitą pustką w mojej głowie. Zupełnie jakbym nigdy w życiu nie czytała przedmeczowego artykułu. Coraz głośniejszy klekot klawiatur naładowanych kofeiną dziennikarzy newsowych nie ukoił moich nerwów, wzięłam jednak kilka głębokich wdechów i powiedziałam sobie, że prawdopodobnie nie tworzą oni dzieł godnych Pulitzera. Raczej po prostu wypełniają obowiązki, opisując zwykłe wydarzenia – pogrzeby, pożary i pikniki. Zaś ich koledzy po naszej stronie labiryntu identycznych boksów – zerwane ścięgną. Zachowując to w pamięci, wzięłam głęboki oddech, po czym weszłam na oficjalną stronę Uniwersytetu Baylora, kliknęłam zakładkę „futbol” i zabrałam się do pracy. Pisz o tym, na czym się znasz, powtarzałam sobie w duchu. Jesteś do tego stworzona.

*

Dzień mijał szybko, nadeszła druga po południu, a ja nie zdążyłam nawet zjeść lunchu. Na dodatek napisałam tylko cztery zdania, z których nie podobało mi się ani jedno. Jedyną naprawdę produktywną rzeczą, którą zrobiłam oprócz wypełnienia sterty formularzy dla działu kadr, było umówienie się na wieczorną rozmowę telefoniczną z dyrektorem działu informacji sportowej u Baylora. Wymyśliłam również kilka pytań, które miałam zamiar mu zadać. Było to dość proste, biorąc pod uwagę, ile razy słyszałam J. J.’a udzielającego podobnych wywiadów. Podśлуchałam również, jak Smiley robi Gordonowi wykład na temat nadużywania przysłówków oraz – co najwyraźniej stanowiło jeszcze poważniejsze uchybienie – synonimów słowa „powiedzieć”.

– Powiedział, powiedziała, powiedzieli – wrzeszczał Smiley, uderzając pięścią w otwartą dłoń. – To jedyny czasownik dozwolony w tej redakcji.

⁶*Entertainment* (ang.) – rozrywka.

Ma być niewidzialny. Chcemy wiedzieć, co facet powiedział, a nie jak. Mam ci to napisać na transparencie?

Nie usłyszałam reakcji Gordona, tylko wciąż podniesiony głos Smileya.

– Nie chcę więc słyszeć, że twoje źródła komentują, twierdzą, oceniają, sugerują, oznajmniają, zdradzają, dają do zrozumienia, przyznają, informują albo wskazują. I lepiej, żeby przy tym nie chichotali, nie pokpiwali ani nie naigrawali się.

Odprawiwszy Gordona, Smiley zauważył, że mu się przyglądam, i warknął:

– Zrozumiano, Rigsby?

Skinęłam głową, z całych sił opierając się pokusie, by dodać, że rozumiałam, co *powiedział*.

*

Po południu pojechałam na trening. Znowu poczułam się jak w liceum, kiedy Trener zapewniał mi dojsścia, których nie mieli inni reporterzy. Złapałam go, gdy było po wszystkim, i zapytałam, czy znajdzie pięć minut na rozmowę o meczu z Baylor. Zerknąwszy na zegarek, oznajmił, że jest umówiony z facetem, który ma mu naprawić rynnę, ale możemy pogadać później.

– Która godzina panu pasuje? – spytałam.

– Żeby się z tobą spotkać? Dowolna – odparł, klepiąc mnie po ramieniu.

*

Około ósmej wieczorem zebrałam się na odwagę i wysłałam mu pełną wahania wiadomość: *Czy teraz może być?*

Trener odpisał: Nie jestem sam. Prześlesz mi pytania?

Okej, odpisałam. Potem przypomniałam mu, że oficjalnie zaczynamy wywiad, i zapytałam o zawodników w tylnej strefie boiska.

Trener odpisał: *Zagrać może każdy. A jak TY sądzisz, kogo powinienem wybrać?*

Roześmiałam się.

Ha. Jeśli ja wybiorę skład drużyny, czy napisze Pan za mnie artykuł?

Patrzyłam na wyświetlacz i czekałam. Wiedziałam, że Trener pisze powoli, używając tylko kciuków.

Nie sądzę, żeby Wasi czytelnicy byli zachwyceni moim stylem. Piszę jak uczeń podstawówki.

Uśmiechnęłam się.

Niech Pan nie udaje głupiego osiłka. Przecież Pana znam.

I pogawędka ciągnęła się dalej.

TCC: *Naprawdę? Co jeszcze o mnie wiesz?*

Ja: *Wiem, że siedzi Pan w swoim wielkim fotelu i ogląda telewizję z wyłączonym głosem.*

TCC: *Ha. I tu mnie masz.*

Ja: *Pewnie na stoliku obok pilota stoi butelka shiner bocka.*

TCC: *Gdzie jest ukryta kamera? Ile palców trzymam w górze?*

Ja: *Jeden. Jak numer jeden. Bo taki będzie nasz tegoroczny wynik.*

TCC: *Masz o mnie zbyt wysokie mniemanie. Zawsze miałaś.*

Ja: *Nie. Niemożliwe. Ale wróćmy do artykułu. Co Pan sądzi o Lachem?*

TCC: *Chłopak ma tempo jak małomiasteczkowa plotka.*

Ja: *Mogę to zacytować?*

TCC: *Proszę bardzo.*

Ja: *To – i co jeszcze?*

TCC: *Napisz, że rozegramy prawdziwą bitwę. Do ostatniej krwi.*

Ja: *A strategia?*

TCC: *Nie tracić piłki i zdobyć więcej punktów niż przeciwnik.*

Ja: *Brzmi niezbyt skomplikowanie.*

TCC: *Owszem. Ale nie daj się zwieść. To, co w życiu najlepsze, tylko wydaje się proste.*

Z uśmiechem stwierdziłam, że zgadzam się z nim w stu procentach.

*

Następnego ranka, o siódmej pięćdziesiąt siedem, przesłałam swój

pierwszy artykuł do „Dallas Post”. Dwadzieścia minut później Smiley wpadł do mojego boks i rozkazał mi otworzyć plik. Wykonałam polecenie i odkryłam, że on – albo któryś z korektorów – zdążył już wprowadzić całe mnóstwo zmian.

– Nie było tak źle – powiedział, a ja uznałam to za wielką pochwałę. – Ale musisz popracować nad zwięzłością. Powyrzucać kwieciste opisy, ograniczyć liczbę cytatów. Rozumiem. Brakuje im gracy. Wystarczy, że powiesz to raz. – Mówiąc, wskazywał mi przez ramię wszystkie zmiany zaznaczone na czerwono na marginesach.

Skinęłam głową i odparłam, że rozumiem.

Potem, jakby wiedział, ile czasu zajęło mi stworzenie pierwszej wersji, Smiley dodał:

– I chcę to mieć natychmiast. Na wczoraj.

Kiedy wrócił do gabinetu, zauważyłam, że jedynym zdaniem, w którym nie wprowadził żadnych poprawek, był wstęp do artykułu, który pochodził bezpośrednio z mojego telefonu: „Trener Walker University Clive Carr twierdzi, że sobotnie spotkanie z drużyną Baylor będzie bitwą do ostatniej krwi”.

*

Kilka godzin później, przesyłszy Smileyowi poprawiony artykuł i rozpoczynając pracę nad następnym, jak za dawnych dobrych czasów spotkałam się z Lucy na boisku treningowym. Lucy przyniosła wykwintne kanapki ze swoich ulubionych delikatesów i usiadłyśmy na trybunach, gdzie rozmawiałyśmy i przyglądałyśmy się treningowi. A właściwie *ja* się przyglądałam, Lucy zaś skupiła się na konwersacji.

– Jak Ryan? – zapytała, wręczając mi pół kanapki z pieczarkami, mozzarellą i czerwoną papryką. Uwielbiała rozmawiać o moim nowym chłopaku, ucieszyłam się więc, że mogę jej zdać pozytywną relację.

– Świetnie – odpowiedziałam, przyglądając się ćwiczeniu znanemu jako „słabe ramię”. Trener zazwyczaj pozostawiał techniczne szczegóły swoim asystentom, tym razem jednak sam stanął z tarczą na linii piętnastu jardów,

a ustawieni w szeregu biegacze po kolei napierali na jego bark, by nie dać się zepchnąć z trasy. Jakimś cudem Trener wyglądał pociągająco nawet wtedy, gdy dmuchał w gwizdek i wykrzykiwał chrapliwe komendy. W końcu oderwałam wzrok od boiska i spojrzałam na Lucy, powtarzając sobie w duchu, że muszę wziąć się w garść. I że nie wolno mi patrzeć na jej ojca w *ten sposób*.

– Może jednak powiesz mi coś więcej niż tylko, że jest „świetnie”?

Uśmiechnęłam się. Gdybym przeprowadzała wywiad, takie wymijające odpowiedzi jak moja sprzed chwili doprowadzałyby mnie do szału. Dodałam więc:

– Ostatnio często zostaję u niego na noc. To wygodne, gdy muszę wstać do pracy.

– Wygodne, tak? I nic więcej?

Parsknęłam śmiechem.

– Hm, mogę jeszcze powiedzieć, że uwielbiam jego dom.

– A więc bliskość do pracy i luksusowe warunki mieszkalne? To mi wygląda na idealny związek.

Upiłam łyk lemoniady.

– Co jeszcze mam ci powiedzieć?

– Że jesteście w sobie zakochani.

Uśmiechnęłam się do niej zaciskając usta i pokręciłam głową.

– To może chociaż jesteście tego bliscy?

– Może. – Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jednego z diamentowych kolczyków, a tymczasem Trener dmuchnął w gwizdek, po czym zapytał Barry’ego Canty’ego, czy w ogóle planuje się dzisiaj spocić.

Parsknęłam śmiechem.

Lucy spojrzała na mnie i spytała:

– Co?

– Twój tata. Jest bardzo zabawny.

– Aha. No tak. – Lucy odłożyła kanapkę. – Chciałam jeszcze o czymś z tobą porozmawiać. – Znałam to spojrzenie. Coś było nie tak.

– Co się dzieje? – zapytałam z niepokojem.

– Chodzi o tatę. Wydaje mi się, że kogoś poznał.

Serce podskoczyło mi do gardła. Zapytałam, czemu tak myśli,

wyobrażając sobie atrakcyjną kobietę po czterdziestce, być może wdowę.

– Kiedy do niego wpadłam, właśnie pisał do kogoś esemesa – odparła Lucy.

Na boisku Trener ustawił biegaczy do kolejnego ćwiczenia.

– Kiedy? – zapytałam.

– Wczoraj wieczorem. Koło ósmej.

Odetchnęłam z ulgą, a chwilę później ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, uświadomiłam sobie bowiem, że pisał do mnie. W ułamku sekundy postanowiłam nie mówić o tym Lucy.

– To było dziwne – ciągnęła moja przyjaciółka. – Zapytałam, z kim rozmawia, a on na to, że z nikim. Pomyśl tylko. Z *nikim*.

– Może siedział w internecie? – rzuciłam. Nienawidziłam siebie za to, że ją okłamuję, i sama nie wiedziałam, czemu właściwie to robię. W końcu wczoraj przeprowadzałam z nim wywiad, nie było w tym nic zdrożnego.

– Nie. Jestem pewna, że esemesował. Widziałam wyświetlacz. Ale kiedy zjrzałam mu przez ramię, on odwrócił telefon.

– Może pisał do swoich asystentów – powiedziałam, przygryzając wargę. – No wiesz, mogło chodzić o jakieś tajne manewry.

Lucy spojrzała na mnie z ukosa.

– Tajne manewry? On jest *trenerem*, nie agentem FBI.

Żadne inne wiarygodne wytłumaczenie – poza prawdą – nie przychodziło mi do głowy, wzruszyłam więc ramionami.

– Myślisz, że on się może z kimś spotykać?

– Nie sędzę. Ale nawet jeśli, to co?

– Mówisz poważnie? – Najwyraźniej Lucy uznała to za najbardziej niedorzeczne pytanie świata.

– To znaczy... Wiem, że miałabyś z tym problem, ale... Byłabyś na niego zła?

Lucy westchnęła.

– Jak mogłabym być na niego zła?

– Mogłabyś – odparłam, myśląc, że to, iż nie powinna się na kogoś złościć, nigdy jej przed tym nie powstrzymało. W żadnej sprawie. To niezwykle, że różniąc się tak diametralnie, nadal tak bardzo się kochałyśmy.

– Cóż, odpowiedź brzmi: nie. Nie sądzę, żebym potrafiła się na niego gniewać. Ale uważam, że powinien odczekać przynajmniej rok, zanim choćby pomyśli o rozmowach z innymi kobietami. Czy nie taka jest zasada?

Wzruszyłam ramionami, myśląc o pani Carr. O tym, że miała całe mnóstwo takich drobnych zasad: Nigdy nie zakładaj letnich ubrań po Święcie Pracy⁷. Nie opuszczaj przyjęcia zbyt wcześnie, ale, na miły Bóg, pod żadnym pozorem nie wychodź jako ostatni. Lista prezentów dołączona do ślubnego zaproszenia jest w złym stylu, podobnie jak komunikat z prośbą o nieprzynoszenie niczego. I moja ulubiona: maniery są ważniejsze od etykiety. Innymi słowy, nie kładzie się łokci na stole, ale o wiele gorsze jest wytykanie tego innym.

– Nie sądzę, żeby były tu jakieś zasady, Luce... Myślę, że to zależy od wielu czynników... – powiedziałam i zamilkłam.

– Rozumiem. I naprawdę chcę, żeby był szczęśliwy. Ale, mój Boże, nie jestem pewna, jak to wytrzymam... A czy wiesz, że ktoś mnie ostatnio pytał o twoją mamę?

– O co konkretnie?

– O to, czy sądzę, że zejdzie się kiedyś z moim tatą. Nie wydaje mi się, żeby była nim zainteresowana, jak myślisz?

– Nie – odparłam bez namysłu.

– Z szacunku do mojej mamy?

Pokręciłam głową.

– Po prostu nie widzę ich razem. On nigdy by się na to nie zdecydował. A ona lubi ulizanych gości pod krawatem. *À propos* – dodałam, żeby zmienić temat. – Mój ojciec przyjeżdża z wizytą na Święto Dziękczynienia.

– Sam?

– Jasne, że nie. Przywozi ze sobą Bronwyn i Maszkarę. – Tak nazywałam Astrid.

Lucy parsknęła śmiechem.

– Wspominałaś im o Ryanie?

– Jeszcze nie. I muszę przyznać, że nie mogę się doczekać.

⁷ W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy obchodzi się w pierwszy weekend września.

– Tak. To będzie coś – przyznała Lucy.

Spojrzałam na boisko. Trener dmuchnął w gwizdek i krzyknął:

– Do cholery, Sanders! Jeśli ci mówię, że kaczka pociągnie taczkę, to się zamknij i zaprzęgaj biedaczkę!

Roześmiałam się, zapisując kolejny smaczny cytat. Uznałam, że nawet jeśli go nie wykorzystam – a nie chciałam tego robić bez zgody Trenera – to pragnę zachować go na przyszłość, razem z naszą esemesową wymianą zdań, której wciąż nie wykasowałam z pamięci telefonu.

Rozdział 19

Mecz w Waco okazał się jeszcze brutalniejszy, niż Trener przypuszczał. Z trudem pokonaliśmy Baylor dwadzieścia jeden do dwudziestu. Poza ostatecznym wynikiem wszystko szło nie tak. Upuszczaliśmy piłkę, nie trafialiśmy do bramki i naraziliśmy się na całe mnóstwo niepotrzebnych kar. Z doświadczenia wiedziałam, że podczas konferencji prasowej Trener będzie w złym humorze i że frustracja spowodowana przejawami bezmyślności i braku dyscypliny u zawodników przeważą nad radością ze zwycięstwa.

Tak jak się spodziewałam, Trener wszedł na salę naburmuszony, warczał na reporterów i prawie nie zareagował, gdy podniosłam rękę. Zamiast wywołać mnie po nazwisku, po prostu wskazał na mnie palcem i rzucił:

– Słucham.

– Trenerze – zaczęłam niepewnym, drżącym głosem. – O czym pan myślał, kiedy Rhodes wypuścił piłkę? Pod koniec pierwszej połowy?

– O czym myślałem? – Zmrużył oczy, jakby zdziwiło go to pytanie, a potem powiedział: – Pomyślałem, że sędzia odgwizdże wypuszczenie. Nic więcej. – Jego głos był zachrypnięty od przekrzykiwania ponad pięćdziesięciu tysięcy kibiców. A także, jak przypuszczałam, w wyniku awantury, którą urządził swojej drużynie.

Poczułam, że oblewam się rumieńcem, nie dawałam jednak za wygraną.

– Widział pan powtórkę? Wyglądało na to, że koniec próby nie był

wcale oczywisty.

– Tak. Widziałem powtórkę.

– I? Uważa pan, że to było uprawnione? – zapytałam zmieszana, bo nie potrafiłam wyartykułować tego, o co naprawdę mi chodziło. Chciałam wiedzieć, jak zareagował na upadek morale swojej drużyny po tak ważnej decyzji sędziego.

– Takie było oficjalne rozstrzygnięcie. Wiecie dobrze, że już wcześniej wykorzystalem możliwość odwołania się od decyzji sędziego. Sytuacja była prosta. Zarządzono oddanie piłki i na tym koniec. Moja opinia nie miała tu znaczenia.

Spojrzałam na niego, myśląc, że przeciwnie, jego opinia ma wielkie znaczenie, nieważne, czy dotyczy zagrania, całego meczu, czy czegokolwiek innego. Trener patrzył na mnie wyczekująco, więc zebrałam się w sobie i zadałam ostatnie pytanie:

– Czy uważa pan, że dla Walker był to moment zwrotny w całym meczu? – W ostatniej chwili ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć „dla nas”.

Trener skrzyżował ramiona i westchnął ciężko.

– W tym meczu było wiele momentów, gdy mogliśmy zrobić coś lepiej. Krótko mówiąc, poszczęściło się nam jak cholera. Dziękuję. To wszystko.

Wstał gwałtownie i bez słowa zszedł z podium, kierując się do drzwi i z powrotem w stronę szatni.

*

Tego wieczoru wysłałam artykuł do redakcji i pojechałam do domu. Odgrzałam gotowe danie w mikrofalce i zjadłam je przed telewizorem. Podobnie jak Trener Carr, byłam w podłym nastroju, zignorowałam więc dzwonek telefonu. Nie miałam ochoty rozmawiać z Lucy ani z Ryanem, który spędzał noc w hotelu Four Seasons w St. Louis, przygotowując się do jutrzejszego meczu z Rams. Jediną osobą, z którą chętnie bym pogadała, był Trener, nie odważyłam się jednak do niego zadzwonić, wiedząc, że ostatnie, na co ma ochotę, to rozmowa z reporterką zadającą irytujące

pytania. W pewnym momencie uznałam jednak, że nic się nie stanie, jeśli wyślę mu krótkiego esemesa. Długo układałam jego treść, aż w końcu zdecydowałam się na jedno krótkie zdanie: *Przykro mi z powodu meczu i przepraszam za idiotyczne pytania.*

Nie spodziewałam się odpowiedzi, a już na pewno nie tego, że Trener odpisze po kilku chwilach: *Nic nie szkodzi. Wybacz, że na Ciebie warknąłem.*

Zanim zdążyłam zareagować, rozległ się dzwonek. Oszołomiona upuściłam telefon równie niezgrabnie jak Rhodes piłkę. Szybko podniosłam go z podłogi i zdążyłam odebrać, zanim włączyła się poczta głosowa.

– Cześć – powiedział Trener. – Jak się czujesz?

– Pewnie tak samo jak pan – odparłam, choć moja frustracja spowodowana meczem ustąpiła miejsca uldze na myśl o tym, że się na mnie nie gniewa.

– To było puste zwycięstwo – powiedział.

– A jednak zwycięstwo.

Trener prychnął z pogardą i powiedział:

– Wolałbym przegrać dobry mecz.

Nie byłam pewna, czy mu wierzę, ponieważ przegrana zniweczyłaby nasze szanse na wspaniały sezon. Przytaknęłam jednak i dodałam:

– Moim zdaniem sędzia podjął złą decyzję.

– Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co zobaczyliśmy na powtórce. Facet chyba urwał się z choinki. Odpowiadając na twoje pytanie: owszem, uważam że ten moment zmienił tok gry. Dla chłopaków na pewno. Podziałał im na psychikę. Gdybyśmy zrobili to samo, grając z lepszą drużyną, byłoby po nas.

– Rzeczywiście. – Uznałam, że będzie najlepiej, jeśli pozwolę mu się wygadać.

– Poza boleśnie oczywistym faktem, że nie udało nam się zmęczyć przeciwnika – ciągnął – przegapiliśmy mnóstwo okazji.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem, nieco zaskoczona tym, że mi się zwierza. Wiedziałam przecież, że po nieudanych meczach nie miał zwyczaju rozmawiać nawet z najbliższymi współpracownikami.

– Co robisz? – zapytał nagle.

- Teraz?
- Tak. Teraz.
- Nic. A pan? – zapytałam, dziwnie zdenerwowana.
- Zaraz idę pobiegać.
- O wpół do dziewiątej wieczorem?
- Jeśli jest już wpół do dziewiątej... To tak. Przyłączysz się?
- Oszołomiona zaproszeniem, zgodziłam się z bijącym sercem.
- Świetnie. Za piętnaście minut na bieżni?
- W porządku – powiedziałam, zastanawiając się, jak to możliwe, że jestem tak zadowolona, tak *szczęśliwa*, tak krótko po fatalnym meczu.

*

Kwadrans później zatrzymałam samochód na parkingu obok kortów tenisowych i dawnej hali sportowej. Byłam ubrana w szary dres z uczelnianego magazynu i starą czapkę z daszkiem. Na zasnutą księżycowym blaskiem i bladym światłem halogenów bieżnię opadła gęsta mgła, która sprawiła, że z trudem dostrzegłam samotną postać wykonującą ćwiczenia rozciągające nieopodal wysokiej sterty tyczkarskich zeskoków. Kiedy rozpoznałam Trenera, moje serce na sekundę zamarło. Przez chwilę obserwowałam go ze szczytu ceglanych schodów. Kiedy w końcu zeszłam na dół, Trener uniósł wzrok i na wpół pomachał, na wpół mi zasalutował, spowity mglistą zasłoną. Wzięłam kilka głębokich wdechów, próbując się uspokoić, po czym wpisałam kod i otworzyłam skrzypiącą metalową bramkę. Powoli przekroczyłam gąbczastą czerwoną bieżnię i zeszłam na pobocze. Zatrzymałam się o kilka metrów od Trenera, owładnięta nagłą falą czystej radości. Byliśmy zupełnie sami pośród pięknej księżycowej nocy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić cudowniejszego scenariusza.

- Cześć, mała – powiedział, uśmiechając się lekko.

- Cześć, Trenerze. – Żałowałam, że nie potrafię czytać w jego myślach. Przez jego twarz nie przebijały żadne emocje.

- Trochę tu zimno. – Zaciągnął pod szyję tasiemkę szarej bluzy, takiej samej jak moja, tylko z kapturem.

– Rzeczywiście. Ale mnie to nie przeszkadza – odparłam nerwowo i pochyliłam się, żeby zawiązać mocniej sznurowadła.

– Mnie też nie. – Trener zaczął się rozgrzewać, drobiąc w miejscu.

– Zawsze biega pan po meczu? – zapytałam. Było mi łatwiej z nim rozmawiać, kiedy na mnie nie patrzył.

– Zawsze, kiedy gramy do dupy – powiedział i usiadł na ziemi, żeby się porządnie rozciągnąć.

Skinęłam głową i wbiłam wzrok w punkt nieco na prawo od miejsca, w którym siedział.

– Udało ci się skończyć artykuł? – zapytał, zerkając na mnie.

– Tak.

– I?

Nie byłam pewna, o co mu chodzi.

– I... Jest gotowy.

– Jesteś z niego zadowolona?

– Tak zadowolona, jak to możliwe, biorąc pod uwagę... mecz, o którym pisałam.

Trener skinął głową, a kiedy na mnie spojrział, uśmiechały się tylko jego oczy.

– Nie rozciągasz się?

Wzruszyłam ramionami i z wahaniem usiadłam obok w rozkroku, naśladując jego postawę. Kilka razy dotknęłam palców u stóp nagłymi, urywanymi ruchami – dokładnie takimi, jakich nie powinno się wykonywać – a następnie wstałam, mamrocząc pod nosem, że jestem gotowa.

– Młodość. – Trener westchnął. – Ja przy takiej rozgrzewce z pewnością coś bym sobie naderwał.

– Dzieli nas tylko ile? Dwadzieścia lat? – rzuciłam, nagle spięta.

– *Tylko* dwadzieścia? To dziś niezbyt szczęśliwa liczba.

Spojrzałam na niego pytającym wzrokiem. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, ile punktów oddała nasza obrona.

– Ups – powiedziałam.

Na szczęście się uśmiechnął, a wtedy ja zrobiłam to samo. Ruszyliśmy truchtem przed siebie, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek

zegara. Trener zaczął od wewnętrznego toru, ale potem przebiegł na moją prawą stronę. Na początku uznałam to za romantyczny, rycerski gest, po chwili jednak doszłam do wniosku, że to urojenia. Prawdopodobnie wołał po prostu biec po zewnętrznym torze.

Po przebiegnięciu połowy bieżni, czyli około czterystu metrów, dyszałam ciężko, a mięśnie moich ud płonęły żywym ogniem. Trener natomiast był w znakomitej formie, przysięgłam więc sobie w duchu, że zacznę regularnie odwiedzać siłownię. Można by pomyśleć, że przede wszystkim powinno mnie do tego zmotywować towarzystwo zawodowego futbolisty, jednak w sylwetce Ryana było coś, co wręcz zniechęcało mnie do ćwiczeń. Bieganie z Trenerem to co innego.

Po kilku okrążeniach Trener zapytał:

– Rozgrzana? Możemy przyspieszyć?

– Tak. Jasne – odparłam, a wtedy on zwiększył tempo.

Z trudem dotrzymywałam mu kroku.

– A niech to – sapnęłam. – Jest pan naprawdę szybki. Jaki ma pan czas na dwa kilometry?

– Kiedy jestem zmęczony? – zapytał. – Bo na tym właśnie polega pytanie. Nie chodzi o osobisty rekord, ale o to, jak szybko potrafisz biec, kiedy jesteś zmęczona. Albo zdołowana.

– A teraz jest pan zmęczony? – wydyszałam.

Trener potrząsnął głową.

– Nie, ale mam kiepski nastrój. – Po raz drugi złapałam go na uśmiechu i przyszło mi do głowy, że moje towarzystwo przynajmniej odrobinę poprawia mu humor. Ta myśl dodała mi animuszu i przyspieszyłam.

Zapadła cisza. Przestałam liczyć okrążenia. Ale gdzieś około linii sześciu kilometrów Trener zwrócił się do mnie i oddychając ciężko, zapytał:

– Co u Ryana?

Ryan był ostatnią osobą, o której miałam ochotę teraz myśleć. Poza tym byłam zbyt zziębnięta, by udzielić długiej odpowiedzi, rzuciłam więc tylko:

– W porządku. Jutro mecz z Rams.

– Słyszałem o kolczykach.

– Tak – odparłam, masując lewy bok, w którym zaczynał się formować

skurcz. – Chciałam mu je oddać, ale...

– Podejrzewam, że nie był tym zachwycony – dokończył za mnie Trener, odrobinę zwalniając kroku.

– Nie był. Zachowywał się tak, jakby pochodziły z jarmarcznego automatu.

Trener parsknął śmiechem, po czym zatrzymał się, pochylił i oparł dłonie na kolanach.

– Rzeczywiście – przyznał zdyszany. – Ten chłopak jest tak bogaty, że kupuje nową łódź, kiedy zamoczy starą.

Roześmiałam się, co tylko wzmogło klucie w boku. Niezbyt dobrze się czułam, obmawiając Ryana za jego plecami, usprawiedliwiłam się jednak sama przed sobą tym, że przecież Trener też go lubi.

– Proszę, niech pan mi powie, że skończyliśmy – rzuciłam, krzywiąc się z bólu.

– Dobrze. Skończyliśmy – oznajmił Trener.

Pozostałe pół okrążenia przeszliśmy w milczeniu. Minęliśmy bramkę i ruszyliśmy po schodach w stronę parkingu.

Trener przemówił dopiero, gdy znaleźliśmy się przy samochodach.

– Dzięki, Sheo. Już czuję się lepiej.

– To ja dziękuję, Trenerze – odparłam, szczęśliwa i oszołomiona, a po chwili spojrzałam mu w oczy. – Było... bardzo miło.

– Owszem – przyznał, nie spuszczać ze mnie wzroku. Uśmiechnął się powoli, a ja czułam, że chodzi mu nie tylko o przebieżkę, ale przede wszystkim o moje towarzystwo.

Zawahałam się ze względu na Ryana, wytłumaczyłam sobie jednak, że mój pociąg do Trenera nigdy nie zostanie odwzajemniony. Czułam się bezpieczna, marząc o czymś, co tak czy inaczej, nie miało się wydarzyć. Sfrustrowana i odrobinę smutna, ale bezpieczna. Spuściłam wzrok.

– Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy.

– Nie mówiłem ci, że przychodzę tu biegać, ilekroć gramy do dupy?

– Ach, rzeczywiście. W takim razie mam nadzieję, że *nigdy* tego nie powtórzymy.

– Ja też – odparł Trener. – Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość.

– Jaka?

- Każdy udany mecz świętuję ciastem czekoladowym.
- Wyśmienicie – powiedziałam. – Bo biegaczka ze mnie marna. Ale jestem *naprawdę* dobra w jedzeniu ciasta.

Rozdział 20

Tydzień przed meczem z Uniwersytetem Stanowym Luizjany otrzymałam od Smileya pierwsze prawdziwie dziennikarskie zadanie: miałam napisać reportaż o Reggie Rhodessie. Dostałam bardzo niewiele wskazówek, poza tym, że artykuł ma być „smakowity”. Miał traktować o przeszłości Reggiego, o jego miejscu w drużynie, o zdobytym przez niego rozgłosie i o tym, czy na niego zasłużył. Odetchnęłam z ulgą, gdy Smiley gwałtownie zakończył spotkanie, nie wspomniawszy o plotkach związanych z niedawnymi oskarżeniami NCAA. Zaczynałam myśleć, że być może Walker wychodzi na prostą i że mnie jako reporterce cała sprawa ujdzie na sucho. Oczywiście przez cały czas trzymałam buzię na kłódkę, celowo unikając tematu w rozmowach z dawnymi kolegami z pracy.

Gdy zadzwoniłam do J. J.'a i poprosiłam o umożliwienie mi kontaktu z Reggie, żadne z nas nie wspomniało o potencjalnej aferze. Skupiliśmy się na tym, że jestem pierwszą dziennikarką, której przytrafia się taka gratka i która cieszy się wystarczającym zaufaniem Trenera, by pozwolił jej rozmawiać ze swoją młodą gwiazdą poza konferencją prasową.

Przez dwa dni przygotowywałam się do wywiadu, usiłując dotrzeć do różnych postaci z życia Reggiego. Rozmawiałam z jego dawnym trenerem, z dyrektorem szkoły, z rodzicami i oczywiście z Trenerem Carrem. Wszyscy powtarzali mniej więcej to samo. Że Reggie jest wyjątkowy. Że jest supergwiazdą bez Twittera i Facebooka, i bez rozbuchanego ego. Przypominał Tima Tebową, tyle że bez jego religijnej ostentacji. Był dobrym dzieciakiem i prawdziwym sportowcem.

W środę wieczorem spotkałam się z Reggie w eleganckim akademickim centrum doradztwa. Chłopak miał indywidualny tok nauki i skończył właśnie zajęcia z literatury amerykańskiej.

– Dzień dobry pani – powiedział, po czym wstał i uściśnął mi dłoń. Miał miły głos i zabawną przerwę między jedynekami.

– Cześć, Reggie – odparłam, zaskoczona, że mnie pamięta, choć rozmawialiśmy tylko kilka razy, gdy jeszcze pracowałam na uczelni. – Co omawiacie? – Wskazałam na jego notatnik.

– *Przygody Hucka* – powiedział Reggie z uśmiechem. Zamknął książkę i wsunął ją do nylonowej torby leżącej na podłodze.

– Podoba ci się?

– Mam świetne bryki – odparł, z powagą kiwając głową. Dopiero po chwili uśmiechnął się od ucha do ucha. – Nie no, żartuję sobie. Bardzo mi się podoba. Omawialiśmy właśnie scenę, w której Huck robi Jimowi ten kawał z liśćmi na tratwie. No, wie pani, kiedy mu wmówił, że to wszystko mu się przyśniło.

Skinęłam głową, choć tę scenę pamiętałam jak przez mgłę.

– A potem Jim mówi, że „paskudztwo to są tacy ludzie, co się zachowują podle względem swoich przyjaciół i wystawiają ich na pośmiewisko”⁸. – Reggie potrząsnął głową. – Potem Huck idzie go przeprosić, stać go na to, żeby się ukorzyć przed... proszę mi wybaczyć... Murzynem.

Skrzywiłam się na dźwięk tego słowa. A jednak przez cały czas patrzyłam mu w oczy, oczarowana sposobem, w jaki odebrał tę scenę. Byłam pełna podziwu dla jego charyzmy i zachwycona tym, że opowiada mi o literaturze, a nie o sobie. Skinęłam głową, czekając na dalszy ciąg.

Reggie aż gwizdnął z wrażenia.

– O rany. Ta książka jest powalająca. Powalająca. Widać, jak Twain uczyłowicza Jima. Coś wspaniałego.

Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że choć rozmawiam z nim zaledwie

⁸ M. Twain, *Przygody Hucka*, tłum. K. Tarnowska, Łódź 1995, s. 87.

od kilku minut, rozumiem już, dlaczego wszyscy go uwielbiają. Był niezwykle bezpośredni – i niebywale pokorny.

– A więc – zagałam. – Czy możemy chwilę pogadać o tobie? O tym, jak sobie radzisz w Walker?

Reggie zgodził się z chęcią.

– Zacznijmy od tego, czemu wybrałaś właśnie tę uczelnię. Miałaś wiele możliwości. Wiele szkół widziało cię w swoich murach... A więc dlaczego Walker?

Reggie spoważniał i udzielił mi dokładnie tej odpowiedzi, na którą czekałam:

– Przyjechałem tu z wielu powodów. Przede wszystkim to świetna uczelnia. Wszyscy są dla mnie bardzo mili. I kampus jest piękny. Ale poza tym... Nie będę kłamał, jestem tu głównie dlatego, że chciałem grać w drużynie Trenera Carra. To niezwykły facet. Prawdziwy na sto procent. Dla mnie to najważniejsza sprawa, rozumie pani?

– Owszem – odparłam. – Rozumiem.

*

Następnego dnia, gdy kończyłam opracowywać wywiad z Reggie, Smiley wezwał mnie do swojego gabinetu. Rozpierała mnie energia i właśnie miałam mu oznajmić, że napisałam genialny tekst, gdy on obrzucił mnie długim, oskarżycielskim spojrzeniem. Potem gwałtownym ruchem zdjął okulary, rzucił je na biurko i zapytał:

– Czy słyszałaś coś o problemach Walker z NCAA?

Otworzyłam usta, ostrożnie dobierając słowa.

– Słyszałam... pogłoski.

– Pogłoski? – powtórzył głośno Smiley i wałnął dłonią w blat. – Czyli?

– No, wie pan... plotki.

– Powtarzane przez osiłków w twoim ulubionym barze czy przez ludzi z Walker?

– Hm. Chyba jedno i drugie – odparłam wymijająco.

– I co?! Nie przyszło ci do głowy, żeby się nimi podzielić ze swoim

naczelnym?! – wrzasnął Smiley. Nad jego górną wargą zebrały się kropelki potu.

– Pewnie powinnam była tak zrobić – przyznałam i spuściłam wzrok.

Smiley skinął głową i zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie. Był wściekły. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie.

– Owszem. Powinnaś była tak zrobić. Trzeba było się tym, kurwa, zająć. A teraz módl się, żeby nas ktoś nie ubiegł.

– Tak jest – odparłam przybita. Zaczynałam się martwić o swoją pracę. – To znaczy, ja już... Tak jakby trzymam rękę na pulsie...

– I? Co się dzieje?

– Cóż... Właściwie to nie jestem pewna...

– Nie jesteś *pewna*? – Smiley przewrócił oczami, podwijając rękaw koszuli. – Czy to według ciebie znaczy „trzymać rękę na pulsie”?

– Nie, proszę pana. Zazwyczaj nie. Ma pan rację...

– Z kim rozmawiałaś? – przerwał mi Smiley. – Dotarłaś do jakichś źródeł?

– Cóż. No więc, hm... Rozmawiałam z naszym prawnikiem Erniem Gallim.

– Naszym?! – ryknął Smiley, podwijając drugi rękaw.

– Z prawnikiem Walker – poprawiłam się. – To miałam na myśli.

– Słuchaj, Sheo. Musimy coś puścić – sapnął ze złością Smiley. – To jest ważna historia. Masz dwadzieścia cztery godziny. Zrozumiano?

Skwapliwie pokiwałam głową i zapewniłam, że biorę się do roboty, tak jakby pisanie o złych wieściach z mojej uczelni było najprostszą sprawą na świecie. Wyszłam z gabinetu Smileya, myśląc o czymś, co wiele lat temu usłyszałam od Trenera Carra. Chodziło o inną szkołę i inne problemy, ale nigdy nie zapomniałam tamtych słów. „Kiedy lokalne media biorą cię na celownik, jest już po tobie”.

*

Moje najwcześniejsze i najwyrazistsze wspomnienia związane z uczelnianym futbolem nie mają nic wspólnego z miłością do Walker ani

z niechęcią do Teksasu, ale ze skandalem na SMU, czyli momentem, w którym zrozumiałam, że świat mojego ukochanego sportu nie jest wolny od korupcji. Byłam jeszcze oeskiem, gdy Eric Dickerson i Craig James, znani jako „Pony Express”, galopem wpadli na scenę i stali się najsprawniejszym duetem zawodników w historii. Byłam też stanowczo za młoda, by pamiętać Rona Meyera – jego bujne baczki i lśniące garnitury znałam tylko ze starych nagrań i zdjęć. Kiedy jednak Lucy i ja zdałyśmy do pierwszej klasy, zaczęłam już zwracać uwagę na to, co się działo, i było dla mnie całkowicie jasne, że drużyna Mustangów ma kłopoty. *Duże* kłopoty. Był to właściwie jedyny temat rozmów dorosłych, czy to na trawniku u sąsiada, w country clubie, czy w kościele. Nie rozumiałam jeszcze w pełni zawiloci przepisów NCAA, wiedziałam jednak, że SMU to banda oszustów. Podczas jednej z pierwszych lekcji udzielonych mi przez Trenera Carra porównał on bezwstydną sposób, w jaki łamali zasady, do poczynań Lawtona, który odgrywając rolę bankiera podczas partii Monopoly, zaczął ot tak sobie kraść pomarańczowe pięciodolarówki. Trener wyjaśnił, że w całym procederze brali udział bogaci sponsorzy, tacy, którzy chodzili w kowbojskich kapeluszach, przypisując sobie nie swoje zasługi i oferując zawodnikom grube sumy za podpisanie umowy z ich uczelnią. Słyszałam niestworzone historie o samochodach i biżuterii, zwierzętach gospodarskich i domach, którymi ci mężczyźni, znani jako Niegrzeczna Dziewiątka, kusili graczy i ich rodziny. Trener kręcił głową i mówił, że SMU „ma najlepszą drużynę, jaką da się kupić”. Mówił też: „Nie mają wstydu. Łapiemy ich, dostają w tyłek, a potem znów robią to samo. Znów ich łapiemy, znów dostają i tak w kółko”.

A potem, zaledwie trzy dni po moich siódmych urodzinach, 25 lutego 1987 roku, zapadł wyrok. Leżałam chora w domu, a przynajmniej udawałam chorą, żeby obejrzeć relację z konferencji prasowej. David Berst ogłosił, że SMU są winni zgodnie z klauzulą dotyczącą „wielokrotnego złamania zasad” i zostanie im wymierzona najsurowsza z dozwolonych kar. „Kara śmierci”. Żadnych stypendiów, żadnych treningów i żadnych meczów przez cały rok. Zamknięcie całego programu. I choć wszyscy wiedzieli, że SMU są winni jak cholera, to jednak wiele osób było wstrząśniętych wyrokiem. Wśród nich Berst, który zemdlał na wizji.

Tamtego wieczoru słyszałam, jak Trener Carr mówi do mojego ojca, który przyjechał wtedy z wizytą: „Nie powinniśmy się zbyt dziwić. Wszyscy wiedzą... W Teksasie egzekucje są przeprowadzane. Moim zdaniem znacznie łatwiej jest po prostu przestrzegać zasad”. Mój ojciec odpowiedział coś w stylu: „Tak. Jeśli chcesz oszukiwać, lepiej, żebyś był w tym dobry”. Prorocze słowa, nawiasem mówiąc.

A teraz, dwadzieścia sześć lat później, Walker wpadło w potencjalne kłopoty. Oczywiście nie tej skali, co skandal na SMU, ale jednak kłopoty. I niepokojącym zrządzeniem losu tym razem nie oglądałam tego w telewizji. Gorzej – moim zadaniem było zrelacjonowanie całej sprawy. Miałam napisać serię artykułów, które mogłyby zniszczyć futbol w Walker. Powtarzałam sobie, że wszystko będzie dobrze. Ponieważ jedno się nie zmieniło: Trener Carr był dobrym człowiekiem.

Tego wieczoru, po rozmowach z J. J.'em i Gallim, pojechałam do Ryana. Zastałam go w piwnicy, grającego w minigolfa. Opowiedziałam mu o artykule, który Smiley kazał mi napisać.

– Myślisz, że jest w tym choć ziarnko prawdy? – zapytałam.

– Możliwe – odparł Ryan i uderzył kijem piłeczkę, która potoczyła się po macie. – Nie ma dymu bez ognia.

– Co to miało znaczyć? – zapytałam oburzona.

– To, że jeśli na tym poziomie wygrywa się sezon po sezonie, prawdopodobnie ktoś gdzieś dopuścił się oszustwa – wyjaśnił. – Nawet jeśli przegrywasz, ale próbujesz wygrać, prawdopodobnie również prędzej czy później zaczniesz oszukiwać. Przynajmniej w drobnych kwestiach.

– Trener Carr nie jest oszustem – oznajmiłam wyraźnie i stanowczo. Było to stwierdzenie niezaprzeczalnego faktu.

Ryan uśmiechnął się w niebywale irytujący sposób, po czym wbił piłkę do dołka.

– Niech ci będzie.

– Nie jest oszustem – powtórzyłam, odrobinę wyprowadzona z równowagi.

Wzruszył ramionami, po czym wręczył mi kij. Oddałam mu go. Nie miałam nastroju na golfa. Ryan ustawił się w pozycji do strzału.

– Wiem, że twoim zdaniem on jest kolejnym wcieleniem Chrystusa, ale

facet ma swoje wady. Może nie podkupuje graczy, jednak jestem pewien, że co jakiś czas przymyka oko. Musi.

– Nieprawda.

– Oczywiście, że tak! Ten człowiek zarządza wielką korporacją, a jego podwładni to banda przygłupich dzieciaków. *Musi* przymykać oko. To kwestia przetrwania.

– Daj mi jeden przykład – zażądałam. – Jeden przykład takiej sytuacji.

– Proszę bardzo. Pamiętasz cadillaca escalade Cedrica Washigtona?

– Tak. Nie. Nie bardzo. Nieważne, mów dalej – odparłam.

Cedric był skrzydłowym o rok młodszym od Ryana i niemal równie jak on sławnym. Odszedł z uczelni rok przed czasem, żeby dostać się do NFL.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jakim cudem kupił taki świetny samochód? Przyciemniane szyby, obrotowe kołpaki i głośniki, z których leci Dr. Dre, a wszystko wokół drży od napięcia basów?

– Nie. Nigdy o tym nie myślałam.

– W takim razie jesteś jedyna... Cedrica w życiu nie byłoby stać na takie чудо. Daj spokój. Przecież on się wychowywał w najgorszej dzielnicy.

– Okej. – Spojrzałam na niego bez wyrazu.

– Okej? Cóż. Ktoś mu to auto podarował. I to nie był nikt z jego rodziny. I zgadnij co? Trener przytknął oko. Zignorował to. Sprawił, że temat przestał istnieć. – Ryan pstryknął palcami. – Ot tak po prostu. Tak postępują zwycięzcy. Sprawiają, że wszystko toczy się tak, jak chcą, żeby się toczyło.

– W takim razie ty też tak robisz? – zapytałam. Byłam wkurzona i czułam, że za chwilę wybuchnę. – Jesteś słynnym rozgrywającym. Czy to znaczy, że oszukujesz?

Ryan odstawił kij pod ścianę i wygiął palce u rąk, aż strzeliły kostki.

– Nie. Tak się składa, że nie.

– A więc gdybyś mógł podpatrzeć sygnały innej drużyny, wiedząc, że cię nie złapią...

– Jak Tom Brady, kiedy sfilmował *Jetsów*?

– Coś takiego.

– Albo Greg Brady, kiedy ukradł podręcznik? – Ryan się roześmiał. – Widziałaś ten odcinek?

Uśmiechnęłam się mimo woli.

– Oczywiście. Widziałam wszystkie odcinki *Brady Bunch*. A teraz odpowiedz na pytanie.

– Już ci odpowiedziałem. Nie. Nie oszukuję, bo nie muszę. Jestem *aż taki* dobry. Ale gdybym musiał...

– A może zdradziłeś kiedyś dziewczynę? – naciskałam, szukając byle wymówki, żeby się na niego pogniewać.

Ryan strzelił kostkami drugiej ręki i spojrzał mi prosto w oczy.

– Nigdy – powiedział.

Wydawało mi się to niemożliwe, biorąc pod uwagę, jak wiele musiał mieć okazji, ale on nawet się nie skrzywił ani nie mrugnął okiem.

– No dobrze... – powiedziałam w końcu. Postanowiłam mu uwierzyć.

– Posłuchaj, Sheo. Mówię tylko, że czasami człowiek nie ma wyjścia. – Pocałował mnie w czubek głowy, w pobłażliwy, choć miły sposób, po czym wziął do ręki kij i posłał piłkę prosto do dołka.

*

Następnego ranka, wykonawszy kilka telefonów, między innymi do NCAA, wysłałam Smileyowi liczącą około trzystu słów wzmiankę. Nieco uspokoiło mnie to, że nie znalazłam żadnych dowodów, a w tekście znajdowało się tylko kilka wypowiedzi, w tym jedna udzielona przez niezbyt wiarygodnego pracownika Uniwersytetu Teksasu. Innymi słowy, było to najlepsze, na co mogłam mieć nadzieję, gdy zaczęłam węszyć wokół tej sprawy.

NCAA na tropie Broncos

Shea Rigsby

Program futbolowy Walker University stał się przedmiotem oficjalnego śledztwa NCAA. Jak donosi wiarygodne źródło, pod koniec lipca organizacja poinformowała uniwersytet o wszczęciu dochodzenia. Nie ujawniono jednak konkretnych zarzutów. Jeden z informatorów, który zastrzegł sobie anonimowość, określił je jako „wykroczenia, w większości drobne, lecz być

może wiążące się z poważniejszymi i bardziej różnorodnymi". Wskazuje się na brak odpowiednich kwalifikacji u zawodników, zarówno dawnych, jak i obecnych, a także łamanie procedur akademickich oraz „dodatkové korzyści majątkowe i możliwe uchybienia w procesie rekrutacji". Inne źródło, bliskie wydziałowi sportu Uniwersytetu Teksasu, wskazało biegacza drużyny, studenta pierwszego roku Reggiego Rhodesa, twierdząc, że oddawał się on „niewłaściwym rozrywkom" w towarzystwie jednego z promotorów drużyny.

Zgodnie z informacjami pochodzącymi z bazy danych NCAA jest to pierwsze śledztwo prowadzone w czasie gdy trener Clive Carr przewodzi drużynie Walker University, uczelni o nieposzlakowanej dotąd opinii. Rzeczniczka NCAA Emma Potts powiedziała: „Nie możemy udzielać komentarzy na temat naszych działań, ani tych, które już podjęliśmy, ani tych zaplanowanych bądź rozważanych".

Według Scotta Galovana, wicedyrektora działu PR na Walker University, uczelnia ściśle współpracuje z NCAA, jednak jako jednostka prywatna nie podlega Ustawie o wolności informacji i nie jest zobowiązana do ujawnienia otrzymanego przez władze uczelni zawiadomienia o rozpoczęciu postępowania. Jeśli w wyniku przeprowadzonego śledztwa okaże się, że podejrzenia są uzasadnione, następnym krokiem będzie oficjalne zawiadomienie uczelni o stawianych jej zarzutach.

Stuart Sherill, stojący na czele wydziału sportowego Walker University, wydał niedawno następujące oświadczenie: „Nasz sztab trenerski oraz zawodnicy są obecnie skupieni na przygotowaniach do meczu z Uniwersytetem Stanowym Luizjany, który odbędzie się w najbliższą sobotę. W związku z tym poleciłem trenerowi Carrowi, jego podwładnym oraz wszystkim graczom, by nie wypowiadali się na temat dochodzenia i nie odpowiadali na żadne pytania".

*

Minęło zaledwie kilka sekund od chwili, gdy wysłałam swój tekst, a na wyświetlaczu mojego telefonu pokazał się numer Smileya.

– „Uczelnia o nieposzlakowanej opinii”? No doprawdy, coś podobnego. – Jego głos ociekał sarkazmem.

– Ale to prawda.

– To *twoje* zdanie, Rigsby.

Oparłam się pokusie, by mu oznajmić, że to raczej kwestia faktów niż mojego widzimisię, zupełnie jakby ktoś powiedział: „Większość ludzi opisuje niebo jako niebieskie”.

– Na szczęście poza tym przebłyskiem zawołowanej propagandy artykuł jest w porządku – powiedział Smiley. – Jutro go opublikujemy.

*

Tego wieczoru po treningu zatrzymałam Trenera, gdy wracał do gabinetu, i zapytałam, czy znajdzie dla mnie chwilę.

– Dla ciebie? Jasne – zapewnił, poprawiając czapkę ze swobodnym półuśmiechem.

Ja również się uśmiechnęłam.

– Ma pan dobre przeczucia w sprawie meczu?

– Owszem. Ale o tym nie pisz.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem aż takim żółtodziobem – odparłam, po czym wzięłam głęboki oddech i dodałam: – Chciałam, by pan wiedział, że... jutro ukaże się pewien artykuł.

– Ach tak?

– Tak. – Skinęłam głową. – Na temat sprawy z NCAA.

Trener patrzył na mnie przez kilka sekund, a potem żwawo kiwnął głową.

– W porządku.

– Przepraszam. Wiem, jak pan nie lubi, kiedy się panu przeszkadza w przygotowaniach.

– Nie ma sprawy – zapewnił mnie. – Nie słucham tego, co ludzie gadają, ani nie czytam tego, co piszą. Za każdym razem na stadionie wrzeszczą na mnie pięćdziesiąt dwa tysiące kibiców. Nauczyłem się filtrować hałasy.

Skinęłam głową.

– Mam nadzieję, że tym razem też się panu uda. Panu i Reggiemu. Jest wymieniony w tym tekście.

– Mam nadzieję, że tobie też się uda, mała. Nie daj się.

Nadeszła złota godzina zmierzchu, zachodzące słońce odbijało się w jego oczach, które uciekły gdzieś w przestrzeń.

– Spróbuję – obiecałam. – Po prostu czuję się okropnie, kiedy muszę pisać o takich rzeczach.

– To twoja praca. Nie masz wyboru.

Skinęłam głową z nadzieją, że powie coś jeszcze, na przykład stanowczo zaprzeczy, że ma coś wspólnego z jakąkolwiek aferą. Tymczasem Trener wpadł w filozoficzny nastrój.

– To jest tak – zaczął, a ja przygotowałam się na smakowity kąsek. – Serce podpowiada ci, czy postępujesz dobrze, czy źle. Musisz po prostu robić wszystko, żeby pozostać na obranym kursie.

– Rozumiem.

– Nie spuszczaaj z oka nagrody.

Znów skinęłam głową, zastanawiając się, co naprawdę jest tą nagrodą.

Rozdział 21

Mój tekst ukazał się w gazecie następnego ranka, a do południa dostałam ponad pięćdziesiąt esemesów i e-maili od zaniepokojonych znajomych i dawnych współpracowników. Wszyscy byli zaskoczeni tym, co napisałam, ale jeszcze bardziej tym, że podpisałam się pod tym własnym nazwiskiem. Odpowiadałam, że jeszcze nikt nie groził mi śmiercią, choć na moją skrzynkę e-mailową powoli zaczęły spływać wiadomości z pogroźkami od maniakałnych wielbicieli drużyny.

Tego wieczoru odwiedziła mnie spanikowana matka, żądając wyjaśnień i pytając, czemu nic jej nie powiedziałam i czy Trener jest na mnie zły.

– Jeśli jest zły, to na pewno nie *na mnie* – odparłam.

– Dobrze się czuje?

– Tak, mam. Czuje się świetnie. Jest głównym trenerem. Na razie koncentruje się na najbliższym meczu.

– Ale czy to wszystko prawda?

Gdybym rozmawiała z kimkolwiek innym, stanowczo bym zaprzeczyła. Powiedziałabym, że skargi pochodzą od zazdrośników i naszych rywali. Może od jakiegoś niezadowolonego z transferu zawodnika. Kogoś, kto ma do nas pretensje. Ale było coś w mojej matce, niezmiennie radykalnej w swych opiniach, co sprawiło, że powiedziałam:

– Prawdopodobnie zarzuty nie są wyssane z palca. Inaczej nie przyszedłoby oficjalne zawiadomienie i cała sprawa nie przekształciłaby się w dochodzenie z prawdziwego zdarzenia.

Mama potrząsnęła głową.

– Bzdury! Ja w to nie wierzę.

W tamtej chwili zobaczyłam i usłyszałam w niej siebie, swoje własne ślepe oddanie Trenerowi Carrowi i wszystkiemu, co związane z Walker. Poczułam się niezręcznie.

– Nic nie jest czarno-białe – oznajmiłam. – Nie jesteśmy jak SMU w latach osiemdziesiątych. Co nie zmienia faktu, że prawdopodobnie przymykaliśmy oczy...

Mama kategorię potrząsnęła głową.

– Oszustwo *jest* czarno-białe – oświadczyła. Wiedziałam, że myśli o moim ojcu, i jak zawsze zadziwiła mnie jej krótka pamięć: ona też kiedyś brała udział w zdradzie. Od tego wszystko się zaczęło. Stąd się wzięłam. Dziecko dwojga oszustów.

Matka dodała jeszcze jakąś zjadliwą uwagę na temat byłego męża, z nadzieją, że zdoła mnie sprowokować, ja jednak tylko wzruszyłam ramionami. Ostatnie, na co miałam ochotę, to dyskusja o etyce – albo jakakolwiek dyskusja dotycząca mojego ojca.

– Tak czy inaczej, Trener Carr nigdy świadomie by nikogo nie oszukał – podsumowała.

Z tym musiałam się zgodzić i zrobiłam to. Na głos.

– Czy wiesz, że przez te wszystkie lata zawsze był wierny Connie? Zawsze. Czy wiesz, jak niewielu trenerów o jego pozycji może się czymś podobnym pochwalić? Connie opowiadała mi o tych facetach niewiarygodne historie. Opisowała mi bezczelnych, niepoohamowanych seryjnych cudzołożników. Zdaje się, że trenerzy są pod tym względem gorsi od bankierów inwestycyjnych.

Serce podskoczyło mi w piersi na wzmiankę o Connie i ich małżeństwie. Podobała mi się pochwała silnego charakteru Trenera, ale moje serce wypełniło się czymś jeszcze. Może poczuciem winy, może odrobiną zazdrości. To z kolei zbiło mnie z tropu i dodatkowo wzmogło wyrzuty sumienia.

– To znaczy, że byli naprawdę szczęśliwi? – zapytałam, spuszcżając wzrok.

– Tak – odparła matka, ale po chwili się zawahała, jakby nie była

pewna, czy powinna mówić dalej. – Byli razem bardzo szczęśliwi, ale... Małżeństwo z trenerem to niełatwy los. Connie często zostawała sama. Od czasu do czasu mówiła mi, że czuje się jak samotna matka. Zwłaszcza w okolicach świąt. Bardzo go kochała, ale...

– Ale co?

– Ale myślę, że zrezygnowała z wielu własnych marzeń po to, żeby być z Clivem.

– Jakie miała marzenia? – spytałam.

– Connie mogła śpiewać na Broadwayu. Naprawdę mogła. Ze swoją urodą i z tym głosem... Mogła zostać gwiazdą...

Skinęłam głową, przypominając sobie piękny głos Connie. I to, jak podczas spotkań w rodzinnym gronie śpiewała, przygrywając sobie na pianinie.

– Naprawdę tego chciała? – zapytałam, bo nie potrafiłam sobie jej wyobrazić w tej nowej, nieznannej roli.

– O tak, sądzę, że tak. Kiedy twój tata nas zostawił i wrócił do Nowego Jorku, powiedziała coś, czego nigdy nie zapomnę. Powiedziała, że mu zazdrości... Nie tego, że opuścił rodzinę, ale tego, że wyrwał się z Walker. W ogóle z Teksasu. Connie miała bardziej skomplikowaną osobowość, niż ludzie zwykli uważać... Przestrzegała wszystkich tradycji Południa, zawsze była idealną żoną i matką... Ale w głębi duszy pozostała marzycielką. Marzycielką z głową w chmurach... Wybrała Trenera spośród wielu i nigdy nie spoglądała wstecz. Ale... – Tu mama zamilkła, owładnięta falą emocji.

– Ale co? – zapytałam łagodnie. Tak bardzo było mi jej żal. Nie potrafiłam sobie wyobrazić utraty najbliższej przyjaciółki.

– Ale myślę, że czekała na swoją kolej. Pewnego dnia. Tyle było rzeczy, którymi chciała się zająć po tym, jak Clive przejdzie na emeryturę... Zobaczyć świat. Wyjechać za granicę. Często mówiła o Wiedniu. Uwielbiała Wiedeń.

– Czemu akurat Wiedeń?

– Jako dziecko mieszkała tam przez rok, kiedy jej ojciec służył w armii... – Jej zmartwiona mina ustąpiła krótkiemu wybuchowi śmiechu. – Wyobrażasz sobie Trenera w Wiedniu?

– Czy nadaje tam ESPN? – zapytałam z uśmiechem.

– No właśnie.

Mój telefon zaczął wibrować i zobaczyłam wiadomość od Trenera Carra: *Sheo, nie martw się tym artykułem. Trzymaj się kursu. Cała naprzód.*

– Co? – spytała mama, gdy nie podnosiłam wzrok znad wyświetlacza.

– Nic – odpowiedziałam. – Ale teraz muszę iść się spakować. Jutro wcześniej rano lecę do Baton Rouge.

– Co jest w Baton Rouge? – zapytała mama, zdziwiona.

– Hm. LSU – odparłam. – Mamy mecz do rozegrania. Pamiętasz?

Po jej wyjściu odpisałam na wiadomość: *Dzięki, Trenerze. Powodzenia jutro. Cała naprzód.*

*

Następnego dnia daliśmy Luizjanie do wiwatu. Przez cały mecz niemal nie wypuszczaliśmy piłki. Ale zwycięstwo dwadzieścia siedem do trzech w prażącym słońcu tylko dołało oliwy do medialnego ognia i czułam, że każda ważna gazeta, każdy portal sportowy i blog stały w gotowości, by – zamiast opisać, jak pokonaliśmy Tygrysy z LSU – opublikować jakąś wariację na temat mojego artykułu. Mimo to dobrze było wygrać. Mecz okazał się wyjątkowo udany i w oczach Trenera dostrzegałam świeży przypływ determinacji. Ten rok będzie należał do nas. Niezależnie od śledztwa, a może nawet *dzięki* niemu, mamy szansę na niezapomniany sezon. A ostateczna wygrana byłaby jak środkowy palec pokazany naszym przeciwnikom – wiedział o tym cały sportowy świat.

– Cała naprzód – szepnęłam do Trenera, gdy w towarzystwie Rhodesa i Evercleara zmierzał na konferencję prasową.

Puścił do mnie oko.

– Tak jest, mała.

Kilka minut później konferencja się rozpoczęła. Zgodnie z moimi przewidywaniami pierwsze pytanie było skierowane do Reggiego i dotyczyło śledztwa. Reggie, który zagrał dziś zjawiskowo, wyglądał na całkowicie niewzruszonego i spokojnie nachyliwszy się do mikrofonu,

powiedział:

– Hm. Cóż, dziś będę rozmawiał tylko o futbolu.

Dziennikarz drażył niezrażony:

– Czy zna pan Raymonda Matthews'a?

Dzięki moim reporterskim dociekaniom wiedziałam, że jest to nazwisko jednego z zagorzałych zwolenników Cincinnati. Wyraz twarzy Reggiego zdradził, że i on wie, o kim mowa.

Trener ruszył Reggie'emu na ratunek.

– Słyszał pan, co powiedział Rhodes – warknął do mikrofonu. – Jeśli nie ograniczą się państwo do pytań o mecz, ta konferencja szybko się zakończy.

Przygryzłam wargę i spojrzałam na ekran laptopa, zapisując jego słowa i myśląc, że nie ma chyba na świecie nic bardziej pociągającego niż pasja Trenera Carra.

Rozdział 22

W następnym tygodniu Smiley opublikował wreszcie mój tekst o Rhodesie, wszystkie tysiąc dwieście słów co do jednego. Wzmogło to śledczy zapal NCAA i zmobilizowało nienawistników, którzy nie potrafili znieść myśli o naszych sukcesach i wysokiej piątej pozycji w krajowym rankingu. Z siedmioma wygranymi na koncie minęliśmy właśnie połowę drogi do upragnionego celu. Jak co roku konstatacja, że więcej meczów za nami niż przed nami, nappełniła nas lekkim zdziwieniem. Być może powodem była jesień, która w Teksasie przychodzi niemal niezauważona, pod płaszczykiem przyjemnego ciepła. Kolejne soboty mijają jedna po drugiej, aż człowiek ze zdumieniem stwierdza, że za rogiem już czeka listopad. Tegoroczny sezon mijał wyjątkowo szybko, ponieważ naszego rozpisu nie zahamowała ani jedna przegrana.

Tymczasem Dallas Cowboys również szli jak burza, co wprawiło Ryana w dobry nastrój. Gładko wśliznęliśmy się we wspólny rytm, często spędzając razem noce. Wciąż nie zjawiłam się na żadnym z jego meczów, co nieraz mi wypominał, ja jednak obsesyjnie bałam się tego, że Smiley będzie miał mi za złe nasz związek i stanie się on dla niego kolejnym dowodem na to, że nie potrafię zachować obiektywizmu. Ryan był Kowbojem, ale jego serce zostało w Walker.

Nasz związek rozwijał się jednak i wkrótce w łazience Ryana pojawiły się kobiece przybory toaletowe, kilka moich ubrań zawisło w jego garderobie. Postanowiłam nawet, że zacznę dla niego gotować, co było dla mnie dużym krokiem naprzód. Broniałam się przed tym od wielu tygodni,

częściowo dlatego, że Ryan zatrudnił zawodowego szefa kuchni, częściowo dlatego, że nie lubiłam zapraszać go do siebie, a w jego eleganckiej, wymuskanej kuchni czułam się niezręcznie. Głównie jednak dlatego, że nie chciałam przyznawać racji matce, wyznającej staroświecką zasadę, że do serca najlepiej trafia się przez żołądek. Swoją drogą czułam mimowolnie, że coś w tym może być, zwłaszcza odkąd Ryan wspomniał od niechcienia, że Blakeslee nie potrafiła zgotować nawet wody ani przyrządzić grzanek w tosterze, dodając przy tym: „Już wtedy powinienem był się domyślić, że nic z tego nie będzie”. Na dłuższą metę nie uważałam, że sukces naszego związku może zależeć od moich gospodarskich talentów (albo ich braku), jednak bardzo chciałam podobać się Ryanowi tak samo, jak on podobał się mnie. Czyli coraz bardziej.

Tak więc pewnego ranka, zanim oboje wyszliśmy do pracy, wspomniałam niezobowiązująco, że z chęcią przyrządzę dla niego zapiekankę z kaszy kukurydzianej i dyni.

– To danie jest prawie takie sławne jak ty – rzuciłam żartem.

– Nie ma sprawy! – Ryan się ucieszył. – W takim razie dam Tre wolny wieczór.

– Dobrze. Tylko pamiętaj, że masz być głodny.

Ryan posłał mi uwodzicielskie spojrzenie i odparł, że to oczywiste i że zawsze jest głodny, kiedy jestem obok. Uśmiechnęłam się, a on wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i wręczył mi jeden z nich.

– Proszę. I tak chciałem ci go dać.

– Jesteś pewien? – zapytałam, siląc się na spokój, choć wiedziałam, że gdy tylko zostanę sama, natychmiast zadzwonię do Lucy. – Może lepiej poczekać, aż spróbujesz mojej zapiekanki.

*

Kilka godzin później, po wizycie w sklepie, gdzie kupiłam wszystkie składniki zapiekanki oraz kurczaka, chleb kukurydziany i ciasto z musu czekoladowego, pojechałam do domu Ryana. Weszłam przez tylne drzwi i zabrałam się do dzieła. Kiedy wrócił z treningu, większość składników

była posiekana i gotowa, a kuchnia sprzątnięta (kolejna mądrość, najprawdopodobniej zaczerpnięta od Connie, którą moja matka głosiła od lat, brzmiała: nigdy nie zostawiaj brudnych naczyń na blacie ani brudnej bielizny na podłodze, przynajmniej dopóki nie masz na palcu obrączki).

– Ożeż. Już jestem pod wrażeniem – stwierdził Ryan, gdy podałam mu kieliszek pinot noir, wyciągniętego z lodówki na wino.

– Mam nadzieję, że nie wybrałam najlepszej butelki.

– Te najcenniejsze trzymam w piwniczce. Zresztą dla ciebie żadne wino nie jest zbyt dobre – odparł Ryan z szarmanckim uśmiechem.

– Dzięki. – Uniosłam kieliszek i nawiązując do naszych dwóch ostatnich wygranych, powiedziałam: – Za zwycięstwo nad BYU i Niedźwiedziami.

– I za moją wspaniałą kucharkę.

– I za twoją kuchnię – uzupełniłam ze śmiechem.

Stuknęliśmy się kieliszkami i spojrzeliśmy sobie w oczy. Ryan skinął głową z zadowoleniem i nachylił się, by mnie pocałować. Nasze usta zetknęły się nad czerwonym winem.

– Jak trening? – spytałam, zerkając na posiekaną cebulę, która dusiła się w ciężkim żelaznym rondlu.

– Nie najgorzej. – Ryan usiadł na wysokim stołku przy kuchennym blacie, a ja zajęłam się zawartością piekarnika. – Z kolanem już lepiej. – Stłukł je sobie podczas meczu z Niedźwiedziami, co samo w sobie nie było niczym nadzwyczajnym, tyle że dla rozgrywającego po trzydziestce każdy guz zaczyna mieć znaczenie. Rozprostował nogę, po czym zgiął ją, krzywiąc się lekko. – Rezonans magnetyczny niczego nie wykazał. Skończyło się na paskudnym siniaku.

– To dobrze – powiedziałam tonem dbałej opiekunki i z zadowoleniem stwierdziłam, że moje słowa zabrzmiały szczerze. Naprawdę się o niego martwiłam. O jego kolano, reputację, zaskakująco kruche ego, o wszystko.

Dorzuciłam do rondla plasterki dyni, czerwoną paprykę, jalapeno, marynatę oraz garść listków oregano. Zamieszałam skwierzącą miksturę i wyprostowałam się, przez cały czas czując na sobie wzrok Ryana. Po kilku sekundach dodałam mleka, zmniejszyłam nieco gaz i przykryłam rondel pokrywką.

– Naprawdę wiesz, co robisz – stwierdził, popijając wino.

Ja tymczasem obtoczyłam udka kurczaka w specjalnie przygotowanym cieście.

– Ogromnie mi się to podoba.

Postanowiłam nie zdradzać mu, że jest to właściwie jedyne danie, które opanowałam do perfekcji. Przekrzywiłam tylko głowę i spojrzałam na niego z uśmiechem.

– Podoba ci się smażenie kurczaka?

– Owszem. A podobałoby mi się jeszcze bardziej, gdybyś zrzuciła te ciuchy i założyła fartuszek z falbankami i jakieś zabójcze szpilki.

– Lepiej nie rób sobie nadziei. Mogę dla ciebie gotować, ale na przebieranki nie licz.

Ryan parsknął śmiechem.

– Nie namówię cię nawet na strój cheerleaderki Kowbojów?

– *Zwłaszcza* nie na to – odparłam.

Ryan wstał, podszedł do piekarnika i objął mnie w talii.

– Zaraz wrócę – powiedział, pocałowałwszy mnie w czubek głowy. – Przebiorę się tylko w coś wygodniejszego i zadzwonię do paru osób. W porządku?

– Jasne – zgodziłam się, zadowolona, że będę mogła się skupić na kurczaku.

Ryan wyszedł z kuchni z telefonem w rękę, przeglądając po drodze wiadomości. Przez chwilę zaniepokoiła mnie myśl, czy nie są to aby esemesy od dziewczyn, opanowałam się jednak i wrzuciłam warzywa do żaroodpornego naczynia, przekładając kolejne warstwy tartym serem, po czym zwieńczyłam całość kruszonymi chipsami. Zerkając na zegar, wsunęłam zapiekankę do rozgrzanego piekarnika, a potem ustawiłam na stole porcelanową zastawę, kryształowe kieliszki i dołożyłam sztucce z prawdziwego srebra.

Mniej więcej pół godziny później wyciągałam właśnie naczynie z piekarnika, gdy Ryan wszedł do kuchni w jasnoszarej bluzie i spodniach od dresu skrojonych tak pięknie, że wyglądały jak szyte na miarę. Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem i uśmiechnęłam się pod nosem.

– Ładna kreacja.

– Kreacja? – Roześmiał się, a ja podeszłam bliżej i przesunęłam dłonią

po cudownie miękkiej tkaninie rękawa.

– Kaszmirowy dres... – zażartowałam.

– Kaszmirowo-*bawelniany* – poprawił mnie Ryan z kpiącym uśmiechem. – Plus odrobina lycry. Nosi się lepiej niż czysty kaszmir.

Brzmiało to zupełnie jak coś, co powiedziałyby Lucy – byłam niemal pewna, że słyszałam od niej kiedyś dokładnie te same słowa. Pokręciłam głową i powiedziałam, że zapamiętam jego radę, choć na palcach jednej ręki mogłabym policzyć swoje ubrania, które zawierały choćby małą domieszkę kaszmiru.

– To co? Jemy? – zapytałam, wskazując suto nakryty stół.

Ryan wyraził zachwyt nad tym, jak pięknie wszystko wygląda i pachnie, a ja nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że właśnie bawimy się w dom.

– Mam nadzieję, że będzie równie dobrze smakować – powiedziałam.

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Ryan ruszył w stronę stołu, po chwili jednak przystanął i złapał mnie za rękę. – Sheo?

– Tak? – Spojrzałam mu w oczy.

Jego spojrzenie było szczere i pełne miłości.

– Ja tylko... – zaczął. – Chciałem ci podziękować – dokończył po chwili wahania.

– Za co?

– Za to, że zrobiłaś mi kolację. – Wciąż trzymając mnie za obie ręce, spojrzał mi w oczy i dodał: – Naprawdę, jesteś kochana. Bardzo to doceniam. Bardzo.

Wzruszyła mnie jego wdzięczność, zwłaszcza kiedy pomyślałam, że właściwie jada wykwintne kolacje niemal co wieczór.

– Bardzo proszę – powiedziałam żarliwie. Chyba jeszcze nigdy jego bliskość nie spowodowała u mnie tak silnych emocji.

Kiedy zasiedliśmy do stołu, uczucie satysfakcji nie zniknęło, a wręcz zaczęło narastać, aż wreszcie uzmysłowiłam sobie, co się dzieje. Byłam szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa tu i teraz, co zdarzało mi się niezmiernie rzadko. Widziałam, że mój nastrój udziela się Ryanowi, który przez cały czas się uśmiechał i raz po raz dotykał mojego ramienia. Nasza rozmowa nie była zbyt głęboka, za to swobodna i okraszona komplementami

dotyczącymi moich talentów kulinarnych. Wciąż dźwięczały mi w głowie słowa matki: „Droga do serca mężczyzny wiedzie przez jego żołądek” i rozpierała mnie mimowolna duma, wiedziałam bowiem, że kolacja wyszła mi pokazowo. Ryan brał dokładkę za dokładką, zachwycając się prostotą i czystością smaku, ja tymczasem wypiałam prawie całą butelkę wina. Pod koniec kolacji byłam już dość wstawiona i z niecierpliwością wyczekiwałam momentu, gdy znajdziemy się razem w łóżku.

– A więc – zagaił Ryan, kiedy wrócił do stołu po sprzątnięciu talerzy – jakie masz plany na Święto Dziękczynienia?

– Takie same jak ty – odparłam, myśląc, że nie odliczam dni do końca roku tak, jak większość ludzi, za punkty orientacyjne obierając kolejne święta. Dla mnie ten czas oznaczał potyczkę z Teksasem oraz początek rozgrywek pucharowych.

– Czy to znaczy, że planujesz zjawić się na meczu? – zapytał z uśmiechem i znów pogłaskał moje ramię.

– Ha! Nie. Mam zamiar oglądać cię w telewizji. – Pomyślałam, że nie pamiętam, bym kiedykolwiek spędzała Święto Dziękczynienia inaczej, niż oglądając grę Kowbojów. – Z tatą. Przyjeżdża do mnie z Bronwyn i Astrid. – Przewróciłam oczami i się skrzywiłam.

Ryan niewiele wiedział o moim ojcu. Dotąd opowiedziałam mu jedynie dziwną historię o trzech ślubach z dwiema kobietami. Wspomniałam też kilka razy o mojej zarozumiałej przyrodniej siostrze. O tym, że pogardzała wszystkim, co związane z Teksasem, który określała jako „osobliwy” i „rustykalny”, i kupowała sobie kowbojskie buty, traktując je jak egzotyczną pamiątkę z odległego kraju.

– A może mielibyście ochotę obejrzeć mecz na żywo? – zapytał Ryan. – W loży, razem z moimi rodzicami? Mogłabyś zaprosić również swoją mamę...

– Bardzo chętnie – odpowiedziałam.

Nagle dotarł do mnie sens jego zaproszenia. Chciał nie tylko poznać mojego ojca, ale również przedstawić mnie swoim rodzicom oraz zapoznać ich z moimi. Po chwili milczenia zapytałam nieśmiało:

– A więc chcesz, żebym poznała twoich rodziców?

– Owszem, chcę – odparł, stanowczo jak to on i z niewzruszoną

pewnością w głosie.

– Dobrze, niech będzie – zgodziłam się. Przez głowę przemknęła mi ulotna myśl o Trenerze, o tym, że ja i mama często spędzałyśmy Święto Dziękczynienia z Carrami i że plan Ryana przerwie tę tradycję. Po chwili jednak postanowiłam skupić się na teraźniejszości, powtarzając sobie w duchu, że jeśli rozegram to właściwie, moje życie może się zmienić w coś, co Lucy zwykła kwitować słowami: „Ja pierdziele, ale bajka”.

*

Mijały tygodnie. Walker wygrało dwa kolejne mecze, z Iowa i Zachodnią Wirginią, a tymczasem miłość między mną a Ryanem kwitła. Jadaliśmy razem lunche, chodziliśmy na kolacje i prowadziliśmy ważne rozmowy. Po jakimś czasie poczułam, że to co się między nami dzieje, dzieje się naprawdę. Przekonanie to stało się tak dogłębne, że opuściłam gardę i przestałam umniejszać znaczenie naszego związku w rozmowach z Lucy i z mamą – co więcej, oznajmiłam im, że łączy nas coś poważnego.

Gdy poinformowałam mamę, że ona również jest zaproszona na mecz, nie mogła powstrzymać radości.

– Czy powiedziałaś już swojemu ojcu o Ryaniu? – zapytała.

Widziałam, że z trudem powstrzymuje się przed zatarciem rąk. Domyślałam się, co jej chodzi po głowie: nawet jeśli Bronwyn uda się bogato wyjść za mąż, słynny rozgrywający ligi narodowej to o wiele lepsza partia niż zamożny inwestor.

– Nie. Jeszcze nie – odparłam niedbale, choć w głębi ducha czułam zadowolenie.

Oczywiście kochałam Ryana za to, że jest Ryanem, były jednak chwile, gdy zdawałam sobie sprawę z jego sławy. Gdy jego twarz pojawiała się na ekranie telewizora albo kiedy ktoś obejrzał się za nami na ulicy, rozpierały mnie duma i satysfakcja. Ku oburzeniu Lucy, wieści o naszym związku nie zostały jeszcze odtrąbione przez kolorowe magazyny, nie licząc niewielkiej wzmianki o gali w hotelu Ritz, i nikt poza zamkniętą społecznością Walker nie wiedział, że jesteśmy parą. Nie powiedziałam o tym nawet Gordonowi,

jedynemu człowiekowi w redakcji, z którym się zaprzyjaźniłam, ponieważ bałam się, że uzna to za przechwałki. Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że miałam powód do dumy i nie mniej niż moja mama cieszyłam się na myśl o chwili, gdy oznajmię ojcu radosną nowinę.

– To na co czekasz? – ponagliła mnie mama. Jej brązowe oczy błyszcząły. – Dzwon do niego, ale już!

– Chcesz posłuchać? Mogę włączyć głośnik – rzuciłam zgryźliwie. – Może Astrid też posłucha?

– Och, to by było cudowne! – zachwyciła się. – Możemy tak zrobić?

– Nie, mamó – odparłam, kręcąc głową. – Nie możemy. Żartowałam.

Dostrzegłam, że uszło z niej nieco powietrza, najwyraźniej jednak nie uznała się za pokonaną i już po chwili zaczęła rozmyślać nad tym, w co się ubierze na mecz.

– Oczywiście to musi być coś niebieskiego – rozwodziła się. – A może zielonego, na cześć Walker?

– Niebieski kolor będzie w sam raz – orzekłam. Nie chciałam psuć jej radości. Wyobraziłam sobie przy tym, jak by szalała, gdybyśmy z Ryanem kiedyś, w jakiejś bardzo odległej przyszłości, zaczęli planować *naprawdę* ważną imprezę. Tę najważniejszą.

*

Następnego dnia zdecydowałam się na próbę generalną przed rozmową z ojcem i postanowiłam wykorzystać do tego Gordona. Po kilku godzinach jałowych rozmyślań nad tym, jak zacząć, rozwiązanie pojawiło się samo, gdy rozmowa zeszała na jego prywatny ranking rozgrywających NFL.

– Wiem, że w tym mieście by mnie za to zlinczowali, *ale...* – odezwał się głośnym szeptem.

Parsknęłam śmiechem, ponieważ wiedziałam, do czego zmierza. Gordon, urodzony i wychowany w Filadelfii, pałał szczerą miłością do Orłów, a Kowboje obchodzili go tylko o tyle, że stanowili dla niego źródło zarobku. Innymi słowy, był profesjonalistą z krwi i kości, podczas

gdy ja często miałam poczucie, że tylko udaję dziennikarkę.

– Na pierwszym miejscu umieściłbym Aarona Rodgersa – ciągnął. – A za nim kolejno Peytona Manninga, Toma Brady’ego i jako czwartego Ryana Jamesa.

Opanowałam przyływ lojalności wobec własnej drużyny i starając się zachować obiektywizm, powiedziałam:

– *Ewentualnie* zgodzę się co do Aarona Rodgersa. Ale moim zdaniem Ryan jest lepszy od Peytona. I o niebo lepszy od Brady’ego.

Gordon zaczął się ze mną sprzeczać, jak zwykle argumentując, że statystyki to jedno, ale naprawdę liczy się wygrywanie ważnych meczów, po czym miał czelność dodać, że po namyśle na czwartym miejscu ustawiłby Breesa, a dopiero na piątym Ryana.

– Oto skuteczny zawodnik – zachwycił się.

– Mówisz poważnie? A Ryan? On jest mistrzem skuteczności – zaprotestowałam, po czym dodałam z rozmysłem: – Ale oczywiście nie mogę być w tej sprawie obiektywna.

– Nikt w całym Teksasie nie może – stwierdził Gordon. – A zwłaszcza nikt z was, absolwentów Walker.

– Rzeczywiście – przyznałam. – Ale w moim przypadku chodzi o coś więcej... Bo tak jakby... Jesteśmy parą.

Gordon roześmiał się, nie odrywając palców od klawiatury.

– Nie, naprawdę. Jesteśmy razem. Wcześniej ci o tym nie mówiłam... Bo zajmujesz się Kowbojami... No i nie wiem... – bredziłam. – Nie chcę, żebyś pomyślał, że się przechwalam. Poza tym jestem pewna, że Smiley miałby na ten temat coś do powiedzenia... Skoro Ryan studiował w Walker i w ogóle. – Zerknęłam na drzwi gabinetu naczelnego, po czym znów spojrzałam na Gordona. Wyraźnie udało mi się go zaciekawić, jednak wciąż wyglądał na nieprzekonanego, jakby czekał na jakąś zabawną puentę.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Chodzimy ze sobą. Od kilku miesięcy...

Gordon skinął głową; wreszcie mi uwierzył.

– Super – powiedział. – To naprawdę fajna sprawa.

– No cóż, chyba tak – zgodziłam się, po czym dodałam: – Naprawdę go

lubię.

Gordon parsknął śmiechem.

– Na to wygląda. Zresztą, kurczę, nie dziwię ci się. To świetny facet.

Uśmiechnęłam się.

– W takim razie powiem mu, że gdybyś był gejem, wybrałbyś Breesa, Brady’ego, Rodgersa albo Manninga.

Gordon uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie. Gdybym był gejem, wybrałbym Ryana. Ma ładniejsze włosy. Możesz mu o tym powiedzieć, jeśli chcesz.

*

Tego wieczoru zadzwoniłam do ojca. Przez chwilę dość niezręcznie gawędziłyśmy o niczym, aż postanowiłam wykorzystać sprawdzony już sposób i zapytałam go, kto jego zdaniem jest najlepszym rozgrywającym ligi NFL.

– Bez wątpienia Ryan James – stwierdził ojciec, gładko wpisując się w powstały w mojej głowie wymarzony scenariusz.

Jeszcze bardziej uradowało mnie to, że usłyszałam w tle trajkotanie Astrid. Dotychczas jej zwyczaj wtrącania się do naszych rozmów doprowadzał mnie do szewskiej pasji. Gdybym kiedykolwiek pisała poradnik dla rozwiedzionych rodziców, moja pierwsza sugestia brzmiałaby: „Przynajmniej od czasu do czasu porozmawiaj z dzieckiem bez obecności swojej drugiej (albo trzeciej) żony. I, na Boga jedyne, nie dawaj jej do telefonu”.

Tym razem jednak byłam zachwycona.

– Co Ryan James? – doszedł mnie jej stłumiony głos.

Mój ojciec powtórzył jej moje pytanie, a ona zgodziła się z jego osądem, po czym dodała, że uwielbia też Toma Brady’ego. Założyłabym się o swoje diamentowe kolczyki, że byli to *jedyni* zawodnicy, których potrafiła wymienić z nazwiska.

– Powiedz jej, że nie chodzi mi o to, o kim najwięcej piszą w brukowcach – rzuciłam z nutą pogardy w głosie, którą jednak

powściągnęłam na tyle, by moje słowa nie zabrzmiały bezczelnie.

Ojciec zmienił temat i zapytał mnie o nową pracę.

– Jak ci idzie? Czytałem parę twoich tekstów. Są naprawdę dobre.

Skrzywiłam się na myśl, że to pierwszy i jedyny wyraz wsparcia dla mojej kiełkującej kariery dziennikarskiej, jaki kiedykolwiek od niego usłyszałam.

– Dzięki, tato. Całkiem nieźle się bawię.

– Nie wątpię – odparł. – To chyba dla ciebie wymarzona praca.

– *Chyba?* – powtórzyłam. – To *jest* moja wymarzona praca.

– No tak, no tak – zmytygował się ojciec. – To miałem na myśli.

– A skoro mowa o marzeniach – zagałam, niezbyt fortunnie, ale z przyjemnością. – To mam też nowego wymarzonego faceta.

– O? – zainteresował się ojciec.

W tle rozbrzmiał ostry głos Astrid:

– Co? Co ona powiedziała?

Nie spróbował nawet zasłonić dłonią słuchawki.

– Powiedziała, że ma wymarzonego faceta.

– Zgadza się – potwierdziłam. – I tak się składa, że tym facetem jest najlepszy rozgrywający w lidze NFL.

– Słucham? – ojciec się zdumiał.

– Ryan James – wyjaśniłam, uśmiechając się pod nosem. W mojej głowie rozbrzmiały triumfalne fanfary. – Spotykam się z Ryanem Jamesem.

Cisza.

– Ryan chce was poznać, kiedy przyjedziecie z wizytą. Zaprosił nas na mecz, do łóżki swoich rodziców. W Święto Dziękczynienia.

Ojciec nadal milczał, nie zważając na Astrid, która bombardowała go pytaniami.

– Tato? Słyszysz mnie?

– Czy to żart?

– Nie, tato. To nie żart. Ryan jest moim chłopakiem. Podarował mi kolczyki z diamentami. Naprawdę dużymi. Jesteśmy ze sobą na poważnie.

Nie posiadałam się z radości, a tymczasem Astrid oszalała. Słyszałam, jak ojciec powtarza jej wszystko słowo w słowo, nawet informacje o wielkości kolczyków.

Nagle usłyszałam ją głośno i wyraźnie – widocznie wyrwała ojcu słuchawkę.

– Naprawdę spotykasz się z Ryanem Jamesem?

– Tak, Astrid. Naprawdę.

– W takim razie opowiadaj! – zakrzyknęła głosem jeszcze bardziej przenikliwym i pretensjonalnym niż zwykle. – Jak to się stało? Gdzie się poznaliście?

– Przecież chodziliśmy razem do szkoły, Astrid. – Lubiłam zwracać się do niej, kończąc zdanie jej imieniem, i podkreślać w ten sposób wrażenie, że rozmowa z nią mnie nuży.

– I dał ci diamentowe kolczyki?

– Tak, Astrid. Są cudowne. Olśniewające.

– Prześlij nam zdjęcie. O rany – powiedziała bezbarwnym tonem. Była w szoku albo zazdrosna. Miałam nadzieję na jedno i drugie.

– Jasne, Astrid. Nie ma sprawy, Astrid – odparłam, napawając się świadomością, że tym razem to ja jestem górą. Niezależnie od wszystkiego, co się wydarzyło w naszym życiu, jako córka swojej matki wreszcie znalazłam się na wygranej pozycji.

Rozdział 23

Kiedy człowiek czuje, że to, co się dzieje, jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, zazwyczaj ma rację. Było to kolejne ulubione powiedzonko Trenera Carra, które wydawało się całkiem na miejscu w tamten wolny weekend, gdy przygotowywaliśmy się do walki z trzema ostatnimi i zdecydowanie najgroźniejszymi przeciwnikami sezonu: Uniwersytetem Stanowym Florydy, Uniwersytetem Stanforda i Uniwersytetem Stanowym Teksasu.

Nie powinnam więc była się zdziwić, gdy pewnego wieczoru, kiedy już prawie spałam, Ryan ni stąd, ni zowąd oznajmił:

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że być może niedługo ktoś zacznie ci opowiadać kłamstwa na mój temat.

– *Słucham?* – Natychmiast oprzytomniałam, choć wciąż miałam zamknięte oczy.

– Blakeslee wie, że się z tobą spotykam. – Jego twarz była tak blisko mojej, że czułam na policzku jego oddech. – I martwię się, że może zaatakować.

– Zaatakować? Mnie? – zdumiałam się i uniosłam powieki. Przyzwyczajając wzrok do ciemności, czekałam na dalszy ciąg. Nagle przypomniało mi się tamto zdjęcie w kolorowym piśmie, o które nigdy go nie zapytałam.

– Nie ciebie. *Mnie*. Chyba jest wściekła. A kiedy jest wściekła, potrafi robić głupoty.

– Czemu jest wściekła? – zapytałam. Uważałam, że skoro są

rozwiedzeni, nie ma do tego prawa. Wiedziałam oczywiście, że emocje (i rozwody) rządzą się własnymi prawami i że są pewne rozdziały w życiu człowieka, których nie sposób zamknąć.

– Słyszała o twoich kolczykach.

– Od kogo? – zapytałam, coraz bardziej niespokojna. – Kto miałby jej o nich opowiedzieć?

– Hm... Ja.

Próbowałam przetrwać jakoś tę informację, wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać ich rozmowa. Tymczasem Ryan sam, niepytany, pośpieszył z dość marnym wytłumaczeniem:

– Nadal gadamy od czasu do czasu.

– Aha. – Poczułam, że serce podchodzi mi do gardła. – Widziałam wasze wspólne zdjęcie. – Nagle poczułam się jak idiotka, przypomniawszy sobie, co podpowiadała mi intuicja tamtego dnia w butik Lucy: że najlepiej walić prosto z mostu.

– To nie było nic wielkiego – odpowiedział Ryan podejrzanie szybko. – Blakeslee miała akurat coś do zrobienia w Kalifornii... Poszliśmy więc na lunch. Na tym się skończyło.

– Aha – powtórzyłam. – Często tak sobie gadacie?

– Bardzo rzadko – zapewnił. – Przysięgam.

– Wierzę ci – powiedziałam, choć wcale nie byłam tego taka pewna.

– Ale rozmawialiśmy kilka dni temu... I zapytała, czy się z kimś spotykam. Opowiedziałem jej o tobie... No i potem było już tylko gorzej.

Wciąż nie potrafiłam zrozumieć, jakim cudem zeszli na temat moich kolczyków, skinęłam jednak tylko głową, usiłując przyswoić sobie tę wiadomość.

– Jesteś zła? – zapytał.

– Nie – odparłam, choć denerwowały mnie jego podwójne zasady. Czemu uważa, że wolno mu się spotykać z Blakeslee, choć sam zabrania mi kontaktów z Millerem?

Po jakichś trzydziestu sekundach odezwał się znowu:

– Na pewno się na mnie nie gniewasz?

Przewróciłam się na bok i wymacałam na nocnym stoliku pomadkę. Zdjęłam zakrętkę i nałożyłam specyfik na usta, mamrocząc, że nie, nie

gniewam się. Nie zabrzmiało to jednak przekonująco. Bo i wcale nie chciałam go przekonać.

Spojrzałam na niego, usiłując wydobyć z ciemności rysy twarzy. Wyglądał na lekko rozczarowanego, co potwierdziło moją odwieczną teorię: im większym ktoś jest zazdrośnikiem, tym bardziej pragnie wzbudzić zazdrość u partnera. Może właśnie dlatego powiedział Blakeslee o kolczykach? Może zaczęła się spotykać z kimś nowym i to przeszkadzało mu na tyle, że chciał dać jej powód do zazdrości?

Oznajmiłam, że jestem padnięta i że oboje powinniśmy się przespać. Ryan przyznał mi rację, ale po kilku minutach znów wymówił moje imię.

– Tak? – rzuciłam wyczekująco, wbijając wzrok w ciemność.

– Chcę być tylko z tobą – powiedział wreszcie po chwili milczenia.

– To dobrze. Bo ja też chcę być tylko z tobą – zapewniłam go.

Zanim jednak zmorzył mnie sen, przyszło mi do głowy, że gdyby naprawdę tak było, nie musielibyśmy o tym mówić – i że może oboje, przekonując się nawzajem, próbujemy w rzeczywistości przekonać samych siebie.

*

Następnego ranka Ryan mnie zaskoczył – podał mi śniadanie do łóżka. Jajecznica, żytnie grzanki i owoce na czarnej lakowej tacy, zastawionej porcelaną, srebrem i kryształem. Talerz zdobiła nawet łyżeczka pietruszki.

– Dziękuję – powiedziałam, choć zawsze uważałam, że śniadania do łóżka lepsze są w teorii niż w praktyce, zwłaszcza gdy ktoś atakuje cię nimi tuż po przebudzeniu.

Usiadłam, a Ryan położył mi tacę na kolanach, po czym wyciągnął się obok. Nie miałam apetytu, pewnie dlatego, że wciąż myślałam o Blakeslee, spróbowałam jednak jajecznicę i zapewniłam go, że jest pyszna.

– A ty już jadłeś? – spytałam.

– Owsiankę i koktajl proteinowy – odparł.

Czułam na sobie jego wzrok i podejrzewałam, że on także wciąż myśli o swojej byłej. Zapadła niewesoła, krępująca cisza.

Ostrożnie ugryzłam grzanekę, starając się nie nakruszyć mu do łóżka. Czułam, że muszę iść do łazienki, ale nie chciałam robić zamieszania, zdejmując z siebie tacę.

– Co dzisiaj robisz? – zapytał Ryan.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym małym chłopcu chorym na raka mózgu? Tym, który jest kibicem naszej drużyny?

Ryan skinął głową.

– Pamiętam. Ma na imię Max, prawda?

– Tak jest – potwierdziłam, po raz kolejny zauważając, że Ryan naprawdę potrafi słuchać, co u mężczyzn jest rzadkością. – Trener zaprosił go na mecz ze Stanfordem. A Smiley chce, żebym napisała jakiś optymistyczny artykuł na ten temat.

– Smiley i optymizm? – Ryan roześmiał się odrobinę za głośno, wyraźnie usiłując rozluźnić atmosferę.

– Dziwne, prawda? – Przesunęłam palcami po kryształowym pucharu pełnym świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, ale się nie roześmiałam.

– O czym myślisz, skarbie? – zapytał.

Odpowiedziałam wprost:

– Zastanawiałam się, czy to był prezent ślubny. – Postukałam paznokciem w puchar.

Ryan się zawahał, a po chwili ponuro skinął głową.

Sięgnęłam po misternie rzeźbiony srebrny widelec.

– A to?

Ryan znów skinął głową i usiadł.

– Czemu właśnie ty zatrzymałeś tę zastawę? – zapytałam z czystej ciekawości. – Chyba zazwyczaj takie przedmioty trafiają do dziewczyny?

Ryan wzruszył ramionami i powiedział, że Blakeslee ich nie chciała.

– Czemu nie?

– Nie wiem. – Zmarszczył gładkie czoło. – Chyba po prostu zmienił jej się gust.

– W rok? Jak to możliwe?

– Zmieniła zdanie co do naszego małżeństwa. Czemu nie miałyby go zmienić w sprawie kryształów i sreber?

Była to słuszna uwaga, a mimo to nie opuszczał mnie niepokój. Nie

odzywałam się. To stara dziennikarska sztuczka: milczenie sprawia, że ludzie zaczynają mówić.

Zadziałało i po chwili Ryan udzielił mi kolejnej informacji:

– I tak w większości ja je wybierałem.

– Układałeś listę prezentów?

– Do sklepu poszliśmy razem. Ale Blakeslee pozwoliła mi zdecydować, co bierzemy.

– Hm – powiedziałam, myśląc: To dziwne.

– Poza tym... Nasze małżeństwo źle się skończyło... A ona stwierdziła, że w takim razie prezenty są skażone.

– Myślałam, że wciąż się przyjaźnicie?

– Owszem. Teraz. Tak jakby.

– Mimo że wszystko tak źle się skończyło? – Siliłam się na swobodny ton, ale i tak mówiłam za szybko, wyrzucałam z siebie pytania jak pociski z karabinu maszynowego.

Ryan skierował na mnie ostrożne spojrzenie.

– Wiedziałem. Jednak *jesteś* na mnie zła.

– Nie – zaprzeczyłam, wzruszając ramionami. – Naprawdę nie jestem.

– A mnie się zdaje, że tak.

– A mnie się zdaje, że chciałbyś, żebym była zła.

Zapadła lodowata cisza. Patrzyliśmy na siebie bez słowa. On odezwał się pierwszy:

– Słuchaj. Nie mówmy już o tym, dobrze?

– Dobrze – zgodziłam się i pomyślałam, że byłoby najlepiej, gdybym już nigdy nie usłyszała jej imienia.

*

Były to jednak płonne nadzieje. Ponieważ tego samego przedpołudnia, gdy wreszcie udało mi się zapomnieć o Blakeslee, w moim boksie zadzwonił telefon, a na ekranie wyświetlił się nieznany numer z Houston.

– Shea Rigsby, „Dallas Post” – powiedziałam. Jeszcze mi się to nie znudziło. Za każdym razem, gdy odbierałam w ten sposób telefon, czułam

dreszczyk ekscytacji.

– Cześć, Sheo – odezwał się kobiecy głos po drugiej stronie linii. Próbowałam go rozpoznać, ale nie brzmiał znajomo. – Blakeslee Meadows. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

– Owszem – odparłam z bijącym sercem. – Jak się masz?

– W porządku. A co u ciebie?

– Też w porządku. – Gdy to powiedziałam, przyszło mi do głowy, że właściwie nigdy nie rozmawiałyśmy, za studenckich czasów tylko wymieniałyśmy na korytarzu zdawkowe „cześć”. Blakeslee zawsze wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że jestem od niej gorsza. Zastanawiałam się, czy nadal tak myśli.

– Kopę lat, prawda?

Mruknęłam coś pod nosem, próbując odgadnąć, jak dalej potoczy się ta rozmowa, a tymczasem ona powiedziała:

– Na pewno się zastanawiasz, czemu do ciebie dzwonię. – Głos miała cichy i pełen wahania. Nie zgadzało się to z moimi wspomnieniami ani z lśniącymi zdjęciami w magazynach czy z jej manifestowaną publicznie pewnością siebie. – Chodzi o Ryana.

– Domyśliłam się – odparłam, zniżając głos i rozglądając się po sąsiednich boksach. Zgodnie z prawem Murphy’ego, całe piętro ucichło właśnie wtedy, gdy potrzebowałam chwili prywatności.

– Wspomniał w rozmowie ze mną, że się spotykacie – ciągnęła.

– Wiem. Mówił mi... że ci mówił – bąknęłam, a Gordon zerknął w moją stronę. Odkąd powiedziałam mu o Ryaniu, odnosiłam wrażenie, że bardziej niż kiedyś interesują go moje rozmowy.

– No tak. Cóż... Biłam się z myślami, czy do ciebie zadzwonić... Moja siostra twierdziła, że nie powinnam tego robić. Wiem, że wasz związek to nie moja sprawa – wyjaśniła.

Nie odezwałam się. Uznałam to za dość spory eufemizm.

– Ale po prostu... Musiałam... – głos jej się załamał, przez co wydała mi się zarazem zrezygnowana i pełna desperacji.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że jej współczuję. Nagle z rywalki zmieniła się w zwykłą dziewczynę, która straciła męża, prawdopodobnie jedyne go mężczyznę, którego w życiu kochała. Może nawet wciąż go

kocha. Może właśnie o to chodzi. Ubzdurała sobie, że go odzyska. Może mną manipuluje?

– Wszystko w porządku? – zapytałam skonsternowana.

– Tak. Dzięki, Sheo. Nic mi nie jest. – Usłyszałam, jak oddycha głęboko, a gdy znów się odezwała, odniosłam wrażenie, jakby czytała z przygotowanego zawczasu scenariusza. – Jak wiesz, Ryan i ja rozwiedliśmy się mniej więcej rok temu. To było bardzo trudne i bardzo, bardzo smutne. Kochałam go... I mnie, i jemu zależało na tym małżeństwie. Ale się nie udało.

– Przykro mi – powiedziałam i czekałam na dalszy ciąg.

– Dziękuję. W każdym razie... Wiem, że widujecie się od lata... I jak już mówiłam, wiem, że wasz związek to nie moja sprawa... Ale... O Boże... Naprawdę trudno mi to powiedzieć... Czuję się okropnie...

– Śmiało – zachęciłam ją, czekając, aż mi wyjawi, że Ryan mnie z nią zdradził.

Nic z tego.

– Chciałam ci jedynie powiedzieć, że Ryan jest porywczy. To znaczy... Naprawdę porywczy.

– Okej – odparłam z wymuszonym spokojem.

– Jesteśmy po rozwodzie... I nie chciałabym rozsiewać plotek na jego temat, zwłaszcza że pracujesz teraz w gazecie. Miałabym sobie za złe, gdyby to się wydostało na zewnątrz i źle wpłynęło na jego karierę, reputację albo kontrakty reklamowe... Albo na to, co was łączy... Ale musiałam ci o tym powiedzieć.

Kiwałam głową, całkowicie wchodząc w rolę reporterki. Nie zadawałam już pytań o swojego chłopaka, ale o Ryana Jamesa, słynnego rozgrywającego.

– Poczekaj – zaproponowałam powoli. – Kiedy mówisz, że jest porywczy... Co dokładnie masz na myśli?

– Przez większość czasu to wspaniały facet. Naprawdę kochany i... Cudowny. – Blakeslee wyraźnie unikała odpowiedzi. – Ale jest porywczy.

Słuchałam w milczeniu.

– Ma to po ojcu – ciągnęła Blakeslee. – Nie twierdzę, że to go usprawiedliwia, ale... Poznałaś jego tatę?

– Nie. Jeszcze nie – odparłam, myśląc o naszych planach na Święto Dziękczynienia.

– Kiedy go poznasz, zwróć uwagę, jak się zwraca do mamy Ryana. I właściwie do wszystkich kobiet. To klasyczny przypadek mizogina i okropny ojciec. Ryan, zwłaszcza kiedy był mały, nieźle dostał od niego w kość. Wywiera na synu niewyobrażalną presję. Kiedy w dzieciństwie Ryanowi zdarzało się źle zagrać, ojciec potrafił go za to boleśnie ukarać. Wyrzucić jego buty do śmietnika za szkołą. Zmusić go, żeby wracał do domu na piechotę. Dziesięć kilometrów w czterdziestostopniowym upale... To zresztą jeszcze nic... Pytałaś kiedyś, skąd ma tę bliznę na czole?

Wiedziałam dokładnie, o której bliznie mówi.

– Stanowe mistrzostwa szkół średnich. Ostatni rok liceum – wyrecytowałam. Chciałam jej pokazać, ile o nim wiem i jak bardzo jesteśmy sobie bliscy.

– Tak, to prawda, to się stało właśnie wtedy – odparła Blakeslee. – Przegrali mecz. Jego ojciec uznał, że winny był rozgrywający.

– O kurwa – wymamrotałam pod nosem. Byłam pewna, że Blakeslee nie kłamie, przynajmniej w tej sprawie.

– No więc... To nie tylko *jego* wina, że taki jest – podsumowała.

– Taki, czyli jaki? – zapytałam, bo chciałam, żeby powiedziała to wprost.

Blakeslee umilkła i przez chwilę wydawało mi się, że połączenie się urwało. Ale gdy wymówiłam jej imię, powiedziała:

– Kiedy się wścieknie, potrafi być naprawdę wredny. Brutalny. Groźny.

Wredny, brutalny, groźny. Te trzy słowa wirowały w mojej głowie, aż przypominałam sobie o zasadzie domniemania niewinności. Uczepiłam się nadziei, że być może źle zrozumiałam słowa jego byłej, choć tego rodzaju przymiotniki nie pozostawiają wiele do interpretacji.

Po długiej, brzemiennej chwili ciszy Blakeslee dodała:

– Czy kiedyś cię popchnął? Albo ścisnął za mocno?

– Nie – odparłam. – Nigdy.

– Cóż – powiedziała cicho. – Może rzeczywiście się zmienił. O ile wierzysz, że ludzie się zmieniają. Ja chyba nie wierzę...

Zaraz potem odezwała się znowu:

– Prosił cię kiedyś, żebyś się przebrała? Wkurzyło go to, że masz na sobie zbyt obcisłe spodnie albo za krótką sukienkę, albo bluzkę z dużym dekoltem?

– Nie – odparłam z ulgą, powtarzając sobie w duchu, że Blakeslee po prostu lubi dramatyzować. Siac zamęt. Naprawdę rozmawiamy o dekoltach?

Ale w momencie, gdy miałam ostatecznie uznać ją za wariatkę, powiedziała:

– No dobrze. A czy zdarzyło się, żeby bez powodu oszalał z zazdrości? Pomyślałam o Millerze, ale nie odpowiedziałam.

– Zdarzyło się, prawda? – powiedziała cicho.

– Tak bym tego nie określiła. Bywa zazdrosny. Ale nie do szaleństwa.

– Tak czy inaczej, uważaj na siebie, Sheo. Od tego się zaczyna... Wiesz... Ja bardzo długo sądziłam, że chodzi o mnie. Bo sama nie byłam idealna. Potrafiłam być naprawdę zazdrosna o te wszystkie dziewczyny, które za nim latały. I czasem, na początku, próbowałam wzbudzić w nim zazdrość. Powtarzałam sobie, że sama zaczynam i że to moja wina. Że jeśli się postaram opanować... nabrać więcej tolerancji... albo po prostu być dla niego idealną żoną... nie będzie miał powodu, żeby się na mnie wściekać. Ale to tak nie działa. I teraz wiem, że to nie była moja wina. Ani jego ojca. Niczyja, tylko samego Ryana. I nie wierzę, że jestem jedyną osobą, której to zrobił.

Której co zrobił? – miałam ochotę zapytać. Milczałam jednak, ponieważ wydało mi się to zbyt osobiste, a odpowiedź zbyt oczywista. Rzuciłam tylko:

– Dziękuję, że zadzwoniłaś i mi o tym powiedziałaś.

– Proszę.

Cisza. Tym razem to ona wytrzymała dłużej.

– No i... Nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć... – wyjąkałam.

– Nie musisz nic mówić – zapewniła mnie. – I proszę, uwierz, że nie próbuję zepsuć waszego związku. Chcę ci tylko pomóc. Tobie i jemu.

– W porządku. – Marzyłam już tylko o tym, żeby się rozłączyć.

– Czy mogę cię prosić o jedną przysługę? – zapytała.

– W porządku – powtórzyłam.

– Nie mów Ryanowi, że dzwoniłam.

– Nie powiem – obiecałam, choć nie miałam wobec niej żadnych zobowiązań. Mimo to czułam, że dotrzymam tajemnicy, choć wcale mi się to nie podobało.

– Chcę po prostu zapomnieć i żyć dalej... Ale musiałam ci o tym powiedzieć. Szkoda, że dziewczyna, z którą był wcześniej, nie przeprowadziła ze mną takiej rozmowy.

Przypomniałam sobie Tish Termini, dziewczynę Ryana z college’u, filigranową Włoszkę, równie piękną jak Blakeslee, choć odrobinę tandetną. Lubiała pokazywać swoje zgrabne, opalone ciało, parując po kampusie w kolorowych wypchanych stanikach pod białymi topami bez rękawów i króciutkich szortach noszonych do kowbojek. Ich związek był burzliwy, wciąż to zrywali, to schodzili się na nowo, nigdy jednak nie słyszałam, by kiedykolwiek ją *uderzył*. Uznałam ten fakt za dowód na to, że Blakeslee kłamie albo przynajmniej koloryzuje. Tak czy inaczej znalazłam się na przegranej pozycji, doszłam bowiem do wniosku, że cokolwiek postanowię, będę miała wyrzuty sumienia – spowodowane albo tym, że oczerniam Ryana, nie dając mu szansy na obronę, albo tym, że sądziłam, iż jakakolwiek kobieta mogłaby kłamać w tak poważnej sprawie.

– Cóż, Blakeslee, jeszcze raz dziękuję, że zadzwoniłaś – powiedziałam.

– Nie ma za co – odparła, a potem dodała: – Tak mi przykro.

Rozłączyłam się, rozmyślając o jej ostatnich słowach. „Tak mi przykro”. Było w nich coś poruszającego, a zarazem znaczącego. Brzmiały bardzo szczerze, nie wiedziałam tylko, kogo jest jej najbardziej żal: mnie, siebie czy Ryana.

*

Tego popołudnia odwiedziłam Lucy w butik i zdałam jej relację. Niczego nie pominęłam i nie starałam się jej naprowadzać, powtarzając dokładnie tylko to, co zostało powiedziane. Co powiedział Ryan. Co powiedziała Blakeslee. Co powiedziałam ja.

Jej pierwsze pytanie brzmiało:

– Wierzysz jej?

– Nie wiem. Chyba nie... Ale się zastanawiam... To znaczy, on naprawdę jest zazdrosny o Millera.

– Ludzie często bywają zazdrośni – przypomniała mi Lucy. – Zwłaszcza na początku związku, kiedy jeszcze nie czują się pewnie. Neil był o mnie okropnie zazdrosny. Teraz oboje się z tego śmiejemy. To był jakiś absurd...

– Wiem. Ale w moim przypadku było inaczej – powiedziałam, przypominając sobie minę Ryana w chwili, gdy zabraniał mi widywać się z Millerem.

– Jesteś pewna, że nie mówisz tak tylko dlatego, że Blakeslee naopowiadała ci bzdur?

– Może – zgodziłam się. Lucy prawdopodobnie miała rację. Ryan nie był przecież *aż tak* zazdrosny o Millera.

– Musisz pamiętać... że on pewnie nieraz się sparzył. Przypuszczam, że niejedna dziewczyna go wykorzystwała. Związała się z nim z niewłaściwych powodów. Jest sławny i przystojny, ale to nie znaczy, że nikt nigdy go nie zranił.

– Zgadzam się.

– Skoro się zgadzasz, czy naprawdę możesz go winić o to, że jest zaborczy? Może powinnaś potraktować to jako komplement? Zależy mu na tobie.

Skinęłam głową. To, co mówiła, brzmiało przekonująco.

– A ona prawdopodobnie wszystko zmyśliła – dodała Lucy. – Nie sądzisz, że powinnaś trochę mu zaufać?

– I uznać, że Blakeslee kłamie? myślisz, że jakakolwiek kobieta mogłaby kłamać na temat przemocy domowej? To grząski teren, Luce.

– Cóż, czy nie na tym opiera się nasz system sprawiedliwości? Na domniemaniu, że człowiek jest niewinny, póki nic nie zostało mu udowodnione? – zapytała Lucy, zupełnie jakby czytała w moich myślach.

Wzruszyłam ramionami i popatrzyłam w okno wychodzące na Main Street. Znałam te kąty na pamięć, każdy sklep, każdą cegłę.

– Proponuję zrobić tak – zaczęła Lucy, powoli i rzeczowo. – Dasz mu szansę. A przy pierwszej oznace, że coś jest nie tak... kiedy dotknie cię jednym paluszkim albo zachowa się choć odrobinę agresywnie...

skończysz z nim.

– Okej. – Zaczęłam się zastanawiać, co oznaczają słowa „odrobinę agresywnie”.

– Czy mogę powiedzieć o tym Neilowi? – Lucy za każdym razem zadawała mi to pytanie. Doceniałam to, choć uważałam, że na tym etapie naszej znajomości nie było ono konieczne. Zawsze się zgadzałam, bo pod niemal każdym względem postrzegałam Neila jako przedłużenie Lucy.

– Oczywiście.

– Może powinnaś pogadać o swoich podejrzeniach z moim tatą? – zaproponowała Lucy. – Może on wie o Ryanie coś więcej?

– Ee, chyba lepiej nie. – Zawsze chętnie szukałam pretekstu do kontaktu z Trenerem, ale nie miałam ochoty rozmawiać z nim o Ryanie i o tej sprawie. Nie byłam pewna dlaczego. Może chodziło o rzucanie niesprawiedliwych oskarżeń wobec jego wychowanka, a może po prostu nie chciałam, by Trener poznał szczegóły naszego związku. – Jeśli Blakeslee kłamie, nie chcę o tym opowiadać na prawo i lewo – wyjaśniłam.

– No tak – zgodziła się Lucy. – Jestem prawie pewna, że kłamie.

– Ja też – zawyrokowałam, myśląc o tym, jak bardzo nasze postrzeganie świata jest kwestią interpretacji. Oraz marzeń, życzeń i nadziei, a nie głębokiego przekonania.

Rozdział 24

Postanowiłam nie martwić się sprawą Ryana, a zamiast tego skoncentrować wszystkie swoje marzenia, życzenia i nadzieje na czekającej nas końcówce sezonu. Po zwycięstwie nad FSU w Tallahassee znaleźliśmy się o włos od celu, od którego dzieliły nas tylko mecze ze Stanfordem i Teksasem. Kilka dni później zbliżyliśmy się do niego jeszcze bardziej, wygrywając z Czerwonymi czterdzieści cztery do czterdziestu jeden.

– Świetna gra – powiedziałam do Trenera, spotkawszy go przed drzwiami szatni. Wybierałam się na salę konferencyjną, specjalnie jednak chwilkę zamarudziłam, by go tam złapać.

– Podobało ci się? – zapytał, nachylając się konfidencjonalnie w moją stronę.

Byłaby to znakomita podstawa do oskarżeń o zbytnią zażyłość, ale na szczęście nikt nie zwracał na nas uwagi. Kątem oka dostrzegłam zmierzającego ciężko w naszą stronę reportera „Sports Illustrated”, zachowałam więc stoicką minę i pokiwałam głową. Gryzmoląc coś w notesie, udawałam, że zapisuję słowa Trenera, by wykorzystać je później w artykule.

– Zadzwoń do mnie później – powiedział.

– Słucham?

– Słyszałaś.

Serce mi zatrzepotało.

– To znaczy dziś wieczorem?

– Tak. Dziś wieczorem.

Choć światła, tłum i pośpieszna jazda na stadion sprawiły, że było mi ciepło, teraz zalała mnie jeszcze większa fala gorąca. Skinęłam głową, obiecując, że zadzwonię.

*

Trzy godziny później, po konferencji prasowej i po tym, jak napisałam i oddałam do redakcji swój artykuł, wybrałam numer Trenera. Nie odebrał, rozczarowanie ostudziło więc nieco mój entuzjazm po naszej wcześniejszej rozmowie. Żeby o tym nie myśleć, zadzwoniłam do Ryana, który właśnie zameldował się w hotelu w Waszyngtonie. Od rozmowy z Blakeslee widziałam się z nim tylko dwa razy i ku mojej uldze oba wieczory upłynęły całkiem zwyczajnie. Razem z Lucy zaczynałyśmy wierzyć, że doniesienia jego ekszony były co najmniej przesadzone. Postanowiłam nie mówić mu o rozmowie z nią, usprawiedliwiając się przed sobą między innymi tym, że Ryan powinien się teraz skupić wyłącznie na grze. Zapytałam go więc o jutrzejszy mecz z drużyną Redskins – jak się czuje i czy jest gotowy. Odpowiedział, że kolano mu już nie doskwiera, jest tylko odrobinę sztywne, po czym zapytał, czy skończyłam pisać artykuł. Wiedział, że wygraliśmy, nie widział jednak nawet kawałka meczu, zdałam mu więc relację z najważniejszych momentów. Kiedy oświadczył, że za mną tęskni, odparłam, że ja za nim też. Żadne z nas nie powiedziało jeszcze „kocham cię”, czułam jednak, że ta chwila zbliża się wielkimi krokami. Właściwie byłam na nią prawie gotowa.

Rozłączywszy się, przez godzinę oglądałam ESPN i dopiero gdy zaburczało mi w brzuchu, uzmysłowiłam sobie, że nie jadłam kolacji. Ponieważ moja lodówka jak zwykle świeciła pustkami, wsiadłam do samochodu i ruszyłam na poszukiwanie czegoś do zjedzenia, najlepiej jak najtłustszego i zdecydowanie niezdrowego. Gdy jechałam przez miasto, moje myśli raz po raz wracały do Trenera. Martwiło mnie, że nie odebrał telefonu ani do mnie nie oddzwonił – ale jeszcze bardziej niepokoiło mnie to, że tak bardzo się tym przejmuję. Nagle, gdy podjeżdżałam do okienka dla zmotoryzowanych baru Taco Bell, na ekranie mojego telefonu

wyświetlił się jego numer. Z bijącym sercem wyjechałam z kolejki i zatrzymałam się na parkingu. Nie potrafiłam robić dwóch rzeczy jednocześnie, zwłaszcza gdy jedna z nich miała związek z Trenerem Carrem.

– Wybacz, że nie odebrałem. Byłem pod prysznicem – powiedział.

Ta informacja wydała mi się tak osobista, że nie zdobyłam się na żaden komentarz poza krótkim:

– Och.

– Wysłałaś artykuł? – zapytał.

– Tak... A co tam u pana? Obejrzał pan już mecz Teksasu z Nebraską?

Transmisja zaczęła się mniej więcej wtedy, kiedy nasza rozgrywka, wynik również był podobny, z przewagą dla Teksasu.

Trener parsknął śmiechem.

– Skąd wiedziałaś?

– Zgadłam – Czułam, jak moja klatka piersiowa unosi się i opada pod wpływem czegoś bardzo bliskiego podnieceniu. – Gdzie pan teraz jest?

– Na tylnym ganku...

– Je pan ciasto czekoladowe? – zapytałam, przypomniawszy sobie wieczór, który spędziliśmy razem na bieżni.

Dziś Trener miał o wiele weselszy głos. Nie wygraliśmy wprawdzie z dużą przewagą punktową, chłopcy grali jednak o niebo lepiej. Chyba najlepiej w całym sezonie.

– Ciasto było na kolację... – odpowiedział Trener ze śmiechem i zapytał: – Gdzie jesteś?

– W Taco Bell.

– Brzmi dobrze.

– Może coś panu kupić? – wyrwało mi się, zanim zdążyłam pomyśleć.

Nie miałam jednak czasu, by pożałować swoich słów. Odpowiedź była natychmiastowa:

– Może parę tacosów z wołowiną. I trochę tego czegoś z cynamonem.

– W porządku – odparłam, wpatrując się w witrynę apteki po drugiej stronie ulicy i uśmiechając się do siebie.

Zapadła chwila ciszy, a ja zaczęłam się zastanawiać nad kłopotliwą logistyką całej sytuacji.

– Czy... Przywieźć je panu do domu? – zapytałam wreszcie.

– Świetnie. Chyba że to zły pomysł? – Zawahał się wyraźnie, jakby i on doszedł do wniosku, że taka wieczorna wizyta nie jest jednak czymś najzwyczajszym w świecie, a wręcz może się wydać niewłaściwa. – To znaczy może... Mogłabyś mieć przez to problemy ze Smileyem?

– Przez to, że przywiozłam panu tacosi? – Parsknęłam nerwowym śmiechem. – Nie sądzę. Poza tym nikt się nie dowie. Jest ciemno. – Potrząsnęłam głową, bo natychmiast pożałowałam tych ostatnich słów. Były zbyt dwuznaczne, sugerowały nieczyste intencje.

Wtedy Trener zapytał, czy rozmawiałam dziś z Lucy, a ja uświadomiłam sobie, że nasze myśli bieżą tym samym torem.

– Rozmawiałam.

– I co tam u niej?

– Właśnie kładła się spać.

Po dłuższej chwili Trener powiedział:

– Na wszelki wypadek... Może zaparkujesz w garażu?

– Dobrze – rzuciłam pośpiesznie. – Już jadę.

Rozdział 25

Gdy dotarłam na miejsce, wszystkie okna były ciemne, ale wjechawszy na podjazd, zauważyłam, że drzwi do garażu są otwarte, a wewnątrz, w snopie światła z moich przednich reflektorów, stoi Trener. Miał na sobie dres i zieloną czapkę z daszkiem, i o dziwo był bosy. Droga do garażu zakręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, a samo pomieszczenie, które teoretycznie powinno mieścić dwa samochody, wydawało się dużo mniejsze, zagracone łopatami, grabiami, kosiarkami i starymi rowerami. Nie bez trudu manewrowałam kierownicą, aż Trener ruchem dłoni pokazał, że mam się zatrzymać, po czym uniósł kciuk. Przyszło mi do głowy, że choć przyjeżdżałam do Carrów setki razy, jeszcze nigdy nie parkowałam w ich garażu. Nigdy. Nerwowo podzieliłam się tą informacją z Trenerem, który podszedł i otworzył przede mną drzwi auta.

– Rzeczywiście. Zakręt nie jest łatwy – powiedział.

– Jest bardzo trudny – przyznałam, przypominając sobie, że rodzice Lucy nie pozwalali jej wjeżdżać do garażu w czasach, gdy była świeżo upieczonym kierowcą. Przyszło mi też na myśl, że Connie raz czy dwa zarysowała bok swojego auta, nie miałam jednak zamiaru o tym wspominać. Sięgnęłam po leżącą na przednim fotelu papierową torbę z jedzeniem. Wciąż jeszcze nie spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Skoro mowa o samochodach... powinnaś go oddać do naprawy – powiedział Trener, wskazując na wgniecenie w moim błotniku.

Spojrzałam na niego, po czym szybko odwróciłam wzrok. Miał poważną minę i czułam, że on też się denerwuje. Może nawet tak samo jak

ja. Miałam nadzieję, że nie żałuje zaproszenia, i postanowiłam wziąć się w garść. Jeśli uda mi się zachowywać naturalnie, być może wspólne spędzanie czasu wejdzie nam w krew.

– Wiem – wykrztusiłam cicho i piskliwie. Odkaslnęłam, zmieszana, po czym powtórzyłam to samo, tylko głośniej.

– Możesz pojechać do mojego mechanika – mówił dalej Trener, schylając się i przesuwając dłonią po wklęsniętej metalowej powierzchni. Poklepał błotnik dwa razy i wyprostował się. – W przeciwnym wypadku, wkrótce ci to zardzewieje.

– Co to za mechanik? – zapytałam, choć wiedziałam, że jeździ do Lloyd'a w zakładzie Performance Auto. Wiedziałam również, kto był jego dentystą, kto czyścił jego garnitury oraz gdzie kupował leki.

– Lloyd Hardy.

– Stuknięty Lloyd? – Uśmiechnęłam się.

– Prawda, staruszek ma nie całkiem równo pod sufitem – przyznał Trener ze śmiechem. – Ale jest najlepszy, jeśli chodzi o samochody. I broń.

– A zna się na futbolu? – zapytałam, wysiadając wreszcie z auta. Czułam, że oboje odwlekamy chwilę wejścia do domu.

– Nie. Tylko na wyścigach samochodowych. Ale lubi mnie na tyle, by udawać, że obchodzą go losy drużyny. Powiedz mu, że to ja cię przysyłam. Dostaniesz rabat.

– Jestem tego pewna – powiedziałam.

Trener sięgnął za moje plecy i zatrzasnął drzwi auta, ocierając się przy tym o moje ramieniem.

– No dobrze, mała. Wejźmy – powiedział.

Z trudem ruszyłam się z miejsca i podążyłam za nim, zatrzymując się, gdy nacisnął guzik zamykający drzwi garażu. Weszliśmy do domu i minęliśmy pralnię, w której radio grało *You Don't Bring Me Flowers*. Radio było co najmniej tak stare jak ja i Lucy, posklejane srebrną taśmą, ulubionym materiałem budowlanym Trenera. W jego gabinecie i samochodzie zwykle poniewierały się rolki taśmy, jak również gumki recepturki we wszystkich rozmiarach i kolorach.

– Barbra Streisand?

– I Neil Diamond. Nie zapominaj o Neilu.

– Czyżby robił się pan miękki, Trenerze?

Roześmiał się.

– Miękki? Właśnie załatwiliśmy Stanforda.

– Racja – przyznałam, a on wszedł do pralni i wyłączył radio.

Na suszarce leżała skłębiona sterta podkoszułków i bokserek w towarzystwie samotnej skarpetki. Widok jego ubrań, a zwłaszcza tej skarpetki, przejął mnie głębokim smutkiem. Nie mogłam znieść myśli o tym, że Trener nie ma nikogo, kto zrobiłby mu pranie.

Mijając spiżarnię i wchodząc do kuchni, zauważałam szczegóły, które wcześniej nigdy nie rzucały mi się w oczy. Szerokie listwy przypodłogowe, lekki połysk beżowych ścian, charakterystyczny zapach tego domu – czysty, nieco staroświecki, z nutą octu i drewna. Zauważyłam, że Trener mnie obserwuje i najwyraźniej błędnie interpretuje moje spojrzenia.

– Wiem. Mam bałagan. Lorna nie przychodzi w weekendy.

– Nie jest tak źle – pocieszyłam go, choć w domu rzeczywiście panował rozgardiasz. Brudne naczynia, kilka stert korespondencji i otwarte pudełko płatków śniadaniowych na kuchennym blacie.

– Właśnie sprzątałem – wyjaśnił, zamykając pudełko i zgarniając kilka płatków z powierzchni blatu. Wrzucił je do zlewu, a ja rozpakowałam jedzenie i zaczęłam rozwijać tacosy ze sreberek, żeby sprawdzić, które są jego z wołowiną, a które moje z kurczakiem.

– Wyjąć talerze? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami i odparłam, że niekoniecznie, ale po chwili przypomniały mi się eleganckie maniery Connie i zmieniłam zdanie.

– Właściwie czemu nie – powiedziałam i wyciągnęłam z szafki dwa talerze. Żadna inna kobieta z pewnością nie potrafiłaby się tak sprawnie poruszać w jego kuchni. Z wyjątkiem Lorny i Lucy, ale one się nie liczyły. Ułożyłam tacosy na talerzach tak finezyjnie, jak potrafiłam, cynamonowe zawijające odkładając na później. Potem wysunęłam szufladę i sięgnęłam po kilka serwetek.

– Nie wzięłam nic do picia. Uznałam, że będzie pan coś miał.

Trener skinął głową i wyciągnął z zamrażarki dwa oszronione kufle, a z lodówki – butelkę korzennego piwa.

– A może wolałabyś prawdziwe?

Uśmiechnęłam się.

– Korzenne będzie w porządku.

– Chcesz do niego gałkę lodów waniliowych?

Roześmiałam się i potrząsnęłam głową.

– Dziękuję. Nie pasują mi do tacosów.

– Lody waniliowe pasują do wszystkiego – powiedział, przelewając piwo do kufli. – Ale dziś też sobie je odpuszczę. Ze względu na cynamonowe zawijańce i ciasto czekoladowe.

Uśmiechnęliśmy się oboje i zanieśliśmy kufle do salonu. Trener postawił jeden na stoliku na drinki, drugi na kawowym, po czym zasiadł w swoim ulubionym fotelu. Podałam mu jego talerz i usiadłam na ustawionej pod kątem małej kanapce.

– To był wspaniały mecz – powiedziałam.

Trener otworzył saszetkę z ostrym sosem.

– Tak. Chłopcy odwalili dziś kawał dobrej roboty. Idealnie wykonali plan. A teraz...

– ...Pozostaje nam tylko załatwić Teksas – dokończyłam za niego.

Trener skinął głową i przełączył kanał z meczu Georgia – LSU na ABC, na spotkanie Cal – Oregon State transmitowane w ESPN. Po chwili jednak znów włączył ABC, gdzie walka okazała się bardziej zażarta.

Pogawędziliśmy o obu meczach i o wynikach innych dzisiejszych rozgrywek, przez dobre dziesięć minut dyskutując o grze Teksasu. Widziałam tylko parę najważniejszych momentów, Trener wprowadził mnie więc w szczegóły ich wyważonego ataku i oszczędnej obrony.

– Ciężko będzie ich pokonać – zakończył z długim westchnieniem.

– Dorwiemy ich – powiedziałam, zastanawiając się, czy wyleciałabym z pracy, gdyby Smiley mnie teraz zobaczył i usłyszał. Pewnie tak, choć swoją drogą już w momencie, gdy mnie zatrudniał, wiedział, że dobrze się znamy z Trenerem. Musiał zdawać sobie sprawę, że nie zmienię swojego stosunku jak za naciśnięciem guzika i nie odwrócę się od starych przyjaciół. Zresztą dopóki pisałam obiektywne teksty i w miejscach publicznych utrzymywałam pozory neutralności, chyba wszystko było w porządku? Przeszło mi przez głowę, że to raczej Ryan mógłby mieć powody do niepokoju. Szybko odsunęłam od siebie tę myśl. Miller to jedno, ale Ryan z

pewnością nie byłby zazdrosny o swojego dawnego trenera. W końcu uwielbiał go tak samo jak ja.

Kilka minut później Trener zapytał, czy słyszałam coś więcej o śledztwie.

– Właściwie to nie – odparłam. – Tylko plotki, te same co zwykle... J. J. i Galli mają chyba nadzieję, że sprawa zostanie zamknięta ze względu na brak dowodów.

– Byłoby miło.

– Nie sądzi pan, że to wszystko robota naszych przeciwników?

– Tak właśnie sądzę – odpowiedział pośpiesznie Trener.

Spojrzałam na niego.

– Ryan uważa, że wszyscy zwycięzcy w którymś momencie zaczynają oszukiwać.

– Co za bzdury.

– To samo mu powiedziałam.

– A on oszukuje?

Uśmiechnęłam się.

– Zadałam mu to samo pytanie.

– I?

– Powiedział, że nie musi.

Trener przewrócił oczami i znów zaczął zmieniać kanały.

Zawahałam się, po czym ciągnęłam niepewnie:

– Ryan wspomniał, że ktoś kupił Cedricowi Washingtonowi tego cadillaca, którym jeździł na studiach. Sugerował, że to była łapówka. Po to, żeby przeniósł się do Walker...

– Ryan sugerował, że *ktoś* przekupił Cedrica? – obruszył się Trener. – Na przykład ktoś taki jak jego własny tatunio?

– Mówi pan poważnie? – zdumiałam się.

Trener skinął głową.

– Takie w każdym razie krążyły plotki. Stary James potrzebował najlepszego skrzydłowego, żeby łąpał podania jego syna.

– Zaraz... Czyli... To znaczy, że pan o tym *wiedział*? – wyjąkałam. Serce podeszło mi do gardła, gdy usłyszałam, jak swobodnie o tym mówi. Może Ryan miał rację? Może byłam naiwna?

– Wiedziałem, że krążą takie pogłoski. Jak już wspominałem, nie byłem pewien... Nie miałem pojęcia, skąd Ced wziął tamten samochód. Podejrzywałem jednak, że nie zarobił na niego, roznosząc gazety w Third Ward⁹.

Przypomniałam sobie, z jakim uczuciem Cedric wyrażał się o swoich rodzinnych stronach. Po chwili zastanowienia stwierdziłam, że przypomina mi Reggiego – obaj mieli pogodne charaktery i w sympatyczny sposób potrafili przetrzucać mosty nad przepaścią dzielącą bogate dzieciaki z Walker i sportowców wywodzących się z robotniczych rodzin. Wszyscy lubili Cedrica – wiosną trzeciego roku naszych studiów, gdy dostał się do Sokołów z Atlanty, urządzono nawet spontaniczny piknik na jego cześć na uczelnianym zieleńcu. Od tamtego czasu dobrze sobie radził w NFL, grając niezmiennie dla tej samej drużyny, ożenił się i spłodził trójkę albo czwórkę dzieci – prawdopodobnie miał teraz całą flotę cadillaków escalade.

– Pytał pan kiedyś Cedrica o ten samochód? – drażylałam. – Albo pana Jamesa?

Trener lekko się zjeżył.

– Pytałem Ryana. I pytałem jego tatuśka. Obaj zaprzeczyli. Pytałem też samego Cedrica...

– I co powiedział?

– Powiedział, że samochód należał do jego wujka. Umowa była podpisana na wujka i wujek spłacał raty.

– Uwierzył mu pan?

– A co miałem zrobić? Nazwać chłopaka kłamcą? – Trener odstawił talerz. – A może powinienem był skonfiskować mu samochód? Zajrzeć w umowę kupna? Podłączyć wujka do wykrywacza kłamstw? Koniec końców, Cedric był dobrym dzieciakiem. Ciężko pracował na boisku i w sali wykładowej. I wiesz co?

Zanim zdołałam się odezwać, Trener oznajmił:

– *Cieszę się, że Cedric mógł jeździć dobrym autem. Zaslugiwał na to. Nie interesuje mnie, skąd go wziął. Grunt, że sprawiało mu to przyjemność.*

Trawiłam jego słowa, zastanawiając się, czy nie wyszłam przypadkiem

⁹ Third Ward – dzielnica Houston.

na nadętą mądralę.

– Ma pan rację... Nie chciałam... – zamilkłam, szukając właściwego czasownika. Już miałam powiedzieć „rzucić oskarżeń”, w ostatniej chwili jednak zmieniłam zdanie. – Nie chciałam nic sugerować.

Trener skinął głową, ale nie oderwał oczu od telewizora.

– Przepraszam, Trenerze – powiedziałam, choć nie byłam do końca pewna, za co właściwie go przepraszam.

Kiedy w końcu na mnie spojrzął, jego wzrok nieco złagodniał.

– Nic się nie stało. Nie gniewam się na ciebie, mała... Po prostu strasznie mnie to wszystko wkurza. Bo widzisz... Ryan ma w pewnym sensie rację. W sporcie zawsze było i będzie trochę kombinatorstwa. Trochę oszustwa. Możesz to nazwać, jak chcesz.

Patrzyłam na niego, starając się zachować otwarty umysł, choć nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała nasza rozmowa.

– Za moich szkolnych czasów był taki jeden staruszek, nazywał się Fred Tripp, który wciskał nam po piątku, ilekroć rozegraliśmy dobry mecz... Nazywaliśmy to „uściskiem dłoni starego Trippa”. Mówiliśmy pierwszorocznikom: „Dobrze dziś graliście. Szykujcie się na uścisk dłoni”.

– Piąta? Pięćset czy pięć tysięcy? – pytałam, wstrząśnięta jego opowieścią.

– Pięć dolarów.

Oboje wybuchliśmy śmiechem.

– Tak jest. Tak samo czuli się ci młodzi, kiedy wracali do domów i zaglądali do swoich kopert, a my wszyscy mieliśmy z nich niezły ubaw.

Uśmiechnęłam się.

– Ale widzisz, o to właśnie chodzi. Kwota nie jest istotna. Niektórzy z nas przyjmowali kopertę. Inni nie.

Bałam się zapytać, do której grupy należał.

– Tak więc nawet głupie pięć dolarów było wbrew zasadom NCAA. I każdy dzieciak, który ucisnął dłoń starego Trippa, je łamał. Drużyna postąpiła nieuczciwie... Czy Rhodes złamał zasady? Naprawdę nie wiem. Możesz go zapytać, ale jestem pewien, że zaprzeczy. Tak samo jak kiedyś Cedric. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Skinęłam głową, choć wcale mi się to nie podobało, bo sprowadzało się

do tego samego, co Ryan mówił w swojej piwnicy.

Oboje zapatrzyliśmy się w telewizor. Zawodnik Georgii kopnął właśnie piłkę i trafił do bramki, choć mało brakowało, by chybił. Trener klasnął w dłonie, ale wiedziałam, że nie jest zbyt zaangażowany w mecz. Po prostu cieszył się razem z kopaczem. Cieszył się, że zobaczył dobry mecz. Przez kilka sekund jedliśmy w ciszy, przyglądając się radości zawodników Georgii.

Trener przełączył kanał na drugi mecz, a ja zaczęłam nerwowo gryźć dolną wargę, aż w końcu zapytałam:

– Co pan sądzi o rodzicach Ryana?

– Jego matka jest bardzo miła, chociaż cicha. A jeśli chodzi o Sherwooda... – Trener pokręcił głową. – To chamski, arogancki sukinsyn. Z tych, co pytają: „Wiesz, z kim rozmawiasz?”. Uważam, że jak na syna takiego ojca Ryan wyrósł na całkiem niezłego faceta.

Kiwałam głową, zastanawiając się nad jego doborem słów. Określenie „całkiem niezły” nie brzmiało zbyt entuzjastycznie, choć w sumie Trener miał w zwyczaju wyrażać się powściągliwie.

– A jak w ogóle układa ci się z Ryanem? – To samo pytanie zadał mi na bieżni. Najwyraźniej sądził, że przez te kilka tygodni coś się zmieniło.

– W porządku. – Wzruszyłam ramionami.

– Myślicie o sobie poważnie?

– Niezupełnie – odparłam odruchowo, ku własnemu zdziwieniu, po czym zaczęłam się zastanawiać, czy powiedziałam prawdę. Z drugiej strony, skoro tak łatwo przyszło mi zlekceważenie tego, co jest między nami, czy nie oznaczało to, że z definicji nie myślimy o sobie poważnie? Serce ścisnęło mi się boleśnie, odbiłam więc piłeczkę.

– A pan? – spytałam.

– Co ja? – Trener dokończył taco, dwa razy zgiął serwetkę i odłożył ją na talerz.

Choć pocily mi się dłonie, starałam się przybrać nonszalancki ton.

– Czy planuje pan... w najbliższej przyszłości... zacząć się z kimś spotykać? Czy może... nie jest pan jeszcze gotowy?

– Możliwe, że jestem... w pewnym sensie... gotowy – odparł, patrząc mi w oczy, a moje serce zaczęło walić jak szalone. – Ale tylko na właściwą

kobietę.

– Rozumiem – szepnęłam.

– Na kogoś, kto będzie szanował to, co łączyło mnie z Connie. Moją przeszłość...

– To jasne. – Pokiwałam głową.

– Jeszcze lepiej byłoby, gdyby to była kobieta, która *znała* Connie – dodał, nachylając się w moją stronę i zniżając głos. – Musi być inteligentna. Silna. Odważna.

– Oczywiście – przytaknęłam, zastanawiając się, czy ja jestem odważna. W tym momencie nie byłam tego taka pewna.

– I zdecydowanie musi rozumieć moją pracę... Futbol... Musi kochać futbol. Musi.

– To jasne – powtórzyłam, urzeczona jego słowami i spojrzeniem, i brzmieniem jego głosu. – A co z wyglądem? Ma pan swój typ?

– Właściwie nie. Lubię brązowe włosy. Rudobrązowe. Jak się nazywa ten kolor? Kasztanowy? – Spojrzał prosto na moje włosy. Widziałam go jak przez mgłę. – Oczywiście włosy to tylko bonus. Dodatkowe punkty, jak w grze.

Chciałam się odezwać, ale nie byłam w stanie.

Trener spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

– Znasz kogoś, kto by sprostował tym wymaganiom?

– Całkiem możliwe – szepnęłam przez ściśnięte gardło.

– O? – powiedział z idealnie wyważoną dozą uroku. – Całkiem możliwe?

– Owszem.

– Cóż, chyba powinnaś mnie z nią poznać... Bo jeśli nie spotkam takiej kobiety, takiej, jaką właśnie opisałem... To wolę już być sam. Wolę siedzieć sam w domu i oglądać futbol.

Uśmiechnął się do mnie powoli, jeszcze głębiej zaglądając mi w oczy. Tak głęboko, że nagle wszystko stało się jasne. Prawie. Wytrzymałam jego wzrok, sparaliżowana strachem i podnieceniem, całkowicie oszołomiona. Nie spodziewałabym się czegoś takiego w najśmielszych snach.

– Sheo?

– Tak? – Wreszcie udało mi się złapać oddech i zaczęłam się

zastanawiać, czy się przypadkiem nie przesłyszałam. Może słyszę to, co chcę usłyszeć.

– Wszystko w porządku?

Skinęłam głową, wzięłam oddech i powiedziałam:

– A więc... Jak pan sądzi, co powiedzieliby Lucy i Lawton? Gdyby znalazł pan... tę kobietę?

Czekając na odpowiedź, odsunęłam od siebie myśli o Rynie. Powtarzałam sobie w duchu, że nie przekroczyłam jeszcze żadnej granicy. Rozmawialiśmy teoretycznie. To wszystko.

– Lawton nie miałby nic przeciwko temu... Tak mi się wydaje... Ale Lucy? Trudno powiedzieć. Z nią mógłby być problem... Ale wiem, że chce, bym był szczęśliwy.

– Oczywiście, że tak – zapewniłam. – A więc sądzi pan... że może znów być szczęśliwy?

– Chyba tak... Mam nadzieję.

– Ja też mam taką nadzieję, Trenerze – powiedziałam, zastanawiając się, czy można zemdleć z podniecenia.

W tle komentator obwieścił kolejnego gola, ale żadne z nas nie spojrzało w stronę ekranu.

– Wiesz co, Sheo?

Rzadko zwracał się do mnie po imieniu, więc zbił mnie tym z tropu.

– Co, Trenerze?

– Ja już jestem szczęśliwy. Tu i teraz.

Uśmiechnęłam się.

– Wie pan co?

– Co?

– Ja też.

– To świetnie – powiedział i oboje spojrzeliśmy w telewizor.

Reszta wieczoru kręciła się wyłącznie wokół futbolu – jakbyśmy wcale nie odbyli rozmowy, z której wynikało, że jednak nie jestem zakochana bez wzajemności.

Rozdział 26

Gdy mówiłam, że muszę już iść, za pierwszym i drugim razem protestował, ale tuż po północy, gdy złapałam go na tym, że tłumi ziewnięcie, wstałam i oznajmiłam, że na mnie już naprawdę czas. Odprowadził mnie do drzwi garażu i uściskał, a potem pocałował. Było to tylko przyjacielskie cmoknięcie w policzek, a mimo to istotne, bo pierwsze, przynajmniej od czasu, gdy byłam dziesięciolatką. Jechałam do domu, jakbym dryfowała na chmurze, tak oszołomiona, że dopiero następnego ranka zdałam sobie sprawę, że zostawiłam u niego torebkę. Poczekalam do dziewiątej, na wypadek, gdyby spał, po czym wybrałam jedyny numer na całym świecie poza własnym, który znałam na pamięć.

– Wiem, zostawiłaś torbę razem z piterkiem – powiedział, zanim zdążyłam zapytać.

– Z piterkiem? – powtórzyłam drwiąco na dźwięk tak staroświeckiego słowa.

– Owszem. Masz szczęście, że cię nie zatrzymali. Jak byś to wyjaśniła?

– Prosta sprawa. Powiedziałabym policjantowi, że to pan ma moją portmonetkę, w której jest prawo jazdy. Wystarczyłoby wspomnieć pańskie nazwisko... W tym mieście to działa.

– Wiem, już kiedyś to przerabialiśmy – przypomniał mi. Miał na myśli mój młodzieńczy wybryk z jazdą po pijanemu. – Pamiętasz?

Zadrżałam na samo wspomnienie.

– Boże, ale mnie pan wtedy przestraszył. Był pan gorszy niż gliny.

– I dobrze. O to chodziło.

- Wie pan, że tamtej nocy przysięgłam sobie... – zaczęłam i umilkłam.
- Co takiego?
- Że nigdy więcej pana nie zawiodę.
- I nie zawiodłaś – powiedział. – To jak, przyjedziesz po swoje rzeczy?
- Tak. Zaraz u pana będę i odbiorę *piterek*.

*

Wykapawszy się szybko, włożyłam dzinsy oraz starą bluzę z kapturem z Cotton Bowl, włosy ściągnęłam w niedbały kucyk i ruszyłam w drogę. Wciąż byłam oszołomiona ze szczęścia, aż wjechałam na podjazd i zauważyłam samochód Lucy. Spanikowana zaczęłam się cofać, ale wtedy dostrzegłam, że siedzi za kierownicą i patrzy przez tylną szybę, prosto na mnie. Pomachała i wysiadła z samochodu. Była ubrana w granatową sukienkę i blad różowe czółenka, a na szyi miała podwójny sznur pereł. Sięgnęła na tylne siedzenie i wyzwoliła Caroline z fotelika. Podeszły do mnie. W mojej głowie kłębiły się tysiące wymówek. Musiałam im jakoś wytłumaczyć, co tu robię tak wcześnie w niedzielny poranek. Na razie postanowiłam zyskać na czasie, skupiając uwagę na mojej chrześnicy.

- Cześć, skarbie! Ale ślicznie wyglądasz! – zawołałam, a Caroline wpełzła mi na kolana i zaczęła się bawić przyciskami na tablicy rozdzielczej. – Masz przepiękną sukienkę. I warkoczyki.

- To warkocze *francuskie* – oznajmiła dziewczynka. – Mama mi zaplotła!

- *Oui, oui!* Świetnie się spisała – odparłam, zerkając na Lucy, która uśmiechnęła się do mnie z roztargnieniem.

Caroline zaczęła opowiadać, jak minął jej ranek, paplając coś o pluszowym króliczku imieniem Małpka, który wpadł do zlewu i się zamoczył, a przecież tak bardzo nie lubi wody. Nagle ni z tego, ni z owego zapytała, czy mam w samochodzie coś słodkiego.

- No jasne – odparłam, wyciągając ze schowka rulonik wiśniowych dropsów, który trzymałam tam tylko z myślą o niej. Roztopiły się na słońcu i przykleiły do papieru, ale Caroline niezrażona natychmiast wrzuciła dwie pastylki do buzi. Jedna wypadła, zostawiła czerwony ślad na sukience

z białej piki i potoczyła się po podjeździe. Lucy westchnęła ze znużeniem, widząc, jak Caroline podnosi cukierek z ziemi i wpycha z powrotem do ust.

– Cześć, Luce – powiedziałam, siląc się na swobodny ton. – Jedziecie do kościoła?

– Tak... Ale kto wie, czy w ogóle uda nam się tam dotrzeć – odparła, bardziej do siebie niż do mnie. Potem znów westchnęła. Wyglądała na wykończoną. – A co u ciebie?

Wiedziałam, że chodzi jej o to, co robię przed domem jej ojca w niedzielny poranek, wzruszyłam jednak tylko ramionami i odparłam:

– Och, niewiele.

– Co tu robisz? – spytała więc prosto z mostu.

Zerknęłam na nią spoza ciemnych szkieł okularów. Dostrzegłam na jej twarzy lekkie zdziwienie, ale ani śladu podejrzliwości czy oskarżeń. Postanowiłam, że nie będę się tłumaczyć albo – co byłoby jeszcze gorsze – kłamać, a tymczasem Caroline w podskokach ruszyła w stronę domu. Kątem oka widziałam, jak Trener wyłania się z garażu. Chwycił wnuczkę na rękę i podszedł do mojego samochodu. Natychmiast zauważyłam, że ma obrączkę na palcu prawej, a nie lewej dłoni, i serce załomotało mi w piersi.

Lucy powtórzyła pytanie:

– A więc? Co tu robisz? Chciałaś sprawdzić, jak się czuje tata?

Miałam ochotę odpowiedzieć po prostu: tak, ale przecież postanowiłam mówić prawdę, wymamrotałam więc, że zostawiłam w kuchni torebkę.

– Torebkę? – zdziwiła się Lucy, a Trener stanął obok. – Kiedy?

– Wczoraj wieczorem – odparłam, spoglądając na niego ukradkiem.

Wyglądał tak samo, jak ja się czułam, czyli jak człowiek zbity z tropu, zawstydzony, przyłapany na gorącym uczynku.

– Torebka leży na blacie – powiedział, nie patrząc na mnie, a Caroline wyciągnęła rękę i zaczęła się bawić daszkiem jego czapki.

Straciła mu ją z głowy, odkrywając potarganą czuprynę – o ile krótkie szorstkie włosy w ogóle można nazwać czupryną.

– Co twoja torebka... – zaczęła Lucy. Ale Trener jej przerwał:

– Shea była tak uprzejma, że wczoraj wieczorem przywiozła mi kolację z Taco Bell. Po meczu. To było bardzo miłe z jej strony – zwrócił się do mnie i dodał: – Jeszcze raz ci dziękuję.

– Nie ma za co – wykrztusiłam.

Lucy spojrzała na ojca, potem na mnie, i znów na ojca, aż w końcu powiedziała:

– Nie wyglądasz jak ktoś, kto się wybiera do kościoła.

– A wybieram się?

Potrząsnęła głową.

– Przecież jest niedziela.

– Od kiedy to chodzimy razem do kościoła w inne dni niż Boże Narodzenie i Wielkanoc?

– Od zeszłej środy. Odkąd cię poprosiłam, żebyś zaczął z nami jeździć na mszę, a ty powiedziałeś, że się postarasz – oznajmiła Lucy, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy i ona nie zauważyła przypadkiem wędrującej obrączki.

Czyżby właśnie dlatego była taka rozdrażniona? A może chodziło raczej o moją wczorajszą wizytę? Albo po prostu o to, że ojciec nie chciał jechać z nią do kościoła?

– Przypominasz sobie?

– Jak przez mgłę.

– A więc to są te twoje starania? Gadanie o Taco Bell w starych ciuchach o... – Zerknęła na swój biały ceramiczny zegarek. – O dziewiątej czterdzieści pięć?

Trener spojrzał na córkę nieśmiało.

– Ech. Mniejsza z tym. Musimy jechać – powiedziała Lucy.

– W przyszłym tygodniu – mruknął Trener.

– Czyli dzień po meczu z Teksasem – wtrąciłam mimowolnie.

Ton mojego głosu podpowiadał: „Więc wszyscy wiemy, że nic z tego nie będzie”.

Caroline pogłaskała dziadka po twarzy i powiedziała:

– Auć! Drapiesz!

– Tak, Caro. Muszę się ogolić – przyznał jej rację Trener, po czym delikatnie postawił wnuczkę na ziemi i zwrócił się do Lucy: – A gdzie Neil?

– Umówiliśmy się tutaj.

Trener skinął głową. Zerknął na mnie i powiedział, że zaraz wróci z torebką. Gdy zniknął, Lucy spojrzała na mnie znacząco spod zmrużonych powiek.

– Czy to wasze wczorajsze spotkanie... miało związek z pracą? Z twoim artykułem?

Pokręciłam głową i przyznałam się, że już wysłałam tekst do redakcji.

– Czyli naprawdę wpadłaś po prostu sprawdzić, jak się czuje?

– I przywieźć mu kolację – uzupełniłam z nadzieją, że nie widać po mnie wyrzutów sumienia.

Lucy przyglądała mi się przez kilka sekund. W końcu pokiwała głową.

– Przyjaźnicie się. Rozumiem.

Nie odpowiedziałam.

– Chociaż to trochę dziwne – dodała, obciągając palce stóp. Ten nawyk pozostał jej po wielu latach lekcji baletu.

– Dziwne? – powtórzyłam, wciąż wpatrzona w jej stopy.

– Jestem zaskoczona, że się przyjaźnicie. Kiedy mnie z wami nie ma. Wyobrażasz sobie, że ja mogłabym spędzać czas z twoim tatą?

– Nawet *ja* nie spędzam czasu ze swoim tatą. A ty się przecież przyjaźnisz z moją mamą.

– Nie w taki sposób. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby w sobotni wieczór jeść z nią tacosy... Bez *ciebie*. Ale jak tam sobie chcesz. Naprawdę muszę już jechać.

– Ja też.

– Dokąd?

– Do domu.

– Ale czemu? – zapytała Lucy odrobinę piskliwie. – Nie chcę cię wyganiać. Ojciec nie jedzie z nami do kościoła. A ty? Co masz dzisiaj do roboty?

– Mam zamiar obejrzeć mecz Kowbojów – odparłam, a tymczasem Trener wrócił z moją torebką. Przyjęłam ją, mamrocząc podziękowania.

– O której się zaczyna? – spytała Lucy. – Mam na myśli mecz.

– O trzeciej.

– W takim razie dokąd ci tak śpieszno?

– Przyjechałam tylko po torebkę.

– Owszem. Ale skoro już tu jesteś, zostań. Możecie zjeść razem śniadanie.

Lucy bez wątplenia była oburzona i starała się zapędzić nas w kozi róg.

Dalsze protesty tylko by nas pograżyły, więc Trener spojrzał na mnie i powiedział wesołym, swobodnym tonem:

– Zostań, Sheo. Zapraszam. Tyle że nie mam dużego wyboru, jeśli chodzi o śniadanie. Są tylko płatki...

– Dobrze – odparłam sztywno. – Jasne. Wejdę na chwilę i zjem z panem płatki. Dzięki, Trenerze.

Lucy skinęła głową z szerokim, wymuszonym uśmiechem. Przypomniałam sobie, jak wyglądała z aparatem na zębach. Schyliła się, by zawiązać córce szarfę, która ciągnęła się po ziemi, i poprawić jej warkoczyki. Potem wzięła ją na ręce i ruszyła do samochodu.

– W porządku – rzuciła przez ramię. – Życzę wam smacznego.

– Ja chcę zostać z dziadkiem i Sheą – zaprotestowała Caroline.

Lucy pokręciła głową i powiedziała, tak głośno, byśmy ją usłyszeli:

– Nie. Dziadzio i Shea chcą pogawędzić o futbolu. Nudziłabyś się.

Zapięła Caroline w fotelu, a ja uświadomiłam sobie, że muszę wycofać auto, żeby ją przepuścić. Zrobiłam to i poczekałam z włączonym silnikiem, aż odjedzie, co też zrobiła odrobinę zbyt gwałtownie.

Gdy wysiadłam z samochodu, bolały mnie głowa i brzuch.

Wiedziałam, że Trener też nie czuje się najlepiej. Potrząsnął głową.

– Niech to szlag – mruknął pod nosem. Potem spojrzał wprost na mnie i oznajmił to, co nie ulegało wątpliwości: – Cóż. Nie jest zadowolona.

– Coś podobnego...

– Myślisz, że to z powodu... twojej wczorajszej wizyty? Czy dlatego, że nie byłem gotowy do kościoła?

– Nie wiem – odparłam, choć wiedziałam. – Może z obu powodów?

– W kościele trudno mi znaleźć spokój. Zwłaszcza w trakcie sezonu – powiedział, ale byłam pewna, że i on wie, iż prawdziwy problem tkwi gdzie indziej.

– Wyobrażam sobie. A w przyszłym tygodniu naprawdę nie może pan jechać. To chyba oczywiste – odparłam, myśląc o meczu z Teksasem.

Trener skinął głową. Dopiero gdy ruszyłam za nim w stronę domu, podjął temat, który dotąd wisiał w powietrzu:

– Wydaje mi się, że nasza przyjaźń trochę jej przeszkadza.

– Wiem – przyznałam. – Ale na pewno rozumie...

– ... Że ty i ja mamy ze sobą więcej wspólnego – dokończył za mnie Trener.

Nie byłam pewna, czy chodzi mu o to, że on i ja mamy więcej wspólnego niż ja i Lucy, czy raczej twierdzi, że łączy go ze mną więcej niż z własną córką. Tak czy inaczej, miał rację.

Postanowiłam wrócić w bezpieczniejsze rejony.

– Myślę, że po prostu niedziele są dla niej trudne...

– Tak. Pewnie masz rację. Poza tym chyba rzeczywiście obiecałem jej, że pójde do tego kościoła.

Skrzywiłam się. Weszliśmy do domu przez garaż, mijając tę samą stertę ubrań na suszarce, radio jednak tym razem nastawione było na stację nadającą country. Garth Brooks śpiewał *Shameless*.

– No, to już lepiej – stwierdziłam.

– Uwielbiam tę piosenkę – wyznał Trener, a tymczasem Garth zawodził: „Mógłbym odejść od każdego, ale nie od ciebie”.

Mój towarzysz rzucił mi znaczące spojrzenie, które sprawiło, że poczułam się tak, jak brzmiał w tej piosence głos Gartha – bezlitośnie rzuciło mnie na kolana.

Przypomniawszy sobie o Lucy, wzięłam się w garść i weszłam za Trenerem do kuchni. Patrzyłam, jak wyjmuje z szafki dwie miseczki i stawia je na stole, a potem kładzie obok dwie łyżki i dwie serwetki. Sięgnęłam po szklanki i nalałam do nich soku pomarańczowego.

– Mleko – powiedział Trener, pstrykając palcami. Po chwili potrząsnął głową z niezadowoleniem. – Cholera. Skończyło się. Wybacz.

– Nie szkodzi. I tak nie jestem głodna.

– Ja też nie. – Mówiąc to, wyglądał na rozdartego.

Czułam to samo.

– Naprawdę powinnam już iść – powiedziałam, choć bardzo chciałam zostać.

– Okej. – Zabolało mnie, że tak szybko się zgodził.

Zostawiliśmy na stole nietknięte miski, wstaliśmy i wyszliśmy na zewnątrz. Gdy znaleźliśmy się przy samochodzie, byłam załamana, całkowicie pewna, że już nigdy nie spędzę z nim czasu sam na sam. Że gra nie jest warta świeczki, jeśli naszym spotkaniom ma towarzyszyć lęk,

poczucie winy i świadomość tego, co siedzi w głowie Lucy.

Ale już kilka minut później, kiedy zatrzymałam się na swoim podjeździe, przysłał mi esemesa: „Przepraszam za to mleko. Jadę do sklepu. Może jeszcze kiedyś zjemy razem płatki?”.

Odetchnęłam z ulgą, starając się zapomnieć o Lucy na tyle, na ile można zapomnieć o najlepszej przyjaciółce. Odpisałam: „Jasne. Kiedy tylko pan zechce”.

*

Kilka godzin później składałam pranie i oglądałam mecz Kowbojów, gdy nagle w drzwiach stanęła Lucy, niezapowiedziana i bez Caroline. Zamiast eleganckiego niedzielnego stroju miała na sobie lniane spodnie i czarną bluzkę z długim rękawem. Zapomniała tylko zdjąć perły. Otworzyłam lodówkę w poszukiwaniu czegoś do picia, równocześnie informując ją, że Kowboje prowadzą jednym przyłożeniem. Było jednak jasne, że nie przyjechała po to, żeby oglądać mecz.

– Tatuś przełożył obrączkę. Na prawą rękę – oznajmiła, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Naprawdę? – spytałam nerwowo, wrzucając lód do szklanek i dopełniając je dietetyczną colą. Wręczyłam jej napój, zmuszając się przy tym, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Naprawdę. Jak myślisz, co to znaczy?

– Nie wiem.

– Chce zapomnieć o mamie?

– Niekoniecznie.

– Więc po co miałyby to robić?

– Nie wiem, Lucy. Może jego powinnaś o to zapytać.

Patrzyła na mnie przez kilka sekund, a potem upiła mały łyczek coli.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Nie rozmawiamy o takich sprawach...

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodała:

– Przepraszam, że dziś rano byłam taką zołą.

Ruszyła do salonu, a ja pośpieszyłam za nią. Postanowiłam udawać głupią.

– Nie byłaś żadną zołą. Chyba...

Lucy spojrzała w telewizor, po czym usiadła na podłodze tyłem do ekranu.

– Sama cię prosiłam, żebyś mi pomogła zająć się tatą... A kiedy mnie posłuchałaś... Zaczęłam ci to utrudniać.

– Nic się nie stało. Rozumiem – zapewniłam ją pośpiesznie. Lucy mnie przepraszała, oczywiście na swój sposób, a ja czułam się z tą świadomością bardzo niezręcznie, wiedziałam bowiem, że przeprosiny mi się nie należą.

– Naprawdę? – spytała, kiedy ściszyłam telewizor.

– Tak, chyba tak. Pewnie. – Ze szczytu sterty prania na sofie wzięłam flanelowe spodnie od piżamy i złożyłam je, przez cały czas unikając jej spojrzenia. Było dla mnie oczywiste, że ta rozmowa, jakkolwiek przybierze obrót, nie ominie mnie, choćbym nie wiem, jak bardzo tego chciała.

– Chyba po prostu... Jestem trochę zazdrosna – stwierdziła Lucy.

Serce zabiło mi szybciej i poczułam, że mam sucho w ustach.

– Zazdrosna? O kogo? – zapytałam, niezwykle starannie składając bawełnianą koszulkę. Nigdy jeszcze nie podchodziłam do składania ubrań z taką atencją, a miałam przecież za sobą lata praktyki w butiku.

– O ciebie i tatę. O to, że jesteście sobie tacy bliscy. Jest moim ojcem, a czasem mi się wydaje, że to ty masz z nim lepszy kontakt.

– Nieprawda – odparłam, czując, jak kręci mi się w głowie. Sięgnęłam po kolejny podkoszulek, strzepnęłam go i zabrałam się do dzieła.

– Ależ prawda – upierała się Lucy. Upiła łyk coli i odstawiła szklanke na leżący na podłodze stos numerów „Sports Illustrated”. – Zawsze tak było.

– Chodzi tylko o futbol – powiedziałam. – Łączy nas futbol. Nic więcej.

– To jakby powiedzieć... że Ralphi Laurena i Calvina Kleina łączy tylko moda. Albo... – Lucy spojrzała w sufit zamyślona. Analogie nigdy nie były jej mocną stroną.

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Uśmiechnęłam się, choć było mi niedobrze.

– Nieważne, czy chodzi o futbol, czy o coś innego... Zawsze była między wami ta więź... On z tobą rozmawia. *Naprawdę* rozmawia. A ze mną nie chce. Przychodzę do niego... I czuję się jak idiotka. Jakby w ogóle nie miał mi nic do powiedzenia.

Jej słowa sprawiły, że zrobiło mi się słabo, ale potrząsnęłam głową i jeszcze raz zaprzeczyłam:

– Nie ma między nami żadnej więzi, Luce. – Pomyślałam o tym, jak wczoraj na mnie spojrział. – Po prostu lubimy futbol. Jestem dziennikarką sportową. On jest trenerem. A poza tym oboje cię kochamy. To wszystko.

– Ale nawet kiedy nie rozmawiacie o futbolu... Wystarczy, że gracie na przykład w Trivial Pursuit... I nagle zaczynacie się przerzucać prywatnymi żartami, których nikt poza wami nie rozumie.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że to nie są żadne prywatne żarty, tylko po prostu żarty, których ona nie potrafi zrozumieć. Uznałam jednak, że to nie poprawi jej humoru, powiedziałam więc tylko:

– Nie. Mylisz się.

Lucy spojrzała na mnie, odchylając się do tyłu i podpierając rękami.

– No dobrze. Ale słuchaj. Jestem ciekawa. Co się wydarzyło wczoraj wieczorem? To on cię zaprosił? Ty do niego zadzwoniłaś?

Powiedziałam jej, że to był jego pomysł i natychmiast zrozumiałam, że nie taką odpowiedź pragnęła usłyszeć. Wygięła usta w podkówkę i zmarszczyła czoło.

– I widzisz? Tak właśnie myślałam – powiedziała, choć nie byłam pewna, jaką jej to robi różnicę. Czy byłoby lepiej, gdyby propozycja spotkania wyszła ode mnie?

– Zaraz, zaczekaj – rzuciłam, udając, że wytężam pamięć, po czym się wycofałam. – Właściwie to ja zadzwoniłam pierwsza. Potem on oddzwonił. Byłam akurat przed Taco Bell... No więc... Zaproponowałam, że przywiozę mu coś do jedzenia. Czyli w zasadzie to ja się do niego wprosiłam. On powiedział tylko, że ma ochotę na tacosy. Rozumiesz?

Moje bełkotliwe tłumaczenia najwyraźniej jej nie przekonały.

– Fakt pozostaje faktem... Do mnie by nie zadzwonił. Nigdy nie zaprasza mnie do siebie ot tak. A już na pewno nie tuż po meczu.

– Ale przecież ty jesteś jego *córką* – powiedziałam. – To zupełnie coś

innego.

Założyła ręce na piersi i zapytała, czemu tak sądzę.

– Ponieważ córka nie potrzebuje specjalnego zaproszenia, żeby odwiedzić swojego ojca. Może do niego wpaść w dowolnej chwili. – Umilkłam na moment, myśląc o własnym tacie. – Chyba że w grę wchodzi rozwód.

– Albo śmierć matki – warknęła Lucy.

Zadrżałam i chyba to zauważyła. A może sama zrozumiała, jak brutalnie zabrzmiały jej słowa. Tak czy siak, następnie wypowiedziała już łagodniej:

– Posłuchaj. Kiedy żyła mama, wszystko było inaczej. Była łącznikiem między nami. Każdego dnia rozmawialiśmy przez telefon ze trzy albo i cztery razy i codziennie przynajmniej raz tata był gdzieś w pobliżu. Coś tam dogadywał w tle. To mi wystarczyło. I ja, i on byliśmy zadowoleni. Ale teraz... Wszystko się zmieniło. *Wszystko*.

Lucy umilkła, walcząc z łzami, i otarła kąciki oczu. Miałam ochotę ją przytulić albo jakoś pocieszyć, ale nie byłam w stanie się poruszyć ani odezwać. Po kilku sekundach odzyskała panowanie nad sobą i zaczęła mówić dalej:

– Teraz mamy zabrakło... A ja i tata musimy się bardziej starać. Ta odpowiedzialność ciąży na nas *oboju*.

Skinęłam głową i całkiem szczerze przyznałam jej rację.

– Tylko z tych starań nic nie wychodzi. Przynajmniej jemu. Ja muszę odwalać całą robotę i to jest naprawdę smutne.

– Może... On po prostu nie chce zawracać ci głowy... Wie, ile masz pracy z Neilem i Caroline, i w butik...

– I w związku z tym dzwoni do *ciebie*? – zapytała, już nieco mniej oskarżycielskim tonem.

Pokręciłam głową.

– Po pierwsze, nie dzwoni do mnie często. A po drugie... ja... jestem sama.

– Nie jesteś sama – zaprzeczyła Lucy, przewracając oczami. – Masz chłopaka. Nazywa się Ryan James. Zapomniałaś?

– Ryan był wczoraj w Waszyngtonie – wyjaśniłam, wskazując na

ekran. – Widzisz?

Lucy zerknęła w telewizor, gdzie Ryan wykonał właśnie czyste krótkie podanie, zyskując tym samym prawo do pierwszej próby. Potem spojrzała na mnie, lekko rozpogodzona.

– Jezu. To niesamowite, że się z nim spotykasz. – Najwyraźniej wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Aha – odparłam, głośno wypuszczając powietrze.

– No dobrze. Mam jeszcze jedną sprawę – zaczęła.

Przygotowałam się w duchu na kolejne niewygodne pytanie. Wciąż patrzyłam w telewizor.

– Co by się stało, gdyby był wczoraj w domu?

– Kto? Ryan? – zapytałam, usiłując ustalić kierunek przesłuchania, żeby znowu czegoś nie chlapnąć.

– Tak. Twój *chłopak* – powiedziała. – Załóżmy, że *byłby* w mieście... A mój tata zadzwoniłby i poprosił, żebyś przyszła...

– Lucy – przerwałam jej, ponieważ zaczęłam się poważnie martwić. – Co ty insynuujesz?

Popatrzyła na mnie.

– Po prostu wydaje mi się...

– Co? – wstrzymałam oddech, ujrawszy w jej oczach niebezpieczny błysk. Odniosłam wrażenie, że zaczyna do niej docierać to, co oczywiste. Że stopniowo składa wszystko w jedną całość. Ale po chwili jej przeszło, a ja odetchnęłam.

– Nieważne – powiedziała, wzruszając ramionami. Idea, że jej ojciec i najlepsza przyjaciółka mogliby coś do siebie czuć, była absurdalna, niedorzeczna.

Głowa wciąż pulsowała mi z bólu. Uśmiechnęłam się czule do Ryana, który właśnie wykonał zwycięskie przyłożenie. Jego twarz wypełniła cały ekran. Wyrzucił w górę pięść i zerwał z głowy kask.

– Cudo! – zawołałam, choć wcześniej nie śledziłam przebiegu meczu.

– Zdobył punkty? – zapytała Lucy, zerkając przez ramię na powtórkę.

– Oczywiście – odparłam z dumą i obie patrzyłyśmy, jak Ryan porusza się w zwolnionym tempie, silny i atletyczny, a zarazem pełen gracji.

– I to właśnie jest dowód – poinformowałam Lucy, choć mówiłam także

do siebie – na to, że Ryan James to najlepszy rozgrywający w NFL.
Moja przyjaciółka uśmiechnęła się, uspokojona.

Rozdział 27

W przeddzień Świąta Dziękczynienia do Dallas przyjechał mój ojciec ze swoją rodziną. Astrid i Bronwyn zaprosiły mnie na zakupy, wymówiłam się jednak tym, że muszę pracować, i obiecałam, że spotkam się z nimi wieczorem.

Przez lata nauczyłam się wyznaczać sobie odpowiednie tempo; sporadyczna wymiana sztucznych uprzejmości była znacznie prostsza, niż udawanie, że się kogoś lubi, przez kilka dni pod rząd. Wspólne wakacje odpadały od czasu fatalnej w skutkach wycieczki do Napa Valley. Było to w wakacje po ukończeniu przeze mnie studiów. Umówiliśmy się z ojcem na wyprawę rowerową, jednak Astrid nagle postanowiła się do nas przyłączyć, przez co musieliśmy zamienić rowery na jaguara z opuszczanym dachem i przyjemny wypad na łono natury zmienił się w sztywną eskapadę, podczas której Astrid mogła się popisać swoją znajomością najlepszych winnic Kalifornii. Pod koniec tygodnia byłam tym wszystkim tak zniesmaczona, że wparowałam do jednej z winnic z przenośną lodówką pełną budweiserów, oznajmiając, że nigdy nie przepadałam za winem. Astrid chyba ani wtedy, ani później nie połapała się, że chciałam w ten sposób zagrać im na nosie i że w rzeczywistości nie jestem *aż taką* prostytutką. Tak czy inaczej, z niezmierną satysfakcją otworzyłam sobie wtedy zimne piwo, podczas gdy ona popisywała się jak foka w cyrku swoim winiarskim obyciem. Na szczęście ojciec zrozumiał, co chciałam osiągnąć, i wydawał się rozbawiony moim wybrykiem. Jakiś czas później przeprosił mnie nawet, w dość okrężny sposób, za to, że nasza

wycieczka stała się tak „jednowymiarowa”.

Zresztą koniec końców przeprosiny właściwie tylko pogorszyły sprawę, bo nie poszło za nimi nic więcej. Ojciec nie postarał się, by spędzić ze mną trochę czasu sam na sam. Ilekroć się widywaliśmy, ciągnął za sobą w pakiecie żonę i córkę. Tak samo było tym razem.

Do piątej po południu nakręciłam się tak mocno, że zadzwoniłam do ojca, żeby odwołać spotkanie, wymawiając się „kryzysem w pracy”. Jego rozczarowanie w przewrotny sposób sprawiło mi przyjemność. Mimowolnie pomyślałam o piosence *Cats in the Cradle* – i o tym, ile razy przez te wszystkie lata mój ojciec mnie olał. Była jednak pewna różnica pomiędzy treścią piosenki opowiadającej o rodzicu, który nie miał czasu dla syna i zapłacił za to gorzką cenę, a moim życiem. Różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do bohatera *Cats in the Cradle*, który po latach zapragnął odzyskać swoje dziecko, mój ojciec nadal był tak samo zajęty jak zawsze. Zostałam więc sama w pustym biurze, bez planów na wieczór, i ogarnęła mnie świąteczna melancholia. Lucy nazywała ten stan chandrą Charliego Browna i zawsze starała się zaszcześcić mi nieco tradycyjnej radości. W tym roku była jednak w jeszcze gorszym nastroju niż ja, a na dodatek popełniła błąd i zaprosiła na święta rodzinę Neila z Oklahoma City. Zdawało jej się, że odwróci to jej myśli od niewesołych tematów, tymczasem wpadła w prawdziwą kulinarną kabałę. Kilka razy proponowałam, że jej pomogę albo przynajmniej dotrzymam towarzystwa w kuchni, ale ona uparcie odmawiała, powtarzając, że razem z Neilem mają wszystko pod kontrolą.

Jadąc drogą I-35 w stronę Walker, uświadomiłam sobie, że najchętniej spędziłabym wieczór u Ryana. Nie mniej niż perspektywa jego towarzystwa kusila mnie myśl o spokojnej atmosferze jego domu. Niestety, Ryan tej nocy zameldował się w Gaylord Texan Resort & Convention Center w Grapevine, gdzie kwaterowano drużynę, ilekroć mieli rozegrać mecz na własnym stadionie, by oszczędzić im „niepotrzebnych pokus”.

– Skręć po prostu na najbliższym zjeździe i śmigaj do mnie do domu – poradził mi Ryan, gdy do niego zadzwoniłam z wiadomością, że stoję w popołudniowym korku. – Masz przecież klucz.

Przez chwilę rozważałam jego propozycję, uznałam jednak, że nie chcę

tam siedzieć sama. W ciągu dnia nie miałabym z tym problemu, ale po zmroku zaczynałam sobie wyobrażać przerażające sceny zbrodni. Było coś w tych wszystkich białych marmurach, białych obrusach, białych ścianach, a nawet białym dywanie i białych meblach, co wywoływało w mojej głowie skojarzenia z plamami krwi, przypominającymi kleksy czerwonego atramentu, które psychiatrzy pokazują na obrazkach swoim pacjentom.

Niestety, popełniłam błąd i podzieliłam się z nim tą przerażającą wizją.

– Boże święty, Sheo – sapnął Ryan. – To jest chore. Oglądasz za dużo horrorów.

Słyszając te słowa, uświadomiłam sobie, że istnieje jeden konkretny obraz, który zagnieździł się w moim umyśle i nawiedzał mnie, ilekroć byłam sama w jego domu: Julia Roberts w *Sypiając z wrogiem*, moim zdaniem jednym z najbardziej wstrząsających filmów, jakie kiedykolwiek nakręcono. Powtarzałam sobie w duchu, że jedyne, co łączy mojego chłopaka z bohaterem tamtej historii, to elegancki, minimalistyczny gust i neurotyczna schludność – zaczęłam się jednak mimowolnie zastanawiać, czy to nie rewelacje Blakeslee sprawiły, że ilekroć dostrzegłam w jego łazience krzywo powieszony ręcznik, moja wyobraźnia szła w ruch.

– Wiem. Po prostu czuję się trochę nieswojo w takim wielkim domu – powiedziałam. – Poza tym jeśli będę tam sama, jeszcze bardziej będzie mi Ciebie brakować.

– Och... Jesteś taka słodka – powiedział Ryan. – Ja też bardzo za tobą tęsknię. Chciałbym, żeby nie robili nam tu tych cholernych kontroli.

– Nie kłam – powiedziałam. – Wiem, że przed każdą grą przede wszystkim lubisz się wyspać.

Roześmiał się, bo miałam rację. Wszystko, co robił przez ostatnie kilkanaście godzin przed meczem, było starannie zaplanowane po to, by zmaksymalizować jego skuteczność. Nawet termostaty w jego pokoju były zawsze nastawione na dwadzieścia stopni, czyli temperaturę idealną dla fazy REM.

– Okej, tu mnie masz... Zdradzę ci coś jeszcze... Od czasów liceum nie zdarzyło mi się uprawiać seksu przed meczem. – Roześmiał się.

– Poczekaj. Niech zgadnę. Uprawiałeś seks w noc przed rozgrywką o mistrzostwo stanu? I ponieważ przegraliście, przyrzekłeś nigdy więcej

tego nie zrobić? – Wyobraziłam sobie jego dziewczynę z liceum, pół-Pakistankę, którą opisywał mi jako prawdziwą piękność.

– Zgadza się – odparł, ale już się nie śmiał.

Pomyślałam o opowieściach Blakeslee i byłam bardzo bliska powtórzenia mu naszej rozmowy, w ostatniej chwili postanowiłam jednak tego nie robić. Uznałam, że zbliżający się mecz i perspektywa spotkania z potencjalnymi teściami to dla niego wystarczające obciążenie. Powiedziałam więc tylko:

– Zdaje mi się, że jesteś równie przesądny jak Trener Carr.

– Hej, aż tak źle ze mną nie jest – zaprotestował Ryan. – Po prostu oszczędzam siły. To kwestia kondycji... Ale nie biegam po ogrodzie i nie łapię insektów do szklanki.

– Do słoika – poprawiłam go, zła na siebie, że w ogóle wspomniałam o Trenerze.

Był to mimowolny odruch i obleciał mnie strach, że Ryan połapie się w sytuacji. Biorąc pod uwagę jego spostrzegawczość i tendencję do zazdrości, dziwiłam się, że jeszcze do tego nie doszło. Właściwie podkreślało to tylko, że cała sprawa z Trenerem była chyba mocno naciągana. Tysiące razy przypominałam sobie jego spojrzenie, wtedy, u niego w domu, i z czasem romantyczna ekscytacja zmieniła się w poczucie, że robiłam z siebie idiotkę. Nabrałam bowiem niemal całkowitej pewności, że wszystko wydarzyło się wyłącznie w mojej głowie.

Zmieniłam temat i spytałam Ryana, czy jest gotowy na jutrzejszy mecz. Powiedział, że tak, i wymienił kilka powodów: świetny trening, solidna taktyka, kolano w dobrym stanie, tylni obrońcy Philly są do niczego. Nadal uwielbiałam takie zakulisowe smaczki, ale moja początkowa fascynacja światem wielkich gwiazd zdążyła nieco zblednąć, zastąpiona przekonaniem, że sama zaczynam do niego należeć.

– Co będziesz robić wieczorem? – spytał Ryan. W jego głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta i domyśliłam się, że Third Rail może nie być właściwą odpowiedzią i że prawdopodobnie nie powinnam się przyznawać do nagłej potrzeby napicia się zimnego piwa nalanego z beczki, a nie wyciągniętego z własnej lodówki.

Powiedziałam więc:

– Och, nie wiem. Niewiele. Chyba posiedzę w domu.

– Grzeczna dziewczynka. – Ton Ryana był w równym stopniu protekcyjny i czuły.

Postanowiłam się skupić na tym drugim wrażeniu, zwłaszcza gdy po raz dziesiąty zapytał, czy nie zgubiłam specjalnej przepustki na parking dla VIP-ów, po czym przypomniał mi, że w kasie stadionu czekają na mnie bilety.

– Wiem. Dzięki – odparłam.

– Na pewno nie potrzebujesz jeszcze kilku?

– Na pewno. Dziękuję. – Pomyślałam, że jak na rozpieszczonego gwiazdora, którego na co dzień otacza świta asystentów, gospoś, prywatnych kucharzy i psychologów, Ryan zadziwiająco dobrze odnajduje się w roli opiekuna.

– Gotowa na spotkanie z moimi starymi? – zapytał.

– Tak. Już nie mogę się doczekać. – Rzeczywiście tak było, choć miało to przede wszystkim związek z moją ciekawością jego ojca oraz z chorą potrzebą zyskania przewagi nad Astrid i Bronwyn.

– Dobrze – powiedział Ryan. – To będzie miły dzień. O *ile* wygramy.

– Wygracie – odparłam. – No dobrze. Lepiej się rozłączę, bo jeszcze wjadę komuś w tyłek. Napiszę do ciebie przed dziewiątą.

– Nie pisz. Zadzwoń – zażądał.

– W porządku – zgodziłam się, choć lekko się przy tym zjeżyłam. Zaczęłam powtarzać sobie w duchu, że jestem niesprawiedliwa. Chciał po prostu powiedzieć mi dobranoc, co dobrze o nim świadczyło. *Bardzo* dobrze. Powtarzałam sobie, że powinnam pojechać do domu i odpocząć. Że może nie będę jutro biegać po boisku, ale mnie także czeka ważny dzień.

Nie potrafiłam się jednak oprzeć magnetycznemu przyciąganiu Third Rail i czterdzieści pięć minut później siedziałam przy barze, zamawiając blue moon z beczki z dodatkowym plastrem pomarańczy. W lokalu panował wyjątkowy tłok. Znałam albo przynajmniej kojarzyłam co najmniej tuzin gości, włącznie z kilkoma koleżankami z liceum. Jak to bywa w niedużych miastach, większość z nich po studiach wróciła do domu, część zaś w ogóle nie poszła do college'u, nie było więc niczym dziwnym,

że od czasu do czasu na siebie wpadałyśmy. Ale w okresie świątecznym spotykało mnie zawsze kilka niespodzianek – i napotykałam twarze niewidziane od lat.

Tego wieczoru zauważyłam w barze Michelle Sheffield, dziewczynę o rok ode mnie młodszą, którą zawsze bardzo lubiłam i która mieszkała teraz w San Francisco. Uściskałyśmy się na powitanie i wymieniłyśmy się nowinami. Opowiedziałam jej o mojej pracy w „The Post”, ona zaś wyznała, że zajmuje się prawem patentowym. Miło było pogadać z nią o sprawach zawodowych, zamiast wysłuchiwać nudnych opowieści o dzieciach, które dla większości moich dawnych znajomych były jedynym tematem.

Zerknęłam na jej serdeczny palec i spytałam:

– A więc nie wyszłaś jeszcze za mąż?

– Nie – odparła.

– To tak jak ja.

Michelle uśmiechnęła się pod nosem.

– Słyszałam, że masz chłopaka.

Skinęłam głową.

– A więc to prawda? Naprawdę umawiasz się z *Ryanem Jamesem*?

Uśmiechnęłam się skromnie.

– O! To jest prawdziwa rewelacja. Jak się poznaliście? Przez twoją pracę?

– Chodziliśmy razem do college’u. Więc znamy się już dość długo.

– Jaki on jest?

– Jest świetny... Naprawdę miły.

Michelle patrzyła na mnie, czekając na dalszy ciąg, więc dodałam:

– Ma bardzo mocny charakter. Jest ambitny. Skupiony. Jest taki, jaki powinien być rozgrywający tej klasy.

– Rozpoznają go na ulicy?

– Owszem. Ale nie wychodzimy zbyt często. Podczas sezonu prowadzi raczej spokojne życie. Przeważnie siedzimy w domu i oglądamy filmy albo coś w tym stylu. Choć on jest dość towarzyski i otwarty... I bardzo inteligentny. Jest wspaniały.

– Rewelacja – powtórzyła Michelle. – Myślisz, że się pobierzecie?

Wzruszyłam ramionami.

– Kto wie? Ryan niedawno się rozwiódł, więc nie sędzę, żeby to miało nastąpić niebawem, o ile w ogóle... Chociaż jutro po raz pierwszy spotykamy się z rodzicami. Ale dość o Ryanie Jamesie. Opowiedz mi lepiej o swoim szalowym życiu w Kalifornii.

Czas mijał, a my zamawiałyśmy drinki, grałyśmy w bilard i gadałyśmy z kolejnymi znajomymi. Towarzystwo w barze stanowiło przyjemną mieszankę dawnych znajomych z liceum i ze studiów. Zauważyłam Millera rozmawiającego z jakimś brodatym facetem o wyglądzie hipstera i podeszłam, żeby się przywitać. Miller przedstawił mnie swojemu koledze Lionowi, artyście z Bostonu, który zwolnił się z UCLA i uczył teraz rzeźby w naszej *alma mater*. Byłam pewna, że Miller poznał go przez swoją nową dziewczynę. Bawiło mnie, że ktoś taki jak Miller zdołał się wkręcić w kręgi akademickie.

– Hej. Jesteś rzeźbiarzem, tak? Świetna sprawa – powiedziałam, ściskając mu dłoń, zadowolona, że pojawił się wśród nas ktoś nowy. – Witaj w Walker.

– Lion ma dziecko – oznajmił wyraźnie zafascynowany Miller takim tonem, jakby mnie informował, że jego znajomy był kiedyś jednym z pary nierozdzielnych bliźniąt.

Lion również to zauważył i parsknął śmiechem.

– Aha. Wariactwo, co?

– Musisz mu wybaczyć. Miller nie wyobraża sobie odpowiedzialności większej niż ta, która jest potrzebna, by odbierać własną pocztę.

– Kurde, znów zapomniałem odebrać pocztę! – powiedział Miller.

Lion się roześmiał.

– Cóż, kiedyś i ja nie potrafiłem sobie tego wyobrazić... Dowiedziałem się o nim dopiero cztery lata temu. Jego matka nie powiedziała mi nawet, że jest w ciąży.

– O rany! Ile ma teraz lat?

– Dziesięć.

– Cholera. Chyba żartujesz? – Zdumiałam się, nie po raz pierwszy wdzięczna losowi za to, że jestem kobietą. Kobiety przynajmniej mogą być pewne, że nigdy nie spadnie na nie taka niespodzianka.

– Nie żartuję. Ale już jest wszystko dobrze. Charlie to świetny dzieciak. Skinęłam głową i powiedziałam, że powinien przyprowadzić kiedyś syna na stadion.

– I jutro na mecz Kowbojów – dodał Miller z uśmiechem.

Tymczasem z łazienki wróciła Michelle. Miller natychmiast zaczął ją urabiać i już po chwili śmiała się serdecznie razem z nami.

– Nie masz dziewczyny? – zapytałam, bo już szumiało mi w głowie.

– Mam, ale to wyzwolona sztuka – wtrącił się Miller, puszczając do nas oko. – Chętnie by się zaprzyjaźniła z Michelle. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Przewróciłam oczami i mruknęłam:

– Świnia.

– A co tam u twojego chłopaka? Oświadczył się już? Słyszałem, że masz poznać jego rodziców?

– Owszem. Ale nie, nie jesteśmy zaręczeni. – Pomyślałam, że to właśnie jest najgorsze w małych miasteczkach. Plotki szybko się rozchodzą. Na *każdy* temat.

– A twój tata? Wybiera się do nas? – zapytał Miller.

Skinęłam głową.

– Już przyjechał. Jestem tu właśnie po to, żeby uniknąć spotkania z nim.

– Może Ryan poprosi go o twoją rękę?

– Idiota – burknęłam.

Miller klepnął mnie figlarnie po tyłku i powiedział:

– Uwielbiasz mnie za to.

Uderzyłam go pięścią w ramię tak mocno, jak potrafiłam, ale uświadomiłam sobie przy tym, że nie czuję się urażona. Miller był nieszkodliwy – jak zawsze.

– Auć! – wrzasnął teraz, po czym zwrócił się do Liona i Michelle: – Shea rzuciła mnie dla Ryana. Ale nie mam do niej żalu. Rozumiem ją. Sam bym się rzucił dla Ryana. Pomyślcie, kogo byście wybrali: wuefistę czy profesjonalnego rozgrywającego?

Michelle wybuchnęła śmiechem. Widziałam, że Miller jej się podoba.

– Zerwałam z tobą, bo jesteś idiotą. Koniec, kropka. – Uśmiechnęłam się do niego, a on odwzajemnił uśmiech.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – I tak nie mam ochoty się żenić.

Michelle włączyła się do rozmowy, próbując przeanalizować jego osobowość, a tym samym osobowość wszystkich kawalerów, a tymczasem ja zamówiłam dla nas kolejną whisky – i piwo na popitkę. Wprawdzie otwierając rachunek w barze, pomyślałam, że urznięcie się w noc przed spotkaniem z rodzicami swojego chłopaka nie jest najlepszym pomysłem, rozhulałam się już jednak na tyle, że natychmiast przyszło mi do głowy całe mnóstwo wymówek.

Bawiłam się więc dalej, pijąc, śmiejąc się, grając w bilard, a nawet tańcząc, i z każdą minutą ogarniała mnie większa wesołość oraz życzliwość dla wszystkich obecnych, nawet tych, których ledwo znałam. Wszyscy byliśmy bowiem związani z Walker w ten czy inny sposób, za co zresztą wzniosłam głośny i serdeczny toast.

– Czy wy wiecie – zaczęłam, czując się tak, jakby z moich ust miał za chwilę spłynąć potok złotych myśli – że wszyscy albo pochodzimy z tego miasta, albo tu mieszkamy?

– No, no – rzucił kpiąco Miller. – Toś Amerykę odkryła. Zwłaszcza że w tej właśnie parszywej dziurze wszyscy w tej chwili chlejemy.

– To nie żadna parszywa dziura – zaprotestowałam. – To miasto jest siedzibą najlepszej drużyny kierowanej przez najcudniejszego, najwspanialszego...

– Błagam, Shea! – zakrzyczał mnie Miller. – Znowu zaczynasz?!

– Co? – Zachwiałam się lekko, spoglądając na niego.

– Te swoje modlitwy do Trenera. W koło Macieju, kurwa mać.

– Zamknij się – powiedziałam.

Ale Miller był równie pijany jak ja i perorował dalej:

– Trener Carr! To jest jej prawdziwa miłość. Nie ja. Nie Ryan. Tylko Trener Cliiiiiive Carr!

Michelle prychnęła z niedowierzaniem.

– Przecież to ojciec Lucy. Jej najlepszej przyjaciółki.

– To co?

– Jest dla Shei o wiele za stary.

– Shei to nie przeszkadza. – Miller pokręcił głową. Potem wskazał na mnie palcem i dodał: – Widzisz? Tylko na nią spójrz. Popatrz jej w twarz.

Cokolwiek było w mojej twarzy, momentalnie zmieniło się w teatralny

grymas gniewu.

– Shea się kocha w starym Lucy. Od zawsze. I na zawsze. Widziałem ich tu kiedyś razem. – Spojrzał na mnie i dodał: – Może nie?

– Byliśmy tu służbowo – odparłam. – Jestem dziennikarką. Piszę o jego drużynie. Łączą nas sprawy zawodowe.

– Akurat.

Jeszcze raz żarliwie zaprzeczyłam, choć w moim pijackim widzie czerpałam ze słów Millera pewną przyjemność. W związku z tym powiedziałam:

– Wiesz co? Zaraz do niego zadzwonię i mu powiem, co tu o nim wygadujesz.

Wymaszerowałam z baru. Rzeńskie nocne powietrze nieco mnie otrzeźwiło, jednak najwyraźniej niewystarczająco, bo tak czy inaczej, wybrałam numer Trenera.

– *Qué pasa?* – rzucił wesoło w słuchawkę.

– Jestem w Third Rail – oznajmiłam. – Powinien pan tu przyjechać.

Trener parsknął śmiechem.

– Przecież wiesz, że nie mogę.

– Czemu? Już raz pan to zrobił.

– To był poniedziałek. Wyjątkowa sytuacja. Zresztą, pewnie nie powinienem był.

– Chcę się z panem zobaczyć.

– Ja z tobą też – odparł. Tak po prostu.

– No to – powiedziałam oszołomiona – niech pan przyjedzie.

– Nie mogę.

– W takim razie ja przyjadę do pana – zaproponowałam, gapiąc się w niebo. – Wie pan, że jest pełnia?

– Niecałkowita. Jeszcze nie dziś. Ile wypijaś?

– Trochę...

– W takim razie nie możesz prowadzić.

– Nie mam zamiaru. Wezmę taksówkę. I przyjadę.

– Nie. Nie możesz. Ludzie będą gadali.

– Niby czemu mieliby gadać? Przecież nie robimy nic złego. Prawda? – zaszczebiotałam uwodzicielsko.

Trener wybuchnął śmiechem.

– No dobrze, mała. Nie ruszaj się stamtąd. Już jadę.

– Czekam – wyszeptałam. Nadal z nim flirtowałam. – Czekam na pana.

– Będę za dziesięć minut. Wyjdź na róg Monroe Street... Tylko uważaj.

– Co z moim samochodem? – spytałam.

– Jutro go zabierzesz.

– Okej.

– Nie ruszaj się.

– Okej... Trenerze?

– Co, mała?

– Niech się pan śpieszy – szepnęłam.

*

Po dziesięciu minutach, które wystarczyły, by pożegnać się ze znajomymi i zapewnić ich, że wezwałam taksówkę, Trener podjechał na Monroe Street, zwolnił, zatrzymał się i poczekał, aż otworzę drzwi po stronie pasażera. Wsunęłam się do środka, poklepałam go po ramieniu i rzuciłam mu szeroki, głupkowaty uśmiech.

On również się uśmiechnął, ale po chwili powiedział:

– No dobrze, przyznaj się, ile *naprawdę* wypijaś?

– Już mówiłam – odparłam, zapinając pas. – Dużo.

Trener potrząsnął głową.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła. Mówiłem ci już, że powinnaś się zawsze kontrolować.

– Kontroluję się.

Zerknął na mnie i zapytał:

– Doprawdy? Jesteś pewna?

– Jak najbardziej. – Nagle przypomniałam sobie o karcie kredytowej, która została w barze. Napisałam do Millera: *Rachunek wciąż otwarty. Stawiam ci drinka!*

Odpowiedź przyszła natychmiast: *Zamawiam kolejkę dla wszystkich. Dzięk!*

– Głupek – mruknęłam z uśmiechem.

– Kto?

– Miller. Chociaż nie... Nie jest taki zły.

– Nie jest – zgodził się Trener. – Ani trochę. Po prostu nie jest dla ciebie odpowiedni.

– A kto jest? – zapytałam nieśmiało.

Trener uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Gdy zatrzymaliśmy się na światłach przy Jefferson Street, włączył radio, odnalazł stację, w której Rascal Flatts śpiewali *These Days*, i zaczął wystukiwać rytm na kierownicy. Kiedy zapaliło się zielone, zamiast skręcić w stronę swojego domu, ruszył prosto.

– Dokąd pan jedzie? – zapytałam.

– Odwiozę cię do domu.

– Ale ja chciałam jechać do pana.

Trener pokręcił głową.

– Musisz się przespać. Poza tym oboje wiemy, co się stało ostatnim razem.

– Niby co?

– Lucy. Pamiętasz?

– Pan też dostał ochrzan? – spytałam.

– O, tak. Urządziła mi przesłuchanie.

– Co jej pan powiedział?

Trener uśmiechnął się i zerknął na mnie z ukosa.

– Prawdziwa z ciebie mała reporterka, co?

– Nie jestem mała – zaprotestowałam, wypychając pierś do przodu i pusząc włosy. – Jestem... posągowa.

– Bez wątpienia. – Uśmiechnął się i spojrzął na moje nogi.

Pogłośniłam radio, w którym rozległy się pierwsze takty *Remind Me* w wykonaniu Carrie Underwood. Zawołałam, że kocham tę piosenkę, i choć mam okropny głos, zaczęłam śpiewać. „O, jeśli kochasz mnie, powiedz to chociaż raz!”

Trener się roześmiał, a już kilka sekund później znaleźliśmy się pod moim domem.

– Gdzie stanąć?

Wskazałam palcem prosto przed siebie.

– Tutaj.

Zatrzymał samochód na miejscu dla gości, ale zanim wyłączył silnik, poczekał, aż piosenka się skończy. Patrzył przed siebie, minę miał poważną. W końcu wysiadł, obszedł auto dookoła i otworzył przede mną drzwi. Spojrzałam na niego, nie ruszając się z miejsca.

– Co? – spytałam.

Wziął mnie za rękę i delikatnie wyciągnął z fotela.

– To też raczej nie spodobałoby się Lucy.

– To, że cię odwiozłem do domu?

– Nie. To, że mnie pan trzyma za rękę.

– Zrozumiałaby, że to dla twojego pijackiego dobra – powiedział, prowadząc mnie przez cementową dróżkę wysadzaną smętnymi białymi i fioletowymi bratkami.

– Jutro poznam rodziców Ryana – rzuciłam ni stąd, ni zowąd. – A on moich.

– I będziesz miała kaca.

– Warto było.

– Jak to?

– Bo dzięki temu jest pan tu ze mną. I trzyma mnie pan za rękę.

Uśmiechnął się, ale puścił moją dłoń, po czym objął mnie w pasie i podprowadził do klatki schodowej, a potem pomógł mi wspiąć się na drugie piętro. Pogrzebałam w torebce, aż w końcu znalazłam klucze i powoli otworzyłam drzwi. Weszłam do środka i otworzyłam je jeszcze szerzej, z nadzieją, że przyjmie zaproszenie. Wszedł, a ja od razu zamknęłam drzwi, w obawie, że zmieni zdanie, po czym przekreśliłam zasuwkę. Ubawiony, potrząsnął głową, a potem rozejrzał się po ciemnym salonie, aż jego wzrok zatrzymał się na ramce z moim artykułem opartej o gzyms kominka.

– Dobrze to wygląda – orzekł.

– Uwielbiam go.

– Cieszę się.

– Przede wszystkim dlatego, że dostałam go od pana.

Trener skinął głową.

– To dobrze. A teraz spać. – Wskazał palcem ciemny przedpokój wiodący do sypialni.

– Nie jestem śpiąca.

– Policz owce.

Skrzywiłam się.

– Ale najpierw napij się wody i weź tylenol.

– Okej. Ale muszę pana o coś zapytać.

– Jedno pytanie – zgodził się Trener.

– Jak pan myśli, czemu Lucy nie chce, żebyśmy się spotykali?

– Nie znam jej aż tak dobrze.

– Niech pan spróbuje zgadnąć. Albo zadam kolejne pytanie.

Trener uśmiechnął się pod nosem i spojrzał w sufit, a potem znów wziął mnie za rękę.

– Ponieważ – zaczęła, ściskając moją dłoń i robiąc krok w moją stronę. – Myślę, że Lucy wie.

– O czym? – zapytałam, wdychając zapach jego wody po goleniu. Serce wezbrało mi dziwnym uczuciem i jeszcze mocniej zakręciło mi się w głowie, kiedy wyobraziłam sobie, jak łatwo byłoby nachylić się i go pocałować.

– Nie. – Puścił moją dłoń i pokiwał palcem. Na początku myślałam, że odmawia mi pocałunku, ale potem dodał: – Powiedziałaś „jedno pytanie”. Odpowiedziałem. A teraz spać. Ale już.

Jego twarz tonęła w cieniu, lecz drżący oddech podpowiadał mi, że i on wyczuwa to, co wisi w powietrzu. Patrzyliśmy na siebie, bez ruchu, przez kilka długich sekund. Potem odwrócił się, przekręcił zasuwkę i otworzył drzwi.

– Dobranoc, mała – szepnął.

– Dobranoc, Trenerze – odparłam, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Wypuściłam z płuc powietrze, przycisnęłam policzek i dłoń do framugi i zamknęłam oczy. Z korytarza dobiegł jego głos:

– Zamknij drzwi na klucz i do łóżka.

Otworzyłam oczy, uśmiechnęłam się i zrobiłam, co mi kazał.

Rozdział 28

Nie zadzwoniłam do Ryana.

To była moja pierwsza myśl po przebudzeniu. Następna brzmiała: Jak odbiorę samochód? A potem: Już nigdy nawet kropli alkoholu. Gdy sięgnęłam na nocny stolik po telefon, skronie załomotały mi z bólu, a serce ścisnęło się na widok sześciu nieodebranych połączeń i siedmiu wiadomości. Wszystkie pochodziły od Ryana i z każdej kolejnej bił większy niepokój.

20.30: Cześć, skarbie. Dzwoniłem. Odezwij się.

20.42: Zaraz idę spać. Tęsknię. Zadzwon.

21.05: Gdzie jesteś?? Czemu nie odbierasz!?

21.38: Martwię się. Wszystko OK?

22.07: Pewnie wyszłaś z domu. Wyłączam telefon. Dobranoc.

22.43: Dalej nic? Cóż. OK...

23.21: Nie mogę spać. A jutro mecz. Do dupy. Mam nadzieję, że się dobrze bawiłaś.

*

Pokój wirował wokół mnie, a ja patrzyłam na wyświetlacz i układałam sobie linię obrony. Byłam pijana? Straciłam poczucie czasu? Zapomniałam? Zasnęłam? Miałam słaby zasięg... Bateria mi padła... Zgubiłam telefon? A może powiedzieć prawdę? Tylko jaka ona jest? Czy powinnam mu

oznajmić, że poza kilkoma zdawkowymi odpowiedziami na pytania starych znajomych nie pomyślałam o nim ani przez chwilę? Że to do Trenera miałam ochotę zadzwonić – i *zadzwoiłam*?

Zmusiłam się, by wybrać numer Ryana, choć nie miałam pojęcia, co powiem, gdy odbierze. Po jednym sygnale włączyła się poczta głosowa, zaczęłam więc dukać nieskładnie:

– Cześć, Ryan. Przepraszam za wczoraj. Wszystko ci wyjaśnię, kiedy pogadamy... Wiem, że na razie musisz się skupić na grze. Powodzenia... Nie mogę się doczekać meczu i spotkania z twoimi rodzicami... Przepraszam.

Rozłączyłam się, owładnięta mieszanymi uczuciami. Z jednej strony naprawdę było mi przykro. Obiecałam mu coś i nie dotrzymałam słowa. Domyślałam się, co czuje, bo sama nieraz tego doświadczałam, od Millera i innych. Wiedziałam również, jak bardzo Ryan lubi mieć kontrolę nad wszystkim, co dzieje się w tę szczególną noc, byłam więc pewna, że jest niespokojny i zirytowany. Krótko mówiąc, zachowałam się samolubnie i bezmyślnie.

Z drugiej strony jednak miałam wrażenie, że Ryan przesadza. No dobrze, nie rozmawialiśmy przez trzy, cztery godziny. Wielka mi rzecz. Czemu nie mógł po prostu życzyć mi dobrej nocy i położyć się spać? Naprawdę musiał mnie zasypać tyloma wiadomościami? Warto było tak się nakręcać?

Pokój wirował, a ja przeszłam do defensywy. Nie mieliśmy przecież żadnych wspólnych, zawczasu ułożonych planów. Po prostu zapomniałam do niego zadzwonić. Zresztą, litości – czy on naprawdę nie ma poważniejszych powodów do zmartwień? Takich jak Orły z Filadelfii? Człowieku, wyluzuj wreszcie.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrałam go niezdarnie i pośpiesznie, spodziewając się Ryana i drżąc na myśl o konfrontacji. Jednak na ekranie wyświetliły się literki TCC. Żołądek wciąż mi się zaciskał, choć teraz z innego powodu.

– Halo? – powiedziałam ochryple.

– Proszę, proszę – odezwał się Trener. – Ktoś tu chyba stracił od wczoraj trochę rezonu.

Spróbowałam się roześmiać, ale miałam suche gardło.

– Na to wygląda – jęknęłam cicho.

– Dobrze się czujesz?

– Aha. Przepraszam za wczoraj.

– Nie ma za co – zapewnił mnie Trener, co napełniło mnie jeszcze większą niechęcią do manipulatora Ryana. Jeśli ktoś miałby powód, żeby się na mnie gniewać, to właśnie Trener. A może Ryan wolałby zostać wyrwany ze snu o północy pijackim telefonem? – Ale musimy pojechać po twoje auto.

– My? – zdziwiłam się, zwijając się w kłębek. Używając zaimka „my”, zawsze wywoływał u mnie rozmarzenie.

– Tak. *My*. Oczywiście, jeśli jesteś już w stanie prowadzić.

– Nie wypiął aż *ty*le. Pewnie pan myśli, że straszny ze mnie ochleję...

– E tam. Dwie posiadówki w ciągu ośmiu miesięcy nie czynią człowieka ochlejem.

– Dwie?

– Trofeum Heismana. Chyba wtedy był poprzedni raz?

– No tak. – Już przestałam się wstydzić tamtego telefonu. – Tak. Wtedy był poprzedni raz.

– A więc na następny umówmy się już *po* sezonie. We dwójkę. W styczniu.

– Okej. Dobrze, w styczniu – zgodziłam się, myśląc o meczu o mistrzostwo kraju. Odpukałam w drewniany blat stolika przy łóżku. – Jesteśmy umówieni. Tylko pan i ja.

Czułam, jak się uśmiecha, i sama też się uśmiechnęłam.

– W porządku – powiedział po kilku sekundach wymownej ciszy. – Będę u ciebie koło dziewiątej.

– Przyjedzie pan? – Ucieszyłam się.

– Jasne. Ktoś musi cię przecież zawieźć. Nie potrzebujesz dzisiaj samochodu? Żeby dojechać na mecz?

Odpowiedziałam, że owszem, a potem usiadłam i spojrzałam na zegarek. Było prawie wpół do dziewiątej – czyli miałam pół godziny, żeby jakoś się ogarnąć.

– No dobra. To wstawaj – polecił mi Trener. – Musisz się rozruszać.

Dziś przed tobą ważny dzień. Ważny mecz. Ważne spotkanie.

– Racja – powiedziałam, zastanawiając się, jak to przeżyję.

*

Minęło pół godziny. Zdążyłam się wykapać, włożyć dzinsy oraz bluzę i prawie wysuszyć włosy, gdy rozległo się dziarskie pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyłam, ujrzałam w progu Trenera w dresie i czapce z daszkiem, trzymającego w dłoni dużą kawę z Bunki's.

– Wesołego Święta Dziękczynienia, mała – powiedział, unosząc kubek.

– Och, rzeczywiście. Zapomniałam. Wesołego Święta Dziękczynienia – odparłam, odbierając kawę z jego wyciągniętej dłoni. – Dziękuję.

– Pomyślałem, że przyda ci się kawa, ale potem zdałem sobie sprawę... że nie wiem nawet, jaką pijesz.

„Nawet”. To słowo sugerowało, że w jego mniemaniu *powinien* był wiedzieć. Że wkroczyliśmy już na ten etap.

– Zwykłą. Czarną – odparłam. On też taką pijał.

– W takim razie masz szczęście... Mam nadzieję, że z pączkami też trafiłem. – Pokazał mi papierową torbę, którą następnie położył na stoliku przy drzwiach.

– Z lukrem? – odgadłam, bo wiedziałam, że to jego ulubione.

Trener mrugnął i poklepał torbę.

– Zgadza się.

– Wejdzie pan na chwilę? – zapytałam, wciąż śmiała, choć już nie tak jak zeszłej nocy.

– Wszedłbym, ale musimy się śpieszyć. Powinnaś niedługo wyjechać.

– Wiem.

Chwyciłam klucze i torebkę, a on złapał kubek z kawą. Oddał mi go, gdy zamknęłam drzwi i zeszliśmy na dół, a nasze kroki niosły się echem po klatce schodowej. Gdy znaleźliśmy się na chodniku, Trener rozejrzał się dookoła i nasunął na oczy daszek czapki.

– Boi się pan, że ktoś pana zobaczy?

– Właściwie to nie – odparł, uśmiechając się z ukosa. – Biorąc pod

uwagę, że wczoraj wparowałem tu o północy...

Uśmiechnęłam się.

– No tak, ale... Nikt nam nie może zabronić przyjaźni.

Trener spojrzał na mnie wymownie.

– Niczego nam nikt nie zabroni, do cholery. Prawda? – rzucił, otwierając przede mną drzwi auta.

– Prawda – odparłam drżąco. Trzęsły mi się ręce.

Przytrzymał mnie za ramię, kiedy gramoliłam się do samochodu. Z trudem złapałam oddech, a on tymczasem obszedł maskę, wsiadł za kierownicę i wcisnął kluczyk w stacyjkę. Zanim go przekręcił, spojrzał na mnie i powiedział:

– Wiesz, co się właśnie dzieje?

Zamarłam, starając się właściwie zinterpretować pytanie, ale miałam zamęt w głowie.

– Z nami? – upewniłam się i to słowo wypełniło przestrzeń między nami, sprawiając, że jeszcze bardziej się skurczyła. Czułam zapach jego skóry, dostrzegałam poszczególne włoski w jego baczkach. Kilka zdążyło posiwieć.

Skinął głową, patrząc mi w oczy.

– Tak. Z nami.

– Mam pewne *podejrzenia* – odparłam, czując, jak krew łomocze mi w żyłach.

Trener uśmiechnął się szeroko, błyskając kurzymi łapkami, i powiedział:

– To dobrze. Chciałem się tylko upewnić.

Potem skupił się na drodze, a ja wyjrzałam przez boczną szybę. Moje myśli gnały jak szalone. Żadne z nas więcej się nie odezwało ani nie spojrzało na drugie, aż do chwili, gdy pokazałam mu swój samochód, zaparkowany krzywo jakieś piętnaście metrów od budynku.

– A więc – zaczął Trener, zatrzymując się za nim. – Jesteśmy.

– Tak – odpowiedziałam. – Jesteśmy.

Złapał mnie za rękę i ścisnął moje palce.

– Wesołego Święta Dziękczynienia, mała. Mam nadzieję, że twoi Kowboje dzisiaj wygrają. – Jego dłoń była ciepła i mocna.

– To nie są *moi* Kowboje – zaprotestowałam, patrząc mu w oczy. – Mam tylko jedną drużynę.

– Och, daj spokój. – Puścił moją rękę i poprawił czapkę. – Wiesz, że to nieprawda.

– To prawda.

Siedzieliśmy tak przez kilka sekund, chłonąc tę chwilę i cokolwiek działo się między nami. Kiedy się odezwałam, czar prysnął.

– Poza tym Ryan jest na mnie wkurzony. Będzie się dzisiaj działo...

– A to czemu?

– Wczoraj zapomniałam do niego zadzwonić.

– Czy to twój obowiązek? – spytał Trener zaczepnie. – Musisz się u niego meldować?

– Wczoraj powinnam była. Prosił, żebym zadzwoniła do dziewiątej.

– Podał ci *termin*? – w głosie Trenera pobrzmiwała nuta dezaprobaty.

– Zawsze przed meczem chodzi o tej porze spać.

– Rozumiem. – Trener skinął głową. Sam również ustalał podobne reguły dla swoich zawodników. Jego następne pytanie było dość neutralne: – W takim razie dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Dlatego – odparłam – że miałam inne zajęcia.

W kącikach jego ust zagrał lekki uśmiezek.

– O?

Skinęłam głową.

– Nie myślałam o Ryaniu. W ogóle.

– Cóż – zaczął Trener i umilkł.

– Co?

– Skoro złamałaś obietnicę, to po prostu przeproś...

– Już przeprosiłam.

– Rozmawialiście?

– Nagrałam się.

Trener pokiwał głową.

– W takim razie załatwione. Przeprosiłaś... Nie powinnaś się przed nim płaszczyć.

– Nie będę.

– I... – zaczął Trener, spoglądając na moją dłoń. Wyglądał, jakby miał

ochotę znów jej dotknąć, ale się powstrzymał. – Nie pozwól, żeby ten chłopak cię kontrolował.

– Co pan ma na myśli? – Zdawało mi się, że wiedziałam, potrzebowałam jednak tylu informacji, ile tylko byłam w stanie uzyskać.

– Ryan jest przyzwyczajony do tego, żeby stawiać na swoim. *Oczekuje*, że dostanie wszystko, czego zapragnie. Na ogół tak się właśnie dzieje.

Skinęłam głową, myśląc, że to znakomite podsumowanie charakteru Ryana, ale wciąż zastanawiałam się, do czego Trener zmierza, aż spojrzał na mnie i powiedział:

– Musisz być pewna, że ty chcesz tego samego.

Popatrzyłam na niego. Kac sprawiał, że moje myśli stały się mgliste, ale równocześnie dodawał mi śmiałości. Była to dziwna i dość przerażająca kombinacja.

– Wiem, czego chcę – powiedziałam.

Trener nie spuszczał ze mnie wzroku.

– To dobrze – stwierdził. – To bardzo dobry początek.

– Tak. To początek... – zaczęłam i zawahałam się. Powiedzenie czegoś więcej wydało mi się objawem braku lojalności wobec Ryana, zdołałam sobie jednak z tym poradzić, uznając, że nadal pozostajemy na gruncie ogółów. – Muszę tylko wymyślić, jak to zdobyć.

– Cóż – powiedział Trener, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. – Z mojego doświadczenia wynika...

Uniosłam brwi, czekając na błysk filozoficznej mądrości. Zamiast tego usłyszałam:

– Że guma Big Red z Parkit Market nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Uśmiechnęłam się.

– Tak słyszałam.

*

Pół godziny później, przebrana w czarne skórzane legginsy, zamszowe botki i granatowy sweter z głębokim trójkątnym dekoltem na plecach, jechałam w stronę Dallas. Raz po raz sprawdzałam telefon w nadziei na

wiadomość od Ryana, wzdrygałam się przed spotkaniem z Bronwyn i Astrid i obsesyjnie rozmyślałam o ostatniej rozmowie z Trenerem. Gdy zatrzymałam się na parkingu przed Ritzem, jakimś cudem spóźniona tylko o dziesięć minut, zauważyłam tatę i jego rodzinę. Astrid, Bronwyn i mąż Bronwyn Wiley (który bardzo przypominał mojego ojca), grupka ciemnowłosych manhattańczyków, wszyscy ubrani na czarno, szaro lub w odcieniu grafitu. Bronwyn i Astrid miały takie same długie, lśniące, proste jak druty włosy. Nowość stanowiły ich obcięte na bok grzywki, co do których nie mogłam się zdecydować, czy mi się podobają, czy wręcz przeciwnie – być może drażniły mnie właśnie dlatego, że były całkiem ładne.

Wysiadłam z samochodu i pomachałam do nich, czując się zaniedbana i niechłujna, czyli tak jak niemal zawsze w ich towarzystwie. Ilekroć się z nimi spotykałam, niezależnie od starań, które włożyłam, by wypaść jak najlepiej, moje włosy zawsze wydawały mi się zbyt zmierzwiłone, ubrania i szminka zbyt jaskrawe, a ciało wielkie i niezgrabne. Czułam się trochę jak Julia Roberts w *Pretty Woman przed przemianą*. Przypomniałam sobie jednak, czemu się tu dziś znaleźliśmy i że Ryan James dodaje mi klasy tak, jak Richard Gere dodawał klasy Julii Roberts.

– Cześć! – zawołałam z uśmiechem, prawdopodobnie pokazując zbyt wiele zębów i żałując, że nie wyplułam gumy w samochodzie. – Witajcie w Dallas!

Zbyt głośno, pomyślałam, podczas gdy Astrid i Bronwyn pomachały do mnie od niechcienia małymi paluszkami i uśmiechnęły się skromnie.

– Cześć – zaszczębiotała Astrid. – Śliczne buty. Wyglądasz cudownie!

– Dzięki – odparłam, wymieniając z nią niezręczny pocałunek w oba policzki.

Bronwyn ruszyła w moją stronę, ale ominęłam ją w ostatniej chwili i zwróciłam się do ojca, żałując, że nie mogę się z nim przywitać sam na sam.

– Cześć, tato – powiedziałam.

– Wesołego Święta Dziękczynienia, kochanie – odparł, ściskając mnie serdecznie.

– Nawzajem. – Odwzajemniłam uścisk.

Potem pozdrowiłam Bronwyn i Wileya, wymieniając z nimi kilka zdawkowych uprzejmości i nie po raz pierwszy zauważając, że mylą wyniosłość z elegancją. Tak czy inaczej, to jedno musiałam przyznać: *byli* eleganccy, nieskazitelni w manierach i stroju, od czubka głowy po lśniąca sprzączki mokasynów od Gucciego, a w jej przypadku – lakierowane kokardki czółenek na dziesięciocentymetrowych obcasach. Nie wyobrażałam sobie, że któreś z nich choć raz w życiu mogło mieć kaca – ani w ogóle za dużo wypić.

– Mi aż wszystko dygocze, tak się cieszę na ten mecz, a wam? – rzuciłam i dopiero po chwili naszła mnie refleksja, że powinnam była zacząć zdanie od „mnie”.

– Nam również – odparła Bronwyn ze sztywnym, nabotoksowanym uśmiechem.

– Z całą pewnością – dodał Wiley. – Jest wspaniale. Dziękujemy, że wszystko załatwiłaś, Sheo.

– Nie ma za co – odparłam. – Ja niewiele zrobiłam, to Ryan...

– A jak on się miewa? – zapytała Astrid, chwytając mnie pod ramię, podczas gdy ojciec oddał bilet parkingowemu.

– W porządku – powiedziałam, czując nowy przypływ niepokoju i wyrzutów sumienia. Ryan wciąż się nie odezwał i wiedziałam, że nie zrobi już tego przed meczem, który zaczynał się za niecałą godzinę.

– I ty... *Naprawdę* się z nim spotykasz? – nie dowierzała Astrid. Już nawet nie próbowała zachować pozorów dobrego wychowania.

Obrzuciłam ją długim spojrzeniem i, tak zgryźliwie jak się tylko dało, odpowiedziałam:

– Tak. Czemu? Czy to cię dziwi?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział za nią mój tata, który wyczuł, co się święci.

Byłam pewna, że w teście IQ dostałby przynajmniej o trzydzieści punktów więcej niż ona; moja mama zresztą też. Było to dla mnie źródłem pocieszenia – że niezależnie od wszystkiego moja mama jest inteligentniejsza od Astrid.

Astrid nie odczytała aluzji.

– Czyli naprawdę myślicie o sobie poważnie? Czy widujecie się tylko

tak sobie, niezobowiązująco? – drażyla.

– Będziemy dziś siedzieli w łóży jego rodziców – przerwał jej ojciec z zachwycającą nutą irytacji w głosie. – Zastanów się, kochanie.

– Astrid nie ma zwyczaju się zastanawiać – oznajmiłam z uśmiechem i dopiero po chwili dodałam: – Żartowałam!

– To akurat prawda – poparła mnie Bronwyn. Jedyne, co rehabilitowało przyrodnią siostrę w moich oczach, to fakt, że jej matka drażniła ją niemal tak samo mocno jak mnie, i przyszło mi do głowy, że choć myślę o niej z niechęcią, na żywo właściwie wzbudza moją sympatię. Była o niebo bardziej interesująca niż Astrid, inteligencję odziedziczyła bowiem po ojcu, a okres siostrzanej rywalizacji miałyśmy już za sobą.

Parkingowy nadjechał ich wypożyczonym SUV-em i wszyscy wgramoliliśmy się do środka, Astrid i ojciec z przodu, Wiley, Bronwyn i ja z tyłu, Bronwyn pośrodku. Zerknąwszy na jej ułożone na udach dłonie, dostrzegłam pierścionek z wielkim brylantem i świeży manicure. Zacisnęłam pięści, by ukryć swoje poszarpane skórki i zaczęłam sztywną pogawędkę. Pytałam o Nowy Jork, o to, jak minęła im podróż, o ich nowy dom w Hamptons i remont mieszkania w centrum miasta. Odpowiedzi Bronwyn były albo zwięzłe albo skromne, zależnie od interpretacji, i nie pozostawiały wielu możliwości pociągnięcia tematu. Trzeba jednak przyznać, że sama też zadała mi kilka pytań i bardziej niż Ryanem interesowała się moją nową pracą.

– Podoba ci się w redakcji? – zaczęła. – Jest tak, jak myślałaś, że będzie?

– Tak. Chyba tak – odparłam, a wszyscy zaczęli słuchać. – Trudno dotrzymywać takich szybkich terminów, ale naprawdę lubię tam pracować. Dobrze jest się skupiać na jednej dyscyplinie sportu i na jednej drużynie.

Bronwyn skinęła głową, a gdy się odezwała, w jej głosie pobrzmiwał szacunek:

– Ile jest tam oprócz ciebie kobiet dziennikarek?

– Pytasz konkretnie o „The Post”?

Pokiwała głową.

– Ani jednej – odparłam.

W lusterku wstecznym dostrzegłam na ustach ojca uśmiech dumy – co

sprawiło mi niespodziewanie dużo przyjemności.

– Czy Ryan pomógł ci dostać tę pracę? – wtrąciła się Astrid.

– Nie. Nie miał z tym nic wspólnego.

Wiley zadał mi kilka pytań o zmierzch prasy drukowanej i o to, czy sądzę, że wkrótce całkowicie przeniesiemy się do sieci. Potem Astrid udało się zdominować rozmowę i skierować ją w całkowicie niepojętą stronę. Podczas gdy trajkotała coś bez sensu, przeczytałam jeszcze raz wiadomości od Ryana, starając się wyczuć w nich agresję, po czym z ulgą stwierdziłam, że jej tam nie ma. Ich ton był zaborczy, chimeryczny i pełen urażonej dumy, nie widziałam jednak nic, co potwierdziłoby oskarżenia Blakeslee. Oczywiście, nie przesłuchałam jeszcze poczty głosowej i po chwili zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zwlekam. Może nie chciałam odnaleźć potępiających go dowodów tuż przed spotkaniem z jego rodzicami? Może byłam na to zbyt zmęczona? A może po prostu nie miało to dla mnie większego znaczenia? Gdy wpatrywałam się w telefon, na ekraniku pojawił się nowy esemes. Od Trenera Carra: *Pozdrów ode mnie tatę.*

Zrobi się – odpisałam.

Wciąż patrzyłam na wyświetlacz, modląc się o kolejną wiadomość, aż w końcu nadeszła: *Jak się czujesz? Lepiej?*

Ja: Tak, o wiele. Kawa i pączek pomogły. Jeszcze raz dzięki.

TCC: Nie ma sprawy. Jesteś już na stadionie?

Ja: Prawie.

Podniosłam wzrok i powiedziałam:

– Tato, Trener Carr cię pozdrawia.

Każdy pretekst był dobry, żeby zacząć o nim rozmawiać.

– Jak on się miewa? – zapytała Astrid z przesadną troską.

– W porządku.

– Spotyka się z kimś?

Zaprzeczyłam szorstko.

– A twoja mama?

– Co z nią? – burknęłam.

– Myślisz, że się zejda?

– O Boże, nie.

– Już jej to mówiłem – zapewnił mnie tata.

– Ale czemu nie? Są przyjaciółmi, poza tym zawsze uważałam, że on jest pociągający.

– Astrid. Przestań, proszę – powiedziałam.

Ale to tylko dołało oliwy do ognia.

– Nie uważasz, że jest pociągający? I to bardzo, w taki teksański, futbolowy sposób... Choć to właściwie nie mój typ. – Poklepała ojca po dłoni. – Jestem pewna, że twoja mama by się ze mną zgodziła.

– Astrid – rzucił ojciec, zirytowany. – Connie umarła w lutym. To bardzo niedawno.

– Wystarczy, żeby się otrząsnąć.

– Daj już spokój.

– Czemu? Jesteś zazdrosny? – zapytała. Właśnie zbliżaliśmy się do stadionu. – Przeszkadzałoby ci, gdyby się zeszli?

– Nie – zaprzeczył tata. – Po prostu uważam, że nigdy do tego nie dojdzie.

Znow spjrzałam w ekranik, na którym wyświetliła się kolejna wiadomość: *Milego meczu.*

Dzięki – odpisałam. A po chwili wahania, w przypiływie śmiałości, dodałam: *Wolalabym oglądać go z Panem.*

TCC: *A ja z Tobą...*

Uśmiechnęłam się, przez chwilę zagubiona we własnych myślach, aż dotarliśmy na miejsce, czyli parking dla VIP-ów przy stadionie AT&T.

*

Gdy dotarliśmy do łoży Jamesów, rodzice Ryana już tam byli, a wraz z nimi kilka par w ich wieku. Rozpoznałam ich od razu, dlatego że widywałam ich na trybunach w czasach college'u, ale też dlatego, że Ryan był ogromnie podobny do ojca. Pan James podszedł prosto do mnie, witając mnie wylewnie niedźwiedzim uściskiem. Nie spodziewałam się tego i widziałam, że Bronwyn oraz Astrid są pod dużym wrażeniem. Jeśli dotąd uważały, że koloryzuję, teksańska serdeczność ojca Ryana rozproszyła ich wątpliwości.

– Kochanie! Podejź tu i poznaj Shee! – zawołał do pani James, która nadciągnęła po chwili i przywitała mnie z podobną dozą nieokiełznanej żywiołowości.

– Tyle o tobie słyszeliśmy! – oznajmiła.

Pan James pokiwał głową.

– Ryan cię uwielbia. Twierdzi, że wiesz o futbolu więcej niż jakakolwiek inna znana mu dziewczyna.

– To bardzo miłe – powiedziałam, nie zwracając uwagi na seksistowskie zabarwienie jego słów i zakładając, że miał dobre intencje. – Kocham futbol.

– A Ryan kocha ciebie – obwieścił pan James.

Astrid opadła szczęką.

– Jest świetnym facetem – powiedziałam, napawając się jej miną. Następnie dokonałam niezbędnej prezentacji i rozmowa potoczyła się dokładnie tak, jak się spodziewałam. Mój ojciec, pan James i Wiley natychmiast odnaleźli wspólny język i zaczęli się przerzucać zagadnieniami ze świata biznesu, tymczasem Astrid z całych sił starała się zaimponować pani James znajomością ważnych nazwisk, marek i miejsc. Bronwyn nie udzielała się tak intensywnie, zamiast tego podążyła za mną w stronę baru.

– Masz ochotę na drinka? – zapytałam, spoglądając na butelkę wódki. – Krwawą Mary?

– A ty będziesz piła?

– Chyba tak. – Zwykle nie stosowałam metody „klin klinem”, uznałam jednak, że dziś należy zrobić wyjątek: to będzie długi dzień, a przecież dołączy do nas jeszcze moja matka. Na dodatek, oprócz presji związanej z obecnością obojga moich rozwiedzionych rodziców, ogarnęły mnie nerwy spowodowane samym meczem. Jako fanka Kowbojów pragnęłam oczywiście ich zwycięstwa, było jednak coś jeszcze: obawiałam się, że jeśli przegrają, wczorajszy wieczór może mi zostać wypomniany jako jeden z powodów słabej gry Ryana.

Przyrządziłam dwa drinki, jeden wręczyłam Bronwyn i wyznałam jej, że wczoraj przesadziłam z alkoholem.

– Wychodziłaś? – zapytała.

Przypomniałam sobie, że w rozmowie z ojcem wymówiłam się pracą, zaczęłam więc bredzić coś o tym, że wyszłam dopiero po skończeniu artykułu, widziałam jednak, że Bronwyn mi nie wierzy.

– No dobra – skapitulowałam. – Tak naprawdę nie musiałam pracować. Po prostu...

– Rozumiem – przerwała mi. – Wiem, że z moją matką trudno wytrzymać.

– Podobnie jak z moją – przyznałam, a tymczasem to właśnie ona wkroczyła do łóżki w jasnoniebieskiej garsonce od Chanel i granatowych lakierkach.

Prezentowała się wspaniale, najlepiej, jak potrafiła, i zdecydowanie szykowniej niż Astrid.

– Świetnie wygląda – powiedziała Bronwyn, podczas gdy mama podeszła posuwistym krokiem prosto do taty i przywitała się z nim. Był to odważny ruch i kolejny punkt dla nas.

– I chyba jest szczęśliwa – dodała. – Widuje się z kimś?

Potrząsnęłam głową.

– Nie w tej chwili. I wiesz co? Podziwiam to w niej. Naprawdę nie potrzebuję faceta, żeby być zadowolona z życia.

– Czy masz to po niej?

– W pewnym sensie tak. To znaczy każdy chciałby odnaleźć prawdziwą miłość...

– A ty ją odnalazłaś? – zapytała z nadzieją w oczach, co sprawiło, że zapalałam do niej jeszcze większą sympatią.

– Może. Tak. Chyba tak – odparłam, a tymczasem mama podbiegła do mnie i pocałowała mnie na przywitanie. Całkowicie zignorowała przy tym Bronwyn, która zrozumiała aluzję i dołączyła do Wileya.

– Mamo, mogłabyś zachowywać się trochę mniej obcesowo – powiedziałam.

– Pfft – prychnęła moja matka. – One dla mnie nie istnieją.

– Ale tata istnieje?

– Jego *nie* mogę zignorować. Jest twoim ojcem.

– Dobra. Jak sobie chcesz. – Wzruszyłam ramionami i dolałam więcej wódki do swojej Krwawej Mary. Potem zaprowadziłam mamę na przód

łóży i przedstawiłam rodzicom Ryana.

Choć wydawała się nieco mniej zaaferowana niż Astrid, ona również wyraźnie starała się zaimponować nowej znajomej – trajkotała bez ładu i składu, jakby nie pamiętała, że Ryan za moment wyjdzie na boisko. Pani James jednak to nie przeszkadzało i przyszło mi do głowy, że być może paplanina Astrid i mojej mamy pozwala jej na moment oderwać się od niespokojnych myśli o synu. Ja sama byłam podminowana, bardziej niż wtedy, gdy oglądałam go w telewizji, pewna, że każdy snap okaże się ryzykowniejszy, a każdy obrońca groźniejszy. Tak czy inaczej, rozpoczęcie meczu było tuż-tuż i nadszedł czas, by się skoncentrować. Czas, by Kowboje skopali parę tyłków. Zasiadłam więc w pierwszym rzędzie łóży, założyłam okulary przeciwsłoneczne i świat przestał dla mnie istnieć.

*

Niemal od razu owładnęły mną złe przeczucia. Gracze wyglądali na zniechęconych, a w postawie Ryana malowała się obojętność. Już w połowie pierwszej kwarty rzucił piłkę tak niezdarnie, że doszło do przechwycenia zakończonego przyłożeniem, i nie miałam wątpliwości, że Sports Center będzie pokazywać tę nedorzeczną akcję we wszystkich zestawieniach najcharakterystyczniejszych momentów meczu. Od tej chwili zaczęły się pomyłki, niedokładne zagrania i powtarzające się straty, aż dobiegła końca pierwsza połowa i Dallas przegrywało dwudziestoma jeden punktami. Nastrój panujący w łóży przypominał ten na boisku. Tylko moja matka i Astrid wydawały się niczego nie zauważać i nie ustawały w wesołych, nazbyt optymistycznych komentarzach, które jeszcze bardziej irytowały pana Jamesa (o ile to w ogóle było możliwe). W pewnym momencie odciągnęłam matkę od pani James i szepnęłam:

– Mamo, ona nie chce teraz rozmawiać. Tam w dole właśnie niszczą jej syna.

– Naprawdę? – mama się zdziwiła. – Brakuje im tylko trzech przyłożeń.

– Tylko?

– Jeszcze mogą wyjść na swoje.

– Ale tu nie chodzi wyłącznie o wynik – syknęłam. – On jest rozgrywającym. I właśnie wyrabia sobie katastrofalne statystyki. Dziś gra zdecydowanie najgorzej w całej swojej karierze.

– Aha – powiedziała matka i od tej chwili wydawało się, że lepiej rozumie sytuację. Tymczasem Astrid nadal zanudzała panią James pogawędkami na temat letniej kolekcji w sklepie Neiman Marcus, nowej wystawy w muzeum sztuki współczesnej i swoich planowanych wakacji w (o zgrozo!) Dubaju. Gdzie, nawiasem mówiąc, można zrobić najlepsze zakupy na świecie.

Szczęśliwie nikomu nie przyszło do głowy, by wdawać się w rozmowy z panem Jamesem – przeniósł się na tył pomieszczenia, gdzie zasiadł plecami do boiska i oglądał mecz na ekranie telewizora. Kiedy przechodziłam obok niego w drodze do łazienki lub baru, słyszałam płynące z jego ust steki przekleństw, gdy Ryan wypuścił piłkę na linii wznowienia, obrzucił go inwektywami. Przekradałam się właśnie obok, kiedy warknął donośnie, wzywając mnie po imieniu.

– Słucham pana? – powiedziałam.

– Czy ty wierzysz w to, co widzisz?

– Nie. Trudno w to uwierzyć – odparłam. Po chwili, zreflektowawszy się, dodałam: – Ale wszystkim wielkim zawodnikom przytrafiają się takie dni. Eli Manning miewa je raz albo i dwa razy w sezonie, a przecież dwukrotnie zdobył tytuł najbardziej wartościowego gracza Super Bowl.

– Cóż, mój syn nie może się pochwalić takimi osiągnięciami – burknął pan James.

„Chryste – pomyślałam, zaciskając zęby. Prawdziwy z ciebie dupek”. Powiedziałam jednak tylko:

– Wszyscy jesteście ludźmi... Ryan się jeszcze odbije.

Pan James mruknął coś pod nosem, a ja stałam obok w milczeniu, owładnięta tym mdlącym, złowieszczym poczuciem, że mecz jest już przegrany z kretesem. Tyle że dziś sprawę pogarszało to, że czułam się odpowiedzialna za każde przechwycenie piłki przez przeciwnika. Może Ryan gra fatalnie, bo się nie wyspał? Wytrąciłam go z równowagi, co z kolei udzieliło się całej drużynie. Nie uważałam wprawdzie, że moje wpływy sięgają tak głęboko – i że powinnam się za to winić – ale trudno

było całkowicie wykluczyć taką ewentualność. Na kanale FOX zaczęła się przerwa reklamowa, a ja zwróciłam się do pana Jamesa:

– A może Ryan po prostu źle się czuje? Albo się nie wyspał?

Mój rozmówca spojrział na mnie i odparł:

– Niech go szlag, coś schrzanił na pewno... Dawno go nie widziałem w tak parszywej kondycji.

Westchnęłam, przestąpiłam z nogi na nogę i nerwowo spojrzałam na telefon wciśnięty do tylnej kieszeni. Dostrzegłam dwie nowe wiadomości, jedną od Lucy, która pisała: *Nieeee!!! Okropna gra! Tak mi przykro!!!*, i jedną od Trenera: *Niebywale. Co tam się dzieje?*

Zagubiona w niespokojnych rozmyślaniach, musiałam wymamrotać coś pod nosem, bo pan James spojrział na mnie i zapytał:

– Mówiłaś coś?

– Nie, nic – odparłam, niechętnie spoglądając mu w oczy. – Dostałam wiadomość od Trenera. To wszystko.

Spojrzał na mnie zaskoczony, a ja uświadomiłam sobie, że pomyślał zapewne o Jasonie Garecie, głównym trenerze Kowbojów. Dodałam więc:

– Od Trenera Carra.

– I co? Czyżby nie mógł uwierzyć, jakiego łamagę wypuścił spod swoich skrzydeł?

Pokręciłam głową, czując narastający gniew.

– Nie. Niczego takiego nie napisał.

– W takim razie co? – zapytał pan James, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Jego głos ociekał pogardą.

– Tylko tyle... że Ryan pewnie ma zły dzień – odparłam stanowczo, wiedziałam bowiem, że Trener powiedziałby właśnie coś takiego.

Zdawał sobie przecież sprawę z tego, jak straszliwie obciążona jest psychika gracza, zwłaszcza rozgrywającego, i nigdy nie wściekał się na swoich chłopców, póki robili, co w ich mocy. A mnie wydawało się jasne, że Ryan się stara. Być może nawet *za bardzo*, przez co wypadł ze swojego naturalnego rytmu. Czasami tak po prostu bywa – i nie da się temu zaradzić. Nagle znienawidziłam jego ojca za to, że tego nie rozumie – albo go to nie obchodzi. Obserwuje syna od tylu lat i nie wie, że Ryan nie jest robotem.

Wtedy, niby na potwierdzenie tezy, że ciało Ryana to nie maszyna, zobaczyliśmy, jak niezgrabnie próbuje wykonać snap. Natychmiast dostrzegłam, że coś jest nie tak. Potknął się i upadł, pozwalając przeciwnikowi przechwycić piłkę. Jeszcze zanim pokazano powtórkę, wiedziałam, że przyczyną było jego kolano. Chore lewe kolano, już wcześniej zamknięte w ciężkich szynach. Natychmiast zrobiło mi się niedobrze, jak zawsze, gdy zawodnikowi przytrafia się kontuzja – zwłaszcza kontuzja kolana, które jest najwrażliwszą częścią ciała każdego sportowca.

Wstrzymałam oddech i modliłam się, patrząc, jak z opalonej twarzy pana Jamesa odpływa wszelki kolor.

– Szlag by to trafił. Nie – powiedział zdławionym szeptem.

Na stadionie zapadła cisza jak makiem zasiał. Przerażona pani James ruszyła biegiem do męża. Jeden z pantofli zsunął jej się z pięty, zrzuciła go więc i utykając biegła dalej, aż w końcu pozbyła się także drugiego buta.

– Jest bardzo źle? – zapytała zdyszana, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Skąd niby mam to wiedzieć? – fuknął na nią mąż.

– Widziałeś powtórkę? Kto mu to zrobił? – pytała drżącym głosem.

– Twój synalek się przewrócił. Nikt go nie tknął – odparł pan James tonem pełnym niesmaku.

Jego żona nie zwróciła na to uwagi.

– Sheo, widziałaś coś? Co się stało?

– Trudno powiedzieć – odparłam, po raz trzeci oglądając powtórkę i czując na sobie zimne macki strachu. Zaczęłam bełkotać coś od rzeczy, o tym, że uraz nie wygląda na poważny i że trener postanowił zapewne wykorzystać prawo do przerwy, żeby wszyscy odsapnęli. Było jednak coś, o czym jej nie powiedziałam: że w sporcie czasem najdrobniejszy ruch może mieć katastrofalne skutki. Że z kolanami bywa rozmaicie. Pani James nie czekała zresztą, aż skończę zdanie, i pędem wróciła do pierwszego rzędu, żeby znaleźć się choć trochę bliżej syna. Nie wiedziałam, co robić. Z jednej strony, w telewizji zobaczę wszystko dokładnie. Z drugiej – pragnęłam ujrzeć Ryana na żywo.

Wtedy nagle Ryan dźwignął się z ziemi i kulejąc, zszedł z boiska,

podtrzymywany przez jednego z trenerów, przy akompaniamencie pełnego niebywałej ulgi aplauzu osiemdziesięciu tysięcy kibiców, wśród których nie było, rzecz jasna, jego ojca. Odsunęłam się od pana Jamesa i stanęłam pośrodku łóży, skąd nie miałam dobrego widoku ani na ekran, ani na boisko, gdy nadeszła kolejna wiadomość od Trenera Carra.

TCC: *Nic sobie nie zerwał. Byłby na noszach.*

Ja: *Wiem. Ale pan James się wściekł.*

TCC: *Niech zgadnę. Wini Ryana.*

Ja: *Zgadza się.*

TCC: *Biedny chłopak. Ojciec go już całkiem zniechęci.*

Ja: *Wiem. Bardzo żałuję, że Pana tutaj nie ma.*

Rzeczywiście żałowałam. Ze względu na Ryana, ale i na siebie. Trener pojął w mig, co chciałam powiedzieć, i odpisał: *Ja też. Tęsknię za Tobą, mała.*

Z wahaniem popatrzyłam na wyświetlacz, po czym zaczęłam powoli przyciskać klawisze. *Ja też za Panem tęsknię.* Potem wsunęłam aparat do kieszeni i wróciłam na swoje miejsce, unikając współczującego wzroku rodziców. Od tej pory spoglądałam wyłącznie na pobocze boiska, jakby gapienie się na granatową dwunastkę na plecach mojego chłopaka mogło odwrócić gorzki bieg wydarzeń.

Rozdział 29

Kowboje przegrali dwudziestoma ósmioma punktami, co było najgorszym wynikiem, jaki uzyskali w Święto Dziękczynienia. Do końca meczu zostali w loży tylko ci, którzy przyjechali ze mną. Mama oraz Jamesowie ruszyli w drogę na kilka minut przed ostatnim gwizdkiem. Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że Dallas już się nie odbije od dna, byłabym jednak niełojalna, gdybym wyszła przed czasem.

– Gotowa? – zapytał ojciec, gdy obie drużyny zniknęły, każda w swoim tunelu.

Wzruszyłam ramionami, ściskając w dłoniach trzeciego dzisiaj drinka i żałując, że się nie upiłam, co stłumiłoby nieco żal oraz niepokój o kolano Ryana – a także o to, co powie, kiedy się wreszcie zobaczymy.

– Nie ma pośpiechu – odparłam. – Możemy siedzieć tu albo w korkach.

– Okej. Ale... Jaki właściwie mamy plan? – zapytał ojciec i uświadomiłam sobie, że ten jeden raz decyzja należy do mnie.

– O wpół do szóstej spotykamy się z Jamesami w Café on the Green – powiedziałam.

Astrid, która nie знаła Dallas, spojrzała na mnie pytająco.

– Spokojnie. Tak się nazywa prywatna jadalnia w hotelu Four Seasons.

Uśmiechnęła się.

– No to w porzo.

Mimowolnie przewróciłam oczami, a Bronwyn powiedziała:

– Mama nie rozumie, że takich skrótów używają tylko nastolatki...

W porzo, nara, spoko. I najgorsze ze wszystkich: sorki.

– Sorki to nie skrót – zauważył Wiley, a Astrid parsknęła śmiechem, wyraźnie dumna, że się ją porównuje do pustogłowej małolaty.

– Sorki, ale Wiley ma rację – powiedziałam. – To raczej zdrobnienie.

Nagle podskoczyłam na dźwięk telefonu. Na szczęście to nie był Ryan. W słuchawce rozległ się głos Gordona, przekrzykującego naładowany testosteronem tłum.

– Jesteś w szatni? – zapytałam.

– Właśnie tam idę... Przykro mi z powodu meczu. – Doceniłam to tym bardziej, że był kibicem Orłów. – Twój chłopcy mieli dziś ciężki dzień.

– Cóż. Czasem dopadasz niedźwiedzia – zaczęłam, cytując jedno z powiedzonek Trenera – a czasem niedźwiedź dopada ciebie.

– Ha! Racja – przyznał Gordon. – Cóż, wygląda na to, że za chwilę uda mi się pogadać z twoim ukochanym.

– Wiadomo już coś o jego kolanie?

– Oficjalnie nic. Ale słyszałem, że według lekarzy to nic groźnego. Rozmawiałaś z nim?

– Jeszcze nie. Pewnie się dowiesz przede mną... Więc daj mi znać.

– Nie ma sprawy.

Dopiero gdy się rozłączyłam, zauważyłam, że wszyscy na mnie patrzą.

– Kto to był? – odezwała się wścibska Astrid.

– Kolega z pracy – odparłam. – Pisz o Kowbojach.

Tata skinął głową, wyraźnie zaintrygowany, po czym zadał mi kilka pytań o wykształcenie Gordona. Opowiedziałam mu więc typową historię dziennikarskiej kariery: licencjat na NYU, potem magisterka w Newhouse School w Syracuse, kilka małych lokalnych gazet, aż w końcu „Dallas Post”. Ojciec najwyraźniej czytał w moich myślach, bo powiedział:

– Naprawdę ci się udało z tą robotą, prawda?

– Owszem – odparłam. – Miałam szczęście.

– To nie kwestia szczęścia – zaproponował. – Jesteś dobra.

– I znam Trenera – dodałam. – A to właściwie tyle, co mieć magisterkę z dziennikarstwa.

– Mówiłam – wtrąciła się Astrid, patrząc mi prosto w oczy. – To jest dopiero facet.

Minęła godzina, a Ryan wciąż się nie odezwał, choć pisałam do niego dwa razy, zapewniając, że bardzo mi przykro z powodu meczu. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że obraził się na mnie na dobre, choć powoli zaczynałam wpadać w panikę. Na szczęście, gdy przyjechaliśmy do Four Seasons, dostrzegłam na parkingu jego porsche, otoczone grupką facetów w uniformach, którzy wpatrywali się w nie z nabożną czcią. Choć rozumiałam fascynację mężczyzn sportem, uważałam, że nigdy nie pojmę ich miłości do samochodów.

- Ryan już jest – oznajmiłam. – To jego auto.
- Nieźle. Jest piękne – gwizdnął ojciec.
- Czy to wersja Turbo S? – zapytał Wiley.
- Nie inaczej.

Astrid natomiast zainteresowała się ceną.

- Jakies sto siedemdziesiąt pięć tysięcy – orzekł ojciec.

Wysiadłszy z samochodu, po raz ostatni zerknęłam na telefon, ale jedyna nowa wiadomość pochodziła od Lucy, która informowała mnie, że kolacja się udała, choć nie wie, jakim cudem jej matka sprawiała, że przyjmowanie tłumu gości wydawało się łatwe. Poczułam wyrzuty sumienia, ponieważ przez cały dzień nie wspomniałam Lucy o jej mamie. Wyszłam przez to na paskudną egoistkę w typie Astrid – obiecałam więc sobie, że zadzwonię do przyjaciółki, gdy tylko skończy się kolacja.

Kilka minut później hostessa zaprowadziła nas do Sali Karafkowej, gdzie czekał już na nas Ryan oraz jego rodzice. Gdy weszłam, Ryan i pan James wstali jak na komendę, ale żaden z nich się nie uśmiechnął. Obaj wyglądali na przybitych i patrząc na ich zaczerwienione twarze, domyśliłam się, że zdążyli już wymienić kilka ostrych słów.

Wstrzymałam oddech, przygotowana na chłodne powitanie, ale Ryan podszedł, objął mnie w talii i nieśmiało pocałował w usta.

- Cześć, skarbie – powiedział, zupełnie jakbyśmy byli sami.

Taka reakcja wydała mi się dość niezwykła, biorąc pod uwagę, że była z nami cała moja rodzina, ale w gruncie rzeczy to mi nie przeszkadzało.

– Cześć – odpowiedziałam cicho. – Naprawdę bardzo mi przykro...

Ryan skinął głową, jakby na znak, że przyjmuje moje przeprosiny, po czym gładko przeszedł do prezentacji i ściskając dłoń mojego ojca, zawołał gromkim głosem:

– Pan Rigsby! Bardzo mi miło, Ryan James.

– Mów mi Walt – zażądał stanowczo ojciec.

– Dobrze. Walt. Miło mi pana poznać! – Zwrócił się do reszty: – A wy to na pewno Bronwyn, Wiley i Astrid. – Uścisnął dłoń każdego z nich po kolei. Astrid rozpromieniła się i poprosiła go o wspólne zdjęcie.

Usłyszałam własny zduszony okrzyk, Bronwyn zmartwiała, a tymczasem jej matka wręczyła mi swojego iPhone'a. Ryan jednak nawet nie mrugnął – uśmiechnął się, zapozował, poczekał nawet, aż Astrid sprawdzi, czy zdjęcie jej się podoba. Tymczasem mój ojciec, Bronwyn i Wiley wdali się w uprzejmą pogawędkę z jego rodzicami.

– Zamknąłem oczy? – zapytał Ryan, gdy oddałam Astrid telefon. – Zawsze zamykam oczy na zdjęciach.

– Nie. Jest naprawdę w porzo – orzekła Astrid.

– Wspaniale! – zawołał Ryan tak wesołym tonem, że zaczęłam się zastanawiać, czy jego zdolności aktorskie bardziej mnie zachwycają, czy przerażają.

Kiedy usiedliśmy, ojciec spowaźniał i powiedział:

– Przykro nam z powodu meczu. Jak kolano?

– W porządku – odparł Ryan. – Odrobinę je wykręciłem.

– Jak to się stało? – chciał wiedzieć pan James.

– To znaczy? – Ryan zeszywniał. – Nie wiesz, jak się skręca kolano?

Pan James burknął coś pod nosem, a tymczasem kelner uraczył nas litanią dotyczącą specjału dnia, po czym przyjął zamówienia na napoje. Nastrój nieco zelżał i wszyscy oprócz pana Jamesa włączyli się do uprzejmej konwersacji.

Jednak gdy tylko na stole pojawiły się koktajle i wino, ojciec Ryana zaatakował go nową porcją zawoalowanych przytyków. Na początku Ryan go ignorował, wkrótce jednak miarka się przebrała.

– Tato – powiedział, spoglądając w przestrzeń. – Myślę, że wszyscy mamy na dzisiaj dosyć futbolu. Czy moglibyśmy zmienić temat?

– Oczywiście. O czym chciałbyś porozmawiać, synu? – Głos pana Jamesa ociekał sarkazmem. – To twój wielki dzień.

Ojciec spojrzał na mnie, unosząc brew.

– O wszystkim. Byle. Nie. O futbolu – wycedził Ryan, a nozdrza mu drgały.

– Na przykład? – Pan James nie dawał za wygraną.

– Na przykład... O *czymkolwiek* – powiedział Ryan, nieznacznie unosząc głos.

– Dobrze. W takim razie pogadajmy o śledztwie w Walker. Sheo, czytałem twój artykuł... Masz coś do powiedzenia?

Otworzyłam usta, a wtedy Ryan uderzył dłonią w stół.

– To wciąż futbol, tato.

– Ale przynajmniej nie mówimy o twoich dzisiejszych, pożał się Boże, popisach.

– Daj spokój, kochanie – szepnęła pani James do męża, a Ryan wychylił jednym haustem swoją whisky.

– Jak idzie śledztwo? – pytał pan James, niewzruszony. Najwyraźniej nie miał zamiaru mi odpuścić.

– Jakoś... Idzie – odparłam. Ryan dotknął pod stołem mojej nogi, jakby chciał dodać mi odwagi. – Chyba. Niewiele udało mi się dowiedzieć. NCAA niczego nie komentuje. Moje źródła nie chcą się ujawnić... Właściwie wydaje mi się, że tak jest lepiej. Bo wychodzi na to, że nie mam o czym pisać.

– I? Myślisz, że nic na nas nie mają?

Miałam ochotę mu oznajmić, że *my* to nie *on*. I poprosić, żeby się łaskawie zamknął. Coś we mnie jednak pękło i powiedziałam:

– Nie wiem, proszę pana. Słyszałam tylko, że kupił pan samochód Cedricowi Washingtonowi. Czy to prawda?

Zerknęłam na Ryana, który niemal niezauważalnie skinął głową, choć nie byłam pewna, czy chciał w ten sposób potwierdzić plotkę, czy raczej okazać mi wsparcie.

Tak czy inaczej, pan James zachował stoicki spokój.

– Jaki jest okres przedawnienia?

– Nie wiem. To znaczy, że pan to zrobił? Kupił mu pan samochód?

– Być może.

– Kochanie – powtórzyła pani James.

– Co? – warknął na nią mąż. – Shea zadała mi pytanie.

Mój tata pogwizdywał nerwowo. Nawet Astrid zorientowała się, że sytuacja wygląda poważnie i zaczęła mamrotać pod nosem coś o wspaniałym winie, po czym zwróciła się do Wileya i spytała, co zamówił. Wiley zaczął opowiadać o szczepie i winnicy. Był tam oczywiście, z Bronwyn, która też włączyła się do rozmowy. Zazwyczaj tego rodzaju występy mnie irytowały, ale dziś wiedziałam, że wszyscy robią, co mogą, by rozładować atmosferę. Było to niemal wzruszające.

– Od kogo o tym słyszałaś, Sheo? A może tylko tobie wolno zadawać pytania? – rzekł pan James, po czym wybuchnął gromkim wymuszonym śmiechem.

Uśmiechnęłam się.

– Nie mogę wyjawiać źródeł.

– Dajże się namówić. Rozmawiałaś z Cedrikiem?

– To tylko plotka. Zresztą całe to śledztwo jest oparte na plotkach i domysłach. Jak domek z kart. I jak wszystko, czym ostatnimi czasy zajmuje się NCAA.

Widocznie wszyscy czekali na te słowa, ponieważ nastrój zdecydowanie się poprawił. A może sprawiła to whisky?

– Święta racja – oznajmił pan James, unosząc szklanke.

Nie podobało mi się, że się ze mną zgadza, zależało mi jednak na tym, by uniknąć awantury, wymieniałam więc kolejne argumenty przeciwko NCAA, w większości zapożyczone od Trenera. Tymczasem Ryan spochmurniał i umilkł. Odzywał się tylko, gdy ktoś zwracał się do niego bezpośrednio. Nie mogłam go jednak winić i byłam pewna, że nikt inny również nie ma do niego pretensji. Z chwili na chwilę patrzyłam na niego z coraz większą troską – zupełnie tak, jakby wciąż był małym chłopcem gnębionym przez ojca.

Gdy kolacja dobiegła końca, a mój ojciec zaproponował, byśmy wszyscy wrócili z nimi do Ritza na wieczornego drinka, czym prędzej odmówiłam:

– Ryan musi jechać do domu i odpocząć.

– Tak, powinienem obłożyć to kolano lodem – powiedział Ryan i rozmowa znów utknęła w martwym punkcie, co rzadko się zdarza w tak liczonym towarzystwie.

Gdy nadszedł rachunek, panowie stanęli do walki, którą wygrał pan James. Pozostała trójka ustąpiła, uznając, że po tak nieprzyjemnym wieczorze należy dać mu szansę, by się zrehabilitował. Wszyscy wstaliśmy i wyszliśmy na zewnątrz. Jako pierwsze przyprawiono porsche Ryana, mimo że wcześniej zgubił bilet. Wynagrodził to parkingowemu, dyskretnie wręczając mu dwadzieścia dolarów. Dopiero wtedy zwrócił się do mnie i zapytał:

– Co będziesz teraz robić?

– A co byś chciał? – szepnęłam.

– To zależy od ciebie.

– Chcesz zostać sam?

– Nie – odparł. – Chcę, żebyś pojechała ze mną do domu.

– Dobrze. Wezmę samochód spod Ritza i przyjadę.

Ryan skinął głową, po czym wysilił się na ostatnią uprzejmość.

– Wspaniale było pana poznać, Walt. I obiecuję, że następnym razem – dodał, ściskając dłoń mojego ojca – dopilnuję, żebyście zobaczyli zwycięstwo.

– Niech przynajmniej zobaczą dobry mecz – wtrącił się pan James. – Byle nie musieli patrzeć, jak dostajesz w dupę.

Ryan zignorował ojca, ale pocałował mamę, potem Astrid i Bronwyn, a na końcu podał rękę Wileyowi. Wreszcie zwrócił się do mnie:

– Do zobaczenia wkrótce.

– Tak – powiedziałam i pocałowałam go, trochę dla efektu, a trochę dlatego, że było mi żal wspaniałego Ryana Jamesa.

Rozdział 30

Pięć minut po tym, jak zjawiłam się w jego domu, Ryan zmienił się w kogoś zupełnie innego niż człowiek, którego pocałowałam na do widzenia przed hotelem Four Seasons. Jakby za naciśnięciem przycisku miejsce smutku zajęły wyniosłość i furia. Był zły na siebie, zły na kolegów z drużyny i trenerów, zły na swojego ojca. Nie krzyczał, lecz bił od niego kostyczny chłód, gdy wygłaszał jedną elokwentną tyradę po drugiej, jak postać z któregoś z seriali autorstwa Aarona Sorkina. A wszystko to z półleżącej pozycji na białej sofie, bez koszuli i z workiem lodu przyciśniętym do kolana, podczas gdy ja siedziałam w fotelu naprzeciwko.

Atak na mnie zachował sobie na koniec.

– I gdzieś ty, do cholery, była wczoraj wieczorem? – pytał. – Przez cały dzień jakoś ci się udawało uniknąć odpowiedzi na to pytanie.

– Niczego nie unikałam – odparłam. Rozpraszał mnie nieco zarys jego mięśni, ginący pod tkaniną niebieskich szortów. – Pytasz mnie o to po raz pierwszy.

– W takim razie odpowiedz – zażądał, a ja tymczasem usiłowałam się zdecydować, czy ma na brzuchu sześć- czy ośmiopak.

Policzyłam w duchu do ośmiu i uznałam, że kłamstwo nie ma sensu.

– Pojechałam do Third Rail – powiedziałam, cały czas patrząc mu w oczy.

– A więc pojechałaś sobie do baru, chociaż powiedziałaś mi, że wracasz do domu?

– Zmieniłam zdanie. Miałam ochotę zobaczyć starych znajomych.

– Starych znajomych?

– Tak. Z liceum. Spotkałam moją koleżankę Michelle. Mieszka w Kalifornii. Przyjechała do rodziców na święta.

– I kto jeszcze tam był?

– Całe mnóstwo ludzi... Wiesz, jak to jest przed świętami.

– Nie. Tak się składa, że to zjawisko jest mi obce, ponieważ zazwyczaj spędzam ten czas zamknięty w hotelu.

– No tak – przyznałam, myśląc, że jednak dramatyzuje i że elegancki hotel to nie więzienie.

– Więc kto jeszcze?

– Mam ci wymieniać po nazwiskach?

– Był tam Miller?

Pokręciłam głową, w ułamku sekundy rezygnując z postanowienia, by mówić prawdę. Staralam się patrzeć na niego spokojnie. Nic dziwnego, że wykrywacze kłamstw są tak skuteczne. Żadna z części mojego ciała nie działała już tak, jak jeszcze kilka sekund temu.

– Nie było go?

– Nie.

– A więc się z nim nie widziałaś? – naciskał Ryan, prześwietlając mnie wzrokiem, jakby znał całą prawdę. Ale to nie było możliwe. Tak czy inaczej, musiałam się trzymać swojej wersji wydarzeń.

– Nie – odparłam. – Nie było go, więc się z nim nie widziałam.

Powinnam była na tym zakończyć, ale zwyczajem kłamców wpadłam w istny słowotok:

– Zresztą co by się stało, gdyby tam był? Naprawdę, Ryan, wielka mi rzecz. Co to za dziwna fiksjacja? Ja nie mam obsesji na punkcie Blakeslee, a ona przecież była twoją żoną.

– Owszem – odparł. – Ale się z nią rozwiodłem. Rozwód kończy dyskusję.

– Nie dla mojego ojca – zauważyłam, pierwszy raz w życiu wdzięczna za Astrid.

– Ale dla większości ludzi owszem. Dla mnie również.

– Cóż, ja jestem tak samo pewna, że nigdy nie zejdem się z Millerem.

– Dalej się umawia z tą profesorką?

– Nie... Nie sędzę... Nie jestem pewna.

– Nie jesteś pewna? Co to ma znaczyć? Albo słyszałaś, że zerwali, albo nie.

– A ty to kto? Prawnik czy rozgrywający?

– Prawdopodobnie byłbym lepszym prawnikiem.

– Rozegrałaś *jeden* niedobry mecz. I nawet dziś wykonałaś kilka niezwykłych zagrań – powiedziałam z nadzieją, że uda mi się zmienić temat.

Ale Ryan jeszcze nie skończył.

– Wróćmy do Millera.

– Jezus Maria – mruknięłam pod nosem.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałaś?

– Ryan, daj spokój – poprosiłam, usiłując uniknąć kolejnego kłamstwa. – To już jest śmieszne. Miller to... historia starożytna.

– Tobie może się to wydawać śmieszne. Ale ja wczoraj w nocy nie mogłam spać, bo wyobrażałam sobie was razem.

– Co ci strzeliło do głowy?

– Nie zadzwoniłaś.

– Ryan, *blagam cię*.

– Nie mogłam spać, Sheo. A nie muszę ci chyba mówić, jak ważny jest sen przed meczem.

Tak jak się spodziewałam – to mnie obwinił za swoje błędy na boisku. Chciałam się jednak upewnić, o co mnie oskarża.

– Czyli twierdzisz, że... to co się dzisiaj zdarzyło... to *moja* wina? Oddawaliście piłkę dlatego, że do ciebie nie zadzwoniłam? – To było wredne pytanie, ale jeszcze gorsze były jego oskarżenia.

– Nie – powiedział Ryan. – To ja grałem do dupy. Ale to, że się do mnie wczoraj nie odezwałaś, z pewnością mi nie pomogło.

– Serio?

– Wystarczyłby jeden telefon na dobranoc, wystarczyło spełnić obietnicę. Potem mogłabyś sobie łązić po barach do woli. O niczym bym się nie dowiedział.

– Daj spokój. To nie w porządku – mówiłam coraz bardziej piskliwym głosem.

– Podobnie jak złamanie danego słowa w noc przed meczem.

Westchnęłam ciężko.

– Po prostu... straciłam poczucie czasu.

– Na całą noc?

– Kiedy odebrałam wiadomości od ciebie, było już za późno, żeby dzwonić.

– Jesteś pewna, że nie było *za wcześnie*? O której ty właściwie wróciłaś do domu?

– Ryan. Proszę cię. Naprawdę mi przykro – powtórzyłam setny raz. – Za dużo wypiałam...

– Jakie jeszcze błędy robisz, kiedy za dużo wypijesz?

– Cóż, pomyślmy... Zostawiłam w barze kartę kredytową.

– Miałaś otwarty rachunek?

– Tak. Czy to problem? Nie lepiej, że otwieram własny rachunek, niż gdybym miała pozwolić, żeby płacili za mnie faceci?

– Jacy faceci?

Skrzyżowałam ramiona, potrząsnęłam głową i popatrzyłam na niego twardo, odmawiając odpowiedzi na kolejne pytania. Tymczasem Ryan uniósł torebkę z lodem i obejrzał zaczerwienione z zimna kolano. Potem rzucił okład na podłogę, wstał i powiedział:

– Posłuchaj. Jeśli chcesz być moją dziewczyną, musisz nią być na sto procent. A zadaniem mojej dziewczyny jest wspieranie mnie przed meczem. Wczoraj cię potrzebowałem. Chciałem usłyszeć twój głos, a ty najwyraźniej miałaś to gdzieś.

– Nie mów tak. Wiesz, że mi na tobie zależy. I to bardzo.

– Nie wygląda na to. Gdyby ci zależało, zadzwoniłabyś. Kropka.

Było to całkiem rozsądne i spokojne stwierdzenie – które nie miało wiele wspólnego z opowieściami Blakeslee o wściekłych wybuchach zazdrości. Mimo to czułam niepokój. Było w tej rozmowie coś nieprzyjemnego i mogłam sobie tylko wyobrazić, co by się stało, gdyby Ryan wiedział, że jednak widziałam się wczoraj z Millerem.

– Wchodzisz w to albo wychodzisz – stwierdził Ryan, cytując Trenera Carra.

Skinęłam głową.

– No więc?

– No więc co? Słyszałam, co mówiłeś.

– I? Wchodzisz w to? A może wychodzisz?

Zawahałam się, co trwało na tyle długo, że Ryan zawiedziony potrząsnął głową.

– Tak myślałam.

– Jeszcze nic nie powiedziałam! – zawołałam, coraz bardziej sfrustrowana. – Dlaczego mi to robisz? Wiem, że miałeś zły dzień... Ale kiepskie mecze się zdarzają. A ty nadal jesteś jednym z najlepszych rozgrywających w całej lidze! Tylko mi nie mów, że pozwalasz ojcu mącić sobie w głowie.

– Ty mi zamąciłaś w głowie. Bo nie mogłaś poświęcić kilku minut, żeby do mnie zadzwonić.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Dobrze, Ryan. Jeszcze raz. Przepraszam. Dałam ci słowo i go nie dotrzymałam. Masz prawo być zirytowany. Nawet wściekły. Przykro mi, że do tego doprowadziłam. To się nie powtórzy.

Spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

– Kocham cię, Sheo.

Popatrzyłam na niego wstrząśnięta, a serce waliło mi jak szalone. Tego się nie spodziewałam. Ani przez moment.

– Jesteś pewien? – zapytałam, usiłując zyskać na czasie, choć myślałam również o tym, że gdy się kogoś kocha, to się w niego wierzy.

– Tak. A ty mnie kochasz? – Mówił cicho, a w jego głosie pobrzmiwało błaganie. To było niepojęte. Takiego układu ról nikt by się po naszym związku nie spodziewał.

Wstałam bez słowa, podeszłam i usiadłam na skraju sofy, twarzą do niego, po czym położyłam dłoń na jego ramieniu, jakby kontakt fizyczny mógł wystarczyć za odpowiedź.

Nie wystarczył.

– Czy. Mnie. Kochasz? – powtórzył Ryan. – To bardzo proste pytanie.

– Tak. Kocham cię – odparłam, zapędzona w kozi róg. Było to chyba najmniej romantyczne wyznanie wszech czasów. A co najgorsze, właściwie

nie miałam wątpliwości, że to kolejna bujda. O wiele gorsza od zapewnień, że zeszłego wieczoru nie widziałam się z Millerem. Nerwowo spuściłam wzrok, spoglądając na jego kolano, i dodałam: – Skoro już to ustaliliśmy...
Przynieść ci więcej lodu?

Ryan potrząsnął głową i odetchnął. Wyglądał na rozluźnionego po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do restauracji w Four Seasons.

– Nie chcę lodu. Chcę *ciebie*, kochanie. Chodź tu do mnie.

Przytulił mnie, a ja oparłam głowę na jego klatce piersiowej. Wysłuchana w bicie jego serca zaczęłam się zastanawiać, czego właściwie ode mnie oczekuje. Okej, mogłam do niego dzwonić przed meczami. Mogłam unikać spotkań z Millerem i nie chodzić do Third Rail. Być może mogłam nawet nauczyć się go kochać. Ale była jedna rzecz, której nie byłam w stanie zmienić i z której nigdy bym nie zrezygnowała. Ani teraz, ani w przyszłości. Czułam, że z każdym jego oddechem wpadam w większą panikę, kiedy moja głowa łagodnie wznosiła się i opadała na jego piersi.

W końcu Ryan przerwał milczenie.

– Kawał skurwiela z tego mojego ojca, co?

Odwróciłam głowę, tak by widzieć jego twarz albo przynajmniej profil.

– Rzeczywiście – powiedziałam, uznawszy, że nie ma sensu owijać w bawełnę. – Co prawda, to prawda.

– Nawiasem mówiąc, miałaś rację. Jasne, że kupił Cedricowi ten samochód.

– Domyśliłam się – odparłam, oddychając z ulgą, że nie zapytał mnie o źródło tych doniesień. Po raz pierwszy zaczęłam się martwić etycznym wydźwiękiem niezajmowania się tą historią, niezależnie od tego, jak bardzo wydawała mi się naciągana.

– I nie kupił go dlatego, że chciał pomóc Cedricowi.

Przytaknęłam.

– On kontroluje ludzi za pomocą pieniędzy. To chore.

– Ale ciebie nie będzie kontrolował. Nigdy więcej – powiedziałam, czując, że znów zaczynam się solidaryzować z Ryanem. Może go jednak kochałam. Przynajmniej troszeczkę.

– To prawda – odparł z bladym uśmiechem. – Mam teraz więcej pieniędzy niż on. Myślę, że to go doprowadza do szału.

Oparłam się na łokciu i spojrzałam na jego bliznę. Przyłapał mnie na tym.

– Co jest?

– Skąd masz tę bliznę? – zapytałam.

Przełknął ślinę.

– Już ci mówiłem. Rozciąłem sobie czoło podczas mistrzostw stanowych. W liceum.

– No dobrze. Ale w jaki sposób?

Spojrzał na mnie i widziałam, że bije się z myślami. Prawie miałam nadzieję, że nie powie mi prawdy. Bo wtedy poczułabym się lepiej z tym, że właśnie go okłamałam. Ale chciałam też, by on poczuł się lepiej, a wiedziałam, że prawda zwykle przynosi spokój.

Minęło kilka sekund, aż wreszcie powiedział:

– Po tamtym meczu ojciec rzucił we mnie butem.

– Ryan.

– Nie chciałem ci o tym mówić... Ale tak było. Wkurzył się.

– Tak mi przykro, kochanie. – Wyobraziłam go sobie tamtego wieczoru na izbie przyjęć, jak zakładają mu szwy, a on musi kłamać na temat tego, jak doszło do wypadku, prawdopodobnie przez cały czas obserwowany przez ojca. – To straszne.

– Ta... Wszystko w porządku – powiedział. – Pewnie powinienem się cieszyć, że dziś niczym we mnie nie rzucił. – Parsknął gorzkim śmiechem.

Przesunęłam palcem po bliźnie i mruknęłam:

– Zauważyłam ją już w college'u. I zawsze ją uwielbiałam.

Ryan wyglądał na poruszonego.

– Czemu? – zapytał.

Prawdziwym powodem, przynajmniej wtedy, było to, że zawsze uważałam widoczne blizny u facetów za seksowne, zwłaszcza jeśli ci faceci byli sportowcami, można było bowiem założyć, że to rodzaj pamiątki po bitwie. Ale dzisiejszego wieczoru chodziło o coś więcej.

– Ponieważ – powiedziałam – twoja blizna jest częścią ciebie. Częścią tego, kim jesteś.

– No tak – przyznał. – Chyba masz rację.

Położył dłoń na moim karku, przysunął twarz do mojej twarzy

i pocałował mnie delikatnie. Odsunęłam się i spojrzałam mu w oczy.

– Dziękuję – powiedział, zupełnie, jakby zrozumiał głębszy sens moich słów: że ojciec to ojciec i musi z nim żyć, tak jak ja muszę żyć ze swoim ojcem i z Astrid, i z matką. Żadne z nas nie ma wpływu na to, skąd się wzięło, a tylko na to, dokąd podąży. – Dziękuję, że akceptujesz moje wady...

– Za to nie musisz mi dziękować – odparłam. – Wiesz co, właściwie chyba bardziej cię kocham, gdy tracisz piłkę, niż kiedy zdobywasz punkty.

Uśmiechnął się, ale po chwili zażądał:

– Nie mów tak.

– Kiedy to prawda.

– Cóż, tutaj się różnimy. – Uśmiechał się coraz szerzej. – Ponieważ ja kocham cię bardziej, kiedy *nie* tracisz punktów. Że tak powiem.

– Rozumiem. Postaram się nigdy więcej nie wypuścić piłki – obiecałam.

*

Mój ojciec i jego ekipa wyjeżdżali następnego dnia po południu. Nie planowałam kolejnego spotkania, oficjalnie pożegnawszy się z nimi zeszłego wieczoru. Ale rano, gdy Ryan wybierał się na rezonans magnetyczny, tato zadzwonił i spytał, czy mam czas na wczesny lunch albo kawę. Właśnie miałam odmówić, jak zwykle wymawiając się pracą, gdy dodał: „Tylko ty i ja”. Mile zaskoczona chętnie się zgodziłam.

Pół godziny później zjawiłam się w Buzzbrews Kitchen. Ojciec zaproponował to miejsce, ale szczęśliwie należało ono do moich ulubionych. Zastałam go popijającego kawę w narożnym boksie. Z uśmiechem spojrzał na mnie znad karty dań.

– Cześć, tato – powiedziałam, wślizgując się na siedzenie naprzeciwko.

– Cześć, skarbie – odparł, zdejmując okulary do czytania i wsuwając je do wyszywanej monogramem kieszonki swej wykrochmalonej koszuli w niebiesko-białą kratkę. – Jesteś głodna?

– Zawsze jestem głodna. W przeciwieństwie do twojej drugiej córki mam dobry apetyt. W ten sposób nas rozróżniasz – odparłam z kamienną

twarzą. Miałam nadzieję, że ta uwaga nie zabrzmiała zbyt kąśliwie, zwłaszcza że poprzedniego wieczoru poczułam do Bronwyn coś w rodzaju sympatii.

Ojciec parsknął śmiechem i zauważyłam, że zachowuje się dzisiaj inaczej – swobodniej i naturalniej.

– Między moimi córkami jest jeszcze kilka innych różnic – powiedział, upijając łyk kawy.

– Nie da się ukryć – odparłam, jak zwykle nękana kompleksem niższości.

Choć nie miałam właściwie konkretnych dowodów na to, że mój ojciec ma zwyczaj porównywać mnie z Bronwyn, byłam niemal pewna, że tak właśnie jest. Ostatnie zmiany w moim życiu – związek z rozgrywającym NFL i praca w szanowanej gazecie – sprawiły, że czułam się odrobinę lepiej.

Kilka sekund później pojawiła się kelnerka. Jako że znałam tutejsze menu na pamięć, jak zwykle wybrałam sycącą potrawę o nazwie „Płonące jajka”, a do tego naleśnik z bananem i orzechami oraz kawę. Ojciec udawał, że kusi go moje danie, mruczając pod nosem, że brzmi bardzo zachęcająco, w końcu zamówił jednak zwykłą jajecznicę na bekonie, bez dodatków w postaci tostów czy smażonych ziemniaków.

Po odejściu kelnerki zapytałam:

– Znów jesteś na diecie Atkinsa?

– Jak zawsze – odparł. – Zawsze powtarzam, że najlepszym sposobem na dobrą formę jest bekon.

Parsknęłam śmiechem.

– Wciąż jeszcze jesteś trochę Teksaszczykiem, prawda?

– Zdecydowanie – przyznał, pukając w stół do rytmu rozbrzmiewającej w tle piosenki Vince’a Gilla, jakby chciał mi w ten sposób powiedzieć, że nadal lubi country. Mieszkał w Teksasie na tyle długo, by to miejsce weszło mu w krew, ale nie dość, by zechcieć osiedlić się tu na stałe.

– A więc – zagaiłam, zastanawiając się, o czym będziemy rozmawiali przez najbliższą godzinę. – Dobrze się wczoraj bawiłeś?

– Tak. Było bardzo przyjemnie – powiedział, kiwając głową wesoło. – Choć byłoby jeszcze przyjemniej, gdybyśmy wygrali.

Uśmiechnęłam się.

– *My?* Sądziłam, że jesteś fanem Gigantów.

– Owszem. Ale to Dallas jest Drużyną Ameryki¹⁰.

– No tak – przyznałam, choć ten zwrot zawsze mnie irytował. – A co sądzisz o panu Jamesie? Zachowywał się okropnie, prawda?

Ojciec gwizdnął i potrząsnął głową.

– Ja cię kręcę. Naprawdę nie rozumiem... Szkoda mi Ryana.

Tak, pomyślałam. Trudno się żyje z poczuciem, że własny ojciec cię nie kocha.

Po chwili postanowiłam wziąć się w garść, a tymczasem tata spytał o kolano Ryana.

– Boli go, ale chyba nie jest źle. Właśnie pojechał na rezonans.

– A jak... jego nastrój? – zapytał, gdy kelnerka wróciła z moją kawą i ponownie napełniła jego kubek. Dorzucił pół paczuszki słodzika i dolał mleka, po czym zamieszał tak, jak to miał w zwyczaju, głośno stukając łyżeczką w ściankę kubka. Zawsze wydawało mi się to dziwne, biorąc pod uwagę, że wszystko inne, co robił mój ojciec, było wyważone i metodyczne.

– Bardzo go to wytrąciło z równowagi – przyznałam. Nadal nie byłam pewna, co właściwie zostało powiedziane i jakie obietnice padły zeszłego wieczoru.

Ojciec się zadumał.

– A ty? – zapytał.

– Co ja?

– Czy to trudne... spotykać się z taką gwiazdą?

Wzruszyłam ramionami, bo nie byłam pewna, o co mnie pyta.

– Niespecjalnie. Media się nami nie interesują. – W rzeczywistości nieco mnie to rozczarowało, ale dodałam: – Co jest miłe.

Mój tata skinął głową.

– To tylko kwestia czasu...

– Mama już trzyma kciuki. – Roześmiałam się.

Choć przez chwilę poczułam, że być może jestem wobec niej nielojalna, ojciec zrozumiał, że żartuję i powiedział:

¹⁰ Drużyna Ameryki – potoczna nazwa drużyny Dallas Cowboys.

– Astrid też. Ma nadzieję, że ktoś zechce napisać artykuł o macosze dziewczyny Ryana Jamesa.

Uśmiechnęłam się, ale potem dodałam:

– Proszę, tato, nie nazywaj jej tak. To twoja żona, a nie moja macocha.

Przez te wszystkie lata odnosiłam się do Astrid niechętnie, zwłaszcza gdy jako dziecko musiałam jeździć do Nowego Jorku, nigdy jednak nie byłam tak blisko oświadczenia ojcu wprost, co naprawdę o niej sędzę. Jego mina zmieniła się tak gwałtownie, że niemal pożałowałam tej uwagi. Owszem, chciałam mu coś udowodnić, ale nie miałam zamiaru ranić jego uczuć.

– Chodzi mi o to, że... Przecież mnie nie wychowywała – wyjaśniłam. Używanie w stosunku do niej tego określenia obrażało moim zdaniem inne macochy, które odgrywały ważną rolę w wychowaniu swoich przybranych dzieci. W przeciwieństwie do Astrid, której jedynym wkładem w moje dzieciństwo były wakacyjne wyjścia do teatru, od czasu do czasu prezenty w postaci torebek od projektantów oraz wizyty u najlepszych fryzjerów z Piątej Alei.

– Rozumiem, kochanie – powiedział ojciec, popijając kawę. – Wiem, że potrafi być... że bywa dość męcząca... Ale ma dobre intencje. Naprawdę jej na tobie zależy.

– Mnie na niej też – skłamałam. – Ale czasem... – umilkłam, ponieważ zabrakło mi odwagi.

– Mów dalej. Czasem co?

– Powiedzmy, że bardzo się ucieszyłam, kiedy powiedziałeś, że możemy się zobaczyć tylko we dwoje. Dla odmiany.

– Wiem. – Całe jego ciało wyrażało powagę i skruchę. – Przy Astrid trudno dojść do słowa.

Pokiwałam tylko głową.

– A więc co jeszcze u ciebie słychać? – zapytał tata.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, o co mu chodzi.

– Nic. Do czego zmierzasz?

– Cóż, wiem, że masz cudowną pracę... I wspaniałego, sławnego chłopaka, ale... Czy jesteś szczęśliwa?

Mój ojciec nie miał w zwyczaju wykazywać się tak niezwykłą

domyślnością, uznałam więc, że to przypadek. Nie mógł przecież wiedzieć o wczorajszej kłótni.

– Tak, jestem szczęśliwa – powiedziałam. – Czemu pytasz?

– Och, sam nie wiem. Po prostu mam przeczucie... – umilkł, odkaszlnął i zaczął jeszcze raz: – Czy powinienem się o ciebie martwić?

Wpadłam w zakłopotanie, a po chwili do gardła podeszło wzruszenie, aż rozżłościłam się na siebie za to, że tak łatwo dałam się podejść. Miałam ochotę odpowiedzieć: „Owszem, powinieneś się martwić. Od tego są ojcowie. Żeby nieustannie martwić się o swoje dzieci”.

Powiedziałam jednak tylko:

– Nie, tato. Nie ma czym.

Skonsternowana rozejrzałam się po sali, aż moje spojrzenie padło na młodą parę z małym dzieckiem. Dziewczynka, mniej więcej dwuletnia, siedziała na wysokim plastikowym krzeselku i z buzią wymazaną czekoladą zajadała naleśnika. Jasnowłosa i niebieskooka, wyglądała rozkosznie i najwyraźniej powiedziała właśnie coś wyjątkowo rozkosznego, bo jej rodzice spojrzeli na nią z zachwytem, po czym roześmiali się i złapali za ręce. Tego rodzaju scenki rzadko mnie roztkliwiały, ta jednak dziwnie mnie poruszyła.

Ojciec podążył za moim spojrzeniem, a potem popatrzył na mnie, jakby próbował czytać w moich myślach.

– Wiesz, czego chcesz? – Pytanie nie było do końca jasne, ale jego wzrok mówił wiele.

– Tak. Chcę, żebyśmy pokonali Teksas i zdobyli mistrzostwo kraju. – Wypowiedziałam swoje odwieczne życzenie. Łatwo było je określić i łatwo wyjaśnić, trudniej natomiast spełnić.

– Ja nie żartuję – powiedział tato. – Czego chcesz *od życia*? I nie pytam tu o pracę. Chcesz wyjść za mąż? Urodzić dzieci? Myślisz, że Ryan może być „tym jedynym”?

Dziwnie brzmiały te słowa z ust mojego ojca, który nigdy wcześniej nie wykazywał się nadmierną spostrzegawczością ani empatią. Właściwie przez te wszystkie lata nauczyłam się mu wybaczać, ponieważ sądziłam, że po prostu nie stać go na nic więcej. A teraz jego współczucie sprawiło, że poczułam się jeszcze gorzej.

– Czyżby Astrid kazała ci to powiedzieć? – zapytałam, myśląc, że dorośli mężczyźni, mający za sobą trzy śluby, raczej nie rozumują w kategoriach „drugiej połówki”.

– Słucham? – Ojciec wyglądał na odrobinę urażonego. – Może jednak wykazałabyś trochę zaufania do swojego staruszka?

Uśmiechnęłam się, by rozluźnić atmosferę, i powiedziałam:

– Dobrze. Zatem chciałbyś wiedzieć, czego chcę od życia?

– Tak.

– Sama nie wiem... Chyba tego, czego wszyscy... Chcę być szczęśliwa.

Uznałam, że to całkiem zgrabny unik, ojciec jednak nie odpuszczał:

– A czy Ryan sprawia, że jesteś szczęśliwa?

– O tyle, o ile – odparłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

Ojciec uniósł kubek do ust i znieruchomiał w połowie gestu.

– O tyle, o ile? Nie wiem, czy wychodzisz ze słusznego założenia.

Spojrzałam w jego stalowoszare oczy, czując, jak w piersi narasta mi fala pretensji. Miałam ochotę powiedzieć: „Kogo chcesz oszukać? Trzymajmy się lepiej pogawędek o niczym, tato. Na takie tematy jest chyba odrobinę za późno”. Coś jednak we mnie pękło i pomyślałam: Chcesz szczerości? Chcesz usłyszeć, co naprawdę mam do powiedzenia? Proszę bardzo. Powiem ci, kogo naprawdę kocham.

Rozsądek podpowiadał mi, że to wyjątkowo kiepski pomysł i że mój ojciec nie zasłużył na rolę powiernika. Ale coś się zmieniło i przestało mnie to obchodzić. Może zbyt mocno pragnęłam podzielić się z kimś tą tajemnicą. Może chciałam nim wstrząsnąć. A może dążyłam do tego, żeby naprawdę zaczął się o mnie martwić. Żeby poczuł, że przez jego nieobecność w moim życiu zaczęłam dokonywać złych wyborów i zakochałam się w niewłaściwym, w dodatku starszym mężczyźnie. Oczywiście w głębi ducha wcale w to nie wierzyłam, ale jakaś część mnie pragnęła zabić mu klina.

– Prawdę mówiąc, tato – zaczęłam i już nie potrafiłam się powstrzymać – bardzo lubię Ryana... Ale chyba zakochałam się w kimś innym.

Sama się zdziwiłam, jak zaskakująco zabrzmiały te słowa wypowiedziane na głos.

Ojciec odstawił kubek, wciąż ściskając jego ucho, i powiedział:

– Chodzi o twojego byłego? Jak on miał na imię?

– Miller – odparłam. – Ale nie. Nigdy nie kochałam Millera.

Ojciec nie zadawał dalszych pytań, bo prawdopodobnie wyszedł z założenia, że i tak nie zna tajemniczego obiektu moich uczuć, ja jednak poczułam, że słowa same ze mnie wypływają i nie mam już nad nimi żadnej kontroli.

– Chodzi o Trenera Carra. To w nim się zakochałam – ogłosiłam cichym, lecz pewnym głosem.

Ojciec zagapił się na mnie, wyraźnie wstrząśnięty, a ja tymczasem walczyłam z zawrotami głowy. Czułam się, jakbym stała na krawędzi klifu. A właściwie – jakbym już z niego spadała. I tak samo jak nie da się powstrzymać siły grawitacji, ja nie potrafiłam cofnąć swojego wyznania, choć przeszło mi przez myśl, by spróbować obrócić to wszystko w żart.

– Co takiego? – zapytał, całkowicie wytrącony z równowagi.

Skinęłam głową.

– Mówisz poważnie? – Szczęka opadła mu tak nisko, że wyglądał jak żywcem wyjęty z kreskówki.

– Śmiertelnie poważnie – odparłam, owładnięta potężną falą ulgi.

– Ale co z... Ryanem? – zapytał ojciec, wyraźnie zdezorientowany.

– Co z Ryanem? – powtórzyłam. – Daj spokój, tato. Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć, że to skomplikowana sprawa. Przecież ożeniłeś się dwa razy z tą samą kobietą.

– No tak – przyznał, kładąc uszy po sobie.

Nadeszła kelnerka z jedzeniem, dając nam tym samym trochę czasu, żeby oswoić się z tym, co zostało powiedziane.

Gdy się oddaliła, mój ojciec, pod wpływem nowej fali szoku, zapytał:

– A czy Clive... czuje to samo?

– Wydaje mi się, że to możliwe, chociaż nie powiedział tego wprost... No i oczywiście to wszystko zaczęło się już po śmierci Connie. Na wypadek, gdybyś się zastanawiał.

Innymi słowy, wbrew temu, do czego jesteś przyzwyczajony, nikt nikogo nie zdradził.

Ojcu najwyraźniej lekko ulżyło.

– Jesteś pewna – zapytał – że nie chodzi tylko o futbol?

– Gdyby chodziło o futbol, to nie sądzisz, że równie szczęśliwa byłabym z Ryanem?

Ojciec skinął głową.

– Słuszna uwaga.

– Nikt nie jest podobny do Trenera Carra. Nikt. Nie znam żadnego faceta, który byłby choć w połowie tak wspaniały jak on.

Naprawdę tak uważałam, choć chciałam chyba przy okazji wbić mu szpilę. Zrozumiał aluzję i spuścił wzrok, nagle przypomniał sobie o swojej kawie. Upił duży łyk, jakby zbierał myśli, a potem powiedział:

– Po prostu wydaje mi się... Zawsze bardzo go podziwiałaś. Jako kogoś w rodzaju ojca... No wiesz... Dlatego, że mnie z tobą nie było...

– Czy to znaczy, że twoim zdaniem Bronwyn nigdy nie zakochałaby się w Trenerze, bo dorastała z ojcem? – Spojrzawszy mu w oczy, dostrzegłam w nich iskierkę żalu. Przyszło mi do głowy, nie po raz pierwszy zresztą, że odkąd zadał się z moją mamą i mnie spłodził, tak czy owak, miał przechlapane. Niezależnie od podjętej decyzji opuściłby kobietę i dziecko.

– Nie – powiedział. – Nie o to mi chodziło. Po prostu wydaje mi się... – umilkł i zaczął od nowa: – Okej. Może rzeczywiście coś takiego przeszło mi przez myśl...

– Tato – odparłam, starannie dobierając słowa – czy nie uważasz, że to możliwe... że po prostu się zakochałam? I moje dzieciństwo nie ma tu większego znaczenia?

– Owszem – przyznał ojciec, choć wciąż wyglądał na osłupiałego. – To możliwe.

Przez kilka sekund oboje udawaliśmy skupionych na jedzeniu, aż ojciec odłożył widelec i zapytał:

– Kto jeszcze o tym wie? Lucy? Mama?

Potrząsnęłam głową.

– Nikt oprócz ciebie.

Uśmiechnął się lekko.

– Cóż. Jestem zaszczycony.

– I słusznie.

– Dziękuję, że mi zaufałaś.

- Tak. I proszę, nie mów o niczym Astrid.
- Nigdy w życiu.
- Wierzę ci.
- A Ryan?
- Nic mu nie będzie – odparłam. – Niezależnie od tego, co się wydarzy.
- Czy mogę ci coś doradzić?
- Jasne.
- Skoro wiesz, że go nie kochasz, lepiej zakończ to jak najszybciej.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy opiera się na własnym doświadczeniu, a jeśli tak, to czy chodzi mu o mamę, czy o Astrid. Miałam ochotę go o to spytać, ale uznałam, że jednak nie chcę wiedzieć. Tymczasem on mówił dalej:

- Po prostu zastanów się, czego naprawdę chcesz... I cokolwiek to będzie... postaraj się to zdobyć.

- Dobrze – obiecałam. – Ale na razie...

Ojciec uniósł brwi i czekał.

- Na razie chcę po prostu, żebyśmy skopali tyłki Teksasowi.

Ojciec wybuchnął śmiechem.

- Tak. Możliwe, że Trener to jednak facet dla ciebie.

Rozdział 31

W sobotni poranek, czyli w dzień ostatniego meczu w sezonie, obudziłam się targana falą mdłości. Nienawiść do Teksasu zawsze wzmagala moją zwykłą nerwowość, w tym roku jednak było jeszcze gorzej, ponieważ graliśmy o wielką stawkę. Wiedziałam, że jeśli zwyciężymy, będziemy walczyć o mistrzostwo kraju. A jeżeli przegramy, Teksas już zawsze będzie się szczyił tym, że odebrał nam najważniejszą szansę, a my wylądujemy na trzeciej bądź czwartej pozycji w rankingach, co w pewien sposób będzie gorsze niż przeciętny sezon.

Kiedy wstałam, byłam zbyt rozedrgana, żeby pić kawę, a mdłości nie pozwalały mi nawet pomyśleć o śniadaniu. Chodziłam tam i z powrotem po mieszkaniu, modliłam się, słuchałam muzyki, usiłowałam ćwiczyć jogę, zmusiłam się do wykonania kilku asan, ale nic nie pomagało. Powtarzałam sobie, że muszę się uspokoić. Że choć czeka nas wielki dzień, są w życiu ważniejsze sprawy i większe nieszczęścia niż przegrana z Longhorns. Tego samego dnia wielu ludzi usłyszy fatalną diagnozę. Wielu zginie w tragicznych wypadkach. Inni stracą pracę, domy, rozwiodą się albo pokłócą z najbliższymi przyjaciółmi. Będą musieli uśpić ukochane zwierzątka. Ktoś popełni samobójstwo, a ktoś inny zostanie niewinnie skazany na dożywocie. Być może przydarzy się nawet kataklizm, który zrówna z ziemią niejedną wioskę w jakimś odległym, egzotycznym kraju.

To tylko gra, powtarzałam sobie w duchu. Tu nie chodzi o życie i śmierć. Ale choćbym nie wiem jak mocno się starała, nie potrafiłam się zdystansować.

Kilka godzin później, na stadionie, zwymiotowałam do kosza na śmieci. Przyłapał mnie na tym J. J. i podchodząc z lewej strony, rzucił ze śmiechem:

– Czy ty właśnie zrobiłaś to, co mi się wydaje?

Jego głos odbił się echem od ścian przepastnego korytarza, który już wkrótce miał się zapełnić kibicami i sprzedawcami pamiątek.

Otarłam usta serwetką, napiłam się wody z butelki, którą miałam w torbie, i wrzuciłam do ust listek miętowej gumy.

– Aha – odpowiedziałam w końcu. – Wzrok cię nie myli.

– I coś mi mówi, że powodem nie była zepsuta ryba?

– Ha. Nie. Raczej wykastrowane bydło¹¹ – odparłam.

– To by było tyle, jeśli chodzi o bezstronne media.

Roześmiałam się, ale szybko otrzeźwiałam. Wyraz twarzy J. J.'a podpowiadał mi, że podziela moje obawy.

– Też masz poczucie, że teraz albo nigdy? – zapytał.

– Owszem. Jak myślisz, skąd się ono bierze?

– Stąd – stwierdził – że jesteśmy *tak* blisko. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ta szansa jeszcze się powtórzy. Może kiedyś, w dalekiej przyszłości. Ale ja skończyłem sześćdziesiąt jeden lat. Nie mam tyle czasu.

– Wiem. Musicie być dziś dobrzy jak nigdy... Ale będzie wam też potrzebne mnóstwo szczęścia. – Skrzyżowałam palce zapatrzona w sufit i po raz setny tego dnia pomodliłam się.

– Myślisz, że nam się uda? – zapytał J. J.

Wzruszyłam ramionami, ponieważ w sytuacjach, gdy to naprawdę miało znaczenie, nie miewałam dobrych przeczuć. Nie dlatego że nie wierzyłam w swoją drużynę – bo naprawdę uważałam, że mamy lepszy skład i lepszego trenera niż przeciwnicy – ale dlatego że zawsze utrzymywałam, że prawdziwi fani są jak kochający rodzice, wiecznie zatrwożeni perspektywą nieszczęścia, które może się przytrafić ich dzieciom. Miłość sprawia, że wszędzie wokół dostrzegamy niebezpieczeństwo. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, życie jest kruche

¹¹ Słowo *longhorn* oznacza charakterystyczny dla Teksasu gatunek długorogiego bydła.

i ulotne i nieuchronnie prowadzi do tragedii. Owszem, ktoś wygra ten mecz i w styczniu dwie drużyny stoczą bój o mistrzostwo kraju. A potem ktoś wygra również i *tamten* mecz. Dla kilku starszych zawodników będzie to radosne zwieńczenie ich akademickiej kariery. Ale dla wielu, wielu innych sezon zakończy się rozczarowaniem. A nawet dramatem. Zupełnie jak życie.

J. J. klepnął mnie w plecy i powiedział:

– Kiedy ostatnio rzygałaś przed meczem?

– Podczas Cotton Bowl.

– W takim razie to chyba dobry znak?

– Możliwe. – Sama już o tym pomyślałam. Ponieważ choćbym była nie wiem jak pesymistycznie nastawiona, zawsze szukałam znaków zwiastujących powodzenie i nigdy nie przestawałam się modlić o właściwy układ gwiazd na niebie ponad rzeką Brazos.

*

Okazało się jednak, że nie było powodu do nerwów, wymiotów ani modlitw. Wyszliśmy na boisko i bezlitośnie skopaliśmy Teksasowi tyłki. Byliśmy szybsi, skuteczniejsi i górowaliśmy nad nimi niemal w każdym zagranium. Były w tym powiew szaleństwa i siła precyzji, były piękno i wspaniały akt bożej łaski, a ostateczny wynik na tablicy punktowej lśnił jaśniej niż księżyc: Walker dwadzieścia osiem – Teksas zero.

Uradowana, biegłam na konferencję prasową, odliczając minuty do chwili, gdy ujrzę Trenera i usłyszę, jak opowiada o meczu swoim zwykłym rzeczowym tonem. Gdy wszedł na salę, rozejrzał się, jakby czegoś lub kogoś szukał. Zauważył mnie, stojącą z tyłu w towarzystwie kilku facetów z „The Dallas Morning News”. Nasze spojrzenia się spotkały i puścił do mnie oko. Poczułam, jak zalewa mnie fala ciepła, i uśmiechnęłam się mimo woli.

– Niech zgadnę – odezwał się drwiąco jeden z dziennikarzy. – Studiowałaś w Walker.

– Zgadza się. A ty pewnie na UT Austin.

– To „Austin” zawsze denerwowało kibiców Longhorns, którzy lubili myśleć o swojej uczelni jako o reprezentancie całego Teksasu. Jego rozdrażniona mina potwierdziła moje przypuszczenia.

Kilka sekund później konferencja się rozpoczęła, a ja notowałam jak oszalała, czekając na koniec, by móc zadać swoje pytanie.

– Słucham? – powiedział Trener, wskazując na mnie.

– Gratuluję panu nieprzerwanego pasma sukcesów – zaczęłam. Chciałam, żeby to były pierwsze słowa, jakie ode mnie usłyszy.

– Dziękuję – odparł, kiwając głową w oczekiwaniu na pytanie.

Wzięłam głęboki wdech.

– Wszyscy wiemy, że miał pan wyjątkowo trudny rok... I miałam nadzieję, że powie nam pan parę słów o tym, co ten sezon znaczył dla pana osobiście.

Trener skinął głową z poważną miną.

– Rzeczywiście ten sezon był niezwykle trudny i emocjonalny dla mnie i dla moich dzieci Lucy i Lawtona... Moja żona Connie była dla nas wszystkim i pozostawiła po sobie ogromną pustkę... – umilkł, zamrugał i spojrzał w dół, wyraźnie poruszony. Przez chwilę żałowałam swojego pytania. Ale kiedy podniósł wzrok, był opanowany. – Takie zakończenie sezonu ogromnie wiele dla mnie znaczy... I myślę, że w ten sposób najlepiej oddaliśmy jej cześć. – Odchrząknął i mówił dalej: – Chciałbym więc podziękować zawodnikom, pozostałym trenerom i całej rodzinie Broncos za to, że dzięki nim to, co się dzisiaj wydarzyło, było możliwe. Dziękuję.

Potem uśmiechnął się, wstał i zszedł z podwyższenia.

Konferencja trwała dalej. Głos zabrał trener Longhorns Mack Brown i jego dwóch najważniejszych graczy, a mnie udało się zanotować jeszcze kilka wypowiedzi. Miałam jednak już wszystko, czego potrzebowałam do artykułu, i czym prędzej wyszłam z sali, pędząc do łoża prasowej, by wreszcie zacząć pisać. Tego wieczoru słowa spływały z moich palców jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a zdania same układały się w akapity i stworzyłam cały tekst w niecałe półtorej godziny, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło. Reportaż był rzeczowy, ale i naznaczony poetyzmem. Z dumą zwieńczyłam go słowami Trenera o pani Carr. Kiedy

wysłałam tekst Smileyowi, ten odpisał: *Dobra robota. Moje gratulacje.*

Nie byłam pewna, czy gratuluje mi artykułu, czy meczu, uznałam więc, że i tego, i tego, po czym pojechałam prosto do Third Rail, gdzie Lucy, Neil, Lawton i Ryan świętowali już na całego, razem z grupką przyjaciół, znajomych i moich dawnych współpracowników. Tego wieczoru każdy bar w Walker tętnił życiem i radością, nie mogłam sobie jednak wyobrazić lepszego miejsca niż Third Rail i byłam pewna, że wszyscy już wiedzą, że to właśnie tutaj lubi się bawić Ryan James. Uściskom, pocałunkom i okrzykom triumfu nie było końca. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam tak wdzięczna losowi i w takiej euforii. Ani kiedy ostatnio spędziłam tak radosny wieczór.

Aż wszystko się nagle zmieniło.

Rozdział 32

– Proszę, proszę – powiedział Ryan, wpatrując się w przestrzeń za moimi plecami, aż uwydatniły mu się ścięgna na szyi. – Kogo widzę.

Wiedziałam, o kim mówi, jeszcze zanim się obróciłam i ujrzałam Millera zmierzającego susami w naszą stronę i równie radosnego jak ja jeszcze kilka sekund temu. Gdy zbliżył się do stolika, dostrzegłam w jego dłoni kartę kredytową.

Wstałam, gorączkowo rozważając swój następny krok. Wiedziałam, że nie będzie łatwo uściskać go na powitanie, szepcząc mu przy tym do ucha, co trzeba, postanowiłam jednak, że to moja jedyna szansa. Jedyna nadzieja.

Zasłam Ryanowi drogę, podeszłam do Millera, nachyliłam się i wyszeptałam gorączkowo:

– Nie mów nic o tamtym wieczorze.

Oczywiście moja taktyka obróciła się przeciwko mnie, ponieważ Miller był stanowczo zbyt tępy i zbyt pijany, by pojąć, w czym rzecz.

– O co ci chodzi? – zapytał na cały głos. Potem wyciągnął rękę i oznajmił: – Mam twoją kartę!

Ryan wstał, wypinając pierś, jakby gotował się do ciosu. Ale już po chwili opanował się, co wydało mi się bardziej złowieszcze, niż gdyby wdał się w zwykłą barową bitkę.

– Co tam masz? – zapytał, gdy Miller wręczył mi kartę.

– Moją kartę kredytową – wymamrotałam, wciskając ją do tylnej kieszeni spodni.

W tym momencie Lucy uściskała Millera serdecznie i oświadczyła:

– Dobrze cię widzieć. Teraz, kiedy wygraliśmy, lubię cię o wiele bardziej. A może to dlatego, że już nie spotykasz się z Sheą? – dodała figlarnie.

Miller uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie bądź zołą, Lucy.

Lucy skrzywiła się i oparła rękę na biodrze.

– Rany boskie, słyszeliście? Miller właśnie nazwał mnie zołą.

– Nieprawda – zaprzeczył Miller, nadal uśmiechnięty. – Poradziłem ci tylko, żebyś nią *nie była!* – Potem uniósł szklankę, odchylił się do tyłu i huknął na cały bar: – Pieprzyć Teksas!

Wszyscy obecni odpowiedzieli mu głośnym chórem i tylko Ryan milczał. Wyciągnął rękę i złapał mnie za ramię.

– Pozwól na sekundkę – powiedział, ciągnąc mnie w stronę toalety.

Wyraźnie czułam, że to nie jest prośba ani zaproszenie, tylko rozkaz.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołałam, choć doskonale znałam odpowiedź na to pytanie.

– Wyjaśnisz mi może, czemu Miller miał twoją kartę? – warknął, ciągnąc mnie za sobą.

– Tamtego wieczoru zostawiłam ją w barze. Przecież ci mówiłam. – Serce waliło mi jak szalone.

– Tak? To jakim cudem znalazła się u niego?

– Pewnie... Barman mu ją dał.

– A mówiłaś, że się z nim nie widziałaś.

Miałam ochotę przykryć pierwsze kłamstwo kolejnym, wyjaśnić mu, że Miller przyszedł do Third Rail po tym, jak wyszłam, wiedziałam jednak, że nic nie wskóram. Ryan był zbyt bystry i zdeterminowany, żeby się w tym wszystkim nie połapać.

– Okej. Był tutaj. Widziałam się z nim tamtego wieczoru.

– To znaczy, że mnie okłamałaś.

– Przepraszam.

To wyznanie najwyraźniej go zaskoczyło i jeszcze bardziej rozsierdziło, bo wrzasnął:

– Co takiego!? – Po czym mocniej ścisnął moje ramię.

Próbowałam się wyrwać, przerażona przede wszystkim tym, że

urządzi mi publiczną scenę, ale on był silniejszy.

– Przepraszam. Miller przyszedł wtedy do baru... Ale nic się nie wydarzyło. – Szarpnęłam się jeszcze raz, ale jego uścisk był jak wnyki zastawiane przez kłusowników: im mocniej się wrywałam, tym bardziej się zacieśniał. – Nie mam wpływu na to, kto może tu wejść, a kto nie!

Ryan zrobił krok w moją stronę, zmuszając mnie, bym cofnęła się pod ścianę.

– Okłamałaś mnie, do kurwy nędzy! – wrzasnął, dźgając mnie palcem w klatkę piersiową.

– Wiem. Przepraszam – powtórzyłam, krzywiąc się, napotkawszy wzrok jakiejś dziewczyny, która właśnie wchodziła do łazienki.

Patrzyła na nas szeroko otwartymi oczami.

– Przepraszasz? – Głos Ryana ociekał sarkazmem. – Często to mówisz, Sheo, prawda?

– Ale mnie naprawdę jest bardzo przykro! – Czułam się żałośnie i było mi wstyd. Nie dlatego, że skłamałam, ale dlatego, że postawił mnie pod ścianą, dosłownie i w przenośni, i to w dodatku właśnie tu.

– Gównu prawda! – ryknął. – Wcale ci nie jest przykro!

– Jest, Ryan, jest, naprawdę. Okłamałam cię tylko dlatego, że byłeś taki zdenerwowany meczem... Nie chciałam pogarszać sytuacji. Poza tym nic się nie stało... Widziałam się z nim przy barze. A potem on zabrał moją kartę. To wszystko – mówiłam tak szybko, jak potrafiłam, ale to nic nie dało.

– Widziałaś się z nim!?! – zawył jeszcze głośniejszym głosem, aż spojrzeli na nas kolejna dziewczyna i towarzyszący jej chłopak.

– To znaczy rozmawialiśmy... W dużym gronie... I to wszystko. – Im więcej mówiłam, w tym większy on wpadał szał.

W pewnym momencie chwycił mnie za drugie ramię i znaleźliśmy się kilka centymetrów od siebie, tak blisko, że nie miałam wyboru i musiałam spojrzeć mu prosto w twarz, na pulsujące żyły i zniekształcone wściekłością rysy.

– A mimo to jakimś cudem zdobył twoją kartę?

– Zostawiłam ją w barze. A on ją zabrał. To wszystko. Naprawdę sądzisz, że wręczyłby mi ją na twoich oczach, gdybyśmy mieli coś do

ukrycia? – Byłam rozpalona, policzki płonęły mi żywym ogniem.

– Tak – odparł Ryan. – Myślę, że tak właśnie by zrobił. Ponieważ *marzył* o tym, żeby mnie przed wszystkimi ośmieszyć.

– Nikt nie chce cię ośmieszyć – zaprotestowałam. – Przestań wariować!

– Wariować? – powtórzył, jeszcze mocniej zaciskając palce.

– Au – skrzywiłam się. – Ryan, to boli! Puszczaj!

– Nie zwariowałam, Sheo. To ty się schlałaś, zostawiłaś kartę i pozwoliłaś, żeby odebrał ją twój były chłopak. To ty zламаłaś obietnicę. Ty mnie okłamałaś. I co ja mam o tym myśleć?

– Przesadzasz – odparłam, czując, jak po skroniach spływa mi zimny pot. – Puść!

– Nie. Odpowiedz na pytanie. Co mam o tym myśleć?

Ramię bolało mnie tak mocno, że przestałam się szarpać.

– Nie rób scen – poprosiłam.

– Odpowiedz na pytanie. Co mam myśleć?

– Nie wiem – jęknęłam żałośnie.

– Okej. To ja ci powiem. Myślę, że się z nim pieprzyłaś. Prawda? Przyznaj się, Sheo. Pieprzyłaś się z nim.

– Nie.

– A właśnie że tak! – ryknął, potrząsając mną.

– Nie, Ryan – powtórzyłam, bliska płaczu. – Nie. Przysięgam. Do niczego nie doszło.

W tym momencie zza rogu wypadła Lucy. Spojrzała na nas z przerażeniem oczami wielkimi jak spodki.

– Co się dzieje? – zapytała, a wtedy Ryan wreszcie mnie puścił.

– Nic – odparł. – Wychodzę.

Odwrócił się i wypadł z baru.

– Co do diabła...? – zaczęła Lucy. – Co tu się stało? Czy to z powodu Millera?

Łzy podeszły mi do gardła, ale udało mi się nie rozplakać, gdy przekazywałam jej nieco złagodzoną relację.

Spojrzała na moje ramię, ale zdążyłam je schować.

– Nawet mnie nie boli – skłamałam, żałując, że wcześniej zdjęłam marynarkę.

– O Boże – powiedziała Lucy.

Wciąż jeszcze wstrząśnięta wyjaśniłam:

– Ja rozumiem, jak źle to musiało wyglądać z jego perspektywy. Boże, czemu go okłamałam?

– To go nie usprawiedliwia – zaprotestowała Lucy. – Nic nie usprawiedliwia *czegoś takiego*.

– Wiem – odparłam, choć w mojej głowie powstawały już dziesiątki wymówek: Ryan ma duże dłonie. Nie zdaje sobie sprawy ze swojej siły. I najbardziej żałosa: To wszystko moja wina.

Na twarzy Lucy malował się ból.

– Sheo, kochanie... Nie podoba mi się to. Ani trochę... Wydaje mi się, że Blakeslee mogła mówić prawdę.

Może, pomyślałam. Widziałam i słyszałam, że Lucy też próbuje usprawiedliwiać Ryana, znaleźć dla niego jakąś furtkę, ponieważ nie chciała uwierzyć w to, co się stało. W to, że Ryan jest takim człowiekiem. W to, że nie jestem przy nim bezpieczna.

– Chcę już jechać do domu – powiedziałam.

– Nie możesz prowadzić w takim stanie.

– Mogę – zapewniłam ją. – Naprawdę.

W końcu Lucy niechętnie skinęła głową.

– Dobrze. Zadzwoń, jak dojedziesz. Martwię się o ciebie.

– Nie ma czym. Nic mi nie będzie. Obiecuję – powiedziałam, jakbym miała na to jakikolwiek wpływ.

*

Gdy otworzyłam drzwi swojego mieszkania, zadzwonił telefon. Spodziewałam się, że to Lucy albo może Ryan, ale na ekranie wyświetlił się numer Trenera. Przywitał się ze mną wesoło, przypominając mi tym samym, co znaczył dzisiejszy dzień: drużyna Walker znalazła się o krok bliżej ziemi obiecanej.

– Cześć, Trenerze – rzuciłam, siląc się na pogodny ton, który jeszcze niedawno przyszedłby mi z łatwością.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– W domu.

– Sama?

– Tak.

– No i jak mecz, mała? – Był roześmiany, zachwycony. – Powiedz mi, jak mecz?

– Świetny. Wspaniały. Jestem bardzo szczęśliwa. I bardzo z pana dumna – powiedziałam, usiłując nadać swojemu głosowi takie brzmienie, jakie by miał, gdyby przed chwilą ktoś mnie nie sponiewierał.

Najwyraźniej wyszło mi to średnio, bo usłyszałam:

– Co się dzieje?

– Nic – skłamałam, opadając na sofę i kuląc się w pozycji embrionalnej z telefonem przyciśniętym do ucha.

– Przestań. Wiem, że coś jest nie tak. Porozmawiaj ze mną.

Odetchnęłam głęboko i powiedziałam:

– Pokłóciłam się z Ryanem. W Third Rail. To wszystko.

– O rany. – Trener nagle spowaźniał. – O co poszło?

– O to, o co zwykle – odparłam. – On uważa, że coś mnie jeszcze łączy z Millerem. A to nieprawda. Ale o tym pan wie.

– I jest zazdrosny?

– Zgadza się. Okropnie się pogniewał... To nie było miłe.

– Co się stało? Chcesz o tym pogadać?

Nie chciałam, ale czułam, że powinnam mu to wytłumaczyć, przynajmniej z grubsza.

– Byliśmy w Third Rail z Lucy i Neilem... Świętowaliśmy... I... – głos mi się załamał, ale mówiłam dalej: – Wszedł Miller i Ryan się wściekł i potem zrobiło się paskudnie.

– Paskudnie?

– Tak – potwierdziłam, myśląc, że to słowo znakomicie pasuje do sytuacji, lepiej niż jakiegokolwiek inne. – To znaczy ze strony Ryana. Miller był wesolutki jak zawsze.

– Co zrobił Ryan?

– No wie pan... Po prostu... Stracił panowanie nad sobą i zachował się jak idiota...

– Nic ci nie jest?

– Nie – zapewniłam go, przypominając sobie spojrzenia tamtych dziewczyn w barze. Patrzyły na mnie z mieszanką zaciekawienia, litości i troski. Czyli zupełnie inaczej niż zwykle patrzyli ludzie, widząc mnie z Ryanem. – Wszystko w porządku.

– Chcesz, żebym przyjechał?

Odpowiedź brzmiała zarazem tak i nie, powiedziałam więc:

– Nie wiem... – a potem, ponieważ czułam, że po prostu się martwi i chce postąpić jak należy, dodałam: – Nie musi pan tego robić. Naprawdę nic mi nie jest.

– Wiem, że nie *muszę*. Ale *chcę* się z tobą zobaczyć – powiedział i przez kilka sekund cała sytuacja wydawała mi się najnormalniejsza pod słońcem. Był po prostu mężczyzną, który darzy uczuciem kobiety. Słyszałam to w jego głosie. Byłam tego pewna i mimo że występ Ryana zwarzył mi humor, poczułam szybsze bicie serca na myśl o tym, że Trener chce dzielić ze mną tak wyjątkowy wieczór.

– Ja też chciałabym się z panem zobaczyć – wyznałam.

– To świetnie. Muszę tylko zadzwonić do paru osób i zaraz u ciebie będę.

– Dobrze – powiedziałam znieruchomiła, cały czas w tej samej pozycji.

Po tym, jak Trener się rozłączył, jeszcze przez kilka sekund nie odrywałam ciepłego telefonu od policzka. Obliczyłam, że mam mniej więcej dwadzieścia minut, czyli wystarczy mi czasu akurat na szybki prysznic i na zebranie się w garść. Walcząc z osłabiającym zmęczeniem, zmusiłam się do wstania, wysłałam Lucy informację, że dotarłam bezpiecznie, i ruszyłam do przedpokoju, potem do sypialni i do małej łazienki, gdzie zaczęłam się rozbierać. Kiedy zdejmowałam dżinsy, karta kredytowa wypadła z tylnej kieszeni na podłogę. Popatrzyłam na nią, a potem zostawiłam tam, gdzie leżała. Ściągając sweter, poczułam ból w ramionach, a zwłaszcza w jednym. Pozbywszy się bielizny, obejrzałam się nago w lustrze. Patrząc na siebie z przodu, nie widziałam śladów na ramionach, co sprawiło, że poczułam się nieco lepiej. Weszłam do brodzika i odkręciłam gorącą wodę, zastanawiając się, czy to, co się zdarzyło w barze, sprawiło, że podpadam pod jakieś statystyki.

Czekając, aż woda się rozgrzeje, doszłam do wniosku, że przesadzam, ale już po chwili skarciłam się w duchu za głupotę. Oczywiście, że nie przesadzałam. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ, tak czy inaczej, zamierzałam zakończyć znajomość z Ryanem przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Z wielu powodów. Dlatego że mi nie ufał – a bez zaufania nie ma mowy o udanym związku. Dlatego że go nie kochałam i wiedziałam, że nigdy nie pokocham. Ale przede wszystkim dlatego że przekroczył bardzo ważną granicę.

Weszłam pod strumień wody, wdychając parę i pozwalając, by gorące strugi spływały mi po plecach, a potem po twarzy. Myślałam o wszystkich przeczytanych w życiu historiach, w których skrzywdzona kobieta usiłuje pod prysznicem zmyć z siebie złe wspomnienia. Zawsze wydawało mi się, że to ma sens, ale teraz wiedziałam to na pewno. Nie doznałam poważnych obrażeń, a mimo to czułam się zgwałcona.

Po kilku minutach zakręciłam kran, wyszłam spod prysznica i owinięłam się w ręcznik. Jeszcze raz zerknęłam w lustro, ale na szczęście było zaparowane. Kilka razy odetchnęłam głęboko, myśląc o Trenerze, a potem wróciłam do sypialni. Wtedy właśnie go zobaczyłam, siedzącego na skraju łóżka.

Rozdział 33

Podskoczyłam ze zdławionym okrzykiem, jakbym zobaczyła karalucha.

– Drzwi były otwarte – powiedział Ryan, uspokajająco podnosząc rękę. – Więc wszedłem.

– Widzę – odparłam, odwracając się plecami żeby wyciągnąć z szuflady spodnie od dresu i koszulkę. Upuściłam ręcznik na podłogę, ubrałam się błyskawicznie i spojrzałam na niego.

– Przepraszam cię, Sheo – powiedział, skruszony i spięty. Ta nagła wolta wytrąciła mnie z równowagi i nieco złagodziła mój gniew.

– Nie szkodzi – skłamałam. – Zapomnijmy o tym.

Wiedziałam, że żadne z nas nie będzie potrafiło tego zrobić. On nie zapomni o moim kłamstwie w sprawie Millera, a ja o tym, co mi zrobił, ale chciałam się go po prostu pozbyć. Nawet gdyby Trener nie był właśnie w drodze, nie miałabym ochoty rozmawiać z Ryanem. Szukałam właściwych słów, kiedy on wstał i spokojnie zbliżył się do mnie. Nie myśląc wiele, wstrzymałam oddech i cofnęłam się o krok, potem drugi.

Zrzędała mu mina.

– Sheo, kochanie, błagam, powiedz, że się mnie nie boisz. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Przecież mnie znasz. Wiesz o tym.

Mówił tak miłym głosem i był tak przekonujący, że prawie mu uwierzyłam.

– Nie boję się ciebie – powiedziałam. – Ale mnie *skrzywdziłeś*.

Był to kompromis pomiędzy sercem a rozsądkiem. Nie zamierzałam całkowicie go rozgrzeszyć, ale nie zamierzałam również robić z siebie

ofiary.

– Nie chciałem – odparł.

Zastanowiłam się nad tym i uznałam, że intencje mają znaczenie. Może nie zdaje sobie sprawy z własnej siły. Ale potem potrząsnęłam głową.

– Jednak to zrobiłeś – skwitowałam. – Skrzywdziłeś mnie.

Zbliżył się o krok, wyciągnął rękę i delikatnie dotknął mojego prawego ramienia, dokładnie w tym miejscu, które wcześniej ścisnął.

– Boli cię? Naprawdę?

– Owszem. Boli. A jutro będę miała siniaka. Gwarantuję. Myślisz, że to nic takiego? – Mówiłam coraz szybciej i piskliwiej. – Podnieść rękę na swoją dziewczynę? Jakbyś był na pieprzonym boisku futbolowym? To *nie jest* w porządku, Ryan. Jesteś ode mnie prawie pięćdziesiąt kilo cięższy. To nie jest w porządku.

Pokręcił głową.

– Masz rację. Przepraszam, kochanie.

– Nie nazywaj mnie tak – zaprotestowałam w przypiływie gniewu. – Nie jestem twoim kochaniem.

– Sheo... Przepraszam... Przykro mi, tak jak tobie jest przykro z powodu Millera.

Uniosłam ramiona, a potem oparłam jedno na biodrze.

– Nawet nie próbuj tego porównywać. Poza tym nie jest mi przykro z powodu Millera. Między Millerem a mną nic nie zaszło. Jest mi przykro, że cię okłamałam. Ale zrobiłam to tylko dlatego, że miałam po dziurki w nosie dyskusji o nim. Miller w ogóle dla mnie nie istnieje.

– Wierzę ci – powiedział Ryan.

– Na pewno?

– Na pewno.

– To dobrze. Dziękuję – powiedziałam, świadoma, że lada chwila zjawi się Trener. Ryan objął mnie w pasie, przyciągnął do siebie i spróbował pocałować.

Zaprotestowałam, ale on był uparty.

– No już, kochanie. Pocałuj mnie. Pogódźmy się. Dobrze? Proszę.

Odwrociłam głowę; nagle jego zapach wydał mi się wstrętny.

– Czy możemy porozmawiać o tym jutro? Jestem bardzo zmęczona.

Ryan spochmurniał i przymrużył oczy.

– Czemu jutro? Czekasz na kogoś? Zaprosiłaś Millera, żeby cię pocieszył?

Coś we mnie pękło i wrzasnęłam:

– Kurwa mać, Ryan! Wynoś się! Natychmiast!

Spojrzał na mnie, spokojnie kręcąc głową.

– A więc to tak?

– Jak?

– Próbujesz wykręcać kota ogonem. Kłamiesz, aż się kurzy, a potem masz pretensje, że trochę za mocno ścisnąłem cię za ramię? – Wykrzywił się szyderczo, a potem parsknął drwiącym śmiechem.

Nagle go znienawidziłam.

– Zamknij się, Ryan. I wynoś się z mojego domu. Między nami koniec.

– Koniec powiadasz? – Znowu się roześmiał. – Czyżbyś znalazła sobie kogoś lepszego?

– Tak – odparłam. *Chciałam* go skrzywdzić, a słowa były moją najskuteczniejszą bronią. – Tak się składa, że znalazłam.

– W porządku – powiedział. – Rób sobie, co chcesz. Idź się pieprzyć z Millerem.

– Sam się pieprz. – Dźgnęłam go palcem w pierś, tak samo jak on wcześniej mnie. Kiedy nie zareagował, szturchnęłam mocniej. Zasłonił się, a ja wzięłam kolejny zamach. Zupełnie jakbym *chciała*, żeby mnie uderzył. Pragnęłam dowieść sama przed sobą, że Blakeslee nie kłamała. I umotywować swoją decyzję, by skończyć z nim raz na zawsze.

Ale kiedy moje życzenie się spełniło i Ryan swobodnie złapał mnie za nadgarstki, a potem popchnął na łóżko, nagle zaczęłam żałować.

– Zostaw mnie. – Dyszałam ciężko, wrywając się z jego uścisku, silniejszego, niż to było konieczne. Nagle się przestraszyłam. Naprawdę. – Zostaw! – powtórzyłam z płaczem, wykręcając głowę to w prawo, to w lewo. – Zostaw mnie, Ryan, ja nie żartuję!

Rozluźnił uścisk na tyle, że znów zaczęłam się wrywać, może coś przy tym krzyczałam. Nie pamiętam dokładnie, co zaszło, i nie mam pojęcia, czy minęło kilka sekund, czy kilka minut. Pamiętam tylko, że gdy uniosłam wzrok, dostrzegłam w drzwiach sypialni podświetloną od tyłu sylwetkę

Trenera.

Nie wiem, co zobaczył i usłyszał, musiało jednak być dla niego jasne, że to, co się dzieje, dzieje się wbrew mojej woli.

– Co ty tu, do diabła, robisz?! – zawołał. – Puszczaj ją!

Ryan skoczył na równe nogi i ruszył do drzwi, ale Trener zaszedł mu drogę jak obrońca na boisku i położył rękę na jego ramieniu.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Ryan oświadczył mu dosadnie, że ma inne zdanie. Odepchnął Trenera i wybiegł do salonu. Usiadłam na łóżku. Trener rzucił na mnie okiem, jakby chciał się upewnić, że nic mi nie jest, po czym pognał za Ryanem. Siedziałam zmartwiała, słuchając jego krzyków.

– Co ty tu, do diabła, robisz?! Lepiej mi powiedz, bo jeśli nie, ona to zrobi!

Ryan odpowiedział coś, czego nie zrozumiałam, dotarło do mnie tylko słowo „oszustka”.

– Shea Rigsby nie jest oszustką. To ty jesteś oszustem, Ryane. Gdybym tylko mógł, cofnąłbym czas i podczas tamtego Cotton Bowl posadził cię na ławce rezerwowych.

Ryan powiedział coś, co brzmiało jak „w to nie wątpię”, a po chwili doszły mnie odgłosy bójk i huk przewracanych mebli. Zerwałam się z łóżka, a gdy wpadłam do salonu, zobaczyłam Trenera, który siedział na Ryanie okrakiem i okładał go pięściami wśród rozrzuconych magazynów, które sfrunęły z przewróconego stolika. Uderzył go trzy, może cztery razy, aż Ryan powiedział:

– Wygląda na to, że ty też z nią sypiasz.

Trener wymierzył mu jeszcze jeden cios, na dokładkę.

Ryan nie odpowiedział pięścią. Roześmiał się tylko, tak samo jak w sypialni. Krew spływała mu po twarzy.

– Wie pan co, Trenerze? Tak właśnie zawsze myślałem. – Usiadł, dysząc ciężko. – Jest pan hipokrytą. Widzi pan to, co chce zobaczyć, i tylko wtedy, kiedy ma pan na to ochotę. To szalenie wygodne, prawda?

– Zbłąźniłeś się – warknął Trener, pochylając się, by złapać oddech. – Jesteś błaznem.

– Może i tak – odparł Ryan, wstając i ruszając do drzwi. – Może i tak.

Ale co to mówi o panu? Co, *Trenerze*?

Potem spojrział na mnie przez ramię, pokręcił głową i wyszedł.

Rozdział 34

– Nic ci nie jest? – zapytał Trener, kiedy podniosłam stolik i oboje usiedliśmy na sofie. Nadal był odrobinę zdyszany i potargany, a jego pognieciona, wyciągnięta ze spodni koszula była poplamiona krwią.

– Nic. Wszystko w porządku – powiedziałam, zapatrzona w przestrzeń przed sobą, z dłońmi wciśniętymi pod uda. Do ciemnego salonu wpadało światło z korytarza, a przez plastikowe żaluzje w oknie sączyła się pomarańczowa poświata ulicznej latarni. – A z panem?

– Też w porządku – odparł. – To była moja pierwsza bójka od trzydziestu pięciu lat. O ile można to tak nazwać...

– Myślę, że spokojnie można – stwierdziłam. Zmusiłam się do tego, by na niego spojrzeć. Na jego twarzy malował się szok, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

– Ani razu mi nie oddał...

Trener wydawał się mówić do siebie, podzieliłam się z nim jednak swoją teorią:

– Może się pana bał?

Trener prychnął.

– Nie sądzę. Zawodnik NFL w pełni sił? I stary trener?

– Nie jest pan stary – zaprotestowałam odruchowo.

– Ale tak się teraz czuję – mruknął pod nosem, patrząc na własne kłykcie i rozcięty środkowy palec.

Minęło kilka długich sekund, zanim znowu się odezwał:

– Cóż. Zasłużył sobie na to.

Choć brzmiało to jak zwykle stwierdzenie faktu, wiedziałam, że w rzeczywistości zadał mi pytanie. Szukał potwierdzenia, że nie przesadziłam. Że postąpiłam, jak należało.

– Racja. Zasłużył sobie – powiedziałam z nadzieją, że to mu wystarczy.

– Co się właściwie stało? – zapytał. – Jak do tego doszło? Powiesz mi?

– Powiem. Ale najpierw zrobię herbatę... Napije się pan?

– Nie, dziękuję.

Wstałam i poszłam do kuchni, przez cały czas czując na sobie jego wzrok. Napełniłam czajnik wodą, włączyłam gaz, sięgnęłam po kubek, torebkę z herbatą i dużą łyżkę, bo mniejsze tkwiły w zmywarce, którą zapomniałam uruchomić. Wcale nie miałam ochoty na herbatę. Chciałam jednak zyskać na czasie, żeby nie przeżywać na nowo tego, co wydarzyło się w barze, nie mówiąc już o scenie w sypialni. Wiedziałam jednak, że Trener poczuje się lepiej, kiedy pozna prawdę. Zasługiwał na to. Wyłączyłam więc palnik, wróciłam na sofę i tym razem usiadłam bliżej, choć wciąż dzieliło nas pół szerokości poduszki.

– Zmieniłam zdanie – oznajmiłam, zerkając na niego z ukosa.

– W jakiej sprawie?

– Herbaty.

A potem wszystko mu opowiedziałam, bez cenzury, cofając się w czasie aż do rozmowy z Blakeslee. Kiedy skończyłam, wyciągnął do mnie rękę. Nasze dłonie spotkały się w pół drogi i nasze małe palce lekko się zetknęły.

– Dziękuję. – Uświadomiłam sobie, że wcześniej tego nie powiedziałam.

– Nie dziękuj. Zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy mężczyzna. Neil, Miller. Każdy.

– Może. Ale pan nie jest Neilem ani Millerem. *Trenował* go pan. – Powoli zaczynało do mnie docierać jeszcze coś ważnego. Miałam mniejszy kłopot z przyjęciem do wiadomości prawdziwej natury Ryana niż tego, co właśnie zaszło pomiędzy dwiema legendami futbolu w Walker.

Trener nakrył dłonią moją dłoń.

– To było dawno temu.

– Mimo to przykro mi, że postawiłam pana w takiej sytuacji. – Wciąż nie mogłam uwierzyć, że trzymamy się za ręce. Jakby przeżycia

dzisiejszego wieczoru przytępiły moje reakcje, spowodowały efekt spowolnienia taśmy.

– Nie zrobiłaś nic złego – powiedział Trener. – Poza tym o jakiej sytuacji mówisz? Cholera. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wkroczyłem w odpowiednim momencie.

– Jestem pewna, że nie stałoby się nic strasznego – powiedziałam, myśląc, że to wszystko jest jak paragraf dwudziesty drugi. Nie chciałam, by żałował, że uderzył Ryana, ale nie chciałam również wyolbrzymiać tego, co się wydarzyło. Ryan był łobuzem o gwałtownym usposobieniu, ale nie był zbrodniarzem. Na pewno nie wyrządziłby mi poważnej krzywdy. A może jednak? Czemu wciąż nie chciałam uwierzyć, że jest *aż tak zły*, choć dostałam dziś na to namacalny dowód?

– Nie potrafię znieść myśli, że mogłoby ci się przydarzyć coś choć *odrobinę* złego – powiedział Trener, ściskając moją dłoń.

Odwzajemniłam uścisk. Chociaż wybuch Ryana doprowadził nas do tej chwili, w której nasze palce splatały się ze sobą w ciemnym pokoju, miałam też niepokojące poczucie, że coś zostało zaprzepaszczone. Romantyczna iskra zgasła. Zupełnie tak, jakby ciosy, wymierzone Ryanowi przez Trenera, cofnęły nas do punktu, który tak bardzo chciałam przekroczyć.

Puściłam jego rękę i spojrzałam na niego. Siedział bokiem, jedno zgięte kolano dotykało tyłu sofy, druga noga dyndała nad podłogą.

– Trenerze, doceniam to, co pan dla mnie zrobił. Bardzo. Ale nie chcę być kolejną osobą w pana życiu, którą będzie się pan musiał opiekować. Którą będzie pan musiał chronić.

Odwrócił się do mnie, dotknął mojego policzka i zapytał:

– Czemu nie?

Nie miałam pojęcia, jak mu to wyjaśnić. Żałowałam, że nie zaparzyłam herbaty – miałabym przynajmniej co zrobić z rękami.

– Bo... – zaczęłam. – Bo nie chcę być jak... pana córka.

– W niczym nie przypominasz Lucy.

– Wie pan, o czym mówię. Nie chcę, żeby patrzył pan na mnie jak na córkę. – Starannie dobierałam słowa. – Albo kogoś w rodzaju wychowanki. Albo jak na dziennikarkę piszącą o pańskiej drużynie. Albo starą przyjaciółkę domu. W ogóle nie chcę być pańską przyjaciółką...

– Nie chcesz być moją przyjaciółką? – Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. Trudno było stwierdzić, czy jest zakłopotany, udaje głupiego, czy po prostu prosi mnie, bym mówiła bez ogródek.

– To znaczy chcę być pańską przyjaciółką. Oczywiście bardzo chcę. Ale być może... – Spojrzałam mu w oczy, powtarzając sobie w duchu, że nie wolno mi stracić śmiałości. Niemal słyszałam jego głos, pokrzykujący na zawodników, że mają „wziąć się w garść”. – Być może pragnę czegoś więcej.

– Być może?

Serce mi załomotało, oddech palił w gardle.

– Na pewno. Na pewno chcę czegoś więcej. I mówię to panu teraz nie dlatego, że mnie pan obronił...

Patrzył na mnie uważnie, raz po raz lekko kiwając głową, jakby dokładnie rozumiał każde słowo. Ośmieliło mnie to, jeszcze zanim powiedział:

– Proszę cię. Mów dalej.

– Mówię to panu tu i teraz, bo... Bo muszę. Nie wytrzymam już ani chwili dłużej. Nieważne, co pan o tym myśli, musi pan wiedzieć, że czuję do pana coś więcej.

Odetchnęłam, tak głęboko, że zabrzmiało to jak szloch, a on skinął głową łagodnie na znak, że mam mówić dalej.

– I może to jest niewłaściwe. Ze względu na panią Carr... I na to, że jest pan za stary...

– Zaraz, zaraz – zaprotestował z lekkim uśmiechem.

– Za stary *dla mnie*. Nie: za stary w ogóle – uściśliłam. – Choć co to są dwadzieścia trzy lata w skali całego życia? Niewiele... Ale niezależnie od różnicy wieku być może nie powinnam tak się czuć, bo przyjaźnię się z pańską córką. A Lucy, powiedzmy to sobie jasno, przeraziłaby się, gdyby usłyszała tę rozmowę.

– Wiem – mruknął Trener pod nosem.

– Ale nigdy w życiu nie miałam takiej pewności co do swoich uczuć. Jestem ich pewna bardziej niż czegokolwiek innego. No i musiałam panu o nich w końcu powiedzieć.

Było to najodważniejsze wyznanie, jaki uczyniłam w całym swoim

życiu, i prawdopodobnie najgłupsze, zwłaszcza biorąc pod uwagę, przez co właśnie oboje przeszliśmy. Mimo to sprawiło mi ogromną ulgę. Kamień z serca.

– To tyle – podsumowałam. – To wszystko, co miałam panu do powiedzenia.

Wyglądał na poruszonego, ale nie miał nieszczęśliwej miny.

– Trenerze? Powie pan coś?

Potrząsnął bezradnie głową, ale przysunął się bliżej i położył dłoń na moim ramieniu.

– Chyba powinnaś zacząć mówić do mnie Clive – szepnął.

A potem przyciągnął mnie do siebie i przytulił mocno. Jego oddech łaskotał mnie w ucho i doprowadzał do drżenia.

– Dobrze, Clive. – Westchnęłam, wdychając jego zapach.

– To szaleństwo – powiedział.

– Takie samo jak spuszczenie łomotu zdobywcy Trofeum Heismana? – mruknęłam.

– Może nie takie samo – odparł – ale podobne.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Mnie też nie.

– Pocałuj mnie.

– Chcę cię pocałować. I pocałuję. Ale nie dzisiaj.

– Czemu nie?

– Bo dzisiaj wydarzyło się już wystarczająco dużo.

Cofnęłam się lekko. Skoro nie zamierzał mnie pocałować, chciałam przynajmniej spojrzeć mu w oczy.

– Chodzi ci o pobicie Teksasu czy Ryana?

Uśmiechnął się i ujął moją twarz w obie dłonie.

– O jedno i drugie – szepnął. Przeskoczył między nami elektryczny impuls, znacznie intensywniejszy niż jakikolwiek pocałunek, którego w życiu doświadczyłam. – Ale musisz wiedzieć, że... odwzajemniam twoje uczucia.

– Naprawdę? – spytałam.

Pokiwał głową.

– Od kiedy wiesz? – zapytałam. – Kiedy się zorientowałaś?

– No i proszę bardzo. Pani reporterka.

Uśmiechnęłam się.

– Powiedz.

– Och, sam nie wiem. Poczuję coś już wtedy, nad jeziorem, kiedy graliśmy w Trivial Pursuit. I potem, kiedy po raz pierwszy zadałaś mi pytanie na konferencji prasowej. Byłaś taka urocza i zdenerwowana.

– Nie podobało ci się tamto pytanie.

– Udawałem. A tego wieczoru, kiedy poszliśmy razem na bieżnię...

Skinęłam głową, czekając na ciąg dalszy.

– Wtedy też coś przeczuwałem. I wtedy, gdy przywiozłaś mi jedzenie. – Gwizdnął i pokręcił głową. – Za każdym razem coś czułem. Coś mi się zrobiło w środku... Ale jeśli chodzi o pewność, nabrałem jej dopiero dzisiaj.

– W którym momencie? – zapytałam, myśląc, że to robi różnicę. Czy to się stało wtedy, gdy ruszył mi na ratunek? Czy dopiero teraz, gdy zapadła cisza i ciemność?

– Po meczu – powiedział. – Po konferencji. Kiedy wszystko ucichło i wreszcie zostałem sam, we własnym domu. Usiadłem w fotelu, wziąłem telefon i zobaczyłem dziesiątki wiadomości i nieodebranych połączeń. Uświadomiłem sobie wtedy, że jest tylko jedna osoba, do której mam ochotę zadzwonić. Tylko jedna osoba, którą chcę zobaczyć.

Uśmiechnęłam się nieśmiało, zastanawiając się, co się właściwie dzieje. To było nierealne – i tak cudowne jak sto zwycięskich sezonów futbolowych.

Trener też się uśmiechnął.

– Boże, Sheo, jaka ty jesteś piękna.

Przypomniałam sobie o oddychaniu, a potem stwierdziłam, że tak – to się wreszcie stało.

Rozdział 35

Następnego dnia leżałam w łóżku do południa. W tym czasie Ryan dzwonił pięć razy. Wielokrotnie zmieniał ton nawet w ciągu jednej wiadomości. Zaczynał smutny i skruszony, potem wpadał w gniew, uspokajał się, przedstawiając mi racjonalne argumenty, po chwili zaczynał się nad sobą rozczulać, po czym wracała skrucha. Jedyłą stałą w tym wszystkim był zimny dreszcz, który przebiegał mi po plecach, ilekroć słyszałam jego głos, nawet kiedy mówił, jak bardzo mu na mnie zależy. Brzmiał przekonująco, szczerze, jakby naprawdę żałował, ja jednak za każdym razem miałam to samo przejmujące do szpiku kości przecucie, że powiedziałby wszystko, byle tylko osiągnąć swój cel.

Ze swojej kryjówki pod kołdrą kasowałam każde nagranie, każdego błagalnego esemesa, każde lukrowane kłamstwo. Wydawało mi się, że to całkiem niezły początek, ale kiedy w łazience obejrzałam fioletowe odciski palców, które zostawił na moim ramieniu, owładnęło mną przekonanie, że muszę zrobić coś więcej, niż tylko biernie kasować wiadomości. Choć nie chciałam go widzieć, wiedziałam, że muszę spojrzeć mu w oczy, oddać diamentowe kolczyki i zażądać, żeby nigdy więcej nie próbował nawiązać ze mną kontaktu. Nienawidziłam palić za sobą mostów, tym razem jednak nie miałam wyjścia.

W głębi ducha zastanawiałam się, czy byłabym równie stanowcza, gdyby nie było przy mnie Trenera. Co by się stało, gdyby nie pojawił się wczoraj w moim mieszkaniu i nie wyznał mi swoich uczuć? Czy kasowałabym dziś wiadomości od Ryana? A może powoli zaczęłabym

kapitulować, tłumaczyć sobie jego postępek i w końcu dałabym mu drugą, a potem trzecią szansę? Może uznałabym, że wszyscy popełniamy błędy i każdy zasługuje na przebaczenie? Może namaszczałabym się właśnie na jego zbawczynię, wmawiając sobie, że dokonam tego, czego nie udało się dokonać Blakeslee?

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Sięgnęłam po niego rozwścieczona, po czym skonstatowałam z ulgą, że to Lucy. Nie byłam gotowa na rozmowę z nią, ale odebrałam, bo zasługiwała na to, by wiedzieć, co jest grane.

– Cześć, kochana – powiedziała takim ciepłym i serdecznym głosem, że nagle całkowicie zmieniłam zdanie i zapragnęłam zwierzyć jej się ze wszystkiego. Prawie ze wszystkiego.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– W samochodzie z Neilem i Caroline. A ty?

– W łóżku.

– Sama?

– Tak, *oczywiście*, że sama... Możesz do mnie przyjechać? – zapytałam w obawie, że jeśli będę się ociągać, stracę śmiałość.

– Jasne – odparła. – Tylko odwozę ich do domu. Wszystko w porządku?

– Tak. Ale muszę z kimś pogadać.

– Zaraz u ciebie będę.

Rozłączyłam się i wzięłam głęboki oddech. Po chwili zadzwoniłam do Trenera, który odebrał po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry – powiedziałam i na krótkie mgnienie obleciał mnie strach, że wyolbrzymałam sobie w głowie najlepsze części wczorajszego wieczoru.

Ale wtedy on powiedział:

– Rzeczywiście dobry. – Natychmiast poczułam się lepiej.

– Pasma zwycięstw – rzuciłam.

– Owszem. Ale do całkowitego szczęścia potrzebne nam jeszcze jedno – odparł, a ja zrozumiałam, że skończył już świętować i rozpoczął przygotowania.

– Byłeś na mszy? – zapytałam.

– Nie. Zaspałem. Chyba mi się śniłaś... A mnie się nigdy nic nie śni.
W każdym razie nigdy nic nie pamiętam.

– Co się zdarzyło w twoim śnie?

– Siedzieliśmy u ciebie na sofie... Trzymałem cię za rękę...
Rozmawialiśmy.

Po raz pierwszy dzisiaj się uśmiechnęłam.

– Całowaliśmy się?

Parsknął śmiechem.

– Prawie. Byliśmy bardzo blisko.

Zwinęłam się w kłębek pod kocem i słuchałam trzeszczącej ciszy. Po chwili Trener odkaszlnął i zapytał o Ryana.

– Owszem, dzwonił. Ale z nim nie rozmawiałam. Zostawił kilka wiadomości.

– Co ma na swoje usprawiedliwienie?

– To, czego się można było spodziewać. Żałuje... Zapewnia, że to się nie powtórzy – zawahałam się, po czym dodałam: – Twierdzi też, że grubo przesadziłeś.

– Ha. I ma rację. Niech się cieszy, że jestem taki stary.

– Nie jesteś stary – zaprotestowałam stanowczo. Wiedziałam, że przed nami wiele przeszkód, nie miałam jednak zamiaru pozwolić, by wiek stał się jedną z nich.

– Jestem o wiele starszy od Ryana. I od ciebie.

– Nic mnie to nie obchodzi – oznajmiłam. – Ciebie też nie powinno.

– Tak naprawdę o to nie dbam – przyznał. – Ale musimy pogadać... Są pewne długoterminowe kwestie...

Miałam przeczucie, że chodzi mu o dzieci i sprawy związane z macierzyństwem, którymi ja nie zaprzętałam sobie głowy, postanowiłam jednak na razie dać temu spokój. Odniosłam się za to do bardziej palącego problemu i powiedziałam mu, że Lucy właśnie jedzie do mojego mieszkania.

– Tak? – rzucił, zaskoczony.

– Tak. Chcę jej opowiedzieć o wczorajszym wieczorze. To znaczy...
O Ryaniu i tym wszystkim... Ale nie wspomnę, że tutaj byłeś.

Trener długo milczał. Zaczęłam podejrzewać, że coś przerwało

połączenie.

– Jesteś tam? – zapytałam. Ogarnął mnie wstyd na myśl o tym, że właśnie się zastanawiam, jak okłamać przyjaciółkę.

– Jestem. Słyszałam, co mówiłaś... Myślę, że to dobry pomysł.

– A ja i tak mam wyrzuty sumienia. Wolałabym tego przed nią nie ukrywać, ale...

– Nie miej wyrzutów. Po prostu teraz jest nieodpowiedni moment, żeby jej o nas mówić.

Poczułam nagły wybuch emocji, ekscytacji i nadziei. Dreszcz spowodowany tym, że jesteśmy „my”.

– Dobrze – zgodziłam się. – Ale w końcu jej powiemy. Niedługo.

– Oczywiście – obiecał Trener. – Kiedy tylko nadejdzie właściwy czas.

*

Kilka minut później Lucy stanęła w progu mojego mieszkania w eleganckiej kiece w stylu Jackie O.

– Co się dzieje? – zapytała, rozsiewając wokół lekką, lawendową woń. Powiesiła trenecz na barowym stołku i dwoma kopnięciami pozbyła się szpilek. Paznokcie u stóp miała świeżo pomalowane na piękny liliowy kolor, który pasował do perfum.

– Skończyłam z Ryanem – powiedziałam. Było to dramatyczne oświadczenie wypowiedziane beznamiętnym tonem.

Lucy zmartwiała i spojrzała na mnie współczująco.

– Skończyłaś?

– Tak. Skończyłam. Na zawsze. – Przecięłam dłonią powietrze.

Przytuliła mnie, ale nic nie powiedziała, a ja odczytałam jej milczenie jako nadzieję, że może jeszcze nie wszystko stracone.

– On potrzebuje pomocy – powiedziała Lucy.

– Owszem – odparłam, choć wiedziałam, do czego zmierza.

– Myślisz, że nie ma sposobu, żebyś mu wybaczyła? Spróbowała jakoś się z nim dogadać?

– Nie – odparłam, i choć ogarnął mnie irracjonalny wstyd, podwinęłam

rękawy bluzki, i pokazałam jej siniaki, najpierw na jednym, potem na drugim ramieniu.

Lucy skrzywiła się, potem przyjrzała im się bliżej, muskając palcami moją skórę.

– O Boże, Sheo. Tak mi przykro. – Potrzęsnęła głową. – To nie do wiary.

– Wiem – powiedziałam, opuszczając rękawy. Pomyślałam o tych kobietach na całym świecie, które muszą polegać na długich rękawach, golfach, szalach i ciężkim makijażu. A także o tych, które nie są w stanie tak łatwo ukryć dowodów: muszą brać wolne w pracy, okłamywać swoje rodziny, pozorować wypadki, śmiać się ze swojej niezdarności, byle tylko ukryć prawdę.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziałam, gdy usiadłyśmy już na sofie, ona tam, gdzie zeszłej nocy siedziałam ja, ja zaś tam, gdzie Trener.

– Chryste. – Oczy Lucy zrobiły się wielkie jak spodki. – Jest bardzo źle? Pokiwałam głową.

– Tak. Ryan później tu przyjechał. Po moim wyjściu z baru. Wszedł, kiedy byłam pod prysznicem. Twierdzi, że zapomniałam zamknąć drzwi.

– Cholera jasna. I co?

Spojrzałam jej w oczy i opowiedziałam o wszystkim, bez owijania w bawełnę. O tym, jak próbował mnie pocałować, jak przygwoździł mnie do łóżka i jak bardzo mnie przestraszył. Ominąwszy scenę akcji ratunkowej, skwitowałam:

– W końcu wyszedł. Miałam szczęście. Mogło się skończyć jeszcze gorzej.

Lucy potrzęsnęła głową.

– Boże, a ja naprawdę myślałam, że to dobry facet. Naprawdę, *naprawdę*.

– Och, sama nie wiem, Luce. Pod pewnymi względami jest dobry – powiedziałam, myśląc, że nie ma co demonizować Ryana Jamesa. Nasz związek tak czy inaczej dobiegł końca. Dobiegł końca, ponieważ kochałam kogoś innego. – Potrafi być naprawdę miły. Dla przyjaciół. Dla swojej matki. Dla mnie. Jest szczodry... Wspiera działalność charytatywną. Zostawia sute napiwki... – mówiłam. Ta lista zalet, choć prawdziwa, bledła w świetle tego, co się wydarzyło. A więc Ryan potrafi wręczyć

parkingowemu dwudziestaka? Co z tego?

– Masz rację – przyznała Lucy. Posmutniała. – Naprawdę potrafi być miły... I przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu przyjemnie się z nim przebywa.

Choć liczba była wzięta z sufitu i znacząco zawyżona, powstrzymałam się przed stwierdzeniem, że przesadziłaby, mówiąc nawet o jednym procencie. Zresztą po raz kolejny – to nie miało znaczenia.

– Myślisz, że winna jest kultura przemocy w NFL? Tata mówi, że trzech na czterech zawodników NFL nosi broń.

– W Teksasie pewnie nawet czterech na czterech – powiedziałam. – Owszem, futbol to brutalny, zwierzęcy, dziki sport. I jedna wielka pochwała przemocy. Pozostaje mi tylko wierzyć, że większość tych chłopaków nie wyżywa się w domu na swoich partnerkach. Chociaż może to robią. Nie wiem. Szczerze mówiąc, cała ta psychologia średnio mnie w tej chwili interesuje...

– Ale czy sądzisz, że można mu pomóc... Że może się zmienić? – przerwała mi Lucy.

Wzruszyłam ramionami.

– Blakeslee jest innego zdania, a ona prawdopodobnie zna go najlepiej ze wszystkich.

– Ale ty jesteś inna niż Blakeslee. Jeśli ktoś może mu pomóc, to właśnie ty.

Walcząc z ostrym ukłuciem gniewu, powiedziałam:

– Może Ryan jest w stanie się zmienić. Ale ja bym na to nie liczyła.

– Nie kochasz go na tyle, żeby mu pomóc? – zapytała Lucy i choć wiedziałam, że mnie nie ocenia, denerwowało mnie to, że uparcie koncentruje się na potrzebach Ryana, nie kryjąc, że nadal postrzega go jako najlepsze, co mi się w życiu przytrafiło.

– Po pierwsze, nie. Nie Kocham go na tyle, by z pomocy mu uczynić swoją misję – rzekłam stanowczo. – Po drugie, uważam, że to bardzo niebezpieczna gra. Oczywiście, mogłoby się udać. Ale gdyby się nie udało? Nie chcę dramatyzować, nie sądzę zresztą, żeby mógł się do tego posunąć, ale teoretycznie rzecz biorąc, w ten sposób zginęło wiele kobiet.

– Masz rację – przyznała Lucy. – Przepraszam. Nie bądź na mnie zła.

Wzruszyłam ramionami, nadal zirytowana.

– Przepraszam – powtórzyła.

– W porządku, Luce – odparłam i nagle zapragnęłam wyznać jej wszystko, całą prawdę o uczuciach do jej ojca. Opanowałam się jednak i dodałam: – Wszystko sprowadza się do tego, że go nie kocham.

– Z powodu tego, co się stało? – Przygryzła wargę. – Z powodu tego, co zrobił?

– Nie wiem, czy to takie ważne, ale nie. Nie kocham go tak po prostu. Wcześniej też go nie kochałam. Zależało mi na nim – mówiłam, wciąż używając czasu przeszłego. – I chciałam go pokochać. Może kiedyś by mi się udało. Ale nie znalazłam w sobie tych uczuć. Podobało mi się, że jest tym, kim jest. To było ekscytujące. I on wydawał mi się ekscytujący. – Uśmiechnęłam się z trudem. – Zbyt ekscytujący.

Lucy skinęła głową. Wiedziałam, że właśnie zgasła w niej ostatnia iskierka nadziei.

– No i co teraz?

– Cóż... Muszę mu zwrócić kolczyki. I powiedzieć, żeby przestał do mnie dzwonić. Musi się pogodzić z tym, że wszystko skończone. Chcę go wyrzucić ze swojego życia.

– Boisz się?

– Nie. Ale nie chciałabym być sama. Może ty i Neil ze mną pojedziecie? – poprosiłam. Nie chciałam bardziej wplątywać w to Trenera.

– Jasne – odparła. – Oczywiście. Jeśli tylko tego chcesz. Pamiętaj, że jestem z tobą.

– Wiem, Luce. Dzięki. – Pomyślałam, że Trener powiedział prawie dokładnie to samo. Nic dziwnego, w końcu byli rodziną.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, aż wreszcie poprosiłam:

– Wiem, że nie muszę ci przypominać, ale nie mów o tym nikomu...

Poza Neilem.

Lucy skinęła głową z poważną miną.

– Oczywiście, że nie powiem. Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Wiem... Najgorsze by było, gdyby sprawa dotarła do mediów. – Wyobraziłam sobie te okropne nagłówki i sposób, w jaki przedstawiłby całą sprawę. Nie jako historię człowieka, który ma problem, ale jako

mroczne i brzydkie oblicze futbolu w Walker.

Rozdział 36

Dwa dni i ponad dwadzieścia wiadomości od Ryana później Lucy, Neil i ja spotkaliśmy się w Mi Cocina w Dallas, gotowi do wypełnienia mojego planu. Napisałam do Ryana z prośbą, by zjawił się w restauracji po treningu, który – według rozpiski na ścianie boksu Gordona w redakcji – kończył się o szóstej. Ryan przystał na to z wdzięcznością – najwyraźniej zdawało mu się, że jego błagania zostały wysłuchane.

Nie podejrzewał, że przyjdę z obstawą. Wiedziałam, że ryzykuję, przyprawiając ze sobą Lucy i Neila, i bałam się, że Ryan wspomni im o udziale Trenera w naszej ostatniej kłótni, jednak oboje z Trenerem uznaliśmy, że moje bezpieczeństwo jest najważniejsze.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Lucy, kiedy weszliśmy do restauracji. – Wyglądasz blado.

– Trochę się denerwuję – przyznałam i sięgnęłam do torebki, by pogłodzić aksamitne puzderko z kolczykami, może na szczęście, a może po to, by dodać sobie sił.

– Masz ochotę na mambo taxi czy jeszcze za wcześnie na świętowanie? – Chodziło jej oczywiście o słynną schłodzoną margaritę z dodatkiem sangrii.

– A niech tam. Czemu nie? Żegnaj, Ryan – zażartowałam, kiwając małym palcem.

Neil i Lucy roześmiali się, choć właściwie nie było z czego. Tymczasem kelnerka zebrała zamówienia.

– Jak przygotowania do świąt? – zagaiła Lucy, gdy kelnerka przyniosła

nam drinki, guacamole i chipsy. Wyraźnie starała się zająć mnie banalną pogawędką, choć nie spuszczała przy tym oka z drzwi wejściowych.

Odpowiedziałam, że w ogóle nie jestem gotowa, a ona poinformowała mnie, że właściwie zakupy ma już za sobą – większość zrobiła przez internet, pijąc poranną kawę.

– Naprawdę wdałaś się w matkę.

Lucy uśmiechnęła się od ucha do ucha. Był to jej ulubiony komplement.

– Ale tak serio: jakim cudem tak świetnie dajesz sobie ze wszystkim radę, mając na głowie dziecko i własną firmę?

Skromnie wzruszyła ramionami. Powiedziałam jej więc, że sama jeszcze nawet nie zaczęłam myśleć o prezentach. Przypomniałam sobie o gadżetach związanych z Kowbojami, które Ryan przekazał mi z myślą o obdarowaniu mojej rodziny. Pomyślałam, że powinnam je oddać do Community Partners, organizacji zajmującej się dziećmi ofiarami przemocy.

– Cieszysz się na wyjazd do Pasadeny? – zapytał Neil.

To właśnie w tym mieście miał się rozegrać mecz o mistrzostwo. Pytanie to zabrzmiało odrobinę drętwo i zdałam sobie sprawę, że jako jedyny mężczyzna w tym towarzystwie Neil ma przed sobą trudne zadanie, zwłaszcza że dotychczas raczej podziwiał Ryana. Zresztą jak my wszyscy.

– Bardzo – odparłam bez przekonania.

– Zaraz. Myślałam, że będą wybierać drużyny dopiero w najbliższą sobotę – wtrąciła się Lucy.

Uśmiechnęłam się, dumna, że moja przyjaciółka orientuje się w zasadach, i wyjaśniłam, że w tym roku to zaledwie formalność. W całym kraju pozostały tylko dwie niepokonane drużyny i my byliśmy jedną z nich. Zatem mamy zagwarantowane miejsce w finale, który rozegramy z Alabamą.

– Szkoda, że mama tego nie widzi – powiedziała Lucy, oblizując brzeg kieliszka. – Tak by się cieszyła...

Neil objął żonę.

– To wszystko się dzieje dzięki niej, kochanie – zapewnił.

– Też tak myślisz, Sheo?

– Owszem – odparłam, muskając palcem zimne szkło, po czym upiłam łyk swojego drinka. – Nasi chłopcy grają tak dobrze, bo kochają Trenera. Da się to wyczuć w każdym zwycięstwie. A Trener pracuje dla niej. Więc... Tak. Connie ma z naszym sukcesem wiele wspólnego.

Lucy przełknęła ślinę, nagle przygaszona.

– Już prawie siódma – powiedziała. – Czy mamy jeszcze coś do ustalenia?

– Nie. To będzie krótka rozmowa.

– Lepiej się do niej przygotuj – odezwał się Neil. – On właśnie wszedł.

Wstrzymałam oddech, ale nie spojrzałam na drzwi. Zbierałam siły, patrząc na Lucy, a tymczasem Ryan stanął nad nami w luźnych džinsach, swetrze i gładkiej granatowej czapce z opuszczonym daszkiem, chroniącym jego oczy przed ciekawskimi spojrzeniami. Ja jednak je widziałam i dostrzegłam w nich rozczarowanie tym, że nie jesteśmy sami.

– Cześć – powiedział niskim głosem.

Lucy i jak odpowiedziałyśmy cicho, a Neil wstał, ścisnął mu dłoń i powiedział:

– Cześć, Ryan. Co u ciebie, stary?

– W porządku. Dzięki – odparł Ryan, ponury i wyraźnie zawstydzony. A może tylko udawał skruczę?

Przypomniałam sobie w duchu, że cokolwiek powie lub zrobi, dla mnie nie będzie to już miało znaczenia. Podjęłam decyzję.

Tak jak to było zaplanowane, Lucy wstała, szturchnęła Neila i oświadczyła, że zaczekają przy barze. Gdy tylko się oddalili, Ryan zapytał:

– Mogę się przysiąść?

– Proszę – wskazałam mu wolne miejsce.

Ryan usiadł naprzeciwko i natychmiast sięgnął po moje spocone dłonie. Cofnęłam je i wytarłam w džinsy.

– Sheo – powiedział, wzdychając. – Przepraszam cię, kochanie. Tak mi przykro.

– Nie mów tak do mnie. Nie jestem twoim kochaniem.

– Proszę. Błagam, wybacz mi.

– Dobrze – rzuciłam niedbale. – Wybaczam ci.

Źle zinterpretowawszy moje słowa, Ryan natychmiast się rozpogodził.

– Dzięki, kochanie. To się już nigdy, przenigdy nie powtórzy. To nie byłem ja... Następnym razem oboje odczekamy chwilę... Ochłonimy... I nie pozwolimy, żeby głupie nieporozumienie przerodziło się w coś takiego.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, Ryan. Nie będzie następnego razu. – Wyjęłam z torebki aksamitne pudełeczko i podałam mu je przez stół. – Proszę.

Przez chwilę patrzył na nie bez słowa, a potem zapytał:

– Czy to twoje kolczyki?

– Już nie moje. Zwracam ci je.

Ponieważ nie chciał wziąć ode mnie pudełka, położyłam je na blacie, między jego przedramionami.

Odepchnął je.

– Przestań. To był prezent.

– Nie mogę ich zatrzymać.

– Czemu?

– Dobrze wiesz.

– Bo raz się zdenerwowałam?

W głowie kłębiły mi się odpowiedzi. Od początku wiedziałam, że nie będzie łatwo, ale nie spodziewałam się po nim aż takiego uporu. Najwyraźniej to przećwiczył.

– Nie mam ochoty o tym dyskutować, Ryan. – Popchnęłam pudełeczko w jego stronę, jakby to była partia szachów. – Z nami koniec. Nie chcę tych kolczyków.

– Nie – pokręcił głową.

– Nie? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Jak to nie?

– Nawet jeśli postanowisz nigdy więcej się ze mną nie spotkać, kolczyki są twoje.

Westchnęłam głęboko.

– Dobrze – powiedziałam i schowałam pudełeczko do torebki. Napotkałam wzrok Lucy, która zaniepokojona zerknęła na nas przez ramię. – Ale chcę, żebyś wiedział, że je sprzedam, a pieniądze oddam potrzebującym. Jest taka świetna organizacja, która pomaga ofiarom

przemocy domowej. – Podkreśliłam słowo „przemocy” i zmierzyłam go bezlitosnym spojrzeniem.

Otworzył usta. Najwyraźniej go zatkało.

– Posłuchaj – mówiłam dalej, korzystając z jego milczenia. – Niech to będzie jasne. Myślę, *wiem*, że masz problem. Nie mam pojęcia, czy to ma związek z twoim ojcem... Czy z przemocą, która jest nieodłączną częścią uprawianej przez ciebie dyscypliny sportu... Czy może powód tkwi w psychice... Tak czy inaczej, masz problem i to nie ulega wątpliwości.

Popatrzył na mnie, a potem wprawił mnie w osłupienie, lekko kiwając głową.

– Uważam, że potrzebujesz pomocy – ciągnęłam. – Sądzę, że zgodziłyby się ze mną wszystkie twoje byłe. No i martwię się o twoje przyszłe dziewczyny.

– Nie interesuje mnie nikt oprócz ciebie – powiedział Ryan. W tym momencie wróciła kelnerka. Jej mina wskazywała, że jest zachwycona tym, kto usiadł przy jednym z jej stolików.

Ryan uniósł rękę i oznajmił, że nie zamierza niczego zamawiać. Uśmiech kelnerki zbladł. Skinęła głową i spojrzała na mnie.

– Nie zostaniemy na kolację – poinformowałam ją, czując na sobie jego wzrok. – Poproszę o rachunek.

– Właściwie – rzucił Ryan, przeglądając kartę – chętnie napiję się wody gazowanej i... poproszę do tego tacos al carbon. Mięso średnio wypieczone.

Przewróciłam oczami na tę próbę wzięcia mnie jako zakładniczki za pomocą kilku tacosów z wołowiną.

– Czyli... Yyy... Wciąż chce pani rachunek? – zapytała speszona kelnerka, która prawdopodobnie czuła, że zanosi się na kłótnię.

Pomyślałam, że właśnie w taki sposób ląduje się w plotkarskich telewizjach.

– Tak – odparłam mu na złość. – Dziękuję.

Gdy kelnerka odeszła, Ryan powtórzył:

– Nie chcę nikogo oprócz ciebie.

– Szybko ci przejdzie. Masz mnóstwo możliwości. Lepszych możliwości – dodałam z naciskiem.

– Daj spokój, Sheo. To nieprawda i dobrze o tym wiesz. Między nami jest coś wyjątkowego. Naprawdę chcesz z tego zrezygnować?

– Ja? – zdziwiłam się. – To twoja robota.

– Wiem. I zrobię, co w mojej mocy, żeby naprawić to, co zepsułem.

– Jestem pewna, że nie mówisz tego po raz pierwszy.

– Mylisz się.

Pomyślałam o obietnicy, którą złożyłam Blakeslee i wzruszyłam ramionami. Nie chciałam łamać słowa.

– Trener Carr to pieprzony hipokryta – powiedział Ryan i spochmurniał.

– Nieprawda – zaprotestowałam, choć nie bardzo rozumiałam, czemu o nim wspomniał.

– Co ci naopowiadał? Bo przysięgam, że nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Wtedy, u ciebie... To był wypadek. Nieporozumienie... Nie chciałem cię skrzywdzić ani przestraszyć. Musisz w to uwierzyć. Kocham cię, malutka.

– Nie mów tak. – Nagle pojęłam, skąd się wzięło powiedzenie, że komuś mrówki przebiegają po plecach.

– Ja ciebie naprawdę kocham. – Ryan odkaszlnął i nachylił się tak blisko, jak pozwalał dzielący nas blat stołu. Zaczął mówić pełnym emocji, poważnym tonem: – Przepraszam cię, Sheo. Za to, do czego doprowadziłem. Biorę na siebie całą odpowiedzialność i zrobię wszystko, żeby naprawić to, co zniszczyłem. Widzę w twoich oczach, że mi nie ufasz, ale wierzę, że kochasz mnie jeszcze choć odrobinę. Jeśli tak, to możemy na tym fundamencie odbudować to, co było między nami. Wiem, że możemy. Tak bardzo cię kocham. Daj mi tylko jedną szansę, a ci to udowodnię... Błagam.

Nie odpowiedziałam. Byłam wściekła na siebie za to, że mi go żal. Chciałam się pozbyć wszelkich uczuć do niego, ponieważ wierzyłam, że jedyną drogą do prawdziwej wolności jest obojętność.

– Musisz jednak zrozumieć, jak głęboko utkwilo mi to w głowie – ciągnął Ryan. – Ta cała sprawa z tobą i Millerem...

Otworzyłam usta, ale powstrzymał mnie gestem dłoni.

– Nie mam zamiaru zrzucać swojej winy na Millera. I wiem, że jeśli

o niego chodzi, nie mam się o co martwić. Ale kiedy obiecałaś, że do mnie zadzwonisz, a potem się nie odezwałaś... I to w noc przed ważnym meczem... Tak bardzo za tobą tęskniłem... A potem ta katastrofa na boisku... I reakcja mojego ojca... Pozwoliłem, żeby to wszystko zamąciło mi w głowie. Później jeszcze zjawiał się Miller z twoją kartą kredytową. Zrozum, jak to wyglądało z mojej perspektywy... Po prostu puściły mi nerwy. Tak mi przykro. Ale musisz uwierzyć, że nie chciałem cię skrzywdzić. Spójrz mi w oczy i powiedz, że wierzysz.

Kiedy popatrzyłam na to z jego punktu widzenia, przez chwilę zaczęłam kwestionować własną wersję wydarzeń. Na szczęście udało mi się opanować i obrzuciłam go twardym spojrzeniem.

– Jeśli jest się z kimś w związku, nie można tak wybuchać, Ryan. Zwłaszcza jeśli tak się to kończy. – Rozejrzałam się po restauracji, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym pokazałam mu paskudny żółty siniak na prawym ramieniu.

Spojrzał na mnie zrozpaczony.

– Kochanie. Tak mi przykro.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Nie uważam, że jesteś złym człowiekiem. Myślę, że masz problem. Duży problem... I wybaczam ci to, co zrobiłeś. Ale nie czuję się dobrze w tym związku. I nie chcę dłużej w nim tkwić. A ty musisz się z tym pogodzić. Niezależnie od tego, co powiesz albo obiecasz, nic się w tej kwestii nie zmieni.

Patrzył na mnie, podpierając ręką brodę, i przez chwilę myślałam, że w końcu do niego dotarło. Ale potem pokręcił głową.

– Nie pogodzę się z tym.

– Musisz.

Westchnął i zamrugął szybko, jakby miał się rozplakać. Potem spojrzał w sufit i mrugał dalej, aż jego oczy zrobiły się szkliste i zaczerwienione. Powtarzałam sobie w duchu, że nie wolno mi ustąpić. To było żałosne – widzieć kogoś tak silnego na skraju załamania.

– Przykro mi, Ryan. Mnie też na tobie zależy. Zawsze będziesz mnie obchodził. I chcę ci pomóc, chcę to zrobić *dla ciebie*. Ale ten związek nie ma przyszłości. W pewnym sensie nigdy nie miał – powiedziałam, choć czułam się nie w porządku, dając mu do zrozumienia, że to wyłącznie jego

wina. – Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek do siebie pasowaliśmy...
Naprawdę mi przykro.

Skinął głową i spuścił wzrok.

– Zachowasz przynajmniej kolczyki? Proszę cię.

Popatrzyłam mu w oczy.

– Dobrze. Skoro tak ci na tym zależy...

– Zależy mi. Naprawdę.

– W porządku.

– I obiecasz, że ich nie sprzedasz? Ani nie oddasz? Obiecuj.

– Dobrze – powtórzyłam. – Zachowam je. Nadal uważam, że są piękne.

Skinął głową.

– Szkoda, że o mnie nie masz tak dobrego zdania... Ale przynajmniej
będziesz po mnie miała miłą pamiątkę.

Uśmiechnęłam się lekko i to było szczere.

– Ja naprawdę jestem dobrym człowiekiem, Sheo.

W tamtej chwili wierzyłam, że to prawda – że jest dobrym człowiekiem
albo że przynajmniej *pragnie* nim być.

– Powinieneś iść do specjalisty. Pójdiesz?

Pokiwał głową.

– Pójdę, kochanie.

Tym razem nie zaprotestowałam na dźwięk tego słowa. Wstałam,
położyłam na stole dwadzieścia dolarów i pożegnałam się.

– Do widzenia, Sheo – powiedział Ryan. Wyglądał jak człowiek
pogodzony z losem.

Rozdział 37

Tego samego wieczoru postanowiłam odwiedzić Trenera w pracy. Z ulgą stwierdziłam, że parking przed wydziałem sportu świeci pustkami. Kiedy czerwoną kartą otwierałam drzwi do skrzydła futbolowego, rozejrzałam się nerwowo, myśląc o tym, jak długo jeszcze będę musiała się skradać i kłamać. Wcale mi się to nie podobało i choć wiedziałam, że na razie to konieczne, powoli zaczynałam sobie wyobrażać inną rzeczywistość.

– Jesteś. – Trener się ucieszył, kiedy weszłam. Rozpromienił się, chwycił mnie za rękę i wciągnął do środka, lekkim kopniakiem zamykając za mną drzwi.

Uśmiechnęłam się. Przez kilka sekund staliśmy i patrzyliśmy na siebie, aż wreszcie objął mnie i przytulił. Przyłgnęłam do niego, najpierw z wahaniem, a po chwili mocniej. Przyszło mi do głowy, że jeśli wkrótce nie wykona jakiegoś ruchu, zrobię to pierwsza. Czułam, że *muszę* go pocałować.

Odsunął się akurat na tyle, by obrzucić mnie baczny, pełnym skupienia wzrokiem. W ten sam sposób przypatrywał się zawodnikom, ilekroć mecz szedł po jego myśli. Czasem wołał przy tym „Tak!” lub „Jest!”, klaskał w dłonie i triumfalnym gestem wyrzucał w górę pięść. Oczywiście dziś zachowywał się inaczej, wiedziałam jednak, co mu w duszy gra, ponieważ znałam go na wylot, wszystkie jego gesty, nastroje i uśmiechy.

Ujął w dłonie moją twarz i przysunął się bardzo blisko. Oszołomiona, przyglądałam się jego zarostowi, półprzymkniętym powiekom i pięknemu

kształtowi górnej wargi. Przesunął dłonie i splótł palce na mojej potylicy, muskając kciukami skórę za moimi uszami. Zupełnie tak, jakby mną mimowolnie sterował, rozchyliłam usta i zamknęłam oczy, oddychając płytko i szybko. Odczekałam jeszcze kilka nieznośnych sekund, obezwładniona potężnym pragnieniem pocałunku. Nie doczekawszy się, położyłam dłonie na jego karku i jęknęłam cichutko, bo nie miałam siły mówić. W końcu jego usta otarły się o moje, najpierw lekko, a po chwili łapczywiej. Jakbym patrzyła w jasne światło, które nie razi w oczy. Ogarnęły mnie ciepło i spokój, a potem wyłączyłam umysł. Zapomniałam, gdzie jesteśmy, i skupiłam się na pocałunku i na moim partnerze. Smakowałam go, czułam jego dotyk, przesuwając dłońmi po krótko ostrzyżonych włosach, po mięśniach na karku i plecach, napiętych pod materiałem sportowej koszulki. Wdychałam zapach jego skóry i wody po goleniu, pomieszany ze słonawą wonią potu. W jego oddechu słychać było podniecenie, będące lustrzanym odbiciem mojego.

Całowaliśmy się długo, a gdy skończyliśmy, jego palce wciąż były wplątane w moje włosy, a nasze twarze znajdowały się tak blisko siebie, że jego rysy wydawały mi się rozmyte.

– A niech to – sapnął.

– Prawda? – szepnęłam, patrząc mu w oczy.

– To było szaleństwo – stwierdził. – Prawdziwe szaleństwo.

Parsknęłam śmiechem. To było bardzo w jego stylu, by określić w ten sposób nasz pierwszy pocałunek. Ale doskonale wiedziałam, o co mu chodzi. Po chwili i on się roześmiał, a potem wziął mnie za rękę i zaprowadził do skórzanej sofy, na której siadywałam wiele razy przez te wszystkie lata. Ale nigdy w taki sposób. Nigdy z nogami zarzuconymi na jego nogi i obejmując go za szyję. Nigdy nie czułam się tak spokojna i zadowolona i nigdy nie byłam tak blisko niego. Rozejrzałam się po gabinecie, omiatając wzrokiem wycinki z gazet, zdjęcia i pamiątkowe tabliczki, zupełnie jakbym widziała je po raz pierwszy. Wszystko wydawało się inne, lepsze. Mój wzrok spoczął na oprawionym w ramkę cytacie, zawieszonym na ścianie za nami, który brzmiał: „Dobry trener sprawia, że jego zawodnicy widzą nie to, kim są, ale to, kim mogą się stać”.

Ta sentencja wydała mi się niezwykle trafna i pomyślałam o tym, jak

bardzo Trener wpłynął na mnie przez te kilka miesięcy, jak sprawił, że porzuciłam wygodny kokon Walker, zaczęłam nową pracę, zakończyłam jeden związek, potem następny. A teraz znaleźliśmy się tu, pozornie w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy. Tylko że my nie byliśmy tacy sami. Wszystko się zmieniło.

– Jestem z ciebie dumny, mała – powiedział i pocałował mnie w czubek głowy.

– Jak to? – zapytałam, zastanawiając się, czy potrafi czytać w moich myślach.

– Poradziłaś sobie – mruknął prosto w moje włosy. – Byłaś silna.

Wiedziałam, że mówi o Ryaniu.

– Bez ciebie nie miałabym tyle siły.

– Nieprawda. To, że tu jesteśmy, to twoja zasługa.

Uśmiechnęłam się, ale potem pomyślałam o tych wszystkich złych rzeczach – takich jak wybuch Ryana czy śmierć Connie – które wydarzyły się po drodze. Odsunęłam od siebie przykre wspomnienia i powiedziałam:

– Pomogłeś mi. Zawsze mi pomagałeś. Nie masz pojęcia jak bardzo...

Dotknął mojego policzka i uśmiechnął się.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko, mała. Chyba o tym wiesz?

Owszem, wiedziałam. Oparłam głowę na jego ramieniu, starając się określić, co sprawiło, że nasz pierwszy pocałunek tak bardzo się różnił od wszystkich innych pierwszych pocałunków. Odpowiedź wydawała się oczywista – byłam zakochana. Być może po raz pierwszy, a może po prostu mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Ale było coś jeszcze, co czyniło ten moment wyjątkowym. Stanowiliśmy drużynę. Taką prawdziwą, której członkowie zawsze stoją za sobą murem. Nasz pierwszy pocałunek był wolny od wątpliwości i zastrzeżeń. Nie było zastanawiania się, co oznacza, co wydarzy się potem ani kto jest górą. Wyniknął z cudownego zrozumienia tego, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy. Oboje go pragnęliśmy. Wspólnie sprawiliśmy, że stał się możliwy, i wiedziałam, że żadne z nas nie weszłoby w tę trudną i potencjalnie kontrowersyjną sytuację, gdyby nie było *absolutnie przekonane*, że tego właśnie chce. Mimo to stała przed nami jeszcze jedna ważna przeszkoda, filigranowa i jasnowłosa.

– Musimy powiedzieć Lucy. – Te słowa wyrwały mi się nagle i zwały magiczny spokój. – Musimy jej powiedzieć, zanim sama się dowie. Nie mamy prawa trzymać tego przed nią w tajemnicy.

– Tak – zgodził się Trener. – Tylko kiedy? Niedługo wyjeżdżam.

Wiedziałam, że zostały mu tylko dwa tygodnie przed kolejnym martwym okresem, kiedy trenerom nie wolno się komunikować z rekrutami.

– Dokąd jedziesz? – zapytałam, pragnąc choć na chwilę odsunąć od siebie trudny temat.

– Do Chicago i Pittsburgha – odparł. – A konkretnie do Naperville i New Kensington. Dwa krótkie wypadki z wizytą do dwóch rozgrywających. Pojadę i wrócę. Potem muszę się jeszcze udać w parę miejsc w Teksasie.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– W piątek do Chicago. Do Pittsburgha w przyszłym tygodniu. Pojadę i wrócę... Czemu pytasz? Chcesz pojechać ze mną?

Uśmiechnęłam się.

– Chciałabym, ale... – Nagle przypominałam sobie, że Lucy zaprosiła mnie na ubieranie choinki, i spytałam go, czy też tam będzie.

– Tak. Czemu? Chyba nie uważasz, że to dobry moment?

– Nie. Będzie miała aż nadto emocji. – Wiedziałam, jak bardzo Lucy drżała na myśl o Bożym Narodzeniu spędzanym bez Connie. – Może lepiej pogadać z nią po świętach?

– I po meczu?

– Tak – odparłam z ulgą. – Może. A tymczasem musimy być bardzo ostrożni.

– Zgadza się. Lucy musi się dowiedzieć od nas.

– Od nas obojga – dodałam, myśląc, że nie byłoby w porządku, gdybym rzuciła to na niego, a ja na pewno nie poradziłabym sobie sama.

– Tak. Zrobimy to, kiedy nadejdzie właściwy czas – oznajmił Trener tonem, którym przemawiał do swoich graczy. – Weźmiemy się w garść i zrobimy to.

Rozdział 38

Dwa dni później siedziałam w salonie Lucy, starając się za wszelką cenę unikać wzroku Trenera. On również usiłował na mnie nie patrzeć. Nie widzieliśmy się od tamtego wieczoru w jego gabinecie, ale regularnie raz na kilka godzin rozmawialiśmy przez telefon. Zeszłej nocy zasnęłam nawet z komórką przyciśniętą do ucha.

– Och, ten jest piękny! To Błyskawiczny! – zawołała Lucy, pokazując nam szklanego renifera.

– Dziewczyno – powiedział Lawton, gdy przekazała mu ozdobę z poleceniem, by powiesił ją z przodu choinki. – Skąd niby wiesz, że to Błyskawiczny? Mnie wygląda raczej na Pyszałka.

– To na pewno nie Rudolf – zawyrokowała Caroline z miną mędrca. – Widzicie? Nie ma czerwonego nosa.

– Racja – zgodził się Lawton. Trener tymczasem biedził się, usiłując skleić pękniętą ozdobę z logo naszej drużyny. – Ale może to być każdy z nich poza Rudolfem. Skąd twoja mama wie, że to Błyskawiczny?

Zadawałam sobie to samo pytanie, zastanawiając się, co mi umknęło z lekcji reniferologii. Lucy uśmiechnęła się blado.

– Mama powiedziała mi, że to Błyskawiczny. Dawno temu.

– A skąd *ona* mogła to wiedzieć? – upierał się Lawton.

– Znała się na reniferach. – Lucy przewróciła oczami. – Zawieś go wreszcie. I jeszcze to. – Wręczyła mu miniaturowe drewniane wiosło z wymalowanym pejzażem jeziora LBJ i poleciła umieścić je z tyłu.

Jedną po drugiej Lucy wyciągała ozdoby z tekturowych przegródek

w dużych zielonych plastikowych pudłach i podawała je Caroline, Lawtonowi, Trenerowi i mnie, podczas gdy Neil, który wcześniej oplócił drzewko białymi lampkami, rozmieszczał na nim starannie czerwone i złote bombki. Lucy sprawiała wrażenie, jakby działała bez ustalonej koncepcji, znałam ją jednak i wiedziałam, że to nieprawda. Zauważyłam, że największe i najbardziej jaskrawe ozdoby przekazuje Caroline, żeby mała ich nie potłukła i żeby zawisły nisko, tam gdzie będą najmniej widoczne. Te z „chłopackimi” motywami (wędkarstwo, łódki, samoloty, pociągi i automobile, żołnierzyki, elfy oraz bałwanki i renifery o „męskim” wyglądzie) wręczała Lawtonowi. A wszystko, co związane z Walker i futbolem – czyli niemal co drugą ozdobę – zostawiała dla Trenera i dla mnie. Poza tym Trener był odpowiedzialny za mikołajów – tych zabawnych i tych stateczniejszych. Wszyscy poważnie podchodziliśmy do swoich zadań, z nadzieją, że nasze starania spotkają się z jej aprobatą. Na ogół była zadowolona, choć od czasu do czasu obrzucała choinkę krytycznym spojrzeniem, marszczyła brwi i wskazywała miejsce, gdzie zapanowała zbyt duża koncentracja jakiegoś motywu lub koloru. „Lawton, proszę cię, rozwieś te elfy dalej od siebie, strasznie się tam tłoczą” – mówiła, po czym przenosiła wzrok z powrotem na pudła, wyciągnięte z własnej piwnicy i ze strychu w domu rodziców. Trener zwierzył mi się wcześniej, że pozwoliła mu w tym roku zrezygnować z choinki – nie dlatego że były to jego pierwsze święta bez Connie, ale dlatego że był bardzo zajęty pracą.

– Słuchajcie, całkiem nieźle nam idzie! – zawołała w pewnym momencie.

Wszyscy zgodziliśmy się, że drzewko wygląda pięknie. Trudno było poznać, że jest sztuczne (z powodu alergii Neila na iglaki), choć oczywiście żadna prawdziwa choinka nie byłaby tak bujna ani tak idealnie symetryczna.

– Pamiętasz to? – zapytała Lawtona, pokazując mu delikatną cynową ozdóbkę w kształcie dziewczynki popychającej przed sobą wózek pełen zabawek. Ozdoba miała staroświecki charakter, być może dlatego, że malowana postać przypominała Shirley Temple z jej dużymi oczami, czerwonymi usteczkami i burzą gęstych loków.

– Tak – odparł Lawton. – Zawsze ją lubiłem... Tylko nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu anioł ciągnie ze sobą zabawki.

– To nie jest anioł – prychnęła Lucy z udawanym oburzeniem. – To po prostu dziewczynka. I jej wózek na zakupy.

– Jaka dziewczynka, do diabła ciężkiego – zaprotestował Lawton, zerkając na siostrę spod długiej grzywki, która błagała o wizytę u fryzjera. – Widzisz to tutaj? To się nazywa aureola.

– Naprawdę sądzisz, że słowa „diabeł” i „aureola” powinny się pojawiać w jednej wypowiedzi? – zażartowałam, ze wszystkich sił starając się przybrać swobodny, wesoły ton. Bałam się czymś zdradzić. Choć ani razu nie spojrzałam na Trenera, byłam świadoma każdego jego ruchu i ilekroć się do mnie zbliżał, czułam, jak przeskakuje między nami elektryczna iskra.

Lawton parsknął śmiechem.

– Do diabła z tym. Pewnie, że można.

Lucy przyglądała się z niedowierzaniem anielskiej dziewczynce.

– A niech mnie. Chyba masz rację! – zawołała w końcu ze śmiechem. – Jesteś pewien, że to nie diadem?

– To aureola, do cholery.

Caroline zakryła usta dłonią, zachwycona wspaniałą wiązką przekleństw. Lucy przymrużyła oczy.

– Cóż. Teraz jeszcze bardziej mi się podoba. Anielska zakupowiczka!

– Tak jak ty, Luce – zauważył Trener, mocując haczyk do głowy miniaturowego bałwanka. – Założę się, że w tym wózku znalazłabyś coś od „Czanel” albo „Labutena”.

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem, wiedzieliśmy bowiem, że celowo przekręca nazwy marek – a może wcale nie? Po chwili zwróciłam się do Lucy i spytałam, gdzie znalazła tę ozdobę. Wiedziałam, że ma wielką ochotę na wspominki i uważałam, że mam obowiązek dać jej ku temu jak najwięcej okazji.

– Mama kupiła ją w Austrii – powiedziała Lucy. – Kiedy była mała. Uwielbiała ją, prawda, tato?

– Prawda – przytaknął Trener, choć wszyscy wiedzieliśmy, że to Lucy najlepiej zna historie rodzinnych pamiątek i że ojciec prawdopodobnie

przyznał jej rację dla świętego spokoju.

Caroline ruszyła naprzód, ale Lucy ją powstrzymała, twierdząc, że ozdoba jest „bardzo delikatna i bardzo, bardzo cenna”, w związku z czym powiesi ją sama. Umieściła aniołka blisko czubka choinki, w blasku lampek. Popchnęła go lekko i patrzyła, jak się kołysze, po czym wróciła do swoich pudeł.

Czas płynął, Lucy powoli opróżniała pudła, oceniała naszą pracę i wspominała mamę. Nie sądziłam, że będzie w takim dobrym nastroju, szczególnie biorąc pod uwagę jej chandrę podczas Święta Dziękczynienia, ale teraz wydawała się naprawdę szczęśliwa. W jej oczach nie było ani śladu smutku, mimo że każdy widok, zapach i dźwięk niósł wspomnienia minionych świąt i przypominał, że czegoś, a raczej kogoś nam brakuje. W tle śpiewał Harry Connick Junior. Z kuchni dobiegał aromat cynamonowych ciasteczek, które były specjalnością pani Carr. Nawet pogoda się zmieniła i za oknami huczał wiatr, co zdaniem Lucy ogromnie spodobałoby się jej matce. Jej spokój tak mnie zaskoczył, że zaczęłam podejrzewać działanie małych białych tabletek albo przynajmniej dodatkowej kropli „czegoś mocniejszego” w świątecznym eggnogu¹². Swoją drogą być może jej żaloba osiągnęła punkt zwrotny. Może czas naprawdę leczy rany?

Jednak zaledwie kilka minut później przyszła mi do głowy inna teoria – że to tylko bardzo zręczne oszustwo. Usłyszałam, jak Lucy mówi do Caroline:

– Powiedz, kochanie, czy to nie jest magiczny wieczór?

Dziewczynka przytaknęła i sięgnęła po ciastka ułożone na białej paterze w kształcie płatka śniegu. Lucy natychmiast zaczęła gorączkowo robić zdjęcia, zbliżenia na profil córki, a w jej oczach załśnił smutek. *Oczywiście* nie czuła się lepiej. Nie w pierwsze Boże Narodzenie spędzane bez matki. Usiłowała przechytryć swoje dziecko, robić dobrą minę do złej gry w myśl zasady, której udzieliłaby jej matka: „Zawsze staraj się uszczęśliwić swoją rodzinę, niezależnie od własnego samopoczucia”. Jej

¹² Tradycyjny napój świąteczny w Stanach Zjednoczonych, koktajl z mleka, jajek i cukru przyprawiony korzeniami.

wesołość była równie sztuczna jak choinka, choć na swój sposób także równie piękna i kunsztowna. Podejrzewałam, że później, gdy zostaną z Neilem sami w sypialni, z jej oczu popłyną łzy, ale na razie pilnie wypełniała swój solenny obowiązek stworzenia pięknych wspomnień dla Caroline. Wprawiało mnie to w podziw i zastanawiałam się, czy na jej miejscu potrafiłabym być tak silna. Prawdopodobnie nie, ale wyobrażałam sobie, że macierzyństwo budzi w człowieku nieznane wcześniej siły.

W końcu w pudłach ukazały się dna, pozostały w nich już tylko zaniedbane, zwykłe, niedawno zakupione ozdoby, które Lucy nazywała w żartach *nouveau accoutrements*.

– Czas na gwiazdę. Neil, leć po drabinę. – Dwukrotnie klasnęła w dłonie, a Caroline zawołała:

– Tylko migiem!

– Ha. Słyszeliście to? „Tylko migiem”? Wykapana mamusia! – oznajmił Neil, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego. Wyraźnie podobała mu się ta zadziorność, która przeszła z matki na córkę, był dumny z apodyktycznego charakteru swoich pań. Posłusznie ruszył po drabinę, po czym ustawił ją tak blisko drzewka, jak tylko pozwalały gałęzie. Wspiął się na trzeci stopień i powiedział:

– Caroline! Czy zechcesz czynić ze mną honory?

Dziewczynka żywiłowo pokiwała głową i wgramoliła się na drabinę. Wyrwała ojcu gwiazdę i bez strachu sięgnęła na szczyt niemal trzymetrowego drzewka.

– Ostrożnie, ostrożnie! – zawołała Lucy.

Neil chwycił córkę w pól, uniósł ją lekko i pomógł umieścić gwiazdę we właściwym miejscu. Wszyscy jak na komendę rozplnęliśmy się w zachwytach, chwając akrobatyczną sprawność małej zdobywczyni choinkowych szczytów. Neil i Caroline zeszli z drabiny. Wtedy Lucy wstała, odchrząknęła i oznajmiła:

– A teraz... Caroline ma wam coś do powiedzenia. Caroline?

Skacząc, tańcząc i wirując po pokoju, Caroline wykrzyknęła coś o siostrze, po czym, rozchichotana i skołowana osunęła się na podłogę. Lawton i Trener patrzyli na nią osłupiali, ale ja natychmiast zrozumiałam, o co chodzi, i serce zatrzepotało mi radośnie. *Lucy była w ciąży!*

– Jeszcze raz, kochanie, tylko wolniej – poinstruowała córkę Lucy.

Caroline wstała i powtórzyła, tym razem wyraźniej:

– Będę starszą siostrą!

Trener i Lawton wreszcie zrozumieli i rzucili się do Lucy z głośnymi gratulacjami na ustach, podczas gdy ja stałam z tyłu i uśmiechałam się. Po raz pierwszy tego wieczoru odważyłam się przyjrzeć twarzy Trenera i z jego miny wyczytałam, że jest rozdarty pomiędzy szczęściem a smutkiem spowodowanym tym, że nie ma wśród nich Connie, z którą mogliby się podzielić wesołą nowiną. A może zastanawiał się po prostu, jak okazać córce swoją radość, dać jej to, czego potrzebuje, jak powiedzieć i zrobić to wszystko, co jego żonie przyszłoby bez wysiłku.

Wziął głęboki oddech, zebrał się w sobie i wystąpił naprzód, by uścisnąć dłoń Neila i poklepać go po plecach.

– Gratulacje, synu – powiedział z uśmiechem. Potem przytulił Lucy i usłyszałam, jak mówi: – Kochanie, to cudowna wiadomość. Naprawdę cudowna.

– Dzięki, tato – odparła, roześmiana i zarumieniona. – Bardzo się cieszymy.

Trener pocałował córkę w czoło, po czym ruszył za Caroline, która wciąż brykała po pokoju, i zapytał, czy wolałaby mieć braciszka, czy siostrzyczkę. Rzecz jasna, równie dobrze mógłby ją zapytać: „Czy chcesz, żebyśmy zdobyli mistrzostwo?”.

– Siostrzyczkę! – wrzasnęła Caroline, kierując swe życzenie w stronę brzucha Lucy. Potem pozwoliła, by dziadek złapał ją i unióś w powietrze.

– Znacie już płęć? – zapytał Lawton i naśladując ojca, ścisnął dłoń szwagra oraz przytulił siostrę.

– Nie. Jeszcze za wcześnie. Dopiero ósmy tydzień – odparła Lucy. – Ale chcieliśmy, żebyście dowiedzieli się już dzisiaj. Uznaliśmy, że to idealny moment. – Głos odrobinę jej się załamał, ale zachowała spokój i dziarską minę.

– A wy chcecie wiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka? Jak poprzednio, z tą tutaj panną? – zapytał Trener, ciągnąc Caroline za nos, po czym postawił ją na podłodze.

– Nie. Nie tym razem. Tylko mama będzie wiedziała – oznajmiła Lucy,

zerkając na gwiazdę, a potem na mnie. – Jak myślisz, Sheo? – spytała, jakby chciała pokazać wszystkim, że i ja jestem pełnoprawną członkinią rodziny.

Targana wyrzutami sumienia, ostrożnie dobierałam słowa. Inaczej niż pięć lat temu, kiedy dowiedziałam się o Caroline.

– Myślę, że to świetny plan. Będziecie mieli cudowną niespodziankę. – Czułam, jak łyzy podchodzą mi do gardła. – Tak się cieszę, Luce.

– Ja też – stwierdziła Lucy. – Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

Uśmiechnęłam się, po czym mimowolnie spojrzałam na Trenera, który stał tuż za jej plecami. Popatrzył na mnie, a jego wzrok mówił to samo, o czym właśnie myślałam: „Dzięki Bogu, że jej nie powiedzieliśmy”.

*

Powinłam była się wymknąć, póki panowała radosna atmosfera, tak jak zawsze radziła nam pani Carr. Zostałam jednak, nawet po wyjściu Lawtona, gdy Lucy i Neil poszli na górę położyć Caroline spać – nie byłam bowiem w stanie oprzeć się magnetycznemu wpływowi Trenera.

– Kolejne dziecko. Ale nowina! – powiedział, kiedy zostaliśmy sami i zabraliśmy się do sprzątania kuchni.

– Wiem. Tego się nie spodziewałam... Ani trochę – odparłam, choć nie byłam pewna, skąd się wzięło moje zdziwienie. Wiedziałam przecież, że Neil i Lucy od dawna chcieli mieć drugie dziecko.

– Ja też nie – przyznał Trener, opłukując blachę po ciastkach i wstawiając ją do zmywarki, podczas gdy ja wycierałam blat.

– Myślisz, że to będzie chłopiec? – zapytałam.

– Tak myślę – odparł i zerknął na mnie przez ramię. – Co jest bardzo dziwne, ponieważ nigdy nie miewam takich przeczuc... Bardzo chciałbym mieć wnuka. Ale druga dziewczynka też byłaby cudowna. Caroline cieszyłaby się z małej siostrzyczki.

Skinęłam głową i zapatrzyłam się w jego plecy, rozważając przy tym samolubnie, co to wszystko oznacza dla nas. Czy będzie nam w związku z tym łatwiej, czy trudniej? Nie dało się tego przewidzieć, ponieważ pojawienie się dziecka zwykle poprawia, a jednocześnie pogarsza sytuację.

Lucy będzie miała zajęcie, ale będzie nią targała huśtawka hormonalna, podsycająca poczucie rozpaczony po stracie matki. I nic, nawet rodzinne święta, nie uświadomi jej tej straty mocniej niż noworodek.

Z góry dobiegały odgłosy wieczornych przekomarzań. Wiedziałam, że Neilowi i Lucy zajmie jeszcze co najmniej pół godziny, zanim uda im się ułożyć córkę do snu. Trener najwyraźniej również uznał, że jesteśmy bezpieczni, bo przygryzł wargę i zrobił kilka kroków w moją stronę.

– Muszę cię pocałować – szepnął, zerkając na przedpokój.

Zadrżałam, po czym odparłam szeptem:

– Wróćmy do salonu. Tam będzie bezpieczniej.

Skinął głową i zaprowadził mnie na sofę. Usiedliśmy obok siebie, ale nie za blisko. Przez kilka minut gawędziliśmy o ciąży Lucy, a potem Trener spoważniał.

– Muszę porozmawiać z tobą o czymś ważnym – powiedział.

– Słucham – odparłam, zastanawiając się, czy ma to jakiś związek z dochodzeniem NCAA.

Trener potrząsnął głową.

– Nie teraz. Później.

Wyraz jego twarzy był niepokojący, a zmartwiłam się jeszcze bardziej, kiedy wziął mnie za rękę i rzucił:

– Nie przejmuj się. Wszystko się ułoży.

– Na pewno?

– Tak – zapewnił mnie. – Po prostu... musisz o czymś wiedzieć. To wszystko.

Nagle nabrałam pewności, że chodzi o Connie. Może chce mi wyznać, że wciąż czuje się zobowiązany do dochowania jej wierności? Że choć przełożył obrączkę na prawą rękę, nie będzie w stanie jej zdjąć? Że może się ze mną całować, a pewnego dnia może nawet kochać, ale nie jest gotowy na pełne zaangażowanie, ponieważ to ją zawsze będzie kochał najbardziej? W głowie kłębiły mi się dziesiątki innych możliwych wątków, a wszystkie wiązały się z panią Carr. W końcu Trener powiedział:

– Przestań się zamartwiać, kochanie.

Potem wziął mnie za rękę, podniósł ją do ust i czule ucałował. Poczułam, że się rozplątam, oczy zaszyły mi mgłą, w uszach huczało, aż

wszystko zamarło, po czym roztrzaskało się w drobny mak, gdy usłyszałam za nami głos Lucy.

– Cześć – powiedziała, a my podskoczyliśmy jak oparzeni i w tym samym momencie odwróciliśmy głowy.

– Cześć – odparłam, po czym uświadomiłam sobie nagle, że Trener wciąż trzyma mnie za rękę. Wyrwałam ją, zbyt późno i zbyt niezdarnie.

– Czemu pocałowałaś Shee? – Jej głos był tak słodki i niewinny, że przypominała mi Cindy Lou, małą przyjaciółkę złośliwego Grincha.

– Nie pocałowałam – bąknął Trener.

– Ależ owszem.

– Pocałowałam jej dłoń. Nie ją.

– W takim razie czemu pocałowałaś jej *dłoń*? – drażyła Lucy, a tymczasem obok pojawił się Neil. Odwróciła się do niego, założyła ramiona na piersi i oznajmiła: – Tata właśnie pocałował Shee.

Przez kilka sekund nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Wreszcie Lucy okrążyła sofę i usiadła w fotelu naprzeciwko nas, tyłem do choinki. Neil zajął miejsce na podłodze u jej stóp, całkowicie osłupiały. Czekałam. Czulałam, jak palą mnie policzki, a po całym ciele spływa zimny pot.

– Jest coś między wami? – zapytała w końcu Lucy. W jej głosie wciąż nie słychać było gniewu, ale zdumienie powoli ustępowało pola surowości.

Żadne z nas nie odpowiedziało, co przemówiło do niej wyraźniej niż jakiegokolwiek słowa.

– O. Mój. *Boże*. – Spojrzała z niedowierzaniem na mnie, potem na niego, i znów na mnie.

Ponieważ wciąż na mnie patrzyła, postanowiłam się odezwać.

– To nie... To nie tak – skłamałam. Wewnętrzny głos podpowiadał mi jednak, że nie chcę oszukiwać przyjaciółki i pogarszać i tak fatalnej sytuacji.

– Nie tak? A jak?

– Luce – odezwał się Trener. – Przecież się przyjaźnimy. Wiesz o tym.

– Nikt, z kim się przyjaźnię, nigdy mnie w ten sposób nie całował.

W ten sposób całuje mnie Neil.

Trener chrząknął.

– Pocałowałam ją w rękę.

– Ach tak... Więc jednak ją *pocałowałaś*? – przyłapała go Lucy.

Spojrzałam na niego, wdzięczna losowi, że to nie ja muszę odpowiadać na to pytanie. Błagałam go w duchu, by skłamał albo chociaż nie powiedział całej prawdy. Ale po raz kolejny cisza mówiła sama za siebie.

– O Boże, Neil – zwróciła się Lucy do męża. – Oni się *całowali*.

– Tylko raz – zapewniłam. – Przysięgam.

– Kiedy?

– Kilka dni temu – powiedział Trener.

– Gdzie?

– W moim gabinecie, w pracy.

Lucy spojrzała w sufit, a potem ukryła twarz w dłoniach i stłumionym głosem powiedziała:

– Nie mogę... Nie mam teraz na to siły... Nie mogę... – Opuściła rękę, spojrzała błagalnie na Neila i wymamrotała coś, czego nie zrozumiałam. Coś w stylu: „Dowiedz się, o co tu chodzi”.

Neil spojrzał na nas bezradnie i zaczął:

– A więc wy dwoje... Coś do siebie czujecie?

Cisza.

– Słuchajcie. Chyba będzie najlepiej, jeśli po prostu powiecie nam prawdę... My jakoś sobie poradzimy. Powiedzcie Lucy, jak jest.

Usłyszałam, że Trener zaczerpnął powietrza. Zrobiłam to samo, ale podczas gdy ja wstrzymałam oddech, on je wypuścił i powiedział:

– Tak. Shea jest dla mnie kimś więcej.

– Kimś więcej niż przyjaciółką? – upewnił się Neil, a ja pomyślałam, że nigdy nie wydawał się tak silny i opanowany. Nawet po śmierci teściowej, choć zachowywał się wtedy naprawdę wspaniale.

– Tak – potwierdził Trener. – Bardzo mi na niej zależy.

– A tobie na nim, Sheo? – zwrócił się do mnie Neil.

Potwierdziłam zduszonym szeptem.

– Słucham? – wtrąciła się Lucy.

– Tak – powtórzyłam, tym razem głośniej.

Neil skinął głową i zwrócił się do żony, jak gdyby pytał, co jeszcze chciałaby wiedzieć.

– Od kiedy?! – krzyknęła Lucy, równie czerwona jak ja. – Kiedy to się

zaczęło?!

– Nie wcześniej niż... – umilkłam.

– Nie wcześniej niż *co*? Nie wcześniej, niż zmarła moja mama? Dobry Boże, mam nadzieję! Bo jeśli było inaczej, to...

Na szczęście nie skończyła zdania, ale wyobrażałam sobie, co pomyślała: „Bo inaczej oboje wylądujecie w piekle”.

– Luce – szepnęłam. – To naprawdę świeża sprawa.

– Może mi jeszcze powiesz, że się tego nie spodziewałaś? – warknęła.

– Cóż... I tak, i nie... To przychodziło stopniowo... Te uczucia... Ale pocałunek... Po prostu się wydarzył... I masz rację, nie spodziewałam się go.

Czułam, że bełkoczę od rzeczy. Ze ściśniętym sercem czekałam na dalszy ciąg. Ale zamiast zadać kolejne pytanie, Lucy powiedziała:

– Wiecie co? Idę spać. Nie mam na to siły. Nic więcej nie chcę wiedzieć. Po prostu... Róbcie sobie, co chcecie, a mnie w to nie mieszajcie.

Wstała. Trener próbował ją zatrzymać. Złapał ją za rękę, ale go odtrąciła.

– Jestem zmęczona, tato. Dobranoc.

– Dobranoc, Lucy... Jeśli poczułaś się zraniona, to bardzo mi przykro...

– Jeśli? – Jej oczy wypełniły się łzami.

– Przepraszam, że sprawiliśmy ci przykrość.

Lucy wbiła w ojca chłodne, nieobecne spojrzenie.

– Nie masz powodu przepraszać – powiedziała. – Nie mów nic więcej. Mam nadzieję, że to jest tego warte...

– Lucy – przerwał jej Trener stanowczym, nawet odrobinę władczym tonem. – Zaczekaj.

Potrząsnęła głową i wyszła z salonu, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Rozdział 39

– To było okropne – powiedział Trener, kiedy zadzwonił do mnie zaledwie kilka minut po tym, jak oboje opuściliśmy dom Lucy.

W lekkim szoku ściszałam kierownicę, jadąc za jego samochodem.

– Ona mnie nienawidzi – mruknęłam bardziej do siebie niż do niego. Niewiele myśląc, minęłam swój zakręt i jechałam za Trenerem dalej, w stronę jego domu.

– Mnie też – powiedział, jakby to miało stanowić jakieś pocieszenie.

– Jesteś jej *ojcem*. Nie może cię nienawidzić – zaproponowałam, ale potem pomyślałam, że sama przez długie lata nienawidziłam swojego ojca. Pod pewnymi względami łatwo darzyć nienawiścią kogoś z rodziny, wyolbrzymiając jego potknięcia. Ale jeszcze łatwiej wyrzucić ze swojego życia najlepszą przyjaciółkę, z którą nie łączą więzy krwi.

– *Musi* nam wybaczyć – powiedział Trener. – Kiedyś to zrobi.

Byłam ciekawa, co rozumie przez „kiedyś” – kilka dni, tygodni czy lat? Myśl o tym, że Lucy może się na mnie gniewać latami albo i do końca życia, sprawiła, że zjechałam na pobocze.

Trener widocznie zerknął akurat we wsteczne lusterko, bo zapytał:

– Gdzie się podziałaś?

– Zatrzymałam się na chwilę – odparłam. Trzęsły mi się ręce. Przede mną rozbłyły tylne światła i Trener zaparkował nieopodal.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Co będzie, jeśli Lucy nigdy nam nie wybaczy? – Pomyślałam o tym, jak długo potrafi chować urazę, i o wszystkich ludziach, których wykreśliła

ze swojego życia za znacznie mniejsze przewinienia.

– Wybaczy. Oczywiście, że wybaczy.

– Skąd wiesz?

– Bo... jesteśmy dla niej dwójką najważniejszych ludzi na świecie po Caroline i Neilu.

– Nie – stwierdziłam, patrząc na jego samochód. – Jej matka jest dla niej o wiele ważniejsza niż my. O to właśnie chodzi.

– Ale... Connie już z nami nie ma. Gdyby była, to by się nie wydarzyło.

– Oczywiście, że nie – odrzekłam, oburzona samym pomysłem, że mogłoby dojść między nami choćby do najsztelniejszego flirtu, gdyby pani Carr wciąż żyła. Przypomniałam sobie tamten straszny okres, gdy była już bardzo chora. – Myślisz, że Lucy o tym wie?

– Tak. Wie, bo nas zna. Nikt tu nikogo nie zdradził. Nikt nie kłamał.

– My w pewnym sensie kłamaliśmy.

– Nie. Po prostu nie powiedzieliśmy jej od razu... To się wydarzyło i już... Żadne z nas tego nie planowało... Lucy jest zdenerwowana i potrzebuje czasu.

– Nigdy się z tym nie pogodzi – stwierdziłam.

– Będzie musiała.

– Wcale nie. – Zaczęłam się zastanawiać, co ja sobie właściwie myślałam. Jakim cudem wyobraziłam sobie, że to się może dobrze skończyć?

– Zrozumie – upierał się Trener. – Ruszajmy już. Jedź za mną.

Zawahałam się, ale po chwili dla własnej wygody uznałam, że to, gdzie teraz pojedę, naprawdę niczego nie zmieni.

*

Kilka minut później siedzieliśmy w jego kuchni i oboje spoglądaliśmy na telefony.

– Dzwoniła do ciebie? – zapytałam.

– Nie. A do ciebie?

Pokręciłam głową.

– Przykro mi – powiedział. – Nie powinienem był cię całować. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Pozwoliłam ci na to – odparłam. – Zapomniałam, gdzie jesteśmy. Przy tobie zapominam o wszystkim...

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Może lepiej, że to się już wydało. Właściwy moment, by to ogłosić, pewnie nigdy by nie nadszedł.

– Masz rację. Ale zepsuliśmy Lucy jej wielki dzień.

– Takiego dnia nie da się zepsuć.

– Wiesz, o co mi chodzi. Dzisiejszy wieczór był dla niej bardzo ważny. Wyjątkowy. A myśmy się zapomnieli...

– Wiem. Ale co się stało, to się nie odstanie. Już tego nie zmienimy. – Trener zawsze lubił się skupiać na tym, nad czym miał kontrolę.

– Musimy to naprawić.

– Czas jest najlepszym lekarstwem – powiedział. – Zaufaj mi. Lucy zrozumie.

Spojrzałam na niego. Rozpaczliwie pragnęłam, by miał rację, wiedziałam jednak, że jemu to czekanie przyjdzie znacznie łatwiej. Nie miał zwyczaju rozmawiać z Lucy trzy razy dziennie. Nie potrzebował jej tak jak ja. Naprawdę nie potrafiłam sobie wyobrazić, co zrobię, jeśli jej zabraknie. Westchnęłam i usiadłam przy kuchennym stole, podpierając dłonią podbródek. Trener usadowił się z drugiej strony. Wtedy przypomniałam sobie ostatnie słowa, które wypowiedział do mnie w salonie Lucy.

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać? – zapytałam.

Zamrugnął oczami. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jakby nie miał pojęcia, o co mi chodzi.

– Twierdziłeś, że musisz mi o czymś powiedzieć – przypomniałam mu. – Tuż przed tym, jak Lucy zeszła na dół.

– Ach, tak. Rzeczywiście.

– No więc?

Trener wyglądał na spiętego. Wziął głęboki oddech. Najwyraźniej wcale nie miał ochoty na tę rozmowę.

– Czy chodzi o panią Carr? – zapytałam z trudem. – Przecież wiem, jak

ci musi być ciężko. To znaczy rozumiem, że zawsze będziesz wobec niej lojalny... I uważam, że to słuszne – zakończyłam niezgrabnie, żałując, że w ogóle poruszyłam ten temat.

Trener potrząsnął głową.

– Nie. Nie chodzi o Connie. To znaczy... Ostatnio dużo o niej myślałam. Mam pewne wyrzuty sumienia, bo jestem szczęśliwy. Bo z radością myślę o przyszłości... Ale podobne uczucie mam w pracy. Ilekroć wygrywamy, myślę: „Jak śmiesz się cieszyć, kiedy jej tu nie ma?”. Potem zawsze nadchodzi opamiętanie i przypominam sobie, że mój smutek niczego nie zmieni.

Skinęłam głową. Rozumiałam, o czym mówi, a zarazem byłam świadoma, że unika odpowiedzi na moje pytanie.

– O co więc chodzi? – powtórzyłam.

Minęło kilka sekund. Trener odkaszlnął i wreszcie się odezwał:

– Chodzi o przeszłość. O coś, co się zdarzyło bardzo dawno temu.

Zamarłam. Myśli gorączkowo kłębiły mi się w głowie. Modliłam się, by mi nie wyznał, że za życia żony zdradził ją z inną kobietą. Czyżby miał romans z koleżanką z pracy? A może z przypadkową nieznajomą, którą poznał w jednej ze służbowych podróży? Albo – co byłoby najgorsze – z jakąś ponętą, energiczną studentką? Czy to był ktoś, kogo znałam, ktoś, z kim chodziłam do szkoły? Każda z tych ewentualności wydawała mi się nieznośna, ale postanowiłam twardo, że cokolwiek się okaże, nie zmieni to moich uczuć.

– Jak dawno?

– W czasach, kiedy ty i Ryan byliście w college’u. – Westchnął głęboko i zapytał: – Czy pamiętasz dziewczynę, z którą Ryan się wtedy spotykał? Przed była żoną? Tish Termini?

– Tak – odparłam, a myśli galopowały mi w głowie. To chyba niemożliwe, by Trener miał coś wspólnego z Tish Termini?

– Cóż... To był wieczór przed wyjazdem na Cotton Bowl. Pracowałam w gabinecie, kiedy do mnie przyszła.

Przygotowałam się na najgorsze.

– Twierdziła, że ma mi do powiedzenia coś ważnego. Była roztrzęsiona. Kazałam jej usiąść. Zaczęła opowiadać... O tym, jak zerwała z Ryanem

poprzedniego wieczoru i jak strasznie się przy tym pokłócili... Chyba oboje jesteście w stanie to sobie wyobrazić.

– Owszem – odparłam ze ściśniętym sercem.

– Potem powiedziała, że Ryan ją zaatakował. Spytałam, co ma na myśli, więc dokładnie mi to wyjaśniła. Popchnął ją... A potem... Potem zmusił ją do seksu.

– *Zgwałcił ją?* – Te słowa zostawiły mi w ustach gorzki smak.

– No cóż, nie określiła tego w ten sposób... Ale tak. Wysunęła taki zarzut. Twierdziła, że odbył z nią stosunek wbrew jej woli. Czyli masz rację. Zgwałcił ją.

Popatrzyłam na niego i zrobiło mi się słabo na wspomnienie tego, jak się czułam tamtej nocy, przewrócona na łóżko. Jak bardzo byłam przerażona, choć powtarzałam sobie, że to przecież tylko Ryan. Mój chłopak, który nigdy nie zrobiłby mi krzywdy. Ale nawet te okropne wspomnienia nie sprawiły, że było mi łatwiej pojąć to, o czym teraz mówił Trener.

– Co było dalej? – dopytywałam gorączkowo.

– Powiedziałem, że to bardzo poważne oskarżenie i mam nadzieję, że jest tego pewna.

– I?

– Była pewna.

– Co zrobiłeś?

– Spytałam, czemu nie poszła na policję. Powiedziała, że się bała, że była w szoku i że chciała najpierw porozmawiać ze mną. Zapytała, czy jej wierzę, a ja odpowiedziałem, że to nie ma znaczenia. Dodałem, że jeżeli została zgwałcona, powinna iść na policję. Przynajmniej na posterunek w kampusie.

– Uważałeś, że kłamie?

Trener przez kilka sekund patrzył na mnie bez słowa.

– Nie miała siniaków... Żadnych śladów walki...

– Czasami nie ma śladów – zauważyłam.

– Wiem – odparł natychmiast. – Ale znałem też reputację tej dziewczyny. Pozostali trenerzy od miesięcy powtarzali mi, że nic dobrego z tego nie będzie. Nic dobrego dla Ryana. Włóczyła się po klubach. Piła,

pała, źle się prowadziła... Słyszałem nawet, że stanęła przed komisją honorową za ściąganie na egzaminie... Nie była więc szczególnie godna zaufania... A Ryan... Cóż, Ryan to był Ryan. Złoty chłopak. Kandydat do Trofeum Heismana. Dobry student. Miał nieposzlakowaną opinię.

– Więc jej nie uwierzyłeś – podsumowałam.

– Nie – przyznał. – Nie uwierzyłem.

– I nie zareagowałeś? – Moje serce łomotało jak szalone.

– Sheo... Musisz mnie zrozumieć. Nie wiedziałem wtedy tego, co wiem teraz... A to, co wiedziałem, nie trzymało się kupy. Naprawdę byłem przekonany, że zmyśla, żeby się na nim zemścić za zerwanie. Myślałem, że chce, żeby na Cotton Bowl posadził go na ławce. Że chce wyrównać rachunki i skrzywdzić go najbardziej, jak można skrzywdzić zawodnika. Wiedziałem, że tego typu oskarżenie może mu zrujnować nie tylko karierę, ale całe życie. Nawet jeśli okaże się nieprawdziwe... A sądziłem, że takie właśnie jest. Nie wierzyłem w ani jedno słowo tej dziewczyny.

– Porozmawiałeś przynajmniej z Ryanem? Zapytałeś go o to?

– Tak. Oczywiście, że tak. Zaraz po tym, jak Tish wyszła z mojego gabinetu. Wezwałem go do siebie i zapytałem, co się wydarzyło. Opowiedział mi historię, która miała znacznie więcej sensu. Taką, którą... byłem w stanie pojąć.

– Co mówił? – zapytałam, wiedząc, jak przekonujący, wręcz przebiegły, potrafi być Ryan.

– Powiedział, że z nią zerwał, a ona była wściekła. Naprawdę wściekła... Powiedział, że go zaatakowała, a on się tylko bronił. O tak. – Trener zasłonił twarz ramionami. – Powiedział, że wypchnął ją ze swojego mieszkania, ale dopiero wtedy, gdy nie reagowała na prośby. Przysiągł, że jej nie skrzywdził... I to tyle.

Trener wyrzucił ramiona w górę i potrząsnął głową.

– To był klasyczny przypadek. Słowo przeciwko słowu. Nie uwierzyłem jej. Uważałem, że nie jest wiarygodna. On był. I właśnie dlatego to jemu uwierzyłem. Kilka dni później zapytałem ją ponownie.

– I?

– Spuściła z tonu. Zmieniła kilka szczegółów. Nadal utrzymywała, że był brutalny, ale przyznała, że seks „nie był do końca wymuszony”...

– „Nie do końca”?

– Właśnie. Był albo nie był. Prawda?

– Może się bała? Może czuła, że jej nie wierzysz?

– Albo zmyśliła tamtą część oskarżeń.

– Możliwe – przyznałam. – Czy na tym się skończyło?

Trener skinął głową, unikając mojego wzroku.

– Nie zrobiłeś nic więcej? – Serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Musisz pamiętać, że... Teraz reguły są jasne. Trener ma obowiązek zgłosić każdy tego rodzaju incydent do rektora, dziekana albo na policję. Albo we wszystkie trzy miejsca. Ale wtedy... Nie było jasnych zasad. A ja nigdy wcześniej nie zetknąłem się z taką sytuacją...

– Powiedziałaś Connie? – spytałam, choć nie byłam pewna, czemu ma to dla mnie znaczenie.

– Nie.

Patrzyłam na niego bez ruchu. Nie miałam pojęcia, o co jeszcze powinnam zapytać.

– Czy to... coś zmienia między nami? – odezwał się Trener cicho.

Miałam ochotę powiedzieć, że nie, bo nie chciałam, żeby zmieniało. Ale wtedy pomyślałam o Tish. Dla niej to, że Trener nie zareagował, zmieniło wszystko. Podobnie jak dla Ryana. Być może nawet dla Blakeslee. Cholera, to zmieniło bieg historii. Gdyby Trener uwierzył Tish, choćby na tyle, by zgłosić sprawę policji, zupełnie inaczej potoczyłaby się kariera Ryana. Nawet gdyby ostatecznie oczyszczono go z zarzutów, prawdopodobnie nie zdobyłby w następnym roku Trofeum Heismana i nie stałby się rozchwytywany. Również Walker by na tym ucierpiał. Bez Ryana na boisku nie wygralibyśmy Cotton Bowl, a bez tego zwycięstwa nie zdobylibyśmy nowych świetnych zawodników. Tegoroczny sezon wyglądałby całkiem inaczej, a ja i Trener być może nie siedzielibyśmy tu razem.

Wypowiedział moje imię. Wyglądał na o wiele bardziej nieszczęśliwego niż w salonie Lucy.

– Tak?

– Gdybym mógł cofnąć czas, zachowałbym się zupełnie inaczej. Naprawdę uważałem, że postępuję właściwie, ale teraz widzę, że

zawiodłem tę dziewczynę. – Umilkł na dłuższą chwilę, a potem odkaszlnął i mówił dalej: – Tamtego wieczoru, kiedy wszedłem do twojego mieszkania i zobaczyłam Ryana leżącego na tobie... Uderzyło mnie, jak bardzo... Nie wiem, czułem, jakbym bronił nie tylko ciebie, ale i jej.

Pokiwałam głową, a jednak nie potrafiłam się oprzeć poczuciu, że kilka ciosów wymierzonych Ryanowi w moim salonie nie naprawi przeszłości.

– Sheo, proszę, powiedz coś – powiedział. – O czym myślisz?

– Nie wiem. Muszę się zastanowić...

– Jesteś zła?

– Nie – odpowiedziałam, żałując, że to nie takie proste. Znacznie łatwiej byłoby mi przewyciężyć zwykły gniew niż tak wielkie rozczarowanie.

– W takim razie co? – dopytywał.

Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam znaleźć właściwych słów, by opisać zamęt, który panował w mojej głowie. Nagle zaczęłam kwestionować wszystko, w co wierzyłam. Śledztwo NCAA to jedno. Ale to była inna sprawa, której nie dało się zlekceważyć ani usprawiedliwić.

– Naprawdę mi przykro, mała – powiedział Trener.

– Wiem. – Pomyślałam o Lucy, a potem o Ryaniu i zaczęłam się zastanawiać, czy czasem przeprosiny nie przychodzą po prostu za późno.

– O czym myślisz?

– O tym, że powinnam pojechać do domu.

Gdy tylko to powiedziałam, zmieniłam zdanie i zaczęłam się modlić, żeby zaprotestował. Chciałam, żeby zaczął mówić i robić to wszystko, co czyniło go tak wspaniałym trenerem. Chciałam, żeby jak zawsze sprawił, że wszystko będzie dobrze.

Ale on tylko skinął głową i powiedział „okej”. Odprowadził mnie do drzwi i obdarzył platonicznym uściskiem, a potem równie platonicznym pocałunkiem w policzek. Zupełnie jakby sobie uświadomił, że coś się między nami zmieniło, i postanowił się potulnie podporządkować nowemu *status quo*.

– Jedziesz jutro do Chicago? – zapytałam z wymuszoną swobodą, pragnąc opóźnić moment rozstania. Udawałam, że wszystko jest normalnie, choć cały dzisiejszy wieczór stanął na głowie. I nawet ubieranie choinki w takt piosenek Harry’ego Connicka Juniora okazało się jedną

wielką farsą.

– Tak – odpowiedział Trener równie sztucznym tonem. – Zadzwońię do ciebie z trasy.

– Świetnie. – Skinęłam głową, a on otworzył przede mną drzwi. Wyszłam na ganek, wciąż się ociągając. Ćmy tańczyły wokół lamp i jedna zderzyła się z moim policzkiem. Trzepnęłam ją w miękkie skrzydełka, ale przez cały czas patrzyłam na Trenera, czekając na coś jeszcze.

Nie odezwał się, więc wypowiedziałam jego imię. Clive. W moim głosie brzmiała natarczywa, błagalna nuta.

– O co chodzi, Sheo? – zapytał cicho, wciąż przytrzymując drzwi.

Nie odpowiedziałam, a on wciągnął mnie z powrotem do ciemnego przedpokoju, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nami z impetem. Objął mnie, tym razem naprawdę.

– Nie idź – poprosił. – Jeszcze nie. Nie rozstawajmy się w ten sposób.

Przytuliłam się do niego mocno i spytałam:

– Czemu czuję się tak, jakbyśmy przegrali?

– Bo przegraliśmy – szepnął. – Przegraliśmy, bo mamy kiepskiego trenera, który nie potrafi nas poprowadzić. To moja wina. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Uwierzyłam, że mówi szczerze. Winiłam go za to, co się wydarzyło. Za to, że nie zgłosił tamtego incydentu. Że nie zareagował bardziej stanowczo. A jednak pozwoliłam mu się pocałować, najpierw delikatnie, a po chwili gwałtowniej. Jego zarost drapał moją skórę. Całowałam go, mocno, gorączkowo, wczepiając się paznokciami w jego tors i plecy, wsuwając dłoń za pasek jego dżinsów. Staralam się nie myśleć i skupić się wyłącznie na dotyku, na dźwięku jego głosu szepczącego moje imię. Przez kilka sekund to działało. Jego pocałunki wymazały z mojej głowy wszystkie myśli, aż usłyszałam własny głos, który mówił:

– Pragnę cię. Całego.

Dalej mnie całował, pieszcząc moje plecy i biodra, mój brzuch i moje piersi. Powtórzyłam prośbę, tym razem wyraźniej:

– Kochaj się ze mną.

– Dziś? – zapytał, muskając wargami moją szyję i tchnąc ciepłym oddechem prosto w ucho.

– Tak. Teraz – powiedziałam i pociągnęłam go w głąb mieszkania.

Po kilku krokach powstrzymał mnie.

– Sheo... Zaczekaj. Zwolnij.

– Nie. Chcę to zrobić teraz – powtórzyłam, zmierzając w stronę sypialni. Po chwili zmieniłam zdanie i zwróciłam się ku schodom wiodącym do pokoju gościnnego.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał, chwytając mnie za ramiona, tak bym się zatrzymała.

– To może być nasza jedyna okazja.

Spojrzał mi głęboko w oczy i pokiwał głową, jakby zrozumiał, o co mi chodzi. Każdy miłośnik sportu wie, że czasem ma się tylko jedną, niepowtarzalną szansę. Nie zawsze jest czas na to, by myśleć, czekać i planować. Bywa, że trzeba po prostu wykorzystać to, co się nadarzy. Najlepszy, ostatni i jedyny moment. To mogła być dla nas właśnie taka chwila – zakładając, że nie będę potrafiła dojść do ładu z tym, co zaszło wiele lat temu, albo że Lucy nie pogodzi się z tym, co się dzieje teraz. To, co nas połączyło, mogło się skończyć, nim się zdążyło rozwinąć.

Chyba wszystko rozumiał, a mimo to pokręcił głową.

– Czemu nie? – zapytałam, targana całym mnóstwem emocji. Rozczarowanie mieszało się z poczuciem zagubienia i towarzyszącymi mi nieustannie wyrzutami sumienia. – Chodzi o Lucy? – Zerknęłam w stronę drzwi do sypialni. – Czy o Connie?

– Nie. Chodzi o *ciebie*. O *nas*. Są sprawy, z którymi musimy sobie poradzić. Póki to nie nastąpi, powinniśmy się pilnować. Musimy być cierpliwi.

– A co będzie, jeśli sobie z nimi nie poradzimy?

– Poradzimy sobie.

– Skąd wiesz? – Szukałam odpowiedzi w jego oczach, otoczonych siatką zmarszczek. Był tak samo męski i pociągający jak zwykle, ale nagle do mnie dotarło, że wygląda na swój wiek. Po raz pierwszy pomyślałam, że jest dla mnie za stary.

– Nie wiem. Ale mam nadzieję.

– Masz nadzieję? – powtórzyłam. Przeraziła mnie zgryźliwa nuta we własnym głosie.

– Tak.

– A ja jestem wściekła. – Nareszcie dałam upust emocji, którą tak długo w sobie dławiałam.

– Na mnie?

– Tak – powiedziałam, choć wstrząsnęła mną myśl, że mogłabym się gniewać na Trenera Carra. – Powinieneś być pójść na policję. Albo przynajmniej pomóc jej to zgłosić.

– Wiem, że powinienem... Teraz to rozumiem... Ale, Sheo... Przysięgam ci, że nie wierzyłem, że ją zgwałcił. Nadal nie wierzę.

Spojrzałam na niego i pomyślałam, że to nie była właściwa odpowiedź. Poczułam świeży przypływ oburzenia, tym razem ze względu na Tish.

– Nie ty powinieneś być o tym decydować.

– Sądziłem inaczej – odparł. Nagle znów odmłodził. – Więc zdecydowałem.

– A co z samochodem Cedrica? – zapytałam, chodząc tam i z powrotem po przedpokoju.

– Co z nim?

– Wiesz, o czym mówię. Chodzi mi o samochód, na który nie było stać ani jego, ani nikogo z jego rodziny. – Ni stąd, ni zowąd przeobraziłam się w prawdziwą dziennikarkę śledczą.

– Czy to pytanie? – w głosie Trenera pobrzmiwała irytacja, jak w czasie konferencji prasowej. – Czy może oskarżenie?

– Naprawdę uważałeś, że to jest w porządku? Żeby dawać Cedricowi samochód? Tylko dlatego, że był biednym, ale dobrym dzieciakiem? Uważasz, że można sobie ot tak łamać zasady? Czy po prostu tak bardzo ci zależało, żeby grał dla Walker?

Trener otworzył usta, ale nie pozwoliłam mu dojść do głosu.

– A Reggie? Co ty *naprawdę* wiesz o tym dochodzeniu? Co ukrywasz? Chcę znać prawdę. Chcę wiedzieć, ile jesteś gotów zrobić dla zwycięstwa.

Jego błękitne oczy, przed chwilą smutne, teraz pociemniały z gniewu.

– Cóż. Nie dopuściłbym do tego, żeby zgwałcono dziewczynę albo skrzywdzono ją w jakikolwiek inny sposób, jeśli o to ci chodzi...

– Ale przymknąłbyś oko, prawda? – Nienawidziłam się za to, że zadaje mu te pytania, ale znienawidziłabym się jeszcze bardziej, gdybym ich nie

zadala.

– Posłuchaj. Gdybym wierzył, choćby na jeden albo i pół procent, że Ryan skrzywdził tę dziewczynę, poszedłbym na policję... I na pewno nie pozwoliłbym mu się z tobą umawiać. Pomyśl o tym.

– Myślę – odparłam, krzyżując ramiona.

– I? – zapytał podniesionym głosem.

Odetchnęłam głęboko, walcząc ze łzami, które napępniały mi oczy.

– Od czasów, gdy jako mała dziewczynka oglądałam tamtą konferencję prasową w sprawie SMU, uważałam, że jesteś inny. Miałam cię za dobrego człowieka. Innego niż pozostali trenerzy. Innego niż mój własny ojciec. Byłeś dla mnie jednym z niewielu, którzy *nigdy* nie oszukują. Jednym z niewielu, którzy nie uważają, że liczy się tylko zwycięstwo – powiedziałam, cytując jego bohatera Vince'a Lombardiego.

Trener potrząsnął głową.

– A teraz uważasz, że się myliłaś? I naprawdę ci się wydawało, że seks naprawi coś takiego?

– Po prostu mi to powiedz.

– Co chcesz wiedzieć?

– Chcę wiedzieć... czy zwycięstwo jest dla ciebie najważniejsze.

– A myślisz, że jest, Sheo? Właśnie tak myślisz?

– Czy postanowiłeś nie iść na policję ze względu na Cotton Bowl? Czy postąpiłbyś tak samo, gdyby Ryan miał akurat przerwę w graniu? Albo gdyby był w składzie rezerwowym? Czy wtedy podjąłbyś inną decyzję? Potraktowałbyś Tish poważniej?

– Postanowiłem nie iść na policję, ponieważ *nie wierzyłem* tej dziewczynie! – krzyknął Trener. – Posłuchaj. Jestem szefem programu futbolowego na dużej uczelni...

– To oznacza odpowiedzialność – przerwałam mu równie głośno.

– Owszem! Odpowiedzialność za dziewięćdziesiątkę chłopaków. Gdybym posadził Ryana na ławce, ukarałbym pozostałych osiemdziesięciu dziewięciu zawodników, którzy ciężko harowali przez cały rok, a niektórzy przez całe *cztery* lata. Ukarałbym ich rodziny i przyjaciół. Moich trenerów i każdego studenta oraz absolwenta Walker. Każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, wszystkich tych, którzy poświęcają się dla

drużyny. Ofiarowują jej krew, pot i łzy, pieniądze, czas i serce. Zniszczyłbym Ryanowi karierę. Zrujnowałbym mu przyszłość.

– Ale on ją zgwałcił.

– A jeżeli nie? Naprawdę potrafisz sobie to wyobrazić, Sheo?

Zawahałam się i pokręciłam głową.

– Nie. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby być do tego zdolny – powiedziałam cicho. – A jednak poszłabym na policję. Na wszelki wypadek.

– Wspaniale. Cieszę się, że potrafisz podjąć tę decyzję piętnaście lat po fakcie i mając do dyspozycji o wiele więcej informacji, niż ja miałem wtedy. Dziękuję ci, że tak dobitnie mi pokazałaś, co to znaczy być mądrą po szkodzie. Zupełnie jak ci idioci, którzy dzwonią do mojej audycji w radiu.

– Przyznasz, że sprawa jest nieco poważniejsza...

– Wiem, Sheo. Wiem również, że popełniłem błąd. Straszny błąd. Nie wierzę, że Ryan ją zgwałcił, ale coś musiał jej zrobić... Powinienem był jej pomóc... Potrafię spojrzeć ci w oczy i przyznać się do tego... Gdybym mógł, wszystko bym zmienił. Ale nie mogę.

– Możesz spróbować to naprawić – powiedziałam.

– Jak?

– Możesz przeprosić Tish.

– Już to zrobiłem. Przeczytać ci list, który do niej napisałem? Leży na moim biurku. No dalej, przeczytaj go! Przeczytaj! A potem mi powiedz, co jeszcze powinienem zrobić. Oddać się w ręce organów ścigania? I ukarać w ten sposób swoją obecną drużynę, która nie ma z tym wszystkim nic wspólnego? Wywołać skandal i zniszczyć cały program piętnaście lat po fakcie? Jeśli tego właśnie chcesz, to proszę, zrób to sama. Jesteś dziennikarką. Napisz o tym artykuł. Napisz cholerny artykuł, Sheo! Nie zapomnij opisać tego, co Ryan ci zrobił. Opisz wszystko! Udzielę ci tylu wypowiedzi, ile tylko zechcesz!

Patrzyłam na niego bez słowa, całkowicie zbita z tropu.

Po długiej chwili milczenia odezwał się znowu:

– Nie jestem idealny. Nigdy tak nie twierdziłem. To media stworzyły taki mój wizerunek. Media kochają czarno-białe historie... Ale wiesz co? Życie nie jest czarno-białe. *Nigdy*. A ja nie jestem świętym, za którego mnie

uważają. Ani potworem, na którego chętnie by mnie wykreowali... gdyby znali całą prawdę.

– Całą prawdę? – powtórzyłam.

– Owszem. Na początek o tym, że związałem się z dziewczyną, którą praktycznie rzecz biorąc wychowałem. Najlepszą przyjaciółką swojej córki. A zarazem dziennikarką, która pisze *relacje z meczów mojej drużyny* oraz zajmuje się skandalem dotyczącym *mojego programu*.

– Zrezygnuję z pracy – powiedziałam. Choć pomyślałam o tym dopiero teraz, byłam absolutnie pewna swojej decyzji.

– Nic podobnego – zaprotestował Trener. – Przecież nasz związek to jeszcze nic... Nic w porównaniu z tym skandalem na miarę Joego Paterno¹³. Nawet gdyby nie brać pod uwagę wątpliwego oskarżenia o gwałt, dochodzi jeszcze sprawa pobicia, którą zamiotłem pod dywan w przededniu Cotton Bowl.

– Wcale nie jesteś jak Joe Paterno – powiedziałam.

– Będą mówili, że go przypominam.

– To nieprawda.

– Prawda jest nieistotna.

– Sam w to nie wierzysz. Oczywiście, że jest istotna. Jest istotna dla mnie.

– W takim razie posłuchaj mnie, Sheo. Posłuchaj uważnie. Za to, co ci teraz powiem, ręczę własnym życiem. Ta decyzja, którą podjąłem piętnaście lat temu... Była niewłaściwa... Ale nie miała *nic* wspólnego z chęcią wygrania meczu. *Nigdy* nie chodziło o wygraną meczu.

– O co więc chodziło? – spytałam drżącym głosem.

– O lojalność. O zobowiązania wobec ludzi, których kochałem. Wobec żony. Rodziny. Przyjaciół. *Drużyny*. Chodziło o to, by dawać z siebie wszystko przez cały czas. To właśnie zrobiłem tamtego wieczoru w swoim gabinecie. I to robię codziennie na boisku. A także w tej chwili, tłumacząc się przed kobietą, którą kocham.

¹³ Joe Paterno – trener drużyny futbolowej Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii zwolniony z pracy za brak interwencji w sprawie molestowania seksualnego nieletnich chłopców przez jednego ze swoich asystentów.

– Kochasz mnie? – zapytałam. Moje serce załomotało, krew zahuczała w skroniach.

– Tak. Kocham cię. Kocham cię jak wariat. Pragnę cię najbardziej na świecie. I o wiele, wiele bardziej zależy mi na tobie niż na wygranym meczu. Nawet jeśli jest to mecz o mistrzostwo.

– Wierzę ci – szepnęłam w końcu, czując, jak miękną mi kolana. – I wierzę w *ciebie*.

– Cóż – stwierdził. – Na początek może być.

Rozdział 40

Następnego ranka zadzwoniła do mnie matka i skarżąc się na bóle w piersi, zażądała, bym natychmiast do niej przyjechała. Kiedy wpadłam do jej mieszkania, siedziała w łazience, ubrana w jedwabny szlafrok, i przyklejała sobie sztuczne rzęsy. Miała zwyczaj nosić je niemal codziennie i nie potrzebowała do tego specjalnej okazji.

– Jak mogłaś mi to zrobić?! – wrzasnęła na mój widok.

Miałam nadzieję, że chodzi jej o zerwanie z Ryanem, o którym poinformowałam ją w e-mailu, przeczuwałam jednak, że rozmawiała z Lucy.

– Jak mogłam ci co zrobić? – spytałam, przeklinając swoją łatwowierność.

– Clive – powiedziała, kręcąc głową.

– To znaczy, że nie kłuje cię w piersi?

– Boli mnie serce, ot co. Naprawdę sądziłam, że lepiej cię wychowałam.

– Mamo, błagam cię – powiedziałam, przygotowana na najgorsze. – Przesadzasz. Nawet nie wiesz, co się właściwie wydarzyło.

– Tylko mi tu nie udawaj głupiej, moja panno! Dzwoniła do mnie Lucy. Znam całą historię!

– Jaką znów „historię”? – zapytałam, kreśląc w powietrzu cudzysłów.

– Ty i Clive... Coś między wami jest.

– Coś. No tak. – Postanowiłam twardo, że nie będę z nią o tym rozmawiać. Może Lucy ma prawo się wtrącać, ale ona na pewno nie.

– Lucy to twoja najlepsza przyjaciółka. Jesteście prawie jak siostry –

mówiła matka, wyciągając pęsetką kolejną rzęsę z białej plastikowej paczuszki. Przyszło mi do głowy, że każdy jej ruch jest starannie przemyślany, że jej życie w całości opiera się na didaskaliach i że potrafi w jednej chwili opanować gniew, by precyzyjnie przykleić sztuczną rzęsę. – To niestosowne. Zupełnie niestosowne!

– Jesteś zazdrosna – mruknęłam. I w pewnym sensie naprawdę tak uważałam. Jeżeli bowiem ktoś miałby ruszyć na pomoc osamotnionemu wdowcowi, to właśnie ona. A gdyby zdobyła Clive’a, praktycznie *stałaby* się Connie.

– To jest okropne!

– Co w tym takiego okropnego, mamó? Powiedz mi, jak miłość może być okropna?

Wiedziałam, że brzmi to jak słowa naiwnej zakochanej nastolatki, ale przyszło mi do głowy, że czasami naiwne zakochane nastolatki miewają więcej racji niż ich ograniczone, apodyktyczne matki. Zwłaszcza takie, które w samym środku rzekomego kryzysu nadal przyklejają sztuczne rzęsy.

– To po prostu... okropne – powtórzyła. – Clive jest dla nas jak rodzina. A Connie była moją *przyjaciółką*. To zdrada.

– To nie jest zdrada, mamó. Ponieważ Connie *nie żyje*. – Powiedziałam to cicho, by moje słowa zabrzmiały nieco łagodniej. Owszem, były dość brutalne, ale i prawdziwe. Connie nie żyła, a więc nie zabrałam jej męża. Właściwie w głębi duszy wierzyłam, że zaakceptowałyby nasz związek, może nawet by nas broniła. Miałam ochotę oświadczyć matce, że Connie była o wiele rozsądniejsza od swojej przyjaciółki. Oraz córki, jeśli już o tym mowa.

– Czy ty słyszysz, jak to brzmi? – zapytała matka, wstrząśnięta.

– Mamó. Daj spokój. Chodziło mi o to, że nigdy by do tego nie doszło, gdyby Connie wciąż żyła. To wszystko.

– Cóż, ja wciąż żyję. Podobnie jak Lucy. I Neil. I Lawton. I Caroline. A to, co robicie, nie jest w porządku wobec żadnego z nas.

– Caroline? – powiedziałam, krzyżując ramiona na piersi. – Serio? A co z płodem? Czy jest to nie w porządku również wobec płodu?

– Jakiego płodu?

– Lucy jest w ciąży – poinformowałam ją. – Zadzwoń, żeby na mnie naskarżyć, ale o tym nie wspomniała?

– Cóż, to tylko dowód na to, jak bardzo jest jej przykro. Zresztą, na wypadek, gdybyś nie wiedziała: ciężarne kobiety są bardzo uczuciowe... Kruche... Nie możesz jej tego zrobić teraz, kiedy jest w ciąży. – Matka umilkła na chwilę, po czym znów zaczęła się nakręcać. – W ogóle nie wolno ci tego zrobić! Spójrz na to z jej perspektywy. Co byś zrobiła, gdyby ona zaczęła się spotykać z *twoim* ojcem?

– Powiedziałabym jej, że zasługuje na kogoś lepszego.

Moja matka rozpogodziła się na moment.

– Święta racja – powiedziała. Odwróciła się tyłem do lustra i dodała: – On ma bardzo małego penisa. Mówię o twoim ojcu.

– Mamo!

– Kiedy to prawda.

– Świetnie. W takim razie powiedziałabym Luce, że zasługuje na kogoś lepszego i z większym penisem. Ale gdyby się okazało, że tata i jego maleńki penis ją uszczęśliwiają, pogodziłabym się z tym.

– Nie powiedziałam „maleńki”, tylko „bardzo mały”... A wracając do rzeczy, nie sądzę, by Lucy *potrafiła* się z tym pogodzić. Moim zdaniem to dla niej... *Zbyt wiele*.

– Tak ci powiedziała? *Że nie potrafi* się z tym pogodzić?

– Owszem. Stwierdziła, że nigdy tego nie zaakceptuje i że musisz dokonać wyboru.

– Wyboru? Czyżby miała zamiar postawić mi ultimatum?

– Owszem. Wybór jest prosty. Możesz spotykać się z Clive'em – tu matka przewróciła oczami – albo możesz dalej być jej przyjaciółką. Jedno albo drugie. – W obronnym geście uniosła rękę i dodała: – Hej. Nie strzelaj do posłańca.

– Mamo, posłaniec jest od tego, żeby dostarczyć wiadomość. A ty przy okazji bierzesz stronę Lucy.

– Nie jestem po jej stronie, tylko po stronie przyzwoitości. To, co chcecie zrobić, nie jest w porządku. I nie może się udać. Zostałabyś macochą Lucy! Twoje dzieci byłyby jej przyrodnim rodzeństwem!

– Jakie dzieci? Ja nawet nie wiem, czy w ogóle chcę je mieć.

– Nie gadaj głupot. Oczywiście, że chcesz mieć dzieci. Jeżeli nie masz zamiaru myśleć o Lucy, pomyśl o sobie. O swojej przyszłości.

– Mamo. Całe życie ci powtarzałam, że mam inne marzenia. Nie jestem tobą. Czy ty mnie w ogóle kiedykolwiek słuchałaś? – Postanowiłam uderzyć w czuły punkt: – Tata mnie rozumie.

– Mówiłaś mu o *tym*? Kiedy?

– Kiedy tu był ostatnio. Rozmawialiśmy w dzień po Święcie Dziękczynienia.

– Coś podobnego! Jestem pewna, że w pełni poparł twoją decyzję. Jakbym go słyszała: „Rób to, co cię uszczęśliwi, i nie przejmuj się, że możesz kogoś skrzywdzić”. Cóż, wygląda na to, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Przez chwilę czułam się tak, jakby mnie uderzyła, ale potem zaczęłam się zastanawiać, czy to na pewno takie niesprawiedliwe porównanie, jak mi się na początku zdawało. Może rzeczywiście byłam podobna do ojca. A może moja matka była po prostu hipokrytką. W końcu wszystko zaczęło się od tego, że ukradła ojca Astrid, wmawiając sobie przy tym, że ich małżeństwo i tak jest już skończone, a ona nie ma z ich rozstaniem nic wspólnego. Czy nie jest tak, że w życiu każdego z nas nadchodzi moment, kiedy zaczynamy się oszukiwać?

– Cóż – powiedziałam. – Tata przynajmniej umie się przyznać do błędu... Ma świadomość, jakich dokonał wyborów, podczas gdy ty nieustannie go winisz o własne błędy. Minęło tyle czasu, a ty wciąż tkwisz w połowie lat osiemdziesiątych i odgrywasz zranioną księżniczkę.

Patrzyła na mnie, wydymając usta jak gwiazda Hollywood sprzed lat; prawdopodobnie naoglądała się zbyt wiele filmów na TCM.

– Masz niezły tupet, Sheo – powiedziała w końcu. Jej głos był płaski, równy i wreszcie pozbawiony dramatyzmu. – Twoja przyjaciółka straciła matkę. Nie minął rok, a ty już się uganiasz za jej ojcem?

– Za nikim się nie uganiam. To nie było tak – zaprotestowałam, wpatrzona we własne stopy, myśląc o Trenerze, Ryaniu i Tish.

– Wykazałaś brak lojalności, Sheo. Do tego się wszystko sprowadza. Nawet jeśli jesteś w nim szaleńczo zakochana, wiążąc się z nim, zdradzasz Lucy. Pomyśl o tym, co przez te wszystkie lata ona i Connie dla ciebie

zrobiły. Dały ci szczęśliwe dzieciństwo. – Jej głos się załamał. – Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Zdajesz sobie sprawę z tego, jak wiele obie im zawdzięczamy?

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się i wyszłam z łazienki. Żołądek ścisnął mi się bolesnie – ponieważ wiedziałam, że w tej kwestii matka ma rację, a także dlatego, że brak lojalności to najgorsze, o co mogła mnie oskarżyć.

*

Kiedy godzinę później dotarłam do pracy, minęłam swój boks i poszłam prosto do gabinetu Smileya.

– Ma pan minutę? – zapytałam, wtykając głowę przez półotwarte drzwi.

– Dokładnie sześć – odparł Smiley, zerknąwszy na zegarek. – Chyba że zaczniesz mnie nudzić. Wtedy z sześciu zrobią się trzy.

– Okej – powiedziałam, myśląc o tym, że w ciągu najbliższych trzech do sześciu minut będą się ważyły moje zawodowe losy.

Weszłam do środka i zamknęłam drzwi, ale nie usiadłam.

– Chyba nie mogę dłużej tu pracować. A przynajmniej nie mogę pisać o Walker – wykrztusiłam natychmiast, ze strachu, że się rozmyślę.

– Co takiego? – Smiley się zdziwił. – Czy to jakiś żart? Przechodzisz do ESPN?

– Nie. Po prostu nie potrafię być obiektywna – wyznałam i nagle mi ulżyło. Nie wiedziałam, czy będę zdolna poświęcić dla miłości najlepszą przyjaciółkę, ale praca to inna sprawa. – Nie potrafię być obiektywna w sprawie tego śledztwa, które nawiasem mówiąc, jest totalną bzdurą, ani w sprawie drużyny. A już na pewno nie w sprawie Trenera Carra.

Smiley pacnął się dłonią w czoło i zamknął oczy. Wyprostował się dopiero po kilku sekundach.

– Czy to dlatego, że studiowałaś w Walker?

– Owszem, proszę pana. Ale również dlatego że... Tak jakby... Jestem związana z Trenerem Carrem.

– Związana? – Twarz Smileya zmieniła kolor.

– Tak, proszę pana. To znaczy... Tak jakby... Tak.

– Cholera jasna, Rigsby. Nie mów do mnie „proszę pana”. Spotykasz się z facetem w moim wieku.

Miałam ochotę mu uzmysłować, że jest od Trenera znacznie starszy, ale się powstrzymałam.

– Przykro mi, że nie powiedziałam panu o tym wcześniej.

– Wcześniej? – huknął Smiley. – Kiedy to się zaczęło?

– Niedawno.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem wymamrotał coś, co brzmiało jak: „A niech mnie piorun trzaśnie”.

– Przykro mi. Przepraszam, że pana okłamałam. Zaryzykował pan dla mnie, był pan sprawiedliwy i dobry, i nie zasłużył pan na to. Twierdziłam, że stać mnie na obiektywizm, ale teraz wiem, że to nieprawda. Ponieważ za każdym razem pragnę, by *moja* drużyna wygrała. I już zawsze będę tak o nich myśleć. Jako o *swojej* drużynie. Z całego serca nienawidzę NCAA za to, że zepsuli nam ten sezon. A w każdym razie próbowali. I zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby chronić naszą drużynę, ponieważ wierzę, że jest naprawdę świetna, a na jej czele stoi dobry, uczciwy facet. Więc... Ile minut nam zostało?

– Wystarczy, żeby cię zwolnić w cholere.

– Tak myślałam. – Odwróciłam się do drzwi. – Pójdę uprzątnąć biurko. Smiley potrząsnął głową.

– Zaczekaj. Nie tak szybko. Ja też mam ci coś do powiedzenia. W odpowiedzi na twoje doniosłe wyznania.

Uniosłam brwi i czekałam.

– Nie ma kogoś takiego jak obiektywny dziennikarz sportowy. Każdy, kto robi w tym fachu, musi kochać grę i być przede wszystkim kibicem. A czy piszesz o drużynie, którą kochasz, czy o takiej, której nienawidzisz, czy o takiej, wobec której jesteś obojętna, zawsze będziesz stronnicza, ponieważ ich gra zawsze będzie miała pośredni lub bezpośredni wpływ na losy twoich ulubieńców. A nawet jeśli oglądasz mecz, który pozornie nie ma dla ciebie znaczenia, ponieważ pozycja twojej drużyny w żaden sposób od niego nie zależy, tak czy inaczej się w niego zaangażujesz! – Uderzył

otwartą dłonią w biurko, a ja skrzywiłam się, z powodu hałasu i dlatego, że wyobraziłam sobie, jaki mu to sprawiło ból. – Będziesz mówiła, że ci nie zależy, ale zaangażujesz się już od pierwszych sekund. Zacznesz kibicować tym, którzy mają mniejsze szanse. Albo dawnemu rozgrywającemu, który wrócił na boisko. Żółtodziobowi dochodzącemu do siebie po zerwaniu więzadła. Albo trenerowi, który niedawno został wdowcem! Zaangażujesz się, nawet jeśli ci się zdawało, że gównu cię to obchodzi!

Smiley krzyczał, a ja, zerknąwszy przez ramię, dostrzegłam Gordona i pół tuzina innych kolegów, gapiących się na nas zza szyby.

Wreszcie stary redaktor uspokoił się odrobinę.

– Chodzi o to, że każdy mecz angażuje widzów. I dobrze. Ktoś wygrywa, ktoś przegrywa, jest to ważne dla zawodników, powinno więc być ważne i dla nas. Pamiętasz, co mówiłaś, kiedy spotkaliśmy się u Boba? Dobry dziennikarz sprawia, że czytelnik przejmuje się losem nieznanego rosyjskiego olimpijczyka.

Patrzyłam na niego zmieszana.

– Czy chce mi pan powiedzieć, że nikt z nas nie jest naprawdę obiektywny?

– Tak. Właśnie to chcę powiedzieć.

– Pańskim zdaniem to jest w porządku?

– Owszem.

– A ja mogę dalej pracować?

– Nie. Wylatujesz, to pewne. Ponieważ ty, Rigsby, nie potrafisz już nawet *udawać* profesjonalistki. O nic więcej cię nie prosiłem. Kazałem ci trzymać buzię na kłódkę w łoży prasowej i *udawać*, że jesteś obiektywna.

– Wiem. – Pomyślałam, że nawet gdybym nie kochała Trenera Carra, zawsze balansowałabym na krawędzi utraty pracy.

Smiley spojrział na mnie i powiedział:

– Słyszałem, że spotykasz się z Ryanem Jamesem. Czy to plotki?

– Nie, proszę pana. Spotykaliśmy się. Ale to już przeszłość.

– Jezu Chryste, dziewczyno. Czy chcesz spalić za sobą wszystkie dziennikarskie mosty w tym mieście?

– Na to wygląda – powiedziałam. Przez chwilę miałam ochotę się

bronić, wyjaśnić, że oba związki po prostu mi się przydarzyły i że nie uganiam się za słynnymi postaciami ze świata sportu, ale uznałam, że to w tym momencie nieistotne. Powtórzyłam więc tylko: – Pójdę uprzątnąć biurko.

– Cóż, spójrz na to z pozytywnej strony – powiedział Smiley.

– Czyli?

– Znów możesz sobie przylepić na zderzak tę paskudną zieloną naklejkę.

*

Tego wieczoru rozważałam rozmaite konstruktywne zajęcia. Mogłam zacząć szukać nowej pracy. Posprzątać mieszkanie. Pójść na siłownię. Zamiast tego zadzwoniłam do Millera i umówiłam się z nim na piwo w Third Rail. Zgodził się natychmiast i choć cieszyłam się, że mam w nim przyjaciela, że w ogóle mam jakiegoś przyjaciela, uświadomiło mi to, jak bardzo jestem samotna bez Lucy, która pozostawiła w moim sercu i życiu nie tyle pustkę, co wielką, ziejącą dziurę.

– Co jest? – zapytał, kiedy tylko na mnie spojrzał. – Wyglądasz koszmarnie.

– Serdeczne dzięki – powiedziałam, myśląc, że skoro potargany, nieumyty Miller mówi mi, że wyglądam koszmarnie, musi być ze mną naprawdę źle.

– Pytam serio. Płakałaś?

– Nie. To tylko ten tusz do rzęs. Zawsze mi się rozmazuje. Nie wiem czemu.

– To sobie kup wodoodporny – poradził mi Miller tonem znawcy.

Parsknęłam śmiechem.

– Skąd wiesz, że jest coś takiego, jak wodoodporny tusz?

– Ponieważ potrafię służyć – odparł, udając obrażonego. – Ponieważ, w przeciwieństwie do wielu innych facetów, dbam o kobiety i ich potrzeby.

Znów parsknęłam śmiechem i pomyślałam, że zadzwoniłam do właściwej osoby. Mniejsza z tym, że poza Millerem właściwie nie miałam

przyjaciół. Zadzwoiłam do właściwej osoby.

– Jak Ryan? – zapytał Miller.

– Zerwaliśmy. Jak profesorka?

– Z nami też koniec. – Miller uniósł brwi. – Zaraz. A może ty mnie podrywasz? Chcesz wrócić na stare śmieci?

– Nie, Miller. Żadne stare śmieci. – Przewróciłam oczami. – Po prostu musiałam z kimś pogadać... Miałam okropny dzień. Pokłóciłam się z mamą. Lucy ze mną nie rozmawia. I wyleciałam z pracy.

Miller gwizdnał.

– Dzięki. W porównaniu z twoim moje życie wydaje się całkiem w porządku.

– Nie ma za co.

– No więc czemu cię wywalili? Za to, że się bzykasz z Trenerem Carrem?

Spojrzałam na niego, zbyt osłupiała, by protestować.

– Skąd wiesz?

– Po pierwsze, już ci mówiłem. Zwracam uwagę na to, co się wkoło mnie dzieje. Jestem spostrzegawczy jak jasna cholera.

– A po drugie?

– Tamtego wieczoru, kiedy zostawiłaś tu swoją kartę... Pojechałem do ciebie, żeby ci ją zwrócić... Miałem nadzieję, że przy okazji do czegoś dojdzie... Ale wtedy zobaczyłem jego samochód. Na twoim parkingu.

– Powiedziałaś o tym komuś?

– Skąd! Jestem wrażliwy *oraz* dyskretny.

– Dzięki, Miller. Poważnie.

Puścił do mnie oko.

– Niech zgadnę... Lucy ma problem z tym, że bzykasz się z jej starym?

– Przestań używać takich słów.

– „Bzykanie” czy „stary”?

– Jednego i drugiego. Ale masz rację. Lucy powiedziała mojej mamie, która zresztą też się na mnie nieźle wkurzyła, że muszę wybrać. Ona albo on.

– Prosta sprawa.

– Po prostu nie cierpisz Lucy.

– Prawda – odparł. – Ale nie to jest ważne. Trzeba iść za miłością.

– Tak myślisz?

– Jasne. – Zawahał się i dodał: – Chyba że panna, którą kochasz, rzuca cię jak śmiecia. Wtedy należy od niej spieprzać, póki zostały ci resztki dumy. – Mrugnął na wypadek, gdybym nie załapała aluzji.

Roześmiałam się.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś rady?

– Postaw na Walker. Mają wysoki kurs.

– Nigdy nie stawiałam na Walker.

Miller wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Oczywiście, że stawiałaś.

Rozdział 41

Tego samego wieczoru, kiedy już nieco otrzeźwiałam, napisałam do Lucy długi list, w którym określiłam swoje uczucia tak jasno, jak tylko potrafiłam. Znałam ją jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że odeśle mi go bez czytania. Czułam też, że jestem jej winna rozmowę w cztery oczy. W końcu nie odmówiłam tego nawet Ryanowi. Zadzwoiłam więc do przyjaciółki i nagrałam się, błagając ją o kontakt, a gdy skończyło się miejsce na wiadomość, zadzwoniłam jeszcze raz. Za drugim razem telefon odebrał Neil.

– Zaczekaj – szepnął. Usłyszałam dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. – W porządku – powiedział. – Jestem w garażu.

– Z Lucy jest bardzo źle? – zapytałam.

– W skali od jednego do dziesięciu? Jakies dziesięć *tysięcy*.

– Kurwa mać.

– Tak. Atmosfera w domu nie jest ostatnio zbyt miła. Dorzuć do tego jeszcze poranne mdłości. Moje życie to piekło.

– Muszę z nią pogadać.

– No tak. Szczerze mówiąc nie sądzę, żeby ci się to udało.

– Neil – poprosiłam. – Musisz mi pomóc. Ty będziesz umiał ją namówić.

– Nie potrafię skłonić Lucy do niczego, na co nie ma ochoty. Dobrze o tym wiesz. Ale może gdybyś po prostu do nas wpadła...

– Kiedy? Teraz? Co ona teraz robi?

– Bierze kąpiel... Więc powinna być w odrobinę lepszym nastroju.

- To znaczy, że mogę przyjechać?
- Spróbować nie zaszkodzi. Ale nie waż się wspomnieć, że to ja cię namówiłem. Poza tym mam zamiar skasować to połączenie.
- Okej. Dzięki, Neil. Bardzo ci dziękuję.
- Nie ma sprawy. Ale, Sheo?
- Tak?
- Chcesz mojej rady? Zastanów się poważnie, czy możesz jej to zrobić. O ile nie chodzi o prawdziwą miłość, to uważam, że naprawdę nie warto.

*

Dwadzieścia minut później zapukałam do drzwi. Otworzył mi Neil, wspaniale odgrywając zdziwienie.

- Witaj, Sheo – powiedział sztywno, spoglądając przez ramię.

Za jego plecami pojawiła się Lucy. Minę miała chłodną. Poza tym trudno z niej było cokolwiek wyczytać.

- Cześć, Luce. Mogę wejść? – zapytałam. – Musimy porozmawiać. Proszę.

Patrzyła na mnie przez kilka niezbyt przyjemnych sekund, a potem wzruszyła ramionami i odsunęła się na bok. Neil rzucił mi spojrzenie pełne nadziei i zaprosił do gościnnego pokoju, z którego rzadko korzystali. Lucy sztywno usiadła na sofie, po czym wskazała mi fotel naprzeciwko. Usiadłam. Skrzyżowałam i rozkrzyżowałam nogi. Tymczasem Neil próbował wycofać się za próg, ale Lucy go powstrzymała, jakby uznała, że potrzebne jej wsparcie. Wrócił więc niechętnie, usadowił się obok niej i wbił wzrok w podłogę.

- Dziękuję, że mnie wpuściłaś, Lucy – zaczęłam, zastanawiając się, jak to możliwe, że tak się denerwuję, rozmawiając z osobą, którą znam najlepiej na całym świecie.

- Proszę bardzo – odparła chłodno, nie patrząc na mnie. Wiedziałam już, że nie zamierza niczego mi ułatwiać.

- Jak się czujesz? – zapytałam, dla jasności kładąc rękę na brzuchu.

- Nie mdli mnie tak mocno jak ostatnio.

Uśmiechnęłam się lekko.

– To dobrze – powiedziałam.

– Tak. Podobno przy dziewczynkach bardziej się rzyga. Więc może będzie chłopiec – mówiła uprzejmym, rzeczowym tonem, jakby rozmawiała z nieznaną w kolejce do sklepowej kasy. A jednak opowiadała mi o ciąży.

Postanowiłam przyjąć to za dobrą monetę.

– To wspaniale – stwierdziłam, kiwając głową.

– Owszem.

Wiedziałam, że nie mogę już dłużej odkładać prawdziwego powodu mojej wizyty. Wzięłam głęboki oddech, usiłując sobie przypomnieć, co napisałam w liście.

– Lucy. Bardzo przepraszam, że sprawiłam ci przykrość. I... Naprawdę rozumiem, co czujesz.

– Doprawdy? – odparła, krzyżując ramiona. – Wiesz, jak to jest stracić matkę, a potem się dowiedzieć, że twoja najlepsza przyjaciółka związała się z twoim ojcem?

– Tego nie wiem – przyznałam. – Oczywiście, że nie.

Lucy patrzyła na mnie bez słowa, a ja przypominałam sobie dwie linijki ze swojego listu i starałam się wyrecytować je słowo w słowo:

– To, że straciłaś matkę, czyni wszystko trudniejszym i bardziej skomplikowanym. Na pewno czujesz, że zdradziliśmy i ciebie, i ją.

– Owszem, to właśnie czuję, Sheo – głos Lucy zadrżał.

Neil wziął ją za rękę, ale wciąż patrzył w podłogę.

Odetchnęłam głęboko.

– Wiedz, że nie przyszło mi to łatwo. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła dla zabawy.

– Czegoś takiego? Chodzi ci o związek z moim ojcem za moimi plecami? Spójrzmy prawdzie w oczy. Oszukaliście mnie. Jak myślisz, jak ja się teraz czuję?

Neil przysunął się do żony, objął ją i powiedział:

– Luce, kochanie. Pozwól jej wyjaśnić.

O dziwo skinęła głową.

– W porządku. Słucham. Co mówiłaś?

– Chodziło mi o to, że nigdy... Nigdy bym tego nie zrobiła, gdyby naprawdę mi na nim nie zależało.

Lucy skrzywiła się i potrząsnęła głową, ale ja mówiłam dalej, chciałam wreszcie wyznać jej prawdę.

– Na początku po prostu zadurzyłam się w nim i wiem, że to było głupie. Bo nie wypada się zakochać w ojcu najlepszej przyjaciółki. Ani w dużo starszym mężczyźnie, zwłaszcza takim, który niedawno stracił żonę. Ale nieodwzajemniona miłość to jeszcze nie związek i nigdy bym nie pozwoliła, żeby moje uczucia wyszły na jaw. Nigdy nawet nie przyznałabym się do nich przed sobą samą, gdyby twoja mama wciąż żyła. Mam ogromny szacunek do małżeństwa twoich rodziców i gdybym mogła wrócić jej życie, zrobiłabym wszystko, żeby znów byli razem i żeby byli szczęśliwi.

Umilkłam i spojrzawszy na nią uważnie, dostrzegłam w jej oczach jakiś błysk. Słuchała mnie. Jeszcze nie zdobyłam jej błogosławieństwa, ale zdobyłam uwagę.

– Kocham twoją rodzinę, Luce. Obie w niej dorastałyśmy. Kochałam twoją mamę, kocham twojego tatę i Lawtona – mówiłam, mając na myśli inny rodzaj miłości. – To zawsze byli i zawsze będą najlepsi ludzie, jakich kiedykolwiek znałam, i to, że mogłam należeć do waszego grona, jest dla mnie największym zaszczytem. Naprawdę nie sędzę, że byłabym dziś tym, kim jestem, gdyby nie twoja rodzina. Przekazaliście mi miłość do Walker i do futbolu. Dzięki wam dowiedziałam się, co to znaczy mieć wspaniałych rodziców, kochające rodzeństwo, udane małżeństwo i wiernych przyjaciół. Przez te wszystkie lata wspieraliście mnie i uczyliście lojalności, szczerości, wierności zasadom oraz zaangażowania. Już zawsze będę wam wdzięczna za to i za wiele innych rzeczy.

– W takim razie nie rób mi tego – chlipnęła Lucy, składając ręce jak do modlitwy. – Przestań. Proszę cię.

– Przestałabym, gdybym mogła – powiedziałam. – Sęk w tym, że ja go...

– Nie mów tego – przerwała mi błagalnie. – Nie mów tego, Sheo. Proszę cię.

Miałam ochotę spełnić jej życzenie. Ale wtedy pomyślałam o nim.

O jedynym człowieku na całym świecie, który był dla mnie ważniejszy niż Lucy. I wiedziałam, że muszę mówić dalej.

– Lucy. Ja go *kocham* – powiedziałam. Krew łomotała mi w skroniach. – Kochałam go, zanim jeszcze zdałam sobie z tego sprawę. Nie mogę nic na to poradzić i nie potrafię tego zmienić... Próbowałam trzymać się od niego z daleka. Odeszłam z uczelni. Spotykałam się z Ryanem Jamesem. Nic nie podziało. Moje uczucia są silne i prawdziwe i wiem, że on czuje to samo.

– Ale możesz o nim zapomnieć! – zawołała Lucy przez łzy. – Oboje możecie zapomnieć. Musicie. Błagam cię. Po prostu to zakończcie.

Ukryłam twarz w dłoniach, bijąc się z myślami i żałując, że nie ma przy mnie Trenera, że nie mogę się z nim naradzić. Wiedziałam, co by mi powiedział. Trzymaj się swego. Rób to, co uważasz za właściwe. Nie idź na skróty.

Otworzyłam więc usta i powiedziałam:

– Moja matka twierdzi, że chcesz, bym dokonała wyboru. Uważam, że to nie *fair* z twojej strony. Ale uczucia nie są *fair* i jeśli naprawdę chcesz, żebym zdecydowała, zrobię to.

– To znaczy? – zapytała, z twarzą mokrą od łez, których już nawet nie wycierała.

Wstrzymałam oddech, gotowa, by nacisnąć spust, gotowa, by dowieść tego, w co zawsze wierzyłam: że miłość wszystko pokona. Ale kiedy spojrzałam jej w oczy, nagle straciłam pewność. Pomyślałam o wszystkim, przez co razem przeszłyśmy. O tym, co w dzieciństwie odebrał mi rozwód rodziców. O tym, kogo odebrał jej niedawno rak. I w tym momencie uznałam, że być może nie mam racji. Może więzy przyjaźni są silniejsze niż cokolwiek innego?

– Od urodzenia jesteśmy jedną drużyną – zaczęłam, patrząc prosto w jej wielkie, szkliste oczy. – I pozostaniemy nią do późnej starości, kiedy pięknie ubrane (to dzięki tobie) będziemy oglądały futbol w telewizji.

Lucy uśmiechnęła się leciutko.

– Więc naprawdę mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Że nie będziesz mi kazała wybierać między dwiema osobami, które są dla mnie najważniejsze w życiu. Ale gdybym musiała wybierać... Wybrałabym ciebie, Lucy. Ciebie i naszą przyjaźń. Teraz i zawsze.

Lucy wstała i podeszła bliżej, a ja spojrzałam jej w oczy, modląc się, by powiedziała: „Nie musisz wybierać”.

Ona jednak przytuliła mnie i rzekła:

– Dziękuję ci, Sheo. Chciałabym umieć podejść do tego inaczej, naprawdę. Ale nie potrafię... Nie potrafię...

Odwzajemniłam uścisk, choć nie czułam nic.

– Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.

– Ja też, Sheo ... Dziękuję.

Skinęłam głowę. Powoli docierało do mnie, co się stało. To było podobne do tego, co czuje się po nieudanym meczu – tyle że dużo, dużo gorsze. Nigdy wcześniej nie przegrałam walki o tak olbrzymią stawkę.

Potem usiadłyśmy jeszcze razem na kilka minut i jakimś cudem zmusiłam się do udziału w trywialnej pogawędce o ciąży, kolejnej wizycie u lekarza i o tym, jak Lucy urządzi pokój dla dziecka, nie znając płci. Wkrótce moja cierpliwość się skończyła i oznajmiłam, że muszę już iść – a ona powinna się przespać. Skinęła głowę i odprowadziła mnie do drzwi, a w progu jeszcze raz mnie uściskała.

– Kocham cię, Sheo.

– Ja ciebie też, Lucy – odparłam i z ulgą uświadomiłam sobie, że mówię szczerze, że naprawdę ją kocham, choć zarazem odrobinę jej nienawidzę.

Rozdział 42

Pozostała mi do zrobienia już tylko jedna rzecz i odwlekałam ją, jak mogłam, jak gdyby to, że Trener nie wie o mojej decyzji, miało uczynić ją mniej realną.

Ale tego wieczoru, gdy kładłam się spać, rozległo się pukanie. Spojrzałam przez judasza i zobaczyłam Trenera. Serce ścisnęło mi się boleśnie. Otworzyłam drzwi.

– Myślałam, że już wyjechałeś.

– Złapałem ostatni samolot do domu. Chciałem się z tobą zobaczyć. Zadzwoniłbym – ciągnął, upuszczając torbę na podłogę i rozpinając płaszcz – ale padł mi telefon, a zapomniałem wziąć ze sobą ładowarkę.

– Błąd żółtodzioba.

– Hej, kogo nazywasz żółtodziobem, żółtodziobie?

– Ciebie – odparłam, uśmiechając się smętnie. – Jak wizyta?

– Świetnie. To świetny chłopak. I ma bardzo miłą rodzinę – odparł, wciąż mocując się z guzikami.

– Myślisz, że uda nam się go zwerbować? – zapytałam.

– Och, to zależy, ile pieniędzy wyskrobiemy, żeby mu zapłacić pod stołem.

Popatrzyłam na niego bez słowa.

– Żartowałem – powiedział, nachylając się, żeby mnie pocałować.

Odwrociłam lekko policzek i jego usta wylądowały nieco na lewo od moich.

– Będzie nasz? – powtórzyłam, wciąż usiłując zyskać na czasie.

– Myślę, że wybierze między nami a Ohio State. Zobaczymy... Jak ci minął dzień? Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz?

– Wcale nie.

– A właśnie że tak. O, a teraz jeszcze dziwniej. Znam cię. Znam twoje miny.

Przełknęłam ślinę i postanowiłam zyskać jeszcze kilka sekund, obwieszczając mu mniejsze ze swoich nieszczęść.

– Wywalili mnie z pracy.

– Żartujesz?

– Nie.

– Cholera – powiedział. – Naprawdę nie żartujesz?

Pokręciłam głową.

– Nie. Ale nic się nie stało. Właściwie, to sama miałam ochotę zrezygnować. Smiley po prostu był szybszy.

– Sheo, kochanie. Tak mi przykro. Co się stało? – Przez chwilę przyglądał mi się zmrużonymi oczami, po czym wydało mi się, że zrozumiał. – Cholera jasna. Czy to z powodu... Czy to przeze mnie?

Potrząsnęłam głową, wpatrując się we własne stopy.

Dwoma palcami uniósł mój podbródek, aż znów spojrzałam mu w oczy.

– Powiedz mi prawdę.

– No tak. To znaczy... Tak jakby. To znaczy była za duża sprzeczność... – mamrotałam. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że powinnam była porozmawiać z Lucy, *zanim* zrezygnowałam z pracy.

– Strasznie mi przykro. Może pogadam ze Smileyem? Na pewno znajdziemy jakiś sposób...

– Nie. Nie dzwoń do niego. Naprawdę nic się nie stało. Właściwie trochę mi ulżyło. To naprawdę nie było w porządku. Nawet gdybyś mi wczoraj nie opowiedział... – umilkłam.

– Co teraz zrobisz? Wrócisz do starej pracy?

– Nie mogę. J. J. znalazł już kogoś na moje miejsce.

– Ciebie nie da się zastąpić – powiedział Trener bez namysłu.

Próbowałam się uśmiechnąć. Miałam nadzieję, że nie chodzi mu tylko o pracę.

– Coś wymyślę.

– No dobrze. – Wyglądał na nieprzekonanego i bardzo zmartwionego. – Daj znać, jak mogę ci pomóc. Zrobię, cokolwiek zechcesz. Na pewno coś wymyślimy. Jestem pewien, że na uczelni znajdzie się dla ciebie miejsce.

– Dzięki – powiedziałam, myśląc o tym, że brak pracy to dziś najmniejszy z moich problemów. – Nic mi nie będzie.

Wyciągnął rękę, jakby mnie prosił do tańca, a czułość malująca się na jego twarzy sprawiła, że zapragnęłam cofnąć wszystkie obietnice złożone Lucy. Zamiast tego zaprowadziłam go na sofę i wszystko mu opowiedziałam.

– No i proszę. Stało się – stwierdził i westchnął głośno.

– Co o tym myślisz? – zapytałam, zerkając na niego, podczas gdy on patrzył przed siebie.

– Co myślę?

– Tak. Powiedz.

– Rozumiem cię.

– Zgadzasz się z moją decyzją? – zapytałam. Chciałam, żeby o mnie walczył, pragnęłam, żeby mi powiedział, że postąpiłam głupio.

– Szczerze? Nie wiem.

– Ty *zawsze* wiesz – powiedziałam, coraz bardziej zrozpaczona.

– Szanuję twój wybór. Szanuję ciebie. Szanuję waszą przyjaźń.

– I to wszystko? – Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo liczyłam na to, że nas ocali, że skłoni mnie do zmiany zdania, znajdzie w tej sytuacji jakieś odcienie szarości, które tak bardzo lubił. Ale nagle ogarnęło mnie okropne, rozpaczliwe poczucie, że on się ze mną zgadza. Wierzy, że powinniśmy się rozstać. Być może od samego początku czuł, że to się tak skończy.

Trener westchnął i powiedział:

– Słuchaj. Tu nie chodzi tylko o ciebie. Ja też rozmawiałem z Lucy. Może nie do końca wprost, ale rozmawiałem... I myślę... Jej się chyba wydaje, że ją porzuciłem.

– Porzuciłeś? Jak to?

– Teraz, gdy zabrakło jej matki, ma tylko mnie. Jestem jej jedynym rodzicem. I chyba ją zawiodłem. Wiem, że ona tak to odbiera.

– Przecież jesteś cudownym ojcem – powiedziałam, porównując go w myślach z własnym.

– Ale lepszym trenerem – odparł. – Pod pewnymi względami, przynajmniej takimi, które da się zaobserwować i zmierzyć. Zawsze stawiałem futbol na pierwszym miejscu. Wydaje mi się, że ona postrzega ciebie jako część tego świata... Bo i ty, i ja kochamy tę grę. Jest między nami więź, której nie ma między mną a Lucy. Więc wydaje mi się, że w jej mniemaniu nasz związek to tylko kolejny przykład na to, że futbol jest dla mnie ważniejszy od niej. I nie mogę jej tego zrobić, tak samo jak ty... Może z czasem zmieni zdanie. Może dostaniemy jeszcze swoją szansę... Nigdy nie mów nigdy, prawda? Ale na razie musisz się skupić na swoim życiu.

Wiedziałam, co ma na myśli, i potrząsnęłam głową.

– Nigdy nie poczuje czegoś takiego do innego człowieka... Nigdy – powiedziałam, z całych sił powstrzymując się od płaczu.

– Owszem, poczujesz.

– Nie. Nawet się do tego nie zbliżę – upierałam się, myśląc o tym, że mogę flirtować w barach, chodzić na randki, uprawiać seks. Ale z miłością koniec. Na zawsze.

Położył ramię na tylnym oparciu sofy i nachylił się w moją stronę.

– Sheo... – powiedział. – Ja zawsze sądziłem, że nie pokocham nikogo tak jak Connie... A potem... Zdarzyło się *to*. To było przerażające i cudowne, i zupełnie wyjątkowe. No więc chyba chodzi mi o to, że... Nie wiesz, co się jeszcze w życiu wydarzy. I musisz być otwarta...

– Ale ja nie chcę kochać nikogo oprócz ciebie.

– A ja nie chciałem kochać nikogo oprócz Connie. Życie czasami płata nam figle.

– Życie jest *straszne*.

– Bywa... Ale nie można z niego rezygnować. Nie można dać za wygraną.

– A ty nie dałeś właśnie za wygraną?

– Nie – powiedział. – Robię to, co uważam za słuszne.

Skinęłam głowę, choć wcale nie byłam przekonana.

– Poradzisz sobie. Zaslugujesz na kogoś lepszego niż stary trener.

– Nie jesteś stary – mruknęłam, zazdrosna o wszystkie pary, których

jedynym zmartwieniem była różnica wieku.

– Ale młody też nie. I powiedzmy sobie szczerze... Ty powinnaś być z kimś młodszym... Żebyś mogła założyć rodzinę... Mieć własne dzieci... A ja chyba jestem już na to za stary.

Złapałam się tego „chyba” i przez krótką chwilę wyobrażałam sobie, jak by to było mieć z nim dziecko. Ale potem powiedziałam:

– Czemu wszyscy muszą wciąż o tym gadać? Ja nie jestem jak inne dziewczyny. Nie potrzebuję tego.

– Wiem, że nie jesteś. Ale kiedyś może będziesz. Nie możesz się na to zamykać.

Skinęłam głową, a po chwili ukryłam twarz w dłoniach.

– Wiedziałam – stwierdziłam, bardziej do siebie niż do niego.

– O czym?

– Że wczorajszy wieczór to była nasza ostatnia szansa.

– Rzeczywiście, przewidziałas to... Ale już zawsze będziemy przyjaciółmi – zapewnił mnie i była to jedna z najsmutniejszych i najbardziej fałszywych deklaracji, jakie w życiu słyszałam.

Nie odezwałam się, więc dodał:

– I zawsze będziemy mieli futbol.

– Znów możesz mówić do mnie „mała” – powiedziałam, robiąc dobrą minę do złej gry. – Dawno tego nie robiłeś.

– Masz to załatwione, mała.

– Po prostu nie możemy się dotykać. – Spojrzałam mu w oczy.

– Tak jest. – Wyglądał na równie zmartwionego jak ja.

– Ani robić tego, co zeszłej nocy – dodałam, zerkając na jego usta, a potem znów podnosząc wzrok.

Napotkawszy moje spojrzenie, skinął głową.

– Ponieważ podjęliśmy decyzję i nie powinniśmy jej cofać – mówiłam dalej, starając się przekonać samą siebie.

Znów skinął głową i zbliżył twarz do mojej twarzy. Poczułam zapach wody po goleniu.

– Ale tego nie zniosę – powiedziałam. – Będziesz musiał ją zmienić.

– Co?

Pokręciłam głową, drżąc lekko.

– Wodę po goleniu. Przywołuje za dużo wspomnień.

– W takim razie ty musisz zmienić perfumy.

– Umowa stoi. – Jeszcze bardziej zbliżył twarz do mojej twarzy.

Oddychałam coraz głębiej. – Ale co powiesz na... ostatni pocałunek?

– Taki? – zapytał, ocierając się ustami o moje usta.

– Tak. Właśnie taki. – Poczułam znajome zawroty głowy. – Ale potem...

Koniec. Na zawsze.

– Chyba że Lucy zmieni zdanie – powiedział i pocałował mnie łąpczywiej.

– Nie zmieni – szepnęłam.

– Wiem – odparł. Zatopił palce w moich włosach i całował moją szyję. –

Więc zrobmy tak, żeby na długo zapamiętać tę chwilę.

Rozdział 43

Przez trzy dni nie opuszczałam mieszkania, pławiąc się w żalu i bólu. Prawie nie jadłam, sypiałam o dziwnych porach i całymi dniami chodziłam w piżamie. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, podskakiwałam z nadzieją, że to on chce mi oznajmić, że zmienił zdanie. To się jednak nie zdarzyło i z każdą godziną popadałam w większą depresję, aż w końcu wyłączyłam komórkę. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać.

Czwartego wieczoru, gdy zaczęło mi się wydawać, że zachowuję się jak własna matka tuż po rozwodzie, do moich drzwi zapukała Lucy. Przez chwilę zastanawiałam się, czy otworzyć. Gdy to zrobiłam, patrzyłyśmy na siebie, jak gdyby od naszej ostatniej rozmowy minęło wiele miesięcy. W końcu Lucy zapytała, czy może wejść. Odsunęłam się na bok, a gdy weszła, pozwoliłam, by drzwi same się za nią zamknęły.

– Jesteś chora? – zapytała, spoglądając na moją piżamę i tłuste włosy.

– Chyba coś mnie złapało – odparłam. – Obcięłaś grzywkę.

Pociągnęła się za pasmo włosów nad czołem.

– Za krótko. Zawsze coś musi być nie tak.

Wzruszyłam ramionami z nadzieją, że wie, jak mało obchodzi mnie jej fryzura.

– Gniewasz się na mnie? – zapytała. Zerknęła na sofę, ale w końcu usiadła po turecku w swoim ulubionym miejscu na podłodze.

Powiedziałam, że nie.

– Jesteś obrażona?

– Nie – skłamałam ponownie.

– Smutna?

– Lucy. Przestań.

Ale ona nie potrafiła przestać, jak zawsze.

– Zerwałaś z moim tatą? – zapytała ciszej, jakby łagodny ton miał cokolwiek zmienić.

– Nie było czego zrywać – odparłam, siadając obok niej na podłodze, również po turecku. Przypomniały mi się czasy, gdy byliśmy w podstawówce. Brakowało nam jedynie kolorowych dywaników i gdzieś uciekło trzydzieści lat.

– Ale rozmawiałaś z nim?

– Tak.

– I zgodził się?

Wzięłam głęboki oddech, usiłując się uspokoić.

– Zgodził się – odparłam, krótko i zwięźle. – Oboje uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

– Słyszałam, że zrezygnowałaś z pracy? – drażyla dalej Lucy.

Byłam ciekawa, skąd się o tym dowiedziała.

– Albo mnie wywalili. Trudno stwierdzić. Ale rzeczywiście... oficjalnie zostałam bezrobotną.

Lucy pochyliła się, niezgrabnie położyła ręce na moich ramionach i wybuchnęła płaczem. Nie przytuliłam jej, czując, jak ogarnia mnie fala gniewu. Miałam ochotę jej powiedzieć, że nie ma powodu się mazać. Postawiła na swoim – teraz nie ma prawa zgrywać pokrzywdzonej.

Ale wtedy Lucy powiedziała:

– Sheo... Zaczęłam krwawić... Dwa dni temu... Już nie jestem w ciąży.

– Och, *kochanie*. – Przytuliłam ją mocno. – Tak mi przykro.

Pociągnęła nosem, ocierając łzy wierzchem dłoni.

– Wiem... Pewnie po prostu tak miało być... Przepraszam... zdawało mi się, że już się wypłakałam. – Jej twarz wykrzywił nieudolny grymas, który chyba miał być uśmiechem.

– Myślisz, że... – zaczęłam i umilkłam.

– Nie – odparła, jakby czytała w moich myślach. – To nie miało z tym wszystkim nic wspólnego.

– Nie wydaje ci się... że to ze stresu? – Byłam niemal pewna, że stres

nie może być przyczyną poronienia, ale pragnęłam wyczuć, czy ona aby przypadkiem tego nie łączy.

– Nie. Lekarz twierdzi, że od początku miałam małe szanse. Jeszcze kiedyś zajdę w ciążę.

– Oczywiście, że tak – powiedziałam.

– Albo i nie. Może jest nam pisane tylko jedno dziecko. Wiesz, właściwie to mogłabym się z tym pogodzić. Bo kiedy pomyślę, że miałabym urodzić malucha, którego moja mama nigdy nie weźmie na ręce...

Spojrzałam jej w oczy. Nagle ogarnęło mnie przekonanie, że podjęłam właściwą decyzję. Jeszcze raz zapewniłam ją o tym, jak bardzo mi przykro.

– Czy naprawdę kochałaś mojego tatę? – spytała, używając czasu przeszłego, jakby jej się wydawało, że już sobie poradziłam ze swoimi uczuciami.

– Tak – odparłam.

– Ale... dlaczego?

Wzruszyłam ramionami.

– Co to za pytanie?

Lucy potrząsnęła głową.

– Boże. Liczyłam na to, że zaprzeczysz.

– Wiem – odparłam. – Ja też liczyłam na to, że... że wiele rzeczy potoczy się inaczej.

– Na przykład jak?

Nie wiedziałam, czy próbuje mnie sprawdzić, podtrzymać rozmowę, czy może coś pomiędzy. Odpowiedziałam, starannie dobierając słowa. Zaczęłam od najważniejszego:

– Chciałabym, żeby twoja mama wciąż była z nami. Żebyś nadal była w ciąży. Żeby Ryan nie był taki popieprzony. Chciałabym być lepszą dziennikarką. Chciałabym... do szaleństwa kochać Millera.

Lucy się uśmiechnęła.

– Millera? Żartujesz. Chyba już cię wolę z moim tatą.

Wtedy przypominałam sobie o najbardziej oczywistym życzeniu. Tym, które jako jedyne miałam w głowie jeszcze kilka tygodni temu.

– Ale jeśli miałabym życzyć sobie czegoś realnego... – zaczęłam.

Lucy z powagą pokiwała głową.

– To usatysfakcjonowałby mnie jeszcze jeden wygrany mecz.

– Mnie też – odparła z uśmiechem. – Wybierasz się do Pasadeny, prawda?

Zawahałam się, ale potem pokręciłam głową.

– Nie sędzę.

– Co?! – zawołała. – Chyba żartujesz?! *Musisz* tam być! Jesteś jedyną osobą na świecie, która po prostu musi się tam zjawić! Oczywiście poza trenerami i graczami! Nie możesz przegapić tego meczu!

– Nie przegapię. Obejrzę go w telewizji.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Gdzie?

– Nie wiem. Pewnie tu, w domu.

– Ale ja chcę tam być z moją przyjaciółką.

Wzruszyłam ramionami. Miałam ochotę jej powiedzieć, że nie mogę spełniać każdej jej zachcianki.

– Zobaczymy – rzuciłam wymijająco. – Zostało jeszcze kilka tygodni.

– Co robisz w Boże Narodzenie?

– Jadę do Nowego Jorku – skłamałam, choć już wcześniej przeszło mi to przez myśl.

– Brzmi świetnie.

– Aha – odparłam, myśląc, że już nic nigdy nie będzie świetnie.

– Gdybyś zmieniła zdanie... I nie wyjechała... Może spędzimy ten dzień wszyscy razem?

Dokładnie wiedziałam, kogo ma na myśli, mówiąc „wszyscy”, i pomyślałam, że nie ma na to szans.

– Jasne, Luce – powiedziałam. – Dzięki.

– Nie ma za co – odparła. – Jesteś moją *najlepszą* przyjaciółką.

– A ty moją – zrewanżowałam się.

– Obiecujesz?

Wiedziałam, o co naprawdę pyta. Prosiła mnie o przebaczenie. Mówiła, że jest samolubna i dziecinna, ale nie potrafi nic na to poradzić. Tak samo jak nie potrafi wrócić życia swojej mamie ani dziecku, które kochała tylko przez kilka tygodni.

Spojrzałam więc na nią i powiedziałam prawdę:

– Tak. – Wiedziałam bowiem, że jest nie tylko moją najlepszą przyjaciółką, ale właściwie tylko ona mi została. – Obiecuję.

Rozdział 44

Ponieważ nie miałam innego wyjścia, postanowiłam jednak polecieć do Nowego Jorku i w Wigilię zarezerwowałam najtańszy z możliwych lotów. Na lotnisku LaGuardia wylądowałam tak późno, że hala była już niemal pusta. Ojciec zapowiedział, że wyśle po mnie samochód, ale gdy wyszłam z bramki, ujrzałam go u stóp ruchomych schodów wiodących do punktu odbioru bagażu. Miał na sobie ciemny garnitur i trzymał w ręku mały biały kartonik z napisem: „Wesołych Świąt, córeczko!”.

Roześmiałam się. Jeszcze nigdy nie byłam tak wzruszona na jego widok. To miały być nasze pierwsze wspólne święta, odkąd wyjechał z Teksasu, ponieważ moja matka wymogła w dokumentach rozwodowych zapis, który głosił, że nie wolno mi latać do Nowego Jorku wcześniej niż dwudziestego szóstego grudnia. Innymi słowy, każde z nich miało spędzać Boże Narodzenie ze *swoją* córką.

– Cześć, tato – powiedziałam z uśmiechem. – Ładna tabliczka.

On też się uśmiechnął, skłonił mi się w pas i schował kartonik do kieszonki na piersi.

– Wesołych świąt, kochanie.

– Wesołych świąt... Nie musiałeś przyjeżdżać. Mogłam wziąć taksówkę.

– Dzięki temu wymigałem się od pasterki – odparł, puszczając do mnie oko. Po ślubie Astrid przekonała go, by się nawrócił na katolicyzm, ale on nie miał do tego serca, podobnie jak do futbolu ani do bycia republikaninem.

– Założę się, że Astrid nie posiada się z radości – mruknęłam, idąc w stronę jedynej czynnej taśmy bagażowej. – To na pewno tutaj – powiedziałam. – Przepraszam. Miałam małą torbę, ale kazali mi ją nadać...

– Zgadza się. Taśma numer trzy – powiedział, zwalniając kroku i zerkając na tablicę informacyjną. – I nie przejmuj się Astrid. Robi swoje. Nic jej nie będzie.

– Wiem. Ale jest Wigilia.

– Och, przestań wreszcie! Sam chciałem przyjechać. Wiesz już, jak długo zostaniesz? Bo chciałem porobić rezerwacje i kupić bilety.

– Bilety na co? – zapytałam, bo w głowie wciąż miałam futbol. Wiedziałam, że Jetsi i Giganci mają przerwę, ale może myślał o Knicksach? Koszykówka mogłaby być miłą odmianą.

– Na przedstawienia, koncerty, balet... Co tylko zechcesz.

Uśmiechnęłam się, a po chwili wypatrzyłam swoją podniszczoną torbę na kółkach i ściągnęłam ją z taśmy.

– Daj, wezmę – powiedział ojciec. – Jestem twoim szoferem, zapomniałaś?

Uśmiechnęłam się i wyszłam za nim na zewnątrz, jak zwykle zaskoczona pierwszym podmuchem zimna.

– O cholera – powiedziałam, szczelnie otulając się szalikiem.

– W ciągu dnia było naprawdę ciepło – stwierdził. Jak wszyscy Jankesi w rozmowach z gośćmi z Południa udawał, że trafiłam po prostu na rzadki moment niepogody.

– Akurat – powiedziałam. – Ciepło, czyli ile stopni? Jeden? Dwa?

– Ponad dziesięć! – oznajmił, zakładając skórzane rękawiczki. – Przysięgam!

– Błagam, powiedz, że zaparkowałeś niedaleko – jęknęłam. Mroźny wiatr odbierał mi dech.

– Jak zawsze – odparł i wskazał na swojego czarnego mercedesa, który stał tuż przed nami.

Otworzył drzwi po stronie pasażera, wrzucił moją torbę na tylne siedzenie i wrócił na swoją stronę, pogwizdując, jakby przechadzał się po polu golfowym w pełnym słońcu.

– To już drugi ciepły dzień w ciągu sześciu tygodni – powiedział.

Uśmiechnęłam się.

– Proszę, kto by pomyślał.

– Najlepszy prezent na gwiazdkę.

– To znaczy, że mogę zwrócić spinę do krawata?

Ojciec parsknął śmiechem.

– Jasne. Zwróć. Mam ich całe mnóstwo. Brakuje mi tylko czasu spędzanego z moją małą córeczką.

*

Gawędziliśmy o tym i owym, aż wjechaliśmy do rozświetlonego pomarańczowymi jarzeniówkami Midtown Tunnel. Wtedy ojciec odchrząknął i powiedział:

– Dzwoniła do mnie twoja matka.

Zesztywniałam i wbiłam wzrok w przemykającą za oknem brudną wykafelkowaną ścianę.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano.

– Po co? – zapytałam, spoglądając na niego, choć przecież znałam odpowiedź.

Ojciec uniósł brwi i patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, aż przestraszona położyłam rękę na kierownicy.

– Powiedziała, że nie odbierasz jej telefonów.

– To prawda.

– Dlatego, że nie zaakceptowała twojego związku z Clive'em?

– Dlatego, że jest wstrętą żoną – odparłam. – Bez przerwy mnie krytykuje.

– Taka już jest.

– Ale słuchaj, tato, ja naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Przyjechałam tu, żeby od tego uciec.

– Naprawdę? A ja myślałem, że przyjechałaś zobaczyć się ze swoim staruszką – odparł wesoło.

Uśmiechnęłam się.

– Nie jesteś moim staruszkciem. Staruszkowie używają książek telefonicznych... Jeżdżą pięćdziesiąt na godzinę tam, gdzie można jeździć osiemdziesiąt... I noszą zapinane na rzep cichobiegi. A ty chodzisz w mokasynach od Gucciego.

– I przez to nie mogę być twoim staruszkciem?

– Zdecydowanie nie. Ale możesz być moim tatą – powiedziałam, zdjęta nagłym wzruszeniem.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się, wyjeżdżając z tunelu na dziwnie wyludnioną Trzecią Aleję.

– Pewnie mama ci doniosła, że wyleciałam z roboty?

Skinął głową.

– Ale domyślałam się, że o tym też nie chcesz rozmawiać?

– Nie – odparłam.

– Cóż, daj znać, jeśli zmienisz zdanie... Bo mam w tej sprawie kilka pomysłów.

– Może później. Przetrywajmy najpierw jakoś te parszywe święta.

– Parszywe? – powtórzył. – Okej, panie Scrooge.

– Święta to głupstwo – odparłam i tylko udawałam, że żartuję.

*

Boże Narodzenie upłynęło w zaskakująco miłej atmosferze. Spędziłam je z ojcem i Astrid w ich luksusowym mieszkaniu przy Piątej Alei. Bronwyn i Wiley byli na nartach w Stankt Moritz, zostaliśmy więc tylko we trójkę. Astrid pilnowała się, jak mogła, i była znacznie bardziej opanowana i znacznie sympatyczniejsza niż zwykle. Prawdopodobnie wiedziała co nieco o smutnych wydarzeniach w moim życiu, ale trzymała się bezpiecznych tematów i unikała zadawania wścibskich pytań. Zupełnie jakby ojciec zawczasu ją ostrzegł albo przekupił – i zafundował kurs dyskrecji dla początkujących.

Gdy już zjedliśmy przygotowaną przez nią kolację, delikatnie poruszyła temat Ryana, zachowując przy tym sporo taktu. Zapytała o nasze rozstanie i o to, jak się czuję.

– Wszystko w porządku. Dzięki, Astrid – odparłam całkiem szczerze.

– Naprawdę mi przykro, że wam nie wyszło. Wiem, że cię to nie pocieszy... Ale od początku uważałam, że małżeństwo z kimś tak znanym byłoby niezwykle trudne. Te wszystkie kobiety, które by się na niego rzucały. No i wiesz... Życie w blasku reflektorów.

Uśmiechnęłam się.

– Daj spokój, Astrid. Dobrze wiem, że marzysz o czymś takim!

– Okej. Okej. Dla mnie takie życie byłoby cudowne. Ale czuję, że *ty* byś go nienawidziła – powiedziała, a tymczasem ojciec dolał nam wina. Z przyzwyczajenia zaczęłam szukać w jej słowach ukrytego podtekstu, ale wtedy Astrid dodała: – Naprawdę to w tobie podziwiam. To upodobanie do... prostoty.

Spojrzałam na nią.

– W pozytywnym tego słowa znaczeniu – uściśliła.

– Raczej do autentyczności – wtrącił się ojciec.

– Tak, właśnie to miałam na myśli – potwierdziła Astrid, gorliwie kiwając głową. – Do autentyczności.

– Dziękuję wam bardzo – powiedziałam i upiłam łyk wina, myśląc o Ryanie i krótkim e-mailu, który dostałam od niego kilka dni temu.

Nie było w nim próśb o ponowne spotkanie, a jedynie kilka słów podziękowania i informacja, że zaczął chodzić do terapeuty. Odpisałam, że się cieszę i życzyłam mu szczęścia w play-offach – oraz w życiu w ogóle. Choć nadal nie uważałam, że Ryan byłby zdolny do gwałtu, wierzyłam w pozostałą część opowieści Tish, a także w to, co powiedziała mi Blakeslee, i byłam pewna, że potraktował je równie brutalnie jak mnie. A mimo to, ku własnemu zdumieniu, nie czułam do niego żalu i naprawdę miałam nadzieję, że zdoła się zmienić. Sięgnęłam do uszu i dotknęłam diamentowych kolczyków, które założyłam po raz pierwszy od naszego zerwania.

– Ryan nie jest złym facetem – powiedziałam. – Po prostu do mnie nie pasował.

Wtedy Astrid zmieniła temat i zaczęła opowiadać o Bronwyn, która w lutym wybierała się do Cornell Center, by po raz drugi spróbować metody *in vitro*. Była to dla mnie nowość, wyraziłam więc swój żal, że mają

problemy z poczęciem dziecka. Astrid trajkotała, opowiadając mi o przebiegu całego procesu, a ja tymczasem po raz setny tego dnia spjrzałam ukradkiem na telefon, z nadzieją na wiadomość od Trenera. Nie znalazłam jednak esemesa ani od niego, ani od nikogo z Walker, poza Millerem, który napisał: *Wesołych świąt dla mojej ulubionej seksownej śnieżynki*, na co odpisałam: *Czym się różni mężczyzna od choinki? Kiedy rozbierzesz choinkę, zostaje tylko bąbel, a kiedy mężczyznę, to i dwie bombki*.

Mijały godziny, a ja coraz bardziej tęskniłam za Trenerem, próbując koić ból za pomocą wina barolo oraz sernika. Czek na dwa tysiące dolarów, prezent od ojca i Astrid, również nieco poprawił mi humor, ponieważ uznałam, że pozwoli mi przeżyć co najmniej sześć tygodni. Lekko zakłopotana powtarzałam, że to zbyt wiele, ale Astrid zapewniła mnie, że tyle samo wydała na torebkę dla Bronwyn, po czym dorzuciła łaskawie:

– Wysłałam z założenia, że najlepiej będzie, jeśli swoją wybierzesz sobie sama.

Zupełnie jakby naprawdę wierzyła, że byłabym w stanie wydać taką sumę na *torebkę*. Pomysł ten wydał się absurdalny, uznałam jednak, że dla każdego coś miłego, uśmiechnęłam się więc i powiedziałam:

– W takim razie dziękuję. Naprawdę. Doceniam waszą szczodrość. Zwłaszcza teraz. – Naprawdę było mi miło, bo po raz pierwszy czułam w stosunku do nich szczerą wdzięczność, której nie towarzyszyły gniew czy niechęć.

Wręczyłam im prezenty (akcesoria z butiku Lucy dla Astrid oraz skarpetki i elegancki album o cygarach dla ojca), a potem otworzyliśmy kolejną butelkę wina i zasiedliśmy przed telewizorem, by obejrzeć *Prezent pod choinkę*. Nie podejrzewałam ojca o sympatię dla takich filmów, a jednak wybuchał śmiechem za każdym razem, gdy mama Ralphiego powtarzała mu, że „wybije sobie oko”, a potem kompletnie oszalał podczas sceny, w której język Flicka przymarzył do masztu. Opowiedział mi, że to samo przydarzyło się w dzieciństwie jego bratu, a mojemu jedynemu wujowi, i że język *naprawdę* przymarza. Fabuła zmierzała właśnie ku szczęśliwemu końcowi, gdy wreszcie zadzwonił mój telefon, a na ekranie wyświetlił się domowy numer Lucy.

– Nie zatrzymujcie filmu. Zaraz wrócę – powiedziałam i pomknęłam do

elegancko urządzonego pokoju dla gości.

– Miałś do mnie zadzwonić – powiedziała Lucy z wyrzutem, gdy tylko odebrałam.

Odrobinę mnie to zirytowało. Miała prawo być dziś smutna, ale nie miała powodu, żeby robić mi wymówki.

– Wybacz. Dzień tak szybko przeleciał – powiedziałam. Było to dość niedorzeczne stwierdzenie, biorąc pod uwagę, że miałam wrażenie, jakby każda minuta ciągnęła się w nieskończoność.

– Wiem. U nas było tak samo – odparła. – Jak ci mijają święta?

– Cudnie. – Było to słowo, którego nigdy nie używałam.

Nie uszło to jej uwagi.

– Cudnie? Za długo przebywasz z Astrid.

– Właściwie, to tym razem Astrid sprawuje się całkiem nieźle – stwierdziłam. – Zupełnie jakby przy okazji liftingu twarzy naciągnęli jej też osobowość.

Lucy parsknęła śmiechem.

Zawahałam się przez chwilę, aż w końcu zapytałam:

– Caroline zadowolona z prezentów?

– Tak. Bardzo.

– To dobrze. Dobrze. – Po kolejnej niezręcznej chwili ciszy dodałam: – Pozdrów ją ode mnie.

– Pozdrowię – obiecała Lucy. – Chcesz pogadać ze swoją mamą? Właśnie do nas wpadła...

Miałam ochotę odmówić, ale w końcu powiedziałam „tak” i zjeżyłam się, słysząc po drugiej stronie linii głos matki.

– Cześć, kochanie. Wesołych świąt.

– Wesołych świąt, mamó.

– Po raz pierwszy spędzamy je osobno. Bez ciebie w ogóle nie czuję, że są święta.

– Rzeczywiście, to trochę dziwne – przyznałam. – Ale tu jest całkiem miło... – Miałam chęć jej wypomnieć, że rozmawiała o mnie z tatą, ale w głębi ducha podobało mi się, że tak się zjednoczyli w mojej sprawie. Kiedy byłam mała, nigdy się to nie zdarzało. Postanowiłam więc jej odpuścić.

Usłyszałam w tle pisk Caroline, a potem śmiech Trenera. Serce ścisnęło mi się boleśnie, a tymczasem mama się pożegnała i oddała słuchawkę Lucy.

– Cześć – powiedziała Lucy po raz drugi.

– Cześć – odparłam, wyęzając słuch z nadzieją, że jeszcze raz go usłyszę, zadowolona, ale i lekko wytrącona z równowagi tym, że jego śmiech brzmiał tak radośnie.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. A co by mi miało być? – Z całych sił starałam się powściągnąć zniecierpliwienie.

Lucy mruknęła coś, czego nie zrozumiałam, a potem powiedziała:

– Hej. Jest tu mój tata. Chcesz się z nim przywitać?

– Hm, dzięki, ale nie – odparłam przez ściśnięte gardło. – Życz mu ode mnie wesołych świąt.

– Dobrze, obiecuję.

– Okej. No to chyba już do nich wrócę, oglądamy film...

– Och... Jasne. Co oglądacie? – Wyraźnie nie miała ochoty się rozłączać. – *To wspaniałe życie?*

Miałam ochotę jej przypomnieć, że to ulubiony film *jej* ojca, nie *mojego*, ale powiedziałam tylko:

– Nie. *Prezent pod choinkę*. No wiesz: „Wybijesz sobie oko”.

– Ha. No tak. Dobrze. Cóż... Miłego oglądania. I miłego wieczoru – powiedziała.

– Nawzajem.

– A co z meczem? Postanowiłaś już?

– Jeszcze nie – odparłam. – Dam ci znać.

– Okej. Kochamy cię i tęsknimy. Wesołych świąt, Sheo.

– Ja też cię kocham, Luce. Wesołych świąt. – Rozłączyłam się, myśląc: „W tych świętach nie ma nic wesołego, a w tym życiu nic cudownego”.

Wiedziałam, że dramatyzuję. Ale ostatecznie w Boże Narodzenie złamane serce spokojnie można nazwać cholernym dramatem.

Rozdział 45

Zostałam u taty do Nowego Roku, wypełniając sobie dni oraz wieczory klasycznymi nowojorskimi rozrywkami. Jadałam w eleganckich restauracjach, przechadzałam się po muzeach i galeriach sztuki, a nawet wybrałam się na ślizgawkę do Rockefeller Center. Przez całe trzy dni ani razu nie włączyłam Sports Center ani nie sprawdziłam wyniku meczu, ustalając tym samym osobisty rekord.

Nie udało mi się wyleczyć złamanego serca – wciąż myślałam o Trenerze niemal bez przerwy – ale przynajmniej zyskałam okazję, by spojrzeć na swoje życie z odrobiną dystansu. Od śmierci pani Carr w lutym obiecywałam sobie, że zmienię swoje życie. Z pewnością mi się udało. Zmieniło się wszystko. A mimo to czułam się gorzej niż kiedykolwiek. Powtarzałam sobie, że nie mam czego żałować. Że czasem się wygrywa, a czasem przegrywa. Albo – jak mawiał Trener – „Czasem dopadasz niedźwiedzia, a czasem niedźwiedź dopada ciebie”.

*

Drugiego stycznia po południu, tuż przed moim wyjazdem, wybraliśmy się z ojcem tylko we dwoje na długi spacer po Central Parku.

Kiedy zbliżyliśmy się do Boat Pond, ojciec odchrząknął i powiedział:

– Sheo, czy możemy przez chwilę porozmawiać o pracy?

– Twojej czy mojej? – zażartowałam, przygotowując się na najgorsze.

Uśmiechnął się.

– Twojej.

– Dobrze – odparłam, powtarzając sobie w duchu, by zachować otwarty umysł. Naprawdę nie mogłam sobie pozwolić na inną taktykę.

– Masz zamiar wrócić na uczelnię?

Pokręciłam głową stanowczo.

– Nie. To jedyne, czego jestem pewna. Nie mogę znów pozwolić, by Walker stało się całym moim światem. To jest proste i kuszące wyjście... Ale czułabym, że się cofam.

Ojciec skinął głową.

– A czy chcesz dalej być dziennikarką? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nie wiem, czy się do tego nadaję.

– Nadajesz się wspaniale. Twoje artykuły zrobiły na mnie ogromne wrażenie.

– Dzięki... Też mi się wydaje, że jestem w tym niezła... Nie wyleciałam z pracy, bo nie umiem pisać, tylko dlatego, że nie potrafiłam być obiektywna.

– Okej. Rozumiem. Ale mogłabyś być obiektywna w innym mieście... Pisząc o innej drużynie. Prawda?

Wzruszyłam ramionami.

– Bardzo możliwe.

– W takim razie posłuchaj. Wiem, że sama potrafisz znaleźć sobie pracę, i nie chciałbym sugerować, że jest inaczej, ale mam pewne znajomości. Jedną w ESPN, a drugą w „New York Post”. Nie jestem pewien, jakie to by było stanowisko ani jaka pensja, ale wydaje mi się, że mógłbym ci załatwić kilka rozmów.

– I co...? Miałabym tu zamieszkać? – spytałam. – W Nowym Jorku?

– Tak, jeśli chodzi o pracę w „The Post” – powiedział. – A redakcja ESPN jest w Connecticut. Gdybyś wolała jednak nie przebywać zbyt blisko Astrid, zwanej także Maszkarą.

Spojrzałam na niego zdumiona.

– Skąd wiesz...?

– Kiedyś ci się to wymknęło. Dawno temu. Nie martw się. Nic jej nie powiedziałem.

Poczułam, jak kark piecze mnie ze wstydu.

– Przepraszam – bąknęłam.

– Naprawdę nie ma problemu. To było całkiem zabawne... Musiałaś często ją tak nazywać, skoro się nie upilnowałaś... Astrid potrafi być dokuczliwa, ale ma serce na właściwym miejscu. Przez większość czasu. I naprawdę cię lubi. A nawet podziwia.

Nie byłam pewna, czy wierzyć w ten podziw, miałam jednak poczucie, że rzeczywiście nabrała do mnie ostatnio odrobinę szacunku.

– Ja też ją lubię. – To wyznanie nie było całkiem szczere, ale uświadomiłam sobie przy okazji, że przynajmniej już jej nie nienawidzę. Czułam, że nastąpił jakiś przełom.

– No więc co o tym myślisz? Chcesz, żebym zadzwonił, gdzie trzeba?

– Może – powiedziałam zdumiona, że rozpatruję ewentualność, by wyjechać nie tylko z Walker, ale w ogóle z Teksasu. Jeszcze kilka tygodni temu nie potrafiłabym sobie tego wyobrazić. – Naprawdę potrzebuję pracy.

– Cóż. Jestem pewien, że potrafiłabyś ją znaleźć bez trudu. I że masz w Teksasie mnóstwo kontaktów...

– Zdziwiłbyś się – odparłam. – Jest ich naprawdę niewiele, jeśli nie liczyć Trenera Carra.

– A właśnie, Trener Carr... – zaczął ojciec.

Mój żołądek natychmiast ścisnął się boleśnie.

– Możemy o nim chwilę porozmawiać?

Wzruszyłam ramionami przygotowana na cios.

– Jasne.

– Być może w życiu nieco zbyt często kierowałem się sercem – powiedział ojciec. – A to niechybnie prowadzi do kłopotów... Ale gdyby nie to, nie miałbym ciebie.

Nie spodziewałam się takiego podejścia do sprawy. Zmieszana zapytałam:

– Mówisz o mamie? O tym, że *wtedy* poszedłeś za głosem serca?

– No jasne. Oczywiście. A kiedy?

– Jak to? Zrobiłeś skok w bok z kobietą poznaną w podróży, zmajstrowałeś jej dziecko, a potem twoja żona się z tobą rozwiodła... Więc ożeniłeś się z tą drugą, bo chciałeś postąpić właściwie. I dlatego że mama

potrafi być bardzo przekonująca.

– O rany! To dość ponure spojrzenie na moje życie. I na twoje.

– A co? Nie mam racji?

– Tak się składa, że nie. Możesz w to wierzyć lub nie, ale naprawdę kochałem twoją mamę. Zadurzyłem się w niej jak wariat. Tylko że nie potrafiliśmy się dogadać. Byliśmy do siebie podobni jak dzień do nocy. Więc dałem za wygraną. I zamiast zaczynać z kolejną osobą, co znów mogłoby się skończyć nieszczęściem, wróciłem, by zająć się Bronwyn i Astrid. Staralem się naprawić to, co popsulem.

Po raz pierwszy spojrzałam na to wszystko z jego punktu widzenia. I po raz pierwszy dostrzegłam w całej tej sytuacji coś więcej niż wyścig par matka–córka.

– Porównujesz Trenera do mamy? Czy do Astrid?

– Ani do jednej, ani do drugiej – odparł. – Chciałem ci tylko powiedzieć... że powinnaś iść za głosem serca. Nawet jeśli od czasu do czasu pochrzani ci się przez to całe życie... I na miłość boską, *musisz* pojechać na ten mecz. Mówimy o dziewczynie, która zaczęła jeździć za drużyną, kiedy była w trzeciej klasie podstawówki.

– W drugiej – poprawiłam go.

– No właśnie. To by było szaleństwo, gdybyś odpuściła takie wydarzenie.

Skinęłam głową, bo wiedziałam, że ma rację.

– A ty się wybierasz? – zapytałam.

– Jeśli chcesz. Jeśli będę ci tam potrzebny. Ale jeśli nie, obejrzę go w domu.

– To nie do końca to samo, co być na stadionie – powiedziałam. – Te tłumy... Te okrzyki... Ta energia. To jest *niesamowite*.

– Aha! Widzisz? Sama siebie posłuchaj. Jeśli nie pojedziesz, będziesz tego żałować. Spróbuj rozdzielić uczucia do Clive'a i Lucy i jedź wesprzeć swoją drużynę – powiedział, gdy zbliżaliśmy się do lodowiska Wolman Rink.

Skinęłam głową, choć nie potrafiłam się oprzeć poczuciu, że to właśnie Trener i Lucy są moją drużyną, a przynajmniej zawsze byli, a poza tym w najmniejszym stopniu nie potrafię oddzielić swoich uczuć do Trenera od

Walker i najważniejszej gry naszego życia. Nie potrafiłam ich oddzielić od *niczego* – i na tym właśnie polegał kłopot.

– Dobrze. Pojadę – obiecałam, zerkając na taflę lodowiska i pocieszając się myślą, że prawdopodobnie bardzo niewiele z tłoczących się na niej osób przejmie się wynikiem meczu Alabama–Walker.

– To dobrze. Świetnie – powiedział ojciec.

– Ale potem chyba tu wrócę i porozmawiam z twoimi znajomymi – dodałam.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Tak. Naprawdę – odparłam, ponieważ przyszło mi na myśl, że podążanie za głosem serca okazało się jednak mocno przereklamowane. I że może czas spróbować innego podejścia.

Rozdział 46

Jest dwadzieścia po piątej, dziesięć minut do pierwszego gwizdka na stadionie Rose Bowl. Siedzę na trybunach z Lucy, Lawtonem, mamą i Millerem, który przyjechał do Pasadeny bez biletu na mecz. Jeszcze dwie godziny temu bezskutecznie próbował kupić go od koników, aż w ostatniej chwili dostał mu się bilet Neila, ponieważ Caroline zachorowała na grypę żołądkową i Lucy uznała, że nie zostawi jej w hotelu z przypadkową opiekunką. Mimo to Miller musiał ją długo prosić o tę przysługę.

– Ten bilet jest wart wszystkich upokorzeń! – woła teraz, przekrzykując jazgot rozszalałej orkiestry oraz dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy kibiców, z których każdy jest ubrany na zielono albo na czerwono.

Kiwam głową. Rzeczywiście mamy niesamowite miejsca, jak przystało na rodzinę głównego trenera. Tuż przy linii pięćdziesięciu jardów, w dwudziestym rzędzie, z rozległym widokiem na wzgórze rozciągające się po zachodniej stronie stadionu. Nawet pogoda jest jak marzenie – słońce grzeje, niebo bezchmurne i raz po raz zrywa się delikatny wietrzyk. Idealny wieczór na mecz o mistrzostwo kraju.

Miller częstuje mnie swoim ogromnym hot dogiem z musztardą i surówką, ale potrząsam głową zdumiona, że w ogóle można jeść w takiej chwili. Rozglądając się po stadionie, staram się chłonąć jego niezwykłą atmosferę, ale strach paraliżuje mnie zbyt mocno, bym mogła się cieszyć atrakcjami. Poca mi się ręce, żołądek fika koziołki, a serce wali jak szalone. Krótko mówiąc, czuję, że nie będę się dziś dobrze bawić – i mogę mieć tylko nadzieję na to, że nie będę miała powodów do rozpacz.

Czuję, jak Lucy stuka mnie w ramię, więc odwracam się, by na nią spojrzeć. Siedzi w rzędzie za nami, wciśnięta pomiędzy moją mamę i Lawtona.

– Pogadamy chwilę? Nudzę się.

– Nie mogę, Lucy – odpowiadam, zdumiona tym, jak można choćby pomyśleć o nudzie, kiedy do pierwszego gwizdka zostało sześć minut i dwadzieścia sekund.

– Niedobrze ci? – pyta, poprawiając przekrzywioną kokardę na zielonej jedwabnej bluzce. – Może się zaraziłaś od Caroline?

– Nie. Nie jest mi niedobrze. Ale zaraz zacznie się mecz – tłumaczę jej, starając się zdusić falę niechęci, nie pierwszą, odkąd zeszłego wieczoru przyleciałam do Pasadeny. Nie chodzi tylko o to, że zniszczyła mój związek, zanim się na dobre rozpoczął, ale i o to, że wciąż się zachowuje, jakby się nic nie stało. Urządziła mi straszną scenę, ja ustąpiłam, a teraz uważa, że wszystko wróciło do normy?

– Och, daj spokój! – woła, klepiąc mnie w ramię. – Miej trochę wiary. Przecież wygramy! Jestem tego pewna!

– Ja też mam dobre przeczucia – wtrąca się Lawton. – I wiesz co? Ojcu udało się wczoraj znaleźć świerszcza w jakimś przypadkowym parku!

Uśmiecham się, wyobrażając sobie Trenera ze słoikiem w dłoni.

– Naprawdę?

– Słowo honoru – odpowiada Lawton. – Widziałem to na własne oczy.

Kiwam głową, choć dopada mnie znajomy pesymizm. Na szczęście nie jestem trenerką, bo gdybym była, zamiast zagrzewać drużynę do zwycięstwa, poradziłabym im, żeby spróbowali nie przegrać, co jest niechybnym przepisem na porażkę. Usiłuję sobie wyobrazić, co Trener kładzie im do głów w tej chwili w szatni, i choć oczyma duszy widzę, jak do nich mówi i jaką rozpala w nich pasję, z trudnością przypominam sobie dźwięk jego głosu. Nie słyszałam go, odkąd ze sobą zerwaliśmy, a wydaje mi się, jakby od tamtego czasu minęła wieczność.

– Wyglądasz, jakbyś miała zwymiotować – mówi do mnie Lucy.

– To prawdopodobny scenariusz – odpowiadam, a potem macham do grupki dawnych znajomych z pracy, siedzących kilka rzędów wyżej. Rozmawiałam z nimi wczoraj w hotelowym lobby. Wszyscy oczywiście słyszeli o tym, że wyleciałam z redakcji, i wyszli z założenia, że to dlatego, że nie chciałam pisać źle o naszej uczelni i trwającym śledztwie.

„Myślisz, że te plotki się potwierdzą? – pytali mnie, jedno przez drugie. – Może jednak coś w tym jest? Sądzisz, że przywałą nam jakieś sankcje?”

Mówiłam im, że nie wiem i że czasem takie sprawy wyjaśnia się latami. A jednak trzymałam się nadziei, że oczyszczą nas z zarzutów, przynajmniej tych najpoważniejszych, i że zwrócą honor Trenerowi. Nie uważałam go już jak kiedyś za bohatera, przeciwnie, widziałam w nim niedoskonałego człowieka i omylnego lidera. Ale jakimś cudem to tylko wzmocniło moją wiarę i zaufanie.

– Proszę powiedzieć Shei, że wygramy – zwraca się teraz Lucy do mojej matki, jakby nasze przypuszczenia miały jakiegokolwiek znaczenie.

– Wygramy! – woła mama, klaszcząc razem z cheerleaderkami. Ona również beztrąsko ignoruje wszystko, co się zdarzyło przed Bożym Narodzeniem i w naszym wspólnym pokoju hotelowym ani razu nie poruszyła tematu Trenera, choć miała ku temu wiele okazji. Zachowuje się, jakby chciała udowodnić, że robi mi w ten sposób przysługę. To jeszcze bardziej wzmaga moją gorycz.

Miller informuje nas, że nawet bukmacherzy zmienili zdanie i dodali nam jeden punkt po tym, jak w drużynie Czerwonych doszło do kilku kontuzji. Oczywiście nikt nie chce, by graczowi stała się krzywda, ale drobne urazy w odpowiedniej chwili to inna historia i wcale nie kryje wdzięczności za wykręcony nadgarstek i stłuczone biodro w szeregach Alabamy. A jeszcze bardziej jestem wdzięczna za to, że nie muszę teraz siedzieć w łoży prasowej i udawać, że to kolejny, zwyczajny dzień pracy.

– Postawiłeś zakład? – pyta moja mama.

Z ustami pełnymi hot doga Miller odpowiada:

– A pewnie że tak. Pięćset dolców. Łatwa kaska.

– A czy dla mnie już jest za późno? – pyta mama.

– Nie. – Miller wyciąga z kieszeni telefon i dodaje: – Mogę to załatwić!

– Dosyć! – wybucham. – Zamknijcie się oboje! Natychmiast!

– Jejku, przepraszam – obrusza się mama. – Zapomniałam, że mamy do czynienia z Panną Pesymistką.

Przewracam oczami i wbijam wzrok w przestrzeń przed sobą, przygotowując się psychicznie na kilka bolesnych godzin akademickiego futbolu. Oczywiście zakładając, że dobrze nam pójdzie.

*

Pierwsza połowa idzie jednak bardzo źle. Wygląda na to, że jesteśmy kompletnie nieprzygotowani na brutalną grę Alabamy i bardzo szybko tracimy dziesięć punktów. Oczywiście nie jest to strata, której nie da się odrobić, ale trudno dogonić tak świetną drużynę. Moja mama i Lucy kibicują za pomocą dobrze nam wszystkim znanych przyśpiewek, Miller i Lawton soczyście przeklinają sędziów, a ja tymczasem uciekam się do modlitw, targów i obietnic, wznosząc prośby do bogów futbolu, a nawet do samego Najwyższego. Jeśli uda nam się nadrobić straty, możemy potem mieć i tuzin przeciętnych sezonów. Możemy nawet przegrać, choćby to miało oznaczać upokarzającą porażkę z Longhorns. Nigdy więcej nie będę pisać do Trenera. Znajdę pracę w Nowym Jorku i na dobre wyjadę z Teksasu.

Jednak żaden z tych sposobów nie działa i gdy słońce zachodzi za wzgórze Pasadeny, wracamy do szatni z wynikiem dwadzieścia trzy do siedmiu. Przerwa jest nie do zniesienia. Wszędzie wokół rozbrzmiewają pieśni kibiców Alabamy, orkiestra gra wesoło, a moja mama gawędzi spokojnie z Lucy, Lawtonem i Millerem. Ja tymczasem usiłuję zachować spokój i wiarę w Trenera. Przypominam sobie, że najlepiej pracuje pod presją i że z pewnością właśnie zmienia taktykę i zagrzewa naszych chłopców do walki. „Teraz albo nigdy” – powtarza.

*

Druga i ostatnia połowa sezonu rozpoczyna się pod rozjarzonym,

błękitnozielonym niebem. Nie potrafię oprzeć się pokusie, by pokazać jej Lucy.

– Wiem! – woła, unosząc głowę i przyciskając dłoń do piersi, na której, jak my wszyscy, nosi złotą przypinkę ku pamięci swojej matki. – Właśnie o tym myślałam. To niesamowite... Nigdy w życiu nie widziałam takiego nieba.

Chwilę później udaje nam się wykonać trzydziestojardowe podanie aż na linię czterdziestego dziewiątego jarda. Lucy i ja wymieniamy pełne nadziei spojrzenia, a moje serce wzbiera nagłym uczuciem do najlepszej przyjaciółki.

– Jest! Kurwa, jest! To mi się podoba! – wrzeszczy Miller, wyrzucając w powietrze zaciśniętą pięść, po czym razem z Lawtonem przybijają piątkę.

Klaszczę po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru, a tymczasem piłka przemierza kolejne dwadzieścia pięć jardów do naszego skrzydłowego. Trenerowi udało się wytrącić Alabamę z równowagi zdecydowanym atakiem. W następnym zagraniu przeciwnik spodziewa się podobnie długich podań, my jednak nie wypuszczamy piłki z rąk. Everclear ogłasza audible, a potem markuje podanie, po czym sam biegnie z piłką kolejne szesnaście jardów.

– Wasz ojciec to cholerny geniusz! – krzyczę do Lucy i Lawtona.

W drugiej próbie Everclear markuje podanie do Rhodesa, po czym rzuca piłkę jednemu z zawodników w polu punktowym. Udało się. *Przyłożenie!* Po minucie i dwunastu sekundach wspaniałej akcji wracamy do gry. Kiedy nasz kopacz Mike Green zdobywa dodatkowy punkt, uśmiecham się do Lucy i przybijam piątkę Lawtonowi.

Następuje zmiana posiadania i wykonujemy blitz, coraz bardziej pewni siebie zarówno w ataku, jak i w obronie. Alabamie udaje się zdobyć kilka dodatkowych prób, jednak ich akcje okazują się niezbyt owocne i zmuszeni do wykopu z powietrza posyłają piłkę daleko w nasze pole. Od tego momentu Trener zarządza nieco bardziej tradycyjne zagrania i reszta trzeciej kwarty upływa na wymianie strzałów na bramkę.

– Dobrze jest! Dobrze jest, panowie! – krzyczy Miller, gdy ostatnia kwarta rozpoczyna się piłką na naszej linii dwunastu jardów.

Patrzę na tablicę punktową, choć wynik dwadzieścia sześć do

siedemnastu zdążył już wryć mi się w mózg, i powtarzam sobie, że wymazanie dziewięciopunktowej przewagi w ostatniej kwarcie jest jak najbardziej do zrobienia. Przez następne sześć i pół minuty wykorzystujemy zmęczenie obrony Alabamy, bezlitośnie atakując linię wznowienia, za każdym razem jednak przeciwnik zatrzymuje nas na linii pięciu jardów. Wtedy jednak Green wykonuje kolejny kop na bramkę, na osiem minut przed końcem meczu zmniejszając różnicę do sześciu punktów.

Następuje zmiana posiadania i Alabama nie spuszcza z tonu, zdobywając jard po jardzie w nieprzerwanym ciągu akcji i dwa razy zmuszając nas do wzięcia czasu. Udaje nam się wreszcie przerwać ich ofensywę, ale zdążyli dotrzeć do naszej linii piętnastu jardów. Jest to śmieszna odległość dla każdego kopacza, nie mówiąc już o takim, który jeszcze ani razu dziś nie chybił.

Chowam twarz w dłoniach, co wzbudza niepokój Lucy.

– Co się dzieje? – pyta, szturchając mnie w plecy. – Co robisz?

Tłumaczę jej więc:

– Trafiają do bramki. A wtedy znów zabraknie nam dziewięciu punktów.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie wystarczy nam czasu, żeby wygrać! – włącza się Miller. W końcu zdołała i jego wyprowadzić z równowagi.

– Ale najpierw muszą strzelić tego gola, tak?

– Ten chłopak jeszcze ani razu nie chybił – mówi Lawton, a tymczasem gracze ustawiają się na pozycjach.

Znów zasłaniam oczy, bo nie mam sił patrzeć na to, co nieuniknione, ale kilka sekund później Miller łapie mnie za ramię i ścisną jeszcze mocniej niż Ryan w Third Rail, wrzeszcząc przy tym na całe gardło:

– Poleciała obok! Poleciała obok! Obok, kurwa mać!

Unoszę wzrok i patrzę, jak nasz atak przejmuje boisko.

– Nie trafił? – pytam, wybuchając dzikim śmiechem.

– Nie trafił! – huczy Miller.

– Czy to znaczy, że jeszcze możemy wygrać?! – przekrzykuje go Lucy. Futbolowa arytmetyka najwyraźniej nie jest jej mocną stroną.

– To znaczy, że mamy szansę! – wołam, po czym tłumaczę, że musimy

tylko zdobyć osiemdziesiąt pięć jardów w sto dziewięćdziesiąt sekund. A to dużo czasu, niemal za dużo, nie chcielibyśmy bowiem, żeby ostatecznie posiadanie należało do Alabamy.

Spoglądam na boisko, gdzie Trener za pomocą running plays i krótkich podań zbliża się do środkowej linii, aż wreszcie ją zdobywa po minucie i czterdziestu sekundach. Potem przechodzimy do dwuminutowego ataku, rozpoczynając od bardzo długiego podania, którego Rhodesowi nie udaje się osiągnąć. W drugiej próbie Trener znów stosuje długie podanie. Tym razem się udaje i jest remis.

Miller i ja patrzymy na siebie z zachwytem, podczas gdy sędziowie boczni przesuwają łańcuchy i Everclear prowadzi swój zespół na linię. Wstrzymując oddech, patrzę, jak markuje podanie i przebiega z piłką kolejne osiem jardów. Zegar wciąż tyka, mam serce w gardle, a on łapie piłkę podaną przez środkowego, po czym nie wypuszczając jej z dłoni, przebiega trzy jardy i zdobywa kolejną pierwszą próbę.

Zagrania są teraz tak szybkie, że da się je oglądać tylko podczas powtórek na telebimie. Atakowany przez szarżę przeciwnika Everclear wyrzuca piłkę... Podanie odebrane na linii osiemnastu jardów... Pierwsza próba na dziesięciu... Utrata dwóch... Dzika przepychanka o ostatecznie siedem jardów, out na linii pięciu i cztery sekundy do końca meczu.

I nagle wszystko sprowadza się do tej chwili. Cały nasz wymarzony sezon – cały ten niesamowity i okropny rok – zredukowany do marnych czterech sekund. Od mistrzostwa kraju dzieli nas tylko pięć jardów i jedno zagranie.

Wtedy następuje we mnie zdumiewający przełom. Coś, czego nigdy się nie spodziewałam. Nagle się wyciszam i spoglądam na wszystko z dystansu. Wiem, że cokolwiek się zdarzy, czy będzie to wybuch euforii, czy rozpaczy, już na zawsze wpisze się w serca i umysły każdego kibica z Walker, każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka.

Uświadamiam sobie również, że w gruncie rzeczy nie jest istotne, co nastąpi po ostatnim snapie. Oczywiście nadal marzę o wygranej, ale rozumiem też, że są w życiu rzeczy ważniejsze. O wiele ważniejsze.

Ostatnie cztery sekundy mijają w zwolnionym tempie. Everclear wykonuje rollout... Omija obrońcę... Chwieje się... Celuje... Piłka wysoką

spiralą wlatuje w pole punktowe... Rhodes wyskakuje w górę z rozpostartymi ramionami... Podobnie jak zawodnik Alabamy... Potrącona piłka ląduje w gmatwaninie zielonych i czerwonych koszulek... Cały stadion wstrzymuje oddech, gdy kolejni zawodnicy podnoszą się ze sterty, aż na ziemi zostaje tylko jeden, ostatni. To Rhodes. Przyciska do siebie piłkę, a potem wyciąga ją w górę. Sędzia unosi oba ramiona, sygnalizując przyłożenie. Chwilę później Reggie wykonuje zwycięski kop do bramki i Walker wygrywa. Walker wygrywa! O mój Boże, *Walker wygrywa!*

Widownia wybucha radością, wszędzie wokół ludzie krzyczą i rzucają się sobie w ramiona, tańczą i płaczą, i robią zdjęcia. Ja jednak stoję nieruchomo osłupiała i z całych sił staram się zapamiętać tę chwilę, wpatrując się tylko w jednego człowieka, tam w dole, na boisku, śledząc każdy jego ruch. Zawodnicy jeden po drugim rzucają mu się na szyję, po czym, jak to jest w zwyczaju, spryskują spienionym gatorade'em.

Stadion ogarnia szaleństwo, cały zieleni się od serpentyn i konfetti i rozbłyska tysiącem fleszy, a Miller przez cały czas krzyczy mi do ucha, ochrypłym, histerycznym głosem. Wreszcie coś wyrywa mnie z transu i rzuca się ścisnąć Lucy, ale ona ścisną właśnie Lawtona, zadowolam się więc Millerem, który odwzajemnia mi się mokrym pocałunkiem w same usta. Gdy spoglądam na niego spłoszona, mówi:

– Nie martw się! Tak samo mam zamiar pocałować twoją matkę! – Co następnie czyni. Wybucham śmiechem, a Lawton skacze Millerowi na plecy, przewracając nas wszystkich na ziemię. Lucy rzuca się na nas, jakby chciała odtworzyć ostatni moment meczu, i krzyczy przy tym, że mnie kocha.

– Ja ciebie też – odpowiadam, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, po czym z trudem gramolę się na nogi, żeby jeszcze raz spojrzeć na Trenera.

Chwilę później zjawia się przy nas zdyszany J. J. z przepustkami dla VIP-ów i prosi Lucy oraz Lawtona, żeby poszli z nim na boisko, gdzie zaraz rozpocznie się dekoracja.

– Bez Shei nigdzie nie idę – mówi Lucy.

– Dobrze, dobrze. Chodźcie więc we trójkę! – woła zniecierpliwiony J. J. Zaczynam protestować, ale szybko dociera do mnie, że nie mam w tej

sprawie wiele do gadania. Pozwalam więc Lucy pociągnąć się w dół metalowych trybun, witając się po drodze z przyjaciółmi, znajomymi i całkiem obcymi ludźmi. Właśnie mam zejść na murawę, gdy dostrzegam małego, może dziesięcioletniego chłopczyka, który zanosi się szlochem, a czerwone literki A na jego policzkach są rozmazane od łez. Zatrzymuję się, klękam i mówię mu, że wszystko będzie dobrze.

– Dopadniecie nas za rok – obiecuję.

Chłopiec nadal płacze, ale ja go nie żałuję. Wiem, że któregoś dnia wróci do niego wspomnienie tego wieczoru, a wtedy smak zwycięstwa stanie się jeszcze słodszy.

Krażymy po murawie, aż wreszcie odnajdujemy Trenera. Jest cały mokry od potu i gatorade’u, ale po zaczerwienionych oczach poznaję, że on też płakał. Patrzę, jak przytula córkę, i słyszę, jak mówi:

– Zrobiłem to dla niej, Luce.

– Wiem, tatusiu – odpowiada zapłakana Lucy. – Mama byłaby z ciebie dumna. A jaka ja jestem dumna!

Przychodzi kolej Lawtona, który również płacze jak dziecko, i mimo woli przypominam sobie jego twarz podczas pogrzebu matki.

– Tak bardzo chciałbym, żeby tu była – mówi do ojca. – Tak bardzo.

– Ależ ona tu jest – odpowiada Trener, próbując pocieszyć syna, a ja nagle uświadamiam sobie, że czasem rozpacz niezwykle przypomina czystą radość.

Zaczynam się trząść i wtedy czuję na plecach dotyk dłoni Lucy. Popycha mnie w stronę swojego ojca, prosto w jego ramiona. Spoglądam na nią nierozumiejącym wzrokiem, a ona kiwa głową i mówi:

– Myliłam się, Sheo. Idź do niego. Twoje miejsce jest przy nim.

Patrzę na nią, usiłując zrozumieć to, co właśnie powiedziała, i nagle uzmysławiam sobie, że po raz pierwszy w życiu usłyszałam od niej te słowa: „Myliłam się”.

– Idź – powtarza, uśmiechając się przez łzy, i jeszcze raz lekko mnie popycha.

Robię więc krok do przodu. Trener uśmiecha się szeroko.

– Gratulacje! – wołam, przekrzykując tłum, a potem zamykam oczy i padam mu w ramiona. Przez mokrą koszulkę czuję bicie serca i wdycham

słony zapach jego skóry. – Udało ci się, Trenerze – mówię ciszej, prosto w jego ucho.

– To *nam* się udało, mała – szepcze, tuląc mnie jeszcze mocniej. – W *końcu* nam się udało.

Cofam się, spoglądam mu w oczy i już wiem, że Lucy z nim rozmawiała. Że już przed meczem wiedział to, co obwieściła mi dopiero przed chwilą. „*Myliliam się*”.

A potem spełnia się moja niewypowiedziana prośba i jego usta ocierają się o moje. To najszybszy pocałunek świata, ale jednak pocałunek, prawdziwy, na oczach Lucy i całego świata. To najcudowniejsza chwila w moim życiu, a przecież wiem, że nadejdą kolejne, jeszcze lepsze. I to niedługo.

– Teraz muszę iść – mówi Trener z promiennym uśmiechem. – Ale zobaczymy się później, prawda?

Oszołomiona radością, uśmiecham się i kiwam głową, a potem patrzę, jak znika w tłumie zielonych koszulek. Po chwili pojawia się znowu, niesiony wysoko na ramionach kilku szczęśliwych graczy. Oni są w tej chwili reprezentantami tych wszystkich, którzy kiedykolwiek założyli zieloną koszulkę Walker, w tym również Millera i Ryana. Patrzę na sylwetkę Trenera na tle czarnego aksamitnego nieba rozświetlonego milionem gwiazd, które rozpościera się jak kopała planetarium ponad najslynniejszym stadionem w świecie akademickiego futbolu. Zastanawiam się, jak to możliwe, że jeden wygrany mecz tak nas wszystkich uszczęśliwił.

Wiem jednak, że nie chodzi o samo zwycięstwo, ale o wszystko, co nas do niego doprowadziło. O wysiłek. Pasję. Nadzieję. O to wszystko, w co Trener Carr nauczył mnie wierzyć. Te wszystkie wartości, którym nie jest straszna porażka ani nawet śmierć. To wszystko, co sprawia, że futbol jest jak życie – a życie jak mecz futbolowy.

Podziękowania

To moja siódma powieść i jak każda rozpoczęła się w ten sam sposób – od nieufornowanego pomysłu, a później wyczerpujących dyskusji z moją matką, siostrą oraz najlepszą przyjaciółką. Dziękuję Mary Ann Elgin, Sarah Giffin i Nancy LeCroy Mohler za wsparcie od początku do końca.

Jestem ogromnie wdzięczna Stephenowi Lee, najlojalniejszemu specowi od reklamy na świecie. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym wyruszyć w tę podróż bez Ciebie. Dziękuję również za niekończące się dostawy fistaszkowych M&M'sów.

Mojej redaktorce Jennifer Hershey dziękuję za to, że we mnie wierzyła i że wyniosła tę historię na tak wysoki poziom. Twoje uwagi niemal doprowadziły mnie do szału, miałaś jednak rację i bardzo się cieszę, że Ci zaufałam.

Dziękuję całej wspaniałej drużynie Random House: Ginie Centrello, Libby McGuire, Kim Hovey, Theresie Zoro, Susan Corcoran, Jennifer Garzie, Sanyu Dillon, Debbie Aroff, Melissie Milsten, Cynthii Lasky, Scottowi Shannonowi, Loren Noveck, Susan Brown, Kate Childs, Joeyowi McGarveyowi, Mattowi Schwartzowi i Paolo Pepemu.

Dziękuję mojej cudownej agentce Theresie Park za nieustającą pomoc, mądrość i troskliwość. A także wszystkim w Park Literary – zwłaszcza Emily Sweet, Abby Koons i Pete'owi Knappowi. Dziękuję Mollie Smith za wytrawny zakulisowy profesjonalizm oraz Richowi Greenowi za pracę nad tym, by przenieść moje historie na duży ekran.

Kilka słów do moich przyjaciół w St. Martin's Press, a zwłaszcza

Jennifer Enderlin, Johna Murphy'ego i nieodżałowanego świętej pamięci Matthew Sheara: zawsze będziecie obecni w moim sercu i już zawsze będę wdzięczna za wspólnie spędzone dziesięć lat i sześć wydanych książek.

Jestem niebywale wdzięczna trzem uniwersyteckim trenerom, a zarazem moim bliskim przyjaciółom: Dave'owi Odomowi, Jimowi Boenheimowi i Billy'emu Schmidtowi. Od najwcześniejszych lat uwielbiałam Wasz pełen pasji, barwny i niezwykły świat i choć w tej powieści zamieniłam koszykówkę na futbol amerykański, zasada pozostaje niezmienna. Dziękuję Wam za cenne wskazówki na temat Trenera Carra – wzorowałam go na najlepszych.

Dziękuję Jennifer New, Allyson Wenig Jacoutot, Dougowi Elginowi, Lisie Ponder, Kate McDavid, Julie Porterze, Jimowi Konradowi, Kevinowi Garnettowi, Ralphowi Sampsonowi, McGrawowi Milhavenowi, J.R. Moehringerowi, Michelle Fuller, Cameron Sherrill, Vahe Gregorianowi oraz Billowi i Kristinie Giffinom za odpowiadanie na niezliczone pytania dotyczące tej książki i jej okładki.

Dziękuję również trenerowi June'owi Jonesowi, Bradowi Suttonowi oraz Hermanowi Hudsonowi za to, że pozwolili mi chłonąć atmosferę wiosennych treningów na Southern Methodist University (naprzód, Mustangi!).

Na froncie domowym jestem winna głęboką wdzięczność Kate Hardie i Marcie Arias za codzienne wsparcie i życzliwość – a także Jeffowi MacFarlandowi za to, że utrzymywał mnie przy siłach, zarówno fizycznych, jak i umysłowych.

Całej reszcie rodziny i znajomych, którzy być może nie przyczynili się bezpośrednio do powstania tej książki, dziękuję za miłość, wsparcie i rozweselające emotikony.

No i w końcu dziękuję Buddy'emu Blasze, który wziął na siebie tak wiele różnych ról: był konsultantem futbolowym, kucharzem, partnerem na siłowni, szoferem, „sprawdaczem” zadań domowych, trenerem Małej Ligi, opiekunem kurczaków, przyjacielem, mężem i ojcem trójki cudownych dzieci.

Edwardzie, George'u i Harriet – kocham chaos, który wprowadziliście w mój świat, przeważnie wesoły, nigdy nudny. Życie z Wami nabiera

blasku.